

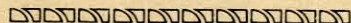
Wtóra Podróż do Ciemnogradu

X. I. CHARSZEWSKI.

WTÓRA PODRÓŻ DO CIEMNOGRODU

Z POWODU ZAMACHU
NA KATECHIZM.

OKŁADKĘ WYKONAŁ X. ALEKSANDER DMOCHOŃSKI.



DRUK PIOTRA LASKAUERA I S-KI
WARSZAWA

WARSZAWA—1909

WYDAWNICTWO KSIĘGARNI NAKŁADOWEJ
M. SZCZEPKOWSKIEGO, NOWOGRODZKA 21.



IMPRIMATUR

Plociae, 26 Febr. 1908.

Ant. Nowowiejski, V. g.

Czcigodnej Pani _____
Marji z Benisławskich Zaleskiej,

Wzorowej Córce Kościoła i Matronie Pol-
skiej, wyjątkowo pięknie uświadomionej
Przedstawicielce Inteligencji Katolickiej,
iż była mi, do podjęcia obrony zelżonego
niegodnie Katechizmu, żywą pobudką,

pracę tę poświęcam.

*Trzepowo pod Płockiem,
d. 21 grudnia, roku Pańskiego 1907.*

A ten jest sąd, że Światłość przyszła na świat, a ludzie
raczej miłowali ciemności, niż Światłość, bo byli złe ich uczynki.

Jan Ewangelista.

We dnie wbieżą w ciemności, a jakoby w nocy, będą
macać w południe.

Hijob.

Albowiem, powiadając się być mądrymi, głupimi się stali.

Paweł Apostoł.

A ci, czegokolwiek nie wiedzą, bluźnią.

Apostoł Juda.

Pojmam mędrce w chytrłości ich.

Paweł Apostoł.

Bo teraz urzędy w Europie hańbą są, a nauka Europy —
głupstwem.

Mickiewicz.

Człowiek bywa nieprzyjacielem tego, czego nie rozumie. —
Wyśmiewanie mędrców jest przywilejem głupców.

Przysłowia niemieckie.

Ale Świętości nie szargać,
bo trza, żeby święte były,
ale Świętości nie szargać:
to boli!...

Wyspiański.

Joachimowi Kobrze Aleksandrowi

Życzewskiemu z dnia przyjęcia

interesów mniejszych braci

officji: Alfonsa Brucha i J. Mieczkowski

Przedmowa.

Któżby inny u nas poważił się dokonać brutalnego zamachu na Katechizm, na wiarę Ludu Polskiego, jeśli nie herostratesowo sławny autor „Legend“ (w drugim wydaniu: „Tytułu Skonfiskowanego“), założyciel i redaktor „Myśli Niepodległej“, oraz szef, zakwefionej gwoli popularności Ligą Wolnej Myśli, masonerji warszawskiej, słowem: p. Andrzej Niemojewski?!

Pewnego razu mistrz Andrzej, ocknąwszy się z głębokiej zadumy, wyskoczył na równe nogi, stuknął się w niepodległą głowę i, z właściwą sobie, wściekle dramatyczną werwą zawołał:

— „Żali mnie macie, iż kiedyś świat nie będzie nas sądził, nie tylko za bezpłodność naszych czynów, ale i za bezpłodność naszych słów?“¹⁾ Trzeba wreszcie skończyć z tą „szczególną książką, która w niepojęty dla człowieka wykształconego sposób dotrwała do dwudziestego stulecia“²⁾, a za której pomocą księża ogłupiają chłopą i nad nim panują! „Gdzie niema dostatecznej rady, lud

¹⁾ „Objaśnienie Katechizmu“. Wydawnictwo „Myśli Niepodległej“. Warszawa. 1907. Str. 64 w 16-tce.—Słowa Giordana Bruno, pomieszczone na okładce, jako motto, jedno z czterech.

²⁾ „Uwagi Wstępne“. Str. 7.

upada¹⁾. Czas rozwinąć sztandar Myśli Niepodległej także i ponad chałupą i „wstrząsnąć sumieniem Ludu Polskiego“²⁾, — gwoździ „wygodnemu ich bytowanu“³⁾, okłamywanego przez klechów! „Budź się, Ludu Polski! Czytaj słowa tych, o których głowy piorun klątwy papieskiej kruszy się i łamie, jak słomka!“...⁴⁾

Rzekł, siadł i wykonał.

I oto na rynku księgarskim pojawiła się osobliwa, pod niewinnym nagłówkiem: „Objaśnienie Katechizmu“, książeczka, naładowana piorunującymi oraz trującymi gazami — niepodległych, dziko-bezbożnych absurdów.

Z wiarą w swoje posłannictwo, rodem z gehenny kłamliwego nieuctwa, p. N. tłumaczy się z „obywatelskich“ pobudek, które skłoniły go, że „zdobył się na ten, tak stanowczy krok, który prawdopodobnie wywoła z jednej strony zdumienie, z drugiej strony gniew i potępienie“ (str. 7).

Wobec, zasłużonego skądinąd, pogardliwego lekceważenia roboty p. N. w kołach wyższej inteligencji katolickiej, uważam również za potrzebne wytłumaczyć się z pobudek, które skłoniły mię do podjęcia rękawicy, tak prostackiej, rzuconej tak brutalnie.

Jakkolwiek istotnie trudno autora „Objaśnienia“ traktować serjo, zdobyć się wszakże na to trzeba. Salomon radzi: „Odpowiedz głupiemu według głupstwa jego, aby się sobie nie zdał być mądrym“⁵⁾. Prawda, nie stałoby

¹⁾ Motto, słowa Salomona, Przypow. XI, 14.

²⁾ Str. 7.

³⁾ „Wnioski“. Str. 60.

⁴⁾ Str. 12.

⁵⁾ Ks. Przepow., XXVI, 5. — Tamże, w wierszu 4-tym, powiedziano: „Nie odpowiadaj głupiemu według głupstwa jego, abyś nie był jemu podobny“. Sprzeczność pozorna. Pisarz święty przestrzega tu, nie przed odpowiadaniem, ale przed wpadaniem w odpowiedź w ton przeciwnika. Zdarzyło mi się jednak niedawno w pewnym dzienniku spotkać tę cytate na usprawiedliwienie milczenia.

papieru i czernidła, gdybyśmy chcieli na wszystkie drukowane głupstwa wolnomysłne odpowiadać. Zamach atoli na Katechizm i zamach *taki* — to u nas dotąd rzecz niesłychana, a niezmiernie charakterystyczna i doniosła. Chodzi tu — nie o fakt bałamucenia i ogłupiania obalamowanych i ogłupionych już inteligentów, ale o dziewiczą jeszcze na ogół wiarę ludu, tej podstawy społeczeństwa, tego źródła, z którego może i powinien wytrysnąć źródło ożywczy odrodzenia narodu: naród był zawsze katolicki, odrodzenie też jego musi być katolickie, dla jego własnego dobra.

Nie chodzi więc zgola o autora osobę, o wyrządzenie mu zaszczytu lub despektu; ale chodzi o rzecz, którą on poruszył: o rzecz wagi pierwszorzędnej, którą on kopnął. „Objaśnienie“, jakkolwiek ignoranckie i płytkie, wszelako w masach umysłów, niemniej płytkich i ciemnych, może poczynić szkody poważne: już to utwierdzając jedne w płytkim niedowiarstwie, już to podrywając w innych ciemną, niedość mocno na tronie rozumu osadzoną wiarę. Na umysły tej drugiej kategorii, zważywszy moc sugestji, jaką posiada talent oraz niesłychana pewność siebie autora, — „Objaśnienie“ może podzielać niejednokrotnie wręcz, jakby jakie objawienie racjonalistyczne, zwłaszcza przy spółdziałaniu niedość czystego sumienia.

Mam tu zaś na myśli nietylko masy ludowe, ale także inteligencję, która jeszcze z Kościołem nie zerwała; i nietylko inteligencję skończoną (choć nie w nauce religji), ale i tę podrastającą czy podlotkową, t. j. młodzież szkolną.

Przed rokiem pewien poważny krakowianin, który jako zawodowy marjolog, uczestniczył w ostatnim kongresie Marjańskim w Einsiedeln, pisał do mnie:

„Miałem zagranicą rozmowę z pewnym polakiem z Warszawy. Usłyszawszy odemnie, że w Einsiedeln był kongres Marjański, zapytał, czy to było zebranie marja-

witów (!!); a gdym go objaśnił, co to było za zebranie, odparł, że to jest źle, iż Galicja taka klerykalna. Czem Galicja ten swój klerykalizm objawia, nie wiem doprawdy, gdyż na kongresie nikogo (oprócz autora listu) z niej nie było; a jeżeli w Galicji tak nie mordują i nie rabują, jak w Królestwie, to chyba nie złego. Kiedy miałem sposobność mówić o kwestjach religijnych z anglikiem — heretykiem, rosjaninem — i brazylijczykiem — katolikiem, tom w nich wszystkich widział uświadczenie religijne i dobrą wiarę: gdy u tego polaczka była tylko bezgraniczna głupota“.

Smutna, ale rzetelna charakterystyka ogromnej części naszych inteligentów, pod względem religijnym. Ci pigmeje wyobrazili sobie katolicyzm, jakoby szanownego głuptasa, którego głupocie dziwują się, nie miarkując zgola, że urągają potworkowi, splodzonemu przez własne nieuctwo i słabiznę umysłową. Podobny zresztą, jak w liście powyższym, stosunek inteligencji religijnej polaków-katolików do takiejże inteligencji codzoiemców i różnowierców, wprowadził świadomie ś. p. ks. Marjan Morawski do swoich świetnych „Wieczorów nad Lemanem“. Taki warszawianin Bielski, w porównaniu: z pastorem Devill'em, profesorem Heinbergiem, powieściopisarzem Leroy, literatem tołstoistą Siemionowem, powieściopisarką miss Wilson, hidalgiem hiszpańskim Pardoalem: jest pod względem uświadczenia religijnego poprostu cherlakiem.

Oto drugi obrazek z życia.

Niedawno temu zabrałem w podróży znajomość wagonową z pewnym ziemianinem i adwokatem w jednej osobie. Rozmowa rychło potoczyła się ku sprawom religijnym, w szczególności na temat Katechizmu.

— Jak można uczyć dzieci — mówił zgorszony mój rozmówca — takich niedorzeczności, jak Niepokalane Poczęcie?!

— Przepraszam! Co pan przez Niep. Poczęcie rozumie? Z góry jestem przekonany, że nie to, co Katechizm!

Towarzysz mój zmieszał się, próbował pytanie moje zagadać czem innem; przyparty w końcu do muru, odparł:

— No, zdaje się, że nie co innego, tylko dziewictwo Matki Boskiej, pomimo macierzyństwa...

— Otóż właśnie — nie to! Chociaż i to, swoją drogą, jest artykułem wiary, i zgola nie niedorzecznym. Jak pan może jednak na swoim „zdajemisie“ opierać tak apodyktyczne zarzuty przeciwko wierze?!... Idę zaś o zakład, że na podobnej ignorancji łapać będę pana na każdym kroku!

Istotnie, w dalszym ciągu dyskusji czynilem to co chwila. Nadmienić trzeba, że mój towarzysz, skądinąd wysoce inteligentny oraz pełen dobrej woli, wyrażał żal, iż nie został księdzem, oraz twierdził, że gdyby był nim został, no! — on by nam pokazał, jakim to ksiądz być powinien...

Ten niedoszły aspirant do stanu duchownego — to typowy przedstawiciel naszej inteligencji katolickiej. Ogół jej, z nielicznymi stosunkowo, a niezawsze wzorowymi wyjątkami, to masa zupełnych analfabetów religijnych, nieznających nawet abecadła wiary katolickiej, t. j. Katechizmu. Dobrze jeszcze, gdy z tym analfabetyzmem nie idzie w parze pycha i zła wola. Inaczej, doprawdy, trzebaby być: albo świętym, albo safandulą, — jedno z dwojga, — ażeby w walce o prawdę katolicką nigdy nie zgrzeszyć sarkazmem lub porywcznością.

Nieświadomość religijna, której parę próbek dopiero co przedstawiłem, to fakt, zresztą znany. Każdy katolik uświadczony zna tę smutną rzeczywistość z doświadczeń własnych. Otóż na podstawie całej sumy doświadczeń w tym kierunku, można bez ryzyka powiedzieć, że p. N. wyjął swój komentarz do Katechizmu z ust szerokiej inteligencji, że jest on rzecznikiem jej mniemań, przesądów i wątpliwości. „Objaśnienie“ — to owoc ducha czasu; to wytwór społecznej atmosfery umysłowej, zge-

szczonej osobiście silnie w mózgu p. Niemojewskiego. Autor obnażył i na światło dzienne wywłókł to, co myślał i mówią tłumy inteligencji. On miał skandaliczną odwagę wypowiedzieć to głośno na rynku, nie cofając się przed najjaskrawszymi konsekwencjami raz przyjętych, fałszywych założeń.

I przyznać mu za to trzeba zasługę, lubo niezamierzoną i mimowolną: zasługę, polegającą na przerywaniu nieszczerzego milczenia i otwarciu dyskusji publicznej nad zagadnieniami katechizmowo-religijnymi, na wyrwaniu myśli społecznej z gorszej nad nienawiść obojętności w rzeczach wiary, więc — na umożliwieniu walki z ciemnem nieuctwem i jego straszliwymi potworkami.

Taką sposobność wnoszenia światła i rozpraszania mroków nieświadomości religijnej — pominąć lekceważaczem, rzekomo zabójczem dla nieuctwa milczeniem, byłoby grzechem. Gdyby nawet nie warto było odpowiadać panu N., należy to czynić *zum Fenster hinaus*, przez ścianę, pod adresem inteligencji, tej przynajmniej, która pomimo swych błędów po manowcach wolnomyślicielstwa, do katolicyzmu jeszcze się przyznaje; której możnaby było przypisać bohaterstwo, iż trzyma się wiary ojców, pomimo jaknajmniejszego o niej wyobrażenia, gdyby to nie był raczej wynik bezmyślności.

Główna, o ile możliwości, odprawa należy się pogromcy Katechizmu i ze względu na ludzi prawowiernych bez zarzutu, ale niedość w nauce wiary uświadomionych, których u nas także nie brakuje, nawet na wyższych szczeblach inteligencji katolickiej. Jedni z nich liberalizują, drudzy fanatyzują: zależnie od rodzaju wpływów, wśród których myśl ich urabiała się, a zawsze w przekonaniu, iż czynią Kościołowi posługę. Jednym i drugim należy dać do ręki oręż, którym mogliby prowadzić partyzantkę samodzielnie, a poprawnie.

Zapewne, to wszystko, co się tu powie przeciwko „Objaśnieniu“, znaleźć można rozproszone po różnych

książkach, a także i w księdze niepisanej chłopskiego rozumu, do którego i p. N. apeluje. Boć tu się nie nowego w zasadzie nie mówi... Nie każdy wszakże ma po temu czas i możliwość, gdy tymczasem — *Hannibal ante portas!* Przytem, bezpośrednio odpowiedzi, uwzględniająca wyściętą na starych i milion razy już zbitych zarzutach indywidualność autora, oraz świeżą okrasę aktualności, na której one odgrzane zostały: snadniej do umysłu czytelnika utrafi, aniżeli rozrzucone po książkach i nie *ad hoc* przystosowane informacje.

Powiem więcej. Odprawa panu N. należy się i ze względu na niego samego: nie, żebyśmy spodziewali się go nawrócić, ale ze względu na okoliczność, że to umysł, bądź co bądź, niepospolity, którego firma pisarska jest znana w społeczeństwie dość szeroko i poczytna. Poczytna tem więcej, że skandaliczna.

Lekceważenie napaści na Katechizm, dlatego, że niemądra, byłoby tak pospolitym u nas grzechem arystokratyzmu intelektualnego, który już nieraz przyniósł nam szkodę. „*Non raggionar di lor, me guarda e passa*“ — mówi sobie taki arystokratyzm i przechodzi z pogardą mimo żmii, za którą należałoby śledzić, żeby matactwa jej demaskować¹⁾. Napaść p. N. na Katechizm, lubo niemądra, jest jednak wężowo chytra i wobec panującej ignorancji, wielu może uwieść, albo już uwiodła.

Konieczność zniżenia się do walki z poziomym wrogiem, zrozumiały wydawane w Turynie „Wiadomości Salezjańskie“, z powodu sztucznego skandalu, jaki Salezjanom włoskim w Varazze urządził socjalizm. W artykule p. n. „Kiedy?...“ organ salezjański pisze:

„Protestować, napaści zbywać wzgardą, z góry traktować nieprzyjaciół, nie zniżać się do rozprawy z nimi:

¹⁾ Powtarzam tu zdanie Sołowjewa, z jego rozprawki „O dobroświestnom niewierü“, pomieszczonej w książce p. n. „Tri raz-gowora“. Str. 251.

to nasze błędy, nasza wsteczność. Kto przy tem się upiera, ten nie uchwycił demokratycznej treści naszych czasów, ten się nie obliczył z ujemnymi skutkami, jakie dla sumienia katolickiego pociąga za sobą nasza obojętność na zaczepki i kalumnje socjalistów. Szliśmy dotąd tą drogą, to prawda, — ale byliśmy zarazem świadkami, jak zuchwalstwo przewrotnej prasy przeszło wszelkie granice, a zbałamucenie ludu coraz większe...

„Socjalizm rósł naszą wzdargą, naszą arystokratyczną dumą i wyższością. Już czas spojrzeć mu w oczy, rozprawić się z nim w dziennikach i trybunałach. Na stał czas pracy i walki!

„Kiedyż to pojmiemy?...“ (№ 12 za grudzień r. 1907).

Więc nie gardzę rzuconą Kościołowi prostacką rekawicą i podejmuję ją! Owszem, uczepiam się firmy literackiej p. N., budzącej zainteresowanie w sferach, nawet katolickich, dla których nazwiska katolickie w piśmiennictwie nie istnieją: a nuż one zainteresują się tem, co tej firmy dotyczy? Nuż złapią się na przynętę, uczepioną u wędki katolickiej? Nuż zainteresowanie „Objaśnieniem“ udzieli się i danej temuż odprawie? Daj to, Boże!

— Cóż, złapałaś się, rybko? Nie lękaj się! Nie na tom cię złapał, żeby cię zjeść, ale żeby cię z płytkiego i ciasnego stawu pseudo-liberalizmu, który raczej żabom przystoi, przenieść na oceanowe wody myśli katolickiej. „Zajedź na głębię“ (Łuk., V, 4) myśli, wraz ze mną, a obfity połów pożywnej prawdy będzie twoim udziałem...

Wśród inteligencji wierzącej było poczucie konieczności odparcia zamachu p. N. na Katechizm. Co rzadko się zdarza, ujawniło się ono dotąd w dwóch odpowiedziach, które jednak, niestety, nie mogą wszystkich zadowolić. (Drobnych wzmianek dziennikarskich w prasie katolickiej w rachunek nie biorę).

Pierwsza — to „Sprostowanie“, wydane przez lubel-

skiego Polaka-Katolika. Naprzód, jest ono przeznaczone dla ludu. Powtóre, w nieuzasadnionem przekonaniu, że odpowiadać na wszystkie zarzuty p. N. „byłoby tylko powtarzaniem tego, co już wielokrotnie sprostowane zostało“, na 40 zarzutów odpiera ono tylko 19. Naostatek, obok odpowiedzi gruntownych, niekiedy świetnych, zdarzają się tam i mniej słuszne, których błędność czy nie trafność spowodowana została: przez powzięte z góry przypuszczenie, jakoby podręczniki katechizmowe z natury swej wolne były od błędów; przez bezwiedne a niekrytyczne folgowanie popędowi ku zwalczaniu wszystkiego, cokolwiek twierdzi przeciwnik: co prowadzi prostą drogą do niepodzielnego zastawiania w rękach jego prawdy i słuszności, o ile one mu się zdarzą (a, lubo jak ślepej kurze ziarno, zdarzają się), więc do wzmacniania go, kosztem osłabienia własnego. Nieliczne zresztą usterki i chyby, wypływające z tych źródeł, wytłumaczyć się dadzą pośpiechem, wobec którego, iż „Sprostowanie“ pisane było pod pierwszym wrażeniem, tem więcej godzi się podnieść spokój wyższości, którym tchną jego kartki.

Odpowiedź druga — Starego Mieszczanina Polaka, rozpoczęta w Nrze 48-ym *Przeglądu Katolickiego* (z r. p.) i nie zapowiadająca rychłego końca, jest, przeciwnie, niezmiernie gorąca: tą gorącością pocziwają starej daty, niekiedy w naszych oczach nowoczesnych humorystyczną, ale niekiedy też i budującą, że i wilka bodaj gotowaby rozbroić. Niestety, taksamo inteligencja jest tam raczej pocziwa, niż silna. Autor, snąc pisarz nie fachowy, nie umiejąc utrzymać wątku myśli przewodniej, czepia się myśli podrzędnych i snuje z nich sążniste, daleko od głównej treści odbiegające tasiemce. Chwycił się on nadto metody trawestacji, o ile łatwej w przeprowadzeniu, o tyle trudnej w przeprowadzeniu takim, któreby nie nużyło i nie nudziło, — no, i czasem przy jej pomocy wpadł na dobry koncept, ale na ogół poplątał się w wynikłych stąd dziwolągach. Wkońcu, w odpowie-

dzi Starego Mieszczanina, lubo jak się okazuje, czytającego, roi się od pełnych naiwności błędów naukowych: natury przyrodniczo-filozoficzno-teologicznej¹⁾.

Odpowiedź ta stanowić może arcyznamienny dokument umysłowości starej daty, przechowującej się jeszcze w wieku XX-tym, wśród mohikanów myśli katolickiej. Razem z nimi zejdą do grobu przeszłości, pokryte pleśnią pojęcia o katolicyzmie; a gorącość, siła i żywotność jego pozostanie, pozostać powinna. Sądzę też, iż jeśli p. N. czyta „Odpowiedź“ Starego Mieszczanina, o czym trzeba wątpić, tedy, o ile mógł się z niej uśmieć, o tyle z drugiej strony musiał się przerazić i we własnych oczach skarcić na widok tak żywej, gorącej, przekonanej wiary. Zaprawdę, perspektywa walki z taką wiarą, przedstawia się rozpaczliwie. Stary Mieszczanin powiedział ludziom myśli niepodległej: Porzućcie wszelką nadzieję! Raczej my was, przy pomocy łaski Bożej, nawrócimy ku naszej myśli katolickiej, podległej, ale Bogu, i w ostatecznej analizie, tylko Bogu! Gdy wasza, niepodległa Bogu, podległa jest ludziom; niepodległa rozumowi Bożemu, podległa jest rozumowi ludzkiemu, i nie tylko jemu, ale także przesądom i namiętnościom ludzkim. Bóg od ludzi silniejszy: On was zwycięży! Oby tylko zwyciężył, nie jak Juliana Odstępcę, ale jak Szawła! To zależy od was...

Takich, jak Stary Mieszczanin, katolików, jest legion. Są oni na wymarcu; ale na ich miejsce rodzi się młoda inteligencja katolicka, równie gorąca i mocna, a uzbro-

¹⁾ Pośpieszam przyznać jaknajchętniej, że w miarę, im dalej autor rzecz swą prowadzi, — pisze coraz to równiej i rozumuje coraz to poprawniej. W początkach Stary Mieszczanin wprost zachłystywał się oburzeniem, którem poilo go „Objaśnienie“. Przecie błędy zdarzają się stale w dalszym ciągu, a zawsze charakterystyczne. Ale i dużo tam uwag trafnych, często nawet ciekawych. Gdybyż tylko nie te zbyt luźne asocjacje idei, nie ta jazda „po wsium doskam“, bez planu i ładu!

jona w rynsztunek naukowy nowoczesny. Ona to budzi w szeregach „niepodległych“ tłumiony okrzyk trwogi: Więc w obozie katolickim są już nawet studenci?!

...Jeden tylko przedstawiciel patrycjatu literackiego, nie zawahał się stanąć do rozprawy z p. Niemojewskim. Za to magnat pióra i mocarz myśli: Prus!¹⁾ Nie wystąpił on wprawdzie specjalnie w obronie Katechizmu, ani też Kościoła; wziął jednak w obronę zasadnicze idee i prawdy chrześcijańskie, będące podstawą wszelkiej religji, a zdeptane przez p. N. w „Objaśnieniu“, oraz innych podobnych broszurkach. To dużo! Stwierdzam to i podnoszę z żywym zadowoleniem, warując się jednak składania znakomitemu sprzymierzeńcowi naszemu za to podzięki. Nie pisał on gwoi pochwałą czyimkolwiek: napisał to, co mu dyktowało jego przekonanie i sumienie. Takich mężów nie mamy potrzeby zatrzymywać w roli sprzymierzeńców, ani też do niej zachęcać czezymi wyrazami uznania.

Znamienne zjawisko! Wystąpienie Prusa, myślicie-la, ściśle biorąc, jeszcze nie katolickiego (lubo do katolickości bardzo mu niedaleko), wystąpienie w sprawie katolickiej, okazuje się wolne od jakiegobądź zarzutu, ze strony katolickiej krytyki: autor „Faraona“, pełnego przejrzystych, a trochę złośliwych aluzji do Kościoła, ani tu katolicyzmu nie obraził, ani mu niedźwiedziej przysługi nie oddał, ale przysłużył się mu rzetelnie²⁾. Natomiast wystąpienia w tej samej sprawie ze strony arcykatolików — od zarzutów wolne nie są! Prawda, Prus był tyle roztropny, że zagadnień specyficznie katolickich

¹⁾ „Tyg. Illustr.“ № 42 z r. p. — Na brutalną odpowiedź p. Niemojewskiego w „Myśli Niepodl.“ № 43, Prus replikował w Tygodniku № 46.

²⁾ Jedno tylko zdanie Prusa jest dwuznaczne. Dowodząc użyteczności Kościoła, autor stwierdza, że zadanie jego nie może polegać na zbieraniu pieniędzy i wydawaniu „niemoralnych“ katechizmów. Jak mamy to rozumieć? Chyba to *lapsus calami*?...

nie podniósł. Mimo tego, jako przyczyna owego zjawiska, narzuca się fakt, że Prus posiada dużą i o szerokiej skali siłę umysłową, na której katolikom ściśle prawowiernym zbywa tak często...

Ostatecznie, żadne z pomienionych wystąpień nie jest zadawalające: także i Prusa, choćby tylko dlatego, że na jedną tylko „Kronikę” skrojone. Zadanie pracy niniejszej jest bez porównania większe. Chcę, pragnę, będę usiłował — wstrząsnąć sumieniem społeczeństwa, czoła jego i mózgu! Sumienie to uśpione, zabagnione w fałszywym wolnomyślicielstwie, pogrążone w głębokiej nieświadomości religijnej. A wszak zowiemy się społeczeństwem chrześcijańskim i katolickim! I oto nam, tak zowiącemu się społeczeństwu, wymierzono, jako takiemu, krwawy policzek! I myśmy na policzek ten zasłużyli! I myśmy policzka tego nie odczuli i do serca nie wzięli! Ten policzek nas nie obudził, sumieniem naszym nie wstrząsnął! O hańbo! — myśmy mu wielokrotnie przyklasnęli, jak gdyby on samych tylko „klechów”, fabrykantów (!) Katechizmu dotyczył... Żaliśmy raczej nie spółwinowajcami p. Niemojewskiego?

Gdzież tedy sumienie chrześcijańskie?! Gdyby ono w nas żyło, gdyby było świadome siebie, wybuchłoby było żywiołowym protestem, przeciwko niesłychanemu paszkwilowi na Katechizm: ten katechizm, który uważany jako zbiór i wyciąg prawd chrześcijańskich, bez względu na metodę i wykład, jako stronę jego ludzką, — jest źrenicą oka Kościoła, podwaliną jego życia duchowego, strażnicą moralności społecznej, elementarzem wiary ludu, puklerzem naszego spokoju i bezpieczeństwa, pierwszym pługiem kultury ducha!...

O ciemnoto oświecona, o zaślepienie bezgraniczne, rade z własnej krzywdy, z własnej śmiertelnej obrazy! Więc Katechizm w duszach zabity?! Więc wraz z Katechizmem przypadło nasze chrześcijaństwo, razem z chrześcijańskim honorem?! Przypadło, niegodne obrony, to,

co stworzyło naszą kulturę duchową, co nam przewodziło i towarzyszyło przez tysiąc lat dziejów naszych, co nam niosło tryumfy, co nam dało najczystsze i najwspólniejsze karty w naszych dziejach, oraz miano zaszczytne przedmurza Chrześcijaństwa?!

O, gdyby to był znieważony nasz Katechizm narodowy! Ale rzymski? Co nam do niego?! Gdybyż choć wyrzekł się „przesądów”, wykreślił je i dał się przykroić do celów narodowych i za narzędzie im służyć... Wtedy... moglibyśmy go... tolerować i... łaskawie bronić go w potrzebie...

Jesteśmy, jako Naród, w położeniu żydów z czasów Chrystusa i jesteśmy na drodze do tego samego okropnego błędu dziejowego, który oni popełnili. Narodowcy żydowscy, którymi byli faryzeusze, zapatrzeni w niedolę swego kraju, przykroili do celów patryjotycznych ideę mesjańską i wykoszlawili ją. W ich oczach, Mesjasz, który miał rozkuć ciasną obręcz wyłączności żydowskiej, rozwalić mur chiński, odgradzający lud wybrany, z potrzeby i do czasu, od barbarzyńców religijnych, jakimi byli i grecy i rzymianie, co pyszni swoją kulturą materialną i oświatą humanistyczną, zwali wszystkie inne wokół ludy barbarzyńskimi, żydów nie wyłączając, — ten i taki Mesjasz, zapowiadany i rysowany z razu w linjach szkicowych, potem coraz to pełniej przez proroków, — widziany przez pryzmat nacjonalistyczny, ukazał się jako król żydowski, król ziemski, i zbawca uciśnionej ojczyzny! Chrystus nie spełnił tych oczekiwań i marzeń, z posłannictwem Jego niezgodnych, nie dał się użyć za narzędzie do celów ziemskich; ale płakał nad zaślepieniem Jeruzalem, upatrującem zbawienie swoje tam, gdzie je zguba ostateczna czekała. Gdy nadto chłostał obłudę ślepych wodzów ślepego narodu, ci narodowcy żydowscy oskarżyli Go o zdradę stanu wobec Pilata, przedstawiciela władz rzymskich, obcych, i wyjednali nań u niego wyrok śmierci krzyżowej...

— „Króla waszego ukrzyżują?!” — pytał zdumiony, zgorszony i pełen niepokoju satrapa rzymski, który w osobie Chrystusa coś nadprzyrodzonego przeczuwał.

— „Nie mamy króla, jedno cesarza!” — wrzasnęli kapłani, zwyrodniali w swym nacjonalizmie. A za nimi podszczerzy tłum zawył:

— „Ukrzyżuj Go, ukrzyżuj!”

— „Jeśli tego wypuścisz, nie jesteś przyjaciel cesarski. Każdy bowiem, co się czyni królem, sprzeciwia się cesarzowi!” (Jan, XIX).—Straszyli Piłata denuncjacją narodowcy żydowscy, zdrajcy narodu w imię jego zbawienia!

Oplakane-ż „zbawienie” zgotowali narodowi! Lud wybrany, za sprawą ich, stał się ludem odrzuconym...

Czy nie na tesame drogi weszła nasza Narodówka w stosunku do Chrystusa, żyjącego mistycznie w Kościele?! Ta Narodówka, która wstępnym bojem zdobyła sobie na razie naród cały, z kapłanami jego na czele? Ta Narodówka, która teraz wydaje tajemne rozkazy walki z akcją społeczną i oświatową katolicką; która mając w pierwotnym ruchu duchowieństwa niezbity dowód jego patryjotyzmu, obecnie szczuje lud przeciw niemu, jako rzekomemu zdrajcy sztandaru narodowego?! Ta Narodówka, która bojkotuje w tej chwili patryjotyczne „Jasełka” Rydla, wystawiane staraniem Demokracji Chrześcijańskiej?!¹⁾ Ta Narodówka, która, gdy duchowieństwo zaczęło się od niej odsuwać,—wbrew swoim poprzednim tendencjom do spożytkowania pracy obywatelskiej księży, głosić ze swej strony zaczęła zasadę: „Książd, dobry przy ołtarzu; ale pozatem — jaknajdalej od niego”?!
I nie ma ona nic na swoje usprawiedliwienie, prócz

¹⁾ W Płocku. A pewno i gdzieindziej. Ze strony wiarogodnej a zainteresowanej upewniano mię, że nie podobnego nie nakazywano oficjalnie. Widocznie tedy duch partyjny, „spirans ubi vult,” działa na własną rękę.

swego partyjnego zaślepienia: zaślepienia takiego, o jakim przysłowiowo się mówi: najgorzej ślepy ten, kto widzieć nie chce, choć mu otwierają oczy. Mieli słusność ci, którzy dyzaprobowali zwołany i zorganizowany przez Narodówkę słynny, historyczny wiec duchowieństwa w Warszawie. Dowodzono ze strony, wiecowi temu przeciwniej, że ten manifestacyjny akt patryjotyzmu zbyt czyny był w społeczeństwie, znającym i uznającym zasługi patryjotyczne duchowieństwa polskiego. I w tem się bodaj myłono. Ten wiec, jakkolwiek w założeniu swem błędny, urósł do znaczenia skały, o którą rozbijają się bałwany narodowcowych oskarżeń duchowieństwa o brak poczucia narodowego. Rozbijać się one będą i o naszą taktykę wobec wypowiedzianej nam walki.

Nasze poczucie, katolickie zarazem i narodowe, nie pozwoli nam odpłacać Narodówce według metod odwetowych. Na podszczuwania ludu przeciw nam, księżom, i nam tylko wyłącznie, nie odpowiemy, zachowaj Boże! podszczuwaniem tegoż ludu przeciwko panom. Bo my nie uważamy siebie za myśliwych, ludu—za psa, panów—za zwierzynę. Nie nadużyjemy też w walce z Narodówką tak potężnego środka, jakim jest kazalnica. Z konieczności jednak, w obronie swego stanowiska, w imię miłości Kościoła i Narodu, będziemy demaskowali obłudną, partyjną taktykę przeciwników. I niechaj Narodówka będzie pewna, że zakusy jej antykatolickie spotkają się z naszym niezłomnem, granitowem: *Non possumus!*

Żali więc Narodówka gotowaby zdecydować się na jawne wypowiedzenie Kościołowi walki *na śmierć i życie?*

Nie niemożliwa klęska jego byłaby jednak klęską Narodu! Byłaby stratą najwyższej wartości idealnej Narodu, której treścią elementarną—Katechizm, a wobec której — nie waham się tego powiedzieć — taka klęska, jak wywłaszczenie, uknute przez Hakatę, okazuje się nieledwie fraszka! Bo — złem tylko doczesnem, w którem polacy, jak się ktoś dobrze wyraził: „*ont le beau rôle*” —

„mają piękną rolę“, i które, wierzymy mocno, Opatrzność obróci na dobro prześladowanych, a na szkodę prześladowców.

*Niczem Sybir, niczem knuty
I cielesnych tortur król!
Lecz narodu duch otruty,
To dopiero bólów ból!*

Kłęska Kościoła byłaby najstraszniejszą kłęską nie tylko Narodówki, ale i Narodu. Przyszedłby jakiś Tytus, któryby nas pogodził wspólnymi kajdanami...

— Hajże na Soplicę w sutannie?

— Hajże na Soplicę, czy w sutannie, czy w konтусzu! — odpowie rewolucyjny socjalizm, gdy tylko wróci do sił, obecnie rozbitych.

Nie chcemy wszakże i kłęski Narodówki, skądinąd Narodowi zasłużonej. Jej kłęska, sama przez się, to pół tryumfu Kościoła, ale drugie pół — tryumfu Międzynarodówki. Chcemy raczej otworzyć jej oczy na jej grzech pierworodny, na jej chorobę śmiertelną, którą jest pogański nacjonalizm i wynikające zeń usposobienie antykatolickie.

Nie! Nie my „zdrajcami“ Ojczyzny, ale wy — na drodze do zdrady Kościoła, a przez to — i do zguby Narodu!

Niestety, pokus do zerwania stanowczego z Kościołem, takim, jakim go chciał mieć Chrystus: katolickim t. j. powszechnym, Narodówce nie braknie. Źródło ich, nietylko w zaciętrzewieniu partyjnym nacjonalistycznym, nietylko w umizgach do Wolnej Myśli, opartej na... otchłani przeczenia, ale przede wszystkim i głównie, jako w źródle źródeł: w grubej, głębokiej nieświadomości religijnej, w absolutnym braku zrozumienia istoty, życia wewnętrznego, celów i zadań Kościoła. Tych celów i zadań, o których powiedział Montesquieu: „Rzecz osobliwa, że Chrystjanizm, który ma przede wszystkim cele reli-

gijne na oku, najskuteczniej popiera jednocześnie cele ziemskie“.

Dla tego, kto Chrystjanizm rozumie do głębi, jest to rzecz całkowicie naturalna: „Szukajcie *naprzód* Królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a to wszystko będzie wam przydano“ — rzekł Chrystus (Mat. VI, 33). „To wszystko“ wywinie się samo, jak się wywija skutek ze swojej przyczyny. Królestwo ziemskie, nieoparte o Królestwo Boże, nie ostoi się!

Wieluż wśród nas to rozumie? Iluż natomiast uważa „to wszystko“ za grunt, za rzecz najważniejszą i najpierwszą, a Królestwo Boże — za romantyzm?

Odpowiadają na to — tłumne pielgrzymki szerokich kół sympatyków Endecji, na odczyty p. Izy Moszczeńskiej, wymierzone przeciwko Katechizmowi! Odpowiadają bezkrytyczne wyrazy uznania dla tych odczytów, nawet ze strony matek polskich, uczących dzieci swoje pacierza! Odpowiada fakt, że w społeczeństwie katolickim, w obrobie Katechizmu katolickiego, napadniętego przez służebnicę Myśli Niepodległej, wystąpił nie kto inny, jeno student teologii protestanckiej! ¹⁾

¹⁾ Zdarzyło się to w Plocku, w „Płoczezaninie“. Autor artykułu, p. n. „Kilka uwag o odczycie p. Moszczeńskiej“ (№ 44), oczywiście, polemizuje w duchu protestanckim nowoczesnym, t. j. z podkładem neokantyzmu. Niemniej to fakt znamienity, że wystąpił on z powodu napaści na Katechizm katolicki, gdy katolicy milczeli. Autor, p. Edward Hofman, wyrzuca prelegentce, że napada specjalnie na religję katolicką, gdy w rzeczywistości wywody jej uderzają w religję w ogóle, bez względu na wyznanie. Pani M. tłumaczyła się potem, że w społeczeństwie katolickim można napadać tylko na religję katolicką...

Żaden z księży wystąpić w „Płoczezaninie“ nie mógł, bo na-przód — żaden na odczycie nie był, powtóre — żadnemu z nich organ plocki głosu nie dałby. Księża, mając ambone, wystąpili z ambon. Za to jednak spotkali się z zarzutem... fanatyzmu! Napadać na Katechizm — to dowód tolerancji, bronić go — to fanatyzm. Oto teoria myśli niepodległej!

Nadarza mi się tu sposobność okazania próbki taktyki „pa-

O, ciemnoto, lecąca bezmyślnie na lep rzekomego krytycyzmu i wyobrażająca sobie, jakoby sama była arcykrytyczna i arcypostępowa!

Bo krytycyzm rzetelny, miana swego godny, oprzeć się winien o znajomość krytykowanego przedmiotu; jakiegokolwiek zaś znajomości nauki katolickiej, jej filozofii głębokiej, ukrytej w niepoczesnych na pozór formułkach katechizmowych, przystosowanych do umysłu dziecięcego,—próżno by kto szukał: zarówno w prelegentce, jako

nów z przeciwnika, z doświadczeń osobistych. W roku przeszłym zgłosiłem się był do redakcji „Płoczezanina“, raczej gwoli zachowaniu form etyki dziennikarskiej, z propozycją pomieszczenia artykułu, prostującego fałszywe pojęcia religijne, ujawnione na łamach tego pisma. Spodzielając się odmowy, przyszedłem był tam z pustymi rękoma: artykuł był dopiero w załączku projektu. Doznawszy jej, zabrałem się do napisania projektowanego artykułu, z zamiarem postania go do jednej z redakcji warszawskich. Urósł on atoli niebawem do rozmiarów książki, o 140 stronach bitego druku. Rzecz była palącą aktualna. O wtłoczeniu jej rychłem w ramy którejkolwiek z gazet — nie mogło być mowy. Wydałem tedy rzecz w książce. Perypetje te opisałem szczegółowo, jako rzecz znamionną, we wstępie do broszury. Tymczasem oto, co napisał w „Nowej Gazecie“ p. Agricola (Jan Turski): „Ks. Ch., nie mogąc się dotłoczyć do żadnego z organów płockich ze swoją polemiką, i nie chcąc się sam degradować na własnego organistę, jak to zrobił niedawno p. Zdziarski, wydał osobną broszurę i t. d.“ Doprawdy, możnaby pomyśleć, że Agricola jest naiwnym młodzieniaszkiem, nieznającym stosunków partyjnych, które nie pozwalają na dopuszczanie do głosu przeciwników, w dodatku — z własnej trybuny. Pan Turski nie zdaje sobie sprawy i z faktu nadzwyczajnego zróżniczkowania się u nas w okresie rewolucyjnym — poglądów i opinii. W następstwie tego faktu rozmnożyła się i prasa partyjna, nie do tego jednak stopnia, żeby wszystkie światopoglądy znalazły w poszczególnych organach swoich rzeczników. Znaleźli się ludzie, którym żaden z istniejących organów nie dogadzał. Ci, których finansowo stać na to, a nawet pomimo, że ich na to nie stać, stawali się „własnymi organistami“. Takim w Płocku jest p. Zdziarski; takim był w Warszawie p. Sarszusz Zaleski, do niedawna redaktor „Dziennika Powszechnego“, takim jest dziś sympatyk pedeków (do których należy i p. Turski),

i jej słuchaczach. A ta prelegentka, p. Iza Moszczeńska, — to bratni duch p. Andrzeja Niemojewskiego. Nie ma ona tylko jego brutalnej po męsku szczerości. Nie wieściami rękoma owija ona swoje pociski antykatechizmowe w bawełnę słów i dowodzeń, w formie względnie umiarkowanych i przyzwoitych. I temu właśnie zawdzięcza ona swoje sukcesy; gdy „Objaśnienie“ p. Niemojewskiego zbudziło jednak tu i owdzie krytycyzm chrześci-

p. Leo Belmont, redaktor „Wolnego Słowa“. Potrzeba organu własnego—to dowód wybitnej indywidualności, wyłamującej się z pod rygorów partyjnych:

*„ więc chluba ci będzie,
Żeś był sam przez się stronnictwem dla siebie“.*

(Dante).

Pan Turski tymczasem kpi sobie z p. Zd., któremu nie dorósł do łokcia, pod względem poświęcenia samego siebie na ołtarzu dobra publicznego. Panu T. natomiast imponują żonglerskie produkcje umysłowe, osławionego w Płocku p. Millera. Tak to rozwolniona myśl rozwalnia obyczaje publicystyczne! Agricola żartuje sobie także z powodu, że będąc w mowie broszurę wydał własnym nakładem. W okoliczności tej upatruje on dowód bezwartościowości mej pracy. Sz. Agricola okazał się i tu arcynaiwnym prowincjonalistą, stawiającym ogół wydawców na piedestale sędziowskim wobec plodów literackich, oraz wyobrażającym sobie, jakoby poczytność pracy była miarą jej wartości. Wyspiański wydał wszystkie bodaj swoje utwory sumptem własnym bo... za jego pierwszy dramat dawano mu... 20 reńskich. Artur Górski nie znalazł nakładcy na swój „Monsalwat“, przyjęty następnie przez krytykę z wielkim aplauzem. Powiedziano mu pono w pewnej pierwszorzędnej firmie księgarskiej w Warszawie, że takie rzeczy teraz nie idą... Tym razem przezorna firma znowu się zawiodła! „Rzecz“ poszła znakomicie, pomimo, iż nie wszystkim krytykom przypadła do smaku: p. W. K. nazwał „Monsalwat“ — „ćwiczeniami poetyckimi“. Słowem, kto zna choć kruszynę społeczne stosunki wydawnicze u nas, ten mógłby z pewną słuszością postawić zasadę: wartość pracy, która znalazła nakładcę, jest podejrzana; i naodwrot: nakład własny stanowi reklamę! — Co do omawianej tu pracy mojej, tom nakładcy na nią nawet nie szukał...

jański, choć bardzo niedaleko idący, i wywołało pewne obrzydzenie, raczej atoli do formy, aniżeli do rzeczy.

Fakt, że względniemu, czysto formalnemu umiarkowaniu p. Moszczeńskiej, dała się uwieść nawet inteligencja, z imienia i z praktyki katolicka, mówi dużo, bardzo dużo. Niema w niej *katolickiego mózgu!* Nie ma ona nawet katolickiego „nosa“ (wyrażenie błogosławionego Klemensa Hoffbauera, warszawianina), którym mogłaby wyczuć wroga instynktownie...

...Otóż ze wszystkich, tu wyluszczonych względów i powodów, uważam za pożyteczne i potrzebne, wręcz — za konieczne, dać p. Niemojewskiemu na jego „Objaśnienie“ odpowiedź *możliwie wyczerpującą*, oraz zwrócić ją raczej pod adresem inteligencji, aniżeli ludu.

Takiej odpowiedzi wymaga zresztą samo prawo psychologiczne, sformułowane w dosadnym przysłowiu scholastyków: *plus negare potest asinus, quam probare philosophus*; tak dosadnem, iż nie śmiem go tu przelożyć dla profanów na język polski; a tak prawdziwem i w zastosowaniu tutaj słusznem, że nie przytoczyć go niepodobna. Tworzyć i ciskać zarzuty potrafi każdy, kto zaczyna myśleć; potrafi to myśl, ledwo co narodzona i wyzwalająca się z powijaków niemowlęstwa. Owszem, im myśl płytsza, tem więcej zarzutów napłodzi. Myśl wszakże, która podejmuje się dać na nie odpowiedź, musi nietylko rzecz zgłębić, ale i tropić myśl tamtą, niemowlęcą, po jej sofistycznych manowcach. To zaś wymaga większego nakładu pracy, więcej czasu i atlasu. Smutna właśnie rzecz, iż tego czasu i atlasu wcale nie szkoda na obronę najpierwotniejszych pojęć chrześcijańskich, w społeczeństwie chrześcijańskim! ¹⁾

¹⁾ Ze strony, żywo interesującej się tą pracą, radzono mi, żebym raczej sporządził „pastylki skomprimowane“. Z powodów, wyluszczonych powyżej, rzecz zbyt trudna. Rzecz drobna nie spełniłaby swego zadania *na dalszą metę*. Drobiazg łatwo się czyta,

Myśl religijna społeczeństwa naszego przedstawia widok, któryby był nad wyraz humorystyczny, gdyby nie budził wrażenia poważnego niebezpieczeństwa, tak dla kultury umysłowej, jako i dla religji. Proszę bo sobie wystawić niemowlę, wspinające się na urwistą i niebosięzną skałę, z zamiarem zarzucenia na jej szczyt sznura, żeby ją tym sposobem zwalić...

Tak, nam, świadomym nieziemskiego ogromu i potęgi naszej Wiary, przedstawiają się usiłowania krytyczne względem Katechizmu.

Juścić, zamienić go w gruzy i obrócić w perzynę *we własnej lub cudzej duszy*, niezmiernie łatwo, gdy pojęcie o nim jest... niemowlęce. Cóż to trudnego dla olbrzyma zgnieść karzelka? Tym olbrzymem — pojęcie o potędze swego rozumu; tym karzelkiem — pojęcie o Katechizmie. Obydwa zaś pojęcia — złudne, fałszywe. Ażeby odpowiedziały stosunkowi rzeczywistości, należałoby je odwrócić na wspak.

Tej właśnie czynności podejmuję się tu dokonać, odpowiadając na zamach na Katechizm — zamachem na pychę rozumu i nieuctwo religijne.

Czoło moje chmurzy jednak obawa i troska: nie wobec trudności zadania, jeno wobec przerażającej obojętności inteligencji względem piśmiennictwa religijnego, naznaczonego stemplem katolickim. Zatem obawa, czy praca moja nie będzie z tego powodu: — wywalaniem drzwi otwartych — dla garści katolików, interesujących

ale i łatwo ginie w powodzi druku. Głos krótki, choćby najdonioślejszy, zbyt łatwo zagłuszy wrzawa jarmarczna głosów tysięcy. „*Brevi esse volo, obscurus fio!*“ — „Chcę być krótkim, staję się ciemnym!“ Na gromadę drapieżnych wróbli — zarzutów, iść trzeba, wprawdzie, nie z armatą, ale z kartaczością. Trzebaby mistrzostwa Dawida, żeby z procy ustrzelić Goljata. W stosunku do ogromu wiedzy katolickiej — już ta moja praca stanowi „pastylki skomprimowane“.

się żywo sprawami katolickimi; a — uderzaniem w próżnię dla tych, dla których przeznaczam ją przedewszystkiem? Zwłaszcza, gdy ci drudzy mogą tu słusznie prze-czuwać świst bicia sarkazmu lub ironji?! I jeszcze zwa-szcza, że tu chodzi o lekceważony Katechizm?!

Oto położenie bez wyjścia! Położenie, które pisa-rzom katolickim stworzyła za pomocą różnych podstępów—Myśl Wolna. Potrafiła ona tak dalece uprzedzić lwia część inteligencji do literatury i prasy katolickiej, zdolala we własnym interesie partyjnym wszczepić w móz-gi tyle przeciw niej przesądów, że słowu katolickiemu zamknęła do nich drogę. Do tego przybywa trudność, na którą i prasa wolnomyślna gorzko, lubo mniej słusz-nie aniżeli my, narzeka. Jest to dość powszechne stro-nienie od lektury poważnej, wymagającej skupienia i wy-siłku myśli.

Gdy atoli obóz wolnomyślny wymija tę trudność z powodzeniem, stwarzając obfitą beletrystykę z tezami w swoim duchu, oraz mając do rozporządzenia bogatą stosunkowo prasę: to my, katolicy, jesteśmy i w bele-strystykę i w prasę ubodzy. I to właśnie dlatego, że nam brakuje poparcia i przez to—zachęty ze strony ogó-lu czytelników. „*Sint Maecenates, non deerunt Marones!*“ Żali literatura okresu Złotego nie była nawskroś kato-licka?

Mówisz: poetów dobrych niewielu tych czasów,

Bo też niewielu datnych dzisiaj Mecenasów,

Niechże będzie Mecenas, lub, jako on, tacy,

Wstanie z martwych i Maro, Nazo i Horacy!

(Wespazjan Kochowski).

Dziś mecenasostwo literatury, o ile nie zorgani-zowane w instytucjach naukowych, zasobnych w zapisy, należy do społeczeństwa. Spełnia je ono przez samo czytelnictwo, przynoszące mu, wzamian za drobny sto-sunkowo wydatek, — pożytek duchowy. Niestety, społeczeństwo nasze, zwane katolickiem, mecenasuje dziś ra-czej plodom Wolnej i Niepodległej Myśli!

Ta ostatnia posiada jeszcze jeden środek przewagi nad nami. Jest to piętno skandalu, które Myśl Wolna rada wyciska na płodach swojej wytwórczości literackiej; które, owszem, zjawia się samochcąc, jako rezultat ne-gacji wierzeń powszechnych.

Tego rodzaju skandale pachną nowością, choć by-wają najczęściej odgrzaną archeologią myślową. A na nowość, nowość skandaliczną, ludzie lecą, spragnieni sen-sacji. Nawet gdy jest przyobleczona w szatę poważną, naukową. Zwłaszcza, gdy chodzi o religję, bodaj—o lek-ceważony Katechizm! I tym sposobem ludzie trują się duchowo.

I mimo tego, antydoty odrzucają!

Zdarza-ż się takie szaleństwo w dziedzinie życia zmysłowego? A owo szaleństwo ducha panuje nie od dziś epidemicznie!

Zdoła-ż moja praca przezwyciężyć wszystkie owe trudności i utorować sobie drogę do moich... adresatów?

Nadzieja w Bogu!

A ponieważ Bóg, w zwykłym porządku rzeczy, dzia-ła przez ludzi, tedy odwołuję się o pomoc do ludzi do-brej woli, przedewszystkiem—do prasy katolickiej.

Zadanie, które podjąłem,—przyznają to i przeciwni-cy — jest doniosłości zasadniczej, elementarnej. Chodzi wszak o ratowanie Katechizmu, jego powagi w oczach społeczeństwa, zagrożonej przez wyteżoną agitację nie-przyjaciół Krzyża! Chodzi o ratowanie abecadła Wiary, elementarza oświaty religijnej, podstawy religijności spo-leczeństwa! Mielizbyśmy agitacji wrogiej nie przeciw-stawić agitacji obronnej? Obowiązek ten wątpliwości najmniejszej nie podlega. To obowiązek *święty*, wobec którego niesnaski, spowodowane różniczkami *in dubiis*, powinny ustępować z drogi.

Naturalnie, poparcia solidarnego ze strony prasy ka-

tolickiej dopraszam się warunkowo: jeżeli krytyka fachowa osądzi, że się z podjętego zadania wywiązałem conajmniej dobrze, że sprawy ważnej nie pokpiłem. Nie wątpię, że są u nas pisarze katoliccy, którzyby lepiej potrafili roboty tej dokonać. Oni jednak, o ile wiedzieć mogę, nie podjęli się jej. „*Feci, quod potui, faciant meliora potentes!*“ Uczyniłem, com mogłem..., powodowany szczerą chęcią oddania przysługi sprawie katolickiej wśród społeczeństwa polskiego: sprawie, niemniej dla mnie rodzimej, jak rodzime jest mi samo społeczeństwo, z którego wyszedłem.

...Zwracam więc światłorzut prawdy katolickiej na „Objaśnienie“ p. N., ażeby w możliwie pełnych jej blaskach okazała się w całej nagości ohyda jego moralna i prostactwo umysłowe; z drugiej strony, ażeby w nich rozbłysły niepozorne katechizmowe formułki. Czynię to — raz jeszcze powtarzam — dla tych, dla których to jest potrzebą nagłą, zarówno ze względu na nich samych, jako i ze względu na lud, któremu i oni, nie sami tylko księża, umysłowo przodują.

Nie możemy pozwolić na to, ażeby ten lud, i bez tego ubogi duchowo, miał być ogłupiany i demoralizowany przez brednie wolnomyślne. Czas, żeby inteligencja świecka podała rękę inteligencji duchownej, zamiast żeby jak dotąd, miała jej bruździć, wchodząc w lekkomyślne sojusze z ludźmi myśli... zwarjowanej. „Związek Katolicki“ (sam byłem doń do niedawna uprzedzony), to zaiste, teren Opatrznościowy, na którym, przy wspólnej robotcie oświatowej i społecznej, połączenie takie nastąpić może i powinno. Narodową (pono jeszcze więcej: narodowcową) klęskę zamknięcia Macierzy Szkolnej — Związek Katolicki może pewetować. Gdyby też na jego gruncie połączenie owo w mierze dostatecznej nie nastąpiło, doczekalibyśmy rychło stosunków francuskich, gdzie klasy oświecone wracają całą duszą do Kościoła, ale już ludu przy sobie nie znajdują; wracają, aby cierpieć prze-

śladowanie ze strony rodzimego rządu, jako karę za dawne winy. Raczej tedy teraz wytrzymać i ścierpieć wykonany tu zamach na wygórowane mniemanie o swoim rozumie, aniżeli stokroć bolesniejszej pokuty doczekać. Katolicy jesteśmy, tedy nie, co katolickie, obce być nam nie powinno!

— Budź się, Inteligencjo! „Hannibal“ barbarzyńskiego poganizmu stoi u wrót „Rzymu“! ¹⁾

¹⁾ W ostatniej chwili wyczytałem w prospekcie *Dziennika Powsz.* zapowiedź odpowiedzi J. E. ks. biskupa Niedziałkowskiego na „Objaśnienie“ p. Niemojewskiego. Będzie to zapewne rzecz krótsza od niniejszej, dającej z powodu zamachu na Katechizm wykład pozytywny nauki katolickiej; gdy Dostojny Autor, jak przypuszczam, ograniczy się do polemicznego odparcia zarzutów. Pan Niemojewski będzie się z nowej odpowiedzi cieszył, bo czegoż on chce, jeśli nie reklamy? My także będziemy się cieszyli, bo chcemy tylko tryumfu Katechizmu...

WSTĘP.

W swoich „Uwagach Wstępnych“ p. N. zapowiada, że w krytyce Katechizmu będzie stał na jego gruncie. Oświadcza on słusznie, że: „Wszelka nauka powinna co najmniej odpowiadać trzem następującym warunkom:

- 1) aby była w zgodzie sama ze sobą,
- 2) aby była w zgodzie ze źródłami, na których się opiera,
- 3) aby była w zgodzie z oczywistością, przez siebie uznawaną“ (str. 3).

Znaczy to, że autor w krytyce Katechizmu wyrzeka się wszelkich kryterjów z zewnątrz, za wyjątkiem, naturalnie, rozumu, jako nieodzownego wszelkiej krytyki narzędzia. Sądzi on jednak, że tu wystarczy mu rozum chłopski: ten sam, któremu Myśl Wolna tak bardzo lubi uragać przeciw katolikom. Twierdzenia katechizmowe są przecież takie prostacze, takie naiwne... Przytem — do rozumu chłopskiego rozum chłopski trafi najśladniej... My że swej strony nie dziwimy się, że kto innym, wyższym rozumem nie rozporządza, z konieczności bierze za przewodnika rozum tamten. „Dalej, niż siła wojów i ruma-ków, sięga rozum“ — cytuje p. N., jako motto, słowa Kse-nofanesa. Zapewne, ale chyba nie rozum chłopski, zwłaszcza, gdy posiadacz takiego rozumu z przyrodzenia myśli *wolno*,

bardzo *wolno*. Co wart rozum chłopski w sferze zagadnień najwyższych, rozwiązywanych przez Katechizm, niebawem się przekonamy.

Przekonamy się również, iż p. N. nie dotrzymuje słowa, że z gruntu katechizmowego schodzić nie będzie. Przeciwnie, do walki z Katechizmem stanął on uzbrojony w rynsztunek z arsenału nauki, którym operuje przy pomocy chłopskiego, choć zgoła nie po chłopsku tendencyjnego rozumu. Trudno, co prawda, wymagać od p. N., aby choć na kilka godzin zrzucił z siebie skórę doktrynera, która przyrosła do niego, jak przyrasta przysłowiowa „druga natura“. Fakt faktem atoli pozostaje, że p. N. słowa nie dotrzymuje.

Nie dotrzymuje on go także co do innej zapowiedzi.

Zdając sobie sprawę z różnicy, jaka zachodzi pomiędzy Katechizmem, a katechizmami, zapowiada on, że będzie brał pod rozwagę tylko takie twierdzenia, które są wspólne wszystkim podręcznikom katechizmowym i nawet ednako są w nich wyrażone. To zapowiedziawszy, p. N. obiera sobie, jako realny przedmiot swoich „objaśnień“, dwa podręczniki: „Mały Katechizm“ ks. Putiatyckiego i „Katechizm Kościoła rz.-kat., kursu niższego“ — ks. Aleksandra Sokolika.

Żeby jednak umieć rozróżniać pomiędzy pierwiastkami: boskim a ludzkim w katechizmach, trzeba być teologiem. Pan N. teologiem nie jest i dlatego nie dziwimy się, że i tej drugiej zapowiedzi nie spełnił, co w swoim czasie niejednokrotnie stwierdzimy.

Na 485 pytań „Katechizmu“ ks. Putiatyckiego, oraz 863 — ks. Sokolika, p. N. poddaje krytyce swego rozumu — tylko 40. Są one, juści, powyrywane stąd i zowąd, wskutek czego panuje w nich zamęt, powiększony nadto przez częste powtarzania się ze strony naszego objaśniacza. Byłoby zapewne łatwiej postępować śladem autora. Gwoli jednak ułatwienia czytelnikowi orjentacji, gwoli też większej wartości tej pracy, przyjęliśmy tu pewną metodę, ma-

jącą na celu uporządkowanie chaotycznego materiału. Będziemy sprzęgali poszczególne, porozrzucane, a pokrewne ogniwa ideowe — w pewne kategorie; będziemy je sprowadzali do wspólnych im mianowników.

Jeszcze o jednym uprzedzamy czytelnika. Niepodległy indywidualizm p. N. nie pozwala mu pisać przez literę wielką słów, które myśmy tak pisać przywykli. Wyjątek jedyny czyni on dla Pana Boga, jakkolwiek w Niego nie wierzy: może, aby nie zrazić chłopa, może przez pamięć na słynny epigramat Odyńca, zwrócony swego czasu przeciwko Aleksandrowi Świętochowskiemu¹⁾. Otóż tę właściwość pisowni p. N. uważam za stosowne w cytatach z „Objaśnienia“ zachować, aby czytelnik miał pełne, niesfałszowane wrażenie demonicznej furji autora, co przyczyni się do tem silniejszego wrażenia kontrastu ze słowami odpowiedzi katolickiej.

W końcu słówko z powodu nagłówka tej pracy. Ciemny w religji minister oświaty i wyznań, za czasów Królestwa Kongresowego, Stanisław hr. Potocki, napisał był przeciw religji oraz duchowieństwu katolickiemu fantazję p. n. „Podróż do Ciemnogrodu“. Ta skandaliczna ramota (przerobiona z francuskiego i wydana pod pseudonimem *Swistaka*²⁾), w której Ciemnogrodem katolickim nazwana została Jasna Góra w Częstochowie, miała swego czasu powodzenie; a i dziś jeszcze wspomina się ją w pewnych kołach z uczuciem zadowolenia i tryumfu, lubo nie dostąpiła zaszczytu wejścia do historii literatury. Te same atoli koła — miały i mają swój własny Ciemnogród, pełny

¹⁾ „Doktór filozofji tak mądry, jak slysze,
Że Imię Pana Boga przez *b* małe pisze:
Przyznajcie, czytelnicy, że ma prawo wszelkie,
By imię mu należne pisać przez *D* wielkie“.

²⁾ Słynny owego czasu polemista, ks. Karol Surowiecki, odpowiedział na tę ramotę repliką, p. n. „Świstek Warszawski wyswistany, czyli i t. d.“

obskurantyzmu religijnego: Ciemnogród, w którym, jakoby w twierdzy, obskuranci zamknęli się szczelnie, aby nie dopuścić ani promyczka światła katolickiego, i skąd bombardują katolicyzm. Bomba p. N., wymierzona w Katechizm, stamtąd właśnie pochodzi. Tam też, do Ciemnogradu liberałów wszelkiego autoramentu, odbędziemy „podróż“, żeby wykonać nań zamach odwetowy. Zresztą, o ile pod uwagę weźmiemy stronę pozytywną tej pracy, będzie to jednocześnie podróż do Ziemi Obiecanej — Kościoła...

Pod hasłem tedy: „Precz z twierdzą obskurantyzmu i fanatyzmu bezbożnego!“ — ruszamy w drogę.]

ROZDZIAŁ I.

Początek życia. Teorja transformizmu.

Początek materji.

Przedewszystkiem — kilka słów wstępnych, opisujących dzieje oraz wygląd Ciemnogradu.

Jest to całe państwo, nawet mocarstwo. Legenda opowiada, że założycielem jego, już w zaraniu dziejów ludzkich, był mądry, nieśmiertelny Wielki Wąż, z głową człowieka¹⁾. Powiedział on pierwszym ludziom wiekopomne słowa: „Nie słuchajcie Boga, a sami bogami będziecie!“ Wprawdzie w pierwszej walce z Bogiem ludzie ponieśli porażkę i zrozumiałwszy, że Wąż ich zwiódł, odwrócili się od niego. Wąż jednak za wygraną nie dał. Tak bardzo pragnął uczynić ludzi bogami, taką pałał żądzą uszczęśliwienia ich, że pozwalał im na wszystko, czego „srogi“ Bóg zakazywał.

Z początku nieśmiało, z biegiem czasu coraz to śmielej wyzwalali się ludzie z pod władzy Boga i chwalili Węża za jego łaskawość, dobroć i mądrość. On ze swej strony nie szczędził im wzajemności: pieścił ich pochlebstwem, że są mądrzy i mocni, a z każdym dniem bliżsi

¹⁾ Jak na obrazie Masolino w kościele „del Carmine“, we Florencji, przedstawiającym kuszenie Adama i Ewy. Twarz węża jest kobieca, dużej piękności.

ubóstwienia. Niejeden z pośród ludzi, mądrzejszy i mocniejszy nad wszystkich, nawet naprawdę zostawał bogiem. Wielu innych widziało w tem potwierdzenie obietnic Węża i spoglądając na bogów, marzyli i przemysłiwali o tem, jakby sami conajrychlej miejsce ich zająć mogli.

Byłóż czego zazdrościć! Bogowie odbierali hołdy i czynili, co tylko chcieli. Nikt wszechwładnej woli ich nie krępował, na niczem im nie zbywało, mieszkali jak w raju, a nie znali, co to praca. Tłum patrzył i podziwiał. Wąż rzucił nań urok i sprawił, że w duszy tłumu nie mogło się zrodzić tak proste pytanie: Czemu im wolno wszystko, a nam nie? Czemu im nie brakuje niczego, a nam zbywa na wszystkim? Czemu siekają nas, gdy na nich pracujemy? Cyt! Bogowie!...

Tak stopniowo panowanie Wielkiego Węża rozeszło się po ziemi, aż wkońcu, przy Bogu ostał się jeden lud maleńki, który był jak wysepka, rzucona wśród oceanu posiadłości Wężowych. Ten lud marzył ze swej strony o panowaniu nad światem w imieniu swego Boga, którego zwał Jehową.

Tymczasem bogów było coraz to mniej. Z kilku i kilkunastu mniejszych powstawali bogowie wielcy, gdy tłumy szły w poniżenie coraz to głębsze.

Po wielu wiekach, marzenia i nadzieje owego ludu zaczęły się spełniać. Bóg zstąpił na ziemię, aby Wężowi wydrzeć panowanie, skupione w ręku jednego boga, który mieszkał w Rzymie.

I Bóg odniósł nad bogiem wielki tryumf! Stało się to w chwili, kiedy Wąż doszedł do szczytu potęgi i kiedy, zdawało się, panowanie swoje ugruntował na zawsze.

I teraz jednak Wąż nie dał za wygraną. Zaczął w tajniach duszy ludzkości nurtować i nurtował póty, aż się odrodziło jego królestwo. Wypróbowaną metodą swoją — schlebiał pysze, pieścił zmysły, złote góry obiecywał, aż wielu uwierzyło mu. Ponieważ zaś Bóg objawił się pod postacią Chrystusa, przeto wąż przybrał postać Antychrysta...

Oto dzieje Ciemnogradu, zwanego przez obywateli swoich — „Myślą Niepodległą“.

Za dni naszych Ciemnogród przedstawia się tak samo, jak niegdyś ów lud, co się był ostał przy Bogu. Wysepka wśród oceanu panowania Bożego...

Co szczególne, to, że na tej wysepce znalazł się przede wszystkim dawny lud Boży. Nie poznał Boga swego, o którym marzył, gdy go ten Bóg nawiedził. A marzenie o panowaniu nad światem w imię Jego — w duszy tego ludu pozostało. Tym sposobem, w uświadomionych przedstawicielach i wodzach swoich, lud ten stanął przeciw Bogu w imię Boga.

To w najwyższym stopniu tragiczne położenie stworzył mądry i nieśmiertelny Wielki Wąż.

Bóg dopuścił je, jak mistrz dopuszcza przeciwnikowi wygrywać chwilowo. Potrafi On złe obracać na dobre. Potrafi węzeł dziejowy, jakkolwiek po mistrzowsku zadziergnięty przez Węża, rozwiązać. Wtedy ta Bestja apokaliptyczna wróci do czeluści piekielnych, skąd jest rodem; wróci do swego Ciemnego Grodu, będącego pierwowzorem tego, który stworzyła na ziemi. Wróci — i więcej stamtąd nie wyjdzie...

Przyjrzyjmy się nieco bliżej Ciemnogradowi społeczeństwu, mianowicie jego stolicy, skupiającej w sobie arystokrację ciemnogradzką.

Gdy spojrzysz zdala na tę stolicę, uderzy cię przede wszystkim, że zwisają ponad nią ciężkie chmury mefitycznych dymów, tak, iż słońca nie widać. W pierwszej chwili gotówbyś pomyśleć: „Hm, wielkie, nadzwyczajnie przemysłowe miasto!“ I nie zupełnie byś się pomylił. Tak, to miasto przemysłowe; a przemysłem jego jest właśnie wytwarzanie dymu, jaknajczarniejszego i jaknajgęstsze. Czemu, na co? Żeby nie było widać słońca, którego szczególnie obywatele ciemnogradzcy nienawidzą i nieznoszą. A to znowu czemu? Bo chcą dowieść tym sposobem światu, że słońca nie ma, że wiara w nie jest przesadą i zabobonem astrologicznym. Cóż im na dowiedzeniu tego zależy? Bo ryją się w ziemi, jak krety, wskutek czego żrenice ich zdrobniały i osłabły tak, iż światło słoneczne razi ich i oslepia. Nadto, i dym oczy wygryza. Chcieliby więc, żeby wszędzie to samo czyniono, aby wszędzie mogli swobodnie chodzić i żyć po swojemu. Życie ich nie znosi światła również, jak i rodzaj zajęć.

Gdy wejdiesz w mury Ciemnogradu, oczy twe uderzy znów moc kominów: ale nie zwykłych fabrycznych, jedno estetycznie przez sztukę architektoniczną zamaskowanych. Podobne kominy stawiają na budynkach krematoryjnych. Dla zamaskowania ich, budują na węglach gma-

chu cztery kominy w rodzaju bastjonów, z których trzy są fikcyjne, a jeden tylko prawdziwy. Poznać go można po tem, że jest okopcony¹⁾. Ale w Ciemnogrodzie kominy fikcyjne byłyby karygodnym zbytkiem. Tam jedni przez drugich prześcigają się, kto ich więcej postawi, co jest tytułem do chwały i do odznaczeń. Dodajmy, że na powonienie ciemnogrodzian gryzący i mefityczny dym, który oni wytwarzają, działa, jak wykwintne, ulubione perfumy.

Osobliwiż to ludzie. Wszystko u nich na wspak!

Miedzy innemi jeszcze i to, że oni śmieją się z tego, co my traktujemy poważnie; drwią i szydzą z naszych świętości. O tem, o czem my piszemy w pismach najważniejszych, oni piszą w swoich „Bocianach“ i „Djablach“. Śmiać się, drwić, szydzić — to ich zawód. Gdy więc zobaczysz ich na ulicach Ciemnogrodu, zdaje ci się, jakoby wszyscy poszaleli. Tem więcej, że śmiech ich jest jakiś fałszywy, sardoniczny. I żal chwyta cię za serce na ten widok. Ale oni są z siebie zadowoleni. Dziwne to zjawisko tłumaczy się szczególną konstrukcją ich mózgów, którą oni zowią „niepodległą“, a my — ciemnogrodzką. I zdaje się, że słuszność po naszej stronie. Czyżże bo mózg nie uległby zmianom patologicznym wskutek ustawicznego działania nań okropnego dymu?

...Później poznamy inne jeszcze osobliwe właściwości obywateli Ciemnogrodu. Tymczasem przystąpmy do rozważania sądów jednego z najwybitniejszych ciemnogrodzian o naszym Katechizmie.

Zabierając się do obalenia dzieła, które „w niepojęty sposób przetrwało do XX-go wieku“, p. Niemojewski nie ma zgoła poczucia Samsona, walącego świątynię Dagona. Lubo każdy wiek z kolei walił w to dzieło właściwymi sobie taranami, a żaden obalić go nie zdołał, ma on raczej poczucie sportowca, który, ot tak sobie gwoli fantazji, uczynił wycieczkę w stronę Kościoła, żeby okazać na nim, nie tyle swą siłę, ile jego... próchno. Co dotknie palcem której kolumny, każda rozsypuje się. Co się rozśmieje, zmurzałe mury się walą. Nie dziwnego! Wszak te mury i owe kolumny trzymają się dotąd jedynie mocą wzglę-

dów konwencjonalnych. Dość pewnej dozy odwagi cywilnej, na którą u nas dotąd nikt zdobyć się nie śmiał, a Kościół runie na zawsze...

Zaraz z pierwszym twierdzeniem Katechizmu, p. N. załatwia się z przedziwną prostotą. Twierdzeniu, że stworzył nas Pan Bóg, przeczy... metryka, wystawiona przez księdza: „zatem katechizm przeczy urzędowym dokumentom kościelnym“ (str. 19). Niewątpliwie, stare przeczenie dogmatu stworzenia bodaj po raz pierwszy w tej formie pojawia się w druku... niehumorystycznym. Do tej pory uczeni, którzy dogmatu tego przeczyli, sięgali po dowody, nie do ksiąg stanu cywilnego, ale całkiem gdzieindziej, oraz nieco głębiej. Sięgali do księgi przyrody. Prawda, panu N. nie pozwalała na to jego własna zapowiedź, iż będzie się trzymał jedynie kryteriów wewnętrznych, więc teologicznych; że będzie bił Katechizm — Katechizmem. No, ale kiedyindziej on się nie krępował zbyt własnym zastrzeżeniem. Przytem, sięgając do ksiąg stanu cywilnego, już się z niem rozminął: bo co te księgi, prócz wzmianki o chrzcie, mają wspólnego z Katechizmem i wogóle — teologią? Czy o nich jest mowa w Katechizmie, lub czy stanowią one jego źródło?

Jednak p. N., jeśli mu chodziło o przeciwstawienie stwórczej mocy Boga — przyrodzonemu prawu rodzenia, mógł być tego dokonać, nie schodząc z gruntu Katechizmu, skoro tam jest mowa o rodzicach. Czemu tego nie uczynił? Bo nie byłoby inaczej konceptu, który dogmat chrześcijański, a zarazem i filozoficzny, ośmiesza, oraz chłopu niespodziewanie w głowie rozświeca. A może w głowie chłopskiej ta sama myśl zaświtała nieraz? Tedy znajdzie ona zaraz potwierdzenie ze strony autora i wzbierze dumą na myśl, że jest tak samo mądra, jak głowa pana, który kończył wysokie szkoły, gdzie naładował ją wielką nauką, i teraz pisze nawet książki... Tedy benevolencja chłopu, pogłaskanego tak mile, skaptowana już i wrota głowy chłopskiej otwarte naosiecz dla propagandy myśli niepodległej — za jednym zamachem. Bo ktoby tam trafił do tej głowy dowodzeniem naukowem?

Te atoli przemysłne wyrachowania p. N. — nie trudno nam pokrzyżować. Chłopu powiemy, że rodzice są jeno narzędziem w ręku Boga, który ustanowił przedziwne prawo przyrody, którego mocą powstają nowe, podobne do rodziców istoty.

¹⁾ Tak jest zbudowane krematorium w Moguncji. Inne mają kominy pojedyncze, ale zwykle ozdobne.

— Bo czy ty, bracie, *robisz* np. żyto lub pszenicę? Zasiejesz tylko i resztę zdajesz na Pana Boga. O, i nie każde ziarno wszędzie, choć je sam posiał i chciał, aby wszedło!...

— A dyć prawda!—powie zbalamucony chłop, skrobiąc się głową. — Że też te pany, co książki drukują, takie są niby uczone, a takie, z przeproszeniem, głupie, że takich prostych rzeczy nie zmiarkują! Ktoby się to był spodział?!

— Nie, bracie!—odpowiemy—te pany są mądre, jeno przewrotne. To fałszywe proroki, których Pan Jezus strzedz się kazał, mówiąc, że „przychodzą w odzieniu owczem, a wewnątrz są wilcy drapieżni“ (Mat. VIII, 15). Prorokował też o nich św. Paweł: „Albowiem będzie czas, gdy zdrowej nauki nie ścierpią: ale według swoich pożądliwości nagromadzą sobie uczycieliów, mając świerzbące uszy, a od prawdy słuchanie odwróca, a ku baśniom się obróca“ (2 do Tym. IV, 3—4). Ten czas właśnie przyszedł!...

O ileż sprytniej od p. N. wykpił się z tego zagadnienia mały Janek z „Narodzin działacza“ Józefa Weyssenhoffa. Wzięty na pytki przez ojca, pana Apolinarego Budzisa, który zaniepokoił się, czy synkowi, za sprawą nauczyciela domowego, nie wjechał do głowy „Darwin z małpą“,—Janek broni się:

— „Więc niby od kogóż to — pyta p. Apolinary — mamy pochodzić, ja i ty, na przykład?“

— „Ja pochodzę od tatki, tatko od swego ojca i tak dalej. Ale wszyscy my pochodzimy od protoplazmy.“

— „Masz tobie! — trzepnął się po udach p. Apolinary i zwrócił się z niemem pożalowaniem do żony. Po chwili znowu rzekł do syna:

— „A glina gdzie? Zapomniałeś, że Pan Bóg ulepił pierwszego człowieka z gliny?“

— „Glina może się dzisiaj nazywać protoplasmą — odparł roztropny Janek.“

— „A! to co innego... tak mi więc gadaj! Kataplazma, czy protoplazma—to wolno. Tylko mi nie zapominać, synku, o religji ojców twych i twojej. Jednego cię mam, nie uczynisz nam wstydu“ (60).

Tak, ten Janek okazał się o wiele sprytniejszy, niż p. Niemojewski...

Zobaczmy-ż, co mówi o tem nauka, ażeby w jej świetle ocenić w całej pełni koncept o księgach stanu cywilnego.

Nauka sięga tu do przyczyny pierwszej, która sprawiła przejście materji na ziemi od stanu nieorganicznego do stanu organicznego, czyli od śmierci do życia. Na tle tego zagadnienia rozegrały się w drugiej połowie wieku XIX-tego na polu nauki homeryczne istic zapasy. Dogmatowi stworzenia przeciwstawiono teorię samorodztwa. Uczeni opozycyjni tryumfowali. Tryumfy ich atoli okazały się przedwczesne. Za sprawą Pasteur'a zapasy owe skończyły się nieodwołalnym bankructwem hipotezy samorodztwa, oraz przyznaniem nawet ze strony uczonych materialistów (Tyndall, Virchow, Huxley, Du Bois Reymond i t. d.), że początek życia na ziemi należy do szeregu tajemnic, dla nauki niedostępnych. Dla niej pewnikiem jest tylko fakt owego początku. Ponieważ zaś pierwsze organizmy, jakiegokolwiek one były, nie miały rodziców, przez to samo, że były pierwszymi, przeto musiały być powołane do życia w sposób, wychodzący po za obręb znanych obecnie praw przyrody¹⁾.

Jesteśmy tutaj u punktu wyjścia dla osobnego pytania katechizmowego: o stworzeniu pierwszych ludzi. Pytanie to p. N. przytoczył pod liczbą porządkową 26, ale odpowiedź na nie pominął bez protestu, czepiając się z jego powodu—grzechu pierworodnego... Nie jest to bez kozery. Mówić o bankructwie teorii samorodztwa byłoby rzeczą niedogodną, przytem—dla chłopca niedostępną... Że zaś autor nie skorzystał z okazji bezpośredniej do mówienia o grzechu pierworodnym, co nawet uchroniłoby go od zarzutu tendencyjnego pominięcia postawionej kwestji,—to już tajemnica jego roztrzepania.

Wyłączając go tedy, stwierdzamy, że sama nauka upoważnia nas do uznania dogmatu stworzenia pierwszych ludzi. Wyraża go Łukasz ewangelista, zamykając genealogję wsteczną Chrystusa — słowy: „który był Henos, który był Seth, który był Adamów, który był Boży“ (Łuk. III, 39). Wyraża go i Dante w „Boskiej Komedji“, zowiąc Adama

¹⁾ Rzecz ciekawa, że idei samorodztwa, jak idei transformizmu,—wślad za Arystotelesem holdowali niektórzy Ojcowie Kościoła, a także wielu teologów średniowiecznych z Tomaszem z Akwinu na czele.

„człowiekiem niezrodzonym“. Tego Adama, z którego p. N. gdzieindziej sobie podkpiwa, nazywając go „Czerwien-
cem“ i „panem Glinką...“ Nieprawdaz, jaki kapitalny efekt wystrzela z tego kontrastu? Czy jednak na korzyść p. Niemojewskiego?!

Biskup Bougaud, autor wspaniałego dzieła p. n. „Chrystjanizm i czasy obecne“, w części jego II-iej, poświęconej Osobie Chrystusa, mówiąc o dotyczącym tekście Ewangelji św. Łukasza, cytuje Chateaubriand'a: „Nasze dzisiejsze nieuctwo jest tak wielkie, że może niekiedy literaci będą zdziwieni, dowiadując się, że św. Łukasz jest bardzo wielkim pisarzem, że jego Ewangelja tchnie duchem starożytności greckiej i hebrajskiej“. „Przytacza też — mówi dalej bp. Bougaud o autorze *Genjuszu Chryścianstwa* — kilka tego przykładów, szczególnie rodowód Chrystusa...“ „...Wysoko wzniosłem — mówi Chateaubriand — wy-daje się nam owo proste słowo: *który był Boży*, rzucone tak bez uwag i komentarzy, dla wyświeślenia stworzenia, początku, natury, przeznaczeń i tajemnicy człowieka“. „Trudno powiedzieć lepiej — dodaje Bougaud. — Dusza poety zrozumiała poetę...“ („Jezus Chrystus“, str. 66).

Wracając do sprawy stworzenia każdego z potomków Adama po szczególe, stwierdzimy językiem naukowym to, cośmy już byli powiedzieli językiem popularnym. W pierwszej parze ludzi stworzył Bóg źródło gatunku ludzkiego. Owa siła rozrodcza, która tkwi w ludziach, jest jeno dal-szym ciągiem działania owej Przyczyny pierwszej, która powołała do bytu pierwsze organizmy ludzkie bez pośred-nictwa rodziców, jako narzędzia. Tę Przyczynę pierwszą możemy nazwać Naturą, nie zapominając wszakże o tem, że ona nie jest Bogiem, ani też siebie samej nie stworzyła ¹⁾.

Przesunęliśmy się dopiero co cichaczem koło teorii transformizmu, do której poruszenia na tem miejscu dał nam sposobność sam autor. Pod liczbą 19-tą wyraża on wielkie zdumienie, z powodu dopatrzonego w Katechizmie uznania prawa rozwoju gatunków. Uczepił się, mianowicie, mimochodem wyrażenia katechizmowego o chwili, kie-

dy człowiek „przychodzi do rozumu“, — i woła: „A więc rozum w nas się wyrabia? Więc katechizm przyznaje *prawo rozwoju?*“ Mówiąc również mimochodem, zauważmy, p. N. nie widzi i nie uznaje tu bijącej w oczy „różnicy, jaka zachodzi pomiędzy ewolucją transformistyczną, czy heterogeniczną, kiedy coś wywija się z pierwiastków, róż-nych co do natury, — a rozwojem jednego pierwiastka, sa-mego z siebie i samego w sobie. Prawo rozwoju rozumu należy do tej drugiej kategorii, dlatego nonsensem jest z jego powodu mówić o teorii transformizmu. Płonna też jest obawa p. N., żeby Katechizmowi *z tej okazji* nie przy-szła ochota przyjęcia owej teorii: Katechizm jest na to zbyt logiczny; przytem, na dobrą sprawę niewiadomo, co-by on miał z nią do czynienia, ile, że celem jego jest uczyć, nie nauk przyrodniczych, jeno religijnych. Miejsce dla tej teorii — raczej w apologetyce, ponieważ nauka ten-dencyjna zwraca ją przeciw religii.

W pełnej — niewiadomo: czy prostoty gołębiej, czy chytrości wężowej — obawie, ażeby, uchowaj Boże! — Ka-techizm owego głupstwa nie popułnił, p. N. przecina mu do tego drogę, wpędzając go w „rażącą sprzeczność“ z sa-mym sobą. Sprzeczność taka zachodzić ma między twier-dzeniem o „przychodzeniu do rozumu“, a twierdzeniem, że Bóg *dał* nam rozum (pyt. 9). Skoro Bóg *dał* nam ro-zum — dowodzi autor, — tedy my nie możemy do rozumu *przychodzić*. Zbijać takie „dowodzenie“, byłoby obrazą czy-telnika i uczestnictwem w kompromitacji autora. Warto tu jednak uczynić uwagę, że uniknęłoby się tej niedo-rzecznej przyczepki i ocaliło od niej Katechizm, gdyby zamiast „przychodzi do rozumu“ (ks. Putiatycki, pyt. 43-cie), użyto raczej utartego w języku katechizmowym wyrażenia: „przychodzi do *użycia* rozumu“. Czepiając się wyrażenia tamtego, jakoby dogmatycznego, p. N. złożył jaskrawy do-wód teologicznego ubóstwa; dla katechetów-autorów płynie stąd jednak nauka, jak starannie należy każde słowo ważyć i dobierać.

Cóż atoli, ze stanowiska katolickiego, sądzić o teorii transformizmu? Odpowiem krótko, że żaden dogmat ka-tolicki, żadne orzeczenie *ex cathedra*, teorii tej się nie prze-ciawstawia. Przeciawstawiali jej się tylko uczeni katolicy, i to dlatego, że uczeni niewierzący przeciawstawiali tenden-cyjnie ową teorię dogmatowi stworzenia. Gdy ona wystą-piła na widowni w postaci szatańskiej, nie dziw, iż na ra-

¹⁾ Znany nam już Stary Mieszczanin twierdzi, że Pan Bóg łączy duszę z płodem — martwym! („Przegl. Kat.“ Nr. 51). Czy to nie kompro-mitacja umysłowości katolickiej, którą zła wola zwrócić by mogła prze-ciaw katolicyzmowi?!

zie, w zamieszaniu walki, apologetyka zmobilizowała przeciw niej wszystkie siły katolickie; przyczem zapomniano, iż pojawiła się ona w kształcie mgławicowym już dawno temu w świecie myśli katolickiej, mianowicie w umyśle św. Augustyna, który zarysów jej dopatrzył w kosmogonji mojżeszowej, gdzie istotnie uderza na pierwszy rzut oka kolejność rozwoju materji kosmicznej i życia.

Dziś nastąpiła orjentacja, której wynikiem jest zwrot ku przyjęciu teorii przemiany gatunków. Najpoważniejszym przedstawicielem jej w obozie katolickim, jest sławny w świecie naukowym Jezuita niemiecki, uczony myrmekolog (badacz mrówek), ojciec Wassman. Stoczył on niedawno na początku roku 1907, szereg walk, w druku i dysputach publicznych w Berlinie, ze starym szarlatanem i fanatykiem nauki, Haecklem, skompromitowanym śmiertelnie przez żywą i niczem nie zachwianą wiarę w wynalezioną przez Huxley'a i ochrzczoneą przez tegoż nazwą Bathybiusa¹⁾ rzekomą protoplasmę, którą wynalazca jej przypisał Haecklowi, a w lat kilkanaście potem sam ją wysmiał. W tych walkach atoli nie była już w grze teoria przemiany, podzielana przez obudwu uczonych, jeno kwestja, podniesiona przez Haeckla, czy katolik może ją uznać. Haecklom bowiem zależy bardzo na tem, aby katolicy z nią się nie pogodzili, bo inaczej Haecklowie straciliby świetny atut, który z takim powodzeniem przeciw katolicyzmowi wygrywali i dotąd wygrywają. Dlatego też profesor jenajski z całą furją fanatyka niewiary, parł uczonego Jezuitę do apostazji, w imię transformizmu; a ten, ze spokojem wierzącego szczerze i świadomego swej wiary człowieka, napasłi zwycięsko odpierał. I mieliśmy widowisko niezwykłe: Haeckel, wyrokujący o tem, co przeciwi się dogmatom naszej wiary; Haeckel, dorzucający do Syllabusa—swojego, fałszywego juścić, trojaka; Haeckel, denuncjujący księdza o nieprawowierność!!!

Czyście wy, katolicy oświeceni, byle nie w swojej religji, o tem wszystkim słyszeli? Nie! Boście spętani wię-

¹⁾ Dosłownie: „Żyjący w głębinie“. Rzekome to stworzonko pierwotne, które miało powstać samorodnie, okazało się mulem morskim, złożonym z siarczanu wapna. Było ono Haecklowi bardzo na ręce dla ostatecznego zaokrąglenia systemu monistowskiego, więc też podarek Huxleya wyzyskał.

zami nakazu, ukutego w kuźni myśli niepodległej: „*catholica non leguntur*“—*rzeczy katolickich nie czyta się*, czytać nie wolno, pod grozą napiętnowania mianem obskuranta i wstecznika! A prasa niepodległa starannie o tem wszystkim milczała i milczy... O, małoduszni niewolnicy myśli niepodległej! Kiedyż wy otrząśniecie się z jej więzów?

Zresztą, błędem byłoby mniemać, jakoby teoria transformizmu wynurzyła się już całkowicie ze stanu mgławicowo-hipotetycznego. Do pełnego zwycięstwa braknie jej jednego jeszcze, ale najważniejszego ogniwa: tego, któreby shaczyło małą człokształtną, jakiegoś małpoluda, z człowiekiem. To nie bagatela!

Ostatecznie, gdyby nawet i to ogniwo paleontologia czy któraby inna nauka znalazła, dogmatowi stworzenia żadne-by stąd niebezpieczeństwo nie zagroziło. Na dobrą sprawę nie ma on nic z transformizmem wspólnego. Tam chodzi o początek życia, tu o jego gatunkowe przemiany, o sposób i proces, w jaki ono się rozwinęło. Jeżeli też w obozie katolickim powstało na tym punkcie zamieszanie, to, prócz wzmiankowanej tendencyjności niedowiarstwa, współprzyczyną jego była tradycja pojęć, związanych z dogmatem stworzenia, a na literze Biblii opartych. Tę sprawę będziemy mieli możność rozwinąć niebawem, gdy przejdziemy do dogmatu stworzenia materji.

Tymczasem stwierdzamy, że opozycja katolicka przeciwko teorii transformizmu, jako i opozycja wszelka inna, mogła tylko wypaść i wypadła rzeczywście nauce na korzyść. Gdyby nie ona, nauka, pod wodzą i monopolem niedowiarstwa, zesłaby była dawno na bezdroża, popadłaby była w sromotną jego niewolę, nie tylko ku szkodzi własnej, ale i ku zagładzie najwyższych ideałów ludzkości. Obiedwie Księgi: Przyrody i Nadprzyrody—zarówno pisane są przez Boga. Sprzeczności więc najmniejszej a rzeczywistej między niemi być nie może. Mogą powstawać i powstają sprzeczności tylko pozorne, jako następstwa błędnego odczytywania przez ludzi jednej lub drugiej Księgi Wiedzy. Tylko zaś skutek zły woli urastają one w dogmaty i, jako takie, więżą myśl ludzką, tamują jej postęp rzetelny, ba!—spychają ją w bagniska moralne, zaprzegają w służbę bestji ludzkiej.

„...według swoich pożądliwości nagromadzili sobie uczycielów...“ *Faire la théorie de sa passion!*... Pan N. jest „uczycielem“, jakiego chciało, na jakiego zasłużyło społec-

czeństwo. Jego „Objaśnienie“ — to chwastowy, doskonały w swoim rodzaju kwiat, który wyrósł na zabagnionej demoralizacją glebie powszechnego nieuctwa. Gdzie niema pobieraczy, tam niema i podawaczy: tak określił pewien chłop (mój parafjanin) prawo popytu i podaży, w zastosowaniu do paserów i złodziejów... Tenże powiedział mi o upodobaniach czy zwyczajach końskich: koń o święto nie stoi, aby jeno wilii nie miał! Miewają i ludzie upodobania podobne, które są źródłem odpowiednich teorii, mających na celu uspokojenie sumienia, zresztą złudne. Koń teorii nie tworzy — i to cała różnica pomiędzy nim, a takim człowiekiem, wiadomo: na czyją korzyść? Tworzy je ten, kogo na to stać. Reszta przyjmuje go za swego nauczyciela. I pełnią się słowa Pisma: „A człowiek, gdy we czci był, nie rozumiał: przyrównany jest bydłom nierozumnym i stał się im podobny“ (Psalm 48-y, 13).

Przeciwnie, my, katolicy uświadomieni, przyjąwszy od Boga „teorię“, naprawdę od nas niezależną, z poddaniem jej swoich namietności, wiemy z góry, że i wszelkie przyszłe sprzeczności pomiędzy Nauką a Wiarą będą tylko pozorne. Dlatego one też nas nigdy nie zastraszają, ani we wierze nie zachwieją; straszyć nas będzie tylko zawsze nieuctwo, skojarzone ze złą wolą, gotowe na sprzecznościach tych utknąć, po ogłoszeniu ich za przeciwnie wierze dogmaty nauki. Dla nas natomiast nie będą one nigdy przyczyną zastoju, ale raczej bodźcem do postępu w coraz to doskonalszem i pełniejszym rozumieniu Myśli Bożej, wypisanej tajemniczymi głoskami w Księgach Przyrody i Nadprzyrody. Wprawdzie możemy grzeszyć i grzeszymy nieraz łatwowiernością w kierunku religijnym; ale warujemy się grzechu łatwowierności wobec jednodniowych teorii naukowych, grzechu, tak pospolitego w szeregu naszych antypatyków, dla których byle p. Niemojewski, byle p. Moszczeńska — to powagi nieomyślne — nawet w rzeczach wiary religijnej!

Przechodzimy do kwestji początku materji¹⁾. Katechizm i w ślad za nim, p. N., rozważa ją pod pierwszym

¹⁾ W porządku przedmiotowym właściwie należałoby tę kwestję roztrząsać przed kwestją początku życia. Trzymamy się tu jednak raczej metody subiektywno-poglądowej Katechizmu, który za punkt wyjścia bierze samego ucznia, pytając go: „Kto cię stworzył?“

artykułem Składu Apostolskiego. W przedmiocie tym autor „objaśnia“:

„Katechizm przedstawia Boga, jako kuglarza, który „z niczego“ potrafi zrobić cały świat. Prosty *chłopski rozum* ma na to przysłowie: z pustego nie naleje. Ksiądz Putiatycki powiedział przynajmniej jasno i prosto: Bóg stworzył świat z niczego. Ale ks. Aleksander Sokolik filozofuje! „Może świat powstał z niczego? Świat nie mógł sam powstać z niczego, bo i każda *(śladna!)* dopisek przepisującego) rzecz, pojedynczo uważana, z niczego powstać nie może. Skąd wziął się świat? Bóg świat stworzył. Z czego Bóg świat stworzył? Z niczego, to jest bez użycia materiału i narzędzi, a tylko wszechmocnym swym rozkazem, co właśnie nazywa się stworzyć. Jak długo stwarzał Bóg świat? Przez sześć dni. Jak dawno? Jest temu około sześciu tysięcy lat...“ Więc Bóg stworzył świat z niczego, aczkolwiek wedle ks. Sokolika z niczego nie powstać nie może. Ale poco przez sześć dni? Aby siódmego dnia Bóg odpoczął. A co robił dnia ósmego i dni następnych? Na te pytania historia dała odpowiedź: ustęp odnośny Biblii żydzi wzięli od Babilończyków, którzy wedle rozkładu swej pracy tygodniowej i sobotniego odpoczynku, także rozłożyli czynność swego Boga Ela. Świat istnieje sześć tysięcy lat? Mało. Widzieliśmy w Muzeum Konstantynopolańskiem zabytki starożytne, mające 6,800 lat. Astronomja wykazała, że niektóre ruchy ziemi naszej dokonywane są w ciągu 26,000 lat. Z wykopalisk sądzić możemy, że plemię ludzkie istnieje, jako takie, conajmniej 100,000 lat... (str. 35 — 37).

Zanim przystąpimy do jądra kwestji, wprzód usunąć musimy szkopuł, tkwiący w cytacie z ks. Sokolika. Nie mamy pod ręką jego „Katechizmu“; ale jakkolwiek trudno uwierzyć w autentyczność jego słów, przytoczonych przez p. N., jednak przyjmujemy je na wiarę cytującego, mając dowód sumienności jego przynajmniej na tym punkcie — w sprawdzonych przytoczeniach z ks. Putiatyckiego. Jeżeli p. N. coś tu sfalszował, o co u niego wcale nietrudno, niech się ks. Sokolik broni sam. Nie występuję w obronie katechizmów, ale Katechizmu, chociażby wypadło w tym celu katechizmy poddać surowej krytyce, co się zresztą nie jeden raz kiedyindziej i gdzieindziej czyniło.

Jeszcze jednak wprzód usunąć trzeba szkopuł ze szkopułu, wpakowany w słowa ks. S. przez p. Niemojewskiego. Rozpacz! „Kamień na kamieniu, na kamieniu kamień, a na tym kamieniu jeszcze jeden kamień!“ To wszystko trzeba odwalić!

Otóż p. N., jeśli nie słowa, to sens słów ks. Sokolika sfalszował: co prawda, nie bez jego winy, polegającej na

niedość ściśle wyrażaniu się. Sens jego dowodzenia jest: Świat nie mógł powstać z niczego *sam przez się*, bo nie samo przez się z niczego powstać, czyli samo się stworzyć nie może. Ponieważ nie było nic, a jest świat, zatem musiała być przyczyna, która do bytu go powołała. Przyczyną tą — Bóg. Jego wola wszechmocna.

Widzimy więc, że p. N., swoim zwyczajem, zabawił się w rycerza z La Manszy. Na innym atoli punkcie sam ks. Sokolik naraził dogmat stworzenia na grubą kompromitację, jakkolwiek p. N. jej nie wyzyskał. „...Z niczego, to jest: bez użycia materiału i narzędzi... co właśnie nazywa się stworzyć!“ Jak możnaby było używać „narzędzi“ przy stwarzaniu, to jest przy powoływaniu do bytu czegoś, co nie istniało, więc przy braku materji. Narzędzia mogą być potrzebne tylko przy kształtowaniu „materiału“ surowego, przy jego przerabianiu. Ale znowu, jak można mówić o narzędziach, nawet gdy chodzi o przeróbkę gotowego materiału — w odniesieniu do Boga?!

Tu wychodzi na jaw brak w dowodzeniu ks. S. nader ważnego i koniecznego rozróżnienia: między *stworzeniem* materji, a jej *utworzeniem*. Ks. S. nie uczynił go, uwiedziony wyrażeniem o „stworzeniu świata“, potocznem, powszechnie przyjętem i nawet uświęconem, ale nie naukowem. Ściśle biorąc, Bóg stworzył — nie świat, jeno materję kosmiczną, którą następnie w świat ukształtował, mocą nadanych jej praw ruchu i ciężenia. Z braku rozróżnienia owego wypływałoby, że Bóg stworzył świat odrazu gotowy, co się samej nawet literze Biblii sprzeciwia. Pojęcie to jednak, wskutek braku nauki, pojawiało się i pojawia dotąd w piśmiennictwie katolickiem, nie samem tylko *minorum gentium*, narażając dogmat stworzenia na drwiny niedowiarków, przez stawianie go w oczywistej sprzeczności z nauką. Było ono do przebaczenia jeszcze w osiemnastym wieku, kiedy nawet Chateaubriand, w swoim świetnym stylowo „Génie du Christianisme“ przedstawiał w poetycznych obrazach stworzenie świata: „starego zarazem i młodego“. Ale dziś, gdy w idei ewolucji upatrujemy wspanialszy i przedewszystkiem głębszy wyraz mądrości Bożej?! Dziś pojęcie o stworzeniu doraźnem świata w stanie doskonałym wydaje się nam dziecinne...

Ks. Sokolik, wprawdzie, pojęcia tego nie sformułował wyraźnie, ale ono tkwi w jego słowach, włożone tam nieświadomie. Jeżeli też mówi następnie o „dniach“ stworzenia, to wpada w sprzeczność sam z sobą.

W myśl opartego na rzeczywiistości, a zapoznanego pospolicie ¹⁾ rozróżnienia między pojęciami: *stworzenie* a *utworzenie*, będziemy mówili naprzód o początku materji, następnie o procesie budowy wszechświata.

Z kwestją pierwszą p. N. załatwia się „po gospodarsku“ (Prus): „z pustego nie należy!“ Istotnie, pu-ta musi być głowa, z której tylko tyle mądrości wyłało się w sprawie, która posiada potężną literaturę naukową i która rozpalala najtętsze mózgi świata.

Przedewszystkiem stwierdzamy, że nauki pozytywne nie mają tu głosu; a jeżeli go zabierają, to zgola bezprawnie, to popełniają nadużycie przeciwko metodom doświadczalnym, które je obowiązują, i na których działalność ich się ogranicza. Jakim bowiem sposobem możnaby sprawdzić doświadczalnie zjawisko, które nietylko nie miało świadków, krom samego Stwórcy, ale i nie pozostawiło żadnych na ziemi czy na niebie śladów namacalnych? Nauka eksperymentalna zbliża się tylko do tego problemu, gdy stwierdza pierwotny chaos materji kosmicznej. Tu jednak usuwa się z pod jej nóg pozytywnych grunt realny i staje ona nad przepaścią, ponad którą tylko czysty rozum przelecieć może.

Otóż ten rozum ma przed sobą dwa tylko zasadnicze rozwiązania zagadnienia co do bytu materji: stworzenie i wieczność. Ale materja wieczna, bez początku, — to absurd, zwany *contradictio in adiecto*. Materja i wieczność — to pojęcie, które się wzajemnie wyłącza. Wieczność, więc bytowanie, posiadane od samego siebie, to przymiot zasadniczy i konieczny Boga. Przypisanie go materji równa się tedy jej ubóstwieniu, miasto Boga-Ducha. Jakoż do tego wniosku doszła filozofja monistyczna. Bóg Materja, bóg-Atom — wyłania z siebie życie samorodnie, rozwija się transformistycznie — i w człowieku z „tak zwaną duszą“ dochodzi do szczytu swego rozwoju. Absurd pierwotny, tkwiący w założeniu tego systematu filozoficznego, przewija się wstęgą poprzez wszystkie jego twierdzenia; a im dalej odeń odbiega, tem mniej razi poczucie rozumowe człowieka. Przysłonięty przytem frazeologją, obciążony imponującym balastem naukowym, w imię nauki i postępu piętnujący śmiało filozofję teistyczną mianem obskurantyzmu i wsteczności, — zdolny

¹⁾ Tak np. Kamil Flammarion pisze o „stwarzaniu“ i teraz jeszcze przez Boga — nowych światów z *istniejących* mgławic.

on jest odurzyć nawet głowy mocne. Wystarczy go jednak obnażyć ze stroju naukowego i sprowadzić do jego formy pierwotnej, żeby się jego niedorzeczność okazała, jak na dłoni.

Pozostaje teoria stworzenia materji przez Boga. Czyżby i ona była niedorzeczna? Tak twierdzą zwolennicy wieczności materji, którzy na swoim gruncie pobici, chwytają się neokantyzmu i z „Krytyką Czystego Rozumu“ mistrza z Królewca, w ręku, zaprzeczają rozumowi ludzkiemu siłę do puszczania się samopas w sfery zagadnień transcendentalnych, ażeby odebrać nam prawo do roztrząsania kwestji metafizycznych, ażeby nam broń z ręki wytrącić. Czynią to nie raz ci sami, którzy kiedyindziej, gdy tego interes ich wymaga, zarzucają nam, jakobyśmy upośledzali rozum, nam, którzy w jego obronie przeciw ich agnostycyzmowi właśnieśmy stawali i stajemy, ilekroć tego potrzeba. Gdy jednak my, nie dając się zastraszyć i kierując się raczej własną, szerszą konstytucją rozumu, aniżeli tą, którą oni chcieliby nam narzucić,—swoich twierdzeń metafizycznych dowodzimy i brnimy, oni znowu zaczynają z beczki nauk przyrodniczych, oczywiście, jakeśmy już byli zaznaczyli, wykraczając bezprawnie poza granice ich władztwa i potęg.

„Z pustego nie należy!“ „Z niczego nic powstać nie może!“

Tak, to są prawa przyrodzone. Ale — cóż one mają do Boga, Stwórcy przyrody? Czy granice mocy ludzkiej ograniczają także i moc Bożą?!

Stworzenie materji—wołają nam jeszcze—to cud, a nauka cudów nie zna!

Mniejsza tu o cuda historyczne, ziemskie, o których zresztą nie można powiedzieć, iż nie zna ich nauka, jeno, że ich znać nie chcą pewni uczeni, no, i pewni malcy naukowci. Przypuśćmy jednak, że nauka istotnie cudów takich nie zna. Jakiem jednak prawem zaprzeczałaby ona cudu stworzenia świata? Czy doniosłość jej wniosków, jej uogólnień, jej strzał-zarzutów, sięga po za przyrodę widomą, w przestrzeni i w czasie? Przecież ona, *jako taka*, nie zna i Boga, lubo do Niego, o ile jest szczerza i bezinteresowna, nieświadomie podprowadza. Jako przedmiot badania, Bóg należy już do filozofji, która spożytkowywa rezultaty, przez naukę zdobyte, i ponad nią nowe piętro wiedzy buduje.

Więc do rozumu, twórcy metafizyki, prawo decyzji co do początku materji należy. Otóż rozum dowodzi, że

skoro materja początek mieć musiała, a sama siebie stworzyć nie mogła, zatem zjawienie się jej wymagało interwencji woli osobistej i nadprzyrodzonej, t. j. Bożej. Sprzeczność, która widnieje dla rozumu ludzkiego w twierdzeniu o powstaniu czegoś z niczego, pokrywa ten sam rozum przez stwierdzenie i podkreślenie jaknajsilniejsze wszechmocy Stwórcy. Wszechmocy tej rozum ludzki nie może zakładać granic, bez zaprzeczenia samej idei Boga. Wszechmoc, zdolna aktem woli powoływać z nicości do bytu istoty i rzeczy, jest wprawdzie dla nas niepojęta; sam Bóg wszakże jest również niepojęty, tak, że nie byłaby Bogiem pomysłana przez nas istota, którą moglibyśmy ograniczonym rozumem swoim ogarnąć i przeniknąć doskonale. Dość nam, gdy, zmuszeni przyjąć postulat rozumu, jakim jest idea stworzenia, zdołamy wszelką odeń sprzeczność z rozumem uchylić. Po za tem, aktem rozumu będzie skłonić czoło przed tajemnicą.

To mówi nam rozum nowoczesny, to mówi rozum wszechludów w przestrzeni i w czasie, to mówi rozum największych, *dodatkich* geniuszów świata.

Gdy on jednak może się wahać i podlegać wątpliwościom, tedy przychodzi mu z poparciem swoim Objawienie i wnioski jego potwierdza.

Co więcej, sama nauka, jak nadmieniliśmy wyżej, orientuje myśl ludzką w kierunku dogmatu stworzenia, objawiając ze swej strony, jeżeli nie poczęcie, to przynajmniej narodziny wszechświata.

Nadomiar, innego racjonalnego tłumaczenia na istnienie materji niema. „*Incidit in Scyllam qui vult vitare Charybdim!*“ Wpada na Scyllę absurdu, jakim jest wieczność materji, kto chce uniknąć Charybdy tajemnicy stworzenia.

Mamy teraz prawo zapytać: któż tedy jest kuglarzem: Katechizm, czy p. Niemojewski? To samo, co Katechizm, twierdzi np. i Platon. Czy panu N. starczyłoby odwagi oskarżyć Platona, że uczynił z Pana Boga — kuglarza? Co innego Katechizm. Na tego „kopciuszka“ oświaty nowożytnej można wygadywać, co się komu podoba; nikt zaś, z kim-by trzeba było się liczyć, za nim się nie ujmie, a obywatela ciemnogrodzcy, od brodacza do gołowasa, od profesora do sztabaka, uraganiom przeciw temu kopciusz-kowi przyklasną... Nadechodzi jednak pora, kiedy ten kopciuszek, poniewierany przez macoszą dlań oświatę, do praw dziecięcia królewskiego przywrócony zostanie!

Przechodzimy do drugiej części zagadnienia o powstaniu świata.

Przedewszystkiem stwierdzam i podkreślam fakt, że tu jesteśmy już poza sferą katolickiego dogmatu stworzenia i co za tem idzie, że uczeni katolicycy mają tu swobodę dochodzenia prawdy, o ile dotąd jeszcze nie odkrytej. Jest to już dziedzina nauk doświadczalnych, którym Kościół oddaje na ich gruncie berło panowania.

Jakto?—zawoła ten i ów czytelnik. — A Biblia! Czy ona nie zawiera danych przyrodniczych co do ukształtowania wszechświata? Więc Biblia już i w oczach katolików straciła pod tym względem swoją powagę? Więc kapitulacja?!

Jak to zaraz można poznać obywatela Ciemnogradu! Proszę tedy posłuchać, co trzyma nauka katolicka o stosunku Biblii do nauk przyrodniczych i w ogóle pozytywnych.

Wiadomo, że Kościół przyznaje sobie i waruje nieomylność jedynie w rzeczach wiary i moralności. Stąd wypływa, że Kościół nie uważa Biblii, ani za źródło, ani za kryterjum wiadomości, dotyczących przyrody, i nigdy na podstawie danych biblijnych z tej dziedziny nie wyrokował *ex cathedra*; za wyjątkiem tych tylko wiadomości, które mają ścisły związek z tym lub owym dogmatem, jak np. jedność rodzaju ludzkiego ¹⁾ — z dogmatami: grzechu pierworodnego i Odkupienia.

— A Kopernik, a Galileusz?!? — wołają na wysługi moi ciemnogradzianie.

— Za pozwoleniem, przyjdziemy wnet i do tej sprawy!

Po za tem, o ile Biblia zabiera głos w sprawach natury, to nie w tym celu, aby uczyć nauk przyrodniczych, lecz w celach religijnych, przyczem używa języka popularnego, w duchu mniemań społecznych. Już św. Augustyn powiedział: „Gdy chrześcijanin jaki występuje z błędnymi poglądami na naturę, można się śmiać tylko z niego; ale gdy błędne mniemanie swoje wystawia, jako pojęcia biblijne, postępuje bardzo nagannie, bo niejeden nieświadomo-

¹⁾ Po długich walkach z tą prawdą biblijną, nauka zmuszona była w końcu ją uznać. W języku naukowym określono ją mianem „monogenizmu.“

my rzeczy sądzić może, iż Pismo św. uczy tego rzeczywiście“ ¹⁾.

Tak nagannie właśnie postąpiono w Rzymie, w sprawie teorii Kopernika. Do tego błędu przywiódł był teologów cały owoczesny kierunek i nastrój umysłowy, przeciwny, jak widzimy z dopiero co przytoczonych słów św. Augustyna, wielkiej tradycji Ojców i Doktorów Kościoła.

Zresztą, nie wszystkich. Już w zawiązkach nauki katolickiej ujawniły się dwie, przeciwne sobie metody egzegezy biblijnej, oparte na odmiennych poglądach na stosunek Biblii do natury. Znane są one pod nazwami: konkordystycznej czyli literalnej, oraz idealistycznej.

Zwolennicy metody pierwszej, przeceniając doniosłość twierdzeń biblijnych, dotyczących przyrody, naginali do nich naukę, a jeszcze bodaj więcej (w ostatnich czasach) odwrotnie: teksty święte do nauki, ażeby za wszelką cenę osiągnąć zgodę wzajemną, skąd też poszła nazwa *konkordyzmu* (*concordia*=zgoda). Idealisci, przeciwnie, nie trzymając się niewolniczo litery biblijnej, badali raczej jej ducha i w frazie niemożności tłumaczenia dosłownego, śmiało do sensu przenośnego uciekali się. Obudwu kierunkom Kościół patronował, obudwu swobodę badania pozostawiał. Obadwa też wzajemnie się kontrolowały, nie dopuszczały do niebezpiecznych skrajności, a tak, przez opozycję, rozumienie Biblii robiło postępy.

Rzecz naturalna całkiem, że kierunki te brały w ciągu wieków kolejno górę nad sobą wzajemnie; aż za dni naszych, pod wpływem doświadczeń, zdobytych w walce z nastrojoną niedowiarczo nauką, w wyższych kołach naukowych katolickich, ustaliła się teoria egzegezy elektryczna, łącząca harmonijnie konkordyzm z idealizmem.

Na nieszczęście, za czasów Kopernika i Galileusza panował wszechwładnie kierunek konkordystowski. Gdyby teoria heliocentryczna narodziła się była wcześniej, za czasów Tomasza z Akwinu, który hołdował metodzie idealistycznej, lub nawet za czasów autora „*De civitate Dei*“, wolno mniemać, iż Kurja rzymska (żadną miarą—nie Stolica Apostolska) byłaby błędu uniknęła. Był to przecież błąd opatrnościowy, który na wstępie do czasów nowożytnych dał Kościołowi lekcję wiekopomną. „Błąd Kurji

¹⁾ „Biblia i Natura“ przez dra Henryka Reuscha. Str. 24.

rymskiej—pisze dr. Schaefer — na to był ten jeden raz możliwym, aby powtórzenie się jego raz na zawsze stało się niemożliwym.“¹⁾

I dziś, istotnie, błąd podobny jest niemożliwy. Mogą błędzić na własną odpowiedzialność uczeni katolicy; ale Watykan kieruje się i kierować będzie zasadą Leona XIII: „*cunctandum interea de sententia*“, zasadą roztropnej rezerwy, dającą badaczom swobodę zupełną, z zastrzeżeniem oczywiście nietykalności dogmatów, jako prawd, które swoją ewolucję już przebyły i skryształizowane dogmatycznie, lubo dopuszczają w dalszym ciągu rozwój w ich coraz to głębszym i szerszym pojmowaniu, stanowią jednak nienaruszalny co do litery dobytek w skarbcu nauki katolickiej. Taksamo nietykalne są i pewniki nauk przyrodzonych.

Gdy wiemy to wszystko, gdy znamy już w ogólnych przynajmniej zarysach zasady egzegezy biblijnej tekstów przyrodniczych, iż te ostatnie, miasto narzucać się nauce, raczej od niej światła dla siebie pragną i oczekują, — możemy już z lepszym sercem podejmować zarzuty, kierowane przeciwko Biblii. One już nie uderzą w prawdy religijne naszej wiary, któreśmy usunęli na stronę. Jeno w nasze pojęcia i domniemanie naukowe. Zresztą i przed zarzutami owymi nie ustępujemy zbyt łatwo, właśnie w imię nauki, gwoździ ochrone jej od zboczeń i wypaczeń, na które ją one narażają, o ile natchnione przez antynaukową tendencję niedowiarczą.

Na dowód jednakże, jak szeroka jest tolerancja Kościoła w tych rzeczach, dość przytoczyć dotyczącą kosmogonii Mojżeszowej teorię katolickiego biskupa Clifforda. Uczony ten jest zdania, że „pierwsze trzydzieści cztery wiersze księgi Rodzaju nie są opowiadaniem historycznym, jeno poprostu formularzem poświęcenia dni tygodnia pamięci stworzenia.“ Autor „Apologii Naukowej“, ks. Duilhé de Saint Projet, cytując to zdanie, powiada od siebie: „Mamy przekonanie, że biskup Clifford myli się; ale on słusznie może twierdzić, że żadnemu z przeciwników jego, o ile to przeciwnicy poważni, ani na myśl nie przyszło obwiniać go, by sprzeciwiał się wierze“ (str. 84).

W ogóle w kwestji rozwoju wszechświata, łącznie z Ziemią, istnieje w nauce katolickiej cały szereg teorii. Obecnie np. cieszy się w pewnych kołach dość szerokim

¹⁾ Duilhé de Saint Projet: Apologia Naukowa, str. 85.

powodzeniem teoria wizjonistyczna, wedle której sześć dni stworzenia—to tyleż wizji Adama, które on miał w zachwyceniu. Teoria ta powstała po upadku powszechnej do niedawna teorii konkordystów, która tłumaczyła „dni“ Mojżeszowe, jako *epoki*, przyczem zużyto cały arsenał erudycji lingwistycznej, żeby dowieść, że Mojżesz rozumiał to, co mu komentatorowie jego narzucali. Ta ostatnia utrzymać się nie mogła i przeszła do historii, wobec niemożności pogodzenia następstwa stadiów rozwojowych w przedstawieniu biblijnem—z dowiedzionymi faktami naukowymi.

Zresztą, i teoria wizjonistyczna ma swoje słabe strony. Jeżeli bowiem Bóg objawił Adamowi w szeregu wizji rozwój wszechświata i przedewszystkiem Ziemi, to trudno zrozumieć, dlaczego Bóg nie objawił mu go w takiej kolei, w jakiej objawiła je nauka? ¹⁾ Jest to więc trudność ta sama, co i w tłumaczeniu „epokowem“, jeno pod inną, mniej raziącą formą.

Jest jednakże pod ręką teoria inna, która lepiej przemawia do przekonania: jest to teoria paralelizmu, którego dopatrzono między ośmiu aktami twórczymi Boga, dokonanymi w ciągu dni sześciu, a podzielonymi po cztery. Istotnie, harmonja między tak rozdzielonemi fazami rozwojowymi—uderza w oczy:

Dzień i akt 1-szy: światło	=====	Dzień 4-ty, akt 5-y: słońce, księżyc, gwiazdy.
„ „ 2-gi: rozdział wód ziemnych od atmosferycznych.	=====	Dzień 5-ty, akt 6-y: płazy wodne, ptaki.
„ „ 3-ci rozdział wód na powierzchni ziemi: lądy, morza.	=====	Dzień 6-ty, akt 7-y: zwierzęta lądowe.
Dzień 3-ci, akt 4-ty: świat roślinny.	=====	Dzień 6-ty, akt 8-y: człowiek.

Wreszcie, jakkolwiek bądź Mojżesz swoje „dni“ pojmował, to jest faktem niezaprzeczonym, że miał on na

¹⁾ Do tej trudności, zwolennik tej teorii, ks. dr. Sykora, autor reklamowanej szeroko przed kilku laty „Złotej Biblii Klasyków“, czy też jego tłumacz polski, przydaje nową, zgola niepojętą: „Szóstego dnia Adam otrząsnął się ze stanu zachwycenia i rozpoczął życie normalne, i to w chwili, gdy ujrawszy jeszcze w wizji utworzenie swego ciała z gliny, Bóg tchnął wń duszę.“ I znów o parę stronic dalej: „...początek swój cielesny widział (Adam) jeszcze w stanie zachwycenia, stworzenie zaś duszy nastąpiło jednocześnie z przyjściem Adama do stanu normalnego.“ Co to znaczy?? Taki *lapsus*, powtórzony aż dwa razy!! (Pomijamy wadliwość budowy zdania w cytacie pierwszej).

oku cel religijny. Siódmego dnia Bóg „odpoczął“. W odniesieniu do Boga znaczy to, iż przestał On być czynnym twórczo w ten sposób, w jaki był dotąd. W odniesieniu zaś do ludzi, owa siódemka, ów tydzień Boży jest pierwotnym wzorem tygodnia ziemskiego. Rozumiała to dobrze Wielka Rewolucja, zastępując tydzień swojemi dekadami. Rozumie to i p. N., gdy za jej przykładem — również dekadami wydaje swoją „Myśl Niepodległą“...

Tu może kto zarzucić: Gdyby nie wroga religii nauka, myśl katolicka spałaby i trwała w swojej naiwności pierwotnej. Te ciągle zmiany teorii, dokonywane pod parciem badań i odkryć naukowych, to szereg kapitulacji katolicyzmu przed nauką.

Przyznam, że w zarzucie tym jest pewna doza słuszności. Jesteśmy w posiadaniu prawdy religijnej i wskutek tego zbyt się nieraz ubezpieczamy na pozycji posiadających. Trzeba nam bodźców, jakie przedstawia niebezpieczeństwo, zagrażające naszemu stanowi posiadania. Gdzieśże jednak byli wy, co w imię nauki nowożytnej występujacie przeciwko religii, wtenczas, kiedy Tomasz z Akwinu i nawet już Augustynowie zakładali fundamenty pod budowę egzegezy biblijnej, w duchu, tak sprzyjającym — nowoczesnym postępowym teoriiom biblijnym na gruncie katolickim? Gdyby oni byli rozporządzali takim światłem nauk przyrodzonych, jakie rozniecił wiek XIX-ty, ponoby was uprzedzili, wytrącając wam z rąk zawczasu broń naukową, obracaną przeciwko wierze religijnej! Nas, którym wytrącono z ręki masę środków naukowych, których, najzłośliwszą metodą prześladowczą, metodą Juliana Odstępcy, usiłowano i usiłuje się nie bez skutku strącić w otchłań ciemnoty, ażeby przypisawszy ją działaniu religii, urągać naszej ciemnocie i samą religję zwalczać, — nas dziś nie stać na Tomaszów i Augustynów!

Ks. Lagrange, uczony Dominikanin jerozolimski, w rozprawie biblijnej p. n. „Niewinność i Grzech“, z której, gdy będzie mowa o grzechu pierwotnym, będziemy korzystali, — zachwycony głębokością myśli św. Tomasza, powiada:

„Czuję się dumnym, jako katolik, gdy przytaczam słowa jego, bo w końcu zbyt często zarzucają nam, że regulujemy swoją egzegezę według zdobyczy nauki i krytyki wrogiej, oraz przybywamy zwykle spóźnieni, ażeby uznać i zarejestrować fakt dokonany. Gdy geologia odrzuciła biblijną sześciodniówkę, uciekliśmy się byli do epok;

gdy ta pozycja nie dała się dłużej utrzymać, oglądamy się za czem innym; podobnie w kwestji powszechności potopu. A oto wielki teolog zaprzecza tym oskarżeniom. Zanim jeszcze powstał protestantyzm, on wytknął i utorował drogę, którą dziś idziemy.“

Wreszcie, ileż to razy wypadło cofać się z pozycji — niewierzącym, pod parciem krytyki katolickiej? Prawda: nie cofają się nigdy umysły pyszne i złowolne, którym nie idzie o tryumf nauki, jeno o pohańbienie za wszelką cenę religii. W celu pokłócenia światła ze światłem, religii z nauką, sięją one w obu dziedzinach wytwarzane przez siebie ciemności. Gromada takich umysłów, oszańcowana fortami sofizmów i fosami absurdów, tworzy Ciemnogród. Nauka — to tylko ich broń; propaganda niedowiarstwa i moralności niezależnej, równającej się w zasadzie zaprzeczeniu etyki, godnej obdarzonego duszą nieśmiertelną człowieka: to ich ideał właściwy i najwyższy.

Dostojnikiem wśród ciemnogrodzian, otoczonym światą ciurów-zwolenników, jest p. Niemojewski.

W świetle tego, co tu powiedziano w przedmiocie rozwoju materji kosmicznej, wygląda on zgoła humorystycznie.

Z naiwnością dziecięcą, a złośliwością starczą, pyta on: „A co robił Bóg dnia ósmego i dni następnych?“ I... znajduje odpowiedź u... babilończyków. My przyznajemy się tu do zupełnej niewiedomości. Wiedza nasza po za dzień siódmy nie sięga. Gdyby też p. N., rozumiejąc, że Bóg odpoczynku nie potrzebuje, gdyż nie mógł się działalnością twórczą utrudzić, — zapytał nas raczej, co Bóg „robił“ dnia *siódmego*, odpowiedzielibyśmy mu pytaniem gospodarskim: a co robi gospodarz, gdy folwark sobie założy i urządzi? Oczywiście, gospodaruje. Podobnie i Gospodarz wszechświata. Cokolwiek Mojżesz przez swoje „dni“ rozumiał, bez względu na porządek chronologiczny aktów twórczych w kosmogonii biblijnej, owe dni są niewątpliwie epokami. Tedy „dzień“ siódmy — to epoka, która rozpoczęła się z chwilą stworzenia pierwszego człowieka i trwać będzie do skończenia świata, a w której sam Bóg rozwija się mistycznie w duszy ludzkości. Być może, owszem, że działalność Boża obejmuje w tej epoce nieznanych nam, a domniemyanych mieszkańców tysiąca innych planet. Boga stać na gospodarkę wszechświatową.

Dla p. N. sześć tysięcy lat istnienia świata ludzkiego —

to mało? No, a dla nas 100,000 lat—stanowczo za dużo!
 „Niektóre ruchy ziemi dokonywane są (przez kogo?) w ciągu 26,000 lat?” Można by pomyśleć, że astronomja posiada dokumenty z tego tak olbrzymiego okresu czasu! Przypuszczam, że jeśli wiadomość p. N. co do owych ruchów ziemi jest prawdziwa, to astronomja mogła ją zdobyć jedynie za pomocą opartych na obliczeniach matematycznych—wnioskowań; w dokumenty jednak *historyczne*, któreby tego dowodziły, uwierzyć trudno. Mianowicie po doświadczeniu w egipskim miasteczku Denderah. Wiadomo, choć o tem trudno dowiedzieć się od ciemnogrodzian, że podczas wyprawy naukowej, towarzyszącej Napoleonowi do Egiptu, uczeni odkryli tam zodiak, z którego konstelacji wywnioskowali—o, a bardzo byli na taki wniosek łaskomi!—jakoby ten zwierzynek niebieski zanotował zjawiska astronomiczne z przed laty 12—15 tysięcy. Tymczasem, o wstydzie!—zobaczył go Champolion i wyczytał na nim imiona... cesarów rzymskich: Augusta, Tyberjusza, Nerona... Sam zodiak okazał się robotą astrologiczną... Ostatecznie, moglibyśmy coś od naszych tradycyjnych 6,000 lat postąpić, aby ocalały choć te zabytki starożytne, które p. N. oglądał w muzeum konstantynopolańskim. On jednak domaga się „co najmniej” lat 100,000, a wiemy, że jest srodze uparty. Targować się z nim tedy nie sposób...

Dziś wiemy—powiada p. N. dalej, — bo uczą tego we wszystkich porządnym szkołach, że nie Bóg ziemię stworzył, ale że powstała ona później, niż słońce, i od słońca (p. N. chciał powiedzieć: z materji słońca).

Mój Boże, a cóż tu wdanie się Stwórcy przeszkadza takiemu lub owakiemu powstaniu ziemi? Kosmogonja biblijna? O tej „przeszkodzie” wszak wiemy już co sądzić. *A propos* dodajmy tu jeszcze bardzo przekonujące tłumaczenie tej trudności, że Mojżesz patrzył i sądził ze stanowiska, nie uczonego przyrodnika, jeno widza, podobnie, jak patrzymy i sądzimy po dziś dzień, mówiąc np.: Wisła stała się! (Może p. N. zawołał: „Nieprawda! Wisła stała się tylko pozornie, powierzchownie, bo tego uczą we wszystkich porządnym szkołach?!”) Podobnie i Mojżesz mógł osądzić, że słońce uczynione zostało dopiero „dnia” czwartego, gdyż wtedy dopiero ono się wykształciło i ukazało ziemi, osnutej dotąd gęstymi oparami. Kiedy bowiem zie-

mia oderwała się od słońca, było ono jeszcze bardzo młodziutkie i rozwijało się w dalszym ciągu społecznie ze swoją córą—ziemią.

Że z tych „porządnym” szkół wyjdą nowe zastępy ciemnogrodzian, rzecz pewna. O to też właśnie chodzi panom Niemojewskim: chcą mieć potomstwo, ażeby się Ciemnogród ich nie wyludnił.

Tu też warto jeszcze raz wspomnieć o owym stworzeniu słońca, dopiero po stworzeniu ziemi. Starożytni ludzie wyobrażali sobie bowiem, że ziemia stanowi środek świata. Dziś wiemy, że jest ona małą kulą w porównaniu z innymi potężnymi ziemiami, krążącymi w przestworach.

Jeszcze raz? Ależ o temsamem dopiero co właśnie była mowa? To zaś, co „dziś wiemy,” wiemy od księdza, nazwiskiem Kopernika, który tak głęboko i tak mądrze wierzył w Pana Boga, że właśnie w idei Jego wyczytał intuicyjnie system heliocentryczny i potem go dowiódł naukowo. Prawdziwie mają „pech” biedni ciemnogrodzianie z genjałnymi katolikami, i do tego—księżmi! Umieją oni jednak sobie radzić, jak to w swoim czasie zobaczymy, z tym pechem. Im dalej bajka leci, tem bezczelniej kłamie...

Ale oto znajdujemy powód owego „wspomnienia jeszcze raz.” Pod pytaniem 7-mem, gdzie mowa o nauce, jaką brać mamy z nieomyślności Boga, p. N. pyta z wolterowskim uśmieszkiem:

Ale..., jeżeli wedle pierwszej księgi Mojżeszowej Pan Bóg pierwszego dnia stworzył światło, a dopiero czwartego dnia źródło światła, to jest słońce?

Mniejsza o ten nowy dowód roztargnienia p. N., biorącego za jedno: stworzenie słońca po ziemi, oraz światła przed słońcem. Co jednak autor powie na to, że fizyka odkryła prawo, wedle którego wypada, iż słońce nie jest jedynym źródłem światła? Prawo to brzmi: ruch przemienia się w ciepło, a ciepło wydaje światło. Zgodnie z tem prawem, świecą po dziś dzień resztki mgławic, które stanowią drogę mleczną. Podobnie, a stokroć silniej świecić musiały pramgławice, z których powstały dzisiejsze światy. Więc światło było pierwaj od słońca, lubo, oczywiście, nie tak skupione i zogniskowane, więc nie tak silne, jak słoneczne.

Panu N., nastrojonemu wojowniczo przeciw Biblii,

ani przez myśl przejść *nie mogło* tłumaczenie powyższe. Ma on swoje własne, historyczne, a jakże:

Badacze starożytnego Wschodu wykryli, że wedle pojęć dawnych Żydów, słońce nie świeciło własnym blaskiem, że światłość i ciemność były istnieniami odrębnymi.

Bardzo być może, gdyż dawni Żydzi nie znali jeszcze owego prawa fizyki i wskutek tego źle sobie dotyczące teksty biblijne tłumaczyli. Pan N., który prawa tego również nie zna, a przeciw Biblii źle jest usposobiony, doszedł do wniosku przeciwnego, a niemniej błędnego, jakoby słońce było jedynym źródłem światła: wówczas, gdy w rzeczywistości światło jego własne nie powstało samodzielnie i ma swoje prążródło w ruchu pyłu kosmicznego.

Jesteśmy świadkami niezmiernie ciekawego zjawiska w dziedzinie ducha, zjawiska, któremu odpowiada podobne w świecie fizycznym. Wystąpiło ono tutaj w sposób wyjątkowo jaskrawy. Optyka twierdzi, że dwa promienie światła, przecinające się wzajemnie, zamiast większej jasności, wywołują w pewnych warunkach raczej zupełną ciemność. Myśl p. N., ta głośna, bo próżna myśl niepodległa sprawiła tu i wciąż sprawia przecinanie się światła nauk ludzkich ze światłem nauki Bożej. Jak w danym wypadku: zaprzeczono prawdy naukowej o świetle, żeby zaprzeczyć prawdy biblijnej. Naraz—obie światłodajne prawdy zabite, zgaszone: i oto mamy ciemność zupełną, wśród której zaledwo widnieją ponure baszty i kominy Ciemnogrodu...

Lecz patrzymy, oto i stamtąd błysnęło mdłe, mimowolnie wywołane światełko:

Nasuwa się pytanie—kończy p. N., czy czasem Biblia w tym przynajmniej kierunku nie zawiera, zamiast objawienia Bożego,—starożytnych wyobrażeń Żydów?

Właśnie, właśnie tak bywa! Chociaż tak nie jest w danym wypadku...

Na zakończenie tego rozdziału następcza mi się uwaga praktyczna, dotycząca Katechizmu. Faktem jest, iż w kwestji rozwoju materji, Kościół nie orzekł nic. Stoi ona dotychczas otworem dla badaczy i nie należy do sfery wiary i moralności, w której obraca się i na której ogranicza się Katechizm. Przeto nie miejsce tam dla zagadnień, jakkolwiek związanych z Biblią, których jednak rozwiąza-

nie dotąd nie jest ustalone i które należą raczej do nauki doświadczalnej. O ile zaś są one w związku z tekstem Ksiąg świętych, to miejsce ich w apologetyce, a przynajmniej—także i w nauce historii świętej. Angażowanie ich w Katechizm, do tego—elementarnym, do tego—nieudolne, jak u ks. Sokolika, naraża całkiem zbyt często religję na szczyby, jakkolwiek również nieudolne, ale mimo tego niebezpieczne, zważywszy, że „głupich jest poczet nieprzeliczony“ (Ekkle. I, 15). Katechizmy porządne, jak np. „Mały Katechizm“, uchodzący pod imieniem Piusa X, zagadnień owych zgoła nie poruszają.

Przeciwnicy nasi radząby we wszystkim, co wychodzi z ust katolickich, widzieć dogmaty wiary. Tem pilniej przeto obowiązaniśmy unikać następczania im do tego pozorów. Niestety, jakżeśmy skłonni do dogmatyzowania mniemań i poglądów osobistych, lub chociażby nawet opinji teologicznych, od dogmatu mniej lub więcej dalekich! Wrogowie nasi nadto sądzą nas z tego, co u nas w piśmiennictwie najslabsze i najgorsze. Rzeczy katolickich poważnych—tykać boją się! Tedy rzeczy słabych i nieudolnych w literaturze naszej być nie powinno. Precz z tandetą, która dyskredytuje naszą literaturę, jako wyrazicielkę naszych najświętszych ideałów!

ROZDZIAŁ II.

Chwała Boża, jako cel istnienia.

Słyszeliście, zapewne, czytelnicy, o klasycznej głupocie abderytów, mieszkańców starożytnej Abdery, uniesmiertelnionej przez Homera. Będąc w istocie „ideałem“ kretyzmu, tak, iż imię ich stało się jego synonimem, abderyci uważali sami siebie za ideał mądrości. Było to zarozumiałością, z którą właśnie chadzą w parze głupota. Naturalnie, w oczach obywateli Abdery—mędrcy uchodzili za głupców, albowiem inaczej od nich myśleli. Tak, na przykład, abderyci poczytywali własnego rodaka, filozofa Demokryta, za chorego warjata i domagali się od lekarza Hipokratesa, żeby go leczył ciemniźną. W niezrównanej głupocie swojej abderyci debatowali poważnie nad zagadnieniem, czyją własnością jest cień osła: właści-ciela, czy też tego, kto osła wynajął? Kwestja ta roznamiętniała szanownych obywateli do tego stopnia, że przez pewien czas o niczem innem w całej Abderze nie mówiono... Abderyci czcili i hodowali zaby, które w końcu tak się rozmnożyły, iż czcicieli swoich z ich siedzib wypędziły... Posąg Wenery, wysokości pięciu stóp, ustawili na obelisku osiemdziesięciostopowym... Budowali studnie, zgoła nie troszcząc się o to, czy trafią na źródło...

Któż nie widzi uderzającego, zaiste, podobieństwa naszych ciemnogrodzian do abderytów? Abderytyzm ich kwitnie osobliwie na gruncie religji. Poczytują wierzą-

cych za głupców, bo wiary nie rozumieją. „Ponieważ my—rozumują—jesteśmy ideałem mądrości i doskonałości, a nie wierzymy, zatem wiara jest głupstwem.“ Uprawiając kult materji, nasi abderyci debatują całkiem poważnie nad kwestją rodzaju środków odżywczych, ku wyrabianiu odpowiednich do potrzeb społecznych zawodowców. Gdy wskutek kultu materji rozmnażają się do rozmiarów plagi bakterje chorobotwórcze, ciemnogrodzianie przypisują to niepożądane zjawisko okrucieństwu naszego Boga... Na niebotycznym piedestale Bóstwa, stawiają oni lillipucią figurkę człowieka... Światło słoneczne zastępują latarniami elektrycznymi, które w Ciemnogrodzie palą się dzień i noc... Budują olbrzymie wodociągi i zagrzebują rury w piaszczystych wydmach, bo tak wypadło z ich rozumowań...

Pan Niemojewski jest wśród abderytów ciemnogrodzich—genjuszem. Genjalny ten abderyta należy do cechu „osobistych nieprzyjaciół Jehowy,“—jak nazywał sam siebie Ignacy Radliński, uczony orientalista... Wypada on z równowagi na widok idei Boga, w przedstawieniu jej katechizmem, więc chrześcijańskim, i usiłuje ratować „ten ideał ludu“ od „przedrażniania“ go przez księży (str. 9). Czyżby p. N. wymyślił Boga doskonalszego, aniżeli nasz chrześcijańsko-filozoficzny, którego przedstawiamy, jako uosobioną sumę doskonałości najwyższych, jakie tylko pomyśleć się dadzą?

W książeczce „O pochodzeniu naszego Boga“—cytuje p. N. samego siebie w „Objaśnieniu“—wyjaśniliśmy, skąd wzięło się pojęcie i imię Boga Jehowy i jak się historycznie rozszerzyła jego rodzina (!!!). Kto bodaj to przeczytał, jeżeli już nic więcej przeczytać nie mógł, ten zrozumie, że jeżeli istnieje Bóg, to nie może być takim, jakim go przedstawia każdy ksiądz... (str. 35).

Autor, widzimy, ma nadzwyczajne wyobrażenie o swojej „książeczce.“ Mniejsza z tem! Aleśmy ciekawi poznaciego „lepszego“ Boga, jeżeli istnieje. A jeżeli nie istnieje, tedy choć dotyczące go hipotezy... Próżna ciekawość! Zadaniem i celem autora jest jedynie negacja. W miejsce Boga, którego chce nam odebrać, pokazuje on nam... gruszki na wierzbie. Jeżeli istnieje „bóg,“ w duchu p. N., to jest on antytezą Boga prawdziwego. Tego p. N. powiedzieć nie chce, bo nie pozwala mu na to wężowa roztropność. My to jednak w swoim czasie wykryjemy.

Tymczasem—mała uwaga wstępna. Jehowa żydów—to tensam Bóg, którego wyznajemy i my, chrześcijanie;

ale jeszcze niedoskonały podmiotowo, w pojęciu żydowskim. W grubej duszy żydowskiej, przedstawił się On i objawiał, jako Absolut arystokracji i despotyzmu, z którego czerpał swoją powagę i żywotność absolutyzm ziemski, do czasu konieczny psychologicznie, jako środek wychowawczy. W Chrystusie Panu, w Jego Osobie, jak niemniej przez Chrystusa, przez Jego naukę, Bóg objawił się w pełni doskonałości, zdemokratyzował się w sposób niepojęty i niesłychany, tak, że ludziom głupim a pysznym wydał się i wydaje dotąd „głupstwem,” godnem wzgardy. Mimo wszakże demokratyzacji idei Boga, demokratyzacji, która stała się źródłem demokratyzmu w stosunkach międzyludzkich: społecznych i państwowych, Bóg Bogiem być nie przestał. Jako Istota najdoskonalsza i najwyższa, nie może On nie wymagać od swoich stworzeń rozumnych, chwały najdoskonalszej i najwyższej. Zmianie demokratycznej uległy mogły i uległy jedynie sposoby i środki, które regulować mają stosunek ludzi do Boga, jedyny możliwy stosunek stworzeń do Stwórcy — i odwrotnie.

Taka jest nauka chrześcijańska. Tymczasem w pojęciu p. N., Katechizm czyni z Boga — „pyszałką!” Naprzód i przedewszystkiem, gdy każe Go chwalić ludziom i aniołom:

Jest to, zaiste, — grzmi autor — przypisywanie Bogu bezdennej próżności i pychy, uznanej przez katechizm za jeden z grzechów głównych. Bóg miał powołać do bytu całą ludzkość, ze wszystkimi jej cierpieniami, aby go chwaliła. Katechizm, tak przedstawiając Boga, odbiera mu w wysokim stopniu cechę doskonałości, bo skromność. Człowiek nie powinien czynić dla częściej chwalby, a cóż dopiero Bóg! (Str. 18).

Hm!... wspaniała niedorzeczność, godna geniusza Ciemnogrodu. Tem efektowniej — za, że wypowiedziana tak zamasyście. Głupstwo, wypalone z brawurą, podbija... Bóg, oskarżony o jeden z grzechów głównych, o pychę, i to w gatunku poślednim, takim, który „upoważnia” do nazwania Boga „pyszałką.” Niedorzeczność wspaniała — powtarzam, zatem i kasek dla apologety melada.

Pan N. podciąga tu Boga pod strzechulec demokratyczny, w rozumieniu socjalistycznym, które nie dopuszcza żadnej absolutnie wyższości. Rewolucja francuska znalazła na nią środek, o tyle prosty, o ile radykalny, pod postacią maszyny Guillotina. Pan N., nie mogąc ścierpieć wyższości Boga nad człowiekiem, — nie! — nie mogąc ścier-

pieć obrazy Boga przez Katechizm, gilotynuje Go swoim rozumowaniem, — znowu nie! — obdarza Go „cechą doskonałości” — skromnością...

Skromnością! Jakież to rozczulające w ustach... słuzebnika... myśli niepodległej! Skromnością, więc — pokorą: skromność bowiem — to jedna z barw, na które pokora rozszczepia się w pryzmacie analizy. Więc pokorą, która w duchu myśli niepodległej, uchodzi za podle służalstwo. Pokorą, którą pewna socjalistyczna kolenda, urągając urodzonej w szopie betleemskiej Dziecinie, kopnęła:

*Cicha pokora wobec katuszy
Naszych kajdanów także nie skruszy,
A za pobożne westchnienia
Bóg nam twardego kamienia
W chleb nie przemieni!
Więc zamiast znosić wszystko w pokorze,
Cierpliwie czekać na cuda Boże,
Hardo podnieśmy swe głowy
A rwiemy ciężkie okowy
Wspólnymi siły! ¹⁾*

Pokorą, wreszcie, którą sam p. N. w „Katechizmie wolnego myśliciela” w imię nauki potępił. Czytamy tam, co następuje:

P. Jaki typ człowieka buduje nauka? O. Typ człowieka skromnego a niezależnego. P. A religja? O. Typ zarozumialca i niewolnika. P. Zdawało mi się jednak, że religja uczy pokory? O. Nie jest to pokora szczerą. P. A czy nauka nie zaleca pokory? O. Bynajmniej, jest to bowiem uczucie niewolnicze.

Mówi na to Jeske Choiński: „Więc nauka hodzi typ człowieka skromnego i równocześnie nie zaleca pokory, bo to uczucie niewolnicze? Echo pychy Nietzschego (moralność panów i niewolników) wypłatało figla logice niepodległego katechety, iż przeoczył, że trudno być skromnym bez odrobiny pokory.” (*Dziennik Powsz.* N. 37 z r. b.).

W miejsce tedy „skromności” podstawiamy pokorę. Jesteśmy do tego upoważnieni tem więcej, że pokora jest wyraźniejszym przeciwstawieniem pychy, którą p. N. za-

¹⁾ Ob. „Dwa kazania polityczne” przez X. I. Ch.

rzuca Bogu. Użył on wyrazu „skromność,” bo z zalecaniem pokory byłoby mu nie do twarzy; czuć przytem musiał, że jeśli w jego pojęciu pokora nie przystoi ludziom, tembardziej Panu Bogu. „Skromność” głódziej przez gardło niepodległe przechodzi, lubo nie bez krztuszenia się, zapewne...

Pytamy tedy, co ma Bóg do pokory? Prawda, mistrzem pokory i w pokorze był Chrystus: ale jako człowiek i jako człowiek Ten, który wziął na swą duszę występki i zbrodnie wszechludzkie. Lecz jako Bóg?! Wobec kogo Pan i Stwórca wszechrzeczy ma być pokorny? Może względem samego siebie, gdy nie ma po nad sobą nikogo? Ależ On jest Doskonałością najwyższą i absolutną!

Czy mamy za złe genialnemu człowiekowi, że ma poczucie i świadomość swojej potęgi? Przeciwnie; uważamy raczej, iż gdyby świadomości tej nie miał, byłby osłem, dźwigającym skarby. Co innego — wynosić się nad innych z powodu swojej wyższości, skakać ludziom z nią do oczu, traktować ich wzgardliwie, jak to właśnie czyni p. N., w mniemaniu najfałszywszem w świecie, jakoby zjadł z kretesem rozum katolicki, gdy on go liznął zaledwo. Liznął, nie zasmakował w nim i odrzucił go z pogardą irokeza, któremu podano pasztet.

Człowiekowi nie godzi się wynosić ponad człowieka, gdyż nikt z ludzi nie dał sam sobie tego, co posiada z darów natury czy Łaski. W myśl słów Pawła Apostoła: „Co masz, czegobys nie wziął (od Boga), a jeśliś wziął, przecz się chlubisz?” (I do Kor. IV, 7). Skąd wniosek Psalmisty: „Nie nam, Panie, nie nam, ale Imieniowi Twojemu daj chwałę!” (Ps. CXIII, 1). Człowiek nie zdobyłby także tego, co własną pracą zdobywa, gdyby nie otrzymał był od natury narzędzi zdobywczych: duchowych czy fizycznych.

Ale kto i co dał *Dawcy wszystkiego wszystkim*?! Stworzenie rozumne ma dawać Bogu chwałę, jakoby haracz i procent moralny z tego, co od Niego otrzymało. Owszem, i materialny, ile, że chwała Boża wymaga i kształtu materialnego na ziemi. Jest to więc poniekąd zwracanie Bogu tego, co od Niego wyszło. A przedewszystkiem samozwracanie się Bogu dusz, dla Jego chwały, a ich szczęścia. Iści się tym sposobem w dziedzinie ducha prawem, analogiczne z prawem ciężenia powszechnego w kosmosie: jak ciężenie wszech światów zmierza ku nieznanemu

nam gwieździe centralnej, podobnie ciężenie wszech duchów zmierza ku nieznanemu, a jednak znanemu Bogu, Duchowi Najwyższemu.

Jakiż inny cel mógłby Stwórca rozumnemu stworzeniu swojemu wyznaczyć? Jakiż inny — wyższy i doskonałszy? Wszystko, co poza Nim, niższe od Niego!

Naiwnem bluźnierstwem jest upatrywać objaw pychy w tem, co wypływa z natury rzeczy, czego wymaga naturalny stosunek stworzenia do Stwórcy, co jest wynikiem doskonałej samowiedzy Boga.

Bóg nie jest i być nie może: ani pysznym, ani pokornym, albowiem: Bóg jest *Bogiem*! Pokora — to cnota, pycha — to przywara: czysto ludzkie, w ogóle — właściwe stworzeniom rozumnym. Gdzie jest jedna z tych właściwości, tam pojawia się i druga, jako zaprzeczenie tamtej. W życiu żadna z nich samopas nie chodzi. Gdyby Bóg miał być pokorny, znaczyłoby to, że jest On skłonny i do pychy, że więc byłby zmuszony toczyć sam z sobą walki, co się pojęciu Boga przeciwi. Wreszcie, cóż to jest pycha? Jest to mniemanie o sobie ponad wartość rzeczywistą. Otóż Bóg poznaje sam siebie, jak i my Go poznajemy, jako Wartość najwyższą, ponad którą mniemania wyższego być nie może.

Żąda Bóg chwały? Nie naturalniejszego!

Przedewszystkiem jest On pełen majestatu chwały sam w sobie. Skoro zaś powołał do bytu światy istot rozumnych, tedy należy Mu się od nich chwała, t. z. zewnętrzna (*ad extra*), w przeciwstawieniu do wewnętrznej, którą On ma sam z siebie. Chwała jest prostem, naturalnem promieniowaniem ideałów: prawdy, dobra, piękna. Bóg jest ich uosobieniem, jest żywym i niestworzonym Wszech-Idealem. Więc promienieje chwałą Jego z dzieł Jego, w które włożył wszechmocnie swą mądrość, piękność, dobroć. „Niebiosą rozpowiadają chwałę Bożą, a dzieła rąk Jego oznajmuje utwierdzenie” (Psalm XVIII, 2).

Glorją słońca jest jego fotosfera świetlna. Odbija się ona od Ziemi oraz innych planet, należących do systemu słonecznego, i odświeca Słońcu, jak umie i może. Podobnie glorią Bożą odbija się we wszechstworzeniu. Stworzenie rozumne i wolne powołane jest odświecać Bogu świadomie i dobrowolnie: i nie tylko w imieniu własnem, ale także w imieniu twórców niższych rzędów, twórców organicznych i nieorganicznych, jako ich kapłan.

W rezultacie, cóż to jest chwała, pod kątem widzenia chwalców odbita? Jest to poznanie bierne i uznanie czynne wyższości chwalonego. Bóg jest Istotą Najwyższą i chwały najgodniejszą. Jako taką Istotę, my Boga poznajemy.

Są to naturalne i konieczne konsekwencje idei Bóstwa. Tak dalece, iż kto tę ideę przenosi na człowieka, ludzkość, przyrodę,—ten je do nich stosuje. Dawid Fryderyk Strauss, zwany „ewangelistą niewiary“, ubóstwiał przyrodę. Dlatego, polemizując z Getem o nieśmiertelność duszy, zalecał mu pokorę wobec „niezłomnych i świętych praw“ przyrody, które, wedle niego, nie przeznaczyły człowiekowi nieśmiertelności.¹⁾ Tensam wprawdzie koryfeusz ateizmu, gdy leżał na łożu śmiertelnym, polecił czytać sobie o nieśmiertelności duszy z Platońskiego „Fedona“... August Comte, twórca pozytywizmu, głosił: „*Nos dieux sont les grands hommes*“—„Naszymi bogami są ludzie wielcy.“ A tej proklamacji jego odpowiedziała czynem Trzecia Rzeczpospolita francuska, zamieniając po raz trzeci świątynię św. Genowefy, patronki Paryża, na Panteon mężów zasłużonych.²⁾ Nasz Adolf Dygasiński wyznawał, iż modli się do przyrody... Podobnie p. Niemojewski korzy się przed obliczem „bóstwa“ Myśli Niepodległej, oddaje mu chwałę, pali mu kadzidła.

„Nie masz nic ciekawszego i głębiej znamiennego—powiada słusznie filozof francuski, Caro,—nad tę wielką usilność, z jaką pewni uczeni starają się uniknąć Boga, a w końcu zawsze znajdują Go pod inną nazwą.“³⁾ Zawsze—nie zawsze. Bywa, że i pod inną postacią, wręcz bałwochwalczą.

Bóg jest niewątpliwie Myślą Niepodległą, żywą, uosobioną, odwieczną i nieśmiertelną, którą wszakże p. N. przenosi w człowieka, żeby go ubóstwić i na miejscu Boga postawić. Że jednak myśl, jako emanacja ducha ludz-

kiego, jest czemś od niego odrębnem, tedy składa się jej hołdy, Bogu należne. Wraz bowiem z powrotem idei bóstwa, tego osiowego pojęcia wszelkiego systemu filozoficznego, powracają całe systematy dogmatyczne, z odpowiednim aparatem etycznym. Cała operacja polega na przesunięciu punktu ciężkości z Boga prawdziwego na jakiegoś fetysza, pod hasłem starodawnym: „Nie chcemy, aby Ten królował nad nami!“ (Łuk. XIX, 14).

I obierają sobie ludzie króla nowego, jak żaby w bajce Lafontaine'a, i jak one, na wyborze wychodzą. Powracają milczkiem do uznania obowiązku pokory i oddawania chwały, które atoli w rękę nowego władcy dają się srodze odczuć poddanym. Zachodzi coś podobnego, jak między następcą Salomona—Roboamem, a poddanymi mu żydami. Przyszli oni do Roboama i rzekli: „Ojciec twój włożył na nas bardzo ciężkie jarzmo, a ty ulżyj trochę z rozkazywania ojca twego, bardzo twardego, i z jarzma bardzo ciężkiego, które włożył na nas: a będziemy ci służyć.“ Na to Roboam: „Ojciec mój obciążył jarzmo wasze, a ja przyłożę do jarzma waszego; ojciec mój chlustał was biczem, a ja was chlustać będę basałykami“ (III Król. XII, 4, 14).

I srożej stokroć, niżli Roboamowe basaliki, chłoszczą człowieka namiętności, wyzwolone z pod nakazów Bożych. Gdy przeciwnie, jarzmo Chrystusowe wdzięczne jest, a brzemień Jego lekkie (Mat. XI, 30). Z chwałą Bożą, z wiernem oddawaniem jej Bogu, łączy się węzłem przyczynowym szczęście człowieka, które ma się do niej tak, jak pożytek moralny ma się do sztuki rzetelnej. Nie potrzeba go szukać i za niem gonić. Jawi się samoohcąc, jako wynik szczerzego szukania chwały Bożej przedewszystkiem: w życiu całym, społecznym i osobistym, w nauce, literaturze i sztuce.

Rzecz całkiem naturalna. Bóg jest Szczęściem Najwyższem. Oddawanie Mu chwały jest tym przewodnikiem, który z Nim, jako ze źródłem szczęścia, łączy człowieka. Bóg jest również Doskonałością Najwyższą, a doskonałość w duchu Bożym jest drogą do szczęścia i zarazem drogą do urzeczywistnienia chwały Bożej. Dodajmy do tego, że ponieważ Myśl i Wola Boża króluje nad myślą i wolą stworzoną, przeto myśl i wola człowieka, o ile zgodna z Bożą, uczestniczy w królowaniu: a zrozumiemy szczytne słowa autora „De civitate Dei“ (Augustyna):

¹⁾ „Stara i Nowa Wiara“, zwana przez apologetów „Summa contra Deum“, w przeciwstawieniu do „Summa contra gentes“ Tommasza z Akwinu.

²⁾ Za rządów Combresa radzono nad zdjęciem z kopuły Panteonu—olbrzymiego krzyża kamiennego. Cofnięto się atoli przed tem zadaniem wandalisko-masońskim, ze względu na trudności, techniczne oraz kosztą jego wykonania.

³⁾ „Comment finissent les dogmes et comment ils renaissent.“

„Służyć Bogu to znaczy królować!“ Jak niemniej one przedziwnie naiwne i oraz głębokie słowa Katechizmu: Pan Bóg stworzył mnie na to, żebym Go znał, kochał, Jemu wier nie służył, a potem z Nim w niebie królował. — Proszę wyobrazić sobie te słowa w ustach dziecka kilkoletniego, które w dodatku jest ubożuchne i odziane zgoła nie po królewsku. Byłyby one bolesnem szyderstwem z ubóstwa i nędzy, gdyby nie były przez żywą wiarę natchnione. Podyktowane przez wiarę, nabywają one w ustach dziecięcych cudownego wdzięku, z którym nie porównać się nie da. I gdzież niewiara znajdzie słowa, któreby tak podnosiły poczucie godności człowieka?!

Zaiste, chwała Boża nie jest „częstą chwałbą.“ Lubo nie przydaje ona Bogu nic, ani do Jego doskonałości, ani do Jego szczęścia, jest Mu wszakże potrzebna, wręcz konieczna, jako wyraz prawidłowy stosunku stworzenia do Stwórcy. Bez niej zbrakłoby harmonii między Stwórcą, który jest Harmonią Najwyższą, a Jego stworzeniem. Zerwany zostałby węzeł, wiążący Niebo z Ziemią, a Ziemia byłaby rzucona samej sobie na pastwę.

Prawda, wtedy też człowiek byłby niepodległy, o co właśnie chodzi p. Niemojewskiemu. Tak bardzo chodzi mu o to, że on, który apoteozuje człowieka, a w służbie Bożej upatruje hańbiącą go niewolę, nie waha się tegoż człowieka poniżyć:

Dlaczego Bóg, — pyta — Istota wszechmocna, wszechpotężna, wszechrozumna, tak ogromnie dba o to, aby był *uznany* przez marną jednostkę ludzką? (33).

Nie zdumiewajmy się nad tą przedziwną konsekwencją autora. Zauważmy natomiast przebiegłość, z jaką odsuwa on Boga od człowieka. Nie spostrzegł jeno nieborak, że sam na siebie zastawił tu potrzask. Zapomniał, że przedtem zalecał Bogu skromność, i teraz nastawił swoje działko przeciwko chwale Bożej ze stanowiska, które przed chwilą był zburzył: ze stanowiska wyższości Boga nad człowiekiem. I oto z mózdzierza ciemnogrodzkiego, na pytanie autora, wypala zgoła nieoczekiwana odpowiedź:

— Ależ dlatego właśnie, że Bóg, lubo Istota wszechmocna, wszechpotężna i wszechrozumna, nie jest jednak pyszałkiem i nie gardzi marną, bodajby najmarniejszą w oczach światowych jednostką ludzką!

Owszem: „...Tak Bóg umiłował świat, iż Syna swego jednorodzonego dał, aby wszelki, kto wierzy weń, nie zginął, ale miał żywot wieczny“ (Jan, III, 16). Co więcej: Chrystus wywyższa „podług“ tego świata ponad znakomitości ludzkie, utożsamiając się z „tymi najmniejszymi“ (Mat. X, 42; XXV, 45).

Co za szkaradne pudło! A p. N. miał tak daleko i tak zupełnie gdzieindziej idące zamiary, tak całkiem przeciwne myśli zamierzał podsunąć czytelnikowi! Zdawało mu się, że swoim pytaniem retorycznem ukazał mu przepaść absurdu katolickiego, przeraził go nią i skłonił do cofnięcia się od niej. A tu... co za fatalność!

Pójdźmy jednak w kierunku zawiedzionych intencji autora. Wycieczka niedługa.

Pan N. stanął był chwilowo na stanowisku mikropiasty, który odsuwa Boga jaknajdalej od ludzkości, od rządów nad światem, aby się ten Bóg w te rządy nie wtrącał i zostawił ludziom woność rządzenia się wedle ich woli, t. j. wbrew woli Bożej. Kiedyindziej, z tego samego obozu, do którego należy p. N., spotykamy się z mniej lub więcej bluźnierczymi wyrzutami, czynionymi Bogu, iż schował się za chmurami, gdy ludzkość wije się konwulsyjnie w cierpieniach. Notujemy tę sprzeczność, jedną z tysięcy, jakie płodzi nieprzebierająca w środkach i nierachująca się z logiką, tendencyjność ignoranckich a zło-wolnych przeciwników nauki chrześcijańskiej.

Sprzeczność ta nastęrcza nam przejście do innej, skierowanej przeciw tejże nauce: Bóg, chwała Boża — z jednej strony, cierpienie ludzkie — z drugiej.

Bóg miał powołać do bytu całą ludzkość, ze wszystkimi jej cierpieniami, aby go chwaliła!

Problem, lubo tu niepoważnie dotknięty, jednak sam w sobie głęboki, poważny i niepokojący wiele dusz najlepszych. Rozwiążemy go w duchu chrześcijańskim, gdy będzie mowa o piekle i zwłaszcza o grzechu pierworodnym. Tu tylko słów kilka wprost na zaczepkę ze strony p. Niemojewskiego.

„Bóg śmierci nie uczynił“ — świadczy Pismo (Mądr. I, 13). Wszystkie nieszczęścia ziemskie, cały ich korowód żałobny, ze Śmiercią na czele, — to proste następstwa grzechu ludzkiego. Człowiek otworzył mityczną puszkę Pandory, z której ku przerażeniu jego, wysypały się na świat

wszystkie nieszczęścia. A łaska Boża, że wedle tegoż mitu, po za osłoną którego widać prawdę o grzechu pierworodnym, o tej brzemiennej w klęski katastrofie, jaka w zaraniu dziejów rozegrała się w duszy ludzkiej,—że człowiek dość w porę ową puszkę zamknął, aby się w niej pozostała Nadzieja.

Przypomina mi się tutaj, com niedawno wyczytał w jednym z dzienników. Głośny milioner amerykański, Andrew Carnegie, który do milionów doszedł w bluzie robotnika i zachował po dziś dzień szlachetną prostotę obyczajów i poglądów, zwierzał się do pewnego publicysty, który przybył do niego z wywiadem: „Prawda, dużo jest jeszcze na świecie rzeczy, których nie rozumiem. Nie mogę sobie np. wytłumaczyć, czemu Opatrzność pozwala, by ludzie cierpieli, by na ziemi panowała nędza, choroba i grzech. Niepojętem wydaje mi się, że Stwórca nie niszczy wśród ludzi obłędnych pojęć, pozwalających na barbarzyństwa wojny... Ponieważ jednak dotąd nie jestem w możności rozwiązać tych zagadek swym słabym rozumem, pochylam głowę z myślą: niech się dzieje wola Twoja, Panie!” (*Dziennik Powszechny*).

Nie wiem, czy Carnegie jest katolikiem. Z tych jednak słów jego wnoszę, że to dusza chrześcijańska i że ten człowiek, *pomimo milionów*, oraz pomimo braku wykształcenia, jest mądrzejszy, aniżeli tysiące społecznych inteligentów, zwłaszcza polskich. W jego wątpliwościach religijnych są zarodki zarzutów tychsamych, które czyni Bogu p. Niemojewski. Przecież on nie przekuł ich na zatrute strzały przeciw Bogu, gdyż stać go na mądrość, żeby być pokornym w obliczu zagadnień, których nie rozumie. Tego fundamentu mądrości: pokory, nie szukać wśród pysznych obywateli Ciemnogródu.

Ciemnogród, przeciwnie, rozbrzmiewa czezą samochwalbą. Tem dziwniej, wśród tej symfonii wzajemnej adoracji, brzmi nam w uszach rozdźwięk, potępiający „czezą chwałę.” Jakto?—pytamy zdumieni—czyżby p. N. nie rozumiał, że żądza chwały jest wszechpotężną dźwignią i motorem życiowym?

Ależ rozumie, doskonale rozumie, chociażby na mocy uczuć osobistych, i ani się temu dziwi, ani tego za złe nie poczytuje. Ot, poprostu figiel sofistyczny.

Chodziło o to, żeby *co jest boskiego, oddać ludziom*. Ponieważ Bogu należy się chwała, tedy w tym celu po-

tępia się wszelką chwałę, jako rzecz próżną i czezą, niegodną człowieka, a cóż dopiero Boga! Skoro tylko zaś twierdzenie to spełniło swoje zadanie, polegające na odarcie Boga z należnej Mu chwały, wówczas idzie pod sukno, a... blask chwały, wydartej Bogu, zalewa Ciemnogród!

Figiel sprytny, przecież zanadto wyszarzany. Wykryć go łatwo, a wtedy Ciemnogród pogrąża się z powrotem w ciemnościach, tym jedynie właściwym sobie żywiole.

W podobny sposób, jak chwała, powraca do uznania także wzgardzona pokora. Powraca jednak pod postacią pokory bydlęcia, żeby można było na odpowiednią skalę urządzić życie obyczajowe. W tym kierunku wyzyskiwana jest teoria transformizmu i nawet teoria Kopernika. Nadczołowieczeństwo, jako postulat postępowej ewolucji w duchu ateistycznym—to tylko narkotyk, którym pycha odurza rozpetane z więzów religijnych zwierzę ludzkie. Pan N., jak widzieliśmy, w celu pozbycia się pokory wobec Boga, poniżył człowieka, jako „marną jednostkę.” tego człowieka, o którym powiada Pismo, że Bóg uczynił go „mało co mniejszym od aniołów, chwałą i czezą ukoronował go” (do Żydów, II, 7). Tak, macie wszystko, co u nas i w nas potępiacie i szkalujecie, jeno zwrócone ku innym bóstwom, takim, które schlebają namiętnościom i na ich lepi biorą was w sromotną niewolę!

Co do nas, rozróżniamy pomiędzy chwałą i czezą. Jest chwała czeza i jest chwała pełna treści. Czeza i próżna jest ta, która nie płynie z Boga i do Boga nie wraca. Bez względu na jej wielkość i olśniewającą chwilowo wspaniałość, wydaje ona w końcu czezy i niewonny dym, jaki zostawiają po sobie spalone ognie sztuczne. Żądza chwały, niepoczęta w Bogu, nie zapalona u ognia nieśmiertelnej chwały Bożej, ale owszem, usiłująca ognisko jej zagaścić, schodzi niechybnie na manowce herostratesowe.

Śława Herostratesa! Czarna, niebezpieczna i, przede wszystkim, warjacka. Ale głośna!

Pożar świątyni Djauny w Efezie, podpalacz jej, Herostrates, przypłacił życiem.

Pan Niemojewski zdeptał, zelżył, sponiewierał i w końcu spalił *in effigie* Katechizm. Czy i on przypłaci cokolwiek ten czyn zbrodniczy i szalony? Niewątpliwie! Byłe nie duszą własną! Raczej wszystkim innem, byłe nie duszą...

Sprawiedliwość Boża, w pomście swojej zawsze logiczna, bywa w jaskrawych wypadkach logiczna jaskrawo. Jaurès, fanatyczny prześladowca Kościoła francuskiego, „traci” ukochaną jedynaczkę w klasztorze. Synowie i nawet córki dygnitarzy rosyjskich, uprawiających politykę siły przed prawem, rzucają się w szeregi rewolucyjne i stawiają swych ojców w roli przymusowych prześladowców dzieci rodzonych...

Sprawiedliwość logiczna i miłosiernie mądra, gdyż otwiera oczy złych na złe, które czynią. To ich *Mane, Tekel, Fares!*

Dzieje zwracają uwagę na okoliczność, że w dniu, w którym świątynia Artemidy Efeskiej zgorzała, przyszedł na świat Aleksander Macedoński. Czy w czasie, kiedy p. N. zagwiał niepodległego fanatyzmu podpałał stos z palnych produktów myśli niepodległej, na którym złożył Katechizm; w czasie, kiedy w ogóle przeczenie ateistyczne doszło do najwyższego napięcia: nie narodził się wielki Macedończyk katolicki, którego zadaniem będzie zburzyć niepodległe królestwo Ciemności? Który napisze nowocześnie, naukową i epokową „Summa contra gentes,” jak ja tu piszę popularną Summę w miniaturze przeciwko ludowej „Summa contra Deum” p. Niemojewskiego? Albo który potężną natchnieniem chrześcijańskim pieśnią, rozbije i rozproszy chmury niewiary, nagromadzone przez szereg pokoleń, wykarmionych na niedowiarstwie, i ukaże milionom Słońce Objawienia? Albo który wreszcie genialnym czynem zada cios śmiertelny pysznej myśli Wolnej, uprawiającej pod swoją fałszywą firmą fanatyzm i zakuwającej myśl społeczną w żelazne pęta negacji?

Czy p. N. doczeka tego, czy nie, pragniemy dlań z pełności serca chrześcijańskiego, jako pomsty najwyższej, ale zarazem dla niego zbawczej, żeby patrzył na pogrom dzieła, do którego zapamiętałej ręki swojej przykłada, żeby się jego nadzieje rozwiały bezlitośnie w jego oczach, żeby uznał się zwyciężonym i własną robotę sam potępił. Niechajby wspomniął na los Juliana Odstępcy na polach Ktezyfonu i opamiętał się wczas, aby go po niewczasie nie potępił „człowiek tajemniczego pochodzenia”, „Galilejczyk.”

Zgola to nie dziwne, że wiele jest pokrewieństwa duchowego między Julianem Odstępcą a współczesnymi nam wrogami Chrześcijaństwa. On—ich pierwowzór po wszy-

stkie czasy, oni—jego naśladowcy. W osobliwy jednak sposób uderza to pokrewieństwo z pierwowzorem w panu Niemojewskim. Tesame metody walki, to samo dzikie i wyrafinowane okrucieństwo myślowe, to samo w rezultacie wywrócenie na nice pojęć chrześcijańskich. Dla obu Chrześcijaństwo jest „bezbożne,” a chrześcijanie — „bezbożnymi galilejczykami.” Obaj też marzyli lub marzą o jakiejś chimerze Boga doskonalszego, doskonalszego od Doskonałości Najwyższej, jaką objawił nam w całej pełni Chrystus i jaką w pewnym stopniu, zgodnie z Objawieniem, wypracował genjusz ludzkości. Dodajmy do wyrafinowania cezara Odstępcy — dozę pasji nerońskiej lub dantowskiej, oraz rozumowania *à la* Rozbicki, a będziemy mieli obraz duchowy naszego pogromcy Katechizmu.

Oto tytuły do chwały, oto chwała! Do historii, chociaż nie powszechnej, zapewne przejdzie: czy jednak nie stanie obok chwał herostratesowych?! „Objaśnienia” p. N. jakoś nie reklamuje nawet prasa wolnomysłna...

Całkiem inaczej pojmuje chwałę ludzką Chrystjanizm. Wierzący głęboko a mądrze chrześcijanin może wydawać się pysznym w oczach niepodległowców. Jako pychę mogą mu oni poczytywać i poczytują jego nieczem niezachwianą pewnością siebie w wyrokowaniu, miazdzącem przeciwników. Ta wszakże pewność siebie płynie z Boga, z wiary mocnej w Jego słowo. Ażeby wierzyć, trzeba ukorzyć rozum swój ludzki wobec Rozumu Najwyższego, choć ukorzyć rozumnie.¹⁾ Przyswoiwszy sobie mądrość Wiary przez pracę myśli, twierdzą, bez uczucia pychy, lecz z uczuciem radosnego dziękczynienia Bogu, że jest mądry: mądrością nie własną, ale Bożą. Na mocy też powagi Bożej orzekam, że ludzie, którzy nie wierzą, bez względu na swoje dyplomy naukowe i uzdolnienie, są głupi. W tem świetle rozumiemy Mickiewicza, gdy woła do Boga:

*Panie! mą pychę duch pokory wzniecił;
Choć górną błyszczą na niebios błękitach,
I ani! jam blaskiem nie swoim zaświecił,
Mój blask jest słabe Twych ogniów odbicie!*²⁾

¹⁾ Naturalnie, i tu jest miejsce dla pychy rozumu, o ile rozum, niedość wykształcony, wyciąga z przesłanek dogmatycznych wnioski fałszywe, a mimo tego narzuca je w imię wiary; albowiem, gdy chce błyszczeć sam dla siebie raczej, aniżeli dla Boga.

²⁾ Strofa z wiersza: „Rozum i Wiara.”

I taka chwała ludzka, będąca odbiciem chwały Bożej, jest nieśmiertelna, wielka, czysta i dobroczynna.

Zupełna antyteza chwały niepodległej! To przeciwieństwo pojęć o chwale i o wszystkim innym, przypomina przeciwieństwo pomiędzy sposobami pisania: europejskim i azjatyckim. My piszemy od lewej ręki ku prawej, azjaci — od prawej ku lewej; my piszemy wiersze poziomo, oni — pionowo; nasza, w końcu, stronica pierwsza — jest ich stronicą ostatnią.

Tę wspaczną i wsteczną metodę możnaby nazwać metodą raka. P. N. idzie rakiem, nie tylko w sferze pojęć oderwanych, ale nawet na gruncie historycznym, jak to już widzieliśmy i jeszcze niebawem zobaczymy. Dla tegoż z nim nie można się zgodzić w niczem absolutnie. Jeśli gdzie zgoda nastąpi, to tylko przypadkiem, wbrew najszczerszym intencjom naszego przeciwnika.

W ścisłym związku ze sprawą chwały Bożej stoi Niebo, gdzie jest jej ognisko, oraz cel ostateczny chwały, oddawanej Bogu przez Ziemię. Z powodu określenia Nieba, p. N. woła z irytacją belfra:

Znowu katechizm robi z Boga pyszałka, który „oglądanie siebie przez wieki“ poczytuje za najwyższe szczęście człowieka! (str. 29).

W zarzucie tym rozróżnić należy dwa momenty: a). Bóg katechizmowy jest „pyszałkiem“, ponieważ oglądanie siebie poczytuje za szczęście człowieka; b) nadzieja tego szczęścia jest udziałem głupców, ponieważ Bóg pyszałkiem nie jest. Części pierwszej p. N. dowodzi „historycznie“:

Pojęcie to przyplątało się do nas ze wschodu azjatyckiego, gdzie różni władcy wedle ceremonjału musieli jeść osobno, nie pokazywali się ludowi prostemu, nie mówili do niego, aby otoczyć się tajemniczością i wzbudzić jaknajwiększy szacunek i jaknajwiększy strach. Wedle postanowienia papieża Urbana VIII, papież musieli także jeść w odosobnieniu. Ukazywanie się papieża ludowi uważane jest za moment wielce uroczysty. Te arystokratyczne wyobrażenia przeniesiono nie tylko na Boga, ale na Jezusa Chrystusa, syna cieśli nazaretańskiego, prostaczka, który właśnie wciąż żył z ludem i w żadne nie bawił się ceremonjały.

Już to strzelcy ciemnogrodzcy nie celują celnością swych strzałów. Przekłete ciemności! Chodzi przecież, nie o stosunek do Boga ziemski, ale niebiański. Właśnie w Niebie, w przeciwieństwie do obyczajów „azjatycko-pa-

pieskich“, Bóg daje się wybranym widzieć „twarzą w twarz“ (I do Kor. XIII, 12) — przez wieki: wzbudza nie postrach, ale miłość, coraz to większą: bo jest Miłością i Pięknością doskonałą, nieskończoną. I cóż innego, cóż doskonalszego mógłby Bóg dać ludziom, nad siebie samego? Jakież szczęście wyższe — nad udział w szczęściu własnym?

Jak nie można lepiej, powiada o tem „Sprostowanie“ Polaka-Katolika: „Kto się choć cokolwiek zna na budownictwie, ten, zbliżywszy się do katedry Kolońskiej, oczu od niej oderwać nie może: obchodzi ją naokoło, przygląda się wszystkim jej szczegółom (oddala się od niej, — dodajmy — żeby jej całość imponującą ogarnąć) i przy tej czynności całe godziny i dnie krótkimi mu się wydają. Im dłużej przygląda się tej budowli, tem więcej doskonałości w niej odkrywa, tem się więcej zachwycą. Są ludzie, którzy całe godziny i dnie całe spędzają przed Madonną Rafaela. A utwory muzyczne, śpiew, poezja: czyż nie pociągają ku sobie ludzi, czy nie dają im zapominać, że są na ziemi? Jeżeli to, co ludzie utworzyli, tak zajmuje i uszczęśliwia człowieka, to cóż dopiero powiedzieć o Doskonałości Najwyższej, a żywej, jaką jest Bóg?!... Trzem apostołom tylko przez chwilę dano było widzieć Chrystusa w Jego chwale, a i to już wystarczyło, że w zachwyceniu wołali: Panie, dobrze nam tu być!...“ I chcieli już budować przybytki i na zawsze na Taborze pozostać. Stracili poczucie bytu ziemskiego i zdało się im, jakoby się już w Niebie znaleźli. Bo Niebo tam, gdzie Bóg! Rozniebiłoby się samo piekło, gdyby tam Bóg zstąpił...

Katedra Kolońska! Małoby było powiedzieć o niej, że to królowa miasta Kolonji, której ogrom nad rozległymi murami jego panuje, której dzwony uroczyste — różnobarwną wrzawę wielkomejską — głąszą tonem dominanty. Katedra Kolońska — to własność, chwała i duma świata katolickiego. Więcej! To Katolicyzm, wcielony w masę kamienną, misternie rzeźbioną! Pędem, nadanym mu przez wielką sztukę, natchnioną przez geniusz Katolicyzmu, ten olbrzym rwie się do góry i za sobą ludzi porywa. Kamienna, koronkowa, wniebopędna masa — symbol tryumfalnych dążeń Kościoła wojującego, obraz ziemski niebieskiego mieszkania Boga, aniołów i wybranych ziemian...

Spojrzyć na katedrę Kolońską — i potem zamknąć oczy na miasto, wyraz tego świata, wyraz najwyższej kultury tego padółu nędzy i bólu...

Patrzcie! Tłumy cudzoziemców różnej wiary biegną do tej katedry-cudu, cudu świata katolickiego. Biegną do niej prosto z dworca kolejowego, z wykwintnymi tobołkami w rękach. Biegną; nagle stają olśnieni, z całą duszą w oczach. Stanęli u stóp olbrzymia gotyku, co rósł przez lat pół tysiąca, zanim dosięgnął szczytu swego rozwoju. I pogrążają się w kontemplacji, niebaczni na niebezpieczeństwo, jakim zagrażają im co chwila tramwaje i tjakry...

Co myślą wtedy te rzesze pielgrzymów swego rodzaju? Może o tem, że „papieże musieli jadać w odosobnieniu?”

Jam czuł się tam dumnym i wzruszonym, zem katolik! Niejeden zaś różnowierca lub bezwyznaniowiec zastanowił się niewątpliwie nad potęgą wiary, która stwarza takie cuda, i uczył się jakby wydziedziczonym z dóbr Kościoła katolickiego...

A kopuła u św. Piotra w Rzymie, nazwana przez Getego „Himmel unter dem Himmel” („niebo pod niebem”); a brama główna w baptysterjum Florenckiem, nazwana przez Michała Anioła „bramą do raju” — i dziełki innych arcydzieł, które stworzył genjusz ludzki, natchniony przez genjusz wiary katolickiej, a które na różny sposób obrazują Niebo empirejskie i jego rozkosze!¹⁾

Te zaś przedmioty, które dają tyle rozkoszy estetyczno-religijnej, to są tylko nieudolne próbki wobec szczęścia w Niebie, gdzie główną atrakcją jest jego Pan i Władca. Piękno arcydzieł ludzkich opatrz się; prędzej czy później dusza patrzącego wyczerpie je do dna i znowu głód uczuje. Głód spotęgowany, pożądający rozkoszy coraz to wyższych i doskonalszych. Bo to jest zadanie sztuki, żeby budziła tęsknoty nieziemskie za ideałem doskonałym, żeby dusze ludzkie podnosiła wciąż wyżej. Miał-że by ten głód nie być nasyconym? A sztuka go nie nasyci. Ona tylko robi oskome. To jej fatum...

Ten głód piękna, zarazem i prawdy i dobra, — nasyci Bóg w życiu przyszłym: nasyci sam sobą, swoim własnym widokiem. Albowiem jest On żywym, niestworzonym, by-

tującym sam przez się, Wszech-ideałem, do którego dążenie jest treścią życia ludzkiego, ile, że wszelkie dodatnie ideały ludzkie w Nim się zawierają i w Nim mają swoje źródło nieprzebrane.

Nie rzucam-że pereł wiary przed „wieprze?...”

Refleksja ta trwożliwa strąca nas z pod nieba górnych rozważań i zmusza do powrotu ku rozważaniom przyziemnym p. Niemojewskiego.

Panu N. chodzi o samą ideę szczęścia, polegającego na „oglądaniu”. Jemu mniejsza z tem, że Bóg jest hojniejszy w pozwalaniu oglądania siebie — od władców azjatyckich i od papieży. Staśmy-ż na jego stanowisku.

Stanąwszy na niem, pytamy go: na jakim to dokumencie historycznym oparł on swoje twierdzenie, że arystokratyczne wyobrażenia azjatyckie „przeniesiono” na Boga? Kto i kiedy przenosił tych dokonał? Czy to nie jest czysto subiektywna operacja p. Niemojewskiego? Czy raczej nie dokonał się proces wręcz odwrotny, spowodowany dążeniem władców do apoteozy? Bo co jest pierwsi: oryginał, czy kopja? I dlaczego wyobrażenia owe miały się narodzić koniecznie tylko na wschodzie azjatyckim? Czy one nie są raczej objawem, właściwym wogóle naturze ludzkiej, bez różnicy położenia geograficznego? A choć Wschód jest kolebką ludzkości i jej kultury, czemużby pojęcia podobne nie mogły narodzić się samodzielnie i na Zachodzie, skoro natura ludzka jest zasadniczo tasama pod każdym stopniem długości i szerokości geograficznej? Wkońcu, co wspólnego właściwie ma idea oglądania Boga z ideą oglądania despotów azjatyckich, — prócz wyrazu?

Gdyby oni, jak Bóg wybranym, okazywali się ludow, nie wyjątkowo i uroczyście, lecz stale, — któżby w ich nadczłowieczeństwo czy bóstwo uwierzył? Im potrzeba było sztucznych środków *prestige'u*, bo inaczej w oczach nawet pospółstwa wyszliby na dudków, co się w cudze pióra stroją. Oni to dobrze rozumieli — i stąd wytrysło owo źródło wyobrażeń arystokratycznych. Sprowadza się ono w gruncie rzeczy do żądzy imponowania tłumom, właściwej nie samym tylko władcom. W języku bulwarów paryskich zwie się to poprostu — blagą.

Zresztą, o ile chodzi o utrzymanie uroku władzy, której pochodzenie z Góry zawsze i wszędzie rozumiano¹⁾,

¹⁾ Zasada ta nie przesadza bynajmniej, czy władza ziemską *powstawać* ma z góry czy z dołu, dynastycznie czy przez głosowanie

¹⁾ Niezliczone, zresztą, porównania można czerpać i ze świata przyrody, np. z widoków górskich, i zwłaszcza z dziedziny życia duchowego ludzkości, np. z obcowania z wielkimi ludźmi.

to, wobec barbarzyńskiego tłumu, niedostępnego dla rozumowań, konieczne były poważne środki wywierania wpływu odpowiedniego na wyobraźnię. Dyktowały je względy pedagogiczne, oparte na zrozumieniu psychologii ciemnych mas ludzkich. Król—to bożyszcze ludu, który widzi w niem upostaciowanie i wykwit własnej potęgi i chwały. Chwała bożyszcza ziemskiego musi wyglądać tak, jak ją sobie wyobraża lud, władca swego władcy.

To znowu drugie źródło ceremoniałów: w Azji czy Europie, w pałacach czy świątyniach.

Weźmy np. pod uwagę fakt przyjmowania posiłku w odosobnieniu, praktykowany nie przez samych tylko papieży. Odżywianie się—to czynność ostatecznie zwierzęca. Zestawienie jej z godnością władcy, pomazańca Bożego, wywołuje dziwny efekt, jakby jedzenie było czemś gorszącym. Człowiek rozumny potrafi jedno z drugim pogodzić, bez uszczerbku dla szacunku, należnego przedstawicielowi władzy wyższej, jako takiemu. Ale człowiek z gminu, niekulturalny? Ten, na widok jedzącego jak zwykły śmiertelnik władcy, zgorszyłby się niewątpliwie. Prawda, pokarmy dawano nawet bogom; ale śmiertelni widzieć nie mogli, nie powinni byli, jak bogowie uczuć. Instynkt ludu domagał się dyskrecji wobec tej czynności, spełnianej przez bogów i władców. Tym sposobem następowało milczące porozumienie między obu stronami. (Juści, za wyłączeniem bogów, którzy mieli usta, lecz nie mieli, biedacy, żołądków...)

Demokratyczny duch czasu znosi obyczaje podobne, jako przeżytki arystokracji. Pius X, jak wiadomo, zerwał z dotyczącym punktem ceremoniału, jako i z wielu innymi. Czy atoli demokracja społeczna nie wniósł za sobą w stosunki międzyludzkie pewnej gminności?

Jeden z powieściopisarzy niemieckich, wróżbita kultury przyszłości, à la Bellamy, wprowadza obyczaj odżywiania się w specjalnych ubikacjach, w ścisłym odosobnieniu... Dawny obyczaj arystokratyczny ma się stać w przyszłości powszechnym. Arystokratami będą wszyscy...

powszechne. Chodzi tu tylko o uznanie, że, czy tak czy owak ona powstaje, źródłem jej zawsze jest Bóg. Na mocy tej zasady wszelka władza jest ograniczona Dekalogiem, jakby konstytucją Bożą, daną władnym wobec władców. Zasada ta więc stoi na straży interesów rządzonego społeczeństwa i nie dopuszcza tyranii zarówno ze strony monarchy, jako i ze strony demosa.

W obyczaju tym grał rolę jeszcze wzgląd inny: towarzyski. Ceremoniał, wymagający odżywiania się w odosobnieniu, podkreślał wyższość władcy ponad wszystkimi poddanymi. Tosamo jednak dzieje się po dziś dzień na wszystkich szczeblach hierarchii społecznej. Nie szukając daleko, pisząc to, jada zwykle w odosobnieniu, niby król..., choć demokracjizmowi sprzyja całą duszą...

Wreszcie, czy po dziś dzień również, ludzie, nawet inteligentni, nie potrzebują *prestige'u*? Jeśli znakomity pod jakim bądź względem, jeśli imię twoje chwałą rozbrzmiewa, —niech jeno zobaczą cię i przekonają się, że masz nos, jak wszyscy inni, w dodatku zakatarzony i potrzebujący chustki: oho, toś przepadł! „*Point de grand homme pour un valet de chambre*“¹⁾ — głosi przysłowie francuskie. Mówi ono za mało, choć mówi dużo. Jakże to nisko czapkują ludzie szyldom, choćby one pokrywały duchową pustkę lub tandetę!

Ze źródła pedagogicznego wypłynął i ceremoniał wobec Boga: o ile, mianowicie, oddala on od Niego laików, gdyż, poza względem pedagogicznym, ceremoniał liturgiczny jest wyrazem kultu, należnego Istocie Najwyższej. Tym względem kierował się Mojżesz, gdy np., imieniem Jehowy, wzbronił izraelitom wstępu do najświętszej części świątyni, zwanej *Sancta Sanctorum*, gdzie była przechowywana Arka przymierza. Wchodzić tam miał prawo jedynie arcykapłan. Podobnie z tych samych pobudek postępuje i Kościół w stosunku do Chrystusa Eucharystycznego, wzbraniając świeckim dotykania nawet tego, co dotyka Eucharystji. Pozatem, Kościół otacza Najświętszy Sakrament świetnym ceremoniałem, jako wyrazem kultu boskiego.

Mimo tego, jak świadczy z dumą Mojżesz o Jehowie: „Nie masz narodu tak wielkiego, któryby miał bogi, tak przybliżające się do niego, jak Pan Bóg nasz przytomny jest na wszystkie prośby nasze“ (ks. Powt. Prawa, IV, 7). Słowa te, z większą jeszcze słusnością, Kościół stosuje do Chrystusa Eucharystycznego, dającego się pożywać ludziom na pokarm dusz, pokarm, który ma odżywiać w duszach mistycznego Chrystusa i uzdalniać je do ubóstwienia w życiu przyszłym. Przez Eucharystję Chry-

¹⁾ Nie masz wielkiego człowieka dla lokaja.

stus jest arcywzorem demokratyzmu w duchu Bożym; jest, jako Bóg, najpopularniejszą na świecie Istotą. Z największą też słusnością Kościół stosuje do Niego słowa z księgi Przypowieści: „Kochanie moje być z synami człowieczy-mi.“

Przecież Bóg ostatecznie jest Bogiem! Jest On z istoty swojej Arystokratą, w najlepszym słowa znaczeniu. Jest On rzeczywiście *Ἀριστος* — Najlepszy: Najdoskonalszy! I właśnie dlatego, że Najlepszy zbliża się do ludzi, daje im Objawienia, prowadzi ku sobie, aby ich uczestnikami doskonałości swojej uczynił, aby ich uczynił arystokratami...

A od nas, ludzi, należy się Bogu, prócz miłości wzajemnej: cześć i chwała najwyższa; choćby najpoufalsza, o ile ją zdoła uczynić taką żywa wiara i miłość. W braku tych cnót w stopniu wyższym, żeby kult Boga nam nie spowszedniał, żebyśmy się z Bogiem gminnie nie spopolitowali, trzeba nam *prestige'u* ceremonjału. Aż póki Bóg, Król królów i Pan panujących, który „mieszka w światłości nieprzystępnej“ (I do Tym. VI, 16), nieprzystępnej dla oczu śmiertelnych, — nie ukaże się oczom nieśmiertelnym „twarzą w twarz“. Wówczas nie będzie najmniejszej obawy o spopolitowanie się gminne z Bogiem, na wzór Woltera lub Maćka, i przeto wszelkie przegrody ceremonjału upadną same przez się. W Niebie będą sami arystokraci ducha, przede wszystkim arystokraci cnoty, którzy zdolni będą Boga ocenić. Ocena ta wypowie się i wypowiadać będzie przez wieki wieków — nieustającym zachwyceniem, niepojętem dla śmiertelnych. „Oglądać“ Boga — to znaczy poznać Go intuicyjnie, bezpośrednio, i poznawać wciąż głębiej a głębiej, bez końca...

...Nie rzucam że znowu pereł przed „wieprze“? Pereł naszej wiary, naszej nadziei i miłości, których sam Chrystus wzbroniał nam nieopatrzenie miotać? (Mat. VII, 6).

„Wieprzem“ ewangelicznym jest, zaprawdę, kto te pereły, zamatowane w Katechizmie formułkową formą, które tam nie mogą wydawać właściwych sobie blasków, kto te pereły świętokradzko i brutalnie zdeptał. Nawet niewiara w te pereły, choćby ją samą usprawiedliwić, czynu zdeptania ich nie usprawiedliwia żadną miarą. Gdzież ta sławiona i głoszona na wszystkie cztery strony świata przez niedowiarków tolerancja?! Gdzież zapodział się ten rzekomy wynalazek ich, którym tak chętnie przeciw nam, acz niedoskonałym, ale uczniom Mistrza tolerancji, wojują?!

Wiemy! Nam zdarza się grzeszyć przeciw Chrystusowemu nakazowi tolerancji — tylko przez brak zrozumienia lub odczucia Chrystusa. Wy z zasady praktykować jej nie możecie i nie praktykujecie, boście Chrystusa-Boga odrzucili. Głoszenie jej z waszej strony, to tylko goły manewr taktyczny — nie więcej! Zastraszyć jej hasłem, zwracanem przeciw nam bojowo, zastraszyć małodusznych z pośród nas, odurzyć, oszołomić ich czujność, — a potem bezkarnie fanatyzować... „Łapaj złodzieja!“ — wołać, będąc złodziejem: oto pierwowzór waszej taktyki.

Mysmy z wami szczerzy. Głosimy jawnie, iż nie uznajemy tolerancji dogmatycznej, bo nie możemy i nie wolno nam rzec się prawa zwalczania błędów, naszej wiary przeciwnych: byłby to objaw pospolitej dziś obojętności na prawdę lub fałsz, objaw umysłowego burzujstwa. Ale też i od przeciwników, tolerancji takiej nie żądamy. Uznajemy jednak tolerancję obywatelską, opartą na miłości bliźniego, bez różnicy wiary, stanu, narodowości, rasy. Ma ona źródło swoje w Bogu, w miłości Jego naszej i Jego nas. Wyście to źródło zaszpunktowali niedowierczymi sofizmami. Jeśli więc kto z pomiędzy was głosi tolerancję szczerze, to jest jak ten „głupiec“ Mickiewicza, który mówi:

... niech sobie źródło wyschnie w górach,
Byleby mi płynęła woda w miejskich rurach.

Pan N. chyba szczerem nie jest. W imię „pobudek obywatelskich“ szarga on i pomiata naszą wiarą, wiarą milionów, wiarą dziewiętnastowiekową!

W „Weselu“ Wyspiańskiego mówi Stańczyk (ja za nim) do dziennikarza (do p. N.):

Znam ja, co jest serce targać
gwoździem, co się w serce wbiły,
biczem własne smagać ciało,
plwać na zbrodnie, lżyć złej woli:
ale Świętości nie szargać,
bo trza, żeby święte były,
ale Świętości nie szargać,
to boli!...

Co panu N. do tego, że nas boli? On „nie z tego“, co boli nas! Bolejemy nad jego katowskim znieczuleniem na ból cudzy, ból nasz, ból bezinteresowny, ból na widok szargania naszych świętości. Bolejemy, chcemy „nie z tego“, co jego boli...

Jeszcześmy jednak nie skończyli rozprawy z p. N., z jego dowodzeniem azjatyckiem.

Gdzież źródło jego twierdzenia gołosłownego, że wyobrażenia azjatyckie „przeniesiono“ na Boga, Boga chrześcijańskiego? Szukać go należy w jego książeczce „O pochodzeniu naszego Boga“ i Jego „rodziny“. Tam przeprowadził on tezę, że: „nie Bóg stworzył człowieka, ale człowiek Boga na obraz i podobieństwo swoje“. Skoro tak, tedy rzecz prosta, że człowiek przeniósł na stworzonego przez siebie Boga swoje czyste ludzkie wyobrażenia.

Co za grube pomieszać nie pojęć! Co za ordynarny sofizm! Pomieszano tu ideę Boga z samym Bogiem, jako realnym przedmiotem ludzkiego poznania. Dokonano transpozycji bytu realnego w świat ideologii, i tam go uwięziono.

Człowiek istotnie mógł i może stwarzać *ideę* Boga i nie raz ją stwarzał, jak Arystoteles lub Platon. Jednocześnie jednak jest przekonany, że idei tej odpowiada rzeczywistość, jako postulat rozumu. Ideę Boga stwarza rozum ludzki drogą wnioskowania, wychodzącego z rzeczy widzialnych, jak to stwierdził filozoficznie św. Paweł w liście do Rzymian: „Bo rzeczy Jego (Boga) niewidzialne od stworzenia świata, przez te rzeczy, które są uczynione (widzialne), zrozumiane, — bywają poznane“ (I, 20). Gdy w dalszym ciągu idzie już, nie o istnienie Boga, ale o zrozumienie Jego istoty, rozum człowieka „stwarza“ Go na podobieństwo własne: przez przypisywanie Mu przymiotów swoich dodatkowych, potęgowanie ich do nieskończoności, w końcu przez abstrahowanie od Niego właściwości swoich cielesnych, oraz duchowych ujemnych. Bierze zaś człowiek za miarę samego siebie, albowiem poznaje się, jako najdoskonalsze ze znanych sobie dzieło Boże.

Ponieważ jednak rozum ludzki, mianowicie rozum tłumy, faktycznie zbyt słaby jest ku powzięciu czystej idei Boga, przeto ją raczej wypacza i karykaturuje, przypisując Bogu namiętności ludzkie, rozmnażając Go w „rodzinę“, uzmysławiając w bałwanach, aż w końcu staje się ona doskonałą formą dla wcieleń szatańskich. Taką wstecz-

ną ewolucję idei Bóstwa, taki jej rozkład i zwyrodnienie stwierdzają dzieje myśli ludzkiej w epoce przed-Chrystusowej. Dopiero filozofia grecka odrestaurowała jedność i duchowość Boga, przyczem fazą przejściową było uznanie bóstw poszczególnych, jako symbolów sił i przymiotów Boga jedynego. Przyszła potem filozofia chrześcijańska, wzmocniona Objawieniem (w sposób negatywny, uchylający błędzenie), i na ostatecznym wyniku myśli starożytnej, myśli Sokratesów, Platonów i Arystotelesów, pieczęć aprobaty przyłożyła.

Podobnie wsteczną ewolucję idei Boga, poniekąd jej powtór, postrzegamy także w dziejach myśli nowożytnej, wśród i pomimo atmosfery chrześcijańskiej, pod wszechwładnym protektoratem nauki, pod firmą postępu, pod flagą wolności...

To wszystko — są to ludzkie procesy myślowe, ludzkie pojęcia i wyobrażenia o Istocie Najwyższej. Wszystkie one świadczą o zasadniczym poczuciu i świadomości rodzaju ludzkiego, że istnieje ponad nim Potęga wyższa, absolutna: czy ją kto nazwie fetyszem lub bałwanem, Materją lub Przyrodą, Absolutem lub Niepoznawalnem, Bramą lub Kami, Allachem lub Bogiem. Sprawą krytyki porównawczej jest wykryć, któremu z tych pojęć o Bóstwie odpowiada rzeczywistość. Rozum Platonów i Arystotelesów, Augustynów i Tomaszów, Bakonów Pascalów, Newtonów, Koperników, nawet Millów i Darwinów, słowem, całej plejady gwiazd umysłowych ludzkości, gwiazd pierwszej wielkości na niebie poznania, — oświadczył się za Bogiem chrześcijańskim, katechizmowym. I te rozумы znalazły się w zgodzie z Objawieniem, które najwyższy ich wniosek potwierdza: wniosek, wyprowadzony ze wszech nauk, jako olbrzymich przesłanek.

A p. N., swoim rozumem chłopsko-niepodległym wywnioskował za pomocą... archeologii i filologii, że... człowiek... stworzył.. Boga!

Gdzież więc jest ów „Bóg“, stworzony przez człowieka? Według Katechizmu — Bóg stworzył człowieka, no, i tego człowieka widzi każdy z nas we własnej osobie i w osobach swych bliźnich. Gdzież więc ów „Bóg“? Może nam p. N. powie: „Oglądaliśmy, nawet nie jednego, ale całe rodziny Boga: w muzeum Guimet'a w Paryżu, w Grassimuseum w Lipsku i w innych. To są już okazy muzealne!...“

Jakże słusznie Prus, na będące w mowie twierdzenie p. N., powiada do swego kolegi szkolnego „Julku“ (a mógłby był powiedzieć i do idealnego Telemaka): „Jak mi to przypomina naszą szóstą klasę, pamiętasz, Julku?“

Prus jest tu wysoce wyrozumiałym, jak zresztą zwykle. Pana N. możnaby na naukę Katechizmu odesłać do klasy pierwszej.

Znane jest wyrażenie Woltera, który chwiał się we wierze w Boga i na wszelki wypadek wystawił w Ferney Bogu kościółek¹⁾, że: „gdyby Boga nie było, należałoby Go stworzyć“. I ten ojciec nowożytnego niedowiarstwa wiedział, co mówił: należałoby stworzyć choć fikcję Boga, byle przy jej pomocy utrzymać w karchach namiętności tłumu. Powiedział to w przededniu rewolucji francuskiej, którą jakby przewidywał: „Lękam się rozpętania siły zwierzęcej, wyzwolonej z wierzeń idealnych“.

Pan N. poszedł dalej od Woltera (od czegoż postęp?) i orzekł, że człowiek bardzo już dawno stworzył Boga. Jakżeby się Wolter ucieszył tą wiadomością, gdyby jeszcze żył!

Wszystkie ludy świata, jakkolwiekby pojmowały lub pojmują Boga, wierzyły lub wierzą, że tym pojęciom ich odpowiada Byt realny: a p. N. wszem wobec pokazuje... figę! Figę, zamarynowaną w archeologii i filologii... Może-ż iść dalej bezczelność i... śmieszność?

„Z tych metod—mówi Prus—wynika, że religje polegają na—przenoszeniu wyrazów z jednego języka do innego, na rozszerzaniu ich treści, na łączeniu ich z innymi wyrazami i t. d.“

I jeszcze autor „Placówki“ dodaje: „Lecz gdyby *Myśl Niepodległa* (t. j. p. N.) w sprawie: skąd i dlaczego powstały religje? odwołała się do pomocy innych nauk, może i rezultat byłby nieco odmienny, I tak:...”

Pozwolę tu sobie przerwać bieg myśli autora małą uwagą. Mojem zdaniem p. N. zgrzeszył: nie przez to, że „innych“ nauk za przewodnika sobie nie obrał, ale fałszywym, tendencyjnym działaniem, danymi archeologiczne-

¹⁾ Z pretensjonalnym napisem na fasadzie: „Voltaire erexit Deo“, — przypominającym z naszych polskich stosunków, napis na figurze Matki Boskiej: „Matka Kazimierza — Matce Chrystusa“. Pani matka pana Kazimierza zakasowała wolterowskie za pan-brat z Bogiem!

mi i filologicznymi. To nie „działanie“ za pomocą tych nauk, ale machinacje! Gdyby p. N. odwołał się był i do „innych“ nauk, doszedłby niechybnie do rezultatów tych samych, gdyż do nich dojść z góry postanowił.

Teraz dajemy głos czcigodnemu autorowi.

„I tak:

„Człowieka, obdarzonego choćby tylko *chłopskim rozumem*, psychologia uczy, że: istota żywa i myśląca z największym wstrętem wyobraża sobie śmierć i bezmyślność, a więc, że nadzieja życia wiecznego jest dla niej elementarną potrzebą, prawie taką, jak jedzenie i oddychanie. Stąd zapewne urodziła się i wiara w nieśmiertelność. Temuż chłopskiemu rozumowi logika tłómaczy, że wszechświat nie tylko musi mieć przyczynę, ale jeszcze przyczynę tyle razy mędrszą od człowieka, ile razy natura jest wyższa od dzieł ludzkich. I to zapewne, a nie jakieś omyłki językowe, stanowi źródło wiary w Boga.

„Następnie do człowieka z *chłopskim rozumem*, nauki przyrodnicze wołają wielkim głosem, że w naturze niema śmierci!...¹⁾. Dłaczegóż by więc śmierć miała tkwić tylko w duszy i dla duszy ludzkiej?... Geologia w namacalny sposób świadczy, że w naturze istnieje coś podobnego do pamięci, a mechanika potwierdza to jaskrawymi przykładami. „Ruch każdej łódki, która mać wodę oceanu, zapisuje się tam na wieki“ — mówi Babbage, znakomity matematyk angielski. — „Samo powietrze jest niby ogromną biblioteką, w której na zawsze zapisało się wszystko, co kiedykolwiek powiedziano, a nawet wyszeptano...“ Czy zaś w tej trwałości ruchów nie tkwią materiały do nieznanego życia wiekuistego?...

„...A oto jeszcze cytata z Jevonsa: „Badając instynkty mrówek, pszczoł, bobrów, poznajemy, że one w działaniach swych kierują się niepojętym dążeniem, zwróconem do odległego celu. Bądźmyż wierni naszej metodzie na-

¹⁾ Jakby przez psotę chochlika drukarskiego, na przeciwnej stronie *Tygodnika Ilustr.*, niby plecami do słów Prusa, stoją słowa p. Gallego. W opisie wycieczki do Morskiego Oka w Tatrach, p. G. mówi: „To wielkie cmentarzysko gór nie odezwie się radosnym głosem wszechtryumfującego życia... Wokół cisza grobowa... Bo jest coś silniejszego jeszcze nad życie—śmierć. Śmierć to nieodwrotny kres wszystkiego, co wzrasta i kwitnie: rośliny, zwierzęcia, człowieka, planety, słońce systemu...“

ukowej i badajmy te również instynkty ludzkiego umysłu, które pobudzają człowieka do takich czynów, jak gdyby celem jego życia było — zasłużyć na pochwałę Istoty Najwyższej..“

„Tak mówią—kończy Prus — nauki ściśle, tak o Bogu wyrażają się potężni myśliciele“.

Tak—dodajmy—dwie różnorodne potęgi: Objawienie i Nauka, za sprawą myślicieli pierwszorzędnych ze stron obu, dają sobie pocałunek pokoju.

Całuje się i Niewiara z Nauką — wiemy o tem, wiemy! Jakby z prawowitą, ubóstwianą małżonką: a jakże! Ale to pocałunek Judaszów, którym Niewiara zdradza Naukę, aby ją wydać w ręce myślicieli-katów, operujących tendencyjnością i sofistyką. Niewiara Nauce nie służy, ale zakuwa ją w kajdany niewoli i w niewolnicę swoją zamienia. Myśl niepodległa—nie podlega: ani prawom Logiki, ani prawom Natury, wykrytym przez Naukę. Myśl niepodległa — to nowoczesny despota „azjatycki“, barbarzyńca i tyran, dla którego za wszelką cenę—starczy wola, gwoli przyzwoitości lub uwiedzeniu naiwnych, maskowana jedynie obłudnymi racjami. Tendencyjna sofistyka—to arsenał jej narzędzi tortur, którym ona poddaje Logikę i Naukę. Imię jej właściwe: Ciemnogród! Pod płaszczem ciemności odbywa ona swoje orgje, wyprawia swoje bakchanalje...

Do sprawy „stworzenia Boga przez człowieka“, powrócimy jeszcze z innego powodu w rozdziale następnym. Ciekawe rzeczy w tej sprawie objawia nam „Objaśnienie“, które w niej dotąd nie było zaangażowane...

Obecnie jeszcze nieco z powodu przeniesienia „wyobrażeń arystokratycznych“, poczętych w Azji, — nawet na Jezusa Chrystusa, „syna cieśli nazaretańskiego, prostaczka, który właśnie wciąż żył z ludem i w żadne nie bawił się ceremonjały“.

Na innym miejscu rozprawimy się z zarzutami autora przeciw Bóstwu Chrystusa. Tu zwrócimy tylko uwagę na niewłaściwość formalną, popełnioną przez p. N., gdy, zanim „dowiodł“ na podstawie... Ewangelji (*sic!*), że Chrystus Bogiem nie jest (juścić, skoro Bóg jest fikcją, stworzoną przez człowieka!), opuścił stanowisko Katechizmu i potraktował Chrystusa, jako „prostaczka“; a także jako „syna cieśli nazaretańskiego“: gdy później zowie Go „człowiekiem tajemniczego pochodzenia“ (str. 42) i „dowodzi“,

tym razem zgodnie z Ewangelją, że Chrystus był *mniemany* (*putativus*) synem Józefa, czyli za jego syna w oczach społecznych uchodził. W jakim celu p. N. zgadza się na tym punkcie z Ewangelją, dowiemy się w swoim czasie. Domyślić się tego celu, zresztą, nietrudno, gdy się wie, że się ma do czynienia z autorem skonfiskowanych przez prokuratorę galicyjską „Legend“, no i że od tego autora nie sposób oczekiwać uznania tajemnicy Wcielenia Słowa... Tymczasem stwierdzamy fakt, że autor, wynajdujący sprzeczności w Katechizmie, jest w sprzeczności sam z sobą; a także nie dochowuje obietnicy, że będzie stał wytrwale na gruncie Katechizmu.

Kwalifikuje się tu inny jeszcze drobiazg z „Objaśnienia“. Objasniając po swojemu Skład Apostolski, p. N. powiada:

Ustęp: „siedzi na prawicy Boga Ojca“ jest starożytnym wyobrażeniem ludów prostaczych, które mniemały, że Bóg przez wieki wieków „siedzi“, bo Mu inaczey, jako wielkiemu panu, nie wypada. Tak przecież „siedzieli“ ich władcy, gdy rozmawiali z poddanymi (str. 42 — 43).

Ależ tak! Bynajmniej nie przeczymy, że ludzie wszystkich wieków poniewoli narzucają pojęciu o Bogu swoje pojęcia i wyobrażenia ludzkie. Poniewoli, gdyż Bóg jest „niewypowiedzialny“ dla języka ludzkiego, jak mówi Djonizjusz Areopagita, neofita Pawła Apostoła. No, ale umysł ukształcony abstrahuje od zmysłowego słowa samo czyste pojęcie. Pan N., załatwiający się z Katechizmem za pomocą rozumu chłopskiego, juścić, do dokonania takiej subtelnej operacji myślowej jest niezdolny i bierze się do rzeczy po chłopsku. A no, tym sposobem łatwiej do głowy chłopskiej trafić...

Nie zmysłowo zatem, ale przenośnie rozumieć należy wyrażenie o Chrystusie Panu, iż „siędzi na prawicy Boga Ojca“ — to znaczy: zażywa boskiego pokoju po człowieczych trudach i cierpieniach ziemskiego żywota, oraz panuje wszechwładnie. „Na prawicy Boga Ojca“ — to znaczy: je-t, jako Bóg, Bóg Syn, równy Bogu Ojcu i z Nim spółistotny.

Wyrażenie to o Chrystusie powstało jeszcze w Starym Zakonie, który był proroczym prologiem do Zakonu Nowego. Psalmista śpiewał: „Rzekł Pan Panu memu: siadź

po prawicy mojej" (Ps. CIX, 1). Na słowa te, dowodząc swego Bóstwa przeciw uczonym starozakonnym i faryzeuszom, powołał się sam Chrystus: „Albowiem sam Dawid mówi w Duchu Świętym: Rzekł Pan Panu memu, siadź po prawicy mojej, aż położę nieprzyjacioły twoje podnóżkiem nóg twoich. Sam tedy Dawid zowie go Panem: a skądże jest synem jego?"¹⁾

Żali potrzeba wyraźniejszego świadectwa ze strony Chrystusa o własnem swoim Bóstwie?

Więc *nie tylko* w chwale Boga Ojca, *ale* i w chwale Chrystusa, który wprowadzie „nie bawił się w ceremonjały“, lecz sprawował pełne treści obrzędy (zwłaszcza na Ostatniej Wieczery), — wezmą udział ludzie, którzy Go słowem i czynem chwalili na ziemi:

„Albowiem sam Pan, z rozkazaniem i z głosem archanielskim i trąbą Bożą zstąpi z nieba: i pomarli, którzy są w Chrystusie, powstaną pierwsi.

„Potem my, którzy żyjemy, którzy pozostajemy, pospołu pochyceni będziemy z nimi w obłokach przeciw (na spotkanie) Chrystusowi na powietrze, a tak zawsze z Panem będziemy.

„Przeto cieszcie się społem temi słowy!“ (do Tes. IV, 15 — 17).

¹⁾ Jako człowiek, Chrystus był potomkiem króla Dawida. Wiedzieli o tem doktorowie zakonni. Na gruncie więc tej świadomości stanawszy, Chrystus dowiódł im swego Bóstwa.

ROZDZIAŁ III.

Przymioty Boga w stosunku do przymiotów człowieka.

Słońce Objawienia, działające swem światłem ożywczo na myśl ludzką (a ciepłem na wolę), świeci nad okrugiem ziemi 19 już wieków. Nie widać go wszakże w Ciemnogrodzie. Naprzód dlatego, że jak wiemy, obywatele Ciemnego Grodu wytwarzają sztuczne chmury dymu, które czarną oponą zwisają nisko nad ziemią. Dymy te są gryzące i smrodliwe. Albowiem są one fabrykowane z błędów ludzkich, jako materji palnej, przyczem na podpałkę służą fałsze rozumu i nauki. Jak szmaciarze i gałganiarze, obchodzą ciemnogrodzianie cudze śmietniki i stajnie Augjaszowe, zbierają tam brudy i nieczystości, do których dodają płwociny i ekskrementy z własnej *Cloaca maxima*, na rachunek cudzy, następnie to wszystko mieszają i palą...

Gdy więc gdzieindziej słońce świeci, to w Ciemnogrodzie nie widać go wcale.

Powtóre, ażeby na wszelki wypadek zabezpieczyć się od wtargnięcia w mury ciemnogrodzkie promieni słonecznych, co mogłoby się zdarzyć wskutek rozbijania chmur przez wystrzały z dział apologetycznych, — przezorni obywatele pobudowali się w ten osobliwy sposób, iż wszystkie okna domów ich wychodzą wyłącznie na północ, mroźną i ciemną północ negacji...

Zadaniem tedy naszym jest nie tylko rozbijać chmury ciemnogrodzkie, ale i okna w murach Ciemnogrodu wybić od południa.

Czyniliśmy to już i w dalszym ciągu, wychnawszy nieco, do tej czynności ratowniczej przystępujemy.

Oto z ponad Ciemnogrodu nadciąga nowa, niewielka, lecz groźna chmura, sfabrykowana przez jednego z najgorliwszych wytwórców, przez p. Niemojewskiego. Wskutek sprawionego przezeń sztucznego zderzenia twierdzeń i określeń katechizmowych, dotyczących przymiotów Boga, z grzechami ludzkimi, chmura ta grzmi, błyska się i piorunuje zarzutami przeciw nauce katolickiej. Pan N. dokonał tego tak po mistrzowsku, iż wydaje się na pozór, jak gdyby sprzeczności między Bogiem a człowiekiem wysnuć zostały logicznie z Katechizmu, więc jak gdyby przymioty Boże padały jeden za drugim z ręki nauki katolickiej. Aż dziw ogarnia, żeśmy przez 19 wieków nie zobaczyli tego, co zobaczył autor „Objaśnienia”. Oto przychodzi mistrz-czarodziej, który w oczach naszych stwarza nowe światy myśli, a stare, niby fantasmagorje, z przed nosa nam zdmuchuje.

„U nas — powiada p. N. w swoich *Listach człowieka szalonego* — słuchają dopiero wtedy człowieka, kiedy oszaleje“¹⁾.

Słuchajcie tedy, albowiem p. N., aby być słuchanym, oszalał.

Słuchajcie i patrzcie! Oto pada naprzód wszechmoc Boża, albowiem dosięgły jej i zabiły ją takie strzały, jak: bunt aniołów, nieposłuszeństwo prarodzców ludzkości, konieczność ukarania grzesznych ludzi potopem, niedoskonałość sumienia ludzkiego, skoro zaraz już w raju nie spełniło swego zadania (str. 18), rajska intryga czarta, o którą rozciły się zamiary Boga (47), bratobójstwo Kaina (48), no, i wszelkie wogóle czyny ludzkie i djabelskie, niezgodne z wszechmocną wolą Bożą, zatem i czyn p. N., mocą którego *popętnił* on swoje „Objaśnienie“.

Zali chmura nie groźna?

Nie dla tych jednak, których umysł góruje ponad

¹⁾ Swoją drogą, w słowach „człowieka szalonego“ dużo jest gorzkiej prawdy, rzuconej w twarz tłumowi ludzi, tak zwanych „normalnych“ no, i „moralnych“.

zgęszczonymi oparami, podnoszącymi się z zabagnionej występkiem Ziemi!

Jeden strzał rozprasza je w mgnieniu oka.

Dał Bóg ludziom i wogóle tworom rozumnym wolną wolę, gdyż chce mieć od nich chwałę, nie przymuszoną, nie niewolniczą, ale dobrowolną, miłą i godną nagrody wiekuiestej. Wolna wola bowiem stanowi o zdolności do zasługi. Raz dawszy ją człowiekowi, Bóg szanuje ją, jako dzieło woli własnej. Niedorzecznością więc jest twierdzić, jakoby Bóg tym sposobem wszechmoc swoją ograniczył; ani tembardziej, jakoby nieposłuszeństwo stworzeń Jego wszechmoc tę obalało. Jak twierdzi Katechizm: „Bóg wszystko, co chce, uczynić może:“ ale właśnie zadawać gwałtu wolnej woli stworzeń swoich — *nie chce!*

Wypada tu zaznaczyć błąd w odpowiedzi, danej przez „Sprostowanie“. „Gdyby Bóg — czytamy tam — tak stworzył aniołów i ludzi, iżby oni grzeszyć nie mogli, to stworzyłby istoty bardzo ograniczone, bardzo niedoskonałe, bo wolnej woli pozbawione“ (str. 9).

Wolność woli nie polega na możności grzeszenia; ani też tembardziej, możność grzeszenia nie stanowi cechy doskonałości, chociażby względnej. Można wszak wybierać nie tylko między dobrem a złem, ale i między dobrem a lepszym, albo też między różnymi odmianami dobra różnej wartości. I to będzie, owszem, cechą doskonałości woli. Tak doskonale wolny jest sam z siebie Bóg, z natury swej grzeszyć nie mogący; tak doskonale wolni są aniołowie, — za łaską Bożą, w nagrodę zwycięskiego odparcia pokusy buntu, w dobrem utwierdzeni; tak doskonale wolni będą lub są ludzie zbawieni, iż wyzwolili się przy współdziałaniu z łaską Bożą, ze służby namiętnościom ciała i ducha. Nie unicestwia wolności woli aniołów i wybranych okoliczność, że wola ich jest poddana woli Bożej; albowiem ona jest poddana Bogu z wolnego wyboru, chętnie i miłośnie. Jedna tylko wola Boża może być, musi być i jest niepoddana nikomu, absolutna; charakter jej wszakże jest ojcowski, pełny rozumu, miłości i sprawiedliwości doskonałej.

Pan N. nie uznaje wszakże wolnej woli w człowieku. Co prawda, podręcznik katechizmowy ks. Sokolika ułatwia panu N. jego zadanie.

Na pytanie: „Na co nam Pan Bóg dał wolną wolę?“ — ks. S. odpowiada: „Abyśmy chętnie (ks. Putiatycki ma:

„zawsze“) czynili to, co On chce, a nie czynili tego, czego On zabrania“.

Względ pedagogiczny wziął tu snąć górę nad względem na prawdę obiektywną i katecheta wpadł w błąd, przeciwny temu, któryśmy dopiero co wytknęli „Sprostowaniu“. Chodziło mu najwidoczniej o usunięcie od ucznia, samej nawet myśli o możliwości użycia daru Bożego przeciw jego Dawcy. Tą jedynie tendencją, chwalebną etycznie, ale niewytrzymującą krytyki, gdy chodzi o naukę, można ową bałamutną odpowiedź wytłumaczyć. Odpowiadałaby ona raczej na pytanie: „Jaki użytek, w myśl Bożą, mamy czynić z daru wolnej woli?“ Na pytanie zaś: Naco, w jakim celu dał nam Bóg wolną wolę?—odpowiedziałbym: Na to, abyśmy, mając wolny wybór między dobrem a złem, dobre raczej obierali, a tym sposobem zasłużyli na żywot wieczny. Potwierdza to Pismo:

„Bóg od początku stworzył człowieka i ostawił go w ręce rady jego. Przydał mandaty i przykazania swoje: jeśli będziesz chciał mandaty zachować, zachowają cię, i na wieki wiarę miłą trzymać. Położył przed cię wodę i ogień: do czego chcesz, ściągnij rękę twoją. Przed człowiekiem żywot i śmierć, dobre i złe: co się mu podoba, będzie mu dano“ (Ekkly. XV, 14—18).

Na odpowiedź ks. Sokolika woła p. N. z pewnym pozorem słuszności: „Jest to wola niewolna!“ Istotnie, tak by było, gdyby... ks. Sokolik był nieomylny. Niesłusznie atoli p. N. bierze tryumf nad ks. Sokolikiem, za tryumf nad prawdą filozoficzną o wolnej woli. Wola ludzka, nie-utwierdzona w dobrem, nie byłaby wolną, gdyby grzeszyć nie mogła; Kościół wszakże bynajmniej nie utrzymuje, jakoby ona już na ziemi w dobrem utwierdzona była. Przeciwnie, uczy on, że tu przeżywamy czas doświadczenia i próby.

Zresztą nieprawda! — wybucha dalej p. N. — bo aniołowie i pierwsi ludzie uczynili to, czego Bóg nie chciał“.

A więc: Bóg nie jest wszechmocny, bo aniołowie i ludzie *etc.*; człowiek nie ma wolnej woli, bo... znowu aniołowie i ludzie... O, jak fatalnie ks. S. ułatwił panu N. robotę!

Zresztą, p. N. dałby sobie radę i bez tej niefortunnej, mimowolnej pomocy. Skazał on wolną wolę nieodwo-

łalnie na zagładę. Tą, czy inną drogą, zawszeby do celu doszedł. Ale przynajmniej my, zwalczając go, nie bylibyśmy zmuszeni zwalczać jednocześnie swego stronnika.

Pozostaje atoli fakt bicia, przez p. N., wszechmocy Boga — wolą Jego stworzeń i odwrotnie: woli tych ostatnich — wszechmocą Boga. Ten fakt, ukryty dotychczas, występuje jaskrawo w słowach, którymi p. N. zamyka tryumfalnie swoje dowodzenie:

Obecnie zaś jeszcze jest gorzej, bo wedle pytania 28-go Bóg za karę sprawił, że wola ludzka jest skłonniejsza do złego, niż do dobrego. I jakże tu teraz ludzi winić, że grzeszą? Jakże tu ich karać? Gdzie sprawiedliwość? (str. 23—24).

Obaliwszy więc naprzód wszechmoc Boga—wolną wolą człowieka, obecnie, tą obaloną wszechmocą, obala wolną wolę.

Teraz gotów by kto uwierzyć we wiarogodność psiej awantury, w której dwa psy pożarły się wzajemnie, tak, iż same tylko pozostały ogony...

Tutaj, owszem, dwie moce pochłonęły się nawzajem — bez reszty.

Ale i p. N. zapewne wiadome jest prawo, na którego mocy w naturze nic nie ginie. Siły natury mogą ulegać przemianom, z walki dwóch żywiołów może wywiązać się żywioł trzeci; ale — żadna siła nie ulega unicestwieniu. Tylko pozorne zjawiska mówią przeciwnie. Pozory jednak mylą.

Otóż podobne prawo istnieje i w świecie ducha. „*Au morale, comme au physique*“. Wola ludzka w walce z wolą Bożą ulega osłabieniu, jako już z natury swojej słabsza; lecz wola Boża jednocześnie jakby natęża się, aby wolę człowieka, bądź co bądź, pod panowanie swoje miłościwe podbić. Wynikiem natężenia woli Bożej (nie samej w sobie, bo jest zawsze jednako potężna i nie przybyć jej ani ubywać nie może,—lecz w działalności na zewnątrz) jest Łaska, jest źródło jej: Odkupienie. Celem jej — powetowanie człowiekowi straconej siły.

I dlatego, pomimo osłabienia woli ludzkiej—nie przez Boga, ale przez grzech,—odpowiedzialność ludzka za czynny pozostaje w swej mocy. Ile ubywa jej wskutek następstw grzechu, obciążających dziedzicznie często istoty same przez się niewinne, tyle jej przybywa za odtrącanie

lub marnowanie Łaski, w tej mierze, w jakiej kto ją otrzymuje. A Łaska — jakby atmosferą nadprzyrodzoną otacza i przenika świat dusz: gęściejszą w sferach chrześcijańskich, rzadszą znacznie — w pogańskich.

Zna Bóg nędzę i niedołęstwo woli ludzkiej, zaiste, lepiej, aniżeli my, aniżeli najuczeńsi duszoznawcy, razem wzięci. I dlatego jest miłosierny i cierpliwy. „*Patiens, quia aeternus!*” Wynajdzie On tysiące okoliczności, łagodzących winę człowieka, które ani w myśli ludzkiej nie powstały.

Co jednak w oczach Boga stanowi zapewne okoliczność obciążającą, to to rozmyślne osłabianie i zabijanie woli ludzkiej w tłumach, przez zaprzeczanie jej wolności. Zabić ją, aby potem mózdz stwierdzić, że jej niema, bo jakoby nigdy nie było, to szczyt wolności złej woli! Wykrętowi temu zadaje kłam *corpus delicti*, którym jest trup; trup wolnej woli!

Przecież i dla morderców woli znajdzie Bóg okoliczności łagodzące. Choćby w tej ciemnocie i zaślepieniu, które sprowadzają namiętności, nieraz odziedziczone, nieraz przez życie, nieraz przez walkę o sprawiedliwość rozpętane.

W namiętnem przeczeniu odpowiedzialności za czyny, przeczeniu Lombrozów, Buckle'ów, Tolstojów, Spinozów niewątpliwie dźwięczy niejednokrotnie struna litości nad zbrodniarzami, przeciwko surowości sądów ludzkich. Czy jednak przez to przeczenie nie oddaje się najgorszej usługi ludzkości? Czy się nie tworzy łotrów?

Ha! Zabija się poczucie odpowiedzialności, ten pierwotny i żywiołowy instynkt duszy ludzkiej, wszczepiony przez Boga, ażeby potem na tegoż Boga ręką świętokradzką zwalić odpowiedzialność za następstwa roboty własnej! Szaleńcy — niepoczytalni to czynią, czy zbrodniarze nad zbrodniarzami, twórcy zbrodniarstw?!

Pół biedy, gdy czynią to uczeni w dziełach naukowych, ze spokojem filozoficznym badaczy.

Można spać spokojnie, gdy np. Spinoza pisze: „Nasze złudzenie wolnej woli jest tylko (!) nieznaną (!) pobudek, zmuszających (!) nas do działania”. Czytając to, doznajemy podrażnienia, które się jednak *złagodzi*, gdy z kolei przeczytamy słowa Ribot'a: „Porachowawszy w życiu człowieka to wszystko, co trzeba zapisać na karb automatyzmu, przyzwyczajenia, namiętności, a zwłaszcza naśladownictwa, zobaczymy, iż liczba aktów woli, w ścisłym znaczeniu tego słowa, jest bardzo ograniczona. Dla więk-

szości ludzi naśladownictwo wystarcza; zadawalniają się oni tem, co było wolą innych i, jak myślą zgodnie ze wszystkimi, tak samo też działają. W ten sposób, dzięki (!) przyzwyczajeniom, które czynią ją zbyteczną, i chorobom, które ją nadwyreżają i niszczą, wola jest tylko „szczęśliwym przypadkiem”¹⁾.

Naszem zdaniem, Ribot zanadto doniosłość faktyczną wolnej woli ogranicza. To, co on pisze, wystarcza do wytłumaczenia normalnego, spokojnego biegu życia mas ludzkich. Czy jednak wola — najmniej nawet kulturalnego człowieka, nie działa samodzielnie, gdy chodzi o czyn, występujący z normalnego łożyska życia? Każdy pierwszy występki — ileż walk i samozagań poprzedziło! Ribot, sam o tem nie myśląc i nie wiedząc, stwierdził fatalne następstwa grzechu, jako źródła osłabienia i chorób woli. Zbliżył on się jednak za bardzo do doktryny Lutra, wedle której człowiek, wskutek grzechu pierworodnego, całkowicie wolność woli postradał. Wyciągnął też z niej Luter znany wniosek praktyczny: „Grzesz, grzesz mocno, a im mocniej grzeszysz, tem mocniej ufaj w zasługi Chrystusa, który jest zwycięzcą grzechu!” (*Servum arbitrium!*)

Jakaż tedy odpowiedzialność bierze na siebie ten, kto z teorją nieodpowiedzialności schodzi do ciemnych mas i powódz zbrodni sprowadza? Zapewne, czyni on to w celu zwrócenia owej powodzi przeciwko nienawistnemu porządkowi społecznemu. Czy zdoła ją jednak opanować przez tamy, gdy ona swoje spełni? Czy sam w niej nie utonie, razem ze swojami utopjami reform? Ocean cierpień — oto czynu jego owoc! Nowe zbrodnie, karzące zbrodnie stare, oto sens moralny, który z bezsensownej akcji ludzkiej wyciąga Bóg!...

...O przejawach życiowych woli, oraz jej następstwach praktycznych w stosunku do Boga, będziemy mówili jeszcze później, w innych okazjach. Tu stwierdziliśmy tylko *zasadę* chrześcijańską w tej kwestji.

Obecnie przechodzimy do drugiego z kolei przymiotu Bożego, o który p. N. już był niecierpliwie potrafił: do sprawiedliwości.

¹⁾ Ribot: „Choroby woli”. Str. 162. Przekład Antoniego Potockiego.

Bijąc, głową o głowę, twierdzenia Katechizmu, p. N. dowodzi:

Wedle katechizmu jednak wypada, że Bóg nie jest sprawiedliwy, bo karze za swoje własne omyłki. Stworzył człowieka chyba takim, jakim go chciał mieć. Nie, albowiem człowiek nie wypadł takim, nie udał się Bogu. A mimo tego karze go? Szewc uszył buty za ciasne, i miasto winić siebie, smaga obuwie... Tak może postępować nierozumne dziecko. Tak już nie czyni człowiek dorosły. A Bóg ma tak czynić? (18—20).

Mamy tu znowu i jeszcze mieć będziemy do czynienia z transpozycją, całkiem dowolną, win ludzkich na Boga. Po-mysł płytki, dlatego i bardzo pospolity. Bez uprzedniej zmywy z p. N., mogła go była powziąć samodzielnie i p. Moszczeńska. W głośnym, bo próżnym sensu, odczycie swoim, z którym energiczna bojowniczką myśli niepodległej obwoziła się po kraju, stawia ona Panu Bogu niemowlęcy zarzut, który rozbraja krytykę: i swoją treścią, i swoją formą:

Jeżeli koń pada pod ciężarem, albo dorożkarz moknie na koźle, to gdzież tu jest sprawiedliwość boska?

Odpowiada na to wspomniany tu już w *Przedmowie* p. Edward Hofman: „Co tu można odpowiedzieć na taki zarzut przeciwko religji? Chyba podobnem pytaniem, które zadał mi pewien uczeń, uważający religję za absurd: Jeżeli Bóg nie może stworzyć takiego kamienia, którego by sam podnieść nie mógł, to gdzież jest Jego wszechmoc? Oczywiście,—kończy autor — mamy tu w jednym i drugim wypadku klasyczne przykłady pojmowania religji“.

O, studnio nieprzebrana głupoty ludzkiej!

Ludzie prowadzą złe gospodarke społeczno-ekonomiczną, prowadzą ją wbrew zbawczym zasadom, które nam dał Bóg-Chrystus: i oto złe skutki własnej złej gospodarki zwalają na Boga!

Istne Psunabudesy, o których sam Ozyrys orzec nie może, co w nich większe: głupota, czy przewrotność?!¹⁾

Człowiek „nie udał się“ Panu Bogu? Według na-

szych pojęć katechizmowych, Bogu nie może się nic, ani udawać, ani nie udawać. Bóg, jak arcymistrz, cokolwiek czyni, pewną siebie ręką, czyni odrazu doskonale. „I widział Bóg wszystkie rzeczy, które był uczynił: i były bardzo dobre“ (Ks. Rodzaju, I, 31). I człowiek wyszedł z rąk Bożych doskonałym, jeno sam się zepsuł. Bóg naprawia to swoje arcydzieło, a ono usiłowaniami Jego stawia opór, bo ma wolną wolę. Jednym ze sposobów oporu jest psucie pojęcie o Bogu, co właśnie czyni p. N. swoim zepsutym rozumem. Jemu bez wątpienia nie udał się Pan Bóg!

Panu N. postępowanie Boga, wyimaginowane przez niego samego, przypomina szewca, który smaga złe uszyte obuwie. Nam natomiast, postępowanie umysłowe jego własne przypomina syberyjskich ostjaków, którzy biczują swoje domowe bogi, gdy ci prosb ich nie wysłuchają. Pan N. nie ma wprawdzie żadnych prosb do Boga: gdzieżby zaś umysł niepodległy zniżał się do takiego serwilizmu! Ma on jednak do katechizmowego Boga pretensje o to, że On, Bóg, nie zniża się do pojęć i żądań jego; no, i popełnił taki niesłychany skandal, iż dożył XX-go wieku, kiedyby Mu należał się już dawno spoczynek honorowy w którymś muzeum starożytności, obok Brahmów, Wisznów, Siwów, Ganesów¹⁾, Ozyrysów, Baalów... Za wyjątkiem: Bachusa, Wenery i Złotego Cielca: tych należałoby wyprowadzić z muzeów czy galerji, oraz do życia przywrócić. Nieprawda-ż?

Jeszcze lepiej: rozumowe postępowanie p. N., jako i p. Moszczeńskiej, przypomina szewca partacza, który złe uszył obuwie i smaga pocięgiem klienta, który obuwie zamówił i na nie narzeka. Tak nie postępuje nawet dziecko. Tak jednak czynią: p. Niemojewski i p. Moszczeńska. Bo żeby tak czynić, trzeba, prócz nierozumności dziecka, jeszcze i złośliwości dojrzałego człowieka.

Pan N. wojuje jednym i tym samym argumentem przeciwko wszystkim przymiotom Boga. Przeciwno wszechmocy Bożej, prócz tego, cośmy na miejscu właściwym przytoczyli, pisze on jeszcze:

To też w Biblii jest powiedziane: „Bóg pożałował, że uczynił człowieka na ziemi, i rzekł: Wygladzę człowieka, którego-

¹⁾ Ob. „Tyg. Illustr.“ № 1 z r. b. Bajka proza Sienkiewicza p. n. „Sąd Ozyrysa“, z przejrystą aluzją do księcia Bülowa i prawa wywłaszczeniowego.

¹⁾ Bramański bóg nauk i literatury, ze łbem i trąbą słonia.

stworzył" (Ks. Rodz. VI, 6-7). Więc, niezadowolony z dzieła rąk własnych, karze ludzi i topi ich za własną swą nieudolność (19).

Czytelnik widzi, że ten zarzut zwraca się i przeciwko sprawiedliwości Bożej¹⁾. Istota jego jest tasama, co i zarzutu poprzedniego, któryśmy dopiero co rozpatrzyli. Dlatego zbyt czułą całkiem byłoby rzeczą zwalczać go powtórnie. Natomiast zwrócimy tu uwagę na formę, na której p. N. dużo buduje.

Autor, którego dążeniem, ujawnionem wielokrotnie, jest ściągnąć Boga na poziom ludzki i — *sit venia verbo!* — uczłekokształtnić Go, aby tą drogą przenieść cichaczem ideę Bóstwa w człowieka, — pisze tak, jak gdyby nie a nie nie słyszał o antropomorficznych i antropopatycznych figurach biblijnych, i bierze wyrażenia figuryczne Biblii za rzeczywistość, jakoby uznawaną przez Katechizm. Rachuje snąć na nieuctwo czytelnika, żeby pod jego osłoną przemycić swoje tendencje. Po dokonaniu tego manewru kuglarskiego, łatwo mu już było powołać się na Biblię: „To też w Biblii jest powiedziane!”

Tak, to, co p. N. cytuje, jest w Biblii powiedziane rzeczywiście; ale nikt, mający jakie takie wykształcenie, tak, jak p. N., tego nie rozumie. „Bóg pożałował...” Ależ to najwyraźniejsza figura antropopatyczna, człekouczuciowa; podobnie, jak wyrażenia: *palec Boży, prawica Boża* i t. p. — są to figury antropomorficzne czyli człekokształtne. Używa figur takich Biblia; używamy ich i my wszyscy w mowie potocznej, literackiej i naukowej: bo nasz język ludzki nie może się o Boga inaczej, jak po ludzku, wyrażać²⁾.

Tymczasem p. N. z jednego z takich wyrażen figurycznych wysnuwa daleko idące wnioski metafizyczne o charakterze religijnym — przeciwko wszechmocy i sprawiedliwości Boga! W Biblii znajduje sojusznika przeciwko Bogu, zatem przeciwko Biblii!

¹⁾ Potop był koniecznością moralną, podyktowaną przez dążenie do odrodzenia zepsutej do gruntu ludzkości. Nie przeszkadza to uznaniu, że potop, jako zjawisko przyrody, był również koniecznością fizyczną. W przedwiecznym planie Bożym, przewidującym obiedwie konieczności, zostały one na jeden czas przeznaczone, tak, że kara wyniknęła z praw natury.

²⁾ „Żal” lub „gniew” Boży wyrażają czynność Boga, jaką my, ludzie, zwykliśmy w żalu lub gniewie wykonywać. Bóg, ani czego żałuje, ani kiedy się gniewa.

Oto zaś, dokąd autor za pomocą tych kuglarskich sposobików zmierza. Zwracając ten sam zarzut, co przeciw wszechmocy i sprawiedliwości, także i przeciw nieomylności Bożej, p. N. mówi:

Tak samo Bóg, wedle katechizmu nieomylny, tworzy pokolenie, które następnie musi wyniszczyć. Pojęcia te katechizm zaczerpnął z Biblii. A jeżeli i te pojęcia są pochodzenia czysto ludzkiego? Rodzi się tedy pytanie, czy Biblia nie stworzyła Boga na obraz i podobieństwo omylnego człowieka, który „w żalu” burzy swoje niedokładne dzieło? Już tu widzimy płatanie się katechizmu w całym szeregu sprzeczności (22).

Odkładamy na później rozprawę z oryginalną logiką autora, mocą której kieruje on przeciwko pojęciu o nieomylności zarzut, poczerpnięty ze sfery życia czynnego. Tymczasem zwracamy uwagę czytelnika na nowy manewr autora w kierunku starej, znanej nam już jego tendencji. Tam, gdzie tego było potrzeba, nie wspominał on ani słówkiem o ludzkiej genezie pojęć o Bogu i przemycił wiadome nam przeczenia. Obecnie nagle występują owe pojęcia ludzkie, ale już wyegzagerowane tak, iż za sprawą kuglarskiej logiki, ogarniają samego Boga, Najwyższy Byt realny, który niedołącznym pojęciom ludzkim jakkolwiek bądź odpowiada. Słowem, Bóg tonie w nicości, jako czyście, a niedołączne pojęcie ludzkie.

Zdawałoby się, że widząc zmysłowość pojęcia o Bogu w ciemnych masach ludzkich, należałoby dołożyć starania ku oczyszczeniu i uduchowieniu go. Nie! p. N. wyzykuje raczej niedołość myśli prostaczey, aby pozbawić ją i tego, na co się zdobyła; aby ją zepchnąć stamtąd, gdzie się wdrapała. Pod pozorem niecenia światła w ciemnych głowach, gasi i to światelko, które w nich rozniecił Kościół. Zbijając błąd w pojmowaniu prawdy, samą prawdę zabija. Zupełnie, jak ten niedźwiedź z bajki, zabijający muchę na czole śpiącego człowieka-przyjaciela. Między owym niedźwiedziem a p. N. zachodzi różnica jedynie co do intencji. Pocziwy miś nie chciał zabić człowieka; p. N. chciał zabić, razem z błędem, i prawdę życiodawczą, przynajmniej, o ile ona żyje w duszach ludzkich i ożywia je. Chciał i chce zabić ten jedyny i najwyższy ideał ludu, pod pretekstem, że go niby księża „okropnie przedrzeźnili”.

Kto go jednak właściwie przedrzeźnił i przedrzeźnia?

Kto zabagnił go w antropomorfizmach, kosztem sztucznych, po kuglarsku wywołanych widm sprzeczności katechizmowych? Kto uczynił to, durząc naiwnych wynalezieniem Boga lepszego, lepszego aniżeli Najlepszy? Ten, kto w taki sposób tego dokonał, popełnił najniższe łotrństwo ducha, mające za sobą, jako jedyną okoliczność łagodzącą: głupotę! „Rzekł głupi w sercu swoim: nie masz Boga!” (Psalm: XIII, 1; LII, 1).

Łotrństwo ducha, wślad za którym idą łotrstwa zwierzęce. Głupota, która sprowadza za sobą ogłupienie do reszty biednych w swej ciemnocie mas ludowych.

I ten szaleniec, który do tego wszystkiego dąży, oświadcza, iż powoduje się pobudkami „obywatelskimi“!!

Szaleniec, poprostu szaleniec, który sam nie wie, co czyni! Gdyby istniały kaftany bezpieczeństwa na rozum i duszę, należałoby taki jemu nałożyć...

...Patrzmy na dalszą operację przedrzeźniania Boga. Z powodu wiadomej odpowiedzi Katechizmu na pytanie: „Które są najdoskonalsze stworzenia boskie?“ — p. N. woła bluźnierczo:

Haeckel, wielki przyrodnik, tak powiedział: jeżeli najdoskonalsze istoty na ziemi są ludźmi, stworzonymi na obraz i podobieństwo Boga, to i Bóg, naodwrot, jest istotą na obraz i podobieństwo ludzi, więc musi być przedewszystkiem kregowcem; a ponieważ jest duchem, więc jest niezawodnie kregowcem w stanie gazowym. Pastor Wobbermin bardzo się na to oburzył, ale pastor Kalthoff słusznie całkiem potępił katechizm, który takie rostrząsał wywołuje (43—44).

Ach, to Katechizm wywołuje bluźnierstwa? To Katechizm winien bluźnierstw wielkiego szarlatana, Haeckla, i jego adherenta, p. Niemojewskiego? Więc to ci panowie wyciągają jeno logiczne wnioski, wypływające z twierdzeń katechizmowych? Jacyż dobroczyńcy Katechizmu! Oni wytykają mu „błędy“, żeby nam pomódz do jego udoskonalenia! Pocziwczy!...

Pocziwczy? Tak: na wzór krokodyla.

Niech-że się tedy dowiedzą ci, którzy gotowiby dać się złapać na lzy onych pocziwców, zrodzonych nad Nilem, kędy panowały słynne historyczne ciemności, że Wiara nasza twierdzi podobieństwo między Bogiem a człowiekiem, jedynie duchowe. Jeżeli zaś twierdzenia tego Katechizmu elementarny nie stawia wyraźnie, to dlatego, że

elementarny; zresztą, zawiera się ono dość widocznie w twierdzeniu innem: o czystej duchowości Boga; przyczem, i Katechizm pojmując duchowość, jako absolutną antytezę materji, oraz rozumie, iż i najbardziej gazowe ciało jest ciałem.

Zupełnie podobnie, jak „wielki“ przyrodnik, ale maluczki filozof, Haeckel, rozumowali i rozumieć podobieństwo człowieka do Boga i na odwrót — heretycyz IV-go wieku, zwani antropomorfistami. Opierając się na tym samym tekście biblijnym, wyobrazili oni sobie Boga, jakoby człowieka olbrzyma, olbrzyma, tak pod względem duchowym, jako i fizycznym. No, i zostali za tę naukę przez Kościół potępieni. Herezja ta nie znalazła nawet gruntu do rozwoju i w historii dogmatyki katolickiej zajmuje bardzo szczupłe miejsce. To dowodzi, jak daleką była wiara powszechna Kościoła od podobnych błędów, już w IV wieku. Przedtem o błędzie podobnym nie było ani słyhu. Jakże więc małe głupstwo wygłosił wielki przyrodnik!

Wreszcie, i to zauważmy, że od pojęcia *podobieństwa* zawsze mniej lub więcej daleko do pojęcia równości. Pod tym ostatnim względem — człowiekowi do Boga daleko nie-skończenie.

I oto grot bluźnierczego szyderstwa, wypuszczony z baterji Ciemnogradu, przelatuje mimo Katechizmu, ani go nie zadrasnawszy. Raczej na podobieństwo bumeranga, znanego pocisku australczyków, wraca ów grot szyderstwa do swoich strzelców, przebija ich głowy niepodległe i okazuje w nich naukową blagę...

O, australczycy nauki!

Podobnych australczyków, choć w dobrej wierze będących, są u nas dziesiątki, setki, tysiące. Niejednokrotnie zdarzało mi się być świadkiem zakłopotania ojców i matek z powodu wyrażen antropomorficznych. Nie mają oni wyobrażenia o tem, że to figury, które z konieczności wyrażają w formie zmysłowej, pojęcia duchowe. Czy zatem nie byłaby pora uwzględnić tę sprawę w podręcznikach katechizmowych?

Po drodze do dalszych, skądinąd poczerpniętych zarzutów przeciw sprawiedliwości boskiej, wypada usunąć przeszkodę treści pokrewnej. Widzę się tu w przykrem położeniu, albowiem zmuszony jestem stanąć znowu po stronie p. N. przeciwko katechizmowi, wprawdzie takiemu przez k małe.

Pan Bóg jest miłosierny, — twierdzi ks. Putiatycki — bo, prócz tego, że przebacza nam winy, gdy szczerze za nie pokutujemy, nadto i obiecał nam wieczną szczęśliwość w niebie (pyt. 14). Odpowiada na to p. N., z dziwnym, jak na niego, spokojem, bez miotania się i unoszenia:

Sprawiedliwi idą do nieba, to prosty akt słuszości, — tu nie ma żadnego miłosierdzia, to im się należy (20).

Istotnie, samo pojęcie miłosierdzia wskazuje, a sam odpowiednik łaciński (*miser cordia*) unaocznia, iż przedmiotem jego może być tylko to, co nędzne, nieszczęśliwe, upadłe. Sam ks. P., gdy mówi o sprawiedliwości, widzi zadanie jej, prócz w karaniu za złe, w nagradzaniu za dobre uczynki. Wypadałoby stąd, że nagroda wiekuista jest jednocześnie aktem sprawiedliwości i miłosierdzia. Wprawdzie ks. P., czego p. N. jako nie teolog, nie uwzględnia, — w dotyczącym pytaniu łączy miłosierdzie z dobrocią: „Czy Pan Bóg jest dobry i miłosierny?“ Stawianie atoli obok siebie dwu różnych, lubo pokrewnych przymiotów Boga, jakoby synonimów, trzeba uznać, jako nienaukowe i niepedagogiczne, mianowicie, gdy się one potem w odpowiedzi mieszają.

Ks. Putiatycki, podobnie, jak wielu innych pisarzy katechetów, niestety, ścisłością naukową w ogóle nie grzeszy. Przecież, gdzie jak gdzie, ale w podręczniku katechizmowym ścisłość jest niezbędna i *nauki* religii nie można do celów gorliwości religijnej *naginać*, ani jej twierdzeń, nakazów, czy zakazów — dowolnie zacieśniać lub rozszerzać. Autor np. podciąga pod drugie *przykazanie* kościelne, pod formą *zalecenia*, trzy rzeczy: 1) uczęszczanie do spowiedzi i Komunii św., 2) czytanie książek pobożnych i 3) wykonywanie dobrych uczynków (str. 36). Czy to jest *nauka* czy też kazanie? 1).

Wracając z wycieczki ścieżynkowej na główny szlak,

¹⁾ Lepiej załatwia się z tą sprawą „Mały Katechizm“ Piusa X, bo korzysta tylko z 2-go przykazania, jako sposobności do podania tych samych trzech zaleceń, ale ich pod to przykazanie formalnie nie podciąga. (51) Natomiast ten ostatni podręcznik robi rażące *fiasco*, gdy omawia istotną treść będącego w mowie przykazania. Do formuły jego włączono tam i kazania, a w odpowiedzi na pytanie, co ono nakazuje, kazania nagle znikają i ostaje się sama tylko Msza św. U ks. Putiatyckiego pozostaje

po którym tropimy kręactwo myślowe p. N., musimy zaznaczyć jeszcze jedną przygodę, która nam jest nie na rękę.

„Sprostowanie“ stanęło w obronie bezwzględnej błędu ks. Putiatyckiego, przeciw p. Niemojewskiemu. Obronę oparto na dogmacie wiary o „odrzuconiu“ ludzkości przez Boga, wskutek grzechu pierworodnego. Ponieważ — rozumuje autor — „w osobie pierwszych naszych rodziców zasłużyliśmy na odrzuceniu“, zatem nie tylko przebaczenie win grzechowych, ale i sama nagroda za dobre uczynki — z miłosierdzia wypływa (10).

W przesłance mniejszej (większą pozostawiono domysłowi) tego rozumowania tkwi ukryty błąd, polegający na uznaniu winy naszej w dziedzicznym przez nas grzechu pierworodnym. Tylko tym błędem, tą przestarzałą opinią teologiczną, na której wycisnęła swoje piętno surowość średniowieczna, wytłomaczyć można również błędne twierdzenie o tak *absolutnem* odrzuceniu nas przez Boga. Jeden błąd wypływa logicznie z drugiego: z błędu o winie — błąd o karze. Obadwa one, niestety, pokutują po dziś dzień w niektórych katechizmach. Błąd pierwszy, mianowicie, w określeniu grzechu pierworodnego, jako tego, który popełnili pierwsi nasi rodzice, *a my w nich popełniliśmy*. Błąd drugi — w określeniu jednego z następstw owej katastrofy w naturze ludzkiej, żeśmy wskutek niej stali się „godnymi potępienia wiecznego“.

Konsekwencje tych twierdzeń są nieobliczone. Wypadałoby z nich, że sprawiedliwość osobista na nicby się nikomu nie zdała; że pomimo niej wszyscy ludzie musieliby być nieodwołalnie potępieni, zgodnie ze sprawiedliwością Bożą, gdyby nie miłosierdzie; a już bezwarunkowo i bez ratunku: sprawiedliwi w Zakonie Starym, niechrześcijanie w Nowym, dzieci rodziców chrześcijan, zmarłe bez chrztu. A ileby, prócz tych okropności, na nie owej idei można było nanizać antynomji z różnymi punktami nauki chrześcijańskiej! Pan N., doprawdy, byłby w siódmym niebie... socjalistycznym, gdyby był teologiem!

Na szczęście, nauka katolicka nie jest taka straszna.

i tu słuchanie kazania, jako obowiązujące pod grzechem, na równi ze słuchaniem Mszy świętej. Taka niezgoda i takie wahanie się katechetów — nie mogą przyczynić się do powagi Kościoła nauczającego w oczach wiernych.

Naprzód, nie uznaje ona w grzechu pierwotnym winy osobistej każdego z potomków Adama. Co do tego powiada o. Feliks, słynny swego czasu konferencjonista francuski: „Pojęcie przyzwolenia, moralnego czy domyslnego, na grzech pierwotny przez potomków Adama i Ewy — powstało w opinjach teologów, nigdy przez Kościół nie uświęconych, a dziś powszechnie odrzuconych“. Powtóre, pomiędzy potępieniem bezwzględnem czyli karą w piekle, a zbawieniem czyli nagrodą nadprzyrodzoną w niebie, polegającą na błogosławionem widzeniu Boga, teologia uznaje — krom czyśca, z natury swej doczesnego — jeszcze coś na podobieństwo szeolu, gdzie sprawiedliwi Starego Zakonu, z Adamem, „kmiectwem Bożym“, na czele, oczekiwali na przyjście Zbawiciela („Katechizm Rzymski Soboru Tryd.“ I, 61). Rozważając sprawę zmarłych bez chrztu dzieci czy dorosłych, żadnym grzechem osobistym śmiertelnym nie obciążonych, św. Tomasz doszedł do wniosku, że oni będą używali szczęścia naturalnego; przyczem utrata szczęścia nadprzyrodzonego nie będzie dla nich miała charakteru kary i nie sprawi im żadnej boleści, ile, że będą pozbawieni zdolności odczuwania go, zdolności, którą łaska sakramentalna chrztu w duszy ludzkiej zaszczerpia i którą inne sakramenty, zwłaszcza Eucharystja, rozwijają w niej przy spóldziałaniu osobistem.

Odrzucenie tedy, czy potępienie wieczne za grzech pierwotny rozumieć należy *względnie*, w stosunku przeciwnym do nagrody wiecznej, nadprzyrodzonej. Jest to potępienie, czy odrzucenie, nie tyle pozytywne, ile negatywne, pozbawiające błogosławionego i ubłogosławiającego widzenia Boga „twarzą w twarz“.

Po usunięciu błędu, tkwiącego w rozumowaniu „Sprostowania“, możemy teraz i płynący zeń wniosek uchylić.

Jak grzech pierwotny obciąża nas dziedzicznie, bez udziału winy naszej osobistej, tak chrzest gładzi go bez naszej zasługi. Ponieważ zaś Chrystus zadość uczynił sprawiedliwości Bożej, obrażonej w zaraniu dziejów przez prarodzców naszych, przeto przywrócone przez Niego prawo do nieba nadprzyrodzonego, należy się sprawiedliwym, żyjącym „z wiary“ (św. Paweł), — nie z miłosierdzia, lecz ze sprawiedliwości. Uznajemy to przez samo wyrażenie: „prawo do nieba“¹⁾.

¹⁾ Zgodnie z naszymi tu wywodami, „Mały Katechizm“ Piusa X

Prawda, prawo to nadał Bóg ludziom już pierwotnie — z łaski, z miłości, jako w zasadzie nieprzynależne naturze ludzkiej, bo *nadprzyrodzone*. Skoro jednak nadał je, skoro wszczepił w duszę ludzką pożądanie szczęścia doskonałego bez końca, tedy tem samem zaciągnął wobec człowieka obowiązek zadosyćuczynienia jego tęsknotom i porzywom — ze sprawiedliwości. Był człowiek ze swej strony spełnił przywiązane do tego warunki.

Prawda i to, że prawo do nieba, po restauracji go przez Chrystusa, zastało rodzaj ludzki tak upadłym moralnie, tak słabym i chorym, że bez pomocy łaski Bożej człowiek nie może postawić ani kroku na drodze doskonałości moralnej, wiodącej do Boga. Łaska uprzedza każdy jego czyn, zasługujący na niebo, więc czyn, naznaczony charakterem nadprzyrodzonym przez intencję przypodobania się Bogu; łaska towarzyszy mu, łaska wieńczy go powodzeniem.

Nie zapominajmy jednak, iż tę łaskę wysłużył nam u Boga Chrystus. On położył na szale sprawiedliwości Bożej swoje trudy człowiecze i swoje człowiecze cierpienia, które ze względu na unję hipostatyczną człowieczeństwa Jego z Bóstwem, nabyły wartości nieskończonej, równoważące grzechy świata w przestrzeni i w czasie. Męka Chrystusowa i owoce jej — to własność nasza, ludzka, z której za pośrednictwem Kościoła, jako szafarza, czerpiemy własne usprawiedliwienie wobec Boga.

„Usprawiedliwieni jesteśmy darmo, przez łaskę Jego“ (do Rzym. III, 24), łaskę Chrystusa, naszego Brata wedle natury ludzkiej. Tak — w zasadzie, o ile chodzi o grzech pierwotny; o ile jednak chodzi o winy nasze osobiste, musimy przykładać własne trudy i cierpienia do trudów i cierpień Chrystusowych, ażeby osiągnąć zbawienie.

Jeśli wreszcie kara ze sprawiedliwości, pomimo nędzy ludzkiej, tedy nagroda również ze sprawiedliwości, pomimo łaski Bożej, wysłużonej przez Chrystusa.

Zna Bóg i szanuje godność ludzką, której poczucie wzdryga się przed nagrodą — z miłosierdzia.

Nagroda — z miłosierdzia: czy to nie brzmi fałszywie? Nagroda musi być *za coś*, za jakieś zasługi, które dają do niej prawo!

nie mówi o potępieniu z powodu grzechu pierwotnego, ale o „utracie prawa do nieba“ (str. 21, pyt. 60).

Rzecz inna: hojność nagrody, przewyższająca miarę zasług. Nie — jako „wielki Pan“, jakby powiedział p. N., ale jako najlepszy Ojciec, hojny i wspaniałomyślny jest Bóg w nagradzaniu, o ile powściągliwy i miłosierny w karaniu.

Słowem, p. N., broniąc prawa człowieka do nieba, ma słuszość! Niestety, traci on dobrowolnie prawo do płynącej stąd zasługi. Jemu nie zależało przecież na obronie prawa, które uważa za fikcję teologiczną; celem jego było raczej zwalczenie i na tym punkcie Katechizmu. No, i zwalczył: ale nie Katechizm, jeno jeden z podręczników katechizmowych: nie naukę Kościoła, jeno naukę ks. Putiatyckiego. To różnica kapitalna. Sprowadza ona tryumf p. N. do wielkiego zera. Marny rezultat, który jednak musiał dużo autora kosztować, gdy stanął w nieszczerzej roli obrońcy prawa do nieba, roli, z którą mu tak nie do twarzy niepodległej. Tem też bodaj tłumaczy się ów dziwny spokój, ów brak zupełny zamaszystości, któryśmy zaznaczyli, przytaczając słowa p. N., którym przyznaliśmy słuszość.

Na innych miejscach autor nastaje gwałtownie na to samo prawo, za które skruszył był kopję i wylał... kroplę atramentu. Tam jest on już w swoim żywiole, w swojej roli właściwej.

W swoim czasie, gdy wypadnie mówić o niebie, jako miejscu szczęścia wiecznego wybranych, dowiemy się rzeczy niesłychanie ciekawych. Obecnie podamy tylko ten ustęp z „Objaśnienia“, w którym ta sprawa wiąże się ze sprawiedliwością Bożą i łaską. Na pytanie: „Co czynić, aby zasłużyć na niebo?“ Katechizm odpowiada między innymi: „gorąco prosić Pana Boga o zbawienie“. Na to p. N.:

Gorąco prosić o zbawienie? Więc nie sprawiedliwość rozstrzyga, ale łaska? Prosić, wiecznie prosić?! Tak, prosić się trzeba, wedle katechizmu, łaski boskiej, jak łaski pańskiej... (31).

Tu poznajemy już duszę hardą i niepodległą, która chciałaby być za „pan brat“ z Panem Bogiem, owszem, dyktować Mu swoją wolę.

Po wszystkim, co powiedziano powyżej, możemy już krótko załatwić się z tym nowym objawem krytyki religii — w duchu socjalistycznym. Sprawiedliwość nie wyłącza ła-ski. Sam p. N. wszak przyznał, że człowiek „jest „marną

jednostką“, której zatem bardzo potrzeba pomocy Bożej, aby zdołała wdrapać się do nieba. Łaska boska, istotnie, jest łaską Pańską, gdyż Bóg jest Panem Najwyższym. Różni się ona jednak wielce od łaski panów ziemskich. Łaska boska jest raczej, rzekłbyś, pokorna wobec człowieka. Szturmuje do jego serca, czeka cierpliwie, aż się ono otworzy, nie zraża się niepowodzeniami, sto razy odparta, wzgardzona, sto razy wraca i doprasza się łaski człowieka, żeby ją наконец przyjął dla własnego dobra. Miłościwa, ojcowska!...

A przysłowiowa „łaska pańska“ — hej! na bystrym koniu jeździ! Pyszna, kapryśna, upokarzająca, drażliwa, obraźliwa, okrutna... Złżą ma sławę u Boga i u ludzi!

I z tą łaską p. N. śmie stawiać na równi łaskę boską? Jeśli w nią nie wierzy, jego rzecz. Jakiem jednak prawem ją sądzi, kiedy nie ma o niej wyobrażenia? Zdawałoby się, że w takim wypadku należałoby się wstrzymać ze wszelkim sądem. Nie, myśl niepodległa gwizdże sobie na wszelką uczciwość w sądach. Rozdaje łaski lub niełaski według swoich sympatji lub antypatji, schlebia lub tyranizuje, jak jej się podoba. Nikogo o nic nie prosi, bo ona wielka pani, ona jest bożyszczem, przed którem wszystko, co żyje i myśli, plackiem padać powinno. Któżby śmiał pytać ją o rachunek z własnych jej czynności? Niech żyje Myśl Niepodległa! Niech żyje pierwszy jej pachoł, p. Andrzej Niemojewski!

...Przechodzimy do kwestyi nieomyślności Bożej. Pan N. zarzuca:

Przeczy to najwyraźniej przytoczonemu wyżej ustępowi z Biblii, bo kto „żałuje“ swego uczynku, ten najwidoczniej się omylił. A także przeczy to dalszej nauce katechizmu, gdzie jest powiedziane, że (Bóg) chcąc „doświadczyć“ posłuszeństwa pierwszych ludzi, „dopuścił“, aby byli kuszeni przez węża. Więc ich zmylił (20—21).

Słowem, Bóg „zmylił“ i siebie i ludzi.

Zarzut pierwszy p. N. oparł znowu na... figurze antropopatycznej. Zarzut drugi — na wysoce oryginalnej teorii dopustu Bożego, o której będzie mowa w rozdziale następnym. Obadwa zaś zarzuty ujawniają absolutny brak wyobrażenia o istocie nieomyślności lub omyślności. Jest to dziedzina inteligencji, zgoła nie sfera czynu. Mógł p. N. bredzić sobie, że ludzie Bogu się „nie udali“, bo to bredzenie stoi na gruncie czynu. Idea wszak może

może być najdoskonalsza, a wykonanie jej może się nie udać. Tem więcej, gdy wykonanie jej zależy od kogoś innego, a ten ktoś skrewi, jak to się stało z zamiarem Boga wobec pierwszych ludzi.

Rzecz wcale nie osobiwa, że p. N. tego wszystkiego nie zmiarkował, pomimo, że następne zaraz pytanie: „Jaką naukę brać mamy, że Bóg jest nieomylny?” — naprowadziło go na drogę właściwą¹⁾. Jednak i tu jeszcze z drogi zjechał:

Taksamo Bóg, wedle katechizmu nieomylny, tworzy pokolenie, które następnie musi wyniszczyć...

Ha-no, od czegoż logika niepodległa? Idźmy dalej.

„Pan Bóg jest nieodmienny i w obietnicach swoich wierny,—twierdzi Katechizm—albowiem, co przyrzekł, tego z pewnością dochowa“. Pan N. protestuje:

Jakże pogodzić się z katechizmową nieodmiennością Boga, kiedy ten Bóg zmienia co chwila swe plany? Tworzy człowieka i osadza go w raju, potem go z niego wypędza i skazuje na umieranie, a wreszcie wogóle żałuje, że powołał ludzkość do bytu i topi ją masowo... (20—23).

Iście, zakłète koło boćka, zwanego „Wojtkiem“. Albo może trafniej: istny kręciek barani! A no, owszem: konsekwencja! Konsekwencja człowieka pijanego, który trzyma się płotu... Tym płotem—tendencja przewodnia p. N., żeby winy człowieka i następstwa ich zwać na Boga. Tendencja znanego nam już partacza szewca, smagającego pocięgiem klienta, iż na ciasne i niezdarne buty narzeka.

Nie, nie Bóg zmienia swe plany! Zmienia plany swe człowiek; a Bóg przystosowuje do tych jego zmian nowe środki i sposoby, aby on, bądź co bądź, przeznaczenie swoje osiągnął. Tak więc, zaledwo Adam zburzył przez grzech zamiary Boże, wnet Bóg dał mu, a w jego imieniu—ludkości, obietnicę zesłania Zbawiciela, któryby złe naprawił. I obietnicy tej Bóg dotrzymał, spełniając ją przed 19 tu

¹⁾ Jużesmy z zawartymi tam zarzutami rozprawili się w rozdziale o stworzeniu.

z górą wiekami (jeśli się Djonizjusz Mały w wyrachowaniu ery chrześcijańskiej nie pomylił...).

Co zaś Bóg winien, że p. Niemojewski nie chce tego zrozumieć? Może zawinił, iż dał mu wolną wolę? Ależ inaczej p. N. nie mógłby był głosić swojej wobec Boga niepodległości, którą się szczyci i chlubi...

I czego nie uczynił Bóg, coby mógł uczynić, ażeby zapewnić rodzajowi ludzkiemu szczęście?

„A tak teraz, obywatele jerozolimscy i mężowie judcy, rozsądźcie między mną a winnicą moją — skarży się Jehowa przez usta Izajasza.

„Co jest, com więcej miał czynić winnicy mojej, a nie uczynilem jej? Czyli iżem czekał, aby zrodziła jagody winne, a zrodziła agrest?“ (V, 3—4).

Oto Chrystus założył winnicę, mającą świat cały ogarnąć, ażeby dostarczała rodzajowi ludzkiemu napoju duchowego, któryby ożywił jego myśl, uczucie i wolę, oraz natchnął wszystkie jego dzieła: nauki, piśmiennictwa i sztuki, całe jego życie: indywidualne, społeczne i narodowe, — ku jego szczęściu.

Czemuż—jedni lenią się pracować w tej winnicy Pańskiej, a inni zburzyć ją usiłują?

Czy p. N. czytał i nie wzruszył się, czytając, przypowieść Chrystusa o winnicy Bożej?

Oto człowiek nasadził, urządził i wynajął oraczom winnicę. I posyłał do niej, od czasu do czasu, sługi swoje, aby wziął „z owocu winnicy“. Oracze niewdzięczni wszystkich z kolei bili lub zabijali. „Jeszcze tedy mając jednego syna najmilszego, i tego posłał ostatecznego do nich, mówiąc: uszanuj syna mego“. Oracze jednak, ujrawszy go, zmówili się: „Ten jest dziedzic: pójďteż, zabijemy go, a nasze będzie dziedzictwo“. I pojmwawszy go, zabili... (Mat. XXI, Mar. XII).

Ow człowiek wyobraża Boga; oracze—ludzi (żydów); sługi—proroków; syn—Chrystusa.

Czy p. N. nie widzi siebie wśród owych oraczy żydowskich? Czy nie zdaje sobie sprawy, że on, z całą swoją „niepodległością“, podlega złym natchnieniom ludu odrzuconego, że mu w złej robocie jego pomaga? Ludowi temu nieszczęsnemu—jeszcze się nie dziwić. Prowadzi on tradycyjnie dzieło swoich ojców. Zabija, gdzie się da, Chrystusa mistycznego, bo nie może ścierpieć Jego tryumfu, nie może Mu zapomnieć Jego „zdrady“ sprawy narodowej, zdra-

dy, polegającej na rozkuciu ciasnej obręczy nacjonalistycznej i powołaniu do Boga wszech narodów. Nie może, bo nie chce przyznać się do winy, bo mu strach spojrzeć w oczy straszliwej dlań prawdy. Więc się sam mało-dusznie zaślepia.

Widzieć jednak przy tej robocie—*swoich*, swoich z tradycji narodowej i religijnej—to nadmiernie bolesne!

„A nasze będzie dziedzictwo!“—oto sprężyna bogobójczych czynów, oto rozwiązanie tajemnicy udziału i poparcia, jakie Żydzi dają socjalizmowi, wyganiającemu Boga z rządów nad światem!

Ale przypowieść Chrystusowa w zakończeniu głosi:

„Cóż tedy uczyni Pan winnicy? Przyjdzie, a potraci oracze i da winnicę innym“.

„Oraczom“ żydowskim już uczynił to Pan...

...Myśl nasza musnęła tu już parokrotnie wielką i doniosłą tajemnicę przeznaczenia Bożego w stosunku do woli ludzkiej, a w związku z dopustem Bożym. Sprawy tej starczy nam na cały rozdział następny.

W tym rozdziale rostrząśniemy jeszcze pokrótce zarzut na tle sumienia. Wiąże się on pewnymi węzłami myślowymi z kwestjami, omówionymi powyżej, a jednocześnie słychać w nim pomruk zbliżającej się burzy ataków na idee, które będą przedmiotem obrony i rozbioru w rozdziale następnym.

Katechizm twierdzi: „Sumienie dał nam Bóg na to, aby ostrzegało nas, co czynić wolno, a czego niewolno“.

Pięknie nas ostrzegało! — szydzi p. N.—Jeżeli jednak wedle Biblii Bóg „pożałował“, że stworzył człowieka, to widocznie jego samego nie ostrzegło sumienie, co ma czynić, a czego nie ma czynić. Jeżeli zaś przyćmił nam rozum i uczynił „godnymi wiecznego potępienia“, to gdzież sumienie karać tak źle uposażone istoty? Czemu je stworzył. Aby je następnie dręczyć w piekle? (24).

Znowu bąk „żału“ wpadł na scenę i wierci się a buczy. Zostawmy go w spokoju, skoro to pana N. bawi.

O „przyémionym“ przez Boga (!) rozumie ludzkim będzie mowa później, w rozdziale specjalnym o grzechu pierworodnym.

O „wiecznem potępieniu“ za ten grzech — mowa już była.

Czemu Bóg ludzi stworzył?—o tem także już wiemy. Wiemy mianowicie, że zgoła nie na to, aby ich „dręczył

w piekle“. Piekło na ziemi i po za ziemią stwarzają ludzie tacy, jak p. N., którzy im więcej na nie oburzają się, tem większy w niem płomień rozniecają. Oburzają się, bo chcieliby broić bezkarnie. Gdyby kto uczył, że Pan Bóg stworzył ludzi na to, aby rozkoszowali się w grzechu, aby się rządili niepodległe zasadami, jakie się im podobają, — wtedy p. N. nie miałby nic przeciw Bogu. Wtedy jednak my pisalibyśmy „Objaśnienie“ na katechizm ludzi niepodległych i zwalczalibyśmy go wszystkimi siłami.

Więc może byłoby *najlepiej*, gdyby Pan Bóg wcale ludzi nie stwarzał, jeżeli pewien ich procent musi być dla życia wiecznego¹⁾ stracony? W takim jednak razie nie byłoby życia: doczesnego wszystkich, wiecznego wybranych. Co zaś waży więcej: utrata szczęścia nadprzyrodzonego wielu, czy też ubłogosławienie wielu innych? Bóg snąc zważył te minusy i plusy na szalach przedwiecznej mądrości swojej i osądził za lepsze powołać nas do bytu.

Czy rolnik nie rzuca na rolę pewnej części ziarna na przepadłe? Czy mistrz—dłuta, pędzla, pióra,—nie odrzuca dzieł chybotliwych? Bóg, Arcymistrz, nie chybia; ale chybiają Mu dzieła Jego rozumne i wolne, one tylko jedne, w przeciwieństwie do przyrody martwej, dlatego, że rozumne i wolne. Więc boski Arcymistrz odrzuca je, gdy Mu chybią przez używanie darów rozumu i woli przeciw Niemu.

Jeżeli więc człowiek ginie dla życia w Bogu, ginie z winy własnej, mocą wolnej i odpowiedzialnej woli obierając sobie los, jaki chce.

Tak, albowiem — nie sumienie, lecz wola decyduje o wykonaniu czynu tego lub owego. Zadaniem sumienia jest jeno ostrzegać, wskazywać drogę. Może ono czynność swą wykonywać jaknajlepiej, a jednak—na darmo. Wola może głos jego stłumić, nakazać mu milczenie i nawet je zabić: tak, jak narody zabijają swoje proroki, wieszczące im zagładę, jeśli się nie upamiętają.

Czy p. N. nie ostrzegało sumienie przed zamachem na wiarę ludu? Głos jego sumienia zdradza się w jego własnych słowach, przeczuwających „gniew i potępienie“ (7) z powodu „tak stanowczego kroku“. Jeśli się mylimy, w takim razie pozostałoby przypuszczenie, że p. N. sumie-

¹⁾ „Życie wieczne“ w języku biblijno-teologicznym jest przeciwstawieniem „śmierci wiecznej“ w znaczeniu nadprzyrodzonym: „życie“ w Bogu i dla Boga, „śmierć“ po za Bogiem i przeciw Bogu.

nie swoje wykoszlawił, zepsuł i wypaczył, jeśli go nie zabił. Tak czy owak, nie ma on prawa do tłumaczenia się ze swego zbrodniczego czynu, choćby sam przed sobą: „Pięknie mnie sumienie ostrzegało!” Prawo to bowiem przysługuje tylko ludziom upośledzonym, niepoczytalnym, których miejsce w Tworach. Nie jest to nawet właściwie: *prawo*, ale raczej przywilej, smutny przywilej!

Bodaj czy jednak nie należałoby przyznać panu N. tego przywileju w pewnej mierze? Nastawił on drogowskaz swego sumienia w kierunku, całkiem przeciwnym ideałom chrześcijańskim, i mniema, że walcząc przeciw tymże, czyni posługę ludziom. Czy atoli stało się to bez udziału złej woli i złej wiary? Czy robi on to, co robi, z wiarą jasną i czystą, i z wola dobrą i harmonijną, nie zmaconą żadnym zgrzytem fałszywym? O tem, jeśli nie chcemy go uznać, jako całkowicie niepoczytalnego, musimy wątpić. W takim zaś razie należałoby mu porachować się ze swoim sumieniem obywatelskiem i doprowadzić je do porządku, aby ostrzegało go lepiej, niż dotąd. Bo—kto wie, co za górą?!

...W rozgłosnem wszechświatowo „Grzęzawisku” Upton Sinclair’a, przełożonem na język polski przez p. N., wśród potwornie realistycznych opisów chicagowskich stockyards (rzeźni), znajdujemy także mistrzowską ręką rzucony obraz „czarnego, tłustego, smolącego dymu”, który wali z lasu kominów fabrycznych: „Z dymu tworzyły się chmury, kotłowały się w powietrzu, przybierały dziwne kształty, tworzyła się z tego wszystkiego na niebie jakaś wielka, czarna, ruchoma powoła, która sunęła, kędy okiem sięgnąć...” Obraz ten daje słabe zaledwie wyobrażenie ohydnych dymów, które kotłują się ponad Ciemnogrodem. Są one tak ciężkie, że nawet orkany nie mogą ich rozproszyc, odrywają tylko strzępy dymnych chmur, niosąc je ponad Królestwo Chrystusowe. Ciemnogrodzianie radzi są potężnym wichurom i wtedy produkcję dymu zdwajają. I dym zalega cały dokoła widnokrąg i kryje przed okiem ludzkim cuda dziewiczej Przyrody, opiewającej harmonijnym polifonem doskonałości Stwórcy. Czynią to ciemnogrodzianie w myśl tendencji mickiewiczowskiego szatana, który:

*...rad wśród ludzi zdania swoje szerzyć,
By je słysząc z ust cudzych, mógł im sam uwierzyć.*

ROZDZIAŁ IV.

Działalność woli Bożej w stosunku do woli ludzkiej.

(Przewidzenie.—Przeznaczenie.—Dopuszczenie).

W krainie ciemnogrodzkiej utrzymywane są z pietyzmem jaskinie przedhistoryczne, przemienione w muzea osobliwości wykopaliskowych, często podrabianych, jak słynny Bathybius Haeckla. Jedna z tych jaskiń służy dla zbiorów, dotyczących wyobrażeń religijnych ludzkości. Tam fałszyfikatów najwięcej. Zapuszczamy się coraz to głębiej w jaskinię pierwotnej niewiadomości religijnej, i w świetle pochodni rozumu, w religii uświadomionego, odkrywamy coraz to ciekawsze dokumenty, jakie tam składa społeczna myśl... europejska. Tak: społeczna europejska... Patrzymy i.. nie zdumiewajmy się zanadto. Różnym filozofom abderyckim śniło się to wszystko już przed wiekami. Sny te same powracają w tychsamyh warunkach. W ciemnych jaskiniach śnią się straszdyła i potwory. Nie dziw, iż śnią się one taksamo filozofom ciemnogrodzkim, mianowicie, gdy ogarnie ich nastrój jaskiniowy, któremu się chętnie poddają.

Na pytanie, co wyznajemy przez 4-ty artykuł Składu Apostolskiego, ks. Sokolik odpowiada, — co prawda, nie zupełnie do rzeczy: „Wyznajemy, że Chrystus *dobrowolnie* dał

się umęczyć“¹⁾. Pan N. czepia się wyrazu „dobrowolnie“. Podkreśliwszy okoliczność, że wyraz ten w podręczniku ks. S. drukowany jest czcionkami pochyłymi, p. N. woła zgorszony:

Bóg (!) *dobrowolnie* zszedł na ziemię, aby pokutą przebłagać Boga (!) za grzechy ludzkie. Bóg dobrowolnie schodzi na ziemię, gdzie tyle dzieje się okropności, aby urządzić jeszcze jedną okropność: krzyżowanie. Aby ludzi zbawić, trzeba z ludzi zrobić katów! (55).

Znowu z powodu stwierdzonej przez Katechizm obietnicy zesłania Zbawiciela, p. N. gorszy się:

Bóg jest przedstawiony w katechizmie, jako absolutny autokrata. Robi tak, bo mu się podobało. A podobały mu się, zaiste, dziwne rzeczy. Wedle nauki katechizmu, Bóg schodzi na ziemię, każe się bić, dręczyć, mordować, wieszać na krzyżu. Znowu dla teorii zbawienia potrzeba tylu, a tylu zdrajców i zbrodniarzy (50).

W przytoczeniach tych zawierają się dwa zarzuty.

Pierwszy: „Bóg (!)... Boga (!)...“ Ma to być jakoby niczem nie dająca się usunąć sprzeczność. Tymczasem usuwa ją jedno i jedyne słowo: Trójca! Jest to dogmat, oparty na licznych i wyraźnych tekstach Pisma św. obydwu Testamentów, zatem Katechizm jest w tym wypadku (jak zresztą i w innych) w zgodzie: ze swoim źródłem, sam z sobą i z oczywistością przez siebie uznawaną. Może jednak dogmatowi Trójcy przeczy „codzienne doświadczenie, przez żadną inną naukę nie kwestjonowane?“ (4). Obaczmy.

Codzienne doświadczenie mówi, co prawda, że troistość nie może być jednocześnie jednością: trzy—to trzy, jeden—to jeden. Wielka prawda! Chociaż Hegel mógłby był temu rezultatowi doświadczenia codziennego zaprzeczyć, na mocy mianowicie podstawowej zasady swojej filozofii: o tożsamości przeciwieństw, jednoczących się w jego sławnym „Werden“ (stawanie się). My jednak dzielimy raczej pe-

¹⁾ Odpowiedź nie zupełnie do rzeczy, pod względem formalnym: ponieważ pomija ona szczegóły historyczne, warte wyjaśnienia, a zawarte w dotyczącym artykule Składu Ap.; natomiast zaś wprowadza okoliczność, wiadomą skądinąd, lecz w Składzie nie zawartą. Dla pouczenia o charakterze dobrowolnym śmierci Chrystusa potrzeba pytania osobnego.

wnik doświadczenia codziennego, a swoją drogą nie mamy potrzeby uciekać się w uzasadnieniu dogmatu Trójcy—do filozofa z nad Szprewy. Katechizm nasz bowiem utrzymuje: troistość *Osób* boskich, a jedność *natury* boskiej. Przeciw temu zaś nie może nadmienić nic: ani doświadczenie codzienne, ani „szkiełko i oko“ mędrców. Przeciwnie, nauka raczej na dogmat Trójcy naprowadza. Prus w sprawie tej pisze:

„Mysł Niepodległa“ po gospodarsku załatwia się z tajemnicą Trójcy Świętej... Tajemnica ta jednak nie jest, ani tak jasna, ani prosta, ani... niedorzeczna... Ludzie bowiem, obeznani z wyższą matematyką, wiedzą, że gdyby egzystowała (szkaradny wyraz!) istota „czterowymiarowa“, a więc wyższa od wszystkiego, co znamy w naturze, człowiek musiałby wyobrażać ją sobie w postaci najmniej trzech istot materialnych, trójwymiarowych, tworzących transcendentálną jedność...“

Zarzut drugi, również pospolity, utrzymuje, jakoby Bóg zainscenizował... chyba melodramat Odkupienia! Bóg urządza świadomie i dobrowolnie okropność ukrzyżowania samego siebie... W tym celu, jak reżyser, rozdaje role zdrajców, sędziów, katów... Każe im je odegrać, a potem za to ich *karze*...

A gdy się to stało—pisze p. N.—Bóg już jest zupełnie zadowolony: karze Judasza, że go wydał, Kajfasza, że go zasądził, Pilata, że ręce umył... Ten chyba—dodaje autor o Pilacie—postąpił jeszcze najbardziej samodzielnie. Nie chciał się mieszać do całej tej sprawy (51).

Dodajmy do tego dodatku od siebie, że wszak rolę Pilata, w myśl p. N., było tylko umyć ręce, więc umył je: gdzież tedy jego samodzielność?

Tuż potem, z okazji odpowiedzi katechizmowej na pytanie: „Co to jest cnota?“—(niedowiarków także wszystkie drogi prowadzą do Rzymu¹⁾)—p. N. syczy sykiem gądziny:

A gdybym, będąc Judaszem, nie chciał popełnić przepisanej zdrady? Gdybym, będąc Kajfaszem, nie chciał dokonać przepisanego i przewidzianego z góry sąsądzienia? Gdybym, będąc Pila-

¹⁾ Pani dr. Tylicka znalazła drogę do napaści na religję—w od-czycie o higienie kobiecej!...

tem, nie umył rąk, ale uczynił Jezusa głównym nauczycielem Judei? Ba, ale wtedy nie byłoby zbawienia, a przede wszystkim nie byłoby wielkopiątkowych kazań i wielkanocnych bab... (51—52).

Cóż znowu?! Wszystko to uczynił Bóg, odarty przez p. N. z wszechmocy, której na każdym kroku przeciwia się grzechy i zbrodnie ludzkie, których Bóg nie chce? Nie żądamy jednak konsekwencji od logiki niepodległej, a przyjmijmy fakt, że p. N.—przez opaczne a dziecinne pojmowanie idei przewidzenia i przeznaczenia Bożego, dąży do ośmieszenia fundamentalnej doktryny Chrystjanizmu: doktryny o Zbawieniu. Bóg przewidział wszystko,—rozumuje autor—zatem jest On pierwszorzędnym sprawcą wszystkiego, co czynią ludzie. W takim jednak razie Bóg jest i pierwszorzędnym autorem „Objaśnienia“... Przebóg! Pan N. otwiera nam drogę, drogę nową—do wykazania natchnienia bodaj tylko Biblii, skoro on sam, jako wróg próżnej chwały, nie zechciałby przyjąć aureoli pisarza natchnionego... Bo z jakiej racji mielibyśmy, na mocy teorii przeznaczenia, w rozumieniu jej w duchu p. N., przypisywać Bogu samo tylko złe?!

Żart na stronę: to dla p. Niemojewskiego. A dla czytelnika, któremu tego potrzeba, parę uwag poważnych.

Potworne iście wnioski, które pan N. wyprowadził z idei przeznaczenia i zwałił na odpowiedzialność nauki katolickiej, zgola z niej nie wypływają, jeśli ją zrozumie my zgodnie z rozumem, po katolicku. Przeciwnie, takie idei tej pojmowanie, z którego wnioski owe wypływają rzeczywiście, zostało dawno już i niejednokrotnie przez Kościół potępione, jako heretyckie. Cały szereg sekt, począwszy od prodestynacjanów z V wieku (*praedestinatio* = przeznaczenie), skończywszy na jansenistach z wieku XVII-go, —nie wspominając już znanych pod tym względem doktryn protestanckich oraz fatalizmu Islamu,—świadczą na kartach dziejów dogmatyki katolickiej o czystości nauki Kościoła. Jakiem tedy prawem narzuca się Kościołowi to, co on od siebie tyle razy odepchnął i potępił? Chyba tylko prawem nieuctwa i złej woli.

Oto nauka katolicka w tej sprawie.

Ponieważ Bóg wszystko przed wiekami przewidział, nie wyłączając wolnych czynów ludzkich, —innymi słowy: ponieważ Temu, dla którego niemasz, ani przeszłości, ani przyszłości, wszystko przedstawia się w jednym akcie

widzenia i wiedzy: przeto już z góry przed wiekami wydał on wyrok, przeznaczający każdemu ze stworzeń jego losy doczesne, a jeśli chodzi o twory wolne i rozumne,—wypływające z losów doczesnych—los wiekuisty. Wyrok Boży przedwieczny co do losu wiecznego *jest* tensam, który w swoim czasie *ogłoszony będzie* na Sądzie Ostatecznym.

Czy stąd, że co Bóg przewidział spełnić się musi, wypływa, żeby człowiek był niewolnikiem oraz igraszką przeznaczenia, za czem idzie —nieodpowiedzialnym za siebie, a mimo tego pociągany przez Boga do odpowiedzialności? Czy stąd wypływa, żeby Bóg był najzłośliwszym z tyranów, igrającym ze swoim stworzeniem i według swego kaprysu, dającym jednemu zbawienie, innemu potępienie na wieki?!

Na samą myśl taką, jeśli by wziąć ją poważnie, świat pokrywa się kirem żalobnym, a idea Boga—to słońce duchów, zdaje się świecić czarnymi promieniami...

Z drugiej wszakże strony Bóg, który by nie był wszechwiedzący i wszechwidzący, nie byłby Bogiem. Zaprzeczyć Bogu wszechwiedzy i wszechwidztwa, nie już aktualnego, ale przedwiecznego, równałoby się zaprzeczeniu samego Boga. Więc znowu ono słońce duchów gaśnie, a świat okrywa się oponą nieprzeniknionej ciemności...

Oto dylemat, prawdziwie „rogaty“, oto Scylla i Charybda, wśród których giną czółenka myśli, niewprawną lub wręcz złą ręką sterowane.

Z niebezpiecznej cieśniny tej, na szczęście, jest wyjście bezpieczne i proste. Wskazują nam je dwa pewniki: nieświadomość w człowieku własnych przeznaczeń, oraz wolna wola ludzka.

Skoro człowiek nie jest świadom przeznaczenia, które Bóg mu zgotował, tedy przeznaczenie Boże nie może wpływać na jego wolę. Gdyby je znał, tedy Bóg raczej byłby igraszką niespodzianek, jakiegoś Mu człowiek mógł czynić. Tymczasem Bóg, dlatego, że Bóg, musi być i jest Panem swego stworzenia i jego losów. Na wszechwiedzy i przewidzeniu Bożem opiera się działalność Opatrzności, kierującej wszystko ku dobremu, krzyżującej złe plany i zamiary ludzkie, obracającej złe, już spełnione, na dobre. Kto działalność Opatrzności widzieć chce, widzi ją na każdym kroku.

Gdyby z drugiej strony zaprzeczyć wolności woli ludzkiej, tedy z idei przeznaczenia wynikłaby zgubna

dla moralności i kultury wiara w fatalizm. Nauka katolicka, uznając przeznaczenie ze strony Boga, a wolną wolę ze strony człowieka, unika obudwu zaznaczonych powyżej skrajnych niedorzeczności, ocala godność i Boga i człowieka, słowem, tworzy światopogląd harmonijny i odpowiadający prawom i postulatom rozumowi naturalnego.

Natomiast ci, którzy nauki tej nie znają i nie uznają, którzy usiłują zapędzić ją w niedorzeczne sprzeczności z samą sobą, ci właśnie wpadają w wilecze doły absurdów, które pod nią wykopali.

Na miejsce ciemnego, złowrogięgo i ślepego fatum starożytnych, na miejsce homerowskiej μοῖρα, panującej nie tylko nad ludźmi, ale i nad bogami, Chrystjanizm postawił świetlaną ideę Opatrzności, opartej o przewidzenie Boże, z którego wypływa i przeznaczenie, a bez którego rząd Boże byłby niemożliwe. Jeżeli miarą wielkości mężów stanu, jest ich siła przewidywania wypadków, oparta na zdolności wyciągania wniosków z istniejących przyczyn, oraz na duszoznawstwie: tedy Rządca Najwyższy musi posiadać wiedzę przyszłości najwyższą i doskonałą, wolną od pracy wnioskowania, — w jednej, wszechobejmującej syntezie zawartą. Gdy jednak pomiędzy przewidzeniem i przeznaczeniem Bożem, a świadomością i wolą człowieczą niema żadnej komunikacji, to istnieje ona pomiędzy tą wolą a Opatrznością, rozporządzającą — karą i łaską i wiodącą ludzkość nieomylnie ku jej przeznaczeniu.

Cóż na miejsce tej teorii, autentycznie chrześcijańskiej, stawiają przeciwnicy jej tendencyjni? Stawiają negację woli ludzkiej, ażeby podkopać się pod naszą doktrynę o przeznaczeniu. I oto sami w otchłani własnej negacji wpadają. Materialistowski determinizm — cóż to innego, jeśli nie wskrzeszone stare fatum, odziane w szatę nowoczesnej nauki? Tosamo fatum, które usiłowano narzucić nam, aby Światłość Najwyższą w oczach ludzkich uczernić i oczernić? Tak, fatum—to własność wasza; wyście przeznaczeni i fataliści!

A gdybym, będąc Judaszem: Kajfaszem, Piłatem, — nie chciał dla przypodobania się Bogu ¹⁾ wykonać przezna-

czonej roli? Ale, Bogu na przekór, uczynił Jezusa głównym nauczycielem Judei?!

Co za naiwność bezgraniczna!

Pan N. nie tylko byłby, ale jest faktycznie: i Judaszem, i Kajfaszem, i Piłatem.

Za 30 groszy, które kosztuje egzemplarz „Objaśnienia“, sprzedaje on, wzorem Judasza,—żyjącego życiem mistycznym w Kościele, Chrystusa: sprzedaje Go potęgom ciemności, rozpętywanym przez Myśl Niepodległą, która przybrała postać naukowej światłości, i oddaje Go na pastwę bandytom wszelkiego gatunku, z posiewu Myśli Niepodległej wyrosłym.

Zasądza, wzorem Kajfasza, Chrystusa mistycznego na śmierć w duszach ludzkich.

I po tem wszystkim, wzorem Piłata, umywa ręce od wszelkiej winy, zwalając odpowiedzialność za wszystko złe, płynące z niewiary, na Boga i Kościół Chrystusowy.

Czyni on też „Jezusa z Nazaretu“ nauczycielem Judei społecznej, bezwyznaniowej. Naturalnie, duchowa postać Chrystusa została do tego celu odpowiednio przykrojona, tak, że Jezus wedle serca masonsko-socjalistycznego, poczęty przez Renanów i Straussów, bluźni Jezusowi wedle serca chrześcijan, uczniów Jego prawowitych, noszących dowód prawowitości w samym swoim imieniu. Ale o tem — potem...

Nauka katolicka o przeznaczeniu, rozróżnia jego idee w znaczeniu szerszem od znaczenia ściślejszego. W pierwszym — obejmuje ono całość zjawisk życia duchowo-moralnego; w drugim — ogranicza się do życia zagrobowego. Pan N. zaczyna o tę ideę i w jej znaczeniu ściśłem, do czego wziął sposobność z nauki o wierze religijnej.

Więc wiara jest darem?—pyta autor.—A jeżeli Bóg tego daru odmówił pewnej jednostce, że skutkiem tego nie wierzy, czy może zachodzić wypadek winy? Jeżeli to dar, w takim razie Bóg już z góry jednym wyznaczył niebo, drugim piekło (32—33).

To — z powodu określenia wiary. A znów z powodu stwierdzonej przez Katechizm konieczności wiary do zbawienia:

nienia dobrze, aby się Bogu podobać“. Na to p. N. woła: „Więc znowu za łaską Bożą i znowu, aby się Bogu podobać! A gdybym i t. d...“—Dodajmy, że Katechizm mówi o cnocie nadprzyrodzonej, płynącej z pobudki podobania się Bogu, z wyłączeniem, o ile możności, pobudek ziemskich, naturalnych.

¹⁾ Sic!—To swoje pytanie, jakśmy już byli nadmienili, p. N. nawiązał do odpowiedzi na pytanie Katechizmu: „Co to jest cnota?“ Katechizm odpowiada: „Jest to nabyte za łaską Bożą nawyknięcie czy-

...Ale jeżeli wiara jest „darem,” to i zbawienie jest takim-samym „darem.” Czy można kogoś winić za to, że mu ktoś z czegoś prezentu nie zrobił? A jeżeli ja np. pojęcia nie mam, czem jest ten prezent i jaką posiada wartość, jakże mnie winić, że o niego nie proszę? Wiara, wielkie słowo!... Czyż mogę wierzyć i t. d. (33-34).

(W dalszym ciągu autor wynajduje motywy do niewiary, poczerpnięte, jak wszystkie inne w „Objaśnieniu,” przez złą wolę ze studni nieuctwa. Spożytkujemy je na innym miejscu).

Wiara — to dar, prawda. Nie dlatego jednak, jak mniema p. N., zowie się ona darem, żeby Bóg faworyzował nim wybranych, ale dlatego, że daje ją darmo, bez zasługi ze strony człowieka: ile, że to dar konieczny do zbawienia, koniecznością środka do celu; gdy człowiek sam z siebie niezdolny jest do powzięcia wiary religijnej, nadprzyrodzonej, w przeciwieństwie do wiary naturalnej, filozoficznej, niezdolnej do podniesienia człowieka ku Bogu tak, aby miłował Go nadewszystko. Upadają przeto wszystkie zarzuty, które p. N. oparł na swoim błędnem rozumieniu wiary, jako daru Bożego.

Pismo św. na wielu miejscach stwierdza i powtarza z naciskiem, że u Boga nie masz względów na osoby, jak są one u ludzi. Sam Paweł Apostoł powtarza to trzykrotnie: uświadamiając zasadę absolutnej równości wobec Boga, greczyzna czy żyda (do Rzym. II, 11), pana czy niewolnika (do Ef. VI, 9; do Kol. III, 25).

Dla nas tu ważne jest niezmiernie to, co Apostoł mówi o greczyźnie i żydzie, albowiem ma on tu na myśli, nie różnice narodowe, lecz religijne. Oto jego słowa:

„Utrapienie i ucisk na wszelką duszę człowieka, który złość popełnia, żyda naprzód i greczyzna:

„a chwała i cześć i pokój wszelkiemu czyniącemu dobrze, naprzód żydowi i greczynowi.

„Albowiem nie masz u Boga względu na osoby.

„Bo którzykolwiek bez zakonu zgrzeszyli, bez zakonu poginą: a którzykolwiek w zakonie zgrzeszyli, przez zakon będą sądzeni.

„Abowiem nie słuchacze zakonu sprawiedliwymi są u Boga, ale którzy zakon czynią będą usprawiedliwieni.

„Bo gdy poganie, którzy nie mają zakonu, z przyro-

dzenia ¹⁾ czynią, co zakon ma, tacy, zakonu niemający, sami sobie są zakonem:

„którzy okazują dzieło zakonu, napisane na sercach swoich, gdy im sumienie ich świadectwo daje, i myśli między sobą różne, albo je oskarżające, albo też wymawiające, „w dzień, gdy Bóg sądzić będzie tajemnice ludzkie, według Ewangelji mojej przez Jezusa Chrystusa.”

Znaleźliśmy się wobec dogmatu katolickiego: „po za Kościołem niema zbawienia,” — dogmatu, którego litera przeraża lub oburza tych, co jego ducha nie znają. ²⁾ A oto słowa Apostoła tchną duchem tego dogmatu! Zasada równouprawnienia greczyzna czy żyda wobec Boga została tu ogłoszona, jak nie potrzeba wyraźniej. Bo i któż z ludzi mógłby dorównać wszechwiedzącemu i wszechmiłującemu Bogu, jak na innych punktach, tak i na punkcie tolerancji? Fałszu, oczywiście, Bóg nie toleruje: pod tym względem jest On największym nietolerantem, ile że doskonale obrzydliwość fałszu poznaje. Gdy wszakże chodzi o ludzi, błędzących w dobrej wierze w sposób nieprzezwyjętowany, to nikt nie jest większym tolerantem, nad Boga. Tem też tłumaczy się okoliczność, że Bóg nie sprawił, iżby wiara Chrystusowa rozszerzyła się po świecie doraźnie, od jednego cudownego zamachu.

Pozwolę tu sobie przytoczyć własne słowa z „DIALOGU o tolerancji religijnej:” „Łaska Boża jest nieskończenie tolerancyjna; nie ogranicza się ona granicami Kościoła materialnemi, zaznaczanemi w atlasach misyjnych i statystykach. *Duch, kiedy chce, tchnie!* Łaska, jak Opatrzność, czuwa wszędzie i spada rosą na dusze. Zanim misjonarz dotrze do krain bałwochwalczych, ona uprzedza go i przygotowuje mu dusze ludzkie, żdziczące. Ona tworzy duszę Kościoła

¹⁾ Komentatorowie zwracają uwagę, że wyrażenie „z przyrodzenia,” przeciwstawia się tu zakonowi pisanemu, nie zaś łasce Bożej, która uprzedza dobry uczynek. Skąd wniosek, że i poganie łaski Bożej pozbawieni nie są.

²⁾ Najmocniej oburzają się ci, którzy przeciwstawiają katolicyzmowi doktryny własne, a sami mają w zanadrzu zasadę tę samą, chociażby szło tylko o zbawienie doczesne. Zasady tej wymaga konsekwencja każdej doktryny, która podaje się za jedynie prawdziwą. Rozumiał to Kant, gdy pisał: „Kościół katolicki jest bardziej konsekwentny, kiedy głosi, że po za nim niema zbawienia, aniżeli protestancki, który mówi, że i katolikiem będąc, zbawionym być można.”

ła wprzód, zanim misjonarz przyjdzie zbudować mu ciało“ (41—42). ¹⁾

Otóż różnica kapitalna między duszą a ciałem Kościoła! W myśl tej różnicy należy dogmat o zbawieniu pojmować. Ona, ta różnica, poucza nas, że do duszy Kościoła należą wszyscy ludzie dobrej woli i dobrej wiary, bez różnicy wyznań; gdy przeciwnie, nie należą do niej ludzie woli złej, bez względu na to, do jakiego wyznania czy religii materialnie należą. Owszem, dla tych, którzy należą materialnie do Kościoła, do jego ciała tylko, jest to raczej okoliczność obciążająca ich winę: „oskarżająca“ ich, jak się Apostoł wyraża. Dlatego św. Paweł mówi:

„Utrapienie i ucisk na wszelką duszę człowieka, który złość popełnia: żyda *naprzód* i greczyzna.“

„Naprzód!“ Bo więcej winien, kto więcej miał światła wiary, a mimo tego według ducha etycznego dogmatów religijnych nie żył.

W cóż, wobec takiej nauki Kościoła, obracają się rozumowania p. Niemojewskiego? Garsć błota, zaprawione go jadem szyderstwa!

Ze słów jego przegląda między wierszami *oratio pro domo sua*. Nie można, oczywiście, nikogo winić za to, że mu ktoś z czegoś prezentu nie zrobił. Czy jednak p. N. nigdy w życiu wiary nie miał, nigdy pacierza nie mówił? Cóż tedy z wiarą z uczynił? Stracił ją. Czy jednak bez udziału własnej winy? Oto dokument, świadczący przeciw p. N., wypisany jego własną ręką. Autor pyta: „A jeśli ja np. pojęcia nie mam, czym jest ten prezent (dar wiary) i jaką posiada wartość, jakże mnie winić, że o niego nie proszę?“ Prawda, autor rzeczywiście nie ma najmniejszego pojęcia o wartości daru wiary. Jakiem tedy prawem odrzuca go gwałtownie od siebie — swoją zjadliwą „krytykę?“ Na mocy jakiej logiki? Prosić o dar nieznany, istotnie, trudno. Z jakiej racji jednak obrzucać go błotem? A nuż to dar, wartości wielkiej, nieocenionej?

Kto nie ma naprawdę pojęcia o darze wiary, ten nie będzie oń prosił, ale też nie będzie go deptał. Więc p. N. ma o nim pojęcie, lecz marne, złe, jaknajgorsze. A to zno-

¹⁾ Prócz w „Dialektu“, pisałem specjalnie o tolerancji katolickiej w broszurce p. n. „Po za Kościołem niema zbawienia“, w formie konferencji rekolekcyjnej. Któż jednak z tych, co najbardziej tego potrzebują, to czytał?! Wywalamy tylko drzwi otwarte!

wu dlaczego? Żali p. N. mieszka wśród papuasów? ¹⁾ Żali braknie źródeł, z których można ten dar poznać? Czemu p. N. do nich nie sięgnął? Czemu raczej czerpał ze źródeł wrogich, więc stronnych? Czemu dziesięciogroszowej katechizmówce przeciwstawił foljały—jej nieprzyjazne? Czemu drugiej strony wysłuchać nie chciał? Czemu?!?

Lepiej byłoby dla autora, gdyby istotnie żadnego, najmniejszego, pojęcia o religji katolickiej nie miał. Gorzej dlań stokroć, że je ma; gdyż urobił je sobie w sposób, tak krzycząco stronniczy i tendencyjny, że o piękniejszej i najwzniolejszej rzeczy pod słońcem wyległo się pojęcie marne, och, jakie marne! Marne zarówno pod względem umysłowym, jako i moralnym.

Jakże tedy nie winić tego, kto w taki sposób takie pojęcie o takiej rzeczy sobie wyrobił? Jakże go nie winić, że, zamiast starać się poznać dar, który niesie wiara Chrystusowa, zdeptał go i oplwał?!

Przypomina mi się p. Moszczeńska. W okresie przedrewolucyjnym, kiedy można było jeszcze z nią dyskutować i ostatecznie trafić do ładu, p. M. łaskawie zwróciła uwagę na jedną z moich broszur. Szczególniej obszernie rozpisała się ona z powodu wyjaśnienia tam dogmatu o Kościele i zbawieniu. Pani M. była zachwycona i w zachwyceniu orzekła, jakobym miał specjalny talent rozszerzania obręczy dogmatów; ale—dodała nie bez kozery — „tak rozszerzone dogmaty przestają być dogmatami.“ Pomijam okoliczność, że był zmuszony bronić się od tak niebezpiecznej, no, i niezasłużonej pochwały. ²⁾ Fakt—faktem, że na umyśle

¹⁾ Pono bliskie pokrewieństwo z pepeesami...

²⁾ Autorka tłumaczyła się następnie, że pojmowała ów dogmat fałszywie, z winy księży. Atoli w parę lat potem, z okazji innej mojej pracy, o której również z entuzjazmem pisała (*Głos NN.* 45, 46, 47, z r. 1903), przypomniawszy sobie poprzednie zajęcia, p. M. nagle wykonała zwrot nieoczekiwany: „Na taki dogmat, jeśli to jeszcze nazwać można dogmatem, zgodzi się każdy, zawiera się w nim bowiem tylko ta dawno po za Kościołem odkryta prawda, że nie wiara albo niewiara o wartości człowieka stanowi, lecz jego charakter, ujawniający się w czynach. Wobec tego byłoby rzeczą całkiem obojętną w co kto wierzy i czy do kościoła chodzi, na co również można się zgodzić,—jeśli jednak Kościół takie dogmaty głosić będzie, przestanie istnieć jako Kościół.“ Gdybyśmy „dawno po za Kościołem odkrytą prawdę“ zastosowali do cywilizacji, musielibyśmy orzec podobnie, że nauka, sztuka, literatura, nie mówiąc już o kulturze materialnej, to rzeczy całkiem dla postępu obojętne; jeśli jednak rzecznicy postępu takie zasady będą głosić, to cywilizacja

p. M, autentyczna nauka katolicka, stara, jak sam katolicyzm, sprawiła wrażenie objawienia... nieprawowiernego. Skóra literacka cierpnie na myśl, gdyby ludzie, tak pojmujący religję katolicką, jak pani M. lub p. N., byli... cenzo-rami „ksiąg duchownych!“ Zwłaszcza dzisiaj, kiedy się tak zmienili, kiedy zwykła ich „czerwoność“ rozpałała się do białości.

Ci i tacy ludzie wmawiają i wpierają w nas gwałtem, żeśmy zacofańcy i obskuranci. Legitymujemy się ideami szerokimi i postępowymi, naznaczonemi starożytną marką Augustynów i Tomaszów: daremnie! „Ależ wy musicie być obskurantami ze swoją wiarą, musicie nimi pozostać, póki z wiarą trzymacie. O ileście postępowi, o tyle też nieprawowierni i ścigani, jako tacy! A nowy „Syllabus,“ a encyklika przeciw modernistom! Widzicie, sam papież zakreśla wam granice tak ciasne, że musicie pozostać nazewnątrz katolicyzmu!“

„*Point de réveries!* — woła do nas po mikołajowsku ¹⁾ p. Iza Moszczeńska — panowie katolicy postępowi, reformatorowie religii, odrodzeńcy czy oportuniści. Nic się nie odrodzi, wszystko wróci do średniowiecza, a raczej w średniowieczu pozostanie. Są tylko dwie drogi: bezwyznaniowy postęp lub katolicki obskurantyzm!“ („Nowa Gazeta,“ N. 248, z r. p.)

I dlaczego to niby tak? „Bo inaczej... inaczej... my wyszlibyśmy na obskurantów z naszą bezwyznaniowościścią!“ — musieliby odpowiedzieć nasi przyjaciele, gdyby chcieli być rozpaczliwie szczerzy, a byli świadomi własnego obskurantyzmu, tak, jak my go świadomi jesteśmy. Świadomimy także twórczej, odrodzeńczej oraz postępowej potęgi katolicyzmu. W samej encyklice przeciw modernistom czytamy i takie np. zdania: „Niechaj wzrasta

przestanie istnieć i powrócimy do stanu natury pierwotnej, w myśl russeauńskiego ideału! Dlaczegożby sama tylko religja miała paść ofiarą owej zasady?! Prawienie o „charaktrze“ bez religji—to prawienie „mędrca“ mickiewiczowskiego o wodzie w miejskich rurach, pomimo wyschnięcia źródeł w górach. Religja jest na to właśnie, aby wytwarzała charaktery. Im ona doskonalsza, tem doskonalsze charaktery stwarza. O doskonałości religji katolickiej świadczy legion Świętych. Charakter, dobre uczynki—to grunt, ale nie będzie ich bez wiary w Boga, jako Ideału doskonałości moralnej. Chyba wyjątkowo, kiedy ludzie są lepsi od własnych teorii. Bez wiary niepodobna podobać się Bogu, ale też wiara bez uczynków jest martwa.

¹⁾ Są to właściwie słowa Aleksandra II, no, ale...

i postępuje w głębokości i w nateżeniu zrozumienia wi-
dza i mądrość, tak jednostek, jako i ogółu, tak wiernych
poszczególnych, jako i całego Kościoła, po wszystkie cza-
sy, po wszystkie wieki!“ Chodzi więc o to tylko, żeby postęp
nie zbacział na manowce błędów, ale kroczył naprzód
szlakiem prawowiernie katolickim.

Zostawcież nas tedy w spokoju! Wolimy uchodzić
za głupich, a być w rzeczywistości mądrymi mądrością
Bożą; aniżeli odwrotnie: uchodzić za postępowych mędr-
ców, a w rzeczywistości być..... ciemnogrodzianami. *Rira
bien qui rira le dernier!* Taką popularnością, jak wasza,
zaiste, trzeba się smucić!

...Dziwna rzecz, że p. N. w „Objaśnieniu“ swoim
przeszedł mimo idei modlitwy i nie zaczął jej zasadni-
czo, poprzestając na obruszeniu się: „Prosić, wiecznie pro-
sić!“ A można ją było ująć, jak w kleszcze, pomiędzy
dwie najprawdziwsze prawdy: przewidzenia Bożego i de-
terminizmu praw przyrody! Przypuszczam, że autor musi
tego zapomnienia żałować. Żeby jednak nie mógł z do-
brą wiarą i bezkarnie wobec czytelników niebaczości
swojej powetować w następnej wydaniu, przytoczę sło-
wa jednego z największych matematyków nowożytnych
(w. XVIII) Leonarda Eulera, któremu i teologia nie była
obca:

„Zważyć należy,—mówi on—że kiedy Bóg zakładał
bieg świata i urządzał mające nastąpić w nim wypadki,
to uwzględnić musiał wszystkie okoliczności, jakie miały
towarzyszyć tymże wypadkom, a osobliwie—usposobienia,
żądze i modlitwy każdej istoty rozumnej,—i urządzenie
tych wszystkich wypadków w najdoskonalszy sposób do
owych okoliczności dostroił. Zatem kiedy człowiek zanos
do Boga modlitwę, godną wysłuchania, nie trzeba sobie
wyobrażać, żeby ta prośba teraz dopiero do wiadomości
Boga dochodziła. Usłyszał On już tę modlitwę przed wie-
kami; i jeśli Ojciec ten miłosierny uznał ją za godną
wysłuchania, to świat rozmyślnie dla tej modlitwy urzą-
dził tak, by z naturalnego biegu wypadków jej spełnie-
nie wynikło. Takim właśnie sposobem Bóg wysłuchuje
modlitwy swych wiernych bez czynienia cudów; lubo za-
danej niema racji stąd przeczyć, że Bóg czynił i czyni
w pewnych wyjątkowych razach cuda istotne. Chociaż
więc bieg świata jest raz na zawsze ustanowiony, nie
wynika stąd wcale, by nasze modlitwy miały być niepo-

żyteczne, jak utrzymują racjoniści, — lecz owszem, pomnaża to naszą ufność, odkrywając nam ten pocieszający pewnik, że wszystkie modły nasze już od początku stały przed tronem Najwyższego, i że wstawione zostały w plan świata, jako motywy, pod których wpływem uregulowane być musiały wypadki, podług nieskończonej mądrości Stwórcy.“

Oto słowa, godne wielkiego uczonego, godne i Doktorów Kościoła!

Zaprawdę, Bóg—to nie Jowisz, który wyjrząwszy z nieba przez wrota i wysłuchawszy tysiąca prośb najsprzecznějších, zniecierpliwiony zatrząsnął podwoje!...

W bliskim pokrewieństwie z ideą przeznaczenia jest idea dopustu Bożego. Przejdźmy więc do niej.

Dla p. N., który zwalcza wszechmoc i przeznaczenie, teoria dopustu jest wysoce niedogodna, ile że godzi ona i harmonizuje ze sobą wzajem czynniki, między którymi on wynajduje karykaturalne sprzeczności. Na tle grzechu pierwotnego autor *rozumkuje*:

Czart doprowadził ludzi do tego wiekopomnego jabłkobrania, a Bóg... dopuścił! Szczególna to jest teoria owego „dopustu bożego.“ Wszechmocny Bóg nie zapobiegł spełnieniu przestępstwa, nie powstrzymał ręki Kaina, wzniesionej nad Ablem. On stworzył cały świat... Więc także trujące grzyby, jadowite węże, piekło, czartów, grzech ludzki, zbrodnie... A jeżeli to wszystko stało się wbrew jego woli? Ależ w takim razie nie byłby wszechmocnym! To też katechizm wymyślił sobie teorię „dopustu bożego.“ Wszak, wedle sprawiedliwego ludzkiego prawa, nieprzeszkodzenie zbrodni, gdy się przeszkodzić może, jest również poczytywane za zbrodnię, a conajmniej za ciężkie przestępstwo. Tu też znajdujemy wspaniałą sprzeczność w nauce katechizmu... (48).

I wnet p. N. przeskakuje do grzechów cudzych, między którymi właśnie a dopustem Bożym „wspaniałą“ sprzeczność, ku rozkoszy niewymownej niepodległego serca, wynalazł. Przytoczywszy za Katechizmem pierwsze trzy grzechy cudze, p. N. woła z niecierpliwością tryumfatora, pragnącego jaknajrychlej swoje trofea okazać:

Dosyć! Dopust boży, czyli pozwolenie ze strony wszechmocnego Boga, aby ludzie grzeszyli, kuszeni byli przez czarta i t. p., jest grzechem cudzym. A więc wedle katechizmu, Bóg wciąż się dopuszcza grzechu cudzego. A w ten sposób Bóg spełnia wciąż ósmy grzech cudzy, czyli staje się uczestnikiem cu-

dzego grzechu. ¹⁾ To mówi nam wydoskonalony „dar boży,“ rozum (49).

To jest bajeczka teologiczna, którą p. N. opowiedział dla nieuków. Posłuchajcie podobnej bajeczki historycznej:

*Kiedy Kara Mustafa, Wielki Mistrz krzyżaków,
Szedł z licznymi zastępami przez Alpy na Kraków,
Do obrony swych posad zawsze będąc skory,
Pobił go pod Grunwaldem król Stefan Batory!*

Nie wierzycie, że między tą bajeczką a tamtą zachodzi podobieństwo? Tedy słuchajcie dalej!

Z Bogiem, który „pozwała“ grzeszyć, p. N. nie chce mieć nic wspólnego; więc umywa ręce:

Jeżeli więc autor niniejszych słów będzie za napisanie tej książeczki gorzał w piekle, zawoła w stronę katechizmowego Boga: Daruj, że darem twym, rozumem, widzieć cię nielogicznym i obarczonym cudzymi grzechami nie chciałem!

Wyznajemy zupełną z p. N. solidarność. I my, wyznawcy Boga katechizmowego, nie chcemy Go widzieć nielogicznym ani też obarczonym grzechami cudzymi. Postaramy się przeto wykazać, co przyjdzie nam zresztą bez nadzwyczajnego utrudzenia, że owa nielogiczność i owe grzechy cudze—to własność p. N., którą, wedle sprawiedliwych praw ludzkich, należy zwrócić prawemu jej właścicielowi. *Suum cuique!*

Pan N. istotnie wynalazł osobliwą teorię dopustu. Dopust Boży, „czyli“ pozwolenie na grzech! „Któż się zdoła od śmiechu wstrzymać, przyjaciele?“ Czy nie gratka dla „Muchy“ ²⁾ lub „Świątecznego“?! I na takim wspaniałym humorystycznym założeniu autor oparł tak daleko-
nośne wywody! Takie awanturnicze historie podyktował mu

¹⁾ Autor trzyma się porządku i brzmienia grzechów cudzych, według podręcznika ks. Putiatyckiego (44). W podręcznikach innych porządek ten i to brzmienie bywają nieco inne.

²⁾ W „Musze“ spotkaliśmy się z dobrym żartem ilustrowanym, skierowanym przeciw ateistowskiej propagandzie „Myśli Niepodległej.“ Żarcik nosi tytuł: „Hodowca i przychowek“ *Hodowca* pyta dwoje przedstawicieli przychowku: — Chcecie kupić ostatni numer *Myśli Niepodległej*? — Tak, ale czy tam aby nawymyślano Panu Bogu? — Ojoj, i jak jeszcze! Nie bójcie się, obywateli, ja w każdym numerze o Bogu pamiętam! (Nr. 1).

rozum „wydoskonalony!“ Właściwie, jest to rozum niepodległy, niepodległy żadnym prawom logiki, ale za to wyostrzony, jak brzytwa, na oślece tendencji. Taki rozum—to nóż w rękę szalonego. Na dobrą sprawę, wystarczyłoby samym śmiechem wstrząsnąć podstawą wniosków autora, aby one rozsypały się, jak domek karciany. Ciekawą jednak rzeczą będzie przyjrzeć się budowie tego domku, w świetle autentycznej nauki chrześcijańskiej i rozumu.

Cóż to jest dopust Boży? Jest to czysto *negatywne* pojęcie, które wyraża *względny* bierność Boga wobec woli człowieka grzeszącego. Gdyby Bóg miał niedopuszczać do wykonania żadnego grzechu, natenczas zadawałby stale gwałt woli ludzkiej, za pomocą chyba ustawicznych cudów. Wobec takiego, jedynie rozumnego pojęcia dopustu, zrozumienie go, jako *pozytywnego* pozwolenia na grzech, przy *bezwzględnej* bierności „wszechmocnego“ Boga, ujawnia się, jako istotnie „wspaniała“ niedorzeczność. Zauważmy tu ostry spryt autora, z jakim wysuwa on zaprzeczoną przedtem wszechmoc Bożą. Bóg jest, wedle Katechizmu,—rozumuje autor—wszechmocny, zatem powinien używać całej wszechmocy swojej, aby nigdy nie dopuścić żadnego człowieka do grzechu. Bóg „powinności“ tej nie spełnia, zatem... jest uczestnikiem grzechów ludzkich... Czemu jednak p. N., uznawszy tu za stosowne wskrzesić katechizmową wszechmoc Bożą, operuje tem pojęciem katechizmem przeciwko dowolnie całkiem zmyślonemu pojęciu dopustu? Czemu to fikcyjne pojęcie własne podsunął Katechizmowi? Czemu nie postarał się dowiedzieć, co też Katechizm przez dopust rozumie? Bo inaczej nie byłoby „wspaniałej“ sprzeczności, nie byłoby „wspaniałego“ tryumfu nad Katechizmem! Oto, jak w kuźni ciemnogrodzkiej fabrykuje się trofea myśli niepodległej! Oddajmy-ż hołd sprytowi kowala wspaniałych... niedorzeczności...

Pan N. popełnia i drugą zasadniczą niedorzeczność. Prócz dopustu—z pozwoleniem, utożsamia on nadto pozwolenie na grzech z grzechem uczestnictwa w cudzym grzechu.

Oczywiście, grzechy cudze polegają z natury swej na uczestnictwie; ale uczestnictwo w nich jest moralne, a lubo nie tylko bierne, lecz i czynne, jednak nie fizyczne; w razie przeciwnym, nie byłoby grzechu *cudzego*, jeno grzech *własny*, własny bezpośrednio i pierwszorzędnie. Wyjątek stanowi cytowany przez autora, jako 8-my z kolei, grzech

uczestnictwa. Skoro na uczestnictwie wogóle polegają wszystkie grzechy cudze, tedy uczestnictwo, zaznaczone specjalnie w grzechu ósmym, musi być odrębne. Jakoż jest ono tutaj fizyczne, lubo, jak sam wyraz wskazuje: cząstkowe i drugorzędne. Wypada stąd, że ten grzech, jako różny od wszystkich swoich siedmiu braci, jest różny i od jednego z nich: „na cudzy grzech zezwalać.“ Skoro zaś istota jego zasadza się na udziale w cudzym grzechu—czynnym i fizycznym, wypada stąd znowu, że absurdem jest przypisywanie go Bogu, jako istocie pozaświatowej. Tymczasem p. N. imputuje Katechizmowi, jakoby tenże imputował Panu Bogu zarówno zezwalanie na grzechy ludzkie, jako i branie w nich udziału czynnego i fizycznego. Owszem, bierze jedno za drugie.

To ostatnie jednak wykracza po za tendencję autora i jest plodem czystego nieuctwa. Omyliła go *litera* grzechu ósmego: on chciał przypisać „katechizmowemu“ Bogu tylko uczestnictwo *moralne* w grzechach ludzkich, a nie zmiarkował, że wszystkie grzechy cudze na *takim* uczestnictwie polegają, prócz ósmego...

Ze swojego humorystycznego stanowiska, p. N. mógł był zarzucić Panu Bogu następujące grzechy cudze: komu grzeszyć kazać, na cudzy grzech zezwalać, na cudzy grzech milczeć i—mogąc, cudzemu grzechowi nie zapobiegać.

Ten ostatni, ze stanowiska p. N., jest najbardziej logiczny i ma najwięcej pozorów prawdopodobieństwa. Ponieważ p. N. stawia go wyraźnie, przeto jako nad najbardziej ludzającym myśl niekrytyczną, należy się nad nim dłużej zastanowić.

„Sprawiedliwe prawo ludzkie poczytuje nieprzeszkadzanie grzechowi co najmniej za ciężkie przestępstwo, które jednak popełnia Bóg, który stworzył trujące grzyby, jadowite węże, piekło, czartów, grzech ludzki, zbrodnię...“

Dosyć! Ta wściekła sarabanda dzikich absurdów, z wodzirejem w osobie p. N. na czele, to pijacka halucynacja niepodległej fantazji autora, który się upił niepodległą myślą. Nie przerażajcie się więc, o czytelnicy! Ze spokojem lekarza zbadajmy, co p. N. zobaczył i nam w szczerości ducha opowiedział, oraz postawmy ddiagnozę.

Trujące grzyby, jadowite węże, piekło, czarci, zbrodnia... Jest źle,—najwyższy stopień zatrucia mózgu wyśkokowym trunkiem myśli niepodległej. Stopień, który znawcy określają właśnie słowami: „do bielawo zmieja“

i „do czortikow...” Należy zastosować zimne okłady perswazji krytycznej. Może siwucha myśli niepodległej wy-
paruje...

Pan N., który oburza się srodze na kary Boże za grzechy ludzkie, temsamem stwierdza, jeśli nie ich słuszność, to fakt, iż je Katechizm jako słuszne, uznaje. Właśnie Bóg, wedle Katechizmu, przez kary, jako sankcję swoich nakazów i zakazów, grzechom zapobiega. Taksamo, wedle sił swoich, czynią także „sprawiedliwe prawa ludzkie,” na prawach Bożych oparte. Poczucie konieczności kary, jako realnego postrachu na grzeszników, bije wysoko z duszy ludzkości. Wyraziło się ono, między innymi, w mą-
drem przysłowiu indyjskim, które kiedyś wyczytałem w „Prawdzie” Świętochowskiego: „Kara panuje nad rod-
zajem ludzkim; kara go osłania; kara czuwa, gdy wszy-
scy śpią; kara jest sprawiedliwością: mówią mędrcy.”

Rzadko kiedy wprawdzie Bóg karze doraźnie. Gdyby jednak zawsze miał czynić tak, jak uczynił z Abrahamem, gdy ten podniósł uzbrojoną rękę nad Izaakiem, tedyby w każdym wypadku zamierzonego grzechu, zawieszać musiał w działalności nie tylko wolę ludzką, ale i prawa na-
tury, czyli co moment po całym świecie czyniłby cuda. Cuda działałyby się z reguły, nie zaś, jako nadzwyczajne wyjątki. Czy to byłoby dla myśli i moralności niepodle-
głej pożądane, godzi się wątpić.

Zapewne, Opatrzność zapobiega nieraz doraźnie wy-
konaniu występku, posługując się w tym celu prawami
czy wypadkami naturalnymi. Czy nie mogłaby zatem czy-
nić tak zawsze i wszędzie?

Naprzód, ponieważ istota grzechu polega na we-
wnętrznym akcie złej woli, przeto zapobieżenie wykonaniu
jego nie zapobiega jemu samemu. „Kto nienawidzi brata
swego mężobójcą jest” — orzeka Jan Ewangelista (List
I, III, 15). Powtóre, zapobieganie za każdym razem cho-
ciażby samemu wykonaniu występku, ze względu na jego
ofiara, znowuby zawieszało wolną wolę ludzką; ile, że wo-
bec jawnej wtedy i oczywistej, dla największych nawet
zaślepieńców, niemożliwości popełnienia grzechu, samo jego
zamierzenie, jako zgola bezcelowe, bo skazane z góry na
chybę, byłoby unicestwione. W ślad za tem zaś — uległaby
również unicestwieniu zasadnicza idea bytu ziemskiego,
jako czasu doświadczenia i zasługi, zasługi na bytowanie
wiekuiste w Bogu.

Gdzie jest wolność grzechu, lubo względna, tam po-
jawia się kara, ale też i poświęcenie.

Ofiara występku nie zawsze zasługuje na ocalenie,
mianowicie, gdy przez występki cudzy ponosi karę wła-
snego; albowiem z powodu tożsamości, w pewnych katego-
riach czynów, ofiary z przestępcą. Łańcuch grzechów wle-
cze za sobą łańcuch kar. Grzechy nowe karzą grzechy
stare; grzechy jednych ludzi karzą jednocześnie grzechy
drugich. Istny system wzajemnego samokarania się przez
rodzaj ludzki, przez narody i stany społeczne: system,
oparty na nieubłaganem prawie przyczyny i skutku, obo-
wiązuje zarówno w świecie fizycznym, jako i w życiu
moralnym. To prawo jest dziełem sprawiedliwości Bożej.
Odwraca ono ludzi od grzechu.

Są jednak i ofiary grzechu — niewinne. Czyby tych
przynajmniej Bóg nie powinien był zawsze ocalać opatr-
nościowo? Nie! I one mają swoją celowość w planie
Opatrzności. Partycypują one, w mniejszej lub większej
mierze, w tej celowości, która znalazła najwyższy, idealny,
jedyny w swej potędze i świętości wyraz: w najniewin-
niejszej z pośród niewinnych i najboleśniejszej z bole-
snych — Ofierze Kalwaryjskiej. Ofiary niewinne z pośród
ludzi miewają charakter ofiar prześlągalnych, budzących
jednocześnie uśpione i niereagujące na rozwielenie
występek sumienie społeczne. Któż rodzina nie ma ta-
kich ofiar rodzinnych, któryż naród nie ma takich ofiar
narodowych? Świadomość i poczucie konieczności takiej
solidarnej ekspiacji dochodziło i dochodzi w świecie chře-
ścijańskim do takiej potęgi w jednostkach wybranych, że
same siebie składały Bogu na ofiarę całopalną Bogu za
grzechy ludzkie. Stygmaty ran Chrystusowych — to naj-
doskonalsze wcielenie idei Ofiary Kalwaryjskiej, ¹⁾ idei tej
samej, która wśród bałwochwalców starożytnych wyrażała
się po barbarzyńsku w ofiarach ludzkich, składanych Mo-
lochom, a wśród żydów — w ofiarach bydłobójnych. W zro-
zumieniu tej idei po chrześcijańsku, święci Pańscy, owi
nadludzie świata chrześcijańskiego, dochodzili do entuzja-

¹⁾ Obok znanych powszechnie z wieków dawniejszych — takich sty-
gmatyków i stygmatyczek, jak: św. Franciszek z Asyżu i św. Teresa, za-
słynął z nich i wiek XIX-ty: Katarzyna Emmerich, Marja Moerl, Julia
Weiskircher, Dominika Lazzari i Ludwika Latéau. Stygmaty zwłaszcza
tej ostatniej były przedmiotem pełnych uprzedzenia badań naukowych,
które jednak nie wykryły żadnego podstępu.

stycznego ukochania cierpienia, wołając ze św. Teresą:
„Cierpieć lub umrzeć!...”

To prawo poświęcenia jest znowu dziełem miłości Bożej. Ratuje ono ludzkość z potopu grzechów i potopu kar, oraz wiedzie ją do Boga.

Bóg byłby obowiązany oszczędzać niewinne ofiary grzechu w takim tylko wypadku, gdyby krzywda ich była niemożliwa do powetowania i wynagrodzenia: to jest, gdyby na tym świecie wszystko się kończyło... Jakże wielką ulgę i pociechę, zaprawdę, znalazłoby wielu w swoim cierpieniu, gdyby mieli świadomość jego celowości, zaiste, wielkiej i pięknej!

A znasz ty Ewangelię?

— pyta ks. Piotr rozpaczającego Gustawa. Gustaw odrzuca:

A znasz ty cierpienie?

Oto źródło walki pomiędzy Cierpieniem a Ewangelią. A jednak, nie rozumie ducha Ewangelji ten, kto przeciwstawia jej wrogo Cierpienie; tej Ewangelji, która jest dla cierpienia kojącym i wonnym balsamem! Znam i cierpienie. Wiem, jak zalewa ono duszę falą pesymizmu, gorzkiego i beznadziejnego. Wiem, jak smutny bezbrzeżnie jest świat, gdy czarna chmura zwątpień zakryje słońce ideałów, dla których się żyje, dla których żyć warto i z którymi życie jest piękne. Dlatego jednak, że to wiem i rozumiem, żałuję, że twórcy „Dziadów” wypadło postawić owe wstrząsające tragizmem pytania w tej kolei, w jakiej postawił je. Jabyśmy wolał widzieć je przedstawionymi, jedno na miejsce drugiego:

— *A znasz ty cierpienie?*

— *A znasz ty Ewangelię?*

Górze Ewangelja, wielka pocieszycielka cierpiących i smutnych! Tych nawet, którzy „smutni, bo sami pełni winy...”

Zaiste, niepokojący odwiecznie ludzkość problem cierpienia jest straszny i z pozoru do pogodzenia z istnieniem Boga niepodobny. Zdarzyło mi się słyszeć siedmioletniego malca, pytającego w chorobie matkę: „Dlaczego Pan Bóg stworzył ludzi, kiedy muszą chorować?” Wchodząc w myśl pytających podobnie ludzi, o. Prokop odpowiada: „Chociażby ze wszystkich ludzi, jacy byli od początku

świata, i będą do jego końca, jeden jedyny człowiek raz tylko i to na chwilę, jak mgnienie oka, doznał najłżejszego cierpienia, jużby to sprzeciwiało się nieograniczonej dobroci Stwórcy, gdyby cierpienie nie miało pewnej tajemniczej własności, i byłoby rzeczą niepojętą dla najbystrzejszego rozumu, nieoświeconego wiarą.”¹⁾ Więc wiara chrześcijańska, więc Ewangelja daje rozwiązanie owego problemu, rozwiązanie, które się streszcza i ogniskuje w Krzyżu.

Niepodoba się ono jednak duchom „niepodległym.” Diderot, cytowany z uznaniem przez Straussa („Stara i Nowa Wiara”), z powodu poświęcenia Syna Bożego przez Boga Ojca na ofiarę ubłagalną za rodzaj ludzki, powiedział płasko i płytko: „Żaden dobry ojciec nie zechce naśladować w tem Boga Ojca!”

Że żaden wydmuchany filister lub opasły burżuj — to pewna. Historia zna wszakże ojców bohaterskich. Nie wspominając o naszym rodzimym bohaterze-ojcu, Kacprze Karlińskim, nieśmiertelnionym przez Fredrę i Syrokomlę; nie wspominając o dzielnych Głogowianach; tym więcej o tych niezliczonych ojcach i matkach, co wysyłali synów na bój za ojczyznę, gdzie się życie stawia na kartę: weźmy przykład klasyczny z prapatriarchy Hebreów, Abrahama. Już nie ojczyzna ziemska, lecz sam Bóg zażądał odeń ofiary z jedynaka, on zaś gotów był ją złożyć. I jeżeli w chwili krytycznej Bóg powstrzymał rękę ojcowską, wzniesioną nad synem związanym, to tylko dlatego, iż wolał Jego było poddać próbie tego, którego zamierzył uczynić ojcem wybranego ludu. Abraham wytrzymał próbę walki między uczuciem religijnem a ojcowskiem, Bogu to wystarczyło.

Do podobnego, jak względem „Adama” żydów, zachowania się Boga względem Kaina, racji nie było, bo i wypadek nie był podobny. Tam Bóg *nie dopuścił* do zabójstwa, bo zamierzenie go pochodziło z czystej pobudki posłuszeństwa, Bogu zaś takich ofiar nie potrzeba; tu Bóg zabójstwo *dopuszczył*, bo Abel padł z ręki pierworodnego syna grzechu²⁾ — ofiarą przeblagalną za winę pierworodną swoich rodziców. Był to pierwszy owoc pierwszej myśli niepo-

¹⁾ „Matka Bolesna, wzór dla cierpiących.” Str. 21.

²⁾ Ponury charakter Kaina każe wnioskować, że musiał on być poczęty wśród podobnego nastroju duchowego swoich rodziców. Taki zaś ich nastrój tłumaczy się łatwo utratą łaski Bożej. Śnać trwali wtedy jeszcze w usposobieniu buntowniczym przeciw Bogu.

dglej, który stanowił dla pierwszych ludzi bolesną lekcję poglądową, dokąd myśl niepodległa prowadzi...

Z charakterem próby, na którą Bóg wystawił Abrahama, łączy się w ofierze Izaaka charakter wyższy i powszechno-ludzki. Zdarzenie to — któż tego nie widzi? — jest figurą proroczą ofiary Chrystusa. Boski Dramaturg stworzył tu tak harmonijną w każdym szczególe kompozycję zdarzeń życiowych, faktycznych, jaka nie powstała w fantazji żadnego dramaturga-artysty. Nie wziął Bóg syna Abrahamowego, ale w jego miejsce podstawił uwikłanego rogami w cierniach barana, symbol „Baranka Bożego”, który gładzi grzechy świata, Baranka w koronie cierniowej. Kazał jednak „Adamowi” ludu wybranego dać sobie na ofiarę pierworodnego i jedynego syna z Sary, na znak proroczy, iż tak da Syna Jednorodzonego, jako Adama Nowego, ku odrodzeniu ludzkości. W nieskończonej miłości swojej płaci Bóg sprawiedliwości własnej ze skarbca własnego ¹⁾. „Albowiem tak Bóg umiłował świat, iż Syna swego Jednorodzonego dał, aby wszelki, kto wierzy weń, nie zginął, ale miał żywot wieczny” (Jan, III, 16). Zgodnie też z wolą Abrahama Niebieskiego, Boga Ojca, ofiarował się i poświęcił Izaak Zakonu Nowego, Chrystus, świadomie i dobrowolnie. „Ofiarowan jest, iż sam chciał” (Izaj. LIII, 7).

Już z faktu samopoświęcenia Chrystusa wypływa, że nie samemi tylko karami Bóg zapobiega grzechom ludzi: ale jeszcze przez Łaskę, którą wysłużył nam Chrystus. A nadto: przez przykazania, przez nieomylną obietnicę nagrody wiecznej, „przewyższającej wszelki zmysł” (do Fil. IV, 7). Słowem, przez cały aparat środków, o których poucza Katechizm i które wskazują, że cała dogmatyka katolicka napięta jest ku walce ze złem, jako ku swojemu celowi najbliższemu. Tymi wszystkimi środkami oddziaływa Bóg moralnie na wolę, gwałtu najmniejszego jej nie zadając. Bo jak mówi do Dantego Beatrice:

*Największy z darów, jaki w swej szczodrości
Bóg stworzyć raczył, najodpowiedniejszy
Dobroci Jego, i który najwyżej
Ceni sam Stwórca: jest to wolność woli:*

¹⁾ Ideę wyplacania się sprawiedliwości Bożej rozważymy z innej okazji, gdyż p. N. specjalnie ją zaczeplia.

*Dar, którym wszystkie, lecz tylko rozumne
Istoty były i są obdarzone. ¹⁾*

Gdy więc wola ludzka, mimo wszelkich przeciwdziałań ze strony Boga, woli Jego się przeciwstawia, On jej to dopuszcza, to znaczy: działalność woli swojej w pewnym kierunku — zawiesza, przeciwdziałania moralnego zaniechiwa i przestępcę od siebie odsuwa. A właściwie: stwierdza fakt dokonany, że grzesznik sam pierwszy odsunął się od Niego, sam Go pierwszy odtrącił. Stwierdzenie to następuje w sposób stanowczy i nieodwołalny na sądzie szczegółowym po śmierci. I oto przestępca niepoprawny i zatwardziały, a świadomy doniosłości swych czynów, znajduje się po za Bogiem, w piekle... ²⁾.

Widzimy tedy, jak dalece naturalną jest teoria dopustu Bożego, jak ona harmonizuje z kunsztowną i subtelną, a mimo tego pełną prostoty machiną religji, regulującą stosunek człowieka do Boga. To nie wymysł sztuczny „fabrykantów” Katechizmu, latający dziury, odkrywane rzekomo przez myśl niepodległą w systemie religijno-filozoficznym. Sztuczne i fikcyjne są raczej owe dziury, które myśl niepodległa wybić w nim usiłuje, jak się je wybija we dnie statku, żeby go zatopić.

¹⁾ „Boska Komedja” — *Raj*, Pieśń V. Przekład Stanisławskiego.

²⁾ Przypomnieć trzeba jeszcze, choć w przypisku, notowany już zarzut z dopustu Bożego przeciwko nieomyślności Bożej: „Bóg dopuścił, aby pierwsi ludzie byli kuszeni przez węża, więc ich zmylił!” Dziecko na taki zarzut odpowiedziałoby: Nie zmylił przecież, bo z góry dał przestrożę, że pomra, jeśli zakaz Boży przestąpią. — Rzecz trochę dziwna, że p. N. nie podniósł tu zarzutu ze słów Modlitwy Pańskiej: „I nie wwdź nas na pokuszenie”. I na to wszakże dziecko chrześcijańskie odpowie: Kusi djabeł, który jest pod mocą Bożą, i tyle kusi, ile Bóg dopuści. A dopuszcza Bóg, żeby nas doświadczyć, dać nam pole do zasługi, oraz możliwość ćwiczenia woli. Nie dopuszcza też Bóg diabłu kusić nas nad miarę sił naszych, przeciwnie, wspiera nas wtedy łaską, żebyśmy zwyciężyli. Przeto: „Żaden, kto bywa kuszon, niech nie mówi, że od Boga bywa kuszon. Albowiem Bóg nie jest kusiciel zły, a sam nikogo nie kusi. Lecz każdy bywa kuszony od własnej pożądliwości, pociągnięty i przynęcony. Zatem pożądliwość, gdy pocznie, rodzi grzech; a grzech, gdy wykonany będzie, rodzi śmierć” (Jakób, I, 13, 15). Zauważmy tu jeszcze, że w języku staropolskim wyraz: *kusić* znaczy także: doświadczać, wystawiać na próbę. W tem znaczeniu Wujek przekłada, że Chrystus „kusił” Filipa (Jan, VI, 6).

Słowo jeszcze pod adresem katolickim. Za mało wśród nas różnia się między dopustem Bożym, a wolą ludzką, mianowicie, gdy cho-

Zdemaskowawszy tę niepocziwie zdradziecką robotę,
mamy teraz prawo przestrzedz czytelnika słowami Beatri-
czy, włożonemi w jej usta przez piewcę „Raju“:

*O chrześcijanie! bądźcie poważniejsi
W postępkach waszych, nie bądźcie, jak piórko,
Co z wiatrem leci, i nie myślcie sobie,
Ze byle jaka obmyje was woda.
Macie i stary i nowy Testament,
Macie Pasterza, który was prowadzi,
To wam powinno starczyć do zbawienia.
Jeśli zła żądza nie tak na was woła,
Bądźcie, jak ludzie, nie jak owce głupie,
By między wami Żyd was nie wyśmiewał.
Nie róbcie, jako jagnię, co opuszcza
Matki swej mleko i dla swej uciechy
Thucze się z sobą swawolne i płoche!*

dzi nie o zło moralne, t. j. grzech, ale o zło fizyczne. Nieszczęście się stanie: Wola boska! Umrze kto z powodu zaniedbania choroby lub szukania pomocy u znachorów: Wola boska! I t. p. Co gorsza, słowa takie w podobnych okolicznościach padają czasami nawet z kazalnicy. Jest to bezwiedna, antykulturalna propaganda fatalizmu wśród ludu, który i tak skłonny jest do leniwego holdowania fatalizmowi. Juścić, są klęski i wypadki żywiołowe, które pochodzą z woli Bożej, a które w języku naturalistycznym przypisywane są „sile wyższej“. U nas atoli mnóstwo bywa klęsk wskutek zaniedbania i braku kultury. Gdzie kultura wysoka, tam sprowadzono je do *minimum*. Prawda, tam znowu zdarzają się wypadki, nieraz masowe, wskutek braku kultury moralnej, która jest stokroć ważniejszym czynnikiem pomyślności społecznej, owszem, na której kultura materialna się opiera. U nas wszakże, niestety, braknie jednej i drugiej. Z wolą Bożą walka bezskuteczna i grzeszna, ale z dopustem Bożym — konieczna i nakazana. To walka — nie z Bogiem, ale ze złem, które sam człowiek sprowadził, a które Bóg dopuścił.

ROZDZIAŁ V.

Rzeczy ostateczne.

Piekło.

Mocarstwo Ciemnogrodu, ze stolicą tejże nazwy, otoczone jest chińskim murem, odgradzającym je od królestwa Chrystusa, pośrodku którego stoi. O nauce chrześcijańskiej krąży tam tylko plotki, skwapliwie kolportowane. Czasem daje do nich powód nasza tandeta myślowa, na którą obywatele ciemnogrodzcy rzucają się łakomie, aby ją do swoich celów wyzyskiwać. W fabrykach myśli niepodległej ulegają one przeróbce tak gruntownej, iż pochodzenie ich ledwie można poznać. Pozatem, zresztą, ciemnogrodzianie posiadają w wysokim stopniu kunszt samodzielnego zmyślania wieści nieprawdopodobnych o naszej nauce, naszej działalności i naszych ideałach. Albowiem zależy im bardzo na dyskredytowaniu nas. To ich racja stanu i racja bytu. Gdyby prawda została wykryta, państwo Ciemnogrodu musiałoby upaść.

Ma ono wszelkie pozory kultury. W rzeczywistości panują w niem dzikie poglądy i dzikie obyczaje. Im dalej w głąb krainy ciemnogrodzkiej zapuszczamy się, tem dziksze spotykamy pojęcia i tem więcej barbarzyński obyczaj. Biada misjonarzowi chrześcijańskiemu, który z Krzyżem i z Katechizmem w rękę tam pójdzie. Kłótniwi między sobą obywatele Ciemnogrodu rzucają się nań solidarnie, obedną z gołęi chrześcijańskich, zasypią gradem obelg i szykan. Jeśli się uda, podjudzą przeciw niemu tłum ciurów, albo naślą nań swoich bojowców i zamordują go.

Gdy nastąpi interwencja ze strony mocarstwa opinii chrześcijańskiej, wyłżą się i wyprą wszystkiego. Ręka, która trzymała „ślepy miecz“, cofnie się w porę i ukryje zręcznie, porzuciwszy „miecz“ na ofiarę sprawiedliwości.

Chcąc tam szykan uniknąć, trzeba się w ich strój przyodziać i władać ich językiem, „Tyś nasz!“—zawołają cudzoziemcowi, gdy po jakimś czasie odkryją w nim cudzoziemca. „Zostań z nami!—albo—okrzyknijemy cię zdrajcą!“ I trzeba być zasobnym w fortele, jak Ulisses, żeby wyjść na sucho z opałów, a mimo tego na charakterze swoim uszczerbku nie ponieść. Zdarzają się tam zresztą i ludzie dobrej woli i dobrej wiary. Tym—każdy z nas może powiedzieć: „Wyście nasi, jenoście tego nieświadomi!“ Trzeba to jednak mówić w cztery oczy; inaczej—sprawa o zdradę stanu, grożąca wyrokiem conajmniej banicji, po uprzednim postawieniu pod pręgierz. Ten bowiem przeżytek średniowieczny—tam został wskrzeszony. Zresztą proces krótki, pierwotny. Zasada „*audiatur et altera pars*“, obowiązująca w całym świecie cywilizowanym, w Ciemnogrodzie jest nieznana. Więc adwokatów tam niema; natomiast roi się od prokuratorów, tem więcej, że jedyną wymaganą kwalifikacją na ten urząd jest bezczelna śmiałość w rzucaniu oskarżeń. Dlatego też z łatwością dostają się nań i gołowase młokosy ciemnogrodzkie. Jest to przytem urząd popularny nadzwyczajnie. Popularność jego przenika poprzez mur chiński i rozpala ciekawością obywateli i obywatelki, mieszkających na pograniczu z Ciemnogrodem. Są oni, niestety, już pod protektoratem mocarstwa ciemnogrodzkiego, które czeka tylko chwili stosownej, ażeby im jarzmo myśli niepodległej narzucić. Z bronią kalumnji w ręku, czyni ono najazdy na okolice pograniczne i stopniowo je podbija. Naród ciemnogrodzki pamięta dobrze testament patriarchy swego Woltera: „*Calomniez, calomniez! Il en restera toujours quelque chose!*“ Jest to metoda walki, pod hasłem, przekazaniem przez tegoż patriarchę: „*Écrasez l'Infâme!*“

Infamisy, juścić, muszą wojować infamją. Oszkalują, kto się im niepodoba, a niepodoba im się przede wszystkim Chrystus i Kościół, potem zaś wołają: „Rozdepczcie, zgniećcie Nędznika!“

Dla zachowania pozorów sprawiedliwości wobec świata, prokuratorowie ciemnogrodzcy stroją swoje wyroki w motywy rozumowane, szpikując je chętnie „ostatnimi

wynikami nauki“, a w rzeczywistości—fałszowanymi jej surogatami. Przypominają oni Samsona, walczącego osłą szczęką przeciwko filistynom¹⁾. Wiedzą bowiem dobrze, jakie to mordercze narzędzie dla głupców, których jest poczet nieprzeliczony...“

...Przejdźmy do dalszego ciągu wywodów prokuratorских p. Niemojewskiego przeciwko Panu Bogu. Chodzi o to, że Bóg „stworzył“ piekło. Jest to najcięższy zarzut, jaki tylko można Bogu postawić. I zarazem najniebezpieczniejszy, ile że piekło nie cieszy się popularnością i przeto wiarę w nie odebrać bardzo łatwo²⁾.

Zauważmy naprzód, że ten zarzut stawia Bogu p. N., który tylko co przedtem zarzucił Mu, iż nie zapobiega grzechom ludzkim. Któżby jednak ostatecznie został się przy Bogu, gdyby nie bojaźń kary wiecznej, ostatecznej sankcji Bożych nakazów? Wyobraźmy sobie, że Kościół cofa dogmat o piekle. Radość, niewątpliwie, byłaby nadzwyczajna i powszechna. Oklaskiwano by „postępowość“ Kościoła, winszowano by mu jej, ściskano by ręce jego przedstawicieli. A co potem? Potem z równym zapałem, wśród oznak najwyższej wdzięczności, sprawiono by Kościołowi wspaniały pogrzeb. Wypalono by panegiryki, w których przyznano by „staruszkowi“ zasługi w dziele wychowania ludzkości. Najgorliwszymi zaś chwalcami jego byłiby mężowie myśli niepodległej, gdyż oni objęliby spadek po nieboszczyku-Kościół. Bo i któżby, po wykreśleniu dogmatu piekła, chciał słuchać Kościoła? Wszak on nie walczy o dusze i o swój byt dla dobra dusz—armatą i bagnetem; wszak nie ma do rozporządzenia Sybiru lub galer. Jego Sybirem, katorgą i galerjami—jest piekło! Jego Sybir jest zaświatowy!

¹⁾ Wolter popisywał się pewnego razu, iż poraził na głowę klerykałów, jak Samson filistynów. Na to przytomny pewien ksiądz: „I tą samą bronią!“ Inna anegdota przypisuje ten dowcip Dumasowi ojcu, który miał go skierować przy biesiadnym stole przeciwko jednemu wicehrabiemu, na tle gastronomicznem: Wszakże jedno drugiemu nie przeczy. Jeden i tensam dowcip może wystrzelić oryginalnie w podobnych okolicznościach.

²⁾ Nie tak łatwo atoli, jak się wydało K. Graves'owi, autorowi „Biografii Szatana“ przetłumaczonej z angielskiego przez p. W. Szukiewicza. Nędza dowodzeń autora oraz polszczyzny tłumacza idą o lepsze w zawody. Naśladowac wywody filologiczne Graves'a, można by było dowieść p. Szukiewiczowi drogą językownawczą, że protoplasta jego rodu był... oszustem: *szuk* = *szukać* = *oszukać*... Nie, szanowni panowie! Furja prokuratorowska nie zastąpi argumentów rzeczowych, ani naciągana gra terminów semickich nie zasłoni błagi naukowej!

Oburzacie się? Zżymacie się na tak niepopularne zestawienia?

No! Ależ Kościół nie posłał i nie posyła na ten swój Sybir nikogo, absolutnie nikogo! Tymczasem posłał wielu, bardzo wielu, do nieba. O nikim nie zawyrokował, żeby został potępiony¹⁾, a zawyrokował o wielu, że zostali zbawieni. Kościół bowiem otrzymał od Chrystusa klucze Królestwa niebieskiego, a nie otrzymał kluczy Królestwa piekielnego.

Kościół piekłem tylko grozi, a w tę groźbę wierzy najmocniej sam i sam się jej lęka. Bo Kościół piekła nie stworzył i nie zmyślił, ale głosi tylko prawdę o piekle, objawioną przez Boga.

I Bóg też piekła nie stworzył: piekła, rozumianego jako nieszczęśliwy stan duszy potępionej. Ten stan stwarza sam sobie grzesznik. A jeśli chodzi o piekło, jako miejsce, no, to i potępieni muszą mieć gdzie się podziać...

Jeżeli też piekło jest mocno niepopularne, zwłaszcza wśród grzeszników i niedowiarków, to trzeba powiedzieć, iż jeszcze bardziej „niepopularne“ jest ono w oczach Boga i Kościoła. Nikt tak doskonale piekła nie nienawidzi, jak Bóg!

Ale—co innego piekło, a co innego prawda o piekle. U niedowiarków niepopularną jest sama prawda. Na to Kościół nie poradzi. On prawdy tej nie wynalazł, on też przekreślić jej nie może. Nie ma on kluczy od „bram piekielnych“; ma tylko klucz do wiary w piekło: w Objawieniu i rozumie. I kluczem tym otwiera piekło przed oczami duszy, aby ją zbawczym strachem przejąć i tym sposobem od piekła zabezpieczyć. I na tem zadanie Kościoła wobec piekła się kończy. Jest to zadanie ratownicze i zbawcze. Ratuje zaś ludzi od piekła zagrobowego, jednocześnie i przez to samo ratuje on ludzkość od piekła na ziemi. Gdyby bowiem nie groza kary wiecznej, rozpełtałyby się wszystkie namiętności ludzkie i poszłyby przez świat—huraganem szału, wobec którego nie ostałoby się nic, co prawdziwe, dobre i piękne, a po którym zostałyby z kultury, dobrobytu i dorobku ludzkości—zgliszcza i popioły. Religja, pozbawiona sankcji, padłaby ofiarą pierwsza.

— Oto my nie wierzymy w piekło,—powiecie—a żyjemy po ludzku. — Odpowiem wam na ucho, żeście w ta-

¹⁾ O Kainie tylko i o Judaszu jest *przypuszczenie*, że zostali potępieni.

kim razie... niekonsekwentni. No, a dopomaga wam w tem, jeśli nie kodeks karny, to opinia, w gruncie rzeczy przesycona pierwiastkami etycznymi Chrześcijaństwa, pomimo wszelkich jego negacji: opinia, która sięga tam, gdzie nie sięgają paragrafy kodeksu; opinia, której oczy argusowe zapędzają w kozi róg oko policyjne. A nie powołujcie mi się na kulturę! Nie brak nędzników kulturalnych, którzy by powinni dźwigać kajdany!

Powiem wam po cichu jeszcze coś więcej. Na dobrą sprawę wy sami w swoją niewiarę nie wierzycie. Usiłujecie tylko nie wierzyć, szukacie dla niewiary swojej poparcia u innych, wzajemnie się w niej podtrzymujecie: no, i to się wam udaje do pewnego stopnia. Ale oto w ciszy nocnej nawiedza was myśl o śmierci, we drzwiach duszy waszej stają wam wasze grzechy, a za plecami ich — widmo kary pośmiertnej. I błądy, drżący strach w szorstkie objęcia was chwytają: ten strach, o którymście mniemali, żeście go „światłem“ myśli niezależnej wypłoszyli z duszy na zawsze. Odpędzi go zaś skutecznie dopiero skrucha, modlitwa, dobre postanowienie na przyszłość. O, radzę wam, nie marnujecie tych objawień zagrobowych wśród ciszy nocnej! Nie lekceważcie ich! To Łaska Boża wam je zsyła. To ona puka do serc waszych! To ona zmusza was do rozmyślenia o rzeczach ostatecznych, ażeby one nie zaskoczyły was znienacka.

Wyobraźcie sobie szaleńca, który pędzi na oślep nad skraj przepaści i nagle w niej ginie.

Niemoralne drogi życia, nęcące kwiatem rozkoszy, prowadzą ku otchłani zatracenia wiecznego, w którą Śmierć strąca niebacznych. Kościół o istnieniu jej przestrzega. Sami sobie przypiszą winę, którzy z przestroż jego szydzili.

Nie, wy nie jesteście takimi strasznymi niedowiarkami, za jakich pragniecie uchodzić. Malujecie się na czarno, czerwono lub fioletowo, bo taka moda, a moda jest waszą panią wszechwładną. Macie inne poglądy na pokaz, na popis, a inne sami dla siebie. Te inne—pewno czasem i gorsze od okazowych, ale czasem i lepsze. Teraz panuje moda, żeby wstydić się wiary chrześcijańskiej. Narzucił ją małoduszny chrześcijanom Ciemnogród. Pojęcia niepodległe mają kurs, popłacają, dają za bezcen markę postępowości, oświecenia... Owczy pęd dokonywa reszty...

Jesteście, jak owi „libellatici“ z męczeńskich wieków

Chrześcijaństwa, którzy wykupywali u władz rzymskich książeczki na świadectwo, iż złożyli bogom ofiary.

A jakież wstyd wstydzić się Chrystusa i lękać się ponieść dla Niego trochę przykrości, płynącej z drwinek niepodległych! Jakież wstyd—sprzedawać Chrystusa za marny poklask wolnomyślnych! Byłoby to zbrodnia, gdyby nie głęboka nieświadomość!

Wróćmy jednak do kwestji piekła.

Niestety, trzeba przyznać, że wogóle ludziom niewierzącym w piekło i w szczególności p. N. — niewiarę tę ułatwiają pomimowoli pojęcia o piekle średniowieczne, pokutujące do tej pory w niższem piśmiennictwie religijnem.

Gdy niedowiarkowie walczą z prawdą o piekło, to Kościół walczy z samem piekłem. Otóż w zapędzie walki z piekłem, ujawniają się, o tyle gorliwe o ile nieroztropne usiłowania czernienia tego, co już i tak doskonale jest czarne. W takich przesadzonych usiłowaniach kryją się wnioski na niekorzyść powagi Bożej, których przeciwnicy nie omieszkują wyciągnąć, spotęgować i wyzyskać.

Niech mówi p. Niemojewski.

Przytoczywszy katechizmowe, ściśle dogmatyczne określenie piekła, autor „wnioskuje“ z wielkim alarmem:

Więc za jedną chwilę błędu, człowiek skazany zostaje na miliony lat palenia się w żywym ogniu? Gdzież miara? Gdzie stosunek sprawiedliwy kary do winy? Gdzież wreszcie wspomniana w katechizmie dobroć i gdzie miłosierdzie? (26).

„Więc!...“ Spójnik ten wypadł, jak Filip z konopi. Kto, gdzie i kiedy powiedział, że za jedną chwilę błędu etc?...

Mówiąc absolutnie, nawet za jedną chwilę błędu ciężkiego, śmiertelnego, t. j. zadającego śmierć życiu nadprzyrodzonemu w duszy, grozi piekło. Ale pomijając już miłosierdzie Boże, psychologicznie niemożliwym jest wypadek, aby ktobądź, raz jeden tylko w życiu moralnie upadłszy, niezdolny był dźwignąć się z grzechu. Niepodobienstwem jest, aby kto przez całe życie wytrwał w cnocie, a potem nagle upadł i nie miał ochoty się podnieść. Niepodobna, żeby ten jeden jedyny błąd był w swoim rodzaju doskonały i spowodził za sobą nieuleczalnie złe usposobienie i zatwardziałość woli, oraz, żeby nie miał za sobą okoliczności łagodzących. Na tle duszy nieczepstej, do ostat-

niej chwili przed grzechem — czystej, takie zjawisko moralne nie da się przypuścić. Człowiek z jednym tylko błędem—toż chyba Łaski wybraniec!

Takie nieprawdopodobieństwa psychologiczne znać może chyba tylko patologia; no, i fantazja powieściopisarska panów Żeromskich, opisujących „Dzieje grzechu“ w duchu myśli niepodległej p. Niemojewskiego. To jest, że przyczyną występków ludzkich jest Kościół, zatem w dalszym rzędzie—i Bóg. Gdyby bowiem nie było przegród i zagród prawnych, moralnych, nie byłoby i grzechów. *All right!* Jenó w takim razie i ludzie nie byłiby ludźmi, ile że prawa dawane są tylko istotom rozumnym i wolnym, aby przestrzegając ich, utrzymały się przynajmniej na poziomie swojej godności nadzwierzęcej.

Pan Żeromski, przereklamowany, jak się okazało, autor „Popiołów“ (przereklamowany tendencyjnie przez partję Wolnej Myśli), podobnie jak z wolą i uczuciem ludzkim, obchodzi się i z rozumem, w stosunku do wierzeń religijnych. Trafnie i dowcipnie o posiadanej przez p. Żeromskiego sztuce wykonywania psychologicznych *salto mortale*, powiada krytyk jego „Dziejów grzechu“, p. Jan Perłowski: „W ciągu godziny, któraby nie starczyła do porządnego wykładu twierdzenia Pytagorasa, tych dwoje ludzi załatwia się z nieskończonością i chrześcijanka dowiedziała się, że Boga niema, z takim spokojem, z jakimby słyszała, że daleki znajomy wyjechał z Warszawy raz na zawsze“, (*Słowo*, N. 22). Tasama chrześcijanka, wytwornie wychowana Ewa, nagle zaczyna mówić językiem lupanarów... Ale może to są secesyjne symbole?...

Ciemnogrodzianie atoli wiedzą, czego chcą i do czego dążą! Panu Żeromskiemu zależało na okazaniu, że Wiara, to taka sobie rzecz śmiechu warta, iż głupstwem byłoby dłużej niż godzinę, nad nią się zastanawiać, aby ją odrzucić. Myśl niepodległa traktuje ją z wyniosłością bankiera, który na szwindlach dorobił się milionów. Mniejsza z tem, że szwindel psychologiczny nie ma nic wspólnego, ani ze sztuką, ani z rzeczywistością... O, hojni, wspaniali milionerowie myśli niepodległej! Jakże podziwiać trzeba łatwość, z jaką rzucacie tęczówki swoich talentów w błoto pornografji!... A może czynicie to w celu podtrzymania zagrożonego kredytu myśli niepodległej, wytwórczyni moralnego błota? O, jacyście w takim razie sprytni!—Niech żyje mocny „spryt“ (*esprit fort!*) plutokracji Ciemnego Grodu!

...Nie lada czego, zaiste, potrzeba, żeby wyrobiło się w duszy usposobienie, kwalifikujące ją do odrzucenia przez Boga na wieki. Tysiące i tysiące błędów nie wystarczą do tego, jeśli po nich nastąpi skrucha i pokuta: lubo każdy z nich — mówimy to z naciskiem — wzmacnia napięcie i ciężenie woli ku złemu o tyle, o ile osłabia zdolność ku odrodzeniu moralnemu. Nie za błędy *aktualne*, bodajby najliczniejsze, lecz za upór i rozmiłowanie w złem, upór zdecydowany, świadomy, nienawistny ku dobremu, — za zupełne wyniszczenie w duszy tęsknot i aspiracji ku ideałom, — kara wieczna staje się udziałem człowieka.

Piekło—to piekielny stan duszy, który człowiek sam w sobie wytwarza, a który czyni go niezdolnym do widzenia Boga. Stan nienawiści, która odrąca oddaną jej duszę od Boga, jak znowu miłość pociąga ku Bogu, który jest Miłością. Rozumie to Milton, gdy w „Raju Utraconym“ wkłada w usta „potępionego Archanioła“ słowa:

*Witaj piekielny świecie, witaj zgrozo!
Głębio bezdenna, przyjm nowego pana!
Ducha nie zmienia zmiana miejsca, czasu,
Duch sam jest sobie miejscem, może sobie
Z Nieba utworzyć Piekło—Piekło z Nieba.*

(W przekładzie Wł. Bartkiewicza).

Że stan duchowy wymaga przystosowania doń odpowiednich warunków zewnętrznego otoczenia i miejsca — rzecz naturalna...

Piekielny zaś stan duszy jest wynikiem winy, niemorzanej przez żal, jako *conditio sine qua non* przebaczenia: winy habitualnej, tkwiącej w złem usposobieniu i trwającej przez wieki. Póki trwa wina, trwać musi także kara. Potępieniec niezdolny jest do żalu i prośby o przebaczenie. Na to nie pozwala mu jego pycha i nienawiść ku Bogu. Rozumie to Deotyma:

*Szatan wie wszystko, rozumie,
Lecz jedno jest mu nieznanem:
Modlitwę odrzuca dumnie
I dlatego jest szatanem.*

Rozszatanić się (jako i rozanielić) zdolien jest i człowiek. Stworzywszy piekło w swej duszy, już za żywota

ziemskiego, traci on wszelkie uzdolnienie do żalu za złe czyny, a w ślad za tem—i do szczęścia w Bogu. Traci dobrowolnie z winy własnej, tak, iż ani przez myśl nie przejdzie mu za grobem oskarżać Boga o niesprawiedliwość i okrucieństwo, i sam o sobie powie: „*Volenti non fit iniuria*“¹⁾. Słowem, nieskończonej świętości Bożej odpowiada nieskończona kara, nie za jeden błąd aktualny, którego wykonanie trwa chwilę, lecz za winę habitualną, trwającą i obrażającą Boga nieskończenie. To jest proporcja, zgodna doskonale z prawami matematyki. Jest to i harmonja, zgodna z opartymi na matematyce prawami muzyki. Harmonja kontrastu: jakim bowiem sposobem — ton pychy, nienawiści, złości, — mógłby się zlać w akord z tonem miłości i świętości? Musi on być wyodrębniony i odrzucony w przeciwległy biegun kontrastu. Jeden zaś z drugim, pomimo sprzeczności wzajemnej, harmonizują z sobą tendencją ku chwale Bożej. Albowiem i szatan na swój sposób, chwałę Bogu oddaje: przez uznanie Jego wszechmocy, która odrąciła go, a stąd przez konieczną uległość Jego woli.

„Nawróćcie się ku mnie, — woła Bóg przez usta Izajasza — a będziecie zbawione wszystkie kraje ziemi: bom ja Bóg, a nie masz innego.

„Przysięgłem sam przez się, wynijdzie z ust moich słowo sprawiedliwości, a nie wróci się:

„że się mnie kłaniać będzie wszelkie kolano i każdy język przysięgać“ (XLV, 22—24).

Podobnie o Chrystusie Panu—św. Paweł:

„Sam się poniżył, stawszy się posłusznym aż do śmierci, a śmierci krzyżowej.

„Dlaczego i Bóg wywyższył Go i darował Mu Imię, które jest nad wszelkie imię:

„aby na Imię Jezusowe wszelkie kolano klękało: niebieskich, ziemskich i piekielnych“ (do Filipensów, II, 8—10).

Zresztą Bóg jest miłosierny i jeżeli nagradza nad zasługi, to karze niżej zasług. „Miłosierdzie Boże przewyższa sąd“ — mówi Jakób Apostoł (II, 13). Podobnie Psalmista: „Litości Boże nad wszystkie sprawy Jego“ (144, 9). Byłoby też bluźnierstwem mniemać, żeby człowiek mógł ubiedz Boga w płynącym z miłości uczuciu miłosierdzia. Postawmy się jeno w roli obrażonego...

¹⁾ Chcącemu nie dzieje się krzywda.

Wysoce znamienne jest podanie katolickie o tem, że cesarz rzymski, Trajan, jeden z najokrutniejszych przesławców chrześcijan, miał być wyzwolony z piekła, za przyczyną św. Grzegorza Wielkiego, papieża. Jeszcze bardziej znamienny jest fakt, że Tomasz z Akwinu poważnie się nad tem podaniem zastanawiał i tłumaczył je przewidywaniem przez Boga modlitwy wstawiennej św. Grzegorza: ponieważ Bóg to przewidział, — rozumuje św. Tomasz — przeto wyrok nad Trajanem pozostawił w zawieszeniu, a następnie użył go mu czasu i łaski do pokuty¹⁾. Tym sposobem Doktor Anielski godzi podanie rzeczzone z pewnikiem wiary katolickiej, orzekającym, że z piekła niemasz wybawienia. Snać też podaniu temu hołdując, Dante umieszcza Trajana w „Niebie“.

Znowu św. Bernard zapewnia, że „nieszczęścia tego świata prawie nie są złośniejsze od nieszczęść piekielnych“²⁾.

¹⁾ Ob, „Encyklopedia Kościelna“, tom 19-ty, str. 218.

²⁾ Chwytny tu *in flagranti* tendencję kaznodziejską. Święty Bernard powiedział to w kazaniu na Wniebowstąpienie Pańskie. Zależało mu tedy na podniesieniu uroku nieba, przez obniżenie wartości życia ziemskiego. Dokonał tego przez podniesienie i poniekąd upodobnienie piekła do ziemi. Fakt atoli pozostaje faktem, że święty kaznodzieja nie ułakł się tej śmiałej analogii. Średnie wieki bywały śmielsze, szersze i szczerze na gruncie teologicznym, aniżeli wieki późniejsze, zwłaszcza po „Reformacji“, która sprowadziła reakcję myśli katolickiej. Rozwielmożnienie się i grasowanie błędów zawsze sprzyja reakcji, zwłaszcza gdy one występują pod egidą i hasłem postępu. Złośliwość ich i groza, która budzą, zaostrza wrażliwość obrońców i stróżów prawdy, nieraz do tego stopnia, że wietrzą błąd tam, gdzie go zgola niema i gdzie go dawniej wcale nie upatrywano; w katolikach, mających odmienne poglądy *in dubiis*, węża zdradzieckich Danajców... Wtedy to gorliwość, w imię ukrytej zasady: „plus Pape que le Pape“, święci swoje smutne tryumfy. Umysły bardziej krytyczne, niejednostronne, lękają się niebezpieczeństwa reakcji z powodu encykliki przeciw modernistom, *wbrew jej tendencjom istotnym*. Ukazanie się takiej częstochowskiej „Myśli Katolickiej“ obawy te w zupełności potwierdza. Wszystko, co się skupionym około tego „organu katolików świeckich“ duchom niepodoba, czego nie rozumieją, — pakują one hurtem pod nienawistną kategorię modernizmu, tego modernizmu błędnego i potępionego.

Uczyniono z tego modernizmu religijnego worek, w którymby wszystko bez wyboru pomieścić było można; gdy tymczasem encyklika „Pascendi“ — pojęcie modernizmu, jako herezji nad herezjami, określiła ściśle i ograniczyła to miano do wprowadzenia w podwaliny dogmatyki katolickiej zasad Kanta, z jego „Krytyki czystego rozumu“. Na dobrą sprawę, tak pojętego modernizmu na gruncie polskim prawie niema. Dzwolne rozszerzanie go na przejawy myśli katolickiej, raczej liberalistyczne, a nawet na ściśle ortodoksyjne, ale wybiegające poza sferę pojemności

A przecież, iluż ludzi, chociaż w życie wieczne nie wierzą, i nagrody się nie spodziewają, woleliby na tym padole nędzy żyć wiecznie, aniżeli umierać, i wedle swego mniemania, obracać się w nicosć?! Renan wyznał, że wybierając z dwojga złego, wolałby piekło, aniżeli unicestwienie. Bajka Lafontaine'a o drwalu, wzywającym śmierci; podobna bajka Kraszewskiego p. t. „Dziad i Baba“: mówią to samo za wszystkich ludzi, przynajmniej przeciętnych i normalnych.

Jak we wielu innych kwestjach teologicznych, podobnie w kwestyi piekła, poza ścisłą literą dogmatu, ścierają się *opinie* teologiczne surowsze z łagodniejszymi. Tamte, rygorystyczne, opierają się między innemi, na *literalnem* tłumaczeniu *obrazów* piekła, które rozwija Pismo święte. Obrazy te są, istotnie, przerażające. Przecież to samo Pismo przyrównywa np. niewolę żydów w Egipcie do rozpalonego pieca, w którym roztapia się żelazo; wystawia żydów, jako wrzuconych do wnętrza tego pieca i żywcem gorejących (Deuter. IV, 20; Jerem. XI, 4; III Król. VIII, 51). Mimo tego żydzi, zbrzydziwszy sobie manę na pustyni, z żalem wzdychali do cebuli egipskiej....

Mimo tego „mimo“, — któżby chciał znosić straszną w istocie niewolę egipską żydów? Więc i obrazów piekła nie można lekceważyć i bagatelizować. Dają one miarę przybliżoną jego cierpień, bądź co bądź gorszych, niżli na ogół ziemskie, — wedle stopnia winy.

Cierpienia *pozytywne* w piekle są postulatem psychologicznym. Istota potępienia polega na pozbawieniu widzenia Boga; jak znowu istota zbawienia — na oglądaniu

intelektualnej katolików reakcyjnych, nie może nie okazać się bardzo szkodliwym dla sprawy katolickiej. Przeciwnadużywaniu takiemu idei modernizmu, zacieśniającemu katolicyzm, protestuje ks. Rostworowski T. J., w rozprawie p. n.: „Dwie filozofie“, drukowanej obecnie w *Przeglądzie Powszechnym* (ob. zeszyt za marzec r. b.). Osobliwie przeciw *Myśli Katol.* zaprotestowała hr. Plater-Zyberkówna. Śmiały jej protest, napiętnowany zrazu przez pewne koła nieokreślonym mianem „szlachizmu“, następnie poparty przez ks. d-ra Radzińskiego (ob. Dodatek do *Dziennika Powsz.* Nr. 82), wraz z jej dupliką przeciw replice hr. Michała Platara, co wszystko razem ogłoszono drukiem za wiedzą najwyższego przedstawiciela Kościoła w Królestwie, — budzi otuchę, że się reakcji nie poddamy, oraz że próba stworzenia katolicyzmu „częstochowskiego“, równie wartościowego, jak częstochowskie rymy, upadnie. Precz z myślą częstochowską! Niech żyje Myśl Katolicka!

Go, tem bliższem, im kto więcej Boga umiłował. Otóż, cóżby sobie robił z tej kary *negatywnej* niedowiarek, który nigdy nie odczuwał tęsknoty i porywu do Boga? Wprawdzie po śmierci—i on w Boga uwierzy, jak w Niego wierzą, a raczej o Nim wiedzą szatani. Pozna on wtedy, jakie dobro utracił. I męką jego będzie nienawiść: ku Bogu, ku samemu sobie i ku spółtowarzyszom niedoli.

Ku Bogu: bo gdy nie możemy osiągnąć dobra upragnionego, znienawidzamy je. Ku samemu sobie: że się czyniło wszystko, aby być potępionym. Ku współtowarzyszom: że oni jemu, a on im do potępienia się dopomagali. Z potrójnej nienawiści tej wypłynie i potrójna pociecha szatańska. Jedna—w myśl słów Mefistofelesa: „*Solamen miseris socios habuisse dolorum!*” —Pociechą nieszczęsnych jest mieć towarzyszków niedoli! W rozdrapywaniu ran własnych także znajduje człowiek straszliwą rozkosz. W końcu, w nienawiści ku Bogu tkwi pociecha podobna, że się na Nim, lubo bezsilną, wywiera zemstę.

Wszakże za życia doczesnego niedowiarek nie ulegnie postrachowi utraty Boga. Jemu, jako i grubemu, prostaczemu zmysłowcowi, chociażby wierzącemu,—trzeba postrachu zmysłowego. On, przywykły do nieodmawiania niczego zmysłom, już na ziemi lęka się najwięcej cierpień zmysłowych. To jego pięta Achillesowa. I nie jest to strach na wróble, z racji, że niedowiarek w karę wieczną nie wierzy. Albowiem niema niewiary *absolutnej*, wykluczającej z matematyczną pewnością—wszelką wątpliwość. Jak niema *takiej* pewności we wierze, tak niema jej, być nie może, i w niewierze. A wiara wciąż swoje twierdzi i nie daje niewierze pokoju. Samo już miotanie się tej ostatniej przeciwko wierze—mówi dużo.

Cierpienia zmysłów istot ludzkich potępionych są i postulatem fizjologicznym. Albowiem, gdzie jest cierpienie ducha, tam jawi się i cierpienie fizyczne. Nadto, sama przez się nienawiść stanowi źródło klęsk i nieszczęść. Tak jest na ziemi. W piekle nienawiść króluje wszechwładnie...

W ogólności piekło jest postulatem metafizycznym: z jednej strony sprawiedliwości i świętości Bożej, z drugiej—złej woli ludzkiej. Kto w życiu ziemskim do Boga dąży, ten znajdzie się, po przejściu przez wrota śmierci do wieczności, w Bogu. Kto żyje tu poza Bogiem, ten znajdzie się poza Nim i tam na wieki. Bóg jest „Świat-

łością”, —po za Nim są „ciemności zewnętrzne, gdzie jest płacz i zgrzytanie zębów” (Mat. VIII, 12).¹⁾

Żeby krótko powiedzieć: piekło jest to królestwo Ciemnogrodu, bez jego iluzji ziemskich...

Widzimy więc, jak daleką jest nauka katolicka od narzuconego jej przez p. N. twierdzenia o „miljonie lat” i „jednej chwili błędu”. Ten wspaniały kontrast, wstrząsający duszę oburzeniem przeciw „katechizmowemu” Bogu, myśmy tu szarmonizowali, i mamy teraz prawo zwrócić wywołane przez p. N. oburzenie—przeciw jemu samemu. Siłą odrzutu tego miarkuje atoli tarcie się twierdzenia p. N. o zbliżone twierdzenie, spotykane w piśmiennictwie religijnem. Wytknąłem je był kiedyś pewnemu, wartościowemu skądinąd wydawnictwu, omówionemu w „Kwartalniku Teologicznym” (z r. 1903, zeszyt IV). Jest to dość pospolita egzageracja kaznodziejska, jedna z wielu, które rodzą się ze związku chwalebnej gorliwości z naganną nieroztropnością, czasem i z brakiem głębszej myśli. Takie to egzageracje, nieumotywowane, często wręcz nie mające gruntu w nauce teologicznej, wywołują leibnitzowskie wzruszenie ramionami: „*Concionatorie dictum!*”²⁾. Z powodu takich jednak „dyktów” panowie Niemojewscy robią zaraz alarm i wytaczają procesy Panu Bogu! Co prawda, bez zachowania formalności: owo alarmujące „więc” bynajmniej nie mogło wyskoczyć z Katechizmu, który wszak jest przedmiotem krytyki ze strony p. Niemojewskiego...

W dalszym ciągu p. N. wywodzi genezę pojęcia o piekle:

Piekło zwie się Gehenną. Wyraz ten pochodzi od słów: *Ge-ben-Hinnom* i oznacza dolinę syna Hinnoma, która to dolina znajduje się na południowej stronie Jerozolimy, była ogólnym śmietnikiem, tam też w starożytności pogańskiej miano ofiarowywać na całopalenie dzieci bogu Molochowi. Wiec pojęcie brudu połączyło się z pojęciem ognia. Na wschód od Jerozolimy, tuż tedy obok, znajduje się Dolina Józefata, co znaczy *Jeho szafat*, czyli: Jehowa sędzi. Wyobrażano sobie, że na tej dolinie Bóg będzie sądził ludzi, że grzeszników zepchnie do brudnej doliny Hinnom,

¹⁾ Nastrocza się zarzut z wszechobecnności Bożej. Otóż istotą swoją, władzą, wiedzą—Bóg jest wszędzie, więc i w piekle. Ale widzieć się daje w swej chwale—tylko w niebie.

²⁾ Powiedziane po kaznodziejsku.

czyli Gehenny, a sprawiedliwych wprowadzi do Nowego Jeruzalem, które zmienione zostanie na niebo. Te starożytne podania straszą umysły prostacze, a na strachu oparta jest cała moralność katechizmowa... (26).

Pan N., jakżeśmy to już parokrotnie stwierdzili, ma osobiwą słabość do *wyprowadzania* metodą historyczną pojęć transcendentalnych, których tylko *rozwój* może być przedmiotem postrzeżeń i badań historycznych. Metoda ta doprowadziła i tutaj autora do utożsamienia szat materialnych, w które przyoblekły się pojęcia religijne, — z samymi pojęciami. Cóż stąd, że żydzi w dolinie Hinnom czy Ennom upatrywali *obraz* piekła, z powodu jej tradycji barbarzyńskiej? Pojęcie piekła jest wcześniejsze i całkiem niezależne od jego ludzkiego i specjalnie żydowskiego wyobrażenia. Dość wspomnieć np. znany powszechnie starogrecki, homerowski Tartaros... Cóż stąd również, iż hebrajskie imię *Józafat* oznacza: *Jehowa sądzi*? Dolina Józefata otrzymała swą nazwę od tegoż imienia króla judzkiego, iż na niej znajdował się jego grobowiec. Wyobrażenie zaś żydów, iż na niej odbędzie się sąd Ostateczny, poszło stąd, że była ona ulubionym ich cmentarzem: gdzie leżą zmarli, tam też zmartwychwstaną, a gdzie zmartwychwstanie, tam i sąd, — czemu także nazwa doliny Józafata sprzyjała. Oto proces wyobrazeniowy żydów. No, ale wszak wiara ich w sąd Ostateczny była starsza, niżeli nazwa doliny. Idea z natury swojej poprzedza swoją materializację. Mogę też zapewnić p. N., że „umysły prostacze“ o dolinie Hinnom czy Ennom nie wiedzą nic a nic i przeto jest ona im najzupełniej obojętna: ani ich nie straszy, ani ich nie raduje. Co się zaś tyczy znanej ludowi z imienia doliny Józafata, to może ona być postrachem dla jednych, a pociechą dla drugich.

Nie na samym też strachu oparta jest moralność katechizmowa, bo także i na miłości. Owszem, jeśli „początkiem mądrości jest „bojaźń Pańska“ (Przypow. I. 7), to koroną jej — miłość. Wyzwolenie duszy ze strachu niewolniczego, a natchnienie jej miłością synowską ku Bogu, jako motywem wszelkiego działania, jest ideałem doskonałości moralnej chrześcijańskiej. Jeśli kto niezdolny do czerpania pobudek do dobrego ze źródła miłości, to trudno: na tego trzeba działać postrachem, zanim go się uszlachetni o tyle, aby kierował się w życiu pobudkami, przynajmniej mieszanymi z obu źródeł: bojaźni i miłości. Tego wymaga

racjonalna pedagogika. O, a dobrym i mądrym pedagogiem ludzkości, jest Bóg! Dobrym jest, bo grozi, aby ludzi odstraszyć od złego; mądrym, bo nie grozi fikcją, która by mogła być zdemaskowana przez oświatę. Objekt postrachu Bożego — piekło — jest rzeczywisty. Jest to „ultima ratio“ Króla królów!

Czego zaś doczekała się pedagogika szkolna dzisiejsza, propagowana przez myśl niepodległą? Po wyrzuceniu z jej systemu — idei kary, stwarza ona pacholących bisurmanów i lampartów, którzy dobijają się prawa do kawalerskich mieszkań¹⁾, a na ulicach obrzucają obelgami kapłanów... Ba, toż właśnie cel pedagogiki niepodległej! To wśród ponętnych kwiatów wolności — „anguis in herba!“²⁾.

Jakimi jednak sposobami radzić będzie sobie tasama pedagogika, gdy cel swój osiągnie, a potem zechce zaprowadzić ład i porządek w społeczeństwie, przerobionem wedle swego serca? Próbkę tego dał nam socjalizm rewolucyjny na naszym gruncie, rozprawiający się za pomocą brauninga z bojowcami swymi, którzy przedzierzgnęli się bardzo konsekwentnie w pospolitych bandytów. Darmo! Bojaźń Bożą, wyrzuconą za okno, jako zabobon i przeżytek, zastąpić może tylko narzędzie mordercze, ze skutkiem, bodaj wręcz przeciwnym celowi. Mówi nam coś o tem także znane marzenie Renana o machinach piekielnych, za których pomocą mędrcy nadludzie mogliby rządzić i panować. „Uczeni będą królowali — mówi Renan w „*Dialogues philosophiques*“ — przez absolutny postrach. Powiedzieć można, że staną się bogami“. Tenże sofista ex-kleryk, dzielił społeczeństwo ludzkie na: „*les sages et les autres*“ — „mędrców i — hołotę“. Że zaś monopol na mędrców według serca Renana posiadają ateusze i bezwyznaniowcy, — któż nie wie?

A cóżby zastąpiło miłość Bożą? Niestety, już ją dawno zastąpiła wskrzeszona przez poganizm nowożytny zasada walki o byt, wyrażona w lapidarnej formule przez komedjopisarza rzymskiego, Plantusa: „*Homo homini lupus*“ — „człowiek człowiekowi wilkiem“. Oto realizacja panteistyczno-materialistycznych marzeń Spinozy: „*Homo sit*

¹⁾ Ob. „W pałacej sprawie młodzieży szkolnej w Królestwie“ Str. 102.

²⁾ Waż w trawie.

homini deus“ — „Niechaj człowiek będzie człowiekowi bogiem!“

Że jednak człowiek musi coś kochać, tedy miłość jego wyleje się raczej na zwierzęta i będzie zakładała cmentarze dla... psów!¹⁾ I będzie dowodziła swej wyższości nad miłością chrześcijańską, która nie zdobyła się na taką miłość dla czworonogów...²⁾

Czy jednak wśród piekielnej walki wszystkich przeciwko wszystkim, będzie pora stosowna do uprawiania takiej miłości? Oto pytanie, które *les sages* z Ciemnogrodu powinnyby z góry głęboko rozważyć, aby w swoich wizjach rozkoszy niepodległych przyszłości, nie doznali smutnego zawodu...

Stoimy tedy wobec poważnej alternatywy: albo piekło po śmierci, którego uniknąć można i trzeba, jako „*ultima ratio*“ Boga; albo machina piekielna lub coś podobnego, więc piekło nieuniknione już na ziemi, jako „*ultima ratio*“ mędrców niewiary³⁾.

¹⁾ Nie wszystkim zapewne wiadomo, że pod Paryżem (także i pod Berlinem, ową małą Paryżą) istnieje psi cmentarz. Istna psiarnia marmurowa! Oto, dla przykładu, napis na jednym z psich pomników, postawionym przez stroskaną Tolę Dorian, po stracie nieodżałowanej suczki Sapho:

*„Si ton Ame, Sapho, n'accompagne la mienne,
O chère et noble Amie, aux ignorés séjours,
Je ne veux pas du Ciel! Je veux, quoi qu'il adienne,
M'endormir comme Toi, sans réveil, pour toujours!“*

„Jeżeli twoja dusza, Sapho, nie ma towarzyszyć mojej, o ukochana i szlachetna Przyjaciółko, na nieznany spoczynek, to nie chcę Nieba! Chcę, bez względu na Niebo, zasnąć, jak Ty, bez przebudzenia, na zawsze!“ Niewiadomo: śmiać się do rozpuku, czy zlorzeczycie głupocie? Powie kto: zwarjowana histeryczka! O! *les sages* wezmą nad nią rekord, jeżeli się im uda rządy swoje zaprowadzić! Przedsnak orgji „mędrców“ dał nam np. bankiet nowojorski miljardów-postępców, bankiet, na którym wyfrachteni murzyni usługiwali przy specjalnym stole—wytre-sowanej psiarni...

²⁾ Obszerniej pisano o tem w pomienionej przed chwilą broszurze: „W pałacej sprawie...“ (97—98).

³⁾ Wyrażeniem „*ultima ratio regum*“ — „racja ostateczna królów“, tak w stosunkach zewnętrznych, jako i wewnętrznych,—ochrzczono arimate. W arsenalach muzealnych spotkać można te słowa, odlane na rurach starych dział. Jeżeli zbyt zła sława przylgnęła do tego wyrażenia, sprawiły to pospolite nadużycia siły w imię zasady: „*Stat pro ratione voluntas*“ — „wola staje za racją“, — albo podobnej: „siła przed prawem“.

— Błogosławiona niech będzie Mądrość Najwyższa, która grozbą piekła ratuje dla ludzkości przeznaczone jej Niebo! Błogosławiona niech będzie Miłość Najwyższa, która promieniem nadziei Nieba rozjaśnia smutny żywot, na tym padole nędzy i bólu! Błogosławiona niech będzie Sprawiedliwość Najwyższa, która sprowadza pogrom tryumfującego Zła, a daje tryumf ostateczny tym, którzy płaczą i cierpią w imię Dobra!

— A do was, sług i niewolników Myśli Niepodległej, którzyście się okryli porwaną Chrześcijaństwem światłością anielską, z Juljanem Ochorowiczem wołam: „Nie bądźcie złodziejami! Nie odbierajcie wiary tym, którym nic wzamian dać nie możecie!“ Gdybyż tylko „nie!“ Mocniej wołam: Nie bądźcie złodziejami i nie odbierajcie wiary tym, którym wzamian dać możecie tylko mirażu raju ziemskiego, a w rzeczywistości—tylko piekło—tu i za grobem!

...Wróćmy jeszcze do—nie ściśle dogmatycznych, ale fantazyjnych, obrazowych przedstawień piekła. Otóż ich gust i rodzaj zależny jest od poziomu intelektualnego i kulturalnego czasów i środowisk. Do poziomu tego, ze względów pedagogicznych, bywają one przystosowywane. Cała wartość ich polega na szlachetności fantazji. Pod tym względem pierwsze miejsce należy się obrazom biblijnym, w których twórczość wschodniej fantazji namaszczona jest, owiana i przeniknięta boskiem natchnieniem. Stąd, jak ze źródła, czerpało i czerpie natchnienie literatura piękna, malarstwo, rzeźba i piśmiennictwo religijne. Wspólnym interesem wszystkich tych rodzajów twórczości było i jest, wywołać jaknajsilniejsze wrażenie grozy, bez względu na cel: artystyczny, religijny, czy wreszcie mieszany. Wszystkie też one noszą na sobie wspólne piętno, które na obrazach piekła wyciska charakter epoki.

Nas tu najżywiej zajmuje epoka średniowieczna, taka „bajecznie kolorowa“, taka głęboko wierząca, taka pełna tężyzny ducha i ciała. Nie dziw, iż mocne i twarde nerwy średniowieczne, urągające naszej zniewieściałości, te nerwy, które godziły się z narzędziami tortur, oglądaniem dziś ze zgrozą najżywszą w przybytkach muzealnych, że te nerwy godziły się również ze swoim wyobrażeniem piekła, że owszem, takiego właśnie potrzebowały. Z drugiej strony, rozum średniowieczny, sam przez się potężny i niezrównany, ale naukowo i empirycznie naiwny, wierzył w swoje wyobrażenie piekła i ta szczerłość jego wiary bu-

dzi w nas szacunek. Nie uśmiech politowania lub grymas sarkazmu, lecz grozę rzetelną wywołuje w nas piekło dantejskie, malowane piórem, albo piekło Andrzeja Orcagna, malowane pędzlem.

Przyjrzyjmy się temu ostatniemu, jako, że mniej znane.

Jesteśmy na Campo Santo w Pizie. Cmentarz-muzeum, w którym reprezentowany jest w zabytkach cmentarnych szereg epok, poczynając od kamiennych grobów starorzemych, skończywszy na subtelnych rzeźbach społecznych. Zwyczajem włoskim—cmentarz otacza loggia, w figurze podłużnego czworoboku: na jej ścianach wewnętrznych znajdują się, znacznie już zniszczone, słynne freski Orcagn'i, z których jeden przedstawia piekło.

Pośrodku widzimy potworny tors olbrzyma, z głową, uzbrojoną w rogi: to Lucyfer. Otwarte wnętrze jego brzuszyska zionie płomieniami. On sam, z wyrazem potwornej rozkoszy, rozlanym na twarzy, z obu stron sięga rękoma po ludzi-potępieńców i ładuje ich, niby kociaki, do brzucha. Dookoła postaci Lucyfera wieniec scen, niemniej potwornych. Szereg tułowiów, trzymających głowy ucięte, a żywe, do których przypinają się węże. Djabeł jedzie na potępieńcu, jak na koniu, i włosami jego posługuje się, jak uzdą. Dwaj szatani mieszają trójzębami w kotle, napelnionym gromadą ludzi. W rozwartą, potężną paszczę smoka inni djabli nagarniają potępionych, niby chleb do pieca. Jednemu czart wyszarpuje wnętrzności. Innemu drugi leje w usta, bodaj roztopioną smołę. Znowu wokoło zastawionego pokarmami stołu stoją ludzie przykuci do miejsca, ze związanymi na grzbiecie rękoma i patrzą beznadziejnie na potrawy: męka Tantala! Wreszcie—całe grupy ludzi, oplecione przez żmije...

Oto obraz piekła! Któż się nim zgorszy? Chyba tylko faryzeusz lub naiwny inteligent, który w obrazie tym będzie widział literę dotyczącego dogmatu!

Niestety, takich ludzi—legion!

Niestety, do tak błędnego pojmowania tej sprawy dopomaga piśmiennictwo religijne ludowe czy dewocyjne.

Tam spotykamy się z obrazami piekła, nie tylko potwornymi, ale nieraz i trywialnymi; oraz z wywodami rozumowanymi, ujawniającymi brak pilnowania się poręczy dogmatu, jak niemniej brak wniknięcia w psychikę ludzką, mianowicie potępieńczą, co bywa źródłem rażących naiwnością sprzeczności. Nad wszystkim góruje egzageracja

kaznodziejska, usiłująca przerazić, egzageracja tasama, która kiedyindziej, gdy chce grzesznika pocieszyć, dodać mu otuchy, zapomina o sprawiedliwości Bożej, a wystawia samo tylko miłosierdzie; dla której wogóle to, o czym prawi w danej chwili, jest najdoskonalsze i najpotrzebniejsze, albo też najgorsze i najbardziej niebezpieczne.

Czy to na czasie? Czy to nie gorszy i nie przyczynia się do utraty wiary w piekło, nawet dogmatyczne? Czy to nie jest niebezpieczne dziś nawet dla ludu, mianowicie wobec wrogiej agitacji, wyzyskującej każdy, by najmniejszy błąd czy przesadę w nauczaniu wiary? ¹⁾ Względem pedagogiczne, które dawniej przemawiały za podobną przesadą hiperboliczną, dziś raczej przeciw niej przemawiają.

Patrzmy, jak sprawnie i z jaką satysfakcją wyzyskuje ją p. Niemojewski. Niejednokrotnie już wojował on w druku przeciwko dogmatowi piekła — „Przeraźliwym echem trąby ostatecznej“. Oczywiście, że i tu dobrej sposobności, ku powtórzeniu wyuczonej już chyba na pamięć produkcji, nie pominął. Czytajmy:

W kramikach przed kościołami sprzedają niedużą książeczkę „Przeraźliwe echo trąby ostatecznej, albo cztery rzeczy ostatnie, człowieka czekające“, wydaną w roku 1895 po raz niewiadomo który i to z zatwierdzeniem (Approbatur) biskupa kieleckiego. Tam na stronie 117 czytamy o takich katowniach piekielnych: „Ujrzał drugiego, którego czarci żywcem ze skóry obdzierali, odartego solą posypali, posypanego na ognistej kracie piekli...“ Na str. 123: „Djabły dwa rogi, ognia pełne, do uszu jego przykładali, a trąbiąc w nie, gnój przez oczy, uszy, nozdrza puszczały...“ Na str. 132: „Grzesznikowi lubieżnemu wielka a sprośna żaba przypięła się tak, iż nogami przednimi szyję jego ściskała, a nogami tylnymi miejsce skryte z niewymowną męką uciskała...“ Za pomocą takich bajd, mających stempel biskupi, straszy się ciemny i głupi lud, doprowadza się do zgrubienia jego sumienia i przedstawia mu się Boga, jako potwora, który na to wszystko pozwala (27—28).

Na innym miejscu, jakieś już czytali, z okazji bardzo logicznego dogmatu o konieczności wiary do zbawienia, autor woła:

¹⁾ Szkodliwość przesady, zwłaszcza w tym kierunku, przedstawiłem był w powieści psychologicznej, p. n. „Odrodzenie“ (Warszawa. 1897. Nakładem „Wieku“), gdzie bohater student, którego proces nawrócenia jest treścią książki, mocuje się najbardziej z „piekielnym“ dogmatem o piekło.

Wiara, wielkie słowo!... Czyż mogę wierzyć, że Bóg w piekle przez czartów przepycha grzeszników gnój przez oczy, uszy, nozdrza? Nie wierzę, aby Bóg mógł być tak zwierzęcym, więc, wedle katechizmu, za szlachetniejsze pojmowanie Boga skazany zostanę na wieczne męki... Zaiste, wolać będę z morza piekielnych płomieni: Daruj, Boże, żem miał o tobie zbyt dobre wyobrażenia! (34).

Kto ma potrzebę i zdoła, niech protestuje! Co do mnie, wolę się od tak niewdzięcznego zadania uchylić...

Niemniej, nasuwa mi się tu parę skromnych uwag. Naprzód ta, że w cytatach z „Przeraźliwego echa“, więc i we wnioskach z nich wyciągniętych, autor wystąpił poza ramy Katechizmu, który takich rzeczy nigdzie nie uczy. Powtóre, grubą przesadą jest twierdzenie, jakoby „w kramikach przed kościołami etc.“ Dowiedziawszy się już przed laty od p. N. o tej książeczce, starałem się ją dostać i — dostać nie mogłem. Istnieniu jej nie przeczę, ale przeczę — rozpowszechnieniu. Nakoniec, uwaga najważniejsza:

Autor zastawia się „szlachetniejszym“ pojmowaniem Boga. W czym i gdzie okazał on tę wyższą szlachetność, doprawdy, nie wiemy. Czy w nazywaniu Boga „pyszałkiem“ i „kręgowcem“? Pan N. gotów odpowiedzieć, że to tylko wnioski, wyciągnięte z pojęć katechizmowych o Bogu, że on, p. N., doprowadził jeno Katechizm do absurdu. Wykazaliśmy już jednak czarno na białem, że wnioski tego rodzaju — to wyniki jego własnej tendencji, zmierzającej ku zaprzeczeniu Boga, ku odebraniu wiary w Niego — ludowi. Ta sama tendencja przebiega także z cytatem z „Przeraźliwego echa“ przeciw Katechizmowi, jak gdyby p. N. nie mógł mieć pod ręką źródeł nauki katolickiej — autentycznych i poważnych. Z owej książeczki wypływają jedynie wnioski przeciwko niektórym wydawnictwom katolickim, ale zgola nie przeciw objawionej nauce katolickiej: przeciw ludziom, a nie przeciw Bogu. Pan N. tymczasem wyzyskuje przeciw Bogu błędy ludzkie, błędy Jego sług...

Daremnie przeto zastawia się on swoim rzekomo „szlachetniejszym“ pojmowaniem Boga. Nie oszuka też wołaniem swoim Boga, który przenika skrytości serc ludzkich. Nie damy mu też oszukać ludu komedją, którą wobec niego odegrywa, przybierając wobec Boga pozę tragiczną. Nie damy!

Pan Niemojewski się śmieje? Widzę jednakże, jak dziwny grymas nieszczeroci śmiejące się usta jego wykrzywia. Czemu?... Czemu śmieje się śmiechem szulera,

któremu karta nie idzie? Tak, żartów z Panem Bogiem niema!

Z diabła, no! — pośmiać się nie grzech. Śmiać się jednak z wiary w jego istnienie, doprawdy, rzecz niebezpieczna. Nie dlatego, żeby diabeł miał się o to gniewać, o nie! Przeciwnie, diabeł rad ukrywa się, jak reżyser za kulisami, i rad, gdy ludzie w niego nie wierzą. Ten gracz wtóruje cichaczem śmiechowi niepodległowców i słusznie uważa, że wziął ich na „kawał“.

Wreszcie czy istnieje jaka racja naukowa, do niewiary w istnienie złych duchów? Odpowiada na to ks. Marian Morawski w „Dzisiejszym okultyzmie naukowym.“ „Bo też pytam bez żartu: co jest nienaukowego w przypuszczeniu duchów? która to nauka dowodzi, i jakim sposobem dowodzi, że diabeł jest czemś niemożliwym? Czekam odpowiedzi. — Właściwie, istnienie duchów, będąc normalnie poza sferą doświadczenia, jest też poza sferą nauki doświadczałnej. Nauka, w nowożytnym ścisłym znaczeniu, nie mówi o istnieniu duchów, ani tak, ani nie, — jeno, że o tem nie wie. Każdy prawdziwy uczony zgodzi się na to orzeczenie. Filozofja znów stwierdza możliwość duchów. Wszyscy więksi filozofowie pojęli Boga, jako ducha; prawie wszyscy uznali w duszy ludzkiej istotę duchową, żyć zdolną i po śmierci ciała; wielu z nich, od Platona i Arystotelesa począwszy, przypuściło istnienie innych jeszcze duchów, od duszy ludzkiej wyższych. Pojęcie zaś ducha formuje filozofja nie na wiatr, ale na tle naszej wewnętrznej świadomości, która nam objawia byt myślący...“

Więc, wedle danych naukowych, diabeł nie jest niemożliwy; wedle danych filozoficznych, jest on możliwy; wedle Objawienia — jest on rzeczywistością. Przeczenie tedy diabła istnieniu może być tylko gołosłowne, upozorowane szumno brzmiącymi frazesami o postępie i oświecie, wobec których myśl współczesnego inteligenta truchleje i kapituluje bez walki. Przeczenie to jednak nie unicestwi diabła, jeśli on istnieje naprawdę. Ono, jak rzekliśmy, może go tylko cieszyć, gdyż pozwala mu działać pod firmą Myśli Niepodległej, bez najmniejszej obawy zdemaskowania z jej strony. „Czy wszystkie istoty na ziemi, niebie i w piekle — pyta ks. biskup Niedziałkowski — dlatego żeby mogły istnieć, mają obowiązek zameldować się wszystkim postępcom?“ ¹⁾

¹⁾ „Miraże mądrości“. Str. 198.

Nie meldować się, owszem, to racja stanu, obowiązująca w królestwie demonów. Oczywiście, do czasu...

Nasi pół- i ćwierć-katolicy uważają się za uprawnionych do przebiegania w dogmatach naszej wiary i wybra-kowywania tych, które się im niepodobają i których za-zwyczaj nie rozumieją. Nie zdają oni sobie sprawy z har-monji wszech dogmatów katolickich, harmonji, która spra-wia, że jak mówi Kraszewski: „Wiara jest jako sklepienie, z którego wyjąć cegiełkę, a runie wszystko“.

Dziś rzecz nierzadka usłyszeć nawet z ust ludzi, skąd-inąd wierzących: „Et! Jakie tam piekło, jaki tam djabel!... Piekło jest na ziemi!“

Po części — prawda! — odpowiem. Na ziemi są w za-wiązku obadwa światy zagrobowe: Niebo i Piekło. Za-wiązki te za życia ziemskiego rozwijają się w duszach, walczą o byt, o przewagę. Dojrzewają one w chwili śmier-ci. Walka ostateczna rozstrzyga o wygranej lub przegra-nej stawce, stawce najwyższej i najważniejszej w życiu do-czesnem, jaką jest życie wieczne.

*Gdzie kto będzie po śmierci, za życia odgadnie:
Gdzie się chylił za życia, tam po śmierci wpadnie¹⁾*

A kto się Boga boi, ten się nic nie boi²⁾.

¹⁾ Mickiewicz: „Zdania i uwagi“.

²⁾ „Dziady“.

ROZDZIAŁ VI.

Rzeczy Ostateczne.

(Ciąg dalszy).

Czyściec. — Niebo. — Zmartwychwstanie. — Sąd.

Ciennogrodzianie są przekonani, że wiara w świat zagrobowy stanowi przeszkodę, na drodze do postępu ziem-skiego. Tedy ją usunęli, skracając tym sposobem drogę postępu o całą nieskończoność. Bo też osobliwe jest ich pojęcie o postępie. Symbolem wyobrażenia ich o nim, jest stojąca na centralnym rynku w Ciennogrodzie, olbrzymia klatka wiewiórcza, na podobieństwo wiedeńskiego na Pra-terze *Riesenrad'u*. Kragła, osadzona na osi poziomej, opar-tej na dwóch wieżach na podobieństwo paryskiej wieży Eiffla, klatka ta obracana jest przez gromadę małp, zam-kniętych w jej wnętrzu. Małpy usiłując wspinać się wyżej a wyżej, obracają klatkę pędem szalonym, ale same zostają wciąż na jednym miejscu. Klatka Postępu jest chwałą Ciennogrodu i rzeczywiście dla cudzoziemców stanowi *cu-riosum* nadzwyczajne. Niech Pan Bóg jednak broni — śmiać się na jej widok! Policja ciennogrodzka stoi dokoła niej w pogotowiu, trzymając w ręku ogromne pieczęcie, na których wygrawerowane jest wyobrażenie ryczącego osła. Śmiałków, niepodległych Ciennogrodowi, którzy nie po-dziwiają klatki Postępu przynajmniej pozornie, piętnują owym znakiem na czole, mianowicie kamieniem piekielnym.

Kto zaś zostanie tak napiętnowany, niech się pożegna ze spokojem i bezpieczeństwem na ulicach Ciemnogradu. Każdy obywatel ciemnogradzki ma prawo szykanować go i znieważać, nawet czynnie. Są specjalne do tego celu zbiorniki najohydniejszych pomyj, zaopatrzone w czerpaki, które osobni stróże wydają bezpłatnie.

Mimo takiego postępowania, ciemnogradzianie głoszą po świecie, że wszelka kara jest rzeczą niepostępową i niekulturalną. Naturalnie, rozumiemy o co im chodzi. Są oni wrogami kar, o ile te znajdują się w ręku Boga. Celem ich jest wytrącić z rąk Boga to narzędzie władzy, aby tym sposobem sama Jego władza upadła, na rzecz despotji Ciemnogradu.

Bardzo też konsekwentnie, po zaprzeczeniu kary wiecznej, a przedtem — doczesnej ziemskiej, p. Niemojewski zaprzecza także kary doczesnej zagrobowej.

„Co się stanie z duszą, gdy się Bogu w czyśćcu zupełnie wypłaci?” — pyta ks. Putiatycki (pyt. 38). Pan N. czepia się słowa „wypłaci” — i zdumiony do trzeciej potęgi, pyta:

Wypłaci??? Czemże są tedy słowa modlitwy: daruj nam nasze winy, jako i my...? „Winy” miało takie znaczenie, jak „długi”, czyli „zobowiązania”. Katechizm tedy przedstawia Boga, jak pana, któremu trzeba się „wypłacić”, a także jak księdza, który bez „zapłaty” palcem nie kiwnie (28).

Nieporozumienie! Niezupełnie wszakże czyste, o ile od zlej woli nie wolne. Polega ono na pomieszaniu pojęć: *winy* i *kary*. Wina względem Boga — to grzech; kara — to jej logiczne następstwo. Winy przebacza Bóg darmo, czyli darowuje je, gdy człowiek za nie żałuje. Razem z winą, o ile śmiertelną, darowuje Bóg i karę wieczną, zamieniając ją na doczesną. Cóżby bowiem przyszło człowiekowi z przebaczenia winy, gdyby mimo tego musiał on pokutować na wieki? Kara wieczna wyłącza przebaczenie winy, Kto nie ustaje w karaniu, snąc nie przebaczył. Przebaczenie winy zawiera przeto w sobie i odpuszczenie kary wiecznej. Tak też uczy Katechizm.

Inna sprawa z karą doczesną. Tej — przebaczenie winy nie wyłącza.

Dawidowi przepuścił Bóg winę, popełnioną przez wystawienie Urjasza na śmierć niechybną, w celu ożenienia

się z pozostałą po nim wdową, piękną Betsabęą¹⁾. Mimo tego, ukarał go Bóg docześnie, zabierając mu dziecię pierworodne. Jakaż logiczna i naturalna kara! Dziecię było owocem miłości, w swym początku występnej...

Następstwo kary w ślad za winą — to prawo natury. Prawo dobroczynne i lecznicze, ile że odstrasza od zepsucia moralnego, a zepsucie, już dokonane, leczy i usuwa. Podobnie jak ból, który oznajmia, iż coś się psuje w organizmie fizycznym. Gdyby Bóg darowywać miał nawet karę doczesną, musiałby czynić cuda. Dla kogo? Dla grzeszników! Tym sposobem Bóg ochraniałby cudownie występki i pierwszy p. N. zarzuciłby Mu uczestnictwo we wszystkich grzechach cudzych. I miałby wtedy słuszość.

Otoż w czyśćcu karani są i pokutują ci, którzy nie odpokutowali na ziemi, a mają już winy darowane. Czy nie mógłby Bóg karać dostatecznie już na ziemi, skoro karami ziemskimi rozporządza? Ponoć karze; ale ludzie nie pojmują karania w duchu pokuty, odrzucają je, nieraz nawet bluźniąc, i wskutek tego cierpią daremnie. Ba, przez brak szukania pociechy, płynącej ze świadomości ekspiacji, cierpienie swoje potęgują. Potęgują, jak człowiek, któremu przywiązano na grzbiecie krzyż, a który zamiast dźwigać go równo i spokojnie, usiłuje go zrzucić. Wysiłek daremny i szkodliwy, bo ciężar krzyża podwaja, rani grzbiet, zadaje ciału mękę bezpłodną. Gdy chodzi o krzyż lub krzyżyk w znaczeniu przenośnem, próby zrzucenia go sprowadzają następstwa jeszcze gorsze: zamiast przynieść ulgę, nie tylko potęgują ból, ale i obciążają duszę grzechem nowym, grzechem buntu, za który czeka krzyż nowy, cięższy.

Tak więc mnóstwo cierpień ziemskich idzie na marne. Ludzie, jak zły gospodarz własnego budżetu, zaciągają pożyczki grzechowe na rachunek życia zagrobowego. Wystawiają Bogu weksle i termin płatności ich odsuwają wciąż dalej w przyszłość, na lata starości, i często śmierć zaskoczy ich, obciążonych niespłaconymi długami moralnymi.

Pozostaje więc czyścić, którego cierpienia mają wypalić duszę, niby złoto w ogniu, wyniszczyć w niej zło przywiązania i pożałdliwości, ażeby stała się godną zjedno-

¹⁾ Według prawa kanonicznego, grzech taki stanowi przeszkodę uniważniającą małżeństwo, więc *ipso facto* przeszkodę, niedopuszczającą do torowania sobie drogi do ślubu, przez zbrodnię.

czenia z Bogiem. Albowiem cierpienie jest pokutą, a pokuta oczyszcza. Przeczul to Wirgiljusz:

*Więc kara dawnych grzechów srodze je uciska:
Jedne wiszą, wydane na wiatrów igrzyska.
A drugich hydne zbrodnie i zmierzłe przywary
Zmywa wielkie jezioro, lub czyszczą pożary.*

(„Eneida“, VI).

Ale prawda! Pana N. razi idea długu i wypłaty w stosunku do Boga. Czyżby on, wróg łaski Bożej, chciał, żeby ta łaska rozciągała się aż na karę, nawet doczesną? Cóżby jednak człowiek był wart w takim razie? Wszystko z łaski, wszystko z łaski?! Gdzież wtedy godność ludzka? Gdzież postęp moralny, którego niema bez cierpienia?

Darmo pytać! Pan N., w dobroci swego serca, chciałby zapewnić ludziom zupełną bezkarność, więc swobodę w czynieniu tego, co się im podoba. Zachcianka niebezpieczna: to nużyby komu przysła ochotę skrócić p. N. o jego niepodległą głowę? Na czymżeby on wtedy oparł swój protest, kiedy sam sobie zamknął drogę do samoobrony?

Ale co nam do tego? Dość że p. N. ma dobre, bardzo dobre serce i chce ludziom dogodzić: chce Lud polski „uszcześliwić i nim cały świat zadziwić“! Ponieważ zaś cel tak wielki i święty uświęca środki, tedy autor, prócz winy z karą, grubo utożsamia winę z długiem: winę moralną z długiem materialnym, pieniężnym!

Jest przypowieść ewangeliczna o dłużniku. Przeprowadza w niej Chrystus porównanie, pomiędzy długami pieniężnymi ludzi do ludzi z jednej strony, a długami moralnymi ludzi do Boga — z drugiej. Na mocy i dla potrzeby porównania, wina moralna wobec Boga nazwana została długiem, pod przenośnią, narzucającą się przez istotowe obudwu pojęć pokrewieństwo. Na tej podstawie — tekst łaciński Modlitwy Pańskiej ma „debita“ = *długi*, za miast: *culpa* = *winy*. Pod taką też przenośnią powiedzieć można, iż grzech jest długiem czy pożyczką, zaciągniętą przez człowieka u Pana Boga, a przez Niego *dopuszczoną*, — na hipotekę zbawienia duszy. Grzech albowiem przynosi ujmę świętości Bożej, wprowadzie nie samej w sobie, co niemożliwe, ale w jej promieniowaniu na zewnątrz czyli w chwale, którą stworzenie rozumne ma dawać Bogu. Grzech, niby chmura na niebie duszy, gasi promienie tej

chwały, ku własnemu unieszczęśliwieniu człowieka. Wypłacanie się więc Bogu z długów grzechowych czyli zadosyćuczynienie, to postulat zarówno obrażonej świętości Bożej, jako i szczęścia ludzkiego.

Zamiast pokrewieństwa, które każe się domyślać i różnicy między będącymi w mowie pojęciami, p. N. upatruje tożsamość, i tym sposobem wyciąga z porównania wiadomy nam wniosek, który na innem miejscu powtarza dobitniej:

Bo też w ogóle katechizm przedstawia Boga, nie jako Ojca, ale jako srogięgo pana, któremu jeżeli się nie *wypłacisz*, to będzie ciebie przez wieki wieków smażył w ogniu, jak prosiaka (31)¹⁾.

I wyszło na to, że dla p. N., wbrew prawidłu logicznemu: *comparaison n'est pas raison*, — porównanie obrazowe urosło do znaczenia racji naukowej, filologicznej: „*Winy* miało takie znaczenie, jak *długi*, czyli *zobowiązania*!“ Resztę dopowiada specjalny akcent i ton, nadany wyrazom „dług“ i „wypłata“. No, i przy pomocy sugestji, gotowe wiazanie podobieństwa między postępowaniem Boga, a postępowaniem „srogięgo pana“ i księdza, którzy są urodzonymi tyranami i źdźziercami, co już jest socjalistycznym aksjomatem, czyli prawdą, niepotrzebującą żadnego dowodzenia...

Och, jakież ten p. N. niemiłosierny! Któż słyszał, żeby do miodu rozkoszy, jaką pewnym panom sprawia widok chłosty, wymierzanej księżom, — domięszywać żółć urągania tymże panom?! Litości dla panów, panie Niemojewski!...

Ku żalowi p. N., muszę mu powiedzieć, że stanowczo zbyt umiarkowany sens moralny wyciągnął ze swojej bajeczki filologicznej. Gdyby chciał być wyraźnym aż do jaskrawości, co przecież lubi, powiedziałby wręcz bez ogródek, że Bogu trzeba się wypłacać pieniędzmi: ponieważ zaś Bogu dać ich niepodobna, no, i pewno On ich nie potrzebuje, więc... komużby je dawać, jeśli nie księżom, i w ten sposób kupować Królestwo Niebieskie? W Rosji niedawno chłop chłopu sprzedał swoje prawo obywatelstwa w Królestwie Bożem. Czy stąd daleko do twierdzenia, że to samo dzieje się w Kościele, jeno ukryte pod osłoną praktyk religijnych?

¹⁾ A gdzie gramatyka? Należało powiedzieć: „jako srogięgo pana, który, jeżeli się mu nie wypłacisz, będzie cię smażył i t. d.“ Mała rzecz, a wielkiemu człowiekowi wielki wstyd!

Jakoż po różnych miejscach „Objaśnienia“, między wierszami wyczytać można pogląd, znany zresztą skądinąd, że Bóg katechizmowy — to wytwór szlachecko-klerykalny, na którym takiż ustrój społeczny się opiera, wytwór, w którym sam Kościół nie wierzy. Np. w „Uwagach Wstępnych“ p. N. nie zawahał się napisać pod adresem papieża:

Podając się za namiestnika Boga, wymagasz dla siebie boskiej czci, a przedewszystkiem sutego świętopietrza dla opłacania swych pałaców, lektyk, tronów, potrójnych koron, służby, śpiewaków, grajków, ogrodów i bajecznego zbytku... Za pomocą klasztorów, misji i parafji łupisz Lud Polski z ostatniego grosza, a wiesz, że to się da czynić tak długo, dopóki ten lud jest katechizmem oglupiony, więc korny. Królestwo Boże, opowiadane przez Jezusa Galilejskiego, zamieniłeś w Królestwo Papieskie dyplomatów, obłudników i żdzierców, a to twoje Królestwo, jest zaiste Królestwem Oglupiania i Demoralizacji (12).

I ktoby się był spodział, że p. N. wystąpi w obronie Królestwa Bożego? Dziwna to jednak obrona! Trąci ona metodą zawodowych podpalaczy, gatunku opryszków, którzy podpalają cudze domy, aby pod pozorem obrony, w zamieszaniu, rabować co się da. Te lektyki, trony, korony etc., p. N. radby przenieść do dawnego pałacu książąt Borghese, dziś „Watykanu“ masońskiego w Rzymie. Gdyby się ta sztuczka udała, p. N. gotówby z radości, za przykładem Lemmi'ego, poddać się operacji obrzezania... Żeby się zaś udała, p. N., jako zarliwy pachol Królestwa Belzebuba, przybiera na się postać anioła światłości. Przy całej swojej przebiegłości, bojownik ten atoli zbyt łatwo wpada w nieprzystojną dla anioła furję i nieroztropnie pokazuje rogi.

W numerze 1 ym „Panteonu“, organu paryskiego masonerii polskiej, zostającego pod kierunkiem izraelity, p. Wasserzuga, — p. Jerzy Kurnatowski, zastanawiając się nad środkami propagandy masońskiej wśród naszego ludu, pisze:

Powinno powstać pismo ludowe, które dawałoby dużo wiadomości popularnych rolniczych, o ile możliwości przystosowanych do pory roku, które poruszałyby zagadnienia społeczne... i które obok tego byłoby antyklerykalne, w znaczeniu wykazywania istniejącego wyzysku księży świeckich i nadchodzącego księży zakonnych. Na początek dalej iść w propagandzie wolnej myśli, mojem zdaniem, nie można: nie tylko nie udałoby się, lecz popchnęłoby jeszcze więcej w objęcia kleru. Ale założenie takiego pisma jest koniecznością.

We wskazaniu tem braknie zapewne prostoty gołębiej, ale jest w niem za to roztropność węzowa. Bratu Andrzejowi zbywa na obu przymiotach. Posiada on temperament zbyt gwałtowny, aby zdołał utrzymać się w roli dyplomaty, wymagającej w stopniu wysokim sztuki ekwilibrystycznej. Więć z pod zawoju *antyklerykalnego*, ukazuje co chwila rogi *antyreligijne*. Więć i w sprawie wyzysku księzęgo przeholował tak, że i chłop na tem się pozna.

Książd „bez zapłaty palcem nie kiwnie!“ Każdy chłop wie, że wszystko, co należy do istoty religii, ma w kościele darmo: sakramenty, nabożeństwa, nauczanie. Cośmy darmo wzięli, darmo też dajemy (Mat. X, 8). Wie chłop i coś więcej, do czego atoli nie radby się przyznawać. Lubi on przechwalać się wysokością opłaty za posługi religijne płatne (płatne wskutek konfiskaty majątku kościelnego), gdyż to jest miarą jego zamożności, oraz pompy, na którą go stać. W tym celu często-gęsto mija się z prawdą i to stanowi jedno ze źródeł legendy o powszechnie jakoby praktykowanym przez księży żdzierstwie. Chłop mija się często z prawdą i przy umowach z księdzem, biadając nieszczerze nad swoją rzekomą nędzą lub niezamożnością, a tym sposobem on raczej bywa stroną, wyzyskującą dobrą wiarę i dobrą wolę księdza. Że zaś chłop wogóle potrafi łąć jak z nut, gdy chodzi o mamonę, wie o tem każdy, kto miewa z nim stosunki pieniężne. Ale chytróść jego jest naiwna, dlatego też daje się brać frantom na fortele, w których właśnie fikcja zysku nieprawego stanowi przynętę.

Inteligencji naszej, kolportującej skwapliwie ową legendę, również to i owo zarzucić można. Np. pośrednicy pogrzebowi w Warszawie wyzyskują obiedwie strony, a zarzut wyzysku spada nieraz na księży, pomimo że suma, wzięta przez nich, łącznie ze służbą kościelną, oraz tem, co przypada na sam kościół, wygląda wprost śmiesznie wobec sum, pobieranych przez kurjery za nekrologi. Wogóle wśród inteligencji panuje przekonanie, że wynagradzać księdza za posługi, to znaczy smarować poleć słoni. Gdyby tak wszyscy sądzili, wypadłoby księdzu, wedle rady p. N. (będzie o tem później), chodzić boso. Dodać trzeba, że sarkania na żdzierstwo księży, w ustach przedstawicieli zawodów „wyzwolonych“, podejrzane są poważnie o tendencje do odwrócenia uwagi od samych siebie. My sami wśród siebie żdzierstwo potępiamy; jednocześnie jed-

nak widzimy je i potępiamy również wśród świeckich. Wreszcie czy nie ciekawa rzecz, że o żdzierstwie księży słychać najgłośniejsz w prasie żydowskiej, przeznaczonej dla „gojów“¹⁾...

Naturalnie, przekonani jesteśmy, że te uwagi nie trafiają do przekonania tych, którzy przekonani być nie chcą. Uważają oni bowiem księży za pasożytów społecznych i dążą do ich ogłodzenia. Ależ my wytwarzamy wartości moralne, na których wspiera się wszelka wartość materialna! Tak, ale te wartości, według teorii socjalistów, są ujemne i szkodliwe. Ale znowu większość społeczeństwa sądzi, że szkodliwe są raczej owe wartości moralne, które wytwarzają socjaliści. Przecież socjalizm rewolucyjny dał nam pod tym względem kolosalnie kosztowną lekcję, którą mamy świeżo w pamięci i której rychło nie zapomnimy. A już najboleśniej odczuł ją na swej skórze robotnik, ów benjamin socjalistyczny. Jeśli ma głowę własną na karku, i on to popamięta.

Wszakże socjalizm, choć się zdyskredytował z krętem, bynajmniej nie myśli ogłaszać swego bankructwa. Pan N. z dobrą miną woła do „Ludu Polskiego“:

Wszystko, co tu wyczytasz, sprawdź z oną wrodzoną ci księgą (chłopskiego rozumu), którą wciąż z sobą nosisz i zostawiasz tylko na progu plebanji. Miej odwagę i tam z nią wchodzić. Bądź ze sobą szczerym. Myśl, rozważaj, a kiedy się przekonasz, że pisaaliśmy prawdę, ponieś ją innym i nakłoń ich, aby także myśleli i rozważali. Więcej nie żądamy od ciebie: naucz się tylko myśleć własną głową, a nie głową tego, który wzrok twój odwodzi w niebo, aby tem snadniej sięgnąć mógł do twojej kieszeni (14).

Jakeśmy to przed chwilą stwierdzili, księgę chłopskiego rozumu, lubo nader niewielką i ubogą, tak, iż raczej „książeczką“ zwaćby ją przystało, — stać na fortele, gdy chodzi o mamonę, i bynajmniej wtedy ona chłopu nie przypomina o niebie. Chłop jest grubym materialistą w życiu codziennym i jeżeli sięgnie do worka całą dłońią, to tylko w nadziei, że za garść mamony dziesięć takichże

¹⁾ O żdzierstwie księżowskim mówi się u nas tylko tak, jak gdyby głosiciele tego „aksjomatu“ sami byli bez winy, ale i tak jeszcze, jak gdyby istniała dotycząca statystyka. „Księża uczciwi i bezinteresowni — to tylko wyjątki!“ — mówi się, uogólniając wyjątki ujemne. — Czytałem kiedyś artykuł statystyczny z życia włoskiego, na temat zawiści zawodowej. Duchowieństwo stoi tam na szarym końcu, ustępując miejsca lekarzom, adwokatom, literatom, wojskowym etc.

garści otrzyma. Wiedzą o tem, prócz zawodowych kuglarzy-wydrwigroszów, którzy operują na rynkach, także i socjaliści, którzy też znani są ze sztuki odwracania oczu chłopu ku mirażom złotych gór w przyszłym raju socjalistycznym, aby na poczet przyszłych bogactw wyludzać od niego zaliczki realne na swoją propagandę. I chłop na to się bierze; ale na niebo z tamtego świata wziąć się podstępem nie da, bo rozumie, że ono nie za pieniądze się kupuje. Jeżeli żąda się od niego pieniędzy na kościół, daje, bo widzi, że ma stąd zysk duchowny.

Socjaliści podobni są do owych fałszywych wynalazców, którzy na koszt doświadczeń wyludniają od chciwych kapitalistów bająskie nieraz sumy, aby otrzymawszy je, czmychnąć. Z kolei socjalistów naśladują na własne konto wydrwigrosze, podszywający się pod ich miano, bo zwąchali w metodzie ich źródło złotodajne. Na niedowiarków zaś, którzy zbyt się rozmnożyli, jedni i drudzy mają środek w postaci brauniaga, chociażby drewnianego. No, a na czynnych przeciwników „dogmatu“, głoszącego że po socjalizmie niema zbawienia, naturalnie, zbawienia tylko doczesnego, — socjaliści mają środek bardzo mętnego pochodzenia, który właśnie sprodukował przed nami p. N.: oskarża się ich, aby samym wkręcić się w zaufanie chłopu, przyczem nie szczędzi mu się wyrazów nieledwie macierzyńskiej troski o jego dobro materialne, oraz najgrubszych pochlebstw.

— Hej, ukochany Ludu Polski! Odwróć oczy od nieba, gdzie niema kiełbasy i gorzalki i gdzie złoto niema wartości! Co to za „niebo?!“ Spójrz na raj nasz, gdzie złota wśród, a pić i używać można, ile dusza zapagnie!... A tymczasem... tymczasem, na koszt podboju Ziemi Obiecanej, daj garść swojej krwawicy...

Tu łza rozczulenia ukazuje się w oku agitatora, chłop się rozrzewnia i przedewszystkiem rozchciwiał, i sięga do swego Sezamu... Tak nasi argonaucci przygotowują się do wyprawy po złote runo dla ukochanego ludu. Jak zaś wyprawy te się kończą, świadczy świeża panama likwidacyjna skonfiskowanych majątków kościelnych we Francji. Ot, droga do socjalistycznego raju! Ot wybrańcy, którzy znaleźli „zbawienie“ w socjalizmie! No, a lud? Ten — niech się... zadowoli zaszczytem dopomagania wybrańcom Fortuny socjalistycznej, w wyciąganiu kasztanów z ognia walki przeciw Kościółowi...

„*Sic itur ad astra!*“ Tak się socjalistycznej Kolchidy dosięga!

O, nieśmiertelny, mądry i dobry Wielki Wężu, twórcu bogów nowoczesnych: kapitalistów! O, nowoczesni Jazonowie, którzy idąc za natchnieniem Wielkiego Węża, zdobywacie złote runo dla siebie, a przytem i piękne Medee!...

Naiwnością byłoby odwoływać się do sumienia i uczciwości socjalistów czy masonów: nie owych naiwnych i skądinąd sympatycznych sympatyków socjalizmu, ale tych wtajemniczonych w arkania sztuki „panamskiej“. Więć raczej pod adresem tamtych kierujemy uwagę moralną, że nie wypada, nie godzi się brudnymi palcami wytykać plam cudzych. Palce socjalistyczne i masonskie — brudne, splugawione!

— Bacność, Ludu Polski! Nie daj się wziąć na schlebianie twemu rozumowi, jak wrona z bajki dała się wziąć na pochlebstwo lisa! Księga twego rozumu, wielka, jako i ludzi oświeconych: ale w tej księdze mnóstwo kart jeszcze czystych, niezapisanych! Powinno cię jednak stać na tyle przynajmniej rozumu, żeby nie być łatwowiernym, a wiedzieć, komu zaufać. „Kto rychło wierzy, lekkiego jest serca!“ — powiada Pismo (Ekkli. XIX, 4). Nie bądź, jak młoda myszka z bajki, która przeraziła się koguta, zaufała zaś układnemu kotowi. Myślij głową własną, ale myślij naprawdę, bo inaczej odurzają cię fałszywi prorocy. Budź się, Ludu Polski, ze śpiączki umysłowej i oświecaj się, ażebyś mógł dać samodzielnie należytą odprawę fałszywym przyjaciółom. Budź się i czuwaj! Nie daj wypisywać na kartach księgi twego rozumu bajek arabskich o azjatyckich władcach i „gazowych kręgowcach“. Nie daj pokalać tych kart dziewiczych plugawymi bredniami niewiary! Gdy przeróżne partie polityczne i społeczne biją się między sobą o twoją duszę, aby mieć za sobą twoją siłę; gdy w tym zamęcie przestajesz miarkować, za kim iść i komu swe losy zawierzyć, i stajesz jak błędny: pozostała ci wiara w Boga, jako jedyna nieomylna gwiazda przewodnia. Biada ci, gdybyś tę gwiazdę zgasił w duszy swojej dopuścił. Więć Ludu Polski! Ludu Boży! bacność!

...Powróćmy z tego piekła ziemskiego, do żyjącego nadzieją oglądania Boga — czyścica.

Czemże są tedy wobec kar czyścowych, słowa modlitwy: „odpuść nam nasze winy, jako i my...? Odpowiem

zapytaniem: Czy wszyscy i zawsze odmawiają te słowa z uczuciem żalu za winy własne względem Boga i czy słowom tym zawsze towarzyszy szczere uczucie przebaczenia winowajcom naszym? Niech stąd p. N. osądzi, czy jest rzeczą logiczną przeciwstawiać dogmatowi, więc czemuś obiektywnemu i stałemu, modlitwę, więc coś subiektywnego, zależnego od zmiennych prądów myśli i uczuć? Ponieważ istnieje modlitwa o przebaczenie win, zatem... czyściec istnieć nie może! W podobny sposób możnaby dowieść, że ponieważ „Objaśnienie“ p. N. jest stekiem nieдорęczności niepodległych, nieodpowiadających zgoła rzeczywistości, zatem sama książeczka ta jest fikcją, wymyśloną przez zakutych w dogmaty zacofańców, ku spotwarzeniu niepodległego postępu... Albo: ponieważ istnieje woda, zatem pożary zdarzać się nie mogą!

Gdyby jednak wszyscy i zawsze z należytem uczuciem piątą prośbę Ojczenasza odmawiali, jeszczeby to o smutnej potrzebie czyścica nie przesądzało. Pomijając kwestję, jak daleko sięga doniosłość skuteczna tej prośby¹⁾, mówi ona jedynie o „winach“, których odpuszczenie, jakżeśmy już byli wykazali, kary nie wyłącza. W stosunkach międzyludzkich przebaczenie krzywdzicielowi winy kryminalnej, nie wyłącza dochodzenia cywilnego o odszkodowanie. Podobnie w stosunkach między Bogiem a ludźmi, odpuszczenie winy pozostawia potrzebę zadosyćuczynienia, jakby restytucji tego, co się Bogu ujęło. Pan N., który oburza się na łaskę Bożą, jakoby poniżającą godność człowieka, powinienby przystać przynajmniej na ten punkt nauki katolickiej, że człowiek obowiązany jest przyłożyć ręki swojej do swego zbawienia; a także, iż powinien mieć tyle ambicji, aby nie śmiał pokazywać się na... salonach niebieskich — nieumyty i nieoczyszczony z ziemskiego pyłu...

A jeśli już panu N. tak bardzo zależy na darowaniu i kar doczesnych, to ma przepiękną naukę Katechizmu o odpustach.

¹⁾ Oczywiście, nie ma ona sama przez się mocy gładzenia grzechów, za wyjątkiem powszednich, z warunkiem odmówienia jej ze skrucho. Chyba, że skrucho byłaby doskonała; w takim jednak razie ona to raczej byłaby przyczyną odpuszczenia grzechów. Poza tem, odmówiona ze szczerem uczuciem, usposabia serce, zarówno do przebaczenia krzywd i uraz osobistych, jako i do najowocniejszego przyjęcia łaski rozgrzeszenia w sakramencie pokuty.

— Co?!?—wrzaśnie p. N., razem ze sławnym historykiem Ilowajskim.—Ta wstętna, demoralizująca nauka o odpuszczaniu przyszłych grzechów za pieniądze?!¹⁾

Ależ nie! Stąd, że grzechy są *odpuszczane*, nie wpływa bynajmniej, aby *odpust* dotyczył grzechów, albowiem nie same tylko grzechy, lecz i kary za nie do odpuszczania się kwalifikują. A co do pieniędzy, to gdy się je da w duchu zadosyćczynienia za grzechy, zwłaszcza dotyczące 7-go przykazania, na cele użyteczności publicznej, chociażby natury religijnej, to, przynajmniej w oczach tych, co użyteczność Kościoła uznają, nieczem zdrożnem nie jest. Autentyczna nauka o odpuszczeniu, owszem, jest całkiem niewinna. Według Katechizmu, odpust jest to darowanie kary doczesnej, która pozostaje do odpokutowania po odpuszczeniu grzechów i kary wiecznej. Jest on więc dopełnieniem sakramentu Pokuty, w którym gładzi się grzech i kara wieczna²⁾.

Geneza historyczna odpustu w obecnej praktyce Kościoła, jest również arcyniewinna. W Kościele pierwotnym rozgrzeszenie sakramentalne połączone było z nakładaniem nadzwyczajnie surowej pokuty, czyli kary. Starano się dorównywać temu stopniowi kary, który w oczach Boga za grzech się należy. Złagodzenie tej właśnie pokuty dokonywa się na koszt skarbcza zasług, z którego Kościół szafuje odpustami.

Przewiduję zarzut: W takim razie odpust unicestwia ideę kary doczesnej, której konieczności dowodziliśmy przed-

¹⁾ Nie przeczymy i nie mamy interesu przeczyć, że operacje handlowe tego rodzaju zdarzały się przed pseudoreformacją, mianowicie z okazji jubileuszu wielkiego, który w r. 1300 ogłosił Bonifacy VIII. Sam Kościół karygodne te nadużycia potępił. Żadnem też prawem nie mogą one iść na rachunek dogmatu o odpuszczeniu. Prawowierny Dante rzucał gromy na odpusty, którymi „tucza się wieprze ś. Antoniego i wielu innych, gorszych niż wieprze“ (*Raj XXIX*). „W wiekach średnich—mówi z tego powodu Klaczko—słowa nie bały się śmiałości i otwartości, bo serca były pewne swojej wierności“ (*Wieczory Florenckie*, 185). Dziś słowa podobne muszą być wstrzemięźliwsze ze względu na skłonność do mniej lub więcej faryzajskich zgrzeszeń.

²⁾ W *Encyklopedji Powsz.* Orgelbranda czytamy: „Sakrament Pokuty odpuszcza pod względem winy grzechy, popełnione po chrzcie... Odpuszcza także karę wieczną. Tę władzę odpuszczania posiada Kościół i wykonywa ją przez nadawanie odpustów“. (Tom XI, str. 31). Takich kwiatów erudycji teologicznej pełno nie tylko w tejże encyklopedji, ale i w ogóle na niwie piśmiennictwa świeckiego, o ile ono dotyka kwestji religijnych.

tem? Czy mam w odpowiedzi powtórzyć bajeczkę o wodzie i pożarach? Któż tej wody odpustowej na ugaszenie pożaru czyszcowego tak dalece używa? A gdyby jej wszyscy w należytej mierze używali i ów pożar ugasili? Ależ owszem, owszem! Z pewnością, ani Bóg, ani Kościół—nieby przeciw takiemu skasowaniu czyśca nie mieli, zwłaszcza, że on z natury swej do skasowania, prędzej czy później, jest przeznaczony.

Zresztą odpust nie tylko nie wyłącza pokuty, ale jej uprzednio wymaga, mianowicie pokuty sakramentalnej, którą naznacza spowiednik. Sam przez się jest on również pokutą, ujętą przez Kościół w pewne formy i prawidła: pokutą, podejmowaną dobrowolnie gwoili uniknięciu większych kar przymusowych. Dość wspomnieć o dobrych uczynkach, jak: modlitwa¹⁾, post, jałmużna, pielgrzymka, — zalecanych jako warunki dla dostąpienia odpustu. Gdy nadto dodamy, że dla dostąpienia odpustu zupełnego trzeba wykonać akt potępienia i wyniszczenia w duszy wszelkiego upodobania w grzechu,—to zdołamy ocenić, jak wysoce umoralniającą i podnoszącą ducha wzgóre jest praktyka odpustowa, według nauki oraz w duchu Kościoła. Słowem, nie bez zasługi, nie bez współpracy z łaską, prócz łaski, uprzedzającej wszelki dobry akt i czyn, o ile mają one mieć wartość nadprzyrodzoną.

O, wy! — którym na dźwięk słowa „odpust“ zjawiają się w wyobraźni smaczne obiady, a ślina do ust idzie...

O, wy! — dla których w rzeczach wiary katolickiej Ilowajskij jest wyrocznią...

„*Ambo meliores!*“ Warcieście jedni drugich!...

Niech-że ich p. Niemojewski pobłogosławi cyrklem lub węgielnicą...²⁾

O, mistrzu djalektyki niepodległej, wobec której nie ostoi się nic! Bóg daje łaskę — źle, gdyż obraża godność człowieka; Bóg karze — także źle, bo to niesprawiedliwość. Daje łaskę—postępuje po wielkopańsku; karze — jest prze-

¹⁾ Przypomina mi się arcynaiwny zarzut pewnego wierzącego katolika: Jakże można zadawać modlitwę za pokutę, kiedy to modlić się powinno być rozkoszą i zaszczytem?! Boże drogi! Cóż Kościół winien, że nie jest to, co być powinno? Że ludzie uważają za ciężar, w czym widziećby, powinni najwyższą i najżywszą rozkosz ducha?

²⁾ Godła masonskie, układane w rysunkach szyldowych na krzyż, tak, iż tworzą figurę geometryczną, zwaną *romb*. Przynajmniej taki szyld zdarzyło mi się widzieć w jednym z miast francuskich.

wrotnym tyranem, bo przecież „pozwała“ na grzechy... Ależ to nihilizm religijny? Niezawodnie, tylko—pod fartuchem farmazonów ukryty do czasu przed oczyma naiwnych.

Mistrzu! Gdyby przewrotne nieuctwo teologiczne miało swój stolec, głosowałbym za oddaniem go tobie...

...W rozdziale drugim była mowa o istocie szczęścia w Niebie. Obecnie rozważymy kwestję Nieba, jako miejsca.

Z właściwym sobie roztrzepaniem, wymierzającym cięsy na oślep, na prawo i na lewo, p. N. „rozwiązał“ tę kwestję z okazji... pierwszego artykułu Składu Apostolskiego: „...Stworzyciela nieba...“, — wziętego prawie żywcem z pierwszego wiersza pierwszej księgi Pisma ś., Genezy. Starzy komentatorowie tego miejsca rozumieli, że Biblia mówi tam o Niebie empirejskim, — chociaż — nie wszyscy. My ani na chwilę nie wąpiliśmy, że mowa tam o niebie astronomicznym. O stworzeniu nieba empirejskiego wiara nasza nie mówi nam nic. To tylko pewne z Objawienia, że Królestwo Niebieskie, Jerozolima Nowa, Niebo nad Niebami — istnieje, jako miejsce, kędy Bóg objawia się aniołom i wybranym, kędy Kościół wojujący dąży jako do swojej Ziemi Obiecanej, kędy Kościół tryumfujący, poprzedzony przez Króla swego, Chrystusa, rozbija swoje namioty.

*Blask chwały tego, co wszystko porusza,
Przenika wszechświat; lecz w jednej dzielnicy
Jaśniejże mocniej, w drugiej zaś słabiej.
Byłem ja w niebie, które światło Jego
Najwięcej chłonie, i widziałem rzeczy,
Których, ktokolwiek z tej wyżyny schodzi,
Powiadać ludziom nie umie, nie może.
Albowiem duch nasz, kiedy się przybliża
Do żądz swych celu, tak się w nim zatapia,
Ze wstecz się cofać pamięcią nie zdoła¹⁾.*

Wobec tego, że Kościół nauczający milczy o miejscu, gdzie jest Niebo empirejskie²⁾, fantazja ludzka wierząca ma

¹⁾ „Boska Komedia“. „Raj“. Pieśń pierwsza.

²⁾ Tak samo wiara nie mówi nic o miejscu, gdzie jest piekło. Stara i powszechna dawniej opinia teologiczna, uważana za pewną, że piekło jest pod ziemią, w jej wnętrzu, dziś, naturalnie, została porzucona.

szerokie pole domysłów, które (domysły) zależne są od każdoczesnego stanu pojęć, czerpanych z dostępnych rozmow i doświadczeniu źródeł przyrodzonych... Dawne mi czasy wiara powszechna, a do dziś wiara ludowa, utożsamiała Niebo empirejskie z atmosferycznym, łącząc przytem to drugie w jedną całość z niebem astronomicznym. Dziś nawet już i lud wyzwala się z powijaków tych pojęć naiwnych. Pod działaniem światła nauki, rozpraszającego mroki, w których królowała fantazja, niebo empirejskie odsuwało się wciąż dalej a dalej i zdawało się znikać w niezmierzonych przestworach przed badawczym okiem zmysłowem i materjalnem „szkiełkiem“, osadzonem w rurze teleskopowej. Nie zniknęło ono wszakże przed okiem rozumu, uzbrojonem w teleskop Objawienia. I nie zniknie. Owszem, fantazja, natchniona wiarą, nawet z odkryć astronomicznych korzysta i przybliża z powrotem to, co nauka usunęła w dal nieuchwytną. Flammarion, np., upatruje i umieszcza Niebo dla ludzi na jednym z planet systemu słonecznego, mających najdoskonalsze warunki bytu, jak Merkury i Wenera. O ile, naturalnie, planety te nie są zamieszkałe przez podobne, może wyższe od nas istoty... Za te jednak i tym podobne fantazje Kościół żadnej odpowiedzialności na siebie nie bierze.

Wskazówkę objawioną i poważną widzieć raczej trzeba we wizji apokaliptycznej św. Jana:

„I widziałem niebo nowe i ziemię nową. Albowiem pierwsze niebo i pierwsza ziemia przeszła, a morza już nie-masz.

„A ja, Jan, widziałem święte miasto Jeruzalem nowe, zstępujące z nieba od Boga, zgotowane, jako oblubienicę ubraną mężowi swemu.

„I słyszałem głos wielki, ze stolicy mówiący: Oto przybytek Boży z ludźmi, i będzie mieszkał z nimi. A oni będą ludem Jego: a sam Bóg z nimi będzie Bogiem ich.

„I otrze Bóg wszelką łzę z oczu ich: a śmierci więcej nie będzie, ani smętku, ani krzyku, ani boleści więcej nie będzie, iż pierwsze rzeczy przeminęły.

Opinia ta, korzystając z teorii geologicznej o płynnym wnętrzu ziemi, upatrywała w wulkanach „kominy piekła“. Dziś nie da się ona utrzymać, tem bardziej wobec najnowszych badań, które dowiodły, iż wnętrze ziemi jest w stanie stałym, a mimo tego gorącym, — wskutek prawa ciśnienia dośrodkowego.

„I rzekł, który siedział na stolicy: Oto nowe czynię wszystkie rzeczy. I rzekł mi: Napisz, iż te słowa bardzo wierne są i prawdziwe...” (XXI, 1—5) ¹⁾.

Na widzenie to nauka społeczna rzuca snop światła, w którym ono nabiera znamion prawdziwości z poza Objawienia. Według nauki, nie tylko życie we wszechświecie, ale także sam wszechświat, uważany jako całość, jak się narodził i rozwija, tak kiedyś i umrze. Wróci on do pierwotnego chaosu, z którego się nowe światy wywiną. Dalej nauka nie sięga i milczy. Resztę dopowiada za nią Objawienie, lubo tylko w zarysach ogólnych, pozostawiających szerokie pole fantazji, do nakładania ze swojej palety barw tęczyowych.

W oświeceniu wyjaśnień powyższych, to, co mówi p. N. przeciw Niebu empirejskiemu, wygląda na gruby i zuchwały żart, nie tylko z wiary milionów, ale i z nauki:

„...ludzie brali widome nam niebiosy, nie za powietrze, ale za twarde sklepienie, na którym siedzi Bóg z aniołami. Potężne oko myślącego Polaka rozbilo to złudne sklepienie. Kopernik obalił przesąd o istnieniu nieba i udowodnił, że ziemia obraca się naokoło słońca. Włoch Galileusz, za pomocą swego teleskopu, przejrzał one niebiosy na wylot... (37).

Tak się zaprzęga naukę w służbę niedowiarstwa! Jezeli dopiero Kopernik „rozbił złudne sklepienie“, to czemu już Dante, hołdujący razem ze swoim wiekiem, systemowi Ptolomeusza, wystawił swoje Niebo poza sferą gwiazd stałych, z ich „Primum Mobile“ („Pierwsze Rucho“ Kochanowskiego)?! Grubym też humbugiem jest twierdzenie, jakoby już Galileusz „przejrzał niebiosy na wylot“; bo po dziś dzień, pomimo lunet nieskończenie doskonalszych, aniżeli teleskop, którym rozporządzał astronom średniowieczny z Pizy, astronomowie dokonać tego nie zdołali.

I p. N. wyobraża sobie, że załatwił się z Niebem nad niebami, przez przejrzenie niebios gwiazdzistych, oraz przez obalenie naiwnych o Niebie empirejskim wyobrażeń! Ależ

¹⁾ Podobnie mówi św. Piotr: „Lecz nowej ziemi i niebios nowych według obietnicy Jego, oczekiwamy“ (2 Piotra III, 13). Zaś Chrystus: „Błogosławieni ci, albowiem oni odziedziczą ziemię“. Nawet Psalmista: „A sprawiedliwi odziedziczą ziemię i będą mieszkali na niej na wieki wieków“ (Ps. XXVI, 29).

te wyobrażenia, w których Kościół zgola nie angażował swojej powagi nieomyślnej, myśmy sami dawno już rozwiali! Pan N. tedy wywala drzwi, otwarte przez nas, nawet dla ludu. Niech p. N. znajdzie kazanie nowożytnie o Niebie, któreby brało je za jedno ze „sklepieniem“ atmosferycznym, a damy mu konia z rzędem!

Co się zaś „tknie“ Kopernika i Galileusza, postawionych w roli ateuszów, to ten tamtego, jako naszego rodaka, mógłby zapytać:

— Koperniku, kanoniku, kto tu wlaźł pomiędzy nas?

— A to... łgarz! — mógłby zapytany odpowiedzieć i miałby słuszość...

„Tu mimochodem... rozprawić się trzeba z zarzutem przeciwko wniebowstąpieniu Chrystusa. Zarzut oryginalny:

O wniebowstąpieniu milczy najważniejsza ewangelja, bo wedle Mateusza, i najbardziej w duchu pierwotnego kościoła, bo wedle Jana (42).

I tyle. Odpowiedź łatwa. Wszyscy czterej ewangelści świadczą najwyraźniej o zmartwychwstaniu Chrystusa; ci zaś dwaj, którzy milczą o Jego wniebowstąpieniu, milczą także o Jego powtórnej śmierci. Prawda, że to dziwne? Dziwne i to, że gdy Kościół posiada relikwie narzędzi męki Chrystusowej, to nigdy nie było słyhać o relikwiach Jego ciała. Można zaś być pewnym, iż gdyby uczniowie Chrystusa ukryli to święte ciało, ażeby zapewnić powodzenie zmyślonej wieści o Jego wniebowstąpieniu, to znaleźliby się przeciwnicy, którzyby miejsce ukrycia wyszperali. O niczem podobnem dzieje nie wspominają. I ku rozpaczcy nieprzyjaciół Nieba i Chrystusa, niema ani jednego, bodaj najniklejszego faktu, któryby można było przeciwstawić faktowi wniebowstąpienia. Niedowiarstwo stoi wobec niego bezradne i musi obywać się przeczeniem głośnym; co najwyżej, może się ono poprzeć pozorami argumentacji, które wszakże zdmuchnąć równie łatwo, jak upierzenie pospolitego kwiatu łąk: dmuchawca.

Nietrudno bo wytłumaczyć milczenie ewangelistów: Mateusza i Jana. Zadaniem ich było napisać żywot Zbawiciela, gdy wniebowstąpienie wkracza już w sferę życia Kościoła. Dlatego też dwaj drudzy ewangelści: Marek i Łukasz, zbywają fakt wniebowstąpienia krótką wzmianką, a dopiero „Dzieje Apostolskie“ opisują go szczegółowo,

owszem, od stwierdzenia go zaczynają. Zachodzi tu okoliczność podobna poniekąd, jak w pamiętnikach: dopiero wydawca ich dodaje od siebie wiadomość o śmierci autora pamiętników.

Wreszcie, tylko wówczas mielibyśmy prawo wyciągać wnioski pozytywne z milczenia dwóch świadków, gdyby dwaj drudzy świadkowie twierdzili to, co chce p. Niemojewski; oni tymczasem twierdzą coś wręcz przeciwnego. Gdybyśmy też „metodę“ krytyczną p. N. zastosowali do dziejów wogóle, pono nieby się wobec niej nie ostało. Kto milczy, ten raczej potwierdza milczeniem to, co inni utrzymują.

Pan N., żeby podnieść doniosłość milczenia dwóch ewangelistów, podkreśla wyższą jakoby wartość historyczną ich Ewangelji. Na to można odpowiedzieć, że np. ś. Marek, który o wniebowstąpieniu wspomina, jest synoptykiem¹⁾ ś. Mateusza; tymczasem, gdy ten drugi rozwodzi się obszernie o wszystkim, co poprzedziło Narodzenie Chrystusa (rodowód, Zwiastowanie), to tamten wkracza odrazu *in medias res*²⁾ i zaczyna swój opis od ś. Jana, głoszącego na puszczy pokutę. Gdy znowu ś. Łukasz pisze obszernie o samem Narodzeniu Chrystusa, to ś. Jan pomija: i rodowód ludzki, i Narodzenie Chrystusa jako człowieka, natomiast zaczyna od podania rodowodu Jego, jako Boga. Przy pomocy metody p. N., na podstawie tych faktów, możnaby z czterech Ewangelji zrobić sieczkę, bijąc jedne drugimi, tak, jak to autor czyni z twierdzeniami Katechizmu. Przewszystkiem dowieśćby można było, że Chrystus wcale się nie narodził. Byłby to punkt wyjścia do zupełnego zburzenia wszystkich czterech Ewangelji. Byłyby do wyboru dwie drogi, które z tego punktu wychodzą: albo wywnioskować odrazu, że Chrystus jest mitem; albo że zstąpił On z nieba cudownie, jako człowiek dojrzały. Którą z tych dróg obrałby p. N., domysleć się łatwo. I czemu na tę drogę nie wszedł? Czyżby jemu nawet zbrakło do tego odwagi? Przecież konsekwencja obowiązuje!

My jesteśmy konsekwentni, gdy wierzymy, że Chrystus, skoro się narodził, to nie mógł podlegać śmierci, jak wszyscy ludzie; ale jako Bóg, musiał zwyciężyć śmierć i wniebowstąpić. Jest to dla nas tak naturalne, że gdy-

byśmy nie mieli na to żadnego świadectwa historycznego, gdyby całe Pismo ś. Nowego Testamentu o tem głucho milczało, tedybyśmy fakt wniebowstąpienia wyrozumowali i wstawili go w domagającą się tego lukę dziejową. Byłyby tylko, naturalnie, ani Pismo ani Podanie temu nie przeczyły pozytywnie. Wniebowstąpienie Chrystusa Pana — to, w oczach naszych, — spełniony akt prawa grawitacji uwielbionego i boskiego (t. j. adoptowanego przez Boga) ciała ku światom nadprzyrodzonym. Podobnie ciała lotne dążą w górę...

Co więcej. W naszych oczach wierzących, Wniebowstąpienie Chrystusa jest zapowiedzią oraz rękojmią czynną wniebowstąpienia wybranych. W Chrystusie Panu natura ludzka została uwielbiona i wniebowzięta. Chrystus jest Głową mistycznego ciała swego, którem jest Kościół. Gdzie jest Głowa, tam i ciało do niej przynależne, się znajduje...

Zapewne, dla zmysłowego rozumu człowieczego rzecz to niepojęta. Gdyby jednak była pojęta, nie byłaby przedmiotem wiary; a gdyby nie była przedmiotem wiary, uniemożliwiłaby nam płynącą z wiary zasługę.

Błogosławiony Klemens Marja Hoffbauer pięknie powiedział: „Gdybym mógł otwartymi oczyma widzieć prawdy Wiary św., zamknąłbym oczy, aby zasługi wiary nie stracić“. Jakaż wiara głęboka i żywa! Jakaż nauka i przykład dla tych, którzy gotowiby byli „wierzyć“, gdyby naczynie prawdy religijne sprawdzili! Jakież nieporozumienie fatalne! Ależ wtedy nie byłoby już „wiary“, jeno widzenie, skoro wierzyć — znaczy uznawać to, czego się nie widzi¹⁾. A jakim sposobem mógłby człowiek śmiertelny, cielesny, w stosunku do Boga — ograniczony umysłowo, bo mający rozum tylko stworzony, — jakim sposobem taki człowiek mógłby widzieć Boga i Jego tajemnice tak, jak widzi materję, albo jak aksjomat arytmetyczny: $2 \times 2 = 4$!

Nie żąda Bóg, zresztą, wiary ślepej i lekkomyślnej, ale rozumnej i poważnej. Jest zaś ona rozumną, gdy wierzymy z pobudek, dyktowanych przez rozum. Wiara — to

¹⁾ Z greckiego: *synopsis* = przegląd, streszczenie.

²⁾ „Do środka rzeczy“.

¹⁾ Angielski sceptyk, Clifford, powiada: „Wiara, wyprzedzająca naukową oczywistość, jest najnędzniejszym rodzajem niemoralności“. Odpowiedź nad wyraz łatwa: Żądanie, aby wiara wykazała się oczywistością, jest najnędzniejszym rodzajem niedorzeczności...

jeden z przywilejów człowieka, różniących go od zwierząt. O ile rozum nie zdoła przedmiotowi wiary sprostać, o tyle wykonywa człowiek zasługujący akt wiary. „Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli“ — rzekł Chrystus do niewiernego Tomasza (Jan, XX, 29).

Po której stronie stoi rozum: po stronie wiary, czy niewiary, właśnie tu wykazujemy na każdym kroku...

...W dalszym ciągu, w „krytyce“ naszego Nieba, p. N. puszcza się na fantazjowanie. Lubo stoi ono w luźnym związku z dotyczącym zagadnieniem, wypada uwzględnić je doraźnie.

Dziś wiemy, — żartuje p. N., — że ziemia jest maluchną kulą w porównaniu z innymi potężnymi ziemiami, krającami w przestrzeni. Więc (?) wypada stawić pytanie, czy na każdym takim globie ufundowany został kościół katolicki, obierani są papież, mianowani biskupi, dziekani, księża? (Więc biskupi i dziekani nie są księżmi?) Czy na każdym globie żyje jakiś ks. Putiatycki i ks. Sokolik, a drukują swoje katechizmy? Czy na każdym wydaje się z zaświadczeniem biskupa kieleckiego „Przeraźliwe echo trąby ostatecznej?“ Czy na każdym Bóg lepił z gliny Adama, tworzył z żebra Adamowego Ewę, kusić ją pozwolił przez węża, a potem karał? Czy na każdym był potop i na każdym Judasz zdradzał Chrystusa i wreszcie, czy na każdym kapłani denuncjowali Jezusa przed namiestnikiem rzymskim, Pilatem?? (38).

Nie mogąc dać panu N. na te pytania odpowiedzi kategorycznej, odpowiadamy warunkowo: Jeżeli na innych globach dzieje się taksamo, jak na naszym, to z pewnością na każdym z nich żyje też jakiś p. Andrzej Niemojewski, i nie tylko drukuje książeczki: „O pochodzeniu naszego Boga“, oraz „Objaśnienie“, ale nadto denuncjuje kapłanów katolickich do katolickiego ludu, jakoby oni denuncjowali Chrystusa przed Pilatem!!!

Oszalałeś, księżu! — wołasz Czytelniku szanowny? Przez chwilę myślałem sam, że tak. Ale nie: wszak człowiekiem notorycznie szalonym jest p. Niemojewski. Proszę osądzić. W „Uwagach Wstępnych“ p. N. odzywa się do ludu:

Powiedz też urzędowym naśladowcom Chrystusa, że on, wraz ze swoimi uczniami, chadzał po kraju boso i — nie wyklinał! I powiedz im jeszcze, że on w świątyni, na oczach (na *głazach!*) całego ludu, toczył spory z kapłanami i uczonymi w Piśmie, zowiąc ich pobielanymi grobami. To też za tę śmiałość kapłani denuncjowali go przed rzymskim namiestnikiem, Pilatem, i uśmiercili go.

Ale potem, gdy lud Ignął do tego bohatera swego, uczynili wizerunek jego męki, przenieśli się do Rzymu, ustawili (sami siebie?) na swoich ołtarzach i nazwali siebie... głosicielami jego nauki! Urobili ją w swój katechizm, który też tobie, Ludu Polski, wykładają (15).

Żali potrzeba wyraźniejszego dowodu szaleństwa? Zostawiamy go też bez komentarzy. Natomiast słów kilkoro z powodu „chadzania boso“ i „niewyklinań“.

Co do drugiego: nieprawda! Chrystus wprowadził oświecenie nie wyklinał, gdyż jeszcze nie było Kościoła, z którego możnaby było wyłączać. Jak Chrystus nie chrzczył, chociaż chrzest ustanowił, taksamo nie wyklinał, chociaż klątwę katolicką stworzył. Mianowicie w słowach: „...a jeśliby Kościoła nie usłuchał, niech ci będzie jako poganin i celnik“ (Mat. XVIII, 17).

Zresztą, sam p. N. kpi sobie z „papierowych“ czy „słomianych“ piorunów Rzymu:

Spróbuj, Rzymie, — woła on z pianą na ustach — miotnąć swe klątwy na nasze głowy! Wiedz, że piorun pogańskiego Jowisza tak nie zardzewiał, jak gromy twych klątw! (11).

Więc o cóż chodzi? A! — chodzi o znieczulenie na gromy klątewne serc katolickich ludu, przerażonego eskskomuniką, rzuconą na „marjawitów“. Tedy p. N. wystawia ludowi okropną niegodziwość anatemy: jak gdyby nie miała jej każda partja, aspirująca do wszechwładzy, podobnie, jak każda ma swoje „*extra Ecclesiam...*“

Ale p. N. *metodycznie* o tem zapomina, jak zapomniał, również *metodycznie* o fackie, że klątwa przeciw-marjawicka dotknęła jedynie przywódców odszczepieństwa, nikogo zaś z pośród uwiedzonego ludu.

Metodycznie tedy pieni się dalej:

To też, papieżu, anatemy swojej nie rzuciłeś na nas, bo wiedziałeś, że byłbyś się tylko haniebnie ośmieszył. Rzuciłeś ją tam, gdzie ludzie jeszcze nie umieją szyderstwem witać twych papierowych piorunów i gdzie dotąd w lęku i strachu kolano prostaka ugina się przed tobą, jako przed ojcem i jako przed świętym...

Więc jednak pioruny rzymskie nie zardzewiały, skoro budzą nie tylko lęk i strach w duszy ludu, ale i wściekłość w duszy p. N., lubo jego osobiście nie dotknęły?!

Ozuć atoli, że radby on ściągnąć kłatwę i na siebie, ażeby mógł swą furję wyładować do dna. Ale się tego nie doczeka, bo jak zauważył tu żartobliwie Stary Mieszczanin, trawestując słowa p. N.: „gdyby papież rzucił kłatwę na warjata, toby się haniebnie ośmieszył“¹⁾.

Radzibyśmy byli dowiedzieć się od tak „dobrze“ o kławkach papierowych Rzymu poinformowanego p. N., czy też *stalowa* kłatwa masonska, pod postacią sztyletu, zardzewiała, czy nie? Przeczujemy, że w interesie honoru masonskiego leży dowieść, że nie zardzewiała od braku jej używania. Nie mamy atoli pewności, gdyż kłatwy stalowe są bardzo ciche: więc prosimy o informację autentyczną...

Płacąc z góry wzajemnością, informujemy p. N., że jest w błędzie, gdy tytuł „świętego“ przywiązuje do osoby papieża, nie zaś do jego urzędu, świętego rzeczywiście, bez względu na świętość osobistą namiestników Chrystusowych. Za wiarygodność tej informacji ręczymy. Może ją p. N. sprawdzić w pierwszym lepszym kalendarzu.

...Co do pierwszego. Naśladowanie Chrystusa, naprzód obowiązuje nie samych tylko kapłanów, ale i laików; powtórę różnych ludzi obowiązuje ono w różnym stopniu. Zależne to jest od powołania. Zakonnicy surowszymi regułami naśladowują Chrystusa w chodzeniu boso²⁾ i nawet z gołą głową: najdosłowniej *gołą*, bo nie tylko bez nakrycia sztucznego, ale i bez naturalnego, gdyż włosy swoje gołą, zostawiając tylko koronę z włosów, mającą przypominać koronę cierniową Chrystusa.

Wątpimy jednak, czy widok tych zakonników, spotykany nierzadko w miastach zagranicznych, budzi w duszy p. N. wrażenie miłego zadowolenia, iż jego pobożnym życzeniom heroiczni zakonnicy czynią zadość. Obawiamy się, czy raczej nie budzą oni w nim furji, poczerpniętej z tej samej „beczki“ apetytów księzożerczych...

¹⁾ Właściwie kłatwa jest obojętna dla tych, którzy sami od uczestnictwa w Kościele się wyłączyli. Tragizm kłatwy istnieje tylko tam, gdzie jest pragnienie pozostania w Kościele, pomimo błędu, którego jednak nie poznaje się, jako takiego. Póki więc owo pragnienie żyje, póty i kłatwa nie zardzewiała.

²⁾ Właściwie o tyle boso, że powierzchnia stóp jest odkryta. Tak samo i Chrystus, zwyczajem ówczesnym, chodził w sandałach. Stąd zwyczaj mycia nóg, wyniesiony do godności obrzędu.

Zresztą, doskonale naśladowanie Chrystusa we wszystkim i pod każdym względem, przekracza miarę sił ludzkich. Czemu sam p. N. nie naśladowuje Go w tem przynajmniej, co mu się tak podoba? Nie słyszeliśmy, aby chadzał boso. Gdyby tak było, niezawodnie reklama „Kpów“, „Wrzasków“ i „Trzasków“ dałaby o tem znać...

Zdarzyło mi się nie tak dawno, że gdy w mieście wsiadał do bryczki, jakiś niepoczesny przechodzień, snąc wychowanek socjalistyczny, rzucił mimochodem w moją stronę:

— „Chrystus taką ładną bryczką nie jeździł!...“

Racja-fizyka! Chrystus nawet nieładnymi bryczkami, i w ogóle na kołach nie jeździł; jeśli jeździł, to wierchem na osłach, czyli używał lokomocji, właściwej na terenie górzystym Palestyny. Czy z tej racji także i księża na osłach jeździćby powinni? A możeby księża nie powinni jeździć także kolejami żelaznymi?

Zarzut podobny spotkał ś. Franciszka Salezego, z ust pewnego protestanta: „Apostołowie nie jeździli karetami!“ Na to przytomny biskup genewski: „Owszem, czyś pan nie czytał w *Dziejach Apostolskich* o tem, jak to apostoł Filip jechał wspaniałym wozem, razem z podskarbisem królowej etjopskiej, Kandaki?“

Ktoby tam jednak ludziom, zwłaszcza uprzedzonym, dogodził!

Mam jednego konia. Z tego powodu spotkał mnie parę razy na ulicy zarzut głośny ze strony przechodniów, że księdzu nie przystoi jeździć w jednego konia!

Mając do miasta zaledwo kilka wiorst, często chadzam tam pieszo. Pocciwi ludziska, chłopci i nie chłopci, jedni z politowaniem, inni ze zdumieniem oglądają się za mną i oczom własnym nie wierzą. A może to „mankietnik?“ Niektórzy proponują mi swoje wozy, czasem wspaniałe, częściej całkiem proste. Nieraz trudno oprzeć się naleganiom, więc żeby pocciwych ludzi nie urazić, kwituje z przechadzki...

Słowem, gdyby należało słuchać głosów „krytycznych“ tłumu, zwłaszcza zaś rad socjalistycznych, byłoby się ustawicznie w głupio kłopotliwym położeniu znanego młynarza ze znanej bajki Lafontaine'a...

...Jakkolwiek zmartwychwstanie ciał nie należy, zarówno jak czyścić, do liczby „rzeczy ostatecznych“, ściśle wziętych,—jednak iż ma ono z niemi ścisły związek, a in-

nej sposobności do poruszenia tego zagadnienia nie widzę, zatem...

Pan N. bardzo lakonicznie zbywa tę sprawę:

Wiara w zmartwychwstanie ciała wynika z nieznamości nauk przyrodniczych, które nas uczą, że w grobie wszystkie ciała bez wyjątku rozkładają się na pierwiastki (43).

Mój Boże! Jakże żółwim krokiem postępują naprzód biedne nauki przyrodnicze, skoro dopiero teraz doszły do wiadomości o rozkładaniu się martwych organizmów na pierwiastki! Wiara nasza dowiedziała się o tem bardzo już dawno: wprzód, zanim stwierdziło to doświadczenie codzienne. „Boś jest proch, i w proch się obrócisz!” — zagrzmiał wyrok Boży w uszach Adama i Ewy (Genesis, III, 19).

Zapewne! Wiara nie potrafiła dokonać analizy chemicznej pierwiastków rozkładowych, ale to nie jej rzecz; dość, że poznała przed wiekami zasadnicze prawo rozkładu, zanim się ono urzeczywistniło, a tem więcej, zanim je naukowo zbadano.

Mimo tego, tasama Wiara uczy nas o zmartwychwstaniu; co potwierdza psychologja metafizyczna, rozumiejąca ducha, jako budowniczego ciała, przeciw czemu zaś żadna z nauk przyrodniczych nie może nic a nic rozumnego przytoczyć, owszem, ku czemu te nauki rozum ludzki naprowadzają¹⁾.

Wiara w nieśmiertelność duszy, a co za tem idzie, w zmartwychwstanie ciała, wyraziła się najdobitniej, w starożytnym zwłaszcza Egipcie, przez balsamowanie ciał. Mumje egipskie i inne, przeniesione do muzeów, zdają się stamtąd nawet protestować przeciw Bożemu wyrokowi śmierci.

Podobnie dziś krematorja, wskrzesiwszy zwyczaj pogański, protestują przeciw wierze w nieśmiertelność i zmartwychwstanie, jak gdyby chciały je Bogu i duszy ludzkiej udaremnić. Protestują — rzekomo w imię nauki.

W krematorjum („templo crematorio“) na Campo Santo w Medjolanie, ponad piecem jest napis: „*Vermibus erepti*,

puro consumimur igni; indocte vetitum, mens renovata petit“ — „Czerwiom wyrwani, czystym spalaniśmy ogniem; wbrew nauce wzbronione, myśl odrodzona przywraca“.

„*Indocte*“ — wbrew nauce, nienaukowo!

Co ma wspólnego nauka z paleniem lub grzebaniem ciał zmarłych? — pytamy zdumieni. Co jest „naukowego“ w paleniu zwłok, a co „nienaukowego“ w ich grzebaniu?

Chodzi o protest przeciw wierze chrześcijańskiej w nieśmiertelność duszy i zmartwychwstanie ciała! Protest symboliczny, jak symbolicznym wyrazem wiary jest grzebanie ciał w ziemi.

I próżno propaganda kremacji ciał tuszuje ten swój cel właściwy względami higienicznymi i sanitarnymi, i zamyla nimi oczy naiwnych. Względem te są dostatecznie zabezpieczone i przy grzebaniu w ziemi. Owszem, grzebanie zabezpiecza i względy prawnicze, wymagające nieraz ekshumacji; gdy krematorja puszczać mogą z dymem dowody zbrodni. I kto wie, ile ich już z dymem w taki sposób puszczono? Kto wie, czy krematorja nie są w tym celu nadużywane? Tak więc „czysty“ ogień, wraz z wiarą dusz, spalałby także brudne czyny, niewiarą natchnione. I to wszystko — w imię i pod firmą nauki... Biedna-ż ty, Nauko!

...Już z mądrzejszym, niżeli p. N, choć także arcypociesznym zarzutem wystąpiło było przed rokiem, przeciwko dogmatowi zmartwychwstania, piśmko uczniowskie „Do Dzieła!“ — wydawane w Płocku. Zarzut sam przez się nie tyle pocieszny, ile stary; pocieszne są raczej wnioski, które tam z niego wyprowadzono. W swej całości, t. j. w połączeniu z wnioskami, ów zarzut — to istny baran, wyrosły na stepach australskich analfabetyzmu religijnego. (Sam p. Nałkowski stwierdza, że Australja jest jedną wielką owczarnią). Kto ciekaw oglądać go, tego odsyłam do broszury: „W pałacej sprawie młodzieży szkolnej w Królestwie“, gdzie go szeroko opisał i rogate narowy jego sprodukował (53 — 61).

Tutaj uważam za potrzebne uwzględnić ten zarzut w jego przynajmniej osnowie. Krótko mówiąc, opiera się on na dowiedzionem przez naukę prawie przyrody, na którego mocy materja w organizmach żywych ulega stałej przemianie, tak, że co pewien czas odnawia się całkowicie. Stąd zarzut przeciw zmartwychwstaniu: które z ciał, jakie człowiek w ciągu życia swego przeżywał i z siebie

¹⁾ Radzimy przeczytać, kto nie czytał, świetną rozprawę ks. Michała Dębickiego, p. n.: „Nieśmiertelność, jako postulat filozoficzny przyrodzawnictwa“.

jakby zrzucił, ma zmartwychpowstać? Oto zarzut, oto źródło pociesznych wniosków, którymi ów „baran“ bodzie dogmat zmartwychwstania.

Przecież... „Iarczik prosto otworiał się!“

Dogmat zmartwychwstania bynajmniej nie orzekł, na czym tożsamość ciała polega. Orzeczenie to pozostawił on nauce i rozumowi. Gdy tedy nauka wykryła prawo przemiany materji, apologetyka wnet je sobie przyswoiła, a rozum orzekł, iż zasadą tożsamości ciała nie jest tożsamość składających je kiedykolwiek pierwiastków, ale — *indywidualność duchowa*. Otoż na tej indywiduallności opiera się tożsamość i jedność ciała, pomimo przemian, zarówno za życia przed śmiercią, jako i za życia po śmierci. Gdyby tego nie uznać, nie byłoby tłumaczenia na zasadniczą jedność ciała nawet za życia ziemskiego. To też uznaje się to powszechnie; jeno, gdy idzie o życie pośmiertne, pewni uczeni ludzie nagle o tem zapominają, jak to się zdarzyło uczonemu młodzieńcowi z „Do Dzieła“. I bodaj zapominają naprawdę, oślepieni tendencją niedowiarczą...

...Więcej miejsca, niż zmartwychwstaniu, poświęca p. N, sądowi Bożemu po śmierci. Naprzód o sędzię szczegółowym autor wypowiada następującą uwagę „krytyczną“:

Na świecie żyje obecnie 1,567,411,300 ludzi. Obliczono, że, co sekundę (co sekundą!) jeden człowiek się rodzi i jeden umiera. Z tego wypada, że sędzenie duszy „ze wszystkich myśli, słów i uczynków całego życia“ odbywa się najwyżej w ciągu jednej sekundy, czyli — w mgnieniu oka. No, jeżeli tak, to wedle katechizmu, Pan Bóg bardzo prędko sędzi „ze wszystkich myśli, słów i uczynków całego życia“, boć jedna sekunda nie starczy nawet dla stwierdzenia sądowego tożsamości osoby. A ponieważ, wedle nauki księży „Pan Bóg wie, widzi i słyszy wszystko, co się dzieje“, przeto (!!!) w czasie owej jednej jedynej sekundy, która rozstrzygać ma o wiecznej szczęśliwości lub wieczystych męczarniach biednego człowieka, Bóg nawet wyłączyć uwagi swojej nie poświęca nieszczęśliwemu oskarżonemu (25).

Pan Niemojewski, który zarzuca Katechizmowi, jakoby tenże „stworzył“ Boga na podobieństwo człowieka, i który odgraża się „stworzeniem“ Boga doskonałego, coby katechizmowego zakasował, — wyobraża tu sobie Boga, jakoby sędziego w okularach na nosie, potrzebującego całego aparatu sądów ludzkich...

I takie wyobrażenie, k'woli oświeceniu ogłupianego przez Katechizm chłopca, p. N. czytelnikowi z pod słomianej strzechy narzuca..

Statystyka śmiertelności — argumentem przeciwko wszechwiedzącemu Bogu! Oto, co się zowie, rozumować realistycznie i trzeźwo, oto sztuka trafiania do trzeźwego i zgoda do abstrakcji nieskłonno go rozumu chłopca!

Pan N. popełnił tu jednak niezręczność. „Ponieważ Pan Bóg wie, widzi i słyszy wszystko, przeto... nawet wyłącznie uwagi swojej nie poświęca oskarżonemu!“ Zaiste, myśl niepodległa, zarówno jak słynna swego czasu myśl nagoduszców, niezależna jest nawet od mózgu. I poco było wspominać, tak nie na miejscu, o wszechwiedzy Bożej? Z niej wszak wypływa wniosek, wręcz przeciwny zamiarom p. N.: ponieważ Bóg wie, widzi i słyszy wszystko, przeto nawet jedna sekunda jest dla Niego, do osądzenia człowieka, *zbyteczna*. Trzeba więc było o wszechwiedzy Bożej zamilczeć; autor nie zamilczał — i to jest jego niezręczność. Chciał jeszcze głębiej pogрузić Katechizm w swoim absurdzie statystycznym, i oto sam w nim utonął. Dunaj przepłynął, a w Dunajcu zginął...

Autor popełnił inną jeszcze niezręczność: nie wyzywał należycie swego argumentu statystycznego. Wziął on w rachubę tylko liczbę ludzi żyjących obecnie; a nie zmierzał, że ta liczba wciąż wzrasta. Jeżeli co sekunda jeden człowiek gdzieś na świecie umiera, to w tym samym czasie rodzi się jeden z jakimś ułamkiem, wskutek czego liczba ludności co pewien okres czasu się podwaja. Jakież genialne wnioski możnaby było z tego faktu przeciw sądom Bożym wyciągnąć! Szkoda!...

Chyba, że p. N., w duchu miłości niepodległej, rachuje na praktykę malthuzjańską, która tymczasem stworzyła t. zw. *Zweikindersystem*...¹⁾ W takim razie „nieszczęśliwi oskarżeni“ nie tracą przynajmniej swojej sekundy; a może nawet w przyszłości coś na czasie zyskają i zdołają dowieść Panu Bogu, że się myli, nastając na ich zgubę...

Żeby i coś pozytywnego w tym przedmiocie powiedzieć, przypomnę, co powiedziano w rozdziale o przewidzeniu i przeznaczeniu Bożem. Wyrok Boży nad każdym człowiekiem jest przedwieczny, co z idei Boga wypływa samo przez się. Sąd Boży *aktualny* — to tylko ogłoszenie wyroku przedwiecznego, zakomunikowanie go, uświadomienie co do niego, uświadomienie pełne, łącznie

¹⁾ System dwojga dzieci.

z motywami. Człowiek pozna go sam w sumieniu własnym, które, jak było mu za życia ziemskiego sędzią nieraz przedajnym lub małodusznym, tak w chwilę po śmierci, oświecone w obliczu wieczności, wyda wyrok, zgodny z wyrokiem Bożym. „Łacno jest przed Bogiem w dzień śmierci zapłacić każdemu według dróg jego“ (Ekkł. XI, 28).

W tej kwestji Prus cytuje Jevonsa:

„Materjalne przedmioty muszą istnieć w przestrzeni, ale przedmioty umysłowe mogą istnieć poza obrębem przestrzeni i czasu. One mogą nie mieć związku z przestrzenią... O ile rozumiem, mogą być przedmioty umysłowe, dla których miejsce i czas żadnego nie mają znaczenia“.

„A czy pojęcie Sądu Boskiego—dodaje Prus—nie należy do tego rodzaju przedmiotów umysłowych?“

Zobaczmy teraz, co ma p. N. przeciwko Sądowi Ostatecznemu.

Zdało mu się tu, jakoby przemawiał z trybuny na rynku. Przechodząc, a raczej przeskakując od jednego pytania Katechizmu do drugiego, które o sto mil od tamtego się znajduje, autor woła tryumfalnie:

Ale oto szczyt *wszechwiedzy* księży Putiatyckich i Sokolików! (56).

Tu autor przytacza odpowiedź katechizmową, na pytanie co do przyczyn potrzeby Sądu powszechnego (ostatecznego), krom szczegółowego, i konkluduje:

Więc Pan Jezus urządzi sobie wielkie widowisko, na którym „cały świat“ ma mu wyznać swoje uwielbienie! Wszechwiedza katechizmu idzie jeszcze dalej, bo oto:

Wszechwiedzy p. N. nie stało tu na nic więcej, prócz nic nie mówiącego, szyderezego wykrzyknika z powodu zwięzłego opisu Sądu Ostatecznego:

Nie, katechizm wie nawet, co Pan Jezus powie. Słuchajcie!

Na „nic“, nie można odpowiedzieć „czegoś“. Więc słuchajmy, co mówi Katechizm, a na co p. N. rzuca się z okrzykiem powyższym. Więc mówi Katechizm:

Wyrok będzie taki: Pan Jezus rzeknie do dobrych: „Pójdźcie błogosławieni Ojca mego, otrzymajcie Królestwo, zgotowane wam od założenia świata“. Do złych zaś: „Idźcie odemnie, przekłęci, w ogień wieczny!“ (57).

I cóż dziwnego, że o tem wie Katechizm? Wszak to jest streszczenie tego, co powiedział Chrystus do apostołów, opisując im Sąd Ostateczny, i co zapisane jest w Ewangelji św. Mateusza (XXV, 31—46), tejsamej, którą p. N. ceni najwyżej!

Nie przeszkadza to przecież panu N. zbierać plonów swego wykrzyknikowego tryumfu:

Tak, „niezbadane drogi Opatrzności“ szczegółowo „zbadal“ katechizm i „maluczki“ objawia.

I tyle! Co prawda, trochę za mało deszczu z chmury tak groźnej. I tryumf jakoś blado wygląda i coś przypomina zwycięstwa Pyrrhusa, albo lepiej — zwycięstwa telegraficzne Kuropatki i Stessla...

To, co p. N. mówi dalej, dotyczy już nauki moralnej, dodanej w katechizmie ks. Sokolika, do nauki dogmatycznej o Sądzie Ostatecznym:

Wobec tak sumarycznego sądu, opisanego do najdrobniejszych (!) szczegółów, bo aż do ścisłego tekstu wyroku, trudno zrozumieć następującą „Naukę moralną“, umieszczoną jako dopisek: „Wszystkich nas czeka ścisły (!) sąd Boży. Tam najtajemniejsze grzechy przed całym światem objawione będą, aby ten, kto zgrzeszył, a nie pokutował, wobec wszystkich ludzi został pohańbiony (??) i ukarany“. Dziś społeczeństwa dążą do tego, aby kara podnosiła człowieka, a nie hańbiła. Ta średniowieczna żądza „hańbienia“, jest uczuciem wysoce niemoralnym. To też szczytem chyba niemoralności jest pytanie: „Co się dzieje po ogłoszeniu wyroku? Dla jednych zacznie się szczęście bez końca, a dla drugich... wieczna męka w piekle“ (58) ¹⁾.

Są tu dwa zarzuty: 1) sumaryczność wyroku przeciwni się ścisłości sądu i 2) piętnowanie hańbą za niemoralność jest niemoralnością.

Na pierwszy odpowiadamy krótko: *wyrok* sumaryczny

¹⁾ Wykrzykniki oraz pytańniki nawiasowe, o ile są w tekście p. N., należą do mnie; o ile zaś są w cytowanym przez p. N. tekście katechizmowym, należą do niego.

nie przeciwi się sądowi ścisłemu, zwłaszcza, gdy wyrok ma być tylko dwójaki: potępiający lub zbawiający.

Co do drugiego:

Twierdzenie, że jednym z motywów, wymagających prócz sądu szczegółowego, jeszcze i powszechnego, jest po-
hańbienie publiczne złych, lubo nie dogmatyczne, ale z dogmatycznych przesłanek wyrozumowane, jest, owszem, bardzo przekonujące. Rzecz pewna, że sąd powszechny będzie miał charakter publiczny. Będzie to epilog, zamykający dzieje rodu ludzkiego, i zarazem wielka, powszechna likwidacja wszechludzkich czynów i sądów. Chrystus wy-
rzeknie słowo boskiego sądu o tem, co ludzie sądzili czę-
sto fałszywie, rozdając honory nędznikom i obłudnikom, poniżając i przesładując zasłużonych¹⁾. Stąd wypływa konieczność, aby wszystkie uczynki wszystkich ludzi stały się jawne, nie wyłączając, jak mniemają teologowie, grzechów, popełnionych przez świętych, zanim świętymi zostali, aby tem świetniej okazała się moc łaski Bożej. Co gdy się stanie, wtedy samochcąc chwała stanie się udziałem dobrych, a hańba udziałem złych. W poczuciu zasłużonej hańby, ci drudzy zapragną zaryć się pod ziemię i wołać będą: „Góry, padnijcie na nas! pagórki, przykryjcie nas!“ (Łuk. XXIII, 30).

I jakże miałyby być inaczej? Miały-ż by chytróść i obluda na zawsze tryumfować? A szczerłość i prostota — na zawsze być zdeptane i poniżone? A jeśli zło razi najwięcej tam, gdzie go najmniej być powinno, to tedy zło będzie miało w hańbie pierwszeństwo: „...a od świątyni mojej pocznijcie!“ — mówi Bóg przez proroka (Ezech. IX, 6).

Sądzę, że p. N. będzie miał szczerze zadowolenie, gdy będzie patrzył na pohańbienie niejednego z przedstawicieli Kościoła. Jemu wszakże niedość tego byłoby. On chciałby, żeby hańba, już tu na ziemi, okryła cały Kościół, jako instytucję, instytucję boską: więc wszystkich, którzy na jej chwałę pracują. Ponieważ Katechizm tego mu nie obiecuje, ale raczej grozi hańbą jemu samemu, zatem odrzuca hańbę i chwałę. Trudno jednak wierzyć przeciwko

ościeniowi rzeczywistości. Gołemi cięciami przeczeń — p. N. nic nie poradzi przeciw żelaznej konsekwencji faktów. Nie pomoże i jego uwaga, że dziś społeczeństwa dążą do tego, aby kara podnosiła człowieka, a nie hańbiła. Przede wszystkim, dążenie to natchnione jest przez duch Chrześcijaństwa. Powtóre, na Sądzie Ostatecznym będzie koniec zabiegom o uszlachetnienie człowieka przez kary, ile że wtedy już i czyściciel przestanie mieć rację bytu. Po trzecie, gdzie jest wina, tam i hańba być musi, jako jej cień nieodstępny. Już zaś szczytem bezczelności nazwać musimy twierdzenie autora, że nagrodzenie sprawiedliwych a ukaranie występnych jest „szczytem niemoralności“.

Po tem, co tu powiedziano już o karze wiecznej, możemy nad tem gołosłownem, a nadrabiającem bezczelnością twierdzeniem, przejść do dalszego ciągu tej pracy.

Tymczasem jeszcze, na zakończenie tego rozdziału, — na temat Sądu Ostatecznego kilka słów Salomona, który widocznie znał dobrze odwieczny Ciemnogród:

„Tedy staną sprawiedliwi z wielką stałością przeciwko tym, którzy je cisnęli (uciskali) i którzy pracę ich odjęli.

„Ujrawszy, będą zatrwożeni bojaźnią straszliwą, i zdumiewać się będą w prędkości niespodziewanego zbawienia,

„mówiąc sami sobie, pokutę czyniąc i dla ucisku ducha wzdychając: Cić to są, któreśmy niekiedy mieli za pośmiejch i za przysłowie urągania?

„My, głupi, mieliśmy żywot ich za szaleństwo, i za sromotne ich dokończenie.

„Oto jako policzeni są między syny Boże, i między świętymi dział ich jest.

„A tak zbłądziliśmy z drogi prawdziwej, i nie świeciła nam jasność sprawiedliwości, i słońce rozumienia nie weszło nam...“ (Mądr. V, 1—6).

¹⁾ Sąd historii? Naprzód obejmuje on tylko jednostki wydatne. Powtóre, czy nie mamy właściwie historii podwójnej: zbożnej i bezbożnej? Potrzebie, nawet sąd historii nie jest nieomylny. Więc trzeba sądu Bożego!

ROZDZIAŁ VII.

Grzech Pierworodny. Odkupienie.

Obywatele Ciemnogrodu niecierpią, nienawidzą wszelkiego grzechu. Jakże to? Byliż-by świętymi? Cóż znowu! Oni nie są takimi głupcami, żeby mieli wyrzekać się owoców zakazanych. Przeciwnie, w takich owocach smakują przede wszystkim. Nienawiść ich do grzechu jest całkiem osobliwa i bardzo dowcipna. Z nienawiści ku niemu, ciemnogrodzianie skasowali go, poprostu z etyki swojej wykreślili. U nich grzechu niema, bo niczego za grzech nie poczytują. „*Non peccatum, quia universale*“¹⁾ — powiedzieli sobie i utopili pojęcie o grzechu w morzu powszechnej rozpusty. Utopili — z nienawiści.

A z nas śmieją się na potęgę, że w grzechy wierzymy i ze strachem od nich uciekamy. Uważają nam to, i za głupotę, i za niemoralność. Bo u nich moralność cała osobliwa: cnoty nasze oni poczytują właśnie za grzechy. Słowem, wszystko na wspak, jak np. i flora w Australji w porównaniu z europejską. Wiśnie mają tam pestki na zewnątrz, jak orzech łupinę; gruszki wiszą zaczepione u gałązek końcami tępemi... Dlatego też, na mocy pewnych podobieństw, możnaby ciemnogrodzian nazywać także australczykami.

¹⁾ „Nie grzech, ponieważ powszechny“.

Z tem wszystkiem dziwni obywatele są święcie przekonani, że posiadli ideał doskonałości ludzkiej i wytworzyli typ nadludzi. Pragnęliby też świat cały na swoją modłę przerobić, śląc w tym celu swoich misjonarzy na wszystkie strony. Wiadomo: kusa liszka radzi drugim ogony obcinać. Długie ogony? Pfe, co za prostactwo! Wyższa kultura nakazuje przecież przycinać ogony rasowym koniom, rasowym psom etc. Tak samo rasowi ludzie, za jakich poczytują się obywatele Ciemnogrodu, palają żądzą „naprawiania rasy“ wśród nieokrzesanego tłumu chrześcijan... Osmaleni dymem sami, znajdując w tem wyższe piękno, chcieliby wszystkich tak osmalonymi widzieć. Chcą także, aby wszyscy śmiali się z tego, z czego się oni śmieją, a wielbili to, co wielbią oni.

Przedmiotem ich śmiechu są, wiadomo, nasze „bajki“ religijne. Wydają się im one bardzo zabawne. A już najparadniejszą bajką jest w ich australskich oczach — historia grzechu pierworodnego. Gdy który z ciemnogrodzian o nim posłysz, wybucha szalonym śmiechem i nie chce dać wiary, żeby człowiek wykształcony mógł w tę bajkę wierzyć. Tych, którzy ją podają ciemnemu ludowi jako prawdę, ciemnogrodzianie poczytują za najniegodzniejszych szarlatanów, ogłupiających lud, gwoli korzyści osobistej. Przeciw tym występują oni do walki; ale i walczyć nie mogą inaczej, jak śmiechem. Bo jakże inaczej walczyć z bajką? Przytem, wierzą w potęgę śmiechu, jak Jozue w potęgę trąb jerychońskich. Dlatego też w Ciemnogrodzie najsurowiej zakazane jest przysłowie: „Poznać głupiego po śmiechu jego“. Zakazane jest, jako w najwyższym stopniu wsteczne. Przecież ono istnieje już tak dawno, narodziny jego giną, het! w zamierzchłej przeszłości... Na jego miejsce stworzono przysłowie postępowe: „Śmiech jest przywilejem niepodległych mędrców“.

Obaczmy-ż, jak z grzechu pierworodnego śmieje się jeden z wybitniejszych przywódców Ciemnogrodu, p. Niemojewski.

Grzech pierworodny, to historyczny punkt wyjścia i podstawa dogmatyczna całego gmachu dogmatyki katolickiej i wogóle chrześcijańskiej. Czuje to nasz autor, więc swoją myśl niepodległą zaczyna o ten punkt wiary tak często, jak o żaden inny. Zresztą, grzech ten w Katechizmie sam wciąż się nastęrcza, i myśmy tu już o niego potrącali... Z chaosu porozrzucanych tam i sam zaczępek

postaramy się wyprowadzić całość, o ile możliwości uporządkowana.

Na pierwszy ogień rzucamy historję biblijną grzechu pierworodnego, w interpretacji „krytycznej“ autora:

Wedle katechizmu, pierwszymi ludźmi byli Adam i Ewa Bóg osadził ich w raju. Zabronił im jeść z drzewa „wiadomości dobrego i złego“, żyć mieli w „nieświadomości“, czyli w zupełnie takim stanie, jakiego pragnie ksiądz dla chłopu polskiego. Ale, gdy parci naturalną ciekawością „poznania“, zjedli „jedno“ jabłko, Bóg: 1) wygnał ich z raju, 2) ciało ich uczynił podległym boleściom i chorobom, 3) skazał ich na śmierć,—czyli, za jedno jabłko: wygnanie, tortury i kara śmierci... Adam Mickiewicz w „Dziadach“ opisuje „złego pana“, który za „jabłko kilka“ skazuje człowieka na okropną chłostę... „Nie znałeś litości, panie!“—wola Mickiewicza. Ale, wedle katechizmu, Bóg jest sroższy od owego „złego pana“; pan kazał tylko wychłostać, Bóg skazuje na wieczne męki w piekle, co więcej, przestępstwem obarcza potomstwo, że rodzi się wyklęte i obarczone tak zwanym „grzechem pierworodnym“ (45).

„Za jedno jabłko!“ Czy nie śmieszna historia? Chciałoby się też i nam pośmiać trochę z tego „jednego jabłka“, lecz zostawmy śmiech dzieciom, które uczyły się Katechizmu: niechaj one pośmieją się ze śmiechu ciemnogrodzian. A my rozmówny się poważnie.

Znana jest powszechnie pasja prusko-luterska do przywłaszczania sobie wielkich ludzi obcych narodowości i wyznań. Nam, polakom, prusacy ukradli Kopernika; nam, katolikom, lutrzy ukradli Savonarolę. Pan Niemojewski podlega podobnej kleptomanji. „Wywłaszczył“ nas przedtem z Kopernika i Galileusza, teraz i z Mickiewicza, zwracając jego opowieść o złym panu przeciwko Bogu. Mickiewicz skazał owego pana na okrutne męki piekielne, co socjalistycznemu sercu p. N. niewątpliwie sprawiło głębokie zadowolenie. I pewno przy innej sposobności p. N. gotówby je ujawnić. Ale w danym wypadku nie było mu to na rękę, trzeba było raczej zamilczeć o tem, że Bóg, jak wierzy Mickiewicz, skazuje złych panów na męki bez ulgi, którą może sprawić modlitwa wiernych:

*Tak, musisz dręczyć się wiek wiekiem,
Sprawiedliwe zrzęczenia Boże!
Bo kto nie był ni razu człowiekiem,
Temu człowiek nie pomoże.*

Nam jednak nie zależy na tem, co p. N. jest na rękę, a co nie. Przeciwnie, naszym zadaniem jest wybiegi jego demaskować. Dlatego też, aby p. N. nie miał „wątpliwości“ co do przekonań Mickiewicza, przypomnimy mu jeszcze, jaką karę wieszcz nasz przeznacza w „Dziadach“ gasicielom światła. Gustaw, złowiwszy koło świecy motyla, śpiewa:

*A tuś mi, panie motylu!
Ten migający ukoło ośmy rój skrzydlaty
Za życia gasił każdy promyczek oświaty,
Za to po strasznym sądzie ciemność ich ogarnie;
Tymczasem z potępioną błakając się duszą,
Chociaż nie lubią światła, w światło lecieć muszą,
To są dla ciemnych duchów najsroższe męczarnie!
Patrzaj, ów motyl, strojny barwionemi szaty,
Był jakiś królik, albo pan bogaty,
I wielkim skrzydłem roztworem
Zaśmiewał miasta, powiaty.
Ten drugi mniejszy, czarny i pękaty,
Był książek głupim cenzorem,
I przelatując sztuk nadobne kwiaty,
Oczerniał każdą piękność, którą tylko zoczył,
Każdą słodkość zatrutym wysysał ozorem,
Albo przebijał do ziemi środka
I ziarno nauk z samego zarodka
Gadzinę zębem roztoczył...*

Któż tu nie widzi obrazu Ciemnogrodu i w szczególności wizerunku p. Niemojewskiego? Nie takich wprawdzie, jak on, gasicieli światła miał tu pieśniarz „Dziadów“ na myśli. Nie zaprotestowałby wszakże przeciw naszemu tu przystosowaniu słów swoich własnych ten, który pisał przeciwko „Mędrcom“:

*Więc mędrcy w nocy lampy zapalili
I na swych księgach ostrzyli rozumy
Zimne i twarde, jak miecze ze stali;
I wziwwszy z sobą uczniów ślepych tłumy,
Szli łowić Boga, a zdrada na przedzie
Prostą ich drogą, ale zgubną wiedzie.*

*Spełnili mędrcy na Boga pogrzebie
Kielich swej pychy — Natura w rozruchu
Drżała o Boga. Lecz pokój był w niebie:
Bóg żyje, tylko umarł w mędrców duchu.*

Może p. N. uczepli się słów o „zapalaniu lamp“ przez „mędrców“, na dowód, iż oni są raczej niecicielami światła? Kto „zgasi“ słońce, ten, oczywiście, musi zapalać światła sztuczne. Czy nie śmieszna jednak jest rzeczą zapalać światła sztuczne w białe dni, w celu zaćmienia słońca? Gorzej: czy to nie szaleństwo i nie karygodne nadużycie światła sztucznych nauki? Czy nauka spełnia swoje posłannictwo wtedy, gdy zwraca się przeciw Bogu? Czy raczej mu się nie przeniewierza? Ze światłem sztucznym należy iść w podziemia, w głąb materji; do wzlotów ku ideałom trzeba światła naturalnego, to jest odpowiadającego ich naturze: światła, które płynie z przyrodzonej rozumowi ludzkiemu idei Boga! I cóż to za oświeciciele, którzy gaszą Światłość Najwyższą?

Nawróćmy wszakże ku zagadnieniu o „jednym jabłku“. Cma myśli niepodległej, skazana na leczenie w światło wiary, wyobraża sobie, że je wątlami skrzydełkami swojemi zagasi. Widzieliśmy tu już tyle razy, że zamiast zgasić to światło, jeno sobie skrzydełka swoje opalała. Światło, którem świeci prawda o grzechu pierworodnym, okaże się dla naszej émy również niebezpieczne.

„Jedno jabłko!“ Dziecko chrześcijańskie wie, iż nie o liczbę jabłek chodziło Bogu, ale o posłuszeństwo, jako wyraz poddaństwa człowieka wobec Boga, stworzenia wobec Stwórcy. Grzech pierworodny, to nie był grzech dzieciniego łakomstwa, lecz był to grzech pychy i niedowiarstwa, jak o tem sama jego historia poucza. I któż, mający „klepki“ w porządku, zdolen byłby uwierzyć, że Bóg postąpił sobie, jak sadownik, któremu dzieci czynią szkody w ogrodzie? I któryż Katechizm uczy takich banialuk? Taką naukę może podrzucać Katechizmowi tylko pycha i niedowiarstwo, sympatyzujące z pychą i niedowiarstwem pierwszych ludzi.

W całej też tyradzie p. N., co zdanie, to fałsz. Pierwsi ludzie, a także ich potomstwo, mieli żyć w nieświadomości, — to prawda, lecz tylko w nieświadomości złego, czyli w niewinności moralnej, więc rzeczywiście w takim stanie, jakiego w ideale pragnie ksiądz, nie tylko dla chło-

pa, ale i dla szlachcica, dla wszystkich wogóle ludzi, bez różnicy stanu, zawodu, wykształcenia.

Według nauki katolickiej, Adam był człowiek genialny i znał do pewnego stopnia zarówno prawdy naturalne, jako i nadnaturalne. Te drugie — z Objawienia; — o znajomości tamtych świadczy Biblia faktem, że Adam nadawał imiona zwierzętom, wedle ich natury. Na tym punkcie nauka katolicka różni się z bezwyznaniową, która wyobraża sobie pierwszych ludzi w stanie dzikim, gdy my uważamy stan dzikości za wynik zwyrodnienia i upadku moralnego. Co, zresztą, nie przeszkadza nauce katolickiej pogodzić się z teorią transformizmu. Czy pierwszy człowiek wyszedł z rąk Bożych bezpośrednio, czy pośrednio, nie Bogu nie przeszkadzało udarować go szczególnymi łaskami i przywilejami, oraz postawić go królem nad przyrodą, martwą i ożywioną, odrazu.

Ośmieszyszy Katechizm, p. N. ośmiesza i Biblię, przeciwstawiając ją przytem Katechizmowi.

Ale, — mówi on w dalszym ciągu — wedle Biblii, rzecz miała się właściwie inaczej. Bóg powiedział: już ludzie zjedli z drzewa wiadomości: jeżeli zjedzą jeszcze z drzewa żywota, będą „jako jeden z nas“ (I Mojż. III, 22). Dlatego wygnał ich z raję i postawił przed bramą cheruba z mieczem w ręku... Więc Bóg używa miecza?? (46).

Znowu fałszerstwo! Dotyczący tekst biblijny brzmi zupełnie inaczej: „Oto Adam stał się, jako jeden z nas (dowód teologiczny troistości Osób w jedynym Bogu), wiedzący dobre i złe: teraz tedy, by snać nie ściągnął ręki swej, i nie wziął też z drzewa żywota i nie jadł, a był żyw na wieki: i wypuścił go Pan Bóg z raję rozkoszy, żeby uprawował ziemię, z której jest wzięty. I wygnał Adama: i postawił przed rajem rozkoszy Cherubim¹⁾ i miecz płomienisty i obrotny, ku strzeżeniu drogi drzewa żywota“ (Genesis, III, 22—24).

Według powszechnego, jednomyślnego prawie zdania egzegetów, — co zresztą jasne samo przez się, — rzekł owo Bóg ironicznie, z aluzją do fałszywej obietnicy szatana, iż skoro tylko Adam i Ewa spożyją owoc zakazany, będą ja-

¹⁾ Według deklinacji hebrajskiej, liczba mnoga: Cherubinów, domyśla się: postawił.

ko bogowie, czyli zrównają się z Bogiem. „Czemu wam — kusił wąż Ewę — Bóg przykazał, żebyście nie jedli z każdego drzewa rajskiego?” Na odpowiedź zaś Ewy, że Bóg za spożycie owocu z drzewa wiadomości dobrego i złego zagroził śmiercią (nie natychmiastową, ale przez odjęcie przywileju nieśmiertelności cielesnej), odparł: „Żadną miarą nie umrzecie, bo wie Bóg, że któregośkolwiek dnia będziecie jeść z niego, otworzą się oczy wasze i będziecie, jako bogowie, wiedzący dobre i złe“ (III. 1—5).

Z porównania tekstu, sfalszowanego przez p. N., z tekstem autentycznym widzimy jak dalece autor jest tendencyjny. Słowa Jehowy przekreślił on tak, żeby z nich przeglądał wyraz obawy, aby snąć Adam nie sięgnął po owoc z drzewa żywota i nie zapewnił sobie nieśmiertelności, wbrew boskiej groźbie śmierci. Według autora, szatan mówił prawdę, a Bóg przeląkł się!!! Jeżeli zatem Bóg „katechizmowy“, w interpretacji p. N., jest pyszałkiem i despota; to Bóg biblijny, którego tamtemu przeciwstawia, jest tak nadzwyczajnie naiwny, iż przez posadzenie w Raju drzewa żywota, stwarza sam sobie niebezpieczeństwo rywalizacji ze strony swoich stworzeń!! Oczywiście, tak pojętego Boga p. N. nie uznaje, a my — tembardziej. Gdy my atoli uznajemy tegoż Boga, ale pojętego zgoła inaczej; to p. N. w tak właśnie pojętym upatruje Boga złego i niedwuznacznie staje po stronie szatana, jakoby Boga dobrego. Cóż bowiem znaczy apologja nieposłuszeństwa pierwszych ludzi? Ono wszak, wedle p. N., rozwarło przed ludzkością bramy do świątyni wiedzy, naturalnie, tej jedynie prawdziwej, której monopol posiada Myśl Niepodległa; ono też rozwalilo i wrota do raju rozkoszy zakazanych, kędy rosną i kwitną „kwiaty złego“. To bodaj „credo“ swoje wyraził p. N. w rysunku symbolicznym, wieńczącym „Objaśnienie“, a przedstawiającym drzewo, oplecione zwojami przez węża. Jest to tensam nieśmiertelny, mądry i dobry Wielki Wąż, któregośmy przedstawili, jako założyciela Ciemnogródu. Pan N., idealny obywatel tego mocarstwa Wężowego, wiernym jest naśladowcą swego pana. Przemawia do podziwu podobnie, jak szatan Milтона w jego „Raju Utraconym...“

Z autentycznego tekstu Biblii wypływa coś wręcz przeciwnego, a zgodnego z Katechizmem. Dość zestawieć słowa pokusy szatańskiej ze słowami wyroku Bożego, ażeby te ostatnie przedstawiły się nam, nie — jako wyraz oba-

wy, lecz jako wyraz potężnej, wspaniale dramatycznej, prawdziwie boskiej ironji. Tak rzec może tylko ktoś, kto świadom swej absolutnej przewagi nad przeciwnikiem, tak absolutnej, że wobec zwyciężonego i upadłego — na gniew nawet nie może się zdobyć.

„Oto Adam stał się, jako jeden z nas!“ — rzekł Bóg ze smutną ironją do Adama, spadłego z niebotycznych wyżyn nadziei, dokąd uniosła go była wiara w zdradzieckie obietnice szatana, pospołu z obudzoną przez nie pychą jego własną... Do tego biblijnego Ikara, wystraszonego własnym czynem, gdy oczy jego otworzyły się istotnie, ale — na własną sromotę nagości, nagości przed grzechem tak czystej, tak boskiej, bo niewinnej, nagości, którą po grzechu — jedynie i zaledwie sztuka potrafi oczyścić i do wyżyn pierwotnego rajskiego ideału podnieść...

„Teraz, by snąć nie ściągnął ręki swej...“ Dalszy ciąg ironji tejsamej. Adam wierzył zarówno w szatańską obietnicę wiedzy boskiej, oraz ubóstwienia pomimo Boga, jako i w obietnicę, że nie umrze, pomimo grzechu. Ale przywilej nieśmiertelności, usymbolizowany w drzewie żywota, został mu już odjęty. Więc i z tej wiary Adama ironizuje Bóg, dając mu zrozumieć głęboką niedorzeczność jego błędu. Jakby rzekł: Patrz, jak się obietnica złego ducha ziściła! Patrz, i ucz się na przyszłość!

Czyż była kiedy w życiu ludzkości okazja wspanialsza do ironji, nad ten przepastny kontrast między tytanicznymi dążeniami Adama z jednej strony, a rzeczywistością straszego upadku jego z drugiej? W onej chwili rozegrały się losy ludzkości. Ona chwila stworzyła psychę ludzką, taką, jaką widzimy ją dziś: rozszczepiła ją na „czucie Mickiewicza i rozum Darwina“ (Artur Górski), a całość człowieka — na duszę i ciało, anioła i zwierzę (Krasiński).

Ta i taka psychika zarysowała się w grzechu pierwotnym szkicowo, wielkimi linjami. W tym dramacie najpierwszym — jest klucz do rozwiązania wszystkich dramatów ludzkich, aż po koniec świata. Adam w imieniu ludzkości obrał w dążeniu do ubóstwienia, miast zamierzonej przez Boga drogi pionowej, drogę spiralną. Wplątał w dążenie to czynnik zła i na walkę ze złem skazał sam siebie i swoje wszechpotomstwo.

To zasadnicze prawo psychologii ludzkiej, prawo walki, wynikłe z rozdziwienia i stargania harmonji między ro-

zumem a sercem, oraz między ciałem a duszą,—stwierdza w swoich „Metamorfozach“ Owidjusz:

. *Aliudque cupido,
Mens aliud suadet. Video meliora proboque
Deteriora sequor*

(„Jazon i Medea“).

Przekłada to Bronisław Kiciński:

*Sprzeczne rady od żądz i cnoty odbieram,
Widzę lepsze i chwale, a gorsze obieram.*

To samo i, rzecz ciekawa, w słowach podobnych stwierdza w Liście do Rzymian ś. Paweł:

„Albowiem, co czynię, nie rozumiem (nie pochwalam): bo nie co dobrego chcę, to czynię, ale złe, którego nienawidzę, ono czynię“.

I znowu o kilka wierszy dalej:

„Bo nie czynię dobrego, które chcę, ale złe, którego nie chcę, to czynię“ (do Rzym. VII, 15, 19).

Prawo to stwierdził i Chrystus, gdy wyszedłszy w noc po Ostatniej Wieczerzy do ogrodu Gethsemane, zalecał uczniom swoim i przestrzegał ich: ¹⁾ „Czujcie (czuwajcie), a módlcie się, abyście nie weszli w pokusę. *Duch-ci uprawdzie jest ochotny, ale ciało mdle*“ (Mat. XXVI, 41).

Gdy tedy człowiek w życie swoje wplątał czynnik zła, Bóg żeby mu w walce ze złem zapewnić zwycięstwo, wplótł w jego życie czynnik łaski.

Muszę tu jednak przerwać wątek myśli, bo p. N. krzyczy mi w uszy: Więc to Bóg używa ironji? Bóg zarzuca sobie z upadłego człowieka!?

Byli i między uczonymi katolickimi wykładowcy, którym również ta ironja się nie podobała, jakoby nieprzyjemna Bogu. Wszelka jednak trudność zniknie, gdy zważymy, że mamy tu do czynienia z tak pospolitą w Biblii figurą antropopatyczną. Bóg dał Adamowi odczuć ironję, która tkwiła w jego sytuacji; zrodziła ją świadomość wła-

¹⁾ Przestrzegał, bo zbliżała się chwila zdrady Judasza. Należało więc uczniom czuwać i krzepić ducha modlitwą, aby w chwili stanowczej nie przerazili się i Mistrza nie opuścili. Przestroga była bezskuteczna...

sna Adama, skoro tylko otworzyły mu się oczy, olśnione przez szatana zdradliwym mirażem boskości, i gdy porównał zawrotną górność złudnych marzeń z niskością rzeczywistego upadku. Tkwi tu ironja niepokonalna, a trzeźwiająca zbawiennie, choć boleśnie, zamroczony umysł prarodźca. Świadomość, którą natchnął go Bóg, on przypisał Bogu razem z jej formą ironiczną, która się mu niepokonalnie narzuciła.

„Więc Bóg używa miecza???“ — woła jeszcze p. N., zdumiony do trzeciej potęgi: —nietylko miecza duchowego ironji, ale i materialnego, na dobitkę, o zgrozo! — „płomienistego i obrotnego“ (= obosiecznego)?!

Tym, pełnym dziecięcego zdumienia okrzykiem, zbójnym aż w trzy serpentyny pytajnikowe przeciwko mieczowi Bożemu z płomieni, p. N. otwiera nam wdzięczne pole, do szerszych na tle historii grzechu pierworodnego wyjaśnień.

Czy wogóle opowieść tę biblijną rozumieć należy w każdym jej szczególe dosłownie, literalnie, jak chcą znani nam już konkordyści; czy też trzeba upatrywać w niej alegorię, pod której osłoną materialną, kryje się prawdziwa jedynie co do sensu treść duchowa, jak znowu chcą racjoniści, czyli rozumowcy, którzy uważają rozum za jedyne i absolutne kryterjum nawet w rzeczach wiary?

Ani jedno, ani drugie.

Racjoniści wszystkich czasów stosują tu bezwzględnie metodę alegoryczną. Już Filon, z przydomkiem Żyd, (dla odróżnienia od wielu innych Filonów historycznych, z innych narodowości), żyjący w pierwszym wieku po Chrystusie, upatrywał w historii grzechu pierworodnego alegorię zgola platoniczną: tryumfu zmysłowości nad aspiracjami duchowymi. Racjonalista niemiecki Dillmann (w. XIX) widzi tu prawdy Wiary, ukryte pod formą alegoryczną, ogółoną najzupełniej z realizmu historycznego. Formy tej, według niego, wymagały owe prawdy ze względów pedagogicznych, gdyż inaczej ludzie, przy braku sztuki pisarskiej, nie zatrzymaliby byli w pamięci faktu zgola duchowego.

Są to teorie, stosunkowo jeszcze niewinne, w których idea grzechu pierworodnego wychodzi względnie cało.

Racjoniści, którzy wyzbyli się wszelkiej wiary, nie tylko w boską powagę Biblii, ale i we wszelki pierwiastek nadprzyrodzony, więc właściwie: naturaliści (naturowcy) —

poszli dalej. Traktując będącą w mowie historję na równi z pogańskimi mitami, widzą oni w niej, już nie spekulację alegoryczno-moralną, pozbawioną faktów historycznych, ale poprostu mit żydowski, przedstawiający przejście ludzkości od stanu niewinnej, dziecięcej naiwności, do stanu samo-wiedzy moralnej i wolności ducha: widzą błogosławioną chwilę przełomu w rozwoju duchowości ludzkiej, od której to chwili począł się trwający po dziś dzień okres wyzwalań się z pod wszelkiej powagi, pochodzącej z Góry i mającej charakter religijny.

W duchu takiego pojmowania tej sprawy, apoteozują oni to, co Wiara chrześcijańska zowie upadkiem.

Hegel, myśliciel z plejady „filozofów na sprzedaż“ (Krasicki), fabrykujący zasady filozoficzne na rzecz przyszej polityki Bismarcka, a uwielbiany swego czasu przez młodzież polską, głosił, że człowiek w stanie rajskiej niewinności był tępym umysłowo: dopiero grzech dobroczynny dźwignął go ku wyżynom i uszlachetnił. Podobnie Szyller, ów Szyller idealista, był zdania, że nieposłuszeństwo pierwszego człowieka wobec Boga, było najbłogosławieńszym wypadkiem w dziejach ludzkości.

Jeżeli grzech pierworodny, owo *πρώτον ψεδδος* rodu ludzkiego, został do takich wyżyn chwały podniesiony, to cóż mówić o grzechach wszystkich innych, które z owego źródła wypłynęły rzekami i rozlały się po nizinach wszystkich dziedzin życia ludzkiego?!

Więc Kant nazywa grzech zaszczytnym przywilejem człowieczeństwa¹⁾. Więc Gete podnosi hasło tak zwanej „zdrowej“ zmysłowości, a detaliczni przekupnie i kolporterzy tego poglądu: dziennikarze, publicyści i powieściopisarze roznieśli go po całym świecie i... napelnili szpitale, więzienia, domy obłąkanych, oraz rozmnożyli samobójstwa. W końcu samo sumienie nazwano przeżytkiem barbarzyń-

¹⁾ Stąd krok tylko jeden do wynaturzenia, którego skandaliczmem objawieniem był niedawno głośny proces berliński: Harden-Eulenburg-Moltke. Wszak ci wynaturzenci uważają swoje ohydne zbrocenia za wykwit moralności wyższej, arystokratycznej, i w swoim arcy-specjalnym organie drwią z moralności „mieszczańskiej“. To samo głosił starorzymski poeta, Lucjan, o grzechu sódmskim, *alias* berlińskim, a zawsze „geograficznym“, jak go nazwał prof. Baudouin de Courtenay. „Lew ze lwem się nie żeni“—zarzuca jeden drugiemu w rozprawie Lucjana „O Miłostkach“. Na to przeciwnik: „Bo lwy nie filozofują!“ (Nicolas: „Wywód prawdy Chrz.“ Str. 47).

skiego średniowiecza. Aż na gruzach moralności chrześcijańskiej stanął Carducci i zadeklamował tryumfalny hymn do szatana, jakby dla okazania, skąd doktryna ta wyszła i dokąd ostatecznie zmierza¹⁾.

I oto Sfinks zjawił się znowu na świecie i strąca ludzi w przepaść zwątpienia i rozpacz!

...Mamyż w tłumaczeniu historii grzechu pierworodnego uznać metodę literalną?

I to nie. Są w historii tej szczegóły nie do przyjęcia w sensie dosłownym. Wykład taki, zastosowany i przeprowadzony *par force*, doprowadził był swoich zwolenników do takich przypuszczeń, jak to, że wąż, zanim Bóg rzucił nań przekleństwo i na czołganie się go skazał, miał nogi!... Tylko inteligencja gruba i dziecinna („*crassa et puerilis*“—wyrażenie *ad hoc* ś. Tomasza) mogła była lub może w to uwierzyć.

Więc?! Prawda pośrodku! Jedynie słusznym będzie tu wykład mieszany: alegoryczno- czy symboliczno-literalny: ten, o którym błog. Albert Wielki (w. XIII) powiada, że „bojaźliwi nazwają go zuchwałym. zuchwali — bojaźliwym“, który jednak zadowala umysły zrównoważone i poważne.

Na mocy takiego wykładu, zgodnie z dogmatem grzechu pierworodnego, jak niemniej z dogmatem boskiego natchnienia Ksiąg świętych, uznaje się przedewszystkiem, razem z konkordystami, że będąca w mowie opowieść biblijna—to historia prawdziwa, bardzo prawdziwa. Ale, czemu znowu żaden dogmat na przeszkodzie nie stoi, uznaje się jednocześnie, razem z idealistami, że ta historia przybrana jest figurami, jak: metafory, symbole, antropomorfizmy. Innymi słowy, jest ona opowiedziana w sposób pierwotny, popularny, jak zresztą wiele innych faktów historycznych, zawartych w Biblii.

¹⁾ Za dni naszych rozpoczął się gromadny od tej doktryny odwrót, stwierdzający jej bankructwo. Ale pod hasłem kantowskiej autonomii indywidualnej w sprawach etycznych, wykluczającej Boga, jako najwyższy motyw moralności. Jest to samozłudzenie, jakoby pobudki czysto naturalne wystarczyć mogły do życia moralnego. Wszak już próby takie robiono, i protektorat człowieka nad moralnością, po wyzwoleniu jej z pod sankcji Bożej, okazał się obłudnym. Jest to sofizm, jakoby człowiek zdolny był do włożenia na siebie jarzma etycznego, bez żadnego przymusu, po za przymusem policyjno-kryminalnym, który wszak mnóstwa grzechów nie obejmuje.

Takie tłumaczenie historii grzechu pierworodnego, przeprowadza uczony biblista Lagrange, dominikanin jerozolimski, w rozprawie p. n. „*L'innocence et le péché*” — „Niewinność i grzech”¹⁾. Opiera się zaś na pryncypjach ś. Tomasza, który sam je stosował, lubo w stosowaniu ich nie poszedł tak daleko, jak jego naśladowca, o. Lagrange. Co zresztą naturalne: każdy wiek ma swoje prawa i wymagania. Zastosowanie postępowe a konsekwentne zasad, uświęconych powagą ś. Tomasza, w duchu krytycznym wymagań nauki nowoczesnej, — dowodzi uczony dominikanin — nie może być niebezpieczne. Główną z tych zasad, to, że historia, opowiedziana tak, jak biblijna o upadku pierwszych ludzi, ubrana figurami, popularna, jest historią prawdziwą, pomimo swojej formy pierwotnej, naznaczonej charakterem wschodniej fantazji.

Niestety, u nas jest wielu katolików, bojaźliwych do przesady, którzy widzą zuchwalstwo tam, gdzie go sam Rzym nie widzi. Zanim więc za o. Lagrange'm podam niektóre tłumaczenia, przytoczę, co w dopisku pisze od siebie tłumacz „Apologii Naukowej” Duilhé de Saint-Projet'a, — biskup H. Kossowski: „Trudno temu zaprzeczyć, że egzegeza biblijna w kwestjach, mających związek z nauką i niewątpliwie dowolnych, okazuje się u nas bojaźliwszą, niż w samym nawet Rzymie. Czy tę bojaźliwość należy przypisać niższości naszej w naukach biblijnych? Pewne krytyki, bardzo surowe, a niemniej powierzchowne, mogłyby upowazniały do tego wniosku. Ale słuszniejszy może będzie wniosek, że siła nawyknięcia i temperament narodowy, u nas podobnie jak we Francji, wyradza mniemanie, iż ścisły konkordyzm więcej się zgadza z pobożnością i z należnem Pismu ś. poszanowaniem. Mamy tu więc prawowierność uczuciową, w miejsce prawowierności rozumnej i wyrozumowanej” (str. 78).

...Mamy więc w wykładzie idealistycznym klucz do zrozumienia szczegółów historii grzechu pierworodnego, szczegółów, z powodu których, wielu domorosłych „egzegetów” uważa całą opowieść za bajkę dla dzieci.

Naprzód, co do „miecza płomienistego”, którym p. N. tak mocno się zgorszył. Ten „miecz” — to poprostu symbol: symbol zakazu, czy też uniedostępnienia w jakiś spo-

sób nieznany wejścia do Raju. Doktor Anielski (ś. Tomasz) posunął się tu w tłumaczeniu naturalistycznym tak daleko, że przez ów „miecz” rozumiał hipotetycznie, tropikalne upały, jako następstwo bliskości słońca. Wobec dzisiejszego stanu nauki, przypuszczenie to, oczywiście, krytyki nie wytrzymuje¹⁾. Świadczy ono atoli o śmiałości myśli genialnego scholastyka, jak niemniej o liberalnem stanowisku Kościoła nauczającego, pozostawiającego uczonym swobodę badań poza orzeczeniami dogmatycznymi, które są już skryształizowanym owocem badań uprzednich, ich końcem i uwieńczeniem, a które również, mimo tego, dopuszczają jeszcze postęp w ich pojmowaniu.

Podobnie, jak „miecz płomienisty”, należy rozumieć: i obadwa osobliwe drzewa rajske, i węża-kusiciela, i stworzenie Ewy z żebra Adamowego, etc.

Drzewo żywota jest symbolem daru nieśmiertelności ziemskiej. Drzewo wiadomości — symbolem wiedzy dobrego i złego. Zwracamy uwagę na wyrazy: dobrego i złego. Gdyby nie grzech, gdyby nie fakt zerwania owocu z drzewa wiadomości, wbrew zakazowi Bożemu, wiedza dobrego istniałaby i rozwijała się bez spółczynnika złego, w stosunku do którego człowiek pozostałby naiwny istotnie, jak dziecko. Naiwność ta, jednoznaczna z niewinnością moralną, jest chyba ideałem pięknym i wzniosłym, który pociąga i pociągać będzie po wszystkie wieki wszystkie dusze, na wysoki ton moralny nastrojone. Ten ideał został przez człowieka utracony. Więc Chrystus przyszedł go przywrócić. Postawił za wzór małe, niewinne dzieciątko i rzekł:

„Zaprawdę, powiadam wam, jeśli się nie nawrócicie i nie staniecie się jako dzieci, nie wnikniecie do królestwa niebieskiego.

„Ktokolwiek się tedy uniży, jako to dzieciątko, ten jest większy w królestwie niebieskiem.

„A ktoby przyjął jedno dzieciątko takowe w imię moje, mnie przyjmuje. (Ochronki!).

„A ktoby zgorszył jednego z tych małych, którzy we mnie wierzą, lepiej mu, aby zawieszono kamień młyński

¹⁾ Najracjonalniejsze, rzeczywiście naukowe tłumaczenie wygnania z Raju wydaje mi się to, które się opiera na bardzo prawdopodobnej hipotezie, że ziemia zmieniła swoje położenie w stosunku do słońca, wskutek czego nastąpił kataklizm, zmieniający z gruntu jej uprzednie, rajske warunki.

¹⁾ W paryskiej „*Révue Biblique Internationale*”, z r. 1897.

u szyi jego i zatopiono go w głębokości morskiej" (Mat. XVIII, 3—6).

A ś. Paweł woła do Koryntjan:

„Bracia, nie stawajcie się dziećmi rozumem: ale bądźcie dziećmi złością, a rozumem doskonałymi bądźcie" (I do Kor. XIV, 20).

Oto ideał rajski, oto usiłowania, żeby go odzyskać!¹⁾

Idźmy dalej. Wąż-kusiciel—to symbol (*prête-nom*, *ou porte-parole*) szatana, symbol, który ma swój odpowiednik w innych miejscach Biblii, jak np. w Apokalipsie: „I uchwycił (anioł) smoka, węża starego, który jest djabeł i szatan, i związał go na tysiąc lat" (XX, 2). Mówiąc nawiasowo, tekst ten stanowi jedno ze źródeł marzeń chiljastycznych, powracających wielokrotnie w ciągu dziejów chrześcijańskich.

W końcu, że wykroczymy chwilowo nieco poza obręb historii pierwotnego upadku,—symboliczne znaczenie kości zębrowej tłumaczy nam sama Geneza w kontekście, wkładając w usta Adama, na widok Ewy, słowa: „Przetoż opuści człowiek ojca swego i matkę, a przyłączy się do żony swojej, i będą dwoje w jednym ciele" (Gen II, 24). Więc to symbol jedności małżonków i zarazem alegoryczny wyraz prawa jednożeństwa. Z tego powodu mówi Jan Złotousty: „Jak zbrodnią jest rozcinać ciało, taksamo i rozwodzić się z żoną".

Nie dość na tem. Przed stworzeniem Ewy zaszła okoliczność, dowodząca i równości jej, jako niewiasty, z mężczyzną. Adam czyni przegląd zwierząt i tęsknie szuka wśród nich istoty, sobie podobnej. I nie znajduje: „lecz Adamowi nie najdował się pomocnik, *podobny* jemu". Tymczasem Bóg postanowił był stworzyć Ewę i rzekł: „Niedobrze być człowiekowi samemu: uczynimy mu pomoc, jemu *podobną*".

Więc „podobną": to znaczy: równą, choć różną.

Dopiero po grzechu spadł na kobietę wyrok: „pod mocą będziesz mężową". „Pod mocą"—na mocy prawa mocniejszego, jako prostego następstwa grzechu: prawa, które i we wszystkich innych stosunkach międzyludzkich

¹⁾ Na innym miejscu, z powodu kwestji uświadamiania dzieci i młodzieży, rozwiniemy ten temat obszerniej. Tu dodajmy, że co innego, niż niewinność rajska, jest zdarzająca się dziś jeszcze niewinność chłopca—„śpi-duszy", który jest niezdolny, ni do złego, ni do dobrego. Przeciw takiej „niewinności" walczymy, wystawiając konieczność dobrych uczynków, bo do zbawienia niedość nie czynić nic złego.

zapanowało. Zniósł je Chrystus *w zasadzie*, przez sam fakt złagodzenia grzechu pierworodnego, jako przyczyny złego, które wyraziło się, między innemi, w niewoli kobiety. Nie przestając na tem, dał nam także Chrystus, jako Bóg, żywy ideał niewiasty wyzwolonej, w osobie Niepokalanej Poczętej Dziewicy, powołując Ją na Matkę swoją, jako człowieka. Resztę, cały rozwój idei wyzwolenia kobiety, pozostawił Kościołowi swemu, co, naturalnie, nie mogło być dokonane od jednego zamachu. Mając w postaci Marii, Matki-Dziewicy, Nowej Ewy, jakoby gwiazdę przewodnią w dążeniu do urzeczywistnienia i wcielenia w życie idei wyzwolenia żeńskiej połowicy ludzkości, Kościół spełnia to posłannictwo, bacząc na zasadę *równości* kobiety z mężczyzną; ale też nie spuszczaając z oka faktu jej *różności*, oraz wypływających stąd następstw praktycznych. Rola jej w świecie chrześcijańskim nie ma być służebna, ale też nie może być panująca; ma być bierna, ale zgola nie niewolnicza. Powołaniem kobiety jest być matką i wychowawczynią całej ludzkości, oraz dobrem natchnieniem rodzaju męskiego. Ma ona być w rodzinie tem, czem władza duchowna w państwie. O powołaniach jej wyjątkowych nie mówimy; że jednak i onym Kościół bynajmniej się nie przeciwi, świadczy chociażby postać ś. Teresy, zwanej „doktorem mistycznym" i stawianej obok Ojców Kościoła: hiszpańskie portrety jej przedstawiają ś. Teresę w todze i birecie, z księgą i piórem...¹⁾

Że do urzeczywistnienia ideału wyzwolenia kobiety—daleko,—któż nie widzi? Że fale prądów emancypacyjnych niosą ten ideał na bezdroża, wstecz ku pogaństwu, któż widzi? Jedni widzą jedno, drudzy—drugie; mało kto widzi i uznaje jedno i drugie razem. Tamtośmy już wskazali; wypada wskazać i to drugie.

Feminizm czyni z kobiety rywalkę mężczyzny, kiedy przeznaczeniem jej naturalnem jest być mu „pomocą". Nie należy jednak zapominać, że jest to tymczasem konieczność ekonomiczna. Tak, z tym faktem trzeba się liczyć. Ale cóż konieczność tę sprowadziło, jeśli nie, obok libera-

¹⁾ Naiwne jest powoływanie się na Chrystusa i Marię przeciw rozwojowi idei wyzwolenia kobiety, jakoby ono było już w życiu doraźnie przez Chrystusa dokonane. Co innego: przeciwdziałanie rozwojowi tej idei chrześcijańskiej w kierunku, przeciwnym duchowi chrześcijańskiemu, propagowanym przez niepodległych feministów i feministki.

lizmu ekonomicznego, także „wolna“ miłość, propagowana przez nowożytny poganizm, a unikająca małżeństwa, jak grzechu śmiertelnego? I na te chorobliwe następstwa odrzuczonego poganizmu, ma być lekarstwem spoganiecie ruchu wyzwolenia kobiety?! Na panujący dziś heteryzm najsromotniejszą choć błyszczącą formę niewoli kobiecej, — lekarstwem ma być amazonjanizm, kobietowładztwo na wzór legendarnych amazonek?!¹⁾ Coś podobnego zdarzało się nieraz w dziejach przedchrześcijańskich²⁾. Do tego zmierza społeczny feminizm. I byłoby to słuszną karą na zniewieściału ród mężczyzn; byłoby to prostem następstwem heteryzmu, który ten ród spoganiały uprawia. Byłaby to jednak straszna klęska ludzkości, jedna z tych, jakie sprowadza każde wynaturzenie, każde wywrócenie porządku, wskazanego przez prawa natury.

Przejdźmy do dalszych zarzutów przeciw grzechowi pierworodnemu.

Stwierdziłszy już, że ten grzech jest grzechem pychy, która ujawniła się w żądzy ubóstwienia, niezależnie od Boga i przeciw Bogu. Analogiczny był grzech zbuntowanych aniołów. Pan N. gorszy się z Pana Boga, że za *takie* dążenie ukarał, i aniołów, i ludzi. Z powodu aniołów pisze:

...Bog stworzył sobie zastępy chwalców, jak gdyby bez nich istnieć nie mógł. Tych zaś aniołów, które nie chciały go chwalić, stracił do piekieł i czartami uczynił. A za co w dodatku? Albowiem chcieli być równi Bogu. Więc to grzech dążyć do doskonałości? (44).

A z powodu ludzi:

Więc znowu żądzą doskonalenia się najczystszy jest grzech? Więc ludzie nie powinni dążyć do tego, aby byli doskonali, jak Bóg? Jest to szczególnie arystokratyzm. Człowiek ma nie sięgać po owoc wiadomości, być wiecznie głupim, słuchać ślepo księży i chwalić wedle ich przepisu Boga (46—47).

¹⁾ Amazonka, wyraz pochodzenia greckiego, znaczy: „bez piersi“. Amazonki miały wypalać sobie piersi lewą, żeby mogły wygodniej strzelać z łuku. Nie cierpiały mężczyzn, których też w państwie ich nie było wcale. Dla utrzymania swego rodu wchodziły w stosunki z ludami sąsiednimi, a potomstwo meskie zabijały.

²⁾ Ob. „Początki Prawa Małżeńskiego“, przez Jana Kucharzewskiego. Warszawa. 1901.

„Kiepski warjat!“ — powiedziałby na takie dowodzenia jaki parlamentarzysta. Powiedziałbym raczej: dobry, mądry warjat! Bo trudno przypuścić, żeby p. N. naprawdę nie wiedział o co chodzi, żeby naprawdę sądził, iż nauka chrześcijańska zabrania (!!!) dążyć do doskonałości, żeby obcy mu był ideał doskonałości chrześcijańskiej, ogłoszony przez Chrystusa na górze błogosławieństw: „Bądźcież wy tedy doskonałymi, jako i Ojciec wasz w niebiesiach doskonałym jest“ (Mat. V, 48). O uszy chłop polskiego słowa te obily się po tysiąc razy, więc w tych samych uszach słowa p. N. odezwą się zgrzytem beczelnego kłamstwa. Chłop wie, że księża uczą przepisów, nie własnych, ale Chrystusowych, którymi sami naprzd są związani; a uczą ich na to, aby ludzie nie byli wiecznie głupi i nie pojmowali ich tak, jak je pojmują p. Niemojewski. Chłop wie, że księża uczą o Bogu, jako Doskonałości Najwyższej i jedynej, po za którą może być i jest jedynie doskonałe zło, uosobione w księżęciu Ciemności. Chłop słyszał coś nie-coś i z mistyki chrześcijańskiej. Zna on dobrze słowa s. Augustyna: „Ziemie miłujesz, ziemią jesteś; Boga miłujesz — cóż powiem? czy Bogiem będziesz? Ależ nie śmiem sam tego wypowiedzieć! Słuchajmy Psalmisty: Jam rzekł: jesteście bogowie i synowie Najwyższego wszyscy“.

Oto, co ma chłop polski do przeciwstawienia kłamstwu p. Niemojewskiego. Jest on oświecony w religji, aniżeli by pragnął p. N., schlebiający jego rozumowi gwoli przemycania swoich chytrych niedorzeczności.

Tak, p. N. wie o co mu chodzi, ale się przerachował. Wynik tego przerachowania się jego przypomina mi przysgodę jednego z moich kolegów, której byłem świadkiem. Podczas wycieczki zamiejskiej, towarzyszył mój wziął się, żeby przesadzić głęboki i szeroki rów, napełniony wiosenną wodą. Obrachował tedy na kroki odległość od mety, z której miał rozpocząć bieg, wrócił do niej, następnie rozpedził się z zamkniętymi oczyma... I właśnie w chwili, kiedy zamierzał odbić się od burty, — z okrzykiem „hop!“ znalazł się pośrodku rowu, w wodzie po pas! Przerachował się nieborak, wzięwszy kroki pieszego za kroki bieżące...

Podobna przygoda spotkała tu p. N., zresztą, nie po raz pierwszy. Party gorączką tendencji, zamiast przesadzić rzekomy zakaz „doskonalenia się najszczytniejszego“, wpadł w sam środek, w samo ognisko doskonałości chrześcijańskiej.

Uff jak parzy ten ogień, który Chrystus puścił na ziemię! (Łuk. XX, 49). Ten ogień miłości Bożej, niszczący wszystko, co jest bezbożnością! Ten ogień, w którym tylko ogniste duchy chrześcijańskie znajdują się, jak w swoim żywiole...

Szkaradna, zaiste, przygoda dla ducha niepodległego, który pragnie jaknajszczytniej się doskonalić wedle serca Belzebuba. Tembardziej fatalna, że dokonała się w oczach spodziewanych konwertytów.. Oto *fiasco* nowoczesnego Szymona Czarnoksiężnika!

Nie mogło się też stać inaczej przy takim rażącym braku roztropności węzowej. Nauka nasza jest jawna i jasna. Przeznaczeniem człowieka jest ubóstwienie, które, oczywiście, może się dokonać tylko w Bogu. Zamiast uderzyć na nią również jawnie i otwarcie, p. N., jak gdyby chciał zakasować węza rajskiego, zaprzeczył samego jej istnienia i—przeszarżował w chytrości. Pyta on naiwnie: „Więc to ludzie nie powinni dążyć do tego, aby byli doskonali jak Bóg?“—Ależ, że powinni, to jest właśnie nauka nasza, katolicka! Mówi on dalej: „Człowiek ma nie sięgać po owoc wiadomości...“ Tu przyznać mu trzeba zręczność, z jaką zeskałmotał wyrazy dodatkowe w określeniu dotyczącym drzewa rajskiego: *dobrego i złego*¹⁾. Cóż, kiedy sprawy swej przez to już nie ocalił i ostatecznie wyszedł na dudka, oskubanego z niebiańskich piór doskonałości chrześcijańskiej. Tak czy owak, zawsze potrafilibyśmy go z nich oskubać, ale tym razem on sam zadanie to znakomicie nam ułatwił. Oto dudek!

„Któż, jak Bóg!“—to hasło bojowe Michała Archanioła²⁾ jest hasłem także naszym na ziemi, w walce z szatanem. „Któż, jak Szatan!“—to znowu hasło walki z Bogiem, z początku tajne, nieświadome siebie, w końcu jawne. Pan N. jeszcze go sobie nie uświadomił, albo też nie śmiał jawnie z nim wystąpić. Ale my słyszymy jego stłumio-

¹⁾ Przypominamy tu, że owoc zakazany nie wyłącza bynajmniej wiadomości dobrego poza nim. Przeciwnie, poza nim kwitła by wyłącznie wiedza dobrego, czego my pragniemy w przeciwieństwie do p. N., który pragnie tylko złego. Stąd walka między złem i dobrem, stąd mieszanie dobrego i złego w życiu ludzkim, jako właśnie wynik grzechu pierworodnego. Stąd i nazwa drzewa wiadomości.

²⁾ Michał—imię hebrajskie, znaczy właśnie: „Któż, jak Bóg!“

ny dźwięk w zastosowanych do Boga wyrazach takich, jak: „pyszałek“, „despota“, „arystokrata“ i t. p. W pojęciu też p. N. — Michał Archanioł jest niewątpliwie pierwowzorem służalstwa, gdy Lucyfer jest godnym holdu, pierwszym bohaterem niepodległości...

Przechodzimy do wielkiej oraz ważnej kwestji dziedziczności grzechu pierworodnego. Pan N. o tem powiada:

Jest to stare pojęcie prawne zbiorowej odpowiedzialności za czyn dokonany, pojęcie, usunięte ze wszystkich kodeksów, zostało tylko jeszcze w kodeksie katechizmowym, bo inaczej księża nie mieliby kogo zbawiać za stosunkowo drogie pieniądze (48).

Pan N. myli się głęboko. Jest to raczej stare pojęcie dziedziczności, która jest prawem, stwierdzonem przez naukę, owszem, różnymi czasy przez odwieczną myśl niepodległą egzagerowanem, w celu usunięcia odpowiedzialności moralnej człowieka, bodaj kosztem poniżenia go do poziomu „żywizny“, — zołowskiej „*bête humaine*“. Prawo to obowiązuje bezwzględnie w naturze fizycznej, a względnie i w naturze duchowej, w życiu jednostek, społeczeństw i całej ludzkości. Na mocy tego prawa, dziedziczymy zarówno dobre, jako i złe: przez co prawo to okazuje się niesłychanie dobroczynnem i zbawczem, ile, że tkwi w niem bodziec, skłaniający ku dobremu, oraz żądło, odstraszaające od złego.

Jeśli przystajemy ochotnie na dziedzictwo dobre, czemu byśmy i złego dziedziczyć nie mieli? Życie nie pieści, ale jest twardą i mądrą szkołą mądrości. Gdyby pieściło, wychowywałoby niezdolnych do niczego, godnych wzgardy pieszczochów i gamoniów życiowych.

Dziedzictwo dobre — bywa nadto często pokusą do złego, do wylegiwania się w pierzynach pomyślności, do spoczywania na laurach, zdobytych przez przodków, w końcu do wynaturzenia.

Dziedzictwo złe, przeciwnie, dodaje bodźca do zasługi moralnej, budzi energję, otwiera pole ekspiacji, obowiązującej potomków względem przodków.

W ogóle, jak rzekliśmy, prawo dziedziczności, uświadomione przez ludzi, oddziaływa na nich, jako bodziec ku tworzeniu zadatków jaknajlepszej przyszłości. A tym spo-

sobem iści się wielka i wielce etyczna idea solidarności wszechludzkiej, nie tylko w przestrzeni, ale i w czasie, — między następującymi po sobie pokoleniami rodu ludzkiego, przeszłymi i przyszłymi.

Tosamo prawo dziedziczności oraz tasama solidarność iszczą się *par excellence* na podłożu grzechu pierwotnego. Pomiędzy tym grzechem pierwotnym a grzechami pochodnymi, pomijając różnicę i różność ich przedmiotu, zawsze jednak wypływającymi z jednego i tego samego źródła, którym jest bunt przeciw woli Bożej, zawsze w ostatecznej swej analizie wykazującymi na dnie pierwiastek pychy, jako swojej pramacierzy, — zachodzi jedynie różnica ilościowa. Gdy tamten, mianowicie, obejmuje polipowym uściskiem cały ród ludzki, — te obejmują tylko jego części i części, aż do poszczególnych atomów-indywiduów. Stąd jasne jest, że każde społeczeństwo, każdy naród, każdy stan, każdy ród, każda w końcu jednostka — mają własny, swoisty grzech pierwotny, pociągający za sobą tasame w zasadzie następstwa naturalne, co i grzech pierwotny powszechno-ludzki.

Ostatetecznie, powszechne, chociażby najbardziej różniczkowane prawo dziedziczenia grzechu, sprowadza się do prawa, że zło moralne, grzech, rozradza się, jak bakterje chorobotwórcze, i nie może ginąć samo przez się, ale musi być zwalczane i zgładzane przez karę. Świadome przyjęcie tej kary, poddanie się jej dobrowolne, t. j. znoszenie jej cierpliwe, co nie wyłącza walki ze złem, ale przeciwnie, daje jej moc, równość i spokój; owszem, rozmyślne stawianie sobie kary, — nadaje jej naprawczy charakter ekspiacji. Zasada przebaczenia ze strony Boga, jak tegośmy już byli dowiedli, może obejmować jedynie winę, nieodłącznie z karą wieczną. Inaczej, człowiek byłby jak ten przysłowiowy „mamin synek“, który może sobie na wszystko bezkarnie pozwalać i tym sposobem zagwałdzać w duszy wszelkie ku ideałom aspiracje. Pedagogika Boża, ojcowska i jakby męska, nie może tak ludzkości prowadzić. Z drugiej strony, także godność człowieka wymaga, żeby inaczej być nie mogło. Trzeba naszego spóldziałania i współpokuć z Chrystusem. Albowiem, jak mówi lapidarnie ś. Augustyn: „Bóg stworzył nas bez nas, ale nas bez nas nie zbawi“.

Pan N. sądzi inaczej: „...inaczej księży nie miałoby kogo zbawiać za stosunkowo drogie pieniądze“.

Czujemy tu taką wyższość moralną i umysłową nad autorem, nad jego płaską i niedorzeczną zaczepką, że przechodzimy mimo niej bez odpowiedzi: „*Non raggonar di lor, me guarda e passa*“¹⁾).

Co innego, niż prawo dziedziczności, jest idea odpowiedzialności zbiorowej *spółczesnych za społecznych*. Jest ona jednakże w pewnym związku z ideą odpowiedzialności potomków za przodków, opartą na prawie dziedziczności. Jakkolwiek wyrugowana z kodeksów, istnieje ona w życiu i wyrugować się z niego nie da. Następstwa każdego czynu zazębiają się, niby koło trybowe, o życie innych ludzi.

Czy społeczne społeczeństwo nasze nie ucierpiało i nie cierpi dotąd za winy terrorystów rewolucyjnych, które posłużyły jako motyw do ogłoszenia stanu wojennego? I nie bez winy! Czy bowiem w głębi duszy nie solidaryzowało się ono z terorem? Przed oczyma stróżów i pacholców kodeksu, jakkolwiek argusowemi, wymykają się uczucia, ukryte w głębi duszy, więc ścigać ich on nie może: „*iudex de internis non iudicat*“, — sędzia państwowy ma z jednej strony literę prawa, z drugiej — czyn zewnętrzny. Dlatego koniecznością było wyrugować z kodeksów odpowiedzialność zbiorową, solidarną. Ale życie ma swoje prawa odrębne. Gdy więc społeczeństwa ścigać nie mogły paragrafy czy artykuły karne, ścigały je nie bez pewnej świadomości siebie — osławione „zabłąkane“ kule. Ścigały na oślep, po barbarzyńsku; ale świadome winy zbiorowej, masowej, ścigały masy. I czyniły to nie same tylko kule karabinowe: czyniły to także bomby rewolucyjne, karząc społeczeństwo za współzucie ich przeznaczeniu. Człowiek strzela i rzuca bomby, Pan Bóg nosi i bomby i kule...

Niechaj się p. N. z pociskiem denuncjacji wstrzyma!

„Denuncjuję“ także i samego siebie!

W jednym z „Dwóch kazań politycznych“, które-m ogłosił drukiem, mówiłem:

„...Zaiste, i ja człowiek ułomny, i ja doświadczałem odruchów nienawiści przeciwko wrogom umiłowanej, a tak udręczonej Ojczyzny; i moja pięść bezbronna nieraz przeciw nim zaciskała się mściwie, i moje serce pieściło się

¹⁾ „Nie rozprawiaj o tem, ale spójrz i przejdź mimo“.

widokiem poszarpanych ofiar zamachów, i jam spółwinowającą wraz z wami!

„Ale wyrzucam to sobie i w piersi się biję! A gdy w tej chwili stoję na tem, wyniesionem ponad morze głów waszych, a świętem miejscu i czując się posłannikiem Chrystusa, z wysokości tego miejsca spojrzę w duchu na tę biedną, nieszcześliwą naszą krainę, a zobaczę, jak nią burze namiętności miotają: ach! czuję się stokroć winniejszym swojej słabości. Bo widzę jasno w świetle prawdy Chrystusowej, że żadną miarą nie droga nienawiści wiedzie do zbawienia, jeno droga miłości; i całem sercem pragnę tę jasność Bożą, która w tej chwili mię oświeca, rzucić w głowy wasze, a te uczucia, które mną poruszają, przelać w wasze serca...

„...Nie! nie to tylko je-t szczere, co się mówi lub czuje w chwili słabości; ale i to także, co przynosi chwila podnioslejszego nastroju. Nie może zaś być wątpliwości co do tego, która z tych dwóch chwil przynosi prawdę i której z nich dwóch owoc uczucia i myśli godzien jest podniesienia na wysokość zasady obowiązującej...“ (69,70).

Niestety, dopiero kiedy terror, staczając się naturalnem prawem po pochyłości moralnej, na której stanął był od początku,—zwrócił się ku swoim, gdy zwyrodniał w politykę bandytyzm, otworzyły się oczy społeczeństwa, zaślepionego szlachetnem, ludzkim, ale nierozumnem, nie w duchu Chrystusa pojętem, uczuciem patryjotyzmu. Dopiero wtedy zrozumiano, że to, co zrodziło złe jawne, dotykane bezpośrednio, nie było, być nie mogło samo w sobie dobre...

Idźmy dalej za myślą niepodległą p. N. o grzechu pierwotnym. Oto wykonywa on przed nami nowego koziołka logicznego.

Na pytanie: „Czy Pan Jezus zniósł wszystkie kary za grzech Adama i Ewy?“ — ks. Sokolik odpowiada: „Nie wszystkie: niektóre, jak choroby, śmierć i t. p. pozostały“.

Mniejsza z tem, że odpowiedź ta służyć może, jako dobry przykład bałamuctwa naukowego. Dość zajrzeć do pierwszego *lepszego* podręcznika katechizmowego, żeby to ocenić¹⁾. Rzecz ciekawsza, co p. N. odpowiada na tę odpowiedź. Zabezpieczywszy uszy od obrazu, słuchajmy:

¹⁾ Przedewszystkiem pytanie ks. S. jest zbyt ogólne, gdy należało

Więc, wedle katechizmu, wszelka choroba jest karą. Suchotnik, albo syfityk, żeni się, płodzi chore potomstwo, a gdy go lekarz za to gromi, wyciągnie katechizm i powie: czego chcesz, dziecko moje jest chore za karę, nie z mojej winy, ale z winy Adama i Ewy, że zjedli jabłko w raju... Sliczna moralność! (56).

Sliczna logika! Wypadałoby z niej, że suchoty i przymiot przekazali nam już Adam i Ewa. Wypadałoby dalej, że na te specjalne choroby cierpią wszyscy ludzie bez wyjątku, jak wszyscy są potomkami pierwszej pary ludzi. Sliczna logika! Powiedziałbym: godna cyrkowego Augusta, gdyby to nie było obrażą tych, wprawdzie błaznów cyrkowych, którzy jednak nie są idjotami i nie zwykli bawić gawiedzi rzucaniem na idjotyczne pośmiewisko głębokich i poważnych zagadnień ludzkości.

Dziecko suchotnika lub syfityka—chore za karę, że Adam i Ewa zjedli w raju jabłko, jedno jabłko! A czemu chory sam rodzic? Czy nie dlatego, że on sam zerwał i spożył jakieś zakazane „jabłko“? Panu N. nie przyszło do niepodległej głowy to proste pytanie, które postawiłoby mu w odpowiedzi na jego „zarzut“, kilkoletnie rozgarnięte dziecko. Pan N., oczywiście, na to pytanie dziecka odpowiedzieć nie umiałby, więc go wyreżamy.

Karą grzechu pierwotnego jest w ogóle *podległość* chorobom, a nie same choroby, które wynikają z dwóch głównych źródeł: z wrogiej człowiekowi natury i z winy osobistej człowieka, każdego po szczególe.

W następstwie buntu człowieka przeciw Bogu, natura zbuntowała się przeciw człowiekowi. Przed grzechem, jak opiewa Milton rozkosze Raju:

Dokoła igrały

*Wesoło wszystkie zwierzęta, co teraz
Kryją się w lasach, pustyniach i norach
Podziemnych. Skakał lew z koźlęciem w parze,
Niedźwiedzie, rysie, tygrysy, lamparty,*

rozróżnić pomiędzy karami na duszy, a karami na ciele. Te ostatnie nie były celem bezpośrednim Odkupienia, więc ich Pan Jezus wcale nie zniósł. Nie zniósł samych nawet kar duchowych, jeno dał sposób do ich unikania. Ponieważ zaś źródłem zła fizycznego jest zło moralne, zatem, przez skuteczną walkę z tem ostatniem za pomocą łaski, uskutečnił Chrystus i walkę ze złem fizykiem.

*W susach pociesznych, aby rozweselić
Swych władców; ciężki słoń związał swą trabę
Giętką; wąż suwał się gładko, pochlebnie,
I wiążąc ogon swój w gordyjskie sploty,
Niebacznie składał im dowody rzadkiej
A niebezpiecznej chytrłości...*

Podobny obraz rajskiej harmonji, przedstawia wspa-
niały fresk Michała Anioła, na sklepieniu kopuły kaplicy
Medyceusów we Florencji; a tuż obok — przeciwstawienie
harmonji — bunt natury zwierzęcej przeciw człowiekowi:
bestje drapieżne odwracają się od człowieka złowrogo,
w ślepiach ich żarzy się ogień krwiożerczy, zda się, sły-
szysz ich pomruk groźny, oznajmający wypowiedzenie
wojny człowiekowi, władcy i panu stworzenia ziemskiego.
Do obrazu tego dostraja się tło przyrody martwej, na któ-
rą rzuca cień ponury — brzemienne burzą chmura...

Rzekłbyś, zwierz instynktem przeczuł w upadłym
człowieku myśliwego i rzeźnika...

W tym fresku Buonarrotti'ego możnaby upatrywać
i symbol bacylusów chorobotwórczych, owego wroga ludzko-
ści o tyle więcej złowrogo, że jest niewidzialny. Po-
wiedziano w podziwie nad światem mikroskopijnych drobno-
ustrojów: „*maxima miranda in minimis*“ — „największe rzeczy
podziwiać trzeba w najmniejszych“. Zawołać też można
z przerażeniem z powodu ich zgubnej potęgi: *maxima in
minimis pavenda!* — największych rzeczy lękać się trzeba od
najmniejszych!

Za sprawą Michała Archaniola — Adam Milтона ma
wizję następstw swego upadku, w szeregu obrazów. Mie-
dzy nimi, widzi żalosny korowód chorób ludzkich. Za-
powiada go Michał, po ukazaniu Adamowi śmierci Abła:

*Śmierć tu oglądałeś,
Tak, jak się pierwszy raz na cieleku zjawi;
Ale różnemi drogami prowadzi
Do swej ponurej jamy: wszystkie straszne,
Choć okropniejsze u wejścia, niż wewnątrz.
Niektórzy mra od gwałtownych ciosów,
Jak to widziałeś, lecz więcej od ognia,
Wody i głodu; najwięcej zagarnie
Niewstrzeźliwość w jadle i napoju.*

*Ona sprowadzi na ziemię choroby,
Których potworny tłum stanie tu wkrótce,
Byś widział, jaką nędzę na ród ludzki
Niepowściągliwość Ewy sprowadziła.*

Niebawem wyrósł przed okiem Adama
Budynek smutny, wstrętny i ponury;
Był to lazaret, w którym pomieszczono
Tłumy, cierpieniem różnem nawiedzone.
Tu kurez straszliwy, tu konanie ciężkie,
Omdlenia, różne gorączki, ograżki,
Epilepsje, choroba na kamień.
Złośliwy katar, wrzody, opętanie;
Melancholja tępa i szaleństwo,
Kolki, puchlina, suchoty, zaraza,
Mór, okolice mnogie pustoszący,
Marazm, reumatyzm, podagra i astma.
Wili się w bólach ludzie i jęczeli,
Pielęgnowała ich Rozpacz, od łoża
Do łoża chodząc; w górze Śmierć z tryumfem
Wstrząsała swoim oszczepem, cios zwłócząc,
Choć gorącemi prośbami wzywana,
Jako ich dobro główne i nadzieja
Ostatnia! Dłużej takiego widoku
Kamienne serce znieśboby suchem okiem
Nie mogło: nie mógł i Adam, zapłakał...

Oto pośrednie skutki grzechu pierwszego, a bezpośred-
nie — grzechów następnych, osobistych każdego człowieka.
W ślad za różniczkowaniem się grzechu, różniczkowały
się i choroby. Tłumaczy to Milton przez usta Michała
Archaniola:

*Adamie, otwórz oczy i patrz naprzód
Na skutki, jakie twój grzech pierworodny
W niektórych z twego pokolenia sprawi,
Choć wzbronionego nie tknęli owocu,
Z Wężem w umowy nie wchodzili, ani
Nie popełnili wcale twego grzechu,
Ale zepsucie, z niego pochodzące
Do coraz gorszych pobudzi ich czynów.*

A z coraz to gorszych czynów — coraz to gorsze cho-
roby...

Oto zaś obraz proroczy Izajasza, przedstawiający alegorycznie błogosławione następstwa Odkupienia:

„Będzie mieszkał wilk z jagnięciem, a pard (lampart) z kozłeciem legać będzie: cielę i lew i owca pospołu mieszkać będą, a dziecię małe pędzić je będzie.

„Cielę i niedźwiedź będą się paść: społem legać będą dzieci ich, a lew jako wół plewy będzie jadał.

„I będzie grało (igrało) dzieciątko od piersi nad dziurą zmiową, a odchowane dziecię do jamy bazylijskiej wpuści rękę swoją.

„Nie będą szkodzić ani zabijać po wszystkiej górze świętej mojej, bo napelniona jest ziemia znajomości Pańskiej (znajomością Pańską), jako wody morskie pokrywające“ (XI, 6—9).

Wspaniała, zaiste, alegorja stosunków międzyludzkich i międzynarodowych, zjednoczonych na łonie Kościoła Chrystusowego!

Nie nam jednak nie przeszkadza wziąć obrazu tego w znaczeniu dosłownem, w odniesieniu do stosunku między człowiekiem a przyrodą, zarówno ożywioną jako i martwą. Święty Franciszek z Asyżu, kumający się z „bratem“ wilkiem, czy to nie dowód żywy potęgi ducha, odrodzonego w Chrystusie? Ten jedyny w swoim rodzaju pogromca czworonogich drapieżników, poskramiający dziką ich krwiożerczość bez pomocy bata lub żelaznego pręta, i nawet nie za pomocą „potężnego uderzania oczyma“, ale czarem swej łagodności niezrównanej: był, jak dotąd, najdoskonalszą, żywą kopją Chrystusa. I nie miały się ciała jego, uświęconego świętością nadludzką ducha, także jakiegobądź bakterje. Natomiast—jęły się ciała jego promieniste strzały z ran Ukrzyżowanego, aby w żadnym szczególe nie brakło mu wyjątkowego do Chrystusa podobieństwa...

O potędze ducha chrześcijańskiego świadczy również arena Kolosseum, gdzie krwawe, rozmyślnie wygłodzone bestje, lasiły się do rzuconych im na pożarcie męczenników...

Zresztą, odzyskanie utraconego Raju, wraz z jego doskonałą harmonją,—to ideał, którego urzeczywistnienie zupełne i doskonałe sięga poza grób. Jeśli przez jakiś kataklizm przyrody, może przez fatalne pochylenie się osi ziemskiej, zniknął raj ziemski, to przez jakiś inny kataklizm ziemia znowu stanie się rajem, rajem wybranych, w którym nie zabraknie i stworzeń, również może zmartwychwstałych, a pogodzonych już z człowiekiem.

Mówi o tem Apostoł: „Bo i samo stworzenie będzie wyswobodzone z niewolstwa skażenia na wolność chwały synów Bożych, (t. j., gdy synowie Boży, ludzie, dostąpią chwały wolności). Wiemy bowiem, iż wszystko stworzenie wzdycha i jako rodząca, boleje aż dotąd. A nie tylko ono, ale i my sami, mający pierwiastki Ducha...“ (do Rzym. VIII, 21 — 23). A ś. Teofil: „Ode dnia naszej naprawy i wszystkie inne stworzenia powrócić muszą do pierwotnego przeznaczenia swego“. Znowu ś. Ireneusz: „Gdy się wypełni liczba ludzi, mających zamieszkiwać Królestwo Boże, ludzkość przestanie się mnożyć, powstaną umarli i również natura cała“. Bodaj więc słusznie rozumuje materialista Burmeister: „Jeżeli dusza ludzka jest nieśmiertelna, to jest nią także dusza zwierzęca...“¹⁾.

Wygnanie z Edenu, choroby, śmierć — to kary za grzech cielesne. Prócz tych są i kary na duszy: utrata łaski Bożej, przyćmienie rozumu, skłonność do złego raczej niż do dobrego. Pan Niemojewski na to:

Zdawałoby się, że Pan Bóg biednych przestępców objaśni, pouczy, że właśnie zaostrzy ich rozum. Nie, wedle katechizmu, on ich właśnie ogłupił, zdemoralizował i pozbawił czci (47).

Jużeśmy się do tyła oswoili z tym gatunkiem i z tą formą zarzutów p. N., że odpowiadamy zupełnie spokojnie.

Objaśnienie i pouczenie nie wyłącza kary. Bóg pouczył pierwszych ludzi jeszcze przed grzechem o jego smutnych skutkach, po grzechu również, właśnie przez wykonanie groźby, przez karę. Jednocześnie jednak pocieszył obietnicą zesłania Zbawcy, obietnicą, którą odtąd ród ludzki miał żyć aż do czasu ziszczenia jej, która stała się jego religją, osią religji. Swoją drogą, co było koniecznością psychologiczną ze strony człowieka, ukarał.

W szczególności co do kary przyćmienia rozumu, która osobliwie irytuje p. N., to nie przedstawia się ona w teologii tak prymitywnie, jak w Katechizmie elementar-

¹⁾ Ob. ks. Dębickiego: „Nieśmiertelność duszy, jako postulat filozoficzny przyrodoznawstwa“. Str. 203. Przypominamy tu napis na psim nagrobku. Jest on oburzający przez to, że stawia zbawienie ludzkie w zależności od zmartwychwstania zwierząt i bluźni Niebu z powodu straty psa. Niemniej przecież uczucie przywiązania do zwierzęcia zasługuje na zupełne uznanie.

nym, który siłą rzeczy podaje prawdy wiary z grubsza tylko ociosane.

W ogóle mówiąc, natura duchowa człowieka przez grzech została uszkodzona, jakby zraniona. Lecz w jaki sposób i w jakim stosunku? Oto jakby przez wyrwanie z duchowości ludzkiej darów, nie tyle *nad-*, ile *mimo-*naturalnych, które były udziałem pierwszego człowieka, które jednak, jako przewyższające czystą naturę, zgoda się mu z prawa naturalnego nie należały. Jest to więc uszkodzenie w stosunku do stanu doskonałego, uprzywilejowanego; nie zaś w stosunku do natury czystej, podległej, mimo kary, niedoskonałości i niemocy.

Więc też tensam Kościół, który w znaczeniu powyższym, uczy o przyćmieniu rozumu przez grzech pierwotny, staje konsekwentnie, mocno i stanowczo w obronie zasadniczej udolności rozumu do poznania rzeczy samych w sobie, ukrytej w nich rozumowości, aż do istoty Boga. I przeciw komu broni Kościół rozumu? Przeciw tym, którzy zarzucają mu naukę o przyćmionym przez Boga rozumie! Więc przeciw sceptykom i agnostykom wszystkich wieków, a jak dziś—przeciw neokantystom pozakatolickim, oraz modernistom katolickim, którzy stanęli na chwiejnym gruncie neokantyzmu. Któż więc właściwie wyznaje naukę o przyćmieniu rozumu naturalnego? Ci, którzy, jak to niebawem zobaczymy, nie uznając nauki o grzechu pierwotnym, faktycznie stwierdzają na swoich rozumowaniach następstwa jego pośrednie, t. j. namietności niedowiarcze, zrodzone z żądzy grzechu.

Jakaż więc, wedle nauki katolickiej, różnica między siłą poznawczą człowieka przed grzechem, a po grzechu?

Gdy przedtem człowiek poznawałby był Boga, ów najwyższy i najtrudniejszy Przedmiot swego poznania, intuicyjnie; to teraz potrzeba mu do tego szeregów przesłanek; a dla zdobycia pewności ponad wszelką wątpliwość, oraz jasności, wykluczającej wszelką możliwość błędzenia,—potrzeba mu jeszcze pomocy Objawienia, które potwierdza to, do czego rozum samodzielnie po wielkich trudach i błędzeniach dochodzi. Mówiąc przenośnie, gdy przedtem człowiek dążyłby do poznania Boga, jakby pionowo, lotem skowronczym i orlim,—to teraz piąć się musi na szczyt poznania, jakby spiralnie, zygzakiem, przyziemnie, z kijem doświadczenia w rękę.

Ten jest skutek odebrania człowiekowi nadprzyrodzo-

nej zdolności poznawczej, co jest poprostu sprowadzeniem siły rozumu do jej granic naturalnych. I to za karę sprawił Bóg.

Człowiek przez masę grzechów swoich sprawę pogorszył, tak, że bez pomocy Objawienia, całe masy ludzkie pogrążają się w najgrubszych błędach o Bogu, a tylko wyjątkowo genialne jednostki wznoszą się do czystej idei Boga. I genjuszom wszakże potrzeba, prócz genialności, jeszcze dobrej woli, aby myśl ich nie zesłała na manowce. Albowiem pomiędzy podmiot poznający a najwyższy Przedmiot poznania, wkracza bardzo łatwo grzech, ze swoim interesem negacji Bytu, który ma dla człowieka najwyższą doniosłość moralną.

Weźmy-ż pod uwagę tę przeolbrzymią sumę namietności duchowych i zmysłowych, które z pokolenia na pokolenie gromadzą się przez wieki, jako dorobek niezliczonych grzechów, a zrozumiemy fakt powszechnego przyćmienia rozumu, jako naturalnego następstwa, nie pozytywnej woli Bożej, lecz grzesznej woli człowieczej. Owe namietności, toć istna nawała chmur, sprawiających zaćmienie słońca idei Boga! Bóg ze swej strony, nawet w chwilach najgwałtowniejszych burz uczuciowych, miotających duszą ludzką i zamraczających rozum, oświeca go błyskawicami swej łaski, a gromami gniewu swego przeraża i upomina...

To powiedziawszy, możemy ze smutkiem stwierdzić istotne, lubo zapewne jeszcze nie istotowe, zaćmienie rozumu p. Niemojewskiego. W swoim zaślepieniu płodzi on stek nedorzecznosci, które uważa sam i podaje czytelnikowi za ostatni wyraz rozumu i nauki, za wyroki nieomyślne i nieodwołalne. My, którzyśmy niegdyś w czasach szkolnych, przez tęsamą fazę myśli przechodzili, nauczyliśmy się patrzeć na własną wytwórczość umysłową krytycznie, co jest nieodzownym warunkiem postępu ku prawdzie; a z onych myśli sztubańskich uśmiechamy się pobłażliwie, nieraz z rumieńcem wstydu i ze złością oburzenia, tak one dzisiaj naszą miłość własną obrażają. „*Cupio refelli!*“¹⁾ — to hasło nasze.

I czemu p. N., pomimo niepowседневnej inteligencji, płodzi absurdy? Bo walczy z Prawdą Najwyższą. Czemu

¹⁾ Pragnę być „zbitym“ — rozumie się, w swoich dowodzeniach, byle zdobyć prawdę. Wyrażenie Cyserona.

zaś walczy? Bo jej nie zna. Czemu znowu jej nie poznał, kiedy poznaćby mógł bez trudu? Bo mu ją chmury namiętności przysłoniły, namiętności, które nie pozwalają mu poznać chcieć. „*Cupio refellere!*“¹⁾ — to hasło p. Niemojewskiego.

Kto jednak nie wierzy naprzód i z góry w przedmiot swego rozbioru krytycznego, ten go z góry odrzuca, bo jeśli go poddaje krytyce, to tylko w celu uzasadnienia powziętego z góry ujemnego wyroku. A jeśli ów przedmiot odrzucony zasługuje na wiarę? Jeśli ma w sobie jasność i moc, którą trzeba tylko kilofem rozumu wyzwolić, jak Mojżesz wyzwolił uderzeniem laski źródło ze skały? W takim razie ta jasność i ta moc — stracone! A brak jasności — to ciemność, brak mocy — to słabość. A gdy nadomiar zaprzeczenia jasności ma na celu zrobić miejsce innemu przedmiotowi wiary, zgoła przeciwnemu a bytującemu realnie, tedy ciemność nabywa charakteru pozytywnego, staje się jakby czarnem słońcem, siejącem czarne promienie.

A jeśli — powtarzamy — odrzucony przedmiot wiary zawiera jasność wielką i zasługuje na wiarę? Stoimy wobec słynnego „ryzyka“ Pascala. Przypuśćmy — rozumował Pascal — że wszystkie obiektywne dowody, przemawiające za wiarą, nic nie warte, wtedy, samo już przypuszczenie: a nuż Bóg istnieje? — powinno skłonić nas raczej ku wierze. Odbywa się tu gra między nami a istotą rzeczy, która dopiero w dniu sądu Ostatecznego pokaże nam swego orła, albo liczbę. Zważcie — mówi Pascal — czem będą wasze zyski i wasze straty, jeżeli postawicie wszystko na orła, czyli na istnienie Boga: jeżeli wygracie, waszą wygraną wiekusta szczęśliwość; jeżeli przegracie, nie przegrywacie absolutnie nic. I paląc rozum na ołtarzu wiary, Pascal woła: „*pour avoir la foi, fallait s'abêtir!*“ — „ażeby uwierzyć, trzeba by się ogłupić!“

Amerykański filozof, James, robi na to taką uwagę: „Gdybyście byli na miejscu Bóstwa, sprawiłoby wam prawdopodobnie szczególną satysfakcję pozbawienie duszy narodoj, obliczonej w ten sposób“²⁾.

¹⁾ Pragnę „zbijać“ — dowodzenia przeciwnie.

²⁾ W. James: „W obronie wiary“. Przetłóżył z angielskiego W. Kosiakiewicz. Wydawnictwo *Przeglądu Filozoficznego*. Warszawa,

Argument Pascala — to argument rozpaczy. On sam, myśliciel głęboko wierzący, lubo zarażony duchem janse-nistowskim, obniżającym doniosłość i siłę rozumu w stosunku do wiary, stawia swoje ryzyko hipotetycznie (*gdyby* dowody wiary nic nie były warte) i podsuwa je tym, którzy nie wierzą. W rzeczy samej, nad krawędzią tego ryzyka, jakoby nad przepaścią, staje faktycznie a bezwiednie każdy umysł, we wierze chwiejny i nieświadomiony. Pascal w tem go uświadamia i nagli do rozpaczliwego skoku: raczej ogłupić się, a uwierzyć!

Na to nie przystajemy. My ze swego pytania: a nuż wiara zawiera wielką jasność? — wyciągamy raczej znany wniosek s. Anzelma: „*credo ut intelligam!*“ — „wierzę, abym zrozumiał!“ Wierzę z góry, wszakże bez ryzyka. Objawienie — to fakt historyczny, którego dowodzi mi krytyka historyczna. Mając dowiedzione, iż dał je Bóg, iż ono nie jest zmyśleniem ludzkim, przyjmuję zawartość jego z oczyma zamkniętymi, na wiarę Boga, aby za chwilę oczy otworzyć i dar Boży poznać. Ten jest punkt wyjścia nauki teologicznej pozytywnej (w odróżnieniu od apologetyki, mającej charakter negatywny w stosunku do zwalczanej niewiary, na gruncie krytyki rozumowo-historycznej), badającej przedmiot swój, podobnie jak nauki doświadczalne badają tajemnice przyrody.

My więc nie ryzykujemy rozumu, idziemy nie omakiem, ale — „na pewniaka“.

Natomiast, kto, jak p. N., odrzuca wiarę z góry, ryzykuje: i wiarę i rozum. Pan N. wysila się jedynie w kierunku uzasadnienia powziętej z góry niewiary, przyczem, jak wciąż widzimy, w dowodach nie przebiera. Każdy dlań dobry, świetny, niezwalczony, miażdżący. W gruncie rzeczy, jak wciąż wykazujemy: wszystkie marne, kulawe, nedorzeczne. On tego nie widzi, tak dalece rozum jego jest przyćmiony!

Inaczej też być nie może. Rozum — do wszelkiego

1901. — Rzecz osobliwa, że sam autor, obalwszy tak dosadnie i stanowczo ryzyko Pascala, podnosi je następnie mocą uczucia i woli, w myśl kantowskiego „rozumu praktycznego“. Jak zaznaczamy w tekście głównym, ryzyko to faktycznie istnieje. Szepcze ono duszom, we wierze niezdecydowanym: a nuż, a może? Jest to jednakże fakt ujemny, chorobliwy, który należałoby raczej zwalczać, nie zaś podnosić go do godności zasady obowiązującej. Albo wierzyć mocno, albo wcale nie wierzyć!

przedmiotu krytyki, powinien być uprzedzony raczej przychylnie: powinien przypuszczać w nim jakąś wartość. Wszelkie uprzedzanie się ujemne, wrogie, jest czynnością rozumu grubo niefilozoficzną i naraża na ewentualną stratę przedmiotu, mającego może wartość nieocenioną. Takim przedmiotem jest treść naszej wiary. Kto odrzuca go z góry, zrozumieć go żadną miarą nie zdoła; kto go zwalcza, czynić to może tylko za pomocą absurdów.

Tak więc p. N. pali rozum na ołtarzu niewiary!

I my widzimy w tem zjawisku jedno z najgorszych, najzgubniejszych następstw grzechu pierworodnego. Następstwo pośrednie. Pan N. jest ochrzczony, więc grzechu tego nie ma. Od jego wszakże pracy wewnętrznej, osobistej, zależało z łaski chrztu skorzystać i następstwa grzechu pierworodnego usunąć. On raczej łaskę tę zdeptał i sponiewierał. I oto mamy owoce w rodzaju „Objaśnień“, w których przyćmienie rozumu wystąpiło w sposób niesłychanie jaskrawy i nieświadome siebie, paradyguje pod firmą oświaty i postępu XX-go wieku! Raczej ogłupić się, byle nie wierzyć! — oto hasło, za którym niedowiarstwo idzie mniej lub więcej bezwiednie, a które my, komu trzeba, uświadamiamy.

Uczyńmy jeszcze przegląd paru innych zarzutów, które p. N. swoim przyćmionym rozumem wysnuwa z Katechizmu, przeciwko nauce o grzechu pierworodnym ¹⁾.

„Bóg dał nam rozum na to, abyśmy Jego doskonałość i przykazania poznali“ — uczy Katechizm, mając na oku, zgodnie ze swoim zadaniem, jedynie celowość rozumu najwyższą, religijną.

Przeczy temu pytanie 28-me—odpowiada p. N.:—z woli Boga rozum ludzki został przyćmiony. Jakże możemy tedy poznać doskonałość Bożą, gdy nam sam Bóg rozum zamącił (23)?

Nowy dowód na to, cośmy dopiero co powiedzieli. Od powiedź zawiera się w tem, cośmy powiedzieli powyżej. Na innym miejscu autor prawi:

Jak zachowywać przykazania, kiedy Bóg nam rozum przyćmił? Jeżeli zaś przyćmił rozum wszystkim potomkom Adama, to może także autorom katechizmu? Jest to wysoce prawdopodobne, że ci autorowie mają wyjątkowo rozum przyćmiony, jeżeli jedno ich twierdzenie klóci się z drugim (30).

¹⁾ Wogóle stwierdzić trzeba, że ze swoimi zarzutami o przyćmieniu rozumu powinien był p. N. zwrócić się pod adresem protestantyzmu.

Wiemy już dobrze, iż pokłócenie twierdzeń katechizmowych między sobą — to nieczysta sprawa przyćmionego ale chytręgo rozumu autora „Objaśnień“, o którym powiedzieć można, jak powiedziano o królowej Bonie: „*Ut lucus lucet, sic Bona bona fuit*“ ¹⁾.

Co znaczy:—pyta dalej autor — godnie przystępować do sakramentów? Kto to rozsądza? Ksiądz? Ależ i on ma rozum przyćmiony wedle nauki katechizmu, boć jest potomkiem Adama!

O godnem przystępowaniu do Sakramentów rozsądza samoświadomość przystępującego. O ile zaś ksiądz urabia sumienia ludzkie i w tym kierunku, to ma gotowe reguły, będące sumą duszoznawczego doświadczenia Kościoła. O ile żeby reguły te dobrze przystosowywał, potrzeba mu rozumu własnego, a ten nie starczałby, to z pewnością nie u p. N. będzie zaciągał pożyczki, ale u Pana Boga. Bóg jest dla nas źródłem mądrości, które p. N. dla siebie dobrowolnie zatamował. Niechaj więc p. N. zatroszczy się raczej o rozum swój własny, wskutek odcięcia od światła Bożego, naprawdę bardzo przyćmiony. „A człowiek cielesny nie pojmuje tego, co jest ducha Bożego, albowiem głupstwem jemu jest i nie może rozumieć“ (I do Kor. XII, 3). Z okazji określenia katechizmowego, co to jest Katechizm ²⁾, p. N. rekapitułuje swoje zarzuty, z ubolewaniem:

Niestety, nauka katechizmu uczy nas tylko różnych wątpliwości w rzeczach wiary. Robi z Boga istotę pyszną, która każe się chwalić; przedstawia Boga, jako osobę, która zaćmiła człowiekowi rozum, zamiast go rozjaśnić, i uczyniła go skłonniejszym do złego, niż do dobrego, a potem karze go wiecznymi mękami. Taką nauką demoralizuje człowieka, nie zbawia go, ale zatracą, tracąc społecznie, gubi dla życia, moralności, sprawiedliwości, oświaty, wszelkich wyższych dążeń. Kędy katechizm przeszedł po duszach ludzkich, tam mamy... przelew krwi za odmienne przekonania! (31—32).

No tak! Gdyby jaki jaskiniowiec przedpotopowy zna-

¹⁾ Jak świeci bór, tak Bona była dobra. — Jest tu dowcipna gra słów, którą jedynie język łaciński oddaje.

²⁾ „Nauka, która nas uczy tego, co do zbawienia potrzebne, nazywa się katechizmem“ — mówi ks. Sokolik. Jest to określenie nieściśle, albowiem Katechizm, to tylko jedna z form nauczania religii, mianowicie: przez pytania i odpowiedzi.

laż się nagle w Paryżu społecznym, poczytywałby on niewątpliwie całą kulturę, którąby tam zobaczył, za dzieło złego ducha, gdyż nie miałby pojęcia o całkiem naturalnych a mozolnych drogach, któremi ludzie zwolna doszli do tego, co on by widział gotowe. Podobnie p. N. widzi gotowe streszczenie nauki katolickiej w Katechizmie, ale nie widział wielowiekowego laboratorium, w którym ta nauka rozwinęła się z ziarna Objawienia, została rozumowo uzasadniona i metodycznie uporządkowana: dlatego panu N. Katechizm wydaje się plodem ducha ciemności.

Gdy człowiek sam sobie, z własnej winy, rozum przyćmił, a wolę osłabił, Pan Bóg rozjaśnił mu rozum przez Objawienie, a wolę jego wzmocnił przez Odkupienie. Cóż winien Bóg, gdy człowiek jedno i drugie odrzuca?!

Pan N., ażeby odrzucenie to uzasadnić, w książeczce „O pochodzeniu naszego Boga“ stawia Bogu takie żądanie: „Bóg, gdyby był, miałby obowiązek objawić swoją wolę *każdemu* człowiekowi“. „Cudowna uwaga“—ironizuje Prus. Stary manewr!—dodamy od siebie. Gdy się chce coś odrzucić, stawia się temu „coś“ wymagania przesadzone, przynajmniej w swoim mniemaniu. Ale jak się autor wykręci, gdy mu powiemy, że i owo wymaganie jego Bóg w pewien sposób spełnia? Spełnia je przez łaskę oświecającą, pośredniczącą między rozumem a Objawieniem, oraz przez łaskę poruszającą, która pośredniczy między wolą a Odkupieniem, jego mianowicie owocami, jakoby zaklętymi w Sakramentach. Oczywiście i te łaski również człowiek może odrzucać: ale jak odrzucenie to uzasadni? Może zażąda, żeby Bóg oświecał rozum i poruszał wolę *każdego* człowieka za pomocą cudów?! Bo łaska, lubo to czynnik nadprzyrodzony, nie jest jednakże cudem, ile, że w skład pojęcia cudu wchodzi pojęcie działania w naturze *fizycznej*. Wprawdzie znowu cud może połączyć się w jeden akt z łaską i wtedy łaska będzie cudowna, jak owa np., która nawróciła ś. Pawła. Podobną łaskę wszakże daje Bóg tylko duszom wyjątkowym, zdolnym do wykonania wyjątkowego posłannictwa, przytem—pełnym dobrej wiary w błędzie.

Czy p. N. takich cudów żąda dla każdego człowieka? W takim razie—żądanie „cudowne!“

„Kędy katechizm przeszedł po duszach ludzkich...“ Czy to Katechizm przeszedł po duszach robotników łódzkich, mordujących się wzajemnie za odmienne przekonania

ekonomiczno-polityczne? On pono po nich przeszedł, ale po jego siejbie poszedł po tych duszach plug inny i na rolę ich padło ziarno inne. Właśnie ten plug, którym orze sam p. N., i to ziarno, które on sam sieje. Kainizm łódzki—to plon z posiewu jego samego i jego braci duchowych. Wiadomo zaś, jak łatwo wszelki chwast zagłusza ziarno chlebne...

Chodzi o fanatyzm? Pojawia się on z koniecznością żywiołową wszędzie tam, gdzie są silne i gorące przekonania, braknie zaś hamulca w postaci idei miłości bliźniego. Obydwa te czynniki, wytwarzające fanatyzm, schodzą się wszędzie po za czystym, katolickim czyli powszechnym Chrystjanizmem. W sposób wybitnie jaskrawy schodzą się one w socjalizmie. Hasło walki klasowej, rozumianej w duchu socjalistycznym, to hasło nienawiści, w imię miłości ku jednej, uprzywilejowanej ideowo klasie. Że temu wywodowi ideologicznemu odpowiada wymownie rzeczywistość życiowa, widzi każdy, kto niezaślepiiony fanatyzmem partyjnym socjalistycznym. Fanatyzm partyjny przeciwników socjalizmu, w szczególności demokratów narodowych, widzi nawet więcej, niż jest w rzeczywistości, przy czem w oku własnym nie widzi ewangelicznego tramu czy belki. To prawda. Ale to znowu skutek fanatyzmu, walczącego z fanatyzmem.

Przeciwnie Chrystjanizm katolicki, który nie jest partją, który głosi miłość powszechną, bez różnicy rasy, stanu, przekonań, wyznania etc., zasadniczo biorąc, nie może wytwarzać fanatyzmu. Jeżeli zaś fanatyzm pojawia się w życiu chrześcijan, to właśnie wskutek braku chrześcijańskości, wskutek niedostatecznego ugruntowania lub wypaczenia idei miłości bliźniego. Gdy więc po za Chrystjanizmem krwiożerczy fanatyzm jest czemś naturalnem i koniecznem, to na jego gruncie wybucha tylko przypadkowo. I zgola nie sam z siebie: wywołują go fanatyzmy partyjne pozachrześcijańskie, na które też spada za to lwia część odpowiedzialności.

Pan N. ma na myśli wojnę „marjawicką“? Po stronie marjawickiej byli mordercy, po stronie katolickiej—ofiary! To fakt historyczny, któremu nikt bezstronny nie zaprzeczy. Leszno i Strykowo—to najjaskrawsze faktury tego ilustracje.

Przechodzimy do dogmatu Odkupienia.

Któż nie widzi, jak ścisły związek łączy dogmat grze-

chu pierwotnego z dogmatem Odkupienia? Jest to związek, jaki wiąże przyczynę ze skutkiem, związek przyczynowy. Ze strony Boga. Ze strony bowiem człowieka — skutkiem grzechu pierwotnego był powszechny upadek ludzkości. Posłała ona była w służbę czarta, pełniła jego wolę, jego natchnienia, jego przykazania. Służba u czarta — to niewola, straszniejsza od wszelkiej niewoli ziemskiej, ludzkiej. Tem straszniejsza, tem więcej złowroga, że osłabiana złudzeniami niepodległości myśli, woli i uczucia. Niewola, istic demoniczna. Obrazem i figurą jej — niewola żydów w Egipcie. Chrystus, Mojżesz ludzkości całej, wyprowadził ją „z ziemi egipskiej, z domu niewoli“ i przez pustynię trudów i cudów, poprowadził ją do Ziemi Obiecanej — Kościoła. Naród — za narodem... Na wolność synów Bożych, do ojczyzny ducha. Naprzód — do tej ziemskiej-nieziemskiej, aby przez nią ludzkość wywalczyła ona niebiańską, wiekuistą, nadziemską...

Jeśli by fikcją był grzech pierwotny, fikcją, też byłoby Odkupienie. Grzech ten fikcją nie jest. Ślady tej katastrofy straszliwej każdy odnajduje w duszy własnej. Tem więcej, im mocniej kto grzechu tego przeczy. Dogmat Odkupienia ze swej strony stoi mocą własną, tak, że bez niego Chrystus byłby dla nas niezrozumiały; Ewangelja, ba, całe Pismo święte byłoby mistyfikacją. Ma ono wszakże za sobą powagę, nie tylko boską, ale i ludzką, jako i inne pomniki pisane historyczne. Słowem, obadwa dogmaty potwierdzają się wzajemnie, jeden drugi tłomaczy, jeden drugiego wymaga.

Chrystus odkupił ludzkość z niewoli czartowskiej za cenę Krwi swojej: „...nie skazitelnem złotem albo srebrem jesteście wykupieni, ... ale drogą Krwią, jako Baranka niezmazanego i niepokalanego, Chrystusa; acz przejrzanego (przewidzianego) przed założeniem świata, ale czasów ostatecznych okazanego dla was...“ (I Piotra, I, 18—20).

„Czy Bóg — pyta Katechizm — na zawsze po tym grzechu (pierwotnym) odrzucił ludzkość od swej łaski?“ I odpowiada: „Obiecał zesłać Zbawiciela.“

Tak, — woła p. N., podchwytyjąc Katechizm, jak faryzeusze podchwytywali Chrystusa — ale dopiero po czterech tysiącach lat! Dlaczego człowiek, który się narodził w sto lat po Adamie, ma „czekać w otchłani“ 3900 lat, a człowiek, który urodził się w 100 lat po przyjściu Zbawiciela, ani minuty? Księża odpowiadają: tajemnica woli bożej... Tak, ale byłaby to okropna tajemnica spr-

wiedliwości bożej. Bóg jest przedstawiony w katechizmie, jako absolutny autokrata. Robi tak, bo mu się podobało... (50).

Zarzut stary, stawiany już pierwszym chrześcijanom przez pogan...

Bezwątpienia — odpowiadamy — tajemnica woli Bożej; nie tak bezwzględnie wszakże ciemna, żeby żadnego jasnego punktu w niej nie było. Tajemnice Boże są dla człowieka, jak ów słup, który wiodł żydów przez puszcze: z jednej strony jasny, z drugiej — ciemny. Strona jasna przemawia do rozumu, ciemna — jest przedmiotem wiary. Zrozumienie części wystarczy, żeby przyjąć i resztę, skoro wszystko stanowi całość. Tym sposobem wytwarza się wiara rozumna. Odrzucenie całości z powodu strony ciemnej, byłoby działaniem przeciw rozumowi. Tylko duchy ciemne, które światła nieznoszą, zwracają się ku stronie ciemnej, odwracają od jasnej.

Otóż strona jasna w tajemnicy zesłania Zbawiciela dopiero po upływie lat tysięcy, nawet więcej, niż czterech...

Zależało: i Bogu i człowiekowi na tem, aby świat przed-Christusowy dojrzał do przyjęcia Zbawcy; żeby ludzkość, przekonana o własnej ku zbawieniu własnemu bezsilności, sama wyciągnęła dłonie błagalne o ratunek do Nieba; żeby wołanie jej do Boga zetknęło się z wyrokiem przedwiecznym Bożym, jak wody morza stykają się w trąbie morskiej z wodami niebios; żeby Oczekiwany przyjęty był z wiarą i radością zaspokojonej tęsknoty oczekiwania, więc — skutecznie. Słowem, na mocy prawa ewolucji, trzeba było, aby świat przygotował się na przyjęcie boskiego Zbawcy: zarówno ze strony pozytywnej, jako i negatywnej.

Objawem negatywnym dojrzałości świata, zwanej w języku biblijnym „wypełnieniem czasów“, był powszechny krach moralny, którego klasycznych w treści i formie przykładów pełno w piśmiennictwie klasycznym. Upadek był tak głęboki, że ludzkość dojrzała także nawet do spełnienia zbrodni najwyższej, zbrodni bogobójstwa. Zabiwszy wprzód Boga w zbiorowej duszy własnej, w życiu powszechnym, gotowa była zabić Go i realnie, w postaci ludzkiej, skoroby tylko przyszedł na ziemię, aby na niej życie Boże wskrzesić. Nic to, że czynu tego materialnie dokonały dłonie żołnierzy rzymskich, a moralnie — kapłani żydowscy. Narody, które skazywały na śmierć Sokratesów

i Seneków, które mordowały wyznawców Chrystusa, które i za dni naszych mordują misjonarzy chrześcijańskich, — zdolne były lub są do tego samego czynu bogobójstwa i przeto mają swą część odpowiedzialności solidarnej, wszechludzkiej, za ukrzyżowanie Chrystusa. Ba, czy dziś, nawet w świecie chrześcijańskim, brakuje warunków, które stwarzają podścielisko odpowiednie dla rozegrania się tragedji podobnej? Nowocześni faryzeusze na gruncie katolickim, do spółki z bezwyznaniowcami, dla których bóstwo Chrystusa jest kamieniem obrazy i którzy wszczynają, niekrwawe wprawdzie, ale tem więcej szatańskie prześladowania Kościoła, dostarczyliby dość do tej tragedji aktorów... Podobne warunki istniały wśród żydów za czasów Chrystusa.

Kiedy więc człowiek osiągał w bogobójstwie nadrowy punkt buntu przeciw Bogu, Bóg wtedy doszedł do zenitu swojej dla niego miłości. Kiedy człowiek dopełniał miary swojej nieprawości, Bóg brał tę nieprawość jego, pod postacią krzyża, na swoje ramiona, na swoją duszę, na swoją odpowiedzialność. Kiedy człowiek Boga zabijał, Bóg śmiercią go męczeńską odradzał...

Jedna tylko, lecz ważna okoliczność rzuca światło łagodzące na tę najpotężniejszą na globie ziemskim tragedję, która się na pagórze Trupiej Głowy (Golgoty) rozegrała: to nieświadomość charakteru czynu ze strony człowieka. Przeto i za tę ostateczną, najwyższą zbrodnię ludzką, Chrystus, jako człowiek, błaga przebaczenia u Ojca: „Ojcze, odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią!“ (Łuk. XXIII, 34). Inna sprawa, ile tam w tej nieświadomości było złej woli, która sprowadza zaślepienie. Przy świadomości zupełnej — nawet plemię kainowe przed tą zbrodnią cofnęłoby się. Sam Judasz, lubo świadom był trochę bóstwa Chrystusowego, biorąc zapłatę zdrady, nie przewidywał jej następstw rzeczywistych. Gdy je więc zobaczył, z rozpaczą się obwiesił¹⁾.

Więc też Paweł Apostoł świadczy o bogobójcach:

¹⁾ I ten właśnie czyn, gorszy od zdrady samej, zgubił go. Rozpaczać o zbawieniu, to jeden z grzechów przeciwko Duchowi ś., o których rzekł Chrystus, iż nie będą odpuszczone, ani w tem, ani w przyszłym życiu: nie wskutek braku miłosierdzia ze strony Boga, lecz wskutek właściwości tych grzechów, uniemożliwiającej skruszę.

„Bo gdyby byli poznali, nigdyby byli Pana chwały nie ukrzyżowali“ (I do Kor. II, 8).

Zaprawdę, tragedia Kalwaryjska była niezbędna, nie tylko dla jej celu ekspiacyjnego, ale i dlatego, żeby człowiek, uświadomiwszy ją sobie, poznał pogłądowo i namacalnie straszliwą potęgę zła. Chrystusa umęczono grzech wszechludzki: w przestrzeni i w czasie. W całym też jego potwornym ogromie miał go Chrystus w boskiej swej świadomości, gdy krwawym potem się pocił na widzenie kielicha męki, który miał spełnić, i następnie, gdy wisiał na drzewie hańby, które przez Niego stało się drzewem chwały. Ta świadomość boska, której mocą Chrystus wziął na swą duszę człowieczą odpowiedzialność za grzechy świata, sprawiła, iż przeszedł On przez piekło cierpień duchowych, nieskończenie większych od cierpień fizycznych ukrzyżowania. Cierpienia owe doszły do szczytu natężenia, gdy wydobyły z ust Jego przejmującą do głębi duszy skargę: „Boże mój, Boże mój, czemuś mię opuścił?“ (Mat. XXVII, 46). Wtedy to Chrystus, jako człowiek, uczuł się opuszczonym od Boga, więc — potępionym! Albowiem potępienie polega na opuszczeniu istoty rozumnej przez Boga, na odcięciu jej od Niego, jako źródła życia i światła.

W duchu proroczym opiewa cierpienia Zbawcy Psalmista: „Ogarnęły mię boleści śmierci, i strumienie nieprawości zatrwodziły mię. Boleści piekielne obtoczyły mię, ścisnęły po powrozy śmierci“ (Psalm XVII, 5, 6).

Boska tragedia!

Żaden geniusz świata chrześcijańskiego nie sprostał szczeremu, pełnemu prostoty opisowi Ukrzyżowania, zawartemu w czterech Ewangeljach. Człowiek przeciętny, wobec tej Tragedji nad tragedjami, czując się jej spółwinowajcą, może tylko paść na kolana i korzyć się w prochu ziemi, oddając się niemej, bolesnej kontemplacji...

Milton krąży tylko około Ukrzyżowania.

W niebie, przed wiekami, odbywa się rada boska między Bogiem Ojcem a Bogiem Synem, nad zbawieniem mającego kiedyś być stworzonym i mającego zgrzeszyć śmiertelnie człowieka. Milton wkłada w usta Boga Ojca przemowę:

..... człowiek
*Nieposłuszeństwem swoim tamie wierność,
Grzeszy przeciwko panowaniu Nieba,*

*Robi się Bóstwem i tak tracąc wszystko,
Nie ma czem spłaci winy wiarołomstwa,
Jako skazany, oddany na zgubę,
Z całym potomstwem swoim umrzeć musi;
Musi umierać on, lub Sprawiedliwość!
Chyba kto inny, i zdolny, i chętny
Spłaci surowe zadośćuczynienie:
Śmierć za śmierć!...*

Tu zwraca się Bóg Ojciec do „Potęg Niebieskich“ z pytaniem, kto z pośród nich gotów poświęcić się dla człowieka. Milczenie... Wtedy zabiera głos Syn Boży i pośrednictwo swoje ofiarowując:

*Ojcie, wyrzekłeś, człowiek znajdzie łaskę.
A łaska czyżby nie znalazła drogi?
Ona, najszybsza z Twych gońców skrzydlatych,
Ona Twe wszystkie stworzenia odwiedza
Niespodziewana, nieoczekiwana,
I nieproszona, nie myślana zgoda!
Szczęście człowieka to, że przyjdzie sama,
On jej pomocy nie szukałby nigdy,
Będąc umarty przez grzech i stracony:
Tak zadłużony, upadły, nigdyby
Dostatecznego zadośćuczynienia
Złożyć nie zdołał: ale spojrzaj na mnie;
Siebie za niego dam, życie za życie!*

Bóg Ojciec ofiarę przyjmuje:

*... Tak, jako rzecz słuszną,
Człowiek zapłaci za winę człowieka.
Osądzon będzie i umrze, lecz z śmierci
Powstanie, a z nim zmartwychwstaną bracia,
Za cenę jego najdroższego życia
Kupieni. Miłość niebiańska naprawi
W ten sposób dzieło piekielnej zawiści,
Na śmierć wydając, przez śmierć i przez miłość
Zbawiając to, co nienawiść piekielna
Łatwo zburzyła i wciąż burzyć będzie
W tych, co choć mogą, nie przyjmują łaski.*

Oto boski pomysł Odkupienia! Tak prosty, a tak głęboki; tak jasny, a tak niewypowiedzialny!

Wrażliwego jednak czytelnika uderzył tu zapewne surowy, bezwzględny ton słów, które Milton wkłada w usta Boga Ojca: „Musi umierać on, lub Sprawiedliwość!“ — i: „Śmierć za śmierć!“ Słowa te, przypominające starozakonne „oko za oko, ząb za ząb“, w zestawieniu ze słowami Syna Bożego, przepełnionymi miłością bez granic, wywołują świetny efekt kontrastu. Ale właśnie ten kontrast razi zgrzytem dysonansu. Wszak owa narada niebieska odbywa się między spólistotnymi sobie Osobami jednego, jedyne Boga! Już więc z teologicznego punktu widzenia, w owej świetnej retorycznie antytezie tkwi fałsz, który wyraża się w rozdziale absolutnym między Sprawiedliwością a Łaską. Skoro Bóg jest Harmonją Najwyższą i trzy Osoby boskie spóldziałają z sobą doskonale, nie można czynić Ich uosobieniami sprzecznych poniekąd przymiotów.

Pospieszamy z wyjaśnieniem, że to nie jest idea katolicka. Tajemnica tego zjawiska tłumaczy się prosto: Milton był protestantem, z surowej odmiany angielskich purytanów. Dlatego, jak mówi o nim Julian Klaczko w swoich „Wieczorach Florenckich“, jest on „zupełnie potężnym, zupełnie sobą tylko wówczas, kiedy za przedmiot ma upadek i potępienie“ (191).

Alighieri, ów Homer katolicyzmu, również dotyka sprawy Odkupienia. Z jaką przytem subtelnością i jak prawowiernie! Gdy u Milтона, jako protestanta, razi mocno kontrast między Sprawiedliwością a Łaską, to u Dantego Sprawiedliwość i Łaska między sobą, ze strony Boga, oraz grzech i zasługa ze strony człowieka, tworzą symfonię doskonałą. Oto Beatrix tłumaczy mu sprzeczność pozorną, jaka zdaje się tkwić w pomście Bożej na pomstę Bożą: śmierci Chrystusa bowiem wymagała pomsta za „grzech starożytny“ (pierworodny), tymczasem Bóg pomścił samą śmierć Zbawiciela, śląc przeciwko żydom Tytusa:

*Więc, gdy na krzyżu pomiesioną karę,
Z naturą¹⁾, którą Chrystus na się przyjął,*

¹⁾ Z naturą ludzką, która choć w osobie Chrystusa była czysta i nieskalana, jednakże, jako spólistotna z naturą upadłego rodu ludzkiego, uczestniczyła w jej upadku, jego skutkach, owszem, wzięła go na swoją odpowiedzialność.

*Mierzyć będziemy, — przyznamy, że nigdy
Tak sprawiedliwie nie dojeła żadna.
Lecz też bezprawna żadna tak nie była,
Wzgląd na osobę¹⁾ mając, co cierpiata,
I co na siebie naturę tę wzięła.
Takto czyn jeden różne wydał skutki;
Śmierć bowiem jedna równie była miłą
Bogu i żydom: przez nią ziemia drżała
I niebios przez nią rozwarły się bramy²⁾.
Nietrudno teraz pojmować ci będzie,
Jeśli ktoś powie, że ta pomsta słuszną
Pomszczona była przez sąd sprawiedliwy.*

I jakże miałyby zbrodnia najwyższa pozostać bez najwyższej kary? O ile zaś była nieświadoma sama siebie, jakżeby ją sobie kiedyś uświadomili winowajcy?

Za dni naszych nawiedziła żydów całego świata wzmogona fala powrotna marzeń sjońskich, na tle żywego wciąż oczekiwania Mesjasza. My jednak wiemy, że one nie spełnią się nigdy, przynajmniej póki będzie trwało zaślepienie.

Spółcześnie z chybioną ideą mesjańską żydów, jako negacja spełnionej tejże idei chrześcijan, rośnie i rozwija się w duszy żydowskiej duch antychrystowy. Wzrasta z pokolenia na pokolenie, aż kiedyś wcieli się w skończonego, doskonałego Antychrysta. Ten, gdy przyjdzie, powitany będzie przez żydów, jako Mesjasz. Będzie to genialny samozwaniec i szalbierz, który wyzyska: z jednej strony wiarę chrześcijan w powtórne, ostateczne przyjście Chrystusa, — z drugiej — wiarę mesjańską żydów, i kłkietując jednych i drugich, wszystkich bez mała uwiedzie.

Spełni się przepowiednia Chrystusa o żydach: „Jam przyszedł w imię Ojca, a nie przyjmujecie mnie: przyjdzie inny w imię *swoje* (samozwaniec z natchnienia szatana), onego przyjmiecie“ (Jan, V, 43).

Bo też Antychryst, obok genialności, będzie człowiekiem nad wyraz sympatycznym, kulturalnym, tolerancyjnym. W dachu dzisiejszych masonów i wogóle bezwyznaniowców... Urzeczywistni pokój powszechny, rozwiąże pro-

¹⁾ Na osobę boską Chrystusa.

²⁾ Zamknięte przez grzech, rozwarły się przez zadośćuczynienie Chrystusowe.

blemat socjalny, napełni ziemię szczęściem, oraz chwałą swego imienia. Wszystkim religjom i wyznaniom będzie zarówno schlebiał, żeby wyznawców ich znieczulić na różniące ich dogmaty, ścieląc żydom drogę do panowania wszechświatowego. Do celów swoich będzie się posługiwał ideałami moralnymi Chrześcijaństwa, wyzyskując niedomagania na tym punkcie — chrześcijan. Słowem, ubierze się we wszystkie pozory mesjańskie, mażąc starannie samo Imię Chrystusa.

Otworzy karty dopiero wówczas, gdy spotka się z oporem garści wiernych Chrystusowych, którzy uwieść się nie dali, przejrawszy zdradę Antychrysta. To będzie początkiem jego końca, a początkiem tryumfu Chrystusa. Zdemaskowany, — zginie z ręki żydowskiej. Żydzi tymczasem, ostatecznie w odwiecznych nadziejach swoich zawiedzeni, przejrzą nareszcie na oczy. I połączą się z połączonymi wskutek prześladowań ze strony Antychrysta chrześcijanami wszystkich wyznań, pod prymatem Piotra. Tak ostateczny zamach na Chrystusa przyczyni się do Jego ostatecznego tryumfu...¹⁾

Oto celowość kary, która spotkała żydów za odrzucenie Chrystusa. Odrzucenie za odrzucenie: ale na to, aby żydzi do Chrystusa się nawrócili. Tymczasem, są oni ży-

¹⁾ Niezmiernie interesującą opowieść o Antychryście podaje Solowiej w zakończeniu swoich „Tri razgowora“. Jej realizm historyczny wywołuje w wysokim stopniu wrażenie prawdopodobieństwa; zgodność z danymi biblijnymi nadaje jej charakter proroczy. Według tej opowieści, Antychryst zostanie z wyboru imperatorem wszechświatowych Stanów Zjednoczonych. Początek zjednoczeniu naprzód Europy — da najście na nią mongolów. Stolicą wszechświatowego imperatora będzie z początku Rzym, wskutek czego papieństwo przeniesie się do Petersburga, — potem Jerozolima. Nie będzie on jednak żydem, jeno będzie się za niego podawał. Zdradzi go w końcu brak charakterystycznego dla żydów znaku... Zdaniem naszym, przypuszczenie to nie jest dość uzasadnione psychologicznie: żydzi są urodzonymi i dziedzicznymi wrogami Chrystusa; jak Chrystus, tak i Antychryst wyjdzie z łona narodu żydowskiego. Solowiej podkreśla okoliczność, że na dnie duszy żydowskiej, bez względu na poziom inteligencji, tleją wiecznie marzenia sjońsko-mesjańskie, wybuchające periodycznie żywym płomieniem. Że żydzi z tem się kryją, a bezwyznaniowi poplecniacy ich tego nie widzą, rzecz naturalna. Dziwne atoli to, że nawet niektórzy katolicy, usposobieni zbyt realistycznie, również tego nie widzą i społecznemu ruchowi sjonistycznemu przypisują wyłącznie charakter narodowo-polityczny. — Rzecz, ogłoszona na kilka lat przed wybuchem wojny rosyjsko-japońskiej, zapowiada zabór Korei przez Japonję, jako początek ruchu panmongolskiego.

wymi świadkami dokonanego Odkupienia wśród narodów chrześcijańskich, oraz, przez swoją propagandę antychrześcijańską, probierzem ich wiary. Z tego punktu widzenia, kara ukazuje się nam jako łaska, jako wyraz troski Bożej o najwyższe dobro człowieka, o jego zbawienie.

„Jakież były objawy pozytywne dojrzewania świata ku przyjęciu Chrystusa?”

Podobno Kaligula powiedział, że gdyby ród ludzki miał jedną głowę, ścialby ją bez namysłu za jednym zamachem. Sam znikczemniały, cesarz widział mimo tego znikczemnienie świata. Przecież dlatego, że nikczemny, nie widział wśród ludzkości nic dodatniego, gdy jednak coś jeszcze istniało.

Podłożem objawów dodatnich były tradycje powszechne narodów, nakazujące oczekiwać przyjścia Zbawcy: zarówno czyste i nieskażone tradycje biblijne żydów, jako i zamącone pierwiastkiem mitycznym tradycje pogan, które były przedmiotem żywych a wykretnych krytyk dla pisarzy XVIII wieku, zwłaszcza dla francuskich encyklopedystów, a którymi dziś już nikt z obozu przeciwników naszych się nie zajmuje, jak gdyby one zgoła nigdy nie istniały. Dzisiejszemu też czytelnikowi świeckiemu wyda się zapewne czems nieprawdopodobnem to, co jest faktem historycznym, a co stwierdzimy tuż poniżej.

Któż nie zna mitu o Prometeuszu? Któż jednak zna ten jego punkt, że cierpienia Prometeusza miały skończyć się z chwilą, gdy któryś z bogów za niego ucierpi: punkt upamiętniony w tragedji Eschylosa o „Prometeuszu przykutym.” I któż tu nie pozna w mitycznym porywcy ognia z niebios — biblijnego Adama z jego potomstwem? Ten atoli szczególnie mitu greckiego, uległ powszechnemu niemal zatraceniu w świadomości ludzkiej. Już pod piórem poetów starożytnych ów mit uległ modyfikacjom, tak, że dziś w postaci Prometeusza widzimy jedynie symbol rwącego się wciąż naprzód ducha ludzkiego, który walczy o ideały kultury i tę walkę przypłaca cierpieniem ze strony poziomych epimetejskich duchów ludzkości. Przecież fakt pozostaje faktem, że w wyobraźni ludowej greków, następnie i rzymian, mit o Prometeuszu ma przedewszystkiem znaczenie religijne, jest wyrazem świadomości upadku, oraz wiary w Odkupienie, przekazywanej mocą podania z pokolenia na pokolenie, z narodu na naród.

Stosownie do tendencji, kładzie się nieraz wyłączny

nacisk na cierpienia Prometeusza, przykute go na rozkaz Zeusa do skały Kaukazu. W tem zastosowaniu, ma i Biblia Starego Testamentu swojego Prometeusza w postaci Hijoba, który walczył z Bogiem i „strofował” Go za dopuszczone nań cierpienia. W tem również zastosowaniu, któż w Osobie Chrystusa, jako człowieka przybitego do krzyża, nie obaczy Prometeusza Chrześcijaństwa, pokutującego zastępczo za rodzaj ludzki? Wszak cierpiący niewinnie Hijob jest figurą proroczą Chrystusa!

Zresztą, wiara w Odkupienie wyrażała się wielorakimi innymi sposobami, nawet w czynie. Streszcza je autor „Wieczorów nad Lemanem”: „Antropomorfizm ¹⁾, teofanje ²⁾, zstępowanie na ziemię bogów w religjach politeistycznych, są jakby wyrazami tęsknoty, błagania ludzkości, by się bóstwo do niej przybliżyło, — inaczej mówiąc: są aspiracjami do Wcielenia Słowa... Nawet ofiary krwawe, nawet ofiary z krwi ludzkiej są wyrazem głucho przez ludzkość odczute go, a może z pierwotnych podań mglisto zapamiętanego stanu upadku i potrzeby Odkupienia.”

Jakób, patriarcha żydowski, przepowiadał swoim synom na łożu śmierci: „Nie będzie odjęty scepter (berło) od Judy,... aż przyjdzie, który ma być posłan, a On będzie oczekiwaniem narodów” (Gen. XLIX, 10).

Spełnienie się tego proroctwa stwierdza Plutarch, żyjący w I-ym wieku po Chrystusie: „Mniemanie to bardzo starożytne, tak się wraziło we wiarę i przekonanie ludzkie, iż niema sposobu go wyrwać i zniszczyć: tak dalece upowszechniło się, nie tylko w domowych rozmowach i pospolitym odgłosie, lecz i w ofiarach i obrządkach religijnych, tak u narodów barbarzyńskich, jako i u greków” ³⁾.

Owe tradycje, jak promienie słoneczne w soczewce, ogniskowały się w świadomości wybrańców: proroków Starego Zakonu z jednej strony, filozofów pogańskich — z drugiej.

„Obyś rozdarł niebios a i zstąpił!... — woła Izajasz: —

¹⁾ W znaczeniu bałwochwalczem, które nie rozróżnia między wyobrażeniem zmysłowym, a pojęciem duchowym.

²⁾ Z greckiego: zjawienie się, objawienie. Teofanją zowie się też w Kościele Wschodnim uroczystość Trzech Króli, iż Bóg-Chrystus objawił się im, jako przedstawicielom świata pogańskiego.

³⁾ Nicolas: „Wywód Prawdy Chrześcijańskiej”. Str. 123. Wyd. z r. 1856. — Istna to kopalnia szczegółów w tym przedmiocie.

„od oblicza Twego góryby spływały“ (LXIV, 1). Gdzieindziej błaga; „Spuśćcie rośnię niebios z wierzchu, a obłoki niech spuszcza z dżdżem Sprawiedliwego: niech się otworzy ziemia i zrodzi Zbawiciela, a sprawiedliwość niechaj wnijdzie spolem“ (XLV, 8).

„Niechaj więc On przyjdzie! — wtórował Platon Izajaszowi — i niech rozproszy tę pomrokę“. I przeczuwał: „Mam nadzieję w dobroci Bożej, że ta chwila niezbyt odległa“¹⁾. Było to na 400 lat przed Narodzeniem Chrystusa.

Natężenie oczekiwania na przyjście jakiegoś nadzwyczajnego Mędrca, Zbawcy, Mocarza, Zdobywcy, Prawodawcy, Monarchy powszechnego, który przywróci panowanie sprawiedliwości, z biegiem czasu wzrastało, w miarę, jak powszechny upadek moralny stawał się coraz to głębszy, coraz to bardziej, dla pozostawionych samym sobie sił ludzkich, beznadziejny. Bo nawet usiłowania moralne Sokratesów i ascetyczne Pytagorasów okazywały się jałowe, bezsilne, nie sięgały do ludu, ograniczały się do małych szkółek filozoficznych, które niemal razem ze śmiercią twórców ich upadały. Co więcej, sami Sokratesowie hołdowali zwyczajowym wtedy występkom, które dziś są celem szderczej chłosty na plecach Moltków i Eulenburgów.

Więc też sam Sokrates przyznaje i świadczy: „Nie możemy spodziewać się, żeby się nam udało naprawić obyczaje ludzkie, aż chyba by podobano się Bogu zesłać kogoś od siebie, ktoby nas nauczył, co czynić należy“²⁾.

Podobnie Seneka: „Nikt nie jest tak silny, aby sam mógł wydobyć się z bagniska, w któreśmy zabrnęli. Ktoś inny przyjść musi, by podać nam rękę zbawczą“. W chwili, gdy Seneka to pisał, Chrystus był już na ziemi.

Mam-że wspomnieć jeszcze o Sybillach, onych starożytnych wieszczkach pogańskich, króre, obok losów królestw, wieszczły także przyjście Zbawcy, narodzonego z Dziewicy? Ojcowie Kościoła i pierwsi apologety Chrześcijaństwa powoływali się na wieszczby sybillińskie przeciw poganom i wielu przekonywali. W bazylice loretańskiej, w której, wedle pobożnej wiary chre-

¹⁾ Tamże, 122. Platon wkłada te słowa w usta uczestników swego dialogu: Sokratesa i Alcibiadesa.

²⁾ Nicolas, 122. Platon w „Apologii Sokratesa“.

cjan, przechowywany jest, cudownie do Loreto przeniesiony, prawdziwy domek nazaretański Najświętszej Rodziny, — w niszach ścian z białego marmuru, domek ten sposobem kaplicy otaczających, stoją posągi dziesięciu znanych Sybilli. Trzymają one w rękach rozwarte księgi, na których złotymi głoskami wypisane są proroctwa ich o Zbawicielu i Jego Matce. Oto np. proroctwo Sybilli Libijskiej: „Przyjdzie dzień, w którym Księżę wieczności oświeci uradowaną ziemię i zgładzi zbrodnie ludzkie. On wymierzy wszystkim sprawiedliwość. Święty Król, który żyje po wszystkich czasach, będzie spoczywał w łonie Królowej świata“. Oto drugie — najślawniejszej ze wszystkich Sybilli Kumejskiej: „Syn Boga, pełen pokory, wybierze sobie niepokalaną Dziewicę za matkę“.

Obok Sybilli, w innych niszach, siedzą posagowe postacie proroków Izraela, tego proroka ludów oraz ludu proroków. Podobnie hymn „Dies irae“ łączy Dawida z Sybillą.

Zresztą, do pomienionych proroctw sybillińskich nie przywiązujemy zbyt wielkiej wagi. Autentyczne księgi sybillińskie, przechowywane w Kapitolu, spłonęły wraz z nim na 83 lata przed Chrystusem. Te zaś, które istnieją dotychczas, są kompozycjami chrześcijan i żydów, fabrykowanymi *ex post*, w duchu wierzeń jednych lub drugich. Walczono ze sobą za pomocą fikcji prorockich. Niemniej podanie ma swoją powagę. Bliżsi podania o Sybillach Ojcowie Kościoła — wiedzieli, na co się powołują, tem więcej, że krytycyzm owej epoki, w przeciwieństwie do średnich wieków, zmuszał do krytycyzmu poważnych obrońców i budowniczych Kościoła. Wreszcie co dziwnego, że Sybille wieszczły to, czem była przeziąknięta atmosfera umysłów ludów starożytnych? Podobnie, jak umysły ludów chrześcijańskich zwracają się ku końcowi świata, ku powtórnemu przyjsciu Zbawiciela i Sądowi Ostatecznemu, — ludy przed-Chrystusowe wyglądały ratunku z Nieba.

Stwierdza to pomimowoli nawet Wolter. „Od niepa-
miętnych czasów — mówi on — było pewnikiem u indjan i chińczyków, że Mędrzec przyjdzie z Zachodu; w Europie wierzono przeciwnie, że ze Wschodu“¹⁾.

Powiedzieliśmy: *pomimowoli*. Albowiem — kto da temu

¹⁾ „Essai“, 15. Z „Nauk Apolog.“ ks. Szelańska, str. 123.

wiarę? — w owym stwierdzonym przez siebie fakcie historycznym Wolter upatrzył sprzeczność!! Uwierzyć temu jednak, musimy: rzekoma sprzeczność zaznaczona jest wyraźnie w słowach: „wierżono przeciwnie“. Pogromca wiary naszej nie zmiarkował, że Palestyna w stosunku do Europy leży na wschód, a Indje i Chiny — na zachód. Oto geograf-niedowiarek!

Jeszcze jeden szczegół. Prorok Starego Zakonu, Daniel, przepowiedział, że ofiary religijne ze zwierząt ustaną, gdy spełni się Ofiara Krzyżowa (IX, 27). A oto Plinusz pisze do Trajana (wiek I—II), że ofiary zalegają rynki, a nikt już ich nie kupuje! Podobnie ofiary ustały i u żydów, już z chwilą zburzenia świątyni Salomona, co Daniel również przepowiedział, a co nastąpiło w roku 70-tym po Narodz. Chrystusa, zatem w 37 lat po Jego śmierci krzyżowej. Wiadomo, że Julian Apostata, chcąc zadać kłam prorocत्वom, dotyczącym świątyni Salomona i ofiar, postanowił ją odbudować i kult żydowski wskrzesić. Wiadomo również, lubo mało komu ze świeckich, że zamiary te i przedsięwzięcia rozbiły się o przeszkody iście cudowne. Z pod poruszonych gruzów świątyni wyskakiwały kule ogniste, które wszelką robotę udaremniły. Zamyśl cezara Odstępcy przyczynił się jedynie, do tem dosłowniejszego spełnienia się proroctwa Chrystusa: „kamień na kamieniu nie zostanie“ (Mar. XIII, 2), oraz Daniela: „i będzie w świątyni brzydkość spustoszenia...“ (IX, 27).

Z faktu oczekiwania Zbawcy wyprowadzamy krótki wniosek: gdzie żyła tęsknota za zbawieniem z topieli moralnej, za sprawiedliwością, tam były zadatki odrodzenia. W miarę szerzenia się i potęgowania zła, potęgowała się i szerzyła nadzieja przyjsia Oczekiwanego. I to były objawy pozytywne, dodatnie, dojrzewania świata ku przyjsiu Chrystusa.

Oto dlaczego człowiek, który narodził się w 100 lat po Adamie, musiał czekać w otchłani lat 3,900¹⁾, a człowiek, który i t. d. Krótko mówiąc: na mocy prawa ewolucji historycznej. Sprawiedliwi zresztą żyli w otchłani nadzieją wyzwolenia, a żadnych mąk nie cierpieli. Musieli

¹⁾ Jeżeli rzeczywiście tylko 4,000 lat upłynęło od Adama do Chrystusa, oraz jeżeli ludzie, którzy się urodzili przed Adamem, w tej chwili umierali. Bo p. N. ani jednego roku życie im nie zostawił.

też doświadczyć ogromnej, nadludzkiej radości, która powetowała im tęsknotę oczekiwania, gdy w końcu zostali wyzwoleni. Zważmy przytem na szalach sprawiedliwości okoliczność, że tysiące lat w obliczu wieczności są niczem. Kategoria czasu nie istnieje za grobem...

Czy atoli panu N. istotnie chodzi o „krzywdę“ ludzi żyjących przed Chrystusem? Czy jemu nie chodzi raczej o podsunięcie czytelnikowi starego twierdzenia niedowiarstwa, że przyjsie Chrystusa było zdarzeniem zupełnie przypadkowym, że więc oczekiwanie Go powszechne było tylko „marą powszechną?“

Mara powszechna! Tkwi tu sprzeczność zasadnicza. Czy można przypuścić, aby cały ród ludzki, razem ze swoimi mędracami, jednocześnie, w sprawie wagi pierwszorzędnej, ulegał jednej i tej samej marze? Czy raczej ten, kto tak mniema, nie jest zahypnotyzowany marą, jakoby był wyjątkowym, nadludzkim mędrce?! Dziwna jednak rzecz, że owa „mara“ powszechna stała się rzeczywistością, spełniła się; a owa mara wyjątkowa okazuje się rzeczywście marą, nielogiczną, marą niewiary!

„Dopiero po upływie czterech tysięcy lat!“ A jednak dla wielu znać jeszcze zawczasie, skoro nawracają do starego ateizmu i ponawiają próby wprowadzenia etyki bez Boga. Zawczasie, bo mniejsza byłaby odpowiedzialność ich przed Bogiem, gdyby byli błędzili tak, jak błędzą, żyjąc w czasach przed Chrystusem.

„Biada tobie, Korożain, biada tobie, Bethsaido! Bo gdyby się byli w Tyrze i Sydonie cuda stały, które się stały w was, dawnoby były we włosiennicy i popiele pokutę czyniły.

„Wszakże powiadam wam, Tyrowi i Sydonowi lżej będzie w dzień sądny, niżli wam.

„A ty, Kafarnaum, iżali się aż do nieba wzniesiesz? Aż do piekła zstąpisz? bo gdyby się byli w Sodomie cuda stały, które się stały w tobie, śnaćby były zostały aż do dnia tego.

„Wszakże powiadam wam, iż znośniej będzie ziemi sodomitów w dzień sądny, niżli tobie“ (Mat., XI, 21—24).

Ludzie w rodzaju p. Niemojewskiego, żyjąc pośrodku Chrześcijaństwa, wytwarzają sobie sztucznie warunki, któreby usprawiedliwiły życie pogańskie. Ile w tem złej woli, tyle odpowiedzialności przed Bogiem...

Rzecz trochę dziwna, że p. N. nie postawił Bogu za-

rzutu z faktu, iż nie wszystkie narody i ludy powołane zostały odrazu, jednocześnie do Chrystusa. Dziw, że oszczędził go Bogu, choć się sam nastroczał. Przecież i na ten zarzut odpowiemy. Podobny do tamtego, rozwiązuje się on podobnie jak tamten.

Następstwa prawa ewolucji, w zasadzie krzywdzące do czasu jednych, uszczęśliwiające wcześniej drugich, równoważą się prawem sprawiedliwej proporcji między darem a obowiązkiem. Prawo to oznajmił nam Chrystus: „A on sługa, który poznał wolę Pana swego, a nie nago-tował, ani uczynił wedle woli Jego, wielce będzie karany; ale który nie wiedział, a uczynił co godnego karania, ma-ło będzie karany. A od każdego, któremu wiele dano, wie-le żądać będą...” (Łuk. XII, 47 — 48). Także i w przypo-wieści o robotnikach, powoływanych różnymi czasy do win-nicy Pańskiej, a w końcu jednakowo wynagrodzonych. (Mat. XX).

Ciekawe zjawisko! Pewnego pokroju umysły, które przysięgają na teorię ewolucji w przyrodzie, bywają bar-dzo nią zgorznione w dziejach. Chciałyby one gwałtem, bodaj brauningiem i bombą, od jednego zamachu zmienić oblicze ziemi według swoich, *notabene* utopijnych progra-mów. W tej gwałtownej tendencji upatruję źródło zarzu-tu p. N., przeciwko „okropnej” tajemnicy sprawiedliwości Bożej. Ponieważ zaś p. N. nie pisze się na program dzie-jowy Boga, ale mu swój własny przeciwstawia, tedy żeby go zwalczyć, podnosi tendencyjnie skalę wymagań, sta-wianych Bogu, aż do cudaczności, i tym sposobem uza-sadnia odrzucenie tego, co Bóg uczynił dla człowieka rze-czywiście.

Idąc w tym kierunku konsekwentnie, doszlibyśmy w końcu do żądania, żeby Bóg zakończył dzieje w sposób ultra-cudowny, bez pracowitego i bolesnego udziału czło-wieka, więc bez możliwości rozwoju sił jego duchowych, oraz bez możliwości zdobycia przez niego jakichkolwiek zasług. Czy jednak ta konsekwencja, „wyciekająca” z wymagań p. N., byłaby w zgodzie z innymi jego postulatami, jak: absolutna niedopuszczalność cudów, oraz godność czło-wieka? Tak, p. N. jest osobiłym autokratą umysłowym. Myśli tak, bo mu się podobało. A podobały mu się, za-iste, dziwne rzeczy...

Dla nas to rzecz zrozumiała. Spojonemu myślą nie-podległą wydaje się, jak Adamowi po spożyciu owocu za-

kazanego, że już mu „boskości wyrastają skrzydła”. Co jednak będzie, gdy wywietrzeje „siła zdradna owocu, roz-weselająca i tumaniąca oparem rozkoszy”? Adam i Ewa rychło spostrzegli:

*Że otworzone mieli oczy, ale
Umysł ściemniony. Zginęła niewinność,
Co, jak zastona, kryła przed ich wzrokiem
Wiadomość złego; słuszną ufność w sobie,
Wrodzona prawda i godność zniknęła,
Nagich oddając winnemu wstydowi,
Co się osłania, lecz go ta osłona
Odkrywa jeszcze bardziej...¹⁾*

Podobne objawy my na panu N. już spostrzegamy. Kiedy spostrzeże je on sam? Kiedyś jego też oczy otworzy się muszą. Im później—tem gorzej. Lepiej późno, niż wca-le za życia ziemskiego. Byle nie zapóźno, za grobem!...

I jakimże, na litość Bożą, prawem, zarzuca Bogu przyćmienie ludziom rozumu ten, kto tak uporczywie od-rzuca światło Boże i sam sobie rozum zaciemnia?!? I ja-kim prawem chce nadto pograżyć w swoich ciemnościach dusze prostaczków? Jakiem prawem odbiera im ich słoń-ce, a daje wzamian kopczą łożówkę? Jakiem prawem?!?

Prawem przekonania? Ależ on razem ze swoją sio-strą sjamską, p. Izą Moszczeńską, ze swojami przekonania-mi religijnymi powinienby iść na ławę szkolną! Skoro zaś tej konieczności nie uznaje, tedy sadzamy go wobec opinji publicznej na ławie oskarżonych i oskarżamy go, że bę-dąc nieukiem, poważa się uczyć innych, przyczem w nau-czaniu swoim okazuje na każdym kroku, prócz nieuctwa, jeszcze złą wolę, na szkodę nieobliczoną społeczeństwa!

Zmierzamy ku zakończeniu tego, z konieczności dłuż-szego rozdziału.

¹⁾ Z głębokiem zrozumieniem duszy ludzkiej, Milton, jako skutek upojenia duchowego nieprawą żądzą zrównania się z Bogiem, podaje chęć cielesną: „Ale inne zdradliwy owoc w nich wytwarzał skutki, chucią cielesną, dziką, zapalając. Lubieżnym wzrokiem on patrzy na Ewę, ona mu równem odpląca spojrzeniem, żądza ich pali; aż nareszcie Adam tak ją do pieśczęt pociągać zaczyna...” Tak się nisko spada z wyżyn my-sli niepodległej!

Jesteśmy u mety w rozważaniu szeregu kwestji, podniesionych przez p. N., w których zło przeciwstawia się Bogu, jako pozorna sprzeczność, która jednak wielu dręczy, wielu odbiera wiarę, wielu służy jako brutalny obuch do zabijania wiary w duszach cudzych. Iluż to ludzi myśli z Asnykiem:

*Ręką ziemskiego dotknąłem się błota,
Widziałem zbrodnie, nie widziałem kary,
Oprócz boleści i nędzy żywota
Nic nie widziałem i zbrakło mi wiary,
I dalej w ciemność poszedłem z rozpaczą.*

Grzech pierworodny jest źródłem, z którego zło wszelkie wyciekło brudnym strumieniem i zalało ziemię. Grzech ten więc najsilniej zdaje się przeczyć Boga. Posłuchajmy jednak, co mówi o tem z czysto naukowego punktu widzenia, cytowany przez Prusa wolnomysliciel angielski, Jevons:

„Hipoteza, uznająca Istotę wszechmocną i wszechdobrą, także wygląda na sprzeczność logiczną; albowiem istnienie choćby najmniejszego zła i nieszczęścia już na pozór dowodzi, że owa Istota, albo jest niezupełnie wszechmocna, albo niezupełnie wszechdobra... Lecz jeżeli my nie możemy uniknąć sprzeczności nawet w dziedzinie geometrii elementarnej, to czy możemy spodziewać się, że najwyższe zagadki bytu pokażą się nam zupełnie jasnymi?... My ciągle znajdujemy się w położeniu umysłów skończonych, usiłujących rozstrzygać zagadnienia nieskończone; czyliż nie można przypuścić, że tam, gdzie my widzimy tylko sprzeczność, umysł nieskończony nie odkryłby najdoskońalszej harmonji logicznej?“¹⁾

Rozumowanie, nadzwyczaj ostrożne i wstrzemięzliwe, jakby rachujące się z możliwym terorem moralnym ze strony panującej niemal wszechwładnie, a całkiem despotycznie, myśli niezależnej.

Nam wiara nasza pozwala na większą śmiałość. Ukazuje nam ona Odkupienie, które na ponure mroki zła, rzuca boskie światło wszechmocy i wszechdobroci Boga.

Na widok też dokonanego dzieła Odkupienia, mając już przed oczami tryumf zmartwychwstałego Chrystusa, tryumf nad grzechem i śmiercią, śpiewa Kościół w cudnem wielkosobotniem „*praeconium paschale*“: „*O felix culpa, quae talem ac tantum meruit habere Redemptorem!*“ — „O, szczęśliwa wino, któraś zasłużyła mieć takiego i tak wielkiego Odkupiciela!“

W świetle nauki chrześcijańskiej, zaiste, grzech i cierpienie nietylko godzą się z istnieniem Boga, lecz nadto są powodem objawienia nieskończonej mądrości Jego i miłości. W tem świetle, Coppée ujrzał cierpienie, jako rzecz dobrą i błogosławioną, co wypowiedział w swojej „*La bonne souffrance*“. W tem też świetle, Oskar Wilde, człowiek karany więzieniem za występki przeciw szóstemu przykazaniu, widział grzech, gdy w duszę bohatera swego, Doryana Gray'a, włożył rozmyślanie, jako sens moralny jego zwichniętego życia:

„O, w jakże przekłętej chwili dumy i zaślepienia modlił się, by portret nosił brzemie jego dni, on zaś zachował nieskażony wdzięk wiecznej młodości! Wszystkie jego błędy stąd pochodziły. Lepiej byłoby, gdyby każdy grzech jego życia sprowadzał był szybką, pewną karę... Modlitwa człowieka do Boga nie powinna brzmieć: *I odpuść nam nasze winy*, lecz: *Karż nas za nasze przewinienia!*“

Spółczesny artysta-malarz, Łukasz Merson, przedstawił symbolicznie ideę Odkupienia. Przybyła do Egiptu, w ucieczce przed siepaczami Heroda, Świętą Rodzinę, zaskoczyła w pustyni noc. U stóp Sfinksa spoczywa Józef, obok niego leży porzucona laska podróżna, nieopodal osieł wierzchowy, uwiązany u kołka, skubie skąpą trawę. A Najświętsza Dziewica z Dzieciątkiem w glori u łona, ułożyła się w pozycji nawpół siedzącej — między łapami, w objęciach Sfinksa... Sfinks przemówił! Zagadka bytu ludzkiego, dręcząca ludzkość, rozwiązana! Przemówił, i już nie będzie więcej strącał ludzi w przepaść zwątpienia.

Chyba tych tylko, którzy straceni być chcą, których ciemne duchy lubują się w ciemnościach i znieść nie mogą ogromnej jasności Bożej, którą świeci Chrystus...

*Chwała Tobie, Chryste, na wysokiej górze,
A nam, ludziom, pokój na niskim pagórze!*

¹⁾ „Podstawy Nauki. Traktat o Logice“.

ROZDZIAŁ VII.

Bóstwo Chrystusa. Dziewictwo Marji.

Stolica Ciemnogrodu przedstawia się z pewnego względu, jako wielkie fałszerstwo stolicy Chrześcijaństwa, Rzymu. Pomijając kapitalną różnicę, jaka zachodzi pomiędzy niebem Miasta Wiecznego, głęboko błękitnem i rozświetlonym, a niebem Ciemnogrodu, pokrytem chmurną oponą czarnych dymów, — widok stolicy „niepodległych“ uderza oczy przybysza, mnóstwem kominów artystycznych, nadto jeszcze drugiem mnóstwem wież, wieżyczek i kopuł. Rzekłbyś, miasto świątyn! Gdy jednak przyjrzesz się bliżej tym wieżom, wieżyczkom i kopułom, tedy zamiast krzyżów, ujrzysz na ich szczytach jakieś obce ci godła i emblematy: to gwiazdy sześciopromienne, utworzone z dwóch skrzyżowanych trójkątów, to młotki i kielnie, to węgielnicze z cyrkłami.

Czy to świątynie jakiej nowej religji? Tak i nie. Są to przeważnie domy mieszkalne, o czym świadczą szeregi okien, lecące równolegle do siebie piętrami, ale zawsze tylko od północy. W każdym jednak takim domu jest wspólny dla wszystkich jego lokatorów salon-kaplica, gdzie oddają oni cześć boginiom Rozumu i Wiedzy, których przedstawicielami są zwykle jakieś Nany: a także — bogom Siły, na których powoływani są Pytlasińscy i Cyganiawicze. Albowiem równouprawnienie płci przeprowadzono tam z całą konsekwencją. Poza tem, są i świątynie specjalne, publiczne dla wszystkich. Są to panteony, poświęcone

ubóstwionym wielkościom ciemnogrodzkim, osobne dla każdego ich rodzaju, pełne wewnątrz posągów; krematorja, świątynie Śmierci, pełne marmurowych urn z popiołami zmarłych; wreszcie i świątynie-salony z temsamem przeznaczeniem, co i owe prywatne.

Zarówno życie i śmierć pełne są tam rozkoszy. Nikt nie umiera wśród cierpień i boleści, śmiercią naturalną. Wynaleziono sposoby umierania w czasie dowolnym, wśród rozkosznych wizji, poprzedzanych niemniej rozkosznymi sensacjami. Termy starożytnych rzymian, w których nie raz popełniano samobójstwa, wywołują na usta obywateli Ciemnogrodu okrzyk wzgardy: „*O, Romani, vos infantes estis!*“ — „O, rzymianie, dziećmi jesteście!“ Śmierć — to wielka uroczystość rodzinna, lub nawet publiczna, jeśli się jej poddaje obywatel znakomity i zasłużony. Uroczystość — o charakterze balowym. Żadnych żalów: jęków, zawodzeń! Jeno śmiech, wesele, gody, kończące się orgją.

Wprawdzie kandydaci do krematorjum nie zawsze z własnej ochęty chcą umierać. Ale i na to są sposoby bardzo humanitarne, żeby tę ochęć obudzić, mianowicie, gdy kto okaże się już do życia niezdolnym, albo gdy czyja śmierć leży w interesie mających zamiar żyć dalej. Wydoskonalone narkotyki spełniają zadanie swoje znakomicie. Podobnie, jak w renanowskim mieście „dewasów“, gdzie uczeni panują przy pomocy machin piekielnych, a inni ludzie poddają się „dobrowolnie“ wiwisekcji, uwięzieni różami...

Dzięki tym humanitarnym wynalazkom i obyczajom, szpitale zgola nieznanne są w Ciemnogrodzie. A sztuka lekarska w całości skierowana jest ku sprowadzaniu śmierci, której rozkosze podzielone są na stopnie, stosownie do opłaty.

Jedną tylko słabą stronę ma kultura Ciemnogrodu. W humanitarnem dążeniu swoim, jeśli nie do skasowania, to do udaremnienia lub choćby tylko złagodzenia wyroków „tyrańskich“ Boga, nie mogąc poradzić sobie z wyrokiem na niewiaścę: „w boleściach rodzić będziesz“, ponieważ przytem macierzyństwo defiguruje i oszpeca, oraz stoi na przeszkodzie pełnemu równouprawnieniu płci, — Ciemnogród stale jest zagrożony wyludnieniem.

Mądrość niepodległa wynalazła środki i na to niebezpieczeństwo: coraz to nowych obywateli i zwłaszcza obywatelki werbuje się z zewnątrz. Stanowi to nawet jedną

z najsilniejszych pobudek propagandy. Potężnym ku temu wabikiem są owoce wiadomości. Wiedza — to potężny atut w ręku obywateli ciemnogrodzkich, którym oni operują z mistrzostwem szulerów i kuglarzy, biorąc natchnienia od mądrego, nieśmiertelnego, Wielkiego Węża. Wiedza ta pozwala na wszystko, za wyjątkiem tego, co jest nakazane przez naszego Boga. To znowu jest u nich najsurowiej zakazane.

Werbownicy Ciemnogrodu krążą wciąż i uwijają się wśród obywateli państwa Bożego i dążą stopniowo do zanektowania go, dla rozszerzenia swoich posiadłości. Postępy ich wpływu dają się spostrzegać nawet w budownictwie. Ciemnogrodzian

*Nic taką zgrozą nie napętnia zgoła,
Jak kiedy widzą budowę kościoła.*

Hauptman: „Dzwon zatopiony“.

Nie mogąc zaś w obcym państwie nie przeciw kościołom poradzić, starają się bijące od nich wrażeń domów Bożych zatrzeć, przez stawianie kamienie, naśladowających styl kościelny. Więc stroją je w swoje ulubione wieże i wieżyczki, kopuły i kopułki. Wszędzie też poza granicami Ciemnogrodu wywalczają sobie w imię tolerancji duże prawa, które pozwalają im tworzyć swoje placówki, — lubo u siebie w domu są niesłychanymi despotami. O czym zresztą przekonamy się nieco później.

Jeszcze tymczasem jeden szczegół interesujący. Ponieważ w Ciemnogrodzie istnienie słońca jest kategorycznie, w imię wiedzy zaprzeczone, zatem niezależnie od tego, że palą tam dzień i noc światła sztuczne, nie uznają tam nadto astronomicznej rachuby czasu. W imię niezależności od słońca, uniezależniono się nawet od pór roku. Holdując natomiast rachunkowi dziesiętnemu, ustanowiono dekady. Dziesięć dekad stanowi rok ciemnogrodzki. Także i doba u nich inna, niezależna od obrotu ziemi naokoło osi. Doba ciemnogrodzka liczy godzin dziesięć, godzina ciemnogrodzka — minut sto, minuta ciemnogrodzka również sekund sto. Tym sposobem doba ciemnogrodzka dłuższa jest od naszej o jakieś nasze cztery godziny, co na stodniowy rok ciemnogrodzki, wyniesie około 17 dni naszych więcej, czyli rachując po naszymu, rok ich liczy naszych dni 117. I oto tem się tłumaczy fakt, iż era ciemnogrodzka liczy lat bez porównania więcej, niż wszystkie inne znane ery świata,

nie wyłączając żydowskiej, która rachuje swoją od Adama i Ewy. Ponieważ atoli między uczonymi ciemnogrodzkimi niema zgody co do czasu istnienia świata, więc także — założenia królestwa Ciemnogrodu, przyjęto tedy w praktyce liczbę najwyższą, wedle której mamy obecnie rok ciemnogrodzki 500,908-my. Dlaczego, spyacie, najwyższą, a nie przeciętną, jakby nakazywała sprawiedliwość? Tłumaczy się to gorliwością o chwałę Ciemnogrodu. Z tego nawet powodu chronologia ciemnogrodzka nie jest bynajmniej ustalona. Gdy który z uczonych ciemnogrodzkich postawi hipotezę, iż świat istnieje o sto tysięcy lat więcej, nikt z obywateli nie zawaha się dać głosu za uchwałą odpowiedniej zmiany. Postęp nie zna w Ciemnogrodzie żadnego hamulca¹⁾.

Szczęśliwy Ciemnogród!

Pierwszem zadaniem agentów czy misjonarzy ciemnogrodzkich w kierunku propagandy, jest oczywiście obalenie naszych wierzeń, które manifestują się w budownictwie krzyżami na szczytach wieżowych naszych świątyn, a w rachubie czasu — erą od Narodzenia Chrystusa, tego równika dziejów, który przepoławia je na dwie części odrębne. Któż słyszał czcic szubienicę?! Cóż znowu nadzwyczajnego w przyjsciu na świat *jednego z wielkich ludzi!*

Więc p. Niemojewski z ubolewaniem, że musi nam wiarę naszą odebrać, protestuje przeciw drugiemu artykułowi Składu Apostolskiego:

Niestety, w ewangeljach, na które katechizm się powołuje, znajduje się coś wręcz przeciwnego. Jezus wcale nie uważał się za Boga. Gdy pewien uczeń nazwał go „dobrym“, odparł: „Przecznie zowiesz dobrym? Dobrym jest jeden tylko to jest Bóg“ (Mat. XIX, 17; Mar. X, 17; Łuk. XVIII, 18). Taksamo ś. Paweł nie uważał go za Boga, ale za „Pośrednika“ między Bogiem a ludzkością²⁾. Oto jego własne słowa: „Jeden jest Bóg, jeden także pośrednik między Bogiem i ludźmi, człowiek Chrystus Jezus“ (I do Tym. II, 5). A więc „człowiek“. Dopiero na soborze nicejskim w r. 325 „postanowiono“, że Jezus jest nie tylko „podobny“, ale „równy“ Bogu. Ten nadzwyczajny „człowiek“, który umiał

¹⁾ Przypomnijmy tu sobie dowód p. N. na starożytność świata, wzięty z „pewnych ruchów“ ziemi (mianowicie — osi ziemskiej), dokonywanych raz jeden co każde 26,000 lat. Ten dowód kapitalny możnaby uzupełnić podobnym a jeszcze donioślejszym: nowożytna astronomja uczy, że światło Syriusza potrzebuje 120,000 lat, ażeby doszło do ziemi, ergo świat, świat ludzki, istnieje lat tyleż co najmniej...

wzbudzić dla siebie taką miłość, że przez wieki „ubóstwiano“ go, miał wedle ewangelji braci, którym było na imię: Jakób, Jozes (? Józef), Szymon i Judasz (Mat. XIII, 55; Mar. VI, 3); miał także, wedle tych samych ewangelji, siostry. Uczony Tschirn powiada, że wedle świadectwa ewangelji, „bracia jego nie wierzyli w niego“ (Jan, VII, 5), a my po 1900 latach mamy wierzyć? Ale w co wierzyć? W umiłowanie przez niego ludzi i w jego poświęcenie się dla prawdy? Tak. W jego katechizmową boskość? Nie, bo w takim razie musielibyśmy odrzucić ewangelje (39–40).

Czy nie z maestrją powiedziane?
Zbyteczna tu zasypywać p. Niemojewskiego cytatami ewangelicznymi, które dowodzą niezbicie, że Chrystus uważał się i podawał za Boga. Sam autor wie o nich dobrze, a jeżeli je przemilczał, to w celu... „uratowania“ Ewangelji, której zagroził Katechizm... Gdyby Ewangelje mogły mówić, wykrzyknęłyby: „Panie, ratuj nas od takiego przyjaciela i obrońcy! A już z wrogami swoimi same damy sobie radę...“

Żeby na podstawie danych ewangelicznych wykazać Bóstwo Chrystusowe, trzeba by pisać osobną książkę: takie dane tych mnóstwo. Książek takich zresztą nie braknie. Dla nas dość tu będzie nadmienić, iż sam akt oskarżenia Chrystusa zarzucił Mu, jako bluźnierstwo, iż Bogiem się nazywał; a On, wobec widma śmierci, świadectwo swoje o Bóstwie swoim potwierdził. Kajfasz obłudnie zaklinał Go, aby wyznał prawdę: „Poprzysięgam cię przez Boga żywego, abys nam powiedział, jeśliś ty Chrystus, Syn Boży? Rzekł mu Jezus: Tyś powiedział. Jednak powiadam wam, odtąd ujrzycie Syna człowieczego, siedzącego na prawicy mocy Bożej, i przychodzącego w obłokach niebieskich. Tedy najwyższy kapłan rozdarł szaty swoje, mówiąc: Zbluźnił: czyż potrzebujemy więcej świadków? otoście teraz słyszeli bluźnierstwo: co się wam zda? A oni odpowiadając, rzekli: Winien jest śmierci...“ (Mat. XXVI, 63–66).

Jeżeli więc wobec forum sądu cywilnego rzymskiego, Chrystus skazany był na śmierć, jako zdrajca stanu, to wobec forum sądu duchownego żydów, Chrystus potępiony został jako bluźnierca, iż nazywał się Bogiem. Stajemy tedy wobec alternatywy: albo Chrystus był człowiekiem obłąkanym, chorym na manję boskości, albo był Bogiem naprawdę. Pierwszą część alternatywy tej odrzucają sami ateusze. Pozostaje część druga, jako prosty wniosek z faktu, że Chrystus uważał się za Boga i tę samowiedzę swoją

przyplacił i przypieczętował okropną i hańbiącą śmiercią. Gdybyśmy też chcieli zaprzeczyć Chrystusowi Bóstwa, musielibyśmy naprawdę Ewangelje odrzucić, za wyjątkiem nielicznych drobnych ustępów, z pośród których p. N. parę przytoczył.

Jakże to? Czyżby te ustępy stanowiły istotną z całością Ewangelji sprzeczność? Bynajmniej. Skoro Chrystus mocą unji hipostatycznej dwóch natur: boskiej i ludzkiej, był Bogiem i człowiekiem, tedy i te miejsca, które mówią o Jego człowieczeństwie, są prawdziwe, i z innymi, które mówią o Jego Bóstwie, zgodne. Czy fakt, że p. N. jest utalentowanym poetą i pisarzem, wyklucza fakt inny, iż jest on jednocześnie nad wyraz nędznym teologiem? Jako poeta, buja on ponad obłokami; jako teolog, za każdym krokiem myślowym otwiera przed nami przepaści absurdów...

Zauważmy tu, że akcentowanie przez ewangelistów także człowieczeństwa Chrystusa, ma swoją doniosłą celowość. Wszak dla celu zbawienia rodu ludzkiego trzeba było, aby jego Zbawca był, nie tylko Bogiem, ale i człowiekiem prawdziwym, synem człowieczym, jak się sam Chrystus w pokorze ducha nazywał, potomkiem Adama. Bóg, jako Bóg, nie mógł umrzeć za ludzkość; On mógł natomiast cierpieniom złączonej ze sobą natury ludzkiej nadać cenę nieskończoną. Ale trzeba było, żeby prawdziwy, rzeczywisty człowiek naprawdę cierpiał za nas i umarł, aby zasługa męki Jego mogła być nam pocytana, jako zasługa naszego Brata wedle natury, jako zasługa ludzka. Ewangelisci jakby przewidzieli herezję, które przeczyły Chrystusowi prawdziwego człowieczeństwa. Wychodząc z założenia, iż niegodną Boga byłoby rzeczą poniżyć się aż do połączenia ze skażoną duchowo i zwierzęcą cielesnie naturą człowieczą, różni heretycy pierwszych wieków Chrześcijaństwa, przypisywali Chrystusowi, już to ciało pozorne (doceci), już to niebiańskie (paulicjanie), już wreszcie samo ciało bez duszy ludzkiej (arjanie).

Dziwne zaiste, wrażenie na umysłach dzieci XX-go wieku, negującego Bóstwa Chrystusa, sprawia fakt, że niegdyś zaprzeczano raczej Jego człowieczeństwa. Jest to jednak fakt historyczny i w umysłach gorących nowicjusów Chrześcijaństwa, psychologicznie zrozumiały. W stosunku do poziomego charakteru przeczeń dzisiejszych, nawet wzniosły i szczytny.

Żeby nie być dłużnym panu N. ani szeląga w odpowiedzi, wyjaśnijmy jego cytaty szczegółowo.

„Przecznie mnie zowiesz dobrym? Dobrym jest tylko jeden, to jest Bóg“. Pytamy: czy byłaby naturalną, czy nie razilaby sztucznością odpowiedź podobna w ustach zwykłego, chociażby najlepszego i najfilozoficzniej nastroszonego człowieka? W ustach atoli Pana Jezusa jako Boga, nabiera ona sensu naturalnego. Nie była to nagana — nie „uczniak“ lecz pewnego bogobojnego młodzieńca, — że dobrego nauczyciela nazwał dobrym. Bo i za cóż było ganić? Chrystus raczej naprowadzał młodzieńca na myśl o swoim Bóstwie. W słowach „Dobrego Nauczyciela“ tkwi ukryty sylogizm: Zowiesz mnie dobrym i masz słuszość; a ponieważ dobrym jest jeden tylko Bóg, zatem wyznaj moje Bóstwo...

Ś. Paweł zowie Chrystusa człowiekiem, a jednocześnie Pośrednikiem pomiędzy Bogiem a ludźmi. Sama idea pośrednika wymaga, żeby uczestniczył w naturze obudwu stron, między którymi pośredniczy. Tenże Apostoł zowie Zbawiciela „Najwyższym Kapłanem“ (do Żyd. V, 1) i „Kapłanem na wieki“. W pojęciu kapłaństwa zawiera się właśnie pojęcie pośrednictwa między Bogiem a ludźmi, napróżd przez ofiary. Ale Chrystus był i jest Kapłanem Najwyższym na wieki: który ma „kapłaństwo wiekuiste“, który „zawsze żyje, aby się wstawiał za nami“, który „zbawić na wieki może przystępujących przez Niego do Boga“, który „stał się wyższy nad niebiosy“, który „nie ma potrzeby na każdy dzień, jako kapłani, pierwej za występki swoje ofiarować, potem za ludzkie: bo to uczynił raz, siebie ofiarowawszy“ (do Żyd. VII). Jakże to wszystko pojąć, jeśli Chrystus nie jest jednocześnie człowiekiem i Bogiem? Chrystus, wedle Apostoła, jest Kapłanem i zarazem Ofiarą: i Kapłanem i Ofiarą na wieki, w odróżnieniu od kapłanów-ludzi, którzy wciąż się zmieniają, „dlatego, że im śmierć trwać nie dopuszcza“, jak mówi tamże Apostoł, i którzy są jeno narzędziem w ręku Kapłana Najwyższego, Chrystusa.

Gdy mówimy, czy myślimy o Trójcy ś., musimy mieć na uwadze jedność natury, a troistość Osób. Podobnie lecz w sensie odwrotnym, gdy mówimy o Chrystusie, musimy pamiętać o dwoistości składających Go natur: boskiej i ludzkiej, a jedności Osoby — boskiej. Przez unję hipostaticzną czyli osobistą obu składowych natur Chrystusa, nie

zlały się one bynajmniej w jedną jakąś osobę nową, lecz natura boska, jako nieskończenie wyższa od ludzkiej, nadała Chrystusowi osobowość boską, z wykluczeniem osobowości ludzkiej. Wszakże natura ludzka Chrystusa — naturą ludzką pozostaje. Mając też na uwadze obiedwie natury Jego, nazywamy Go Bogiem — człowiekiem. Biorąc znowu każdą z tych natur osobno, możemy nazywać Chrystusa: już to Bogiem, już to człowiekiem. Tak też czyni ś. Paweł.

Wskutek tych właściwości osoby Chrystusa, nie przystaje do Niego: ani samo przez się określenie Boga, ani też samo jedno określenie człowieka. Stanowi to pewną trudność, którą p. N. wyzyskuje w kierunku swojej tendencji, chwytając ś. Pawła za słowo, nie za jego myśl. Podobnie lud wierzący, z powodu tej trudności, idąc w kierunku wiary, przy swojej słabej inteligencji, dochodzi do pomieszania pojęć o Bogu i Chrystusie, tak, iż w jego umyśle jedno pojęcie pokrywa drugie bez reszty. Np.: „Pan Jezus jest to Stworzyciel świata...“ Albo: „Bóg — to Pan Jezus“. Tak matki uczą swoje dzieci...

Wszakże i u ś. Pawła nie braknie tekstów, stwierdzających wyraźnie Bóstwo Chrystusowe. Był on go tak pewny, że nie zakładał sobie w swych Listach celu dowodzenia go osobliwie. Wiara więc jego przebija z Listów na każdym kroku, gdy stale nazywa Chrystusa „Panem naszym“, a siebie — sługą Jego. Mimo tego często zowie Go wprost Bogiem. Otwórzmy Listy ś. Pawła na chybił-trafił... Oto List drugi do Koryntjan, VI, 19: „...albowiem Bóg był w Chrystusie, świat z sobą jednajac“. Oto znów początek Listu pierwszego do Tymoteusza: „Paweł, Apostoł Jezusa Chrystusa, podług rozkazania Boga Zbawiciela naszego...“ A w Liście do Żydów, w nim jednym tylko, Apostoł dowodzi Bóstwa Chrystusa i rozwija następstwa, które stąd dla Starego Zakonu wypływają. Chrześcijanom z pogan podaje on tę wiarę wprost, gdyż w umysłach ich nie było przeszkód do jej przyjęcia: serca ich — to była *tabula rasa*. Żydom dowodzi jej, gdyż w duszach ich były przeszkody, utworzone ze spaczenia tradycji mesjańskiej.

Pan N. w „Uwagach wstępnych“ prawi do chłopca:

W kilku miejscach podajemy tekst Biblii, wymieniając księgi, rozdziały, wersety. Ale gdyby ci jaki myślowy krętacz śmiał szeptać do ucha lub grzmieć z kazalnicy, że tego, co przytoczy-

liśmy, w Biblii niema, sprowadź go do nas (dokładny nasz adres znajdziesz na okładce niniejszej książeczki¹⁾), a my i tobie i jemu pokazemy więcej nawet, bo także to, co się, rzecz prosta, w niniejszej maluchaj książeczce zmieścić nie mogło (14—15).

Oto, jak się bierze naiwnych „na kawał“

Mysmy tu nie zaprzeczyli prawdziwości żadnego z tekstów biblijnych, przytoczonych przez p. Niemojewskiego. Natomiast wykazaliśmy, że on sens ich fałszuje, a na dowód przytaczaliśmy „coś więcej“, czego on w „maluchnej książeczce“ swojej zmieścić nie mógł. Któż tedy jest „myślowym krętaczem“?!

...Dopiero na soborze Nicejskim „postanowiono“, że Chrystus ma być Bogiem... Krętaństwo nowe! Podobnie kręcił Draper w swych „Dziejach stosunku wiary do rozumu“, rzeczy grubo już przestarzałej, a mimo tego odgrzanej u nas niedawno w nowym wydaniu i wciąż szczycącej się powagą nieomylną wśród niedowiarków, zwłaszcza — żółtodziobkowych...

Skoro herezja arjańska zaprzeczyła Chrystusowi Bóstwa (nie w takim jednak sensie naturalistycznym, w jakim przeczy go niewiara współczesna), tedy wiara w nie już przedtem istnieć musiała: albowiem niesposób zaprzeczać tego, czego nie było i niema. Właśnie sobór Nicejski wiarę tę, z powodu owej herezji, sformułował w dogmat. Sam już Skład Apostolski, przeciw którego drugiemu artykułowi p. N. protestuje, świadczy, że wiara ta żyła w Chrześcijaństwie od początku, od czasów apostolskich. Formułowanie dogmatów zgoła nie oznacza ogłaszania prawd nowych; ale jest utwierdzaniem, oraz ściślejszem określeniem prawd starych, zawartych w Objawieniu. Gdzie panuje rozwiązłość obyczajów, tam mnożą się artykuły kodeksu; gdzie zakrada się niewiara lub błąd, tam powstają dogmaty formalne i rozwinięte.

„Uczony Tschirn powiada...“ Pan N., który arogancko odrzuca powagi, dla siebie niedogodne, płaszczy się przed lada powagą, która jest mu na rękę. Łatwowieć jego usypia w nira wtedy wszelki krytycyzm. Co za racja nie wierzyć w Bóstwo Chrystusa dlatego, że bra-

cia Jego (*notabene* zgoła nie rodzeni, ale w ogólności krewni¹⁾) „nie wierzyli weń“? Gdyby ś. Paweł nie wierzył, ha, byłoby co innego. Ale krewniacy?!

Uczony Tschirn i uczony p. N. są marnymi psychologami, skoro jak się stąd okazuje, nie znają pospolitej psychiki tłumu, wzbraniającego się uznać wyższość człowieka, na którego patrzył od dzieciństwa, zwłaszcza, gdy ten człowiek nie imponuje urodzeniem. My, polacy, których poeta w rozgoryczeniu nazwał „pawiem i papugą narodów“; którzy hołdujemy instynktom czy nałogom arystokratycznym; którzy wierzymy we własne znakomitości często dopiero wówczas, kiedy zagranica opatrzy je stemplem swego uznania; którzy, gdy chodzi o wartość i zasługę, których sława nie wybiega poza granice kraju, lubimy szarpać je, obniżać i zniesławiać, aż póki dalej stojący rodacy nie złożą im hołdu uznania: dajemy z siebie światu — tej psychiki przykład znamienny. Myśliciele narodu, w których ognisku się jego samowiedza, znając tę jego głupotę, tem łatwiej rozumieją objawy jej wśród narodów obcych. Uczony Tschirn i uczony p. N. śnać do rzędu tych myślicieli nie należą, skoro wręcz klasycznego, znanego wszystkim narodom kulturalnym, przejawu żydowskiego tej psychiki ogólnoludzkiej na osobie Chrystusa nie dostrzegli, pomimo, że jest on w Ewangelji wyraźnie wskazany, właśnie w miejscu, skąd p. N. dotyczącą cytate poczerpnął:

„I przyszedłszy (Jezus) do ojczyzny swojej, nauczał je w bóżnicach ich, tak, iż się zdumiewali i mówili: Skądże temu ta mądrość i cuda? Iż ten nie jest syn rzeźmieśniczy? Iż ten nie jest zowią Marja, a bracią jego: Jakób, i Jozep (Józef), i Szymon, i Judas? i siostry jego aza nie wszystkie u nas są? Skądże tedy temu to wszystko? I gorszyli się z niego. A Jezus rzekł im: Nie jest prorok beze czci, jedno w ojczyźnie swojej, a w domu swoim. I nie uczynił tam cudów wiele dla niedowiarstwa ich“ (Mat. XIII, 54—58).

Istotnie, głupota bezprzykładna, głupota złośliwego gminu! Widziano mądrość i cuda Chrystusa i zdumiewano się: nie nad mądrością i cudami, ale z powodu, że bo-

¹⁾ Warszawa, Marszałkowska Nr. 48, m. 10. Telefon Nr. 190.70. — Notujemy to dla tych, którzyby mieli ochotę pokazać panu N. „coś więcej“, co on tendencyjnie przemilczał.

¹⁾ Żydzi, wskutek ubóstwa swego języka w słowa, określające różne stopnie pokrewieństwa, nawet dalekich krewnych zwali braćmi i siostrami.

haterem był znany od dzieciństwa „syn rzemieślniczy“, którego Matkę, braci i siostry znano również powszechnie ¹⁾).

Jakże przeciwnie przemawiają słudzy kapłanów i faryzeuszów, wysłani przez nich dla pojmania Chrystusa! Choć nieokrzesani, ale Chrystusowi obcy i serc prostych, świadczą wzruszeni wobec zgorszonych nauczycieli Zakonu: „Nigdy tak człowiek nie mówił, jako ten człowiek!“ (Jan, VII, 46).

No, a uczeni panowie Tschirn i Niemojewski — na isticie abderzyckiej głupocie rodaków i krewnych Chrystusowych budują swoje niedowiarcze wnioski! Ci głupcy nie wierzyli, a my, po 1900 latach, mamy wierzyć? Zaiste, wniosek piramidalnie głupi. Na szczycie dziewiętnastowiekowej piramidy głupoty, z wolnej i niepodległej woli, siedli panowie Tschirn i Niemojewski i głoszą wszem wobec: Ci głupcy nie wierzyli, tembardziej my, nadgłupcy, wierzyć nie możemy!...

Myśli Wolna i Niepodległa, czarodziejko nowożytna, patrz, co za ofiara na twoim ołtarzu! Poświęcono ci rozum!

Ofiara? Świadoma? Nie!

Myśli Wolna, czarownico piekielna, dokąd-że ty prowadzisz swoje nieszczęsne ofiary?

A *propos*—anegdota historyczna. Ks. Wujek, tłumacz polski Biblii, w komentarzu do będącego w mowie miejsca Ewangelji wedle ś. Mateusza, opowiada:

„Stądci Julian, niebożny apóstata, i jego pochlebca, Libanjos, wzięli byli ono swe bluźnierstwo przeciw Panu Zbawicielowi naszemu, mówiąc chrześcijanom, gdy się na wojnę przeciw persom gotowali: A co teraz syn ciesielski czyni? Na co im wnet jeden chrześcijanin, Duchem ś. natchniony, odpowiedział: Chrystus, prawdziwy Bóg, Stworzyciel świata, którego ty na szyderstwo synem cieśli zowiesz, trumnę gotuje waszemu cesarzowi“.

Niedługo potem, Julian, z mściwym a bezsilnym okrzykiem, rzuconym w niebo: „Zwyciężyłeś, Galilejczyku!“—ducha bluźnierczego wyzionął...

Przechodzimy do sprawy chrztu Zbawiciela, w której znowu, niestety, stanąć musimy po stronie p. N., przeciwno — nie Katechizmowi, ale podręcznikowi katechizmu wemu ks. Sokolika.

„P. Czy Pan Jezus przyjął chrzest, że go potrzebował?“

„O. Nie, lecz przyjął go na to, aby dał nam przykład używania środków, ustanowionych dla naszego uświętobliwienia“.

Pomijając złośliwość oraz tendencyjność uwagi krytycznej p. N., nie możemy w zasadzie nie przyznać mu słuszności, gdy odpowiada:

Chodzi o to, aby ciemnym masom można było powiedzieć: „Widzisz, nawet Pan Jezus dał się ochrzcić!“ A ciemne masy wyobrażają sobie, że ś. Jan, dopełniając tej ceremonji, powiedział: „Ja ciebie chrzczę, Panie Jezusie: w imię Ojca i Syna (!) i Ducha Świętego. Amen“ (54).

Wychodzi istotnie kapitalny absurd: w imię Syna Bożego—Syn Boży otrzymuje chrzest, taki sam, jako i my; otrzymuje go Ten, który przyszedł zgładzić grzech pierworodny i na to chrzest ustanowił; otrzymuje, chociaż go Mu niepotrzeba, jedynie, żeby dać przykład: więc odegrywa, bardzo moralną wprawdzie, ale... komedję!

Nie! Katechizm autentyczny, rzymsko-katolicki, uczy o tem zupełnie czego innego.

Do całego w ogólności żywota Chrystusa zastosować można słowa Jego własne, wyrzeczone z okazji mycia nóg apostołom na Ostatniej Wieczerzy: „Przykład dałem wam“ (Jan, XIII, 15). Ale w każdym przykładzie Jego jest sens, dosłowny lub symboliczny, i w każdym jest jakaś podstawa realna, życiowa. Samo np. mycie nóg było przykładem — nie mycia, lecz pokory i wzajemnej usługomości; oraz miało podstawę w zwyczaju, wpływającym z potrzeby, wobec używania na bosych nogach sandałów, które nie okrywały wierzchniej części stopy. Poza tem, miało ono i znaczenie symboliczne, w odniesieniu do czystości duszy. Jak nogi brudzą się najrychlej pyłem i błotem ziemi, podobnie dusza, w swoim pielgrzymstwie ziemskim, pomimo woli zanieczyszcza się powierzchownie różnemi miazmatami i mikrobami zła moralnego. Gdy Piotr, który początkowo wzbraniał się podać Chrystusowi nogę

¹⁾ Podobnie abderzyki nie mogli pojąć, aby Demokryt, którego znali od chłopięstwa, był od nich mądrzejszy: wszak czynił wszystkie inaczej, niż oni, zatem—był głupi...

swoich do umycia, znaczenie symboliczne obrzędu zrozumiał, prosił o umycie, nie tylko nóg, ale i rąk i głowy. Chrystus odrzekł: „Kto omyty jest, nie potrzebuje, jedno żeby nogi umył: ale jest czysty wszystek. I wy jesteście czystymi, ale (przymówka do Judasza) nie wszyscy“.

W ogólności, intencja dania dobrego przykładu stać powinna zawsze na drugim planie. Takie jej stanowisko wpływa z samej natury przykładu. Nie byłoby rzeczą rozumną i etyczną dawać go dla niego samego, i tylko dla niego. Celem pierwszorzędnym dobrego czynu jest samo dobro. Przykład dla przykładu trąci: albo naiwnością, albo faryzajstwem: jak np. uczęszczanie do kościoła przez tych i owych „państwa“ dla przykładu służby, co wypływa z najfałszywszego w świecie poglądu, jakoby religja była dobra i konieczna dla prostaczków, ale nie dla inteligencji, wyzwolonej z „przesądów“. Jesliby religja była rzeczywiście zbiorem przesądów, należałoby i lud, w imię prawdy oraz zasady demokratycznej, copędzej z nich wyzwolić. Inaczej pielegnowanie jej w duszy ludowej, byłoby pielegnowaniem niewątpliwych dziś dla nikogo przesądów arystokratycznych, podyktowanych przez poziomy i samolubny interes materialny, klasowy.

Można, zapewne, uczynić coś nieobowiązkowego lub też wstrzymać się od uczynku godziwego, mając na oku jedynie maluczkich, żeby, nie tyle dać im przykład, ile żeby im nie dać zgorszenia. Tak nawet zalecił czynić Apostoł. Stwierdzając zasadę, iż chrześcijaninowi wolno jest pożywać pokarmy, przez Zakon zakazane, więc i te, które były ofiarowywane bałwanom, byle bez przywiązywania do nich wiary bałwochwalczej: jednak, ze względu na łatwe zgorszenie chrześcijan nieświadomych, pożywać ich zakazał. Sam też od siebie oświadczył z mocą: „A przeto, jeśli pokarm obraża brata mego, nie będę jadł mięsa (ofiarowanego bałwanom) na wieki, abym brata mego nie zgorszył“ (I do Kor. VIII, 13). Równocześnie atoli zaleca się obowiązek uświadamiania, żeby zgorszenie maluczkich, dlatego że maluczkich, stało się niemożliwe. I temu też Apostoł czyni zadość, przez samo pouczenie o zasadzie wolności.

Zastosujmy stwierdzoną powyżej zasadę co do dawania przykładu — do żywota Chrystusa. Boski Mistrz niewątpliwie powziął był z góry intencję, dać ludzkości całem życiem swoim wzór do naśladowania. Atoli co do waż-

ności, pierwszym zadaniem Jego było spełnić posłannictwo mesjańskie, więc obowiązek, którego się podjął, który dobrowolnie i świadomie sobie był nałożył. Na tej dopiero podstawie oparła się idea przykładu: spełniony obowiązek świeci tą ideą sam przez się.

Już stąd widoczna, jak dalece błędne jest wytłomaczenie chrztu Zbawiciela samą jeno pobudką dania dobrego przykładu. Tak przedstawiony, chrzest Chrystusów ukazuje się nam, jakby zawieszony w próżni, bez oparcia o rzeczywistość — u dołu, bez punktu zaczepnego w idei — u góry. Razi też nasze poczucie moralne nienaturalnością, a nasze poczucie umysłowe — fałszem, który ujawnia się w całej okazałości przez wpatrzenie się weń krytycznie.

Pod tym kątem widzenia uważany, ten błąd ks. Sokolika ma swoje źródło w pospolitych w kaznodziejstwie zapędach, w kierunku wyszukiwania wszędzie i na każdym kroku, z zamkniętymi oczyma, dobrych przykładów, zwłaszcza w żywotach Zbawiciela i Matki Boskiej. Gdy nie umiemy czego wytłomaczyć inną racją, ratuje nas racja przykładu. Gdy mamy także racje inne, racja przykładu musi je koronować bezwarunkowo.

Matka Boska np. poddała się obrzędowi oczyszczenia (z nieczystości *legalnej*, której nie zaciągnęła, jako Matka-Dziewica), między innymi dlatego, żeby dać niewiastom katolickim przykład przestrzegania obrządku wywodu. Możliwość pomyśleć, że Matka Boska przewidziała ten obrządek katolicki, zgoda na żadnej podstawie dogmatycznej, jak odpowiedni żydowski, nie oparty... Co innego, juścić, gdy kaznodzieja *sam od siebie* z owego uczynku Matki Boskiej ów szczegółowy sens moralny wyciągnie. *Szczegółowy*, bo jest i ogólny: przykład szanowania i zachowywania w ogóle obrządków religijnych. Tu wszakże przedstawia się szkopuł w postaci uwagi, że Najśw. Panna — do poddania się obrządkowi oczyszczenia była zagnana koniecznością moralną, dotyczącą Jej osobiście: nikt bowiem, prócz św. Józefa, w otoczeniu Jej o tajemnicy Wcielenia za sprawą Ducha ś. nie wiedział. Uległa więc nieobowiązującemu dla siebie prawu, nie, żeby dać dobry przykład, ale żeby nie dać zgorszenia: i — nie nam dzisiaj, ale współczesnym sobie żydom. Zresztą obrządek oczyszczenia, połączony z ceremonją ofiarowania Bogu syna pierwotnego, przy wykonaniu obojga przez Matkę Boską, nabył znaczenia teofanji, mianowicie za sprawą, natchnionego Du-

chem ś., starca Symeona, który wyspiewał wtedy natchniony kanyk, będący jego pieśnią łabędzią: „Teraz puszczasz sługę Twego, Panie, według słowa Twego, w pokoju. Gdyż oczy moje oglądały zbawienie Twoje, któres zgótował przed oblicznością wszystkich narodów. Światłość na objawienie poganów i chwałę ludu Twego izraelskiego“ (Łuk. II, 29—32).

Jakaż konieczność skłoniła Chrystusa do przyjęcia chrztu Janowego? Chrzt Janów różny był zupełnie od chrztu, ustanowionego przez Chrystusa: miał z nim podobieństwo tylko materialne, powierzchowne, pozorne. Sam Jan ś. o tej różnicy pouczał: „Jać was chrzczę wodą ku pokucie, ale który przyjdzie po mnie... tenci was ochrzci Duchem ś. i ogniem“ (Mat. III, 11). Dlatego też uczniów Janowych, już dawniej chrztem jego omytych, chrzcil później Paweł ś. chrztem Chrystusowym. Chrzt Janów był chrztem pokuty: symbolem i wyrazem zewnętrznym kąpieli duchowej we łzach skruchy za grzechy, skruchy, uprzątającej duszę i torującej do duszy drogę nauce Chrystusa. Stąd wynika, że chrzt Janów, w zastosowaniu do Zbawiciela, musiał mieć znaczenie specjalne. Jakoż je miał. Jak sama scena tego chrztu wskazuje, był to chrzt posłannictwa mesjańskiego, udzielony Chrystusowi, jako człowiekowi, przez Ducha ś., za posługą Jana Chrzciciela. Do tego przyłączyło się i ogłoszenie tego posłannictwa przez Boga Ojca: „Ten jest Syn mój miły, w którym-em upodobał sobie“ (Mat. III, 17). Tym aktem biernym wyszedł Chrystus z dotychczasowego ukrycia i rozpoczął działalność czynną na widowni publicznej.

Jan przeto, ów „Marszałek Pański“, jak zowie go Wujek, był tu tylko narzędziem w ręku Boga. Chwała stąd jego, swoją drogą, nie miała. To chwały jego zenit:

*Nikt z ludzi nie miał tak ogromnej chwały,
Nikt się nie zrodził świętszym nad cie, Janie:
Ty myjącego ze zbrodni świat cały
Myleś w Jordanie.*

(Ks. Hołowiński).

Odtąd, jak mówi Grzegorz z Nazjanzu¹⁾, a za nim

¹⁾ Lectio V in octava Epiphaniae.

Eugenjusz Veuillot¹⁾: przez chrzt Chrystusa, przez sam fakt, że woda wśród uroczystego aktu spłynęła po Jego najświętszem ciele, wszystkie po całym świecie wody zostały poświęcone ku słuzeniu jako materia chrztu sakramentalnego. W szczególności wody Jordanu, tej chrzcielnicy chrześcijan pierwotnych. Potem — i wszystkie wody inne. Myśli tej sprzyja prawo natury, którego mocą wody ziemskie wciąż krążą i mieszają się ze sobą. Ale to już bodaj poezja?...

...Więc — p. N. ma słusność, ale — nadzwyczaj ważne „ale“! — przeciwko jednemu z autorów jednego z podręczników katechizmowych, zgola nie przeciw Katechizmowi. Sam zaś p. N. obiecał nam przecież zwalczać: nie katechizmy, ale Katechizm. Nie będąc teologiem, zabawiał się on tu mimowoli w teologa, krytykującego podręcznik do nauki religji, wcale z nienajgorszym powodzeniem...

Pan Niemojewski porusza także fakt kuszenia Chrystusa przez diabła, i tak go ocenia:

Japończycy nie mogą wstrzymać się od śmiechu, gdy misjonarze uczą ich, że katolicki Bóg był bity, powieszony, a przede wszystkim kuszony! Więc nawet Boga kusi diabeł? Bóg się nie daje skusić, a marny człowiek... (54).

Czy wszystkim japończykom wydaje się to wszystko takim zabawnem? Chyba tylko japończykom pewnej kategorii, mianowicie tejsamej, którą miał na myśli ś. Paweł, pisząc o żydach i grekach: „A my przepowiadamy Chrystusa ukrzyżowanego: żydom wprawdzie zgorszeniem, a grekom głupstwem“ (I do Kor. I, 23). Więc już Apostoł znał takich japończyków czy „australczyków“ i na ich śmiech, nie tyle w nich może karygodny, ile godny najżywszego politowania, odpowiedział, że „głupstwo Boże mądrze jest nad ludzi“. I nieco dalej: „Albowiem mądrość tego świata głupstwem jest u Boga. Bo napisano jest²⁾: Pojmam mądrce w chytrłości ich“ (I do Kor. III, 19).

Tenże Apostoł znał wszakże innych także greków, o których mówi: „Lecz samym wezwany: i żydom i gre-

¹⁾ Brat Ludwika, w dziele: „Jezus Chrystus“, przełożonem na język polski przez biskupa Nowodworskiego.

²⁾ Apostoł powołuje się tu na słowa Hijoba o Bogu: „który chwyta mądrych w chytrłości ich, a radę przewrotnych rozsypuje“ (V, 13).

kom, — (przepowiadamy) Chrystusa (który jest im) mocą Bożą i mądrością Bożą. Jeżeli dla p. N. japończycy, może z powodu ich zwycięstw wojennych, stanowią ostatnią instancję w rzeczach religii Chrystusowej, niechaj-że się razem z nimi śmieje do rozpuku; obowiązek chrześcijański nakazuje nam atoli wyrazić poważną obawę, żeby się ten śmiech jego japoński w zgrzytanie zębów nie obrócił: „Biada wam, którzy się teraz śmiejecie, bo będziecie narzekać i płakać! Biada, kiedy dobrze o was mówić będą ludzie (popularność!): bo wedle tego (taksamo) czynili fałszywym prorokom ojcowie ich!“ (Łuk. V, 25, 26).

Tymczasem dajmy p. N. bezpośrednią na jego zarzuty japończykowski odpowiedź.

„Więc nawet Boga kusi djabeł?“ Nie, nie *kusi*; *kusił* tylko raz jeden i nie Boga, lecz Chrystusa. Wiedział zły duch o przyjsciu Mesjasza. Zapowiadał mu to Bóg jeszcze w Raju, po upadku Adama: „Położę nieprzyjaźń między tobą a niewiastą, między nasieniem twojem, a nasieniem jej: ona zetrze głowę twoją, a ty będziesz czyhał na piętę jej“ (Geneza, III, 15). Mowa tu o Marji, iż przez Chrystusa, „owoc żywota“ swojego, pokona szatana, który tylko co pokonał był pierwszego człowieka. Wiedząc o tem, zły duch przygotował się był do walki z Chrystusem. Ale nie wiedział, w jaki sposób natura boska połączona jest w Chrystusie Panu z naturą ludzką, nie znał niepojętej tajemnicy Wcielenia Słowa. Dlatego rachował, czy snąć nie uda mu się wzburzyć w Chrystusie natury ludzkiej, przywieść Go do upadku i tym sposobem udaremnić dzieło Odkupienia. Gdyby był tajemnicę Wcielenia znał, nie pokusiłby się o kuszenie Chrystusa, z góry pewny przegranej.

Przypominam sobie w tej chwili, że w dniu dzisiejszym, w którym to piszę, z rana, organista powtórzył mi ze śmiechem, tylko co mimowoli podsłuchany głośny pacierz dziada: „Bóg Ojciec, Syn Boży, Duch Święty: jeden Pan Jezus...“ Ten organista wioskowy uśmiełby się setnie i z p. N., utożsamiającego Boga z Chrystusem. Chrystus, oczywiście, jest Bogiem, ale nie tylko, bo jeszcze i człowiekiem. Jużśmy tu zresztą pisali, że jakkolwiek Chrystus, na mocy unji hipostatycznej czyli osobistej¹⁾ składa-

¹⁾ Poniekąd na podobieństwo np. unji osobistej, czyli personalnej dwóch państw, w jakiej były do niedawna Szwecja i Norwegia.

jących Go natur, jest osobą boską; przecież istota Jego, jako człowieka, różna jest od Boga, a jako Boga, różna od człowieka. Ściśle więc biorąc, nie można powiedzieć o kuszeniu Chrystusa, że kuszony był Bóg. Kuszony był Chrystus, jako człowiek. Wskazuje to sam charakter pokus, które uderzyły w słabe strony, właściwe naturze ludzkiej w ogóle. Naprzód uderzył szatan w domniemaną słabość natury cielesnej Chrystusa, wyzyskując Jego głód fizyczny po czterdziestodniowym Jego poście absolutnym. Gdy ta próba doprowadzenia Chrystusa do upadku zawiodła, szatan przypuścił dwa jeszcze szturmy do natury duchowej Chrystusa, jako człowieka. Próbował obudzić w Nim jeszcze pychę żywota, oraz pożądanie władzy i posiadania. Jak przytem po mistrzowsku walczył tekstami Pisma świętego! Ho, ho, djabeł lepszym jest od p. N. teologiem!

Prawda, mówimy o Chrystusie, że Bóg się narodził, Bóg cierpiał, Bóg umarł. I mówimy tak słusznie, ale — w sensie specjalnym. Wszelkie akty ludzkie¹⁾, rozumne i wolne, przypisujemy osobowości ludzkiej, ludzkemu *ja*, bez względu na to, jaki w nich udział bierze natura fizyczna człowieka. Owóż osobowość Chrystusa, Jego *Ja*, jest boskie. Jako Bóg, Chrystus przyszedł na świat, cierpiał i umarł — świadomie i dobrowolnie; chociaż to wszystko odnosi się do Jego natury ludzkiej. Na mocy unji hipostatycznej, powstaje tak zwana w teologii — *communicatio idiomatum*, to jest przypisywanie osobie Chrystusa własności jednej tylko z Jego natur, już to boskiej, już ludzkiej. Stąd wspaniałe antytezy w kolendzie Karpińskiego: „Bóg się rodzi, Moc truchleje, Pan niebiosów obnażony, Wzgardzony okryty chwałą, Śmiertelny Król nad wiekami...“ Stąd również tytuł Marji, jako Matki Boskiej...

Ale dlaczego Chrystus dopuścił być kuszonym? Odpowiada na to ś. Paweł: „Stąd powinien był we wszystkim być podobny braci: aby stał się miłosiernym i wiernym, Najwyższym Kapłanem od Boga, aby ubłagał za grzechy ludu. Albowiem w czem sam ucierpiał i kuszon był, mocen jest i tym, którzy są kuszeni, dopomódz“ (do Żyd. II, 17, 18). Tamże nieco dalej: „Albowiem nie mamy Najwyższego Kapłana, któryby się mógł ulitować nad

¹⁾ Odróżniać należy od aktów *ludzkich*, akty *człowieka*, bezwiedne i nieprzychylnie, pochodzące jedynie ze ślepego popędu natury, czy instynktu.

krewkościami naszymi, lecz kuszzonego we wszystkim, oprócz grzechu“, gdyż On pokusy zwyciężył.

Ś. Tomasz Akwineński okazuje, że te trzy pokusy, które Chrystus Pan pokonał, były zawarte w owej pokusie, której uległ był Adam¹⁾. Trzy są główne gatunki pokus; wymienia je ś. Jan Ewangelista: „Albowiem wszystko, co jest na świecie, jest: pożądliwość ciała i pożądliwość oczu (żądza posiadania) i pycha żywota“ (I Jana II, 16). Tym trzem pokusom uległ był Adam Stary, tymże się oparł Adam Nowy. One rządzą światem, z onemi walczy Chrystianizm. Walczy trzema antydotami: modlitwą, przeciw pysze; postem—przeciw pożądliwościom cielesnym; jałmużną i w ogóle ofiarnością na cele dobra społecznego—przeciw żądzy posiadania. To dla ludzi przeciętnych. A dla bohaterów cnoty—odpowiadające owym trzem środkom leczniczym—trzy rady ewangeliczne: dobrowolne posłuszeństwo, czystość dozgonna i zupełne ubóstwo. Ze tych cnot bohaterów, uprawianych w schroniskach klasztornych, ludzie myśli i woli niepodległej nienawidzą z całego serca: rzecz zrozumiała. Któż jednak, nieobrany z rozumu i niewyżębiony z uczucia, nie uzna w tych cnotach najwyższego bohaterstwa ducha, które wymaga najcięższego napięcia woli? Tu jest właśnie rzeczywista niepodległość, szczyt niepodległości: niepodległości wobec własnego ciała, wobec całego świata z jego ślepymi żądzami, wreszcie wobec szatana. Prawda, jest tu podległość Bogu, nawet w stopniu najwyższym, ale—dobrowolna i wyrozumowana. Gdyż ostatecznie—niepodległość absolutna jest złudą i urojeniem, jeśli nie kuglarstwem świadomości. Człowiek, lubo król stworzenia ziemskiego, ale sam, będąc stworzeniem, musi być komuś podległy, musi mieć nad sobą króla zaświatowego. Jeśli tym królem nie będzie Bóg, będzie nim szatan, który obiecuje i daje swoim słuzalcem wszystko, co ziemskie, za cenę pokłonu: „To wszystko dam tobie, jeśli, upadłszy, uczynisz mi pokłon!“

W r. 1889 wolnomularski klub lucyferjanów urządził w Rzymie na cześć Giordana Bruno procesję uliczną, na której obnoszono chorągwie z wizerunkiem szatana. Gwoli wyraźniejszemu jeszcze przeciwstawieniu się Bogu, obchód ten urządzono w dzień Zielonych Świątek.

¹⁾ „Rozprawa egzegetyczna o pokusach Chrystusa Pana“. Napisał ks. dr. Stanisław Spis.—Rzecz piękna i głęboka.

Czy to nie jest wymowne?

Antychryst kiedyś podobnie będzie kuszony, jak był Chrystus, i on ulegnie i zostanie panem ziemi...

„Bóg się nie daje skusić, ale marny człowiek...“ — kończy p. N. sentymentalnie. Tak, to jest prawda. Marny człowiek dał się skusić szatanowi myśli niepodległej, do rzucenia się z motyką chłopskiego, acz nie po chłopsku przewrotnego rozumu—na słońce Wiary Chrystusowej. O, jakże marny, marny, marny!

Ale oto marność tego człowieka dochodzi do nadiru, w traktowaniu osoby Najświętszej Marji Dziewicy. Pióro katolickie wzdryga się przed powtórzeniem tego, co ten człowiek tu pisze. Choćby gwałt zadając uczuciu, zdobyć się jednak na to trzeba w imię rozumu: gdyż inaczej nie możnaby było stanąć w obronie Tej, którą kochamy i wielbimy, jako Matkę Boga, jako Spłodkupicielkę rodzaju ludzkiego, jako ideał naszych matek i dziewczę; ani też napiętnować należycie tego, kto temu Kochaniu naszemu bezczelnie i cynicznie uraga.

Po zaznaczeniu za Katechizmem artykułu Składu Apostolskiego o „poczęciu z Ducha ś.“, słyszymy naprzód wiele obiecującą przegrywkę:

Tu rozpoczynają się najbrzydlwsze i najniemoralniejsze ustępy katechizmu, które wpajać dzieciom jest istotnie szczytem urzędowego gorszycielstwa (40).

Powtórzywszy następnie artykuł o narodzeniu się Chrystusa z Marji Panny, p. N. uderza w najgrubsze struny instrumentu swojej psychiki, nastrojonej na ton bluźnierczy. Nałożmy tłumik na uczucia nasze: niech one zamilkną na chwilę, i—słuchajmy:

Jeżeli małżeństwo jest sakramentem, ustanowionym przez Boga, i jeżeli, wedle szóstego przykazania, niewolno cudzołożyć człowiekowi, to chyba także Bogu. To też Józef, znalazłszy Marię w stanie brzemiennym (Mat. I, 19—25), nie chciał jej uznać. Bóg mógł być z nieba zesłać jaką kobietę, a nie psuć na ziemi zasady wierności małżeńskiej, której niewolno łamać nawet dla Boga. Ale, wedle nauki katechizmu, Marja była brzemienna przed zejściem się z Józefem (Mat. I, 18). Tedy została naruszona zasada panieństwa, której nawet dla Boga niewolno przecież naruszać. Więc katechizm uczy, że ona nie utraciła panieństwa i że po urodzeniu panna została. Jest to płatanina, którą objaśnić nam może tylko historia. Płatanina owa pochodzi stąd, że Jezusa z Nazaretu,

człowieka tajemniczego pochodzenia, poczęto uwielbiać, jako niezwykły charakter, gdy zaś umarł, jako męczennik swojej idei, zwolna w przekonaniu prostaczków stał się jakąś istotą nadziemską, Bogiem. Tak rzymianie swoich cesarów bogami mianowali. Wszelako na postać Jezusa przeniesiono zwolna wszystkie legendy z religii asyryjskiej, egipskiej i induskiej... *(Tu następują wzmianki „krytyczne” o dalszych artykułach Składu Apostolskiego, okazujące, jak to się owe legendy przenosiły. Jużesmy je roztrząsali)...* Uczenie dziatwy słów: „owoc żywota twojego”, (dawniej było: brzucha), musi skłonić każde myślące dziecko do stawienia pytania: co to jest żywot? I oto dla nauki o rodzeniu, księża wybrali sobie wspaniały przykład: Najświętszą Pannę Marię... Pytamy wszystkich ludzi, nie obranych z rozumu, czy taka katechizmowa pedagogia nie jest poprostu szelmostwem?!? (41—43).

Świadomi, czyjego ducha jesteśmy, świadomi też głębokości nędzy moralnej, wślad za nią—i umysłowej—człowieka, podejmujemy te słowa z więcej, niż filozoficznym, bo z chrześcijańskim spokojem, jak nie mniej z głębokiem dla ich autora politowaniem. Swoją drogą, motykowe ciosy jego musimy odeprzeć, jak na to zasługują.

„...to chyba także Bogu...” Bez względu na przekonania, byłoby obrazą inteligencji czytelnika, gdybym považał się gruboskórność tej myśli, godnej czcicieli Jowiszów z ich Ledami i Danae’ami okazywać.

„To też Józef...” Przybrany ojciec i opiekun Chrystusów miał wiarę w Boga-Ducha, więc p. N. niewolno traktować go na równi ze sobą. To też Józef, pouczony we śnie o tajemnicy Wcielenia: „uczynił, jako mu rozkazał anioł Pański i przyjął żonę swoją” (Mat. I, 24: to jest w miejscu, które p. N. cytata swoją objął).

„Bóg mógł był z nieba zesłać jaką kobietę¹⁾, a nie psuć...” Znowu „cudowne” wymaganie! Pan N. żąda tu od Boga cudu, zgoła zbytecznego, trącającego bajecznością hinduską lub arabską, nadto przeciwnego idei Odkupienia, która wymagała, żeby Odkupiciel był krwią z krwi naszej i kością z kości naszej. Jesteśmy zresztą pewni, że gdyby Bóg uczynił był wedle myśli stworzenia swego, zwanego na świecie panem Andrzejem Niemojewskim, tedy stworzenie to znalazłoby inny jakiś wykręt, żeby wybiegającego poza wszelką normę rozumną, cudu nie uznać. Stworzenie to bowiem należy do gatunku tych, o których orzekł Chrystus: „Rodzaj zły i cudzołożny znaku szuka: a znak mu nie będzie dan, jedno znak Jonasza proroka”

¹⁾ To jużby prościej było zesłać odrazu Chrystusa z nieba!...

(Mat. XII, 39). Wszakże i tego znaku, to jest zmartwychwstania Chrystusa, iż nie jest po jego myśli, rodzaj zły i cudzołożny nie uznał i nie uznaje. Żeby go zaś nie uznać, ludzie z tego rodzaju, spółcześni Chrystusowi, chwycili się bardzo prostego sposobu:

W naiwnej chytrłości swojej wyobrazili oni sobie, że „przewrotni” uczniowie wykradną zwłoki Zbawiciela i potem ogłoszą, że Mistrz ich zmartwychwstał. Wyjednali więc sobie u Pilata, żeby u grobu postawił straż: „aby śnać nie przyszli uczniowie Chrystusa i ukradli Go, i powiedzieli ludowi: powstał z martwych” (Mat. XXII, 64). Dla tem lepszego zabezpieczenia się od spodziewanego zamachu ze strony uczniów: „obwarowali grób, zapieczętowawszy kamieniem”. Gdy zaś cała przezorność na nic się nie zdała i gdy żołdacy „oznajmili przedniejszym kapłanom wszystko, co się stało”, wtedy kapłani, „naradziwszy się, wiele pieniędzy dali żołnierzom, mówiąc: powiadajcie, iż uczniowie Jego w nocy przyszli i ukradli Go, gdyśmy spali” (Mat. XXVIII, 12, 13).

Oto przykład klasyczny, jak przewrotne i chytre niedowiarstwo, nie postrzegając się, wywraca najprostszą, chłopską logikę i wpada we własną pułapkę.

Zamiast żeby zaskarżyć żołnierzy do władz wojskowych rzymskich, że będąc na warcie, zasnęli, faryzeusze przekupują ich. W istocie, oskarżenie takie byłoby niezgodne z prawdą: żołnierze nie zasnęli, ale ujrzawszy cud, któremu towarzyszyło trzęsienie ziemi, podobnie jak przy skonie Chrystusa: „od bojaźni... stali się, jakoby umarli”. Cóż więc mieli czynić nieszcześni faryzeusze? „Powiadajcie”, żeście spali, a za przysługę oraz ryzyko kary, macie tu garsć złota. Zresztą, nie bójcie się: „jeśli się to do starosty doniesie, my go namówimy, a bezpiecznymi was uczynimy”, t. j. przekupimy i starostę...

„Jakto?!—wołał s. Augustyn.—Śpiących wzywacie na świadków? Jeżeli spali, coż mogli widzieć; jeżeli nie nie widzieli, jakże mogą świadczyć? Zaiste, wyście sami posnęli snem śmierci duchowej!”

Tymczasem pocziwi uczniowie, wylęknieni i rozproszeni, sami wzdragali się w zmartwychwstanie Mistrza uwierzyć. Wieść o niem przyjmują, jak pozytywiści, zowiąć widzenie tych, co Chrystusa zmartwychwstałego oglądali: „deliramentum”—„plotkę” i szaleństwem (Łuk. XXIV, 11). Tomasz, materialista, upiera się do ostatka w niedowierzaniu i dopiero, kiedy doświadczałnie sprawdził tożsa-

mość osoby Zbawiciela, wykrzykuje z wiarą i radością: „Pan mój i Bóg mój!“ (Jan, XX, 28). I tak uczniowie wąpili, pomimo, że im Chrystus zmartwychwstanie swoje zapowiadał...

Oto prawdziwie ludzkie dokumenty Zmartwychwstania! Przybywa do nich jeszcze okoliczność, że faryzeusze nie wytoczyli uczniom Chrystusowym procesu o wykradzenie i porwanie zwłok, co przecież byłoby zbrodnią. Cemuż nie wytoczyli?!

Cóż jednak to wszystko znaczy dla mędrców niepodległych? Dla nich, sen straży, stojącej u Grobu, jest argumentem decydującym...

Idźmy dalej.

„...tedy została naruszona zasada panieństwa, której nawet dla Boga...“ Rozrzuwieni z powodu obrony przez p. N. zasady panieństwa, stwierdzamy, że ma on słusność, iż naruszać jej niewolno nawet dla Boga. Tembardziej Bóg naruszenia jej wymagać nie może. Gdyby tego wymagał, działałby sam przeciw sobie, co jest absolutnym absurdem. To też Marja dała swe przyzwolenie na macierzyństwo, upewniona, iż urzeczywistni się ono sposobem cudownym: „bo u Boga nie będzie żadne słowo niepodobne“ (Łuk. I, 37).

Więc Katechizm uczy całkiem konsekwentnie i z Ewangelią zgodnie, że Marja panieństwa nie utraciła. Jeśli tu zaś jest jaka „płatnina“, to wprowadził ją p. N. przez swoje, nawet nie obskurancie, ale zgola obskurne pojęcie o Bogu.

Rzekomo uwikławszy Katechizm w płatninę własnego pomysłu, p. N. rozcina ją następnie po macedońsku twierdzeniem, że Bóstwo Chrystusowe i związane z niem cuda—zostały dorobione *post factum*, drogą przenosin legend wschodnich na osobę Chrystusa. Przenosiny te—to czysta fikcja. Natomiast prawdą jest, że analogiczne z faktem dziewiczego macierzyństwa Marji legendy, które ten fakt poprzedziły, tłumaczą się całkiem naturalnie w taki sam sposób, jako i legendy na tle powszechnego oczekiwania Zbawcy. O tym Zbawcy ludy starożytne miały tak wysokie wyobrażenie, że uznawały za rzecz Go niegodną, aby miał przyjść na świat, jak wszyscy ludzie. Wiara powszechna widziała w Nim Boga i dawała Mu za matkę—dziewicę. Tak np., w samej Europie starożytnej gallowie czcili boginię Izydę, jako dziewicę, mającą porodzić syna. W r. 1833, w Châlon nad Marną we Francji

w gruzach świątyni druidów znaleziono nadpis, który zapewne widniał na jej froncie: „*Virgini Pariturae Druides*“ „Dziewicy, mającej porodzić, Druidowie“. Znowu legenda buddyjska opiewa, że Budda urodził się z kwiatu lotosu, gdy bezpłodni rodzice jego prosili Brahmę o potomstwo. Łatwo powiedzieć, że legendy tego rodzaju zostały przeniesione na Chrystusa i Jego Matkę. Trudniej byłoby wskazać: kto i kiedy przenosił tych dokonał? Jeszcze trudniej byłoby powstanie owych legend wytłumaczyć tak, żeby pozostała przy nich jedynie wartość bajek z tysiąca i jednej nocy. Z powodu takich „bajek“ nie stawia się świątyni; nie mogą one być przedmiotem religijnego kultu, chybaśmy przypuścili, że cały świat starożytny obrany był z rozumu. Łacniej stokroć przypuścić to o jednym człowieku, którego tu palcem wskazywać niepotrzeba.

Siostra sjamska p. Niemojowskiego, p. Iza Moszczeńska, powiedziała kiedyś i kędyś, że dogmat Niepokalanego Poczęcia zadaje najcięższy gwałt rozumowi. Rzecz jest zupełnie w porządku... ciemnogrodzkiem, że p. M. przez Niepokalane Poczęcie rozumiała (piszę w czasie przeszłym, gdyż miałem zaszczyt błęd ten p. M. pod adresem jej wytłumaczyć) dziewicze macierzyństwo Marji¹⁾. Ono to właśnie, wedle p. M., zadaje gwałt rozumowi, co jest zupełnie w porządku. Gdyby szanowna autorka powiedziała nam, że dziewicze macierzyństwo Matki Boskiej zadaje gwałt rozumowi konstrukcji niepodległej, *alias* ciemnogrodzkiej, w takim razie nie byśmy przeciw temu nie mieli. Jakiem jednak prawem decyduje ona w imieniu rozumu

¹⁾ Zupełnie co innego jest Niepokalane Poczęcie. Znaczy ono, że Matka Boska osobiście została poczęta niepokalanie, t. j. bez zmazy grzechu pierwotnego, jak to głosi Litanja Loretańska: „Królowo, bez zmazy grzechu pierwotnego poczęta, módl się za nami“. Mowa tu więc o poczęciu Matki Boskiej *biernem*, w łonie matki Jej, ś. Anny; a termin „niepokalanie“—odnosi się do grzechu, który sam jeden zdolny duszę pokalać. Wypadało ze wszelkich miar, aby Matka Odkupiciela sama była bez grzechu, ani na chwilę niepoddana władzy szatana, który przez grzech panuje. Że do tej kwestji nie ma nic czysty rozum, rzecz widoczna. Ale widoczne i to, że Niepokalane Poczęcie jest w związku z dziewiczym macierzyństwem. Macierzyństwo naturalne, samo przez się, zgola nie kala: ani matki, ani dziecka. Kala jednak oboje grzech pierwotny, przekazywany potomstwu przez rodziców, w samym akcie poczęcia. Otóż grzechowi temu nie mógł być poddany, jako człowiek, Chrystus, który ten grzech zgładził. Skąd konieczność Jego poczęcia z Dziewicy Niepokalanej. Nie było niegodną Boga rzeczą, aby przyjął naturę ludzką; ale byłoby rzeczą Go niegodną, aby przyjął naturę, pokalaną grzechem pierwotnym.

chrześcijańskiego, którego, nie tylko nie „zjadła“, ale go nawet nie skosztowała, przynajmniej bez uprzedzenia? Naszemu zaś rozumowi dogmat dziewiczego macierzyństwa nie zadaje najmniejszego gwałtu, taksamo, jak nie zadają go słowa archanioła Gabriela: „bo u Boga nie będzie żadne słowo niepodobne“. Sprawa z Bogiem! Natomiast rozumowi naszemu zadaje gwałt marzenie, raczej majaczenie twórcy pozytywizmu, Augusta Comte'a, iż w przyszłości dziewicze macierzyństwo stanie się zjawiskiem normalnym i powszechnym. Tak to rozum, odrzucający wiarę Bożą, snuje sam z siebie marzycielską przedzę wiary urojonej¹⁾.

Przechodzimy do najplugawszego z zarzutów p. Niemojewskiego.

Słowa, zawarte w „Pozdrowieniu Anielskim“, wyrzeczone w pozdrowieniu Marji przez ś. Elżbietę, zapisane w Ewangelji (Łuk. I, 42)—okazują do gorszącego uświadamiania działwy przez księży!...

Do tej pory nikomu z chrześcijan myśl podobna nie przyszła do głowy. W oczach naszych te słowa otoczone są taką aureolą świętości, że nie czepia się ich, nawet bezwiednie, żadna myśl nieprzystojna. Chyba... chyba w kształcie naiwnej, prostaczkiej pokusy, odtrącanej wszakże z przeżeniem i wstrętem. Pan N. odgrywa tu wobec nas rolę kusiciela, sugestjonując nam myśl swoją własną. Tej sztuczki—sam Belzebub mógłby mu powinszować...

I gdzież bodaj cień nieprzystojności w słowach ś. Elżbiety? Żali to raczej nie przykład wzniosłej, biblijnej prostoty dawnych wieków, prostoty, otaczającej nimbem świętości prawa przyrody? Czy ta prostota nie uczy nas raczej poważnej czci dla tych rzeczy, które rozwiązała głupota ludzka bierze za przedmiot płaskich conceptów? I czy tym sposobem nie odwraca nas owa wzniosła prostota od nadużyć względem praw przyrody, praw, ustanowionych przez Boga, uświęconych sakramentem przez Chrystusa?

Słowa uwielbienia Marji, słowa, które natchnęły Ją do wyśpiewania cudnego kantyku na cześć Stwórcy, którego w łonie swoim przeczystem nosiła: „Wielbij, duszo

¹⁾ O macierzyństwie dziewiczym marzył także prof. Wincenty Lutosławski, przyczem próbował je nawet uzasadnić naukowo, mianowicie przez jakieś magnetyczne promieniowanie wzroku.—Sam fakt marzeń takich świadczy o subtelnej wzniosłości duszy ludzkiej i poniekąd usposabia do wiary w dziewicze macierzyństwo Matki Boskiej, jako przynajmniej w tym jednym wypadku spełnione—cudownie.

moja, Pana: i rozradował się duch mój w Bogu Zbawicielu moim...“ — te słowa — kamieniem zgorszenia!!! Dla kogo? Dla cynika, który cynicznie podrzuca nam cynizm swój własny! Dla faryzeusza, który osobście holduje teorii jaknajwcześniejszego uświadamiania dzieci! Dla publicznego gorszyciela!

Głęboką, zaiste, prawdę duszoznawczą wypowiedział Apostoł: „Wszystko czyste—czystym: lecz pokalanym i niewiernym niemasz nic czystego, ale pokalane są ich umysł i sumienie“ (do Tytusa, I, 15). Wypowiedział to Apostoł pod adresem kreteńczyków (Tytus był biskupem na Krecie, dzisiejszej Kandji), o których, jak świadczy, rzekł „własny ich prorok: kreteńczykowie zawsze kłamliwi, złe bestje, brzuchowie leniwi“ (tamże, 12). Tym „prorokiem“ był Epimenides, kapłan, filozof, poeta i czarodziej, żyjący w VI wieku przed Chrystusem¹⁾. *Mutatis mutandis*²⁾, czy nie możnaby charakterystyki kreteńczyków przenieść na naszych ciemnogrodzian?

„Dawniej było brzucha?“ Nie słyszeliśmy dotąd o tem, a na wiarę p. N., któremu tyle już razy wykazaliśmy kreteńczykowską kłamliwość, przyjąć tej wiadomości nie łatwo. Stary Mieszczanin utrzymuje, że za czasów piastowskich było: „...owocz szywotha twego“. Wiemy nadto, że wyraz *żywot* starszy jest od słowa *brzuch*. Kiedyż więc mianowicie „było: brzucha?“ Przypuśćmy atoli, że kiedyś tak „było“, to i cóż z tego? Francuzi o sakramencie Ciała Pańskiego używają, obok *le corps*, wyrazu: *la chair* = *la très Sainte Chair*. Podobnie niemcy: *das Fleisch*, obok *der Leib*. I cóż z tego? Dziś mówimy z grecko-łacińska: *tron*, a starzy polacy mówili: *stolec*. Sam p. N. wyrazu tego używa o stolicy biskupiej (10). I cóż stąd? Stąd, że autor przypomina, że „dawniej było: brzucha“, a przypomina w oświetleniu specjalnem i w wydawnictwie, zgola nie lingwistycznym, wypływa tylko to, że miał on na celu spotęgowanie zgorszenia maluczkich, skłonnych do ulegania wrażeniom fałszywej pruderji.

Są dusze, które gorszą się faktem sakramentalnego

¹⁾ Orzeczenie Epimenidesa, na które Apostoł się powołuje, było dla późniejszych sofistów greckich przedmiotem figlów sofistycznych: „Epimenides mówi, że wszyscy kreteńczycy kłamią; ale on sam jest kreteńczykiem, zatem: Epimenides jednocześnie kłamie i mówi prawdę!“

²⁾ Zmieniwszy, co zmienić trzeba.

uświęcenia małżeństwa:—Że też—dziwią się naiwnie—Pan Jezus nie wstydził się wdawać w takie rzeczy!¹⁾ Czy na tak myślące istoty p. N. zagiał kusicielski parol? Wątpimy bowiem, żeby mógł rachować na chłopą, dla którego swoje „Objaśnienie“ napisał. Jeżeli jednak na chłopą rachował rzeczywiście, no, to nie ma o nim wyobrażenia. „Brzucha?“ Ależ słowo to bardzo delikatne, wobec chłopskiego „kałduna!..“

Niegdyś miałem o chłopie wyobrażenie podobne. Byliśmy gromadą szkolną na majówce. Pocziwi wieśniacy wynosili z chat, radych, czem były bogate, i z zadowoleniem przyglądali się, jakieśmy zmiatali dzieże mleka, bochny razowca i sera. Pod okiem tych postrzegaczy zwracam się do sąsiada z szeptaną uwagą, że oni może... może.. gorszą się naszą żarłocznością młodzieńczą... Na to kolega, wychowany na wsi: Ba i bardzo! Oni budują się, że jemy tak delikatnie!

Czy p. N. widział kiedy chłopą w naturze, a zbliżka? Jego styl w „Objaśnieniu“ wcale tego nie ujawnia..

Ba! To zapewne niepodległy umizg rykoszetem do „myślącej“ dziatwy, zmuszonej potęgą własnej myśli stawić sobie pytanie: co to jest „żywot“?! No tak, jeżeli ją kto naprowadzi na to pytanie, mając w zanadru przedwczesny, a ponętny podarek uświadomienia, w dodatku na gruncie religijnym i na koszt religii... Przy jednym ogniu—dwie pieczenie! Belzebub, ojciec kłamstwa, mógłby za ten figiel poklepać p. N. po ramieniu...

Przed kilku laty, w zamkniętym dziś „Ogniwie“, profesor Baudouin de Courtenay gorszył się podobnie, z powodu zamieszczenia w Katechizmie, między grzechami wołającymi o pomstę do Boga, także grzechu, jak go sam nazwał: „geograficznego“. Czy to nie jest uczeniem grzechu i wskazywaniem drogi do niego? — pytał sz. profesor, podsuwając odpowiedź potakującą. No, proszę państwa, więc to należałoby w ogóle wykreślić z Katechizmu wszelką mowę o grzechach, bo każdy z nich, określony tam lub nie, stanowi sam przez się mimowolną wskazówkę grzeszenia?! A możebyśmy rozmawiali dalej ze starymi greckimi sofistami: „Wiadomość o złej rzeczy jest rzeczą złą, zatem złą jest... wszelka wiedza?!“

¹⁾ Oczywiście, Chrystus uświęcił sakramentem—nie—skażoną pożądliwość seksualną, ale czyste prawo natury, mające na celu potomstwo.

W gruncie rzeczy, nie o to-li chodzi sofistom Wolnej Myśli, żeby z Katechizmu wyrzucić wszystkie grzechy? Co za wspaniałe widnokreśli otwierają się na samą tę myśl, przed oczarowaniem okiem wolnych myślicieli! Niemasz już w świadomości ludzkiej barykad, zagradzających drogę do grzechu, bo sam grzech, jako taki, niewiadomy, nieznan! Można już owoce złego zrywać garściami i pożywać je swobodnie, bez obawy kary. Słowem, raj odzyskany!

Tylko, w tym osobliwym, wymarzonej przez Myśl Niepodległą raju, drzewo wiadomości dobrego i złego byłoby w połowie odcięte, mianowicie część z owocami dobrego. A już drzewa żywota nie byłoby tam wcale: zamiast niego—urośliby drzewo przedwczesnej śmierci, z pięknymi na oko purchawkami sodomskimi z nad Morza Martwego..

Daremne, utopijne próby wskrzeszenia na ziemi raju, wbrew Bogu! Próżne, faryzajskie, jeśli nie naiwne (pomińmo uczoności profesorskiej) gorszenie się z Katechizmu!

Skoro ludzkość obrała miasto drzewa żywota, drzewo wiadomości, zło moralne musi być wskazywane, oczywiście, łącznie z rygorem karnym. Cudny kwiat naiwności dziecięcej pod względem zła moralnego—może być do pewnego stopnia hodowany jedynie w bogomyślnych, zamkniętych cieplarniach klasztornych. Naiwność taka w życiu otwartem, pod gołym niebem rzeczywistości, byłaby naganą, bo niebezpieczną: groziłaby bezwiednem wchodzeniem na bagniska moralne, nęcące błotnym kwiatem ku topieli. Dziś zwłaszcza, wobec powodzi rozpusty, wylewającej się na widok publiczny jawnie i bezczelnie, gdybyśmy chcieli uniknąć zetknięcia ze złem: „musielibyśmy wynieść z tego świata“ (I do Kor. V, 10). Więc trzeba zło poznawać, właśnie z Katechizmu, gdzie ono jest oświecone tak, iż odraża.

Oczywiście, uświadamianie w złem, w celu dobrym, musi być stopniowe, w stosunku do jego drażliwości. Dlatego w Katechizmie, mianowicie elementarnym, grzechy przeciwko czystości płciowej są tylko notowane, a conajwyżej określenia ich omijają z daleka ich istotę. „Myślące dziecko i t. d...“ No, jeżeli istotnie, myślące i samodzielnie postawi jakie pytanie drażliwe, snąc do odpowiedzi dorosło. Chodzi o to jedynie, żeby nie otrzymało jej, zachowaj Boże! — z ust zapamiętałego doktrynera w stylu p. Niemojewskiego. W takim razie bowiem istotnie trzeba by

się było lękać zgubnych następstw „uświadczenia“, następstw, które tam właśnie występują najobficiej, gdzie zapoznano Katechizm.

Poco jednak budzić podobne pytania zagadkową nomenklaturą grzechu? Pytanie takie jest conajmniej dziwne, w ustach zwolenników uświadczenia ekstrakciem. Ale jeśli je nam zadają, odpowiedzmy. Otóż Katechizmowi nie chodzi o budzenie pytań niewczesnych i ewentualne zaspakajanie próżnej ciekawości, lecz o udzielenie prostej informacji, odpowiednio do wieku ucznia. Wszakże każdy podręcznik szkolny do każdej nauki, ma za cel udzielenie informacji, w zakres ich wchodzących. Specjalnie co do grzechu „geograficznego“—malcowi wystarczy wiedzieć, że to jest ohydna i plugawa zbrodnia, za którą Sodoma i Gomora zniszczone zostały przez jakiś kataklizm przyrody, prawdopodobnie przez wybuch wulkaniczny¹⁾, podobnie jak Saint-Pierre na Martynice, gdzie również zepsucie moralne grasowało w stopniu nadzwyczajnym. Żaden też młodec, nawet dzisiejszy, nowoczesny, który nie miał w ręku jednego z pism humorystycznych, „używających“ na procesie Harden-Moltke, albowiem w inny sposób i skądinąd uświadczony nie został, — z samych tylko danych katechizmowych nie wysnuje drastycznych pytań i na informacji katechizmowej poprzestanie.

Opowiadał mi jeden z księży prefektów, że pewien uczeń, chłopiec trzynastoletni, zapytał go, co to jest grzech sodomski, a otrzymawszy odpowiedź, że to taki grzech, jakiego popełniali mieszkańcy Sodomy, przekonany i zadowolony wykrzyknął: Ahaaa!...

Gdyby zaś Katechizm określił ten grzech wyrazem *homoseksualizm*, czy wtedy pozycja prefekta nie byłaby istotnie drastyczna?

Nie z Katechizmu, zaiste, płynie jakiegokolwiek zgorzenie; jeno ze złego usposobienia człowieka, który szuka zgorzenia i węszy je wszędy, chociażby w Piśmie ś., chociażby w arcydziełach sztuki, nawet religijnej, chociażby w samym kościele. Szaleństwem przecież byłoby domagać się zburzenia świątyń, zniszczenia arcydzieł, żeby usunąć

okazję do grzechu osobnikom zwyrodniałym, albo — żeby dogodzić fanatycznemu doktrynerstwu panów Niemojewskich. „Zatrącenie — *twoje* (z ciebie) Izraelu: tylko we mnie — mówi Bóg przez proroka Ozeasza—ratunek twój!“ (XIII, 9).

Panowie, którzy poczytują Katechizmowi za grzech naukę o grzechach, czynią taką zgorzoną minę, jak gdyby dawali do zrozumienia, że Katechizm uczy grzeszyć, na własną szkodę, przez własną... głupotę. Doprawdy, troska fałszywych przyjaciół, o ile Katechizm nie jest chorobą; troska dziecinna, o ile jest on od nich starszy i doświadczeńszy o całe 19 wieków, lubo—ideału swego dotąd nie osiągnął.

Poki też żyje Katechizm, — a ma on życie twardsze, niż sądzą jego wrogowie,—próżne są nadzieje na raj wolnej miłości, w duchu Wolnej Myśli, która powiada: nie jest grzechem to, co mi się podoba. Raj taki będzie musiał nadal kryć się wśród czterech ścian pod dozorem policji, i unikać oka opinii publicznej, urobionej bądź co bądź na zasadach chrześcijańskich.

No, ale czy nie jest ostatniem szelmostwem żywić i głosić aspiracje do takiego raju, a jednocześnie oburzać się jeszcze głośniejszą na—podrzucone Katechizmowi szelmostwa własne!?

W imię zasady sprawiedliwości: „*suum cuique*“ — odrzucamy je twórcy ich ze wstrętem. Błoto do błota!

Apaga, satanas!

Czy widzisz Pański krzyż?

A kysz, a kysz!

My po staremu będziemy wielbić Przeczystą Dziewicę-Matkę: Matkę Bożą i Matkę naszą:

*Zdrowaś Maryja, bądź błogostawiona!
I błogostawion owoc Twego łona!*

¹⁾ O tej katastrofie piszą i pisarze pogańscy. Strabon przypisuje ją wybuchowi wulkanicznemu; Tacyt i Polyhistor—piorunom. Opowieść biblijna zdaje się szczegółami swoimi popierać opinię Strabona.

ROZDZIAŁ IX.

Kościół Nauczający.

Forma rządu w mocarstwie Ciemnogrodu jest nibyto republikańska: są to wszakże tylko pozory. W gruncie rzeczy jest to skrajna despotja. Ze względu na formę zewnętrzną, możnaby Ciemnogród nazwać rzeczpospolitą despotyczną. Jest to sprzeczność wewnętrzna, lecz faktycznie pozorna, jak pozorna i złudna jest forma republikańska rządów ciemnogrodzkich. Na utrzymaniu zaś tych fałszywych pozorów — Ciemnogrodowi bardzo zależy. Potrzebne są mu one na wabia. Głową niewidzialną Ciemnogrodu jest mądry, nieśmiertelny Wielki Wąż; głową widzialną — namiestnik jego, Wielki Kacyk ciemnogrodzki, wybierany przez głosowanie powszechne, równe, tajne i bezpośrednie. Przyczem powszechność wyborów jest absolutna, więc obejmuje także pleć żeńską. Oczywiście, wszystkie te przymiotniki — to także fikcja pozorów. Znałe skądinąd sztuczki wyborcze kierują wyborami tak, aby z urny wyborczej wyszedł kandydat, upatrzonej z góry przez kolegium wtajemniczonych. Zasada: „cel uświęca środki” — święci także i na tym gruncie tryumfy. Zgryza hołoty ciemnogrodzkiej, jak sfora psów, wypuszczonych ze smyczy, oddaje wtedy nieocenione usługi ukrytym oligarchom. Wtedy też wyciągane są ze strychów hasła: wolności, równości i braterstwa. Znarkotyzowany przez nie tłum — idzie na niewidzialnym pasku, potulnie, jak bara-

nek. Wszelka, zresztą, opozycja uważana jest za świętokradzki zamach, na niewidzialną głowę Ciemnogrodu. Zaboobonny, mistyczny postrach wieje od Wielkiego Węża, łaskawego tylko na uległych jego namiestnikom, i mrozi wszelką do opozycji ochotę. Wolność, równość i braterstwo, są to „gwiazdki na niebie“, obiecane tylko tym, którzy idą w kierunku natchnień Wielkiego Węża. W tym kierunku postęp ciemnogrodzki hołduje maksymalizmowi, w którym postępowcy ciemnogrodzcy przelicytowują się wzajemnie.

Wszystko to są wprawdzie frazesy; są one wszakże wszechwładne, dogmatyczne: nikt nie śmie im przeczyć, pod grozą wielkiej anatemy, piętnującej śmiałków pieczęcią obskurantyzmu i wstecznictwa.

Hojny w obietnicach dla swoich; wymagający nadzwyczajnie wiele dla siebie, od niepodległego sobie mocarstwa Bożego, w imię tolerancji; szerzący wśród nas idee wolności absolutnej, wobec której tolerancja jest czemś minimalnem i tymczasowem: Ciemnogród jest u siebie dla obcych tyranem. W samej stolicy istnieje wielka dzielnica, w rodzaju włoskiego dla żydów *Ghetto*, zwana „Barbarzyn“. Skupiają się tam niewolnicy Ciemnogrodu, zwerbowani podstępnie obietnicami raju. Oni to pracują na Ciemnogród, który sam przez się jest nieprodukcyjny absolutnie. Przynajmniej — z naszego punktu widzenia. Jedyne zadaniem jego, jak wiemy, jest produkcja chmur dymów dla walki ze znienawidzonym słońcem. W tym kierunku Ciemnogród rozwija działalność niezmordowaną i sprawia wrażenie nadzwyczajnej pracowitości. Całą potęgę wiedzy i kultury rozwija on i spożytkowywa w tym wielkim celu. I mniema, że przez to zasługuje się ludzkości w sposób najwyższy i najdoskonalszy, oraz że ma prawo żądać od niej wysług wzajemnych we wszystkim innem. Słowem, żyje na koszt Miasta Bożego, Jasnogrodu, — sposobem pasorzytów. Jak nie ostałby się bez zasilenia swojej ludności przez propagandę swoich idei nazewnątrz, taksamo nie utrzymałby się o własnych siłach bez czerpania ich skądinąd. Nasi filozofowie tłumaczą to zjawisko prawem stosunku negacji do afirmacji. Negacja — dowodzą oni — nie może istnieć sama przez się, ale musi mieć w afirmacji punkt oporu i podłoże. Gdyby też zdołała pochłoniąć afirmację całkowicie, przestałaby istnieć sama, wraz ze wszystkim, co dla niej bytuje i żyje realnie. Droga

samounicestwienia życia, nastąpiłby przedwczesny koniec świata, a rozwój ludzkości okazałby się dziełem poronionem.

Wszakże filozofowie Ciemnogrodu drwią sobie z dowodzenia filozofów naszych.

— Wasze chamskie prawo — odpowiadają nam, wyprowadzeni przez opór ze słodkiej zwykle łagodności — służyć naszym wielkim celom, odzyskania odebranego przez zawieszę waszego Boga — raju ziemskiego, więc: budować nam mieszkania, żywić nas i odziewać! Dla was to zaszczyt, że służycie nam, mędrcom niepodległym!

W potrzebie — to „prawo chamskie“ podkreślane jest stosownym ruchem brauninga lub bomby. Z rewolwerem lub bombą nad głową, będą cię przekonywali, iżś stworzony na parjasa, a w spełnieniu powołania tego leży twoje szczęście i chwała. W ostateczności, jeśli będziesz na na tyle zuchwały, że przekonać się nie dasz pogroźką, dowiodą ci swego prawa, a twego obowiązku, argumentem ołowianym, wpakowanym w obskurancką głowę. Jest to argument decydujący i ostatecznie rozjemczy, który zabija radykalnie wszelki protest.

Szczęśny Ciemnogród! Nieszczęśny Barbarzyn!

Sam będąc zamaskowaną despotją, Ciemnogród obiecuje u siebie wolność, a uderza na Jasnogród, jakoby tenże rządził się despotyzmem. Emisarjusze ciemnogrodzcy, jakkolwiek przez uświadomionych jasnogrodzian zgola nie kochani, jednakże traktowani po ludzku, są jak ta szyna żelazna z bajki Franciszka Morawskiego, która (szyna),

w ogniu rozgorzała,

Tak pod młotem narzekala:

O, kiedyż tego młota się pozbędę

I dopókiż znosić będę

Takie ciosy i męki!

Ale próżne skargi, jęki;

Póty ją bito, tłuczono,

Aż ją na młot przerobiono.

Zapytasz pewnie, co robiła potem?

Ze wszystkich młotów najsroższym była dla szyn młotem.

No, i my nie anieli! Ale mamy zasady, które ku anielstwu kierują. Mamy też wodza nieomylnego, który nas wedle tych zasad prowadzi naprzód, w imię Boże. To

jednak właśnie Ciemnogrodowi nie podoba się. Pragnie on nas wyzwolić z pod jarzma... drewnianego, aby nam... nałożyć... żelazne! Z władzą naszego wodza naczelnego, którego zowiemy Papieżem, czyli Ojcem, załatwia się krótko-węzłowato:

Jest to najprostszy sposób przywłaszczenia sobie władzy, gdy się mówi: masz mi wierzyć, bo mi to powiedział sam Pan Bóg (52).

Istotnie, jest to najprostszy sposób obalenia władzy, gdy się mówi: nie słuchaj, bo to szalbierstwo! Ale gdzie na to dowody? Jeżeli ich niema, tedy oskarżenie o szalbierstwo jest szalbierstwem, podniesionem do drugiej potęgi. A, są i dowody, choć z ubocza:

Jakże wierzyć, gdy Kościół uczy sprzeczności? Gdy z jednej strony rozum nazywa darem bożym, a z drugiej strony czynności rozumu przeklina? (30). (Z powodu twierdzenia Katechizmu o konieczności wiary do zbawienia).

Jakiego to rodzaju sprzeczności zawiera nauka katolicka, oraz gdzie ich źródło, poznaliśmy dość już chyba dokładnie. Wiemy również, jakie to czynności rozumu Kościół wyklina: te, które rozumowi przeciwią się i których miejsce — nie na katedrze profesorskiej lub trybunie ludowej, lecz w szkole, na ławie.

Pan Niemojewski, oczywiście, jest przekonany, — czy święcie? to wielki znak zapytania! — że jedynie rozumne są te czynności rozumu, które przeciwią się nauce katolickiej. Jest to założenie, przesądzone z góry, i dowodzone potem argumentami, ciągnionymi przemocą, aż krzyczą w niebogłosy „gwałtu“! — co jednak wcale gwałcicieli rozumu nie zraża, ani nie wzrusza.

Ba, p. N. jest nadto przekonany; że sam Kościół w głębi duszy nie wierzy we własną naukę. Dlatego też „tych, którzy domagają się wyjaśnienia, czeka nie wyjaśnienie, lecz kłątwa“ (52). Autor domagałby się wyjaśnienia swych zarzutów, ale niestety, wie z góry, czem pachnie takie „zuchwalstwo“. Cóż dziwnego, że ujrawszy się w położeniu tak rozpaczliwym, szuka jedynego zeń wyjścia, w szlachetnym buncie przeciwko potwornej niewoli ducha?

Biedny-z p. Niemojewski!

Biedny, bo ten jego bunt przypomina pewien bardzo ciekawy przyrząd obłąnieniczy z dawnych czasów, kiedy to jeszcze nie znano prochu, zwany „baranem“: była to olbrzymia barania głowa, przymocowana do końca tegiej belki, którą walono w mur twierdzy, ażeby się rozwalił...¹⁾ Tembardziej, że nie możemy mu robić nadziei, aby murem Kościoła, w które waliły głowy znacznie cięższe, niż jego, przez ciąg 19-tu wieków, głowa jego poradziła... „O, głowo ty, głowo!“²⁾.

Autor jednak ludzi się, jako baranem swoim taranem wybił już wyłom w tych murach; ponieważ zaś ma dobre serce, tedy wzywa lud polski i działwę szkolną, żeby szli za nim do zwycięskich wyzwolin z „piekła“ obskurantyzmu i faryzajstwa katolickiego:

Jeżeli już nie nauka, ale zwyczajny *rozum chłopski* przestrzega stek tych sprzeczności, jeżeli lada dziecko w szkole widzi że pan profesor uczy jednej prawdy, a ksiądz katecheta — drugiej prawdy, które to dwie prawdy kłócą się ze sobą? Wtedy szkoła staje się dla dziecka piekłem, a takim samym piekłem dla przeciętnego człowieka staje się życie.

Rzeczywiście, wtedy szkoła i życie stają się „piekłem“, ale z winy „pana profesora“. Bo czy pan profesor ma przywilej nieomyślności, nie tylko w rzeczach nauki, ale w rzeczach wiary religijnej? Czy do pana profesora gramatyki lub geografii należy wykład religii? Czy to jest szczerza i bezinteresowna służba nauce, gdy nauczyciel gramatyki polskiej zaczyna lekcję od zapytania dzieci: No, i cóż tam słychać o waszym trójosobowym Bogu? Albo gdy znanemu geografowi warszawskiemu, bodaj wulkan Krakatoa lub dopływy Amazonki dają powód do bluźnienia Bogu, urągania Kościołowi i w ogóle do wszczęcia niedowiarstwa?³⁾

To ostatnie powiedziano, wprawdzie hiperbolicznie, ale zgola nie bezzasadnie. Oto jest przykład *realny*. Mówiąc o bujnej roślinności podzwrotnikowej na wyspach Polinezji, zwłaszcza wulkanicznych, p. Nałkowski tak ją

charakteryzuje: „Rośliny te (palmy, banany etc.) nie potrzebują wielkiego zachodu, a dostarczają tak obfitego pożywienia, iż wyrażenie: *będziesz pracował w pocie czoła* — nie ma tu zastosowania“¹⁾. Tak, to jest fakt; ale czy to wyspiarzom wychodzi na dobre, że spuszczaając się na matkę-przyrodę, nie pracują w pocie czoła? Sam autor stwierdza: „To też mieszkańcy tutejsi prowadzili prawdziwie rajski żywot, rozleniwiający i osłabiający energję“. Ba, i tu widać zatrutą jadem niewiary strzałę, utkwioną w pojęciu raju biblijnego. Autor pojmuje go tu, jako pierwotny stan natury, z którego należy wydobywać się przez pracę kulturalną. Skąd wypływa, że prarodzice nasi, osadzeni w raju, dobrze uczynili, łamiąc zakaz Boży. No, ale w takim razie ostaje się wyrok, skazujący na pracę w pocie czoła, gdyż bez niej niema kultury i postępu. Ostaje się on tem więcej, że wśród polinezyjczyków, pomimo hojności flory, rozpowszechnione było ludożerstwo, które sam p. Nałkowski objaśnia (parę kartek wstecz) „trudnością zdobycia pokarmu“, mianowicie mięsnego, gdyż, co autor stwierdza również: „świat zwierzęcy jast tam bardzo ubogi“. Ładny mi „rajski żywot“, gdy się uprawia ludożerstwo, z braku zwierząt! Raj biblijny nie znał nawet godziwego mięsożerstwa w ogóle, lubo w nim zwierząt nie brakło. Nie dziw, zresztą, iż księżozercy sympatyzują z „rajem“ ludożerców...

Ostatecznie z samych twierdzeń p. Nałkowskiego wypada, że wyrok Boży o pracy w pocie czoła ma zawsze swoją siłę, bo jakkolwiek może być przestąpiony, jednak nigdy bezkarnie, skoro uchylanie się z pod tego wyroku mści się na człowieku żdźzieniem i zwyrodnieniem. I nie tylko na dzikich wyspiarzach, ale i na cywilizowanych zjadaczach procentów od kapitałów. Żeby się to z twierdzeń p. Nałkowskiego jawnie okazało, trzeba je tylko skonfrontować, a wnet jedno przeciw drugiemu stanie i prawdę wyśpiewają. Pan profesor tedy jedynie kosztem sofistycznej płataniny zaczął religję. I to ma być nauka?

Pan Niemojewski woła dalej tonem opętanka:

Wierni mają słuchać i milczeć — oto zasada kościoła! A jeżeli nie mogą słuchać, jeżeli nie mogą dłużej milczeć? Wtedy rzu-

¹⁾ Ob. „Facieje Sowizdrzalskie“ Nowaczyńskiego. Str. 39.

²⁾ Z „Dziadów“.

³⁾ Z artykułu ks. Biskupa Niedziałkowskiego: „Co myślą zagrożeni piętnowaniem?“ Słowo, Nr. 349 z r. 1907.

¹⁾ „Zarys Geografii Powszechnej Rozumowej“. Str. 137.

ca się na nich wielką kłatwę, wtedy nazywa się ich parszywymi owcami, wtedy rozpuszcza się między lud wieści, że ich djabeł opętał, wtedy podżega się ciemne masy, aby chwyciły kłonicę i szły na odszczepieńców, wtedy z wysokości stolic biskupich każe się „niszczyć złe książki”, wtedy księża wpadają do księgarni, grożą, porywają cudzą własność, palą... Tak, wtedy wybucha wojna religijna, którą przeżywamy obecnie w naszym kraju, a która jest niezmiernie inną, tylko walką o zagrożony, wygodny, miły byt, oparty na ciemnocie Ludu Polskiego, na jego powolności, na jego nadzwyczajnej dobroci.

Nie dziwota, że p. N. staje w obronie jednej z najgłupszych herezji, jakie kiedykolwiek pojawiły się pod słońcem. Dla niego dobry każdy sprzymierzeniec, byle nie nawidził Kościoła. Tem łatwiej mu to przychodzi, że jego własna inteligencja w dziedzinie religijnej stoi niżej zera.

Nie dziwota również, iż trzymając stronę swego sprzymierzeńcy, mającego ze swej strony sprzymierzeńców w „istino-ruskich” na Chełmszczyźnie i w Kraju Zabranym (*les beaux esprits se rencontrent!*), własne jego winy zwała stronniczo na katolików. To rzeczy stare i znane.

Co trochę dziwne na razie, to to zapomnienie na śmierć o postępowych brauningach i mauzerach socjalistyczno-bandyckich, gdy mowa o pierwotnych, barbarzyńskich kłonicach. Przecież na mocy prawa kojarzenia się pojęć... Ba, także naiwność! Od czegoż wynalazek miar i wag podwójnych?

O „wojnie religijnej” mówi p. N. obszerniej w „Uwagach Wstępnych”:

Księża w bezgranicznej chciwości wydzierając sobie z rąk owieczki, doprowadzili do wojny religijnej w naszym kraju. Uspiewszy zdrowy rozsądek chłop polskiego, dali mu w ręce kłonicę, dragi, kamienie i broń palną, aby się grażył w walce bratobójczej, aby pięścią, nie myślą i mową, manifestował swoje przekonania. Polala się tedy krew katolików i marjawitów. Papież, na życzenie arcybiskupa warszawskiego, podsyła ogień tej wojny, rzucając kłatwę na jednych, rozzuchalając do gwałtów—drugich. Urządza pod wodzą księży wyprawy zaboreze i karne, do których przyłącza się i szlachta z dubeltówkami. Oblegano się wzajemnie, wydzielano sobie kościoły. Mord splamiał jednak „rękę”, a nie „ślepy miecz”. Wina spada na tych, którzy podżęgali do mordu i gwałtów ciemne, oglupione masy. Wszystko to działo się zarówno pod płaszczykiem Chrystusowej miłości bliźniego, jak i pod płaszczykiem szczytnych uczuć patriotycznych. Inteligencja nasza z bezmyślną obojętnością patrzyła przez cały czas na machinacje duchowieństwa i na gorącą krew Ludu Polskiego, godną, zaiste,

lepszej sprawy. Otóż my, ludzie myśli niepodległej, nie możemy się zdobyć na taką obojętność. Widząc też nie tylko zło, ale także źródło, z którego ono wycieka, pragniemy je odsłonić i ukazać szerokim masom (8—9).

My jednak, ludzie myśli, nieopętanej przez diabła niepodległości, prawem logiki sądzymy o tem, co następuje.

Powodem wojny religijnej w naszym kraju nie mogła być chciwość księża na „owieczki”, skoro przed wojną, aż do chwili wybuchu jej, łączyła wszystkich księży ze wszystkimi owieczkami jedność wiary. Powód był natury idealnej. W następstwie dopiero idei, dobrej samej w sobie i pielęgnowanej przez władzę kościelne, ale na nie-szczęście, podszytej szarlatańską spódnicą, wybuchał całkiem naturalna walka o owieczki. I wtedy atoli nie mogło chodzić o ich „wełnę”, jeno musiało chodzić o ich dusze, skoro tęsamą wełnę można było strzydz jeszcze lepiej, przystawszy do „mateczki”. Więc też władze duchowne posyłały na zagrożone posterunki kapłanów, gotowych na wszelkie prywacie, bodaj na śmierć samą. Cóż stąd, że p. N. nie wierzy w naszą wiarę w to, co głosimy naszym owieczkom? Fakt, że wierzymy, i tego faktu nie wiara p. N. nie obali. Pan Nałkowski pisząc o książce Jamesa, p. t.: „Czy warto żyć?” — między innemi *à propos* powiada słusznie: „Dawniej silnie wierzone, że ładu jest na ziemi więcej, niż wody, bo jakżeby Bóg mógł się więcej troszczyć o mieszkanie dla ryb, niż dla człowieka; a jednakże ta silna wiara nie zdołała zmienić istniejącego stanu rzeczy, który jest odwrotny temu, w jaki wierzone”¹⁾.

Kłonicę, dragi, kamienie, broń palną—to była raczej broń zaczepna odszczepieńców. Katolicy na ogół zachowywali się odpornie; o ile zaś rwali się do bójki, to księża studzili ich krew gorącą skutecznie—Katechizmem, w którym p. N. upatruje źródło wojny bratobójczej.

Twierdzenie poniekąd słuszne: Katechizm jest, wprawdzie nie „źródłem”, ale mimowolną okazją wojen religijnych.

„Nie mniemajcie,—mówił Chrystus—żebym przyszedł

¹⁾ „Poradnik dla czytających książki”. Nr. 13 z r. 1901. Po krótkim a burzliwym żywocie, dwutygodnik ten zakończył życie na wy-czerpanie finansowe.

puszczać pokój na ziemię: nie przyszedłem puszczać pokoju, ale miecz.

„Bom przyszedł rozłączyć człowieka przeciw ojcowi jego, i córkę, przeciw matce jej, i niewiastę przeciw świekrze jej:

„I będą nieprzyjaciele człowieka domownicy jego.

„Kto miłuje ojca albo matkę więcej, niż mię, nie jest mnie godzien: a kto miłuje syna albo córkę nad mię, nie jest mnie godzien“ (Mat. X, 34—37).

Iluz to katolików nieświadomych słowa te oburzają! Przecież to samo, co do treści, głosi wszelka religja i wszelka doktryna społeczna: wszelka, która ma krew, która nie jest anemiczna. Wszelkie żywe i mocne przekonanie podmiotowe ma to do siebie, iż rozdziela, niby miecz, — społeczeństwa i rodziny — na obozy. Dla przekonania, każdy człowiek, o ile nie jest filistrem, poświęca w potrzebie spokój i dobrobyt, a idzie w ogień walki. Pod tym względem rozumieć się wzajemnie mogą ludzie różnych wiar i przekonań, ale ideowcy: aniżeli ludzie jednej wiary, z których garstka żyje dla idei, a gromadna reszta stawia ponad wszystko względy materialne i doczesne. Pana Niemojewskiego nie osądzamy, jako filistra; on, który wygrywa siarczyste pobudki do boju w imię haseł socjalistyczno-masońskich, powinienby wojnę religijną lepiej niż wielu innych rozumieć. Gdzieindziej też trzeba szukać przyczyny jego wstępu do wojny, do miecza. Właściwie on wstępu takiego zgola w duszy swej nie żywi. On całą swoją działalnością pisarską i całym temperamentem woła za Szekspirem:

Wojna, nie pokój!

Mnie wojna pokojem! ¹⁾

On ma wstępu tylko do wojny *religijnej*, bo dla niego ideały religijne nie warte są krwi ludu. Co innego, sprawa tej krwi „godniejszej“, to jest: socjalistyczno-masońskie. Te — godne są najzupełniej, aby je krew ukochanego „Ludu Polskiego“ podlewała jaknajobficiej...

Ale otóż różnica między Katechizmem, a doktrynerstwem, „godniejszym“ krwi ludowej i w ogóle ludzkiej.

¹⁾ „Król Jan“.

Katechizm, będąc okazją ¹⁾ do wojen, jednocześnie zawiera wielki jeden przepis, zabezpieczający od przelewu krwi, od walki bratobójczej: „Kochaj bliźniego, jak siebie samego!“ Chrystus przyniósł na świat „miecz“ duchowy, ale miecz ze stali kazał schować do pochwy.

Ten przepis, wypływający z miłości ku Bogu, jako Ojcu całej ludzkości, niemożliwy jest tam, gdzie niema wiary w Boga. Został on też z katechizmu socjalistycznego wykreślony faktycznie. I dlatego nie dziwno, że z tak „uczciwego“ i „godnego“ źródła wyciekło takie szelmostwo, jak bandytyzm.

I my, za pomocą swego Katechizmu, zdołaliśmy zagnąć burzę religijną; gdy tymczasem socjaliści, przyjąwszy siłę brutalną, jako zasadę w walce klasowej, ze swoimi bękartami-bandytami poradzić sobie nie zdołali. A p. N., jako receptę i plaster na wojnę religijną, podaje nam swoje „Objaśnienie“! Zaiste, lepiejby był zrobił, przysłużyłby się swemu socjalizmowi, gdyby temuż na jego chorobę bandytyzmu, zalecił nasz Katechizm. Tenby zapobiegł by napewno wzajemnemu wyrzynaniu się i wystrzeliwaniu przez rewolucjonistów socjalnych różnych odcieni, w imię minimalnych różnic ideowych.

Tymczasem — kociel przygania garnkowi... A „garnek“, wprawdzie odcina się, co słuszna, lecz jednocześnie czyści tych, których kociel usmolił...

Jednak jakże piękny w naszych oczach był zapal do walki o wiarę, jak godny wierzącego ludu polskiego! To zapal Kłodoweusza, gotowego pójść ze swoimi frankami przeciwko katom Chrystusa. To zapal, który natchnął Orta wdzięcznym niezmiernie wierszem, złożonym przezeń u symbolicznego Grobu:

Stoją rycerze,
Zbrojni w pancerze
Husarze!
Orszak skrzydlaty
Odprawia czaty
I strażę.

I mruczą owo
Ze tzą perłową
Na twarzą:
Przech-żeś k'odsieczny
Nie skrzyknął mieczy
Husarzy?!

¹⁾ Przez samo to, że stoi twardo przy prawdzie Bożej, która wielu atakuje nienawistnie. Przepowiedział to starzec Symeon, trzymając Dziecię Jezus na ręku: „Oto ten... położon jest na znak, któremu sprzeciwiać się będą“ (Łuk. II, 34).

Pan Niemojewski, jako poeta, powinienby odczuć piękno zapału, wyrażonego tak cudownie naiwnie. Trzeba się lękać atoli, czy fanatyk nie zabił w nim poety? Narzucają się nam przeciw niemu własne jego słowa:

*Nie my wiosnę grzebiem w tobie!
To w twej duszy liść opada,
To w twem sercu grób przy grobie!*

Tak, piękny był zapał ludu naszego, rwącego się do boju za wiarę. Ale jeszcze piękniejsze były te tak łatwe zwycięstwa, które odnosili kapłani nad porywami ludu, perswadując mu, że nie siłą zwierzęcą walczy się o ideały najwyższe. Łatwość tych zwycięstw przynosi ludowi naszemu zaszczyt.

Wobec takich przekonań naszych i takiego nastroju ludu wiernego, dziko wręcz brzmi oskarżenie: „Papież, na życzenie arcybiskupa warszawskiego, podsycił ogień wojny...“ Nie, miecz kłatwy raczej przyczynił się znakomicie do przygaszenia go, albowiem odciał środowiska, płonące buntem, od sfer zagrożonych, i przez to pożar umiejscowił. Gdy do chwili kłatwy, rzuconej na przywódców odszczepieństwa, ci mogli bałamucić lud pozorami prawowierności i tym sposobem pożar rozszerzać: to z chwilą rzucenia jej, stało się to niemożliwem. Wojna przycichła, odszczepieństwo weszło w okres konsolidacji, aby w równie szybkim tempie wejść w ostateczny okres rozkładu i upadku, którego znamiona występują nazewnątr od samego początku. Śmierć „mateczki“ będzie zapewne śmiercią sekty, jako takiej.

Pan N. pragnie gorąco, żeby się ta wojna religijna uciszyła nareszcie. Tedy ukazując ludowi źródło, z którego wszelkie zło wycieka, zwraca się do niego:

Czytaj, bo zwracają się do ciebie ci, którzy wcale nie chcą tobie przewodzić (*tosamo gadał wąż w raju!*) i tylko jednego usilnie pragną: abyś przejrzał, zmądrzał, wyszlachetniał, sam sobie stał się panem i osiągnął na ziemi najwyższe szczęście, jakie jest dostępne dla człowieka (*a co po śmierci? gnój?*) A przede wszystkim pragną, aby się uciszyła ta burza religijna i aby przestała się lać krew twoja (13).

Naprzód, interwencja p. N. i podległych mu jego ludzi niepodległych, jest już zbędna. Daliśmy radę sami sobie, właśnie przy pomocy tych środków, które on, jako

¹⁾ Chociaż można o tem i wątpić. Ciemnota ludzka—niezmierna, a grać na niej smyczkiem fanatyzmu niezmiernie łatwo.

rzekomo prowadzące do wojny, potępia. Powtóre, niezbyt wierzymy w szczerłość tego pragnienia. Bo któż to podżegał „marjawitów“ do walki z katolikami, jeśli nie socjaliści? Gdzie największe gniazdo „marjawitów“, jeśli nie w Łodzi, stolicy socjalistów?

My natomiast szczerze pragniemy, aby uciszyła się wojna bratobójcza między robociarzami, wzniecona przez socjalizm. Demokracja Chrześcijańska, która wyszła z łona naszego, wyrzuca żagwie walki klasowej, rzucone przezeń w dom nasz społeczny.

Podobnie jako i krew ludu, cięży p. N. na wątrobie także sprawa niszczenia złych książek. Mówi on o niej także w „Uwagach Wstępnych“, w związku z kwestją oświaty:

Zjazd pisarzy katolickich odsłonił całą furję księżej ciemnoty, która przestraszyła nawet tak prawowitych katolików, jak arcybiskup Teodorowicz, prałat Gnatowski i ksiądz Gralewski.

No, jeżeli ci kapłani są prawowitymi katolikami, snąc tedy „księża ciemnota“ nie jest produktem specjalnym katolicyzmu. Jakoż znamy ciemnotę niepodległą, najgorszą ze wszystkich ciemnot ludzkich. Dalej:

Tak zwana Partja Częstochowska urządza naganę na Polską Macierz Szkolną, zarzucając jej poganizm.

No, a czy ludzie myśli niepodległej naganek podobnych nie urządzali? Czy nie stworzyli naprzeciwko Macierzy swoich Kultur i Światel? I oni, zaiste, do walki z Macierzą mieli większe, niż my, powody. My, walcząc z jej ustawą, jednocześnie samą Macierz popieraliśmy. Rzuciliśmy się do zajęcia jej placówek dopiero wtedy, gdy ją zamknęto. Wy, natomiast, kochaliście Macierz jedynie z nienawiści ku Kościołowi. Obejmowaliście ją swoimi uściskami, jedynie żeby bronić w niej od zagłady ziarenka niezgody z Kościołem, w nadziei, że kiedyś uda się wypielegnować zeń drzewo oświaty bezwyznaniowej, wręcz ateistycznej. Poza tem, wyście Macierzy nienawidzili, a miłość wasza ku niej była kłamana. Kłamie też p. N., gdy mówi dalej:

Napaść na tę niewinną instytucję jest ostrzeżeniem, że chodzi tu o zduszenie świeckiej oświaty w jakiegokolwiek formie.

Nie oświatę świecką, ale oświatę tendencyjną, bezbożną, szerzącą obskurantyzm ciemnogrodzki, zdusić chcemy z całego serca. Dalej:

Hasło „walki o lud“, rzucone przez Sienkiewicza przeciwko socjalistom, zostało podjęte przez księży przeciwko Sienkiewiczowi. Niedarmo też zmarły przed kilku laty biskup plocki Szembek, występował ostro przeciwko dawaniu ludowi do czytania „Trylogii“. Dajcie mu katechizm!

O podjęciu przez księży hasła Sienkiewicza przeciwko Sienkiewiczowi, dowiadujemy się stąd poraz pierwszy... Zresztą, jakkolwiek Sienkiewicza cenimy zapewne wyżej, aniżeli jego krytycy z obozu niepodległych, piszący przeciw niemu całe „Sienkiewiczjany“¹⁾ i wyobrażający sobie, że patrzą nań przez lupę, podczas gdy w istocie patrzą przez rurę od barszczu²⁾—jednakowoż autora „Quo vadis?“ nie uważamy za powagę w rzeczach wiary, a i on pretensji do tego nigdy nie ujawniał. Co się zaś dotyczy głośnego wystąpienia ingresowego ś. p. biskupa Szembeka, to nie przedstawia się ono znów tak bardzo dramatycznie. Biskup ten nie wytrącał ludowi z rąk „Trylogji“, jeno ponad nią zalecał w ogóle piśmiennictwo religijne, którego pominięcie w inspirowanej przez jakiegoś inteligenta-narodowca przemowie kurpia, wobec dostojnika kościelnego, było rażące! Cóżby powiedział p. N., gdyby jaki naiwny delegat masonerii głosił wobec niego pochwały tejsamej Trylogji, z pominięciem „Objaśnienia“? Dalej:

Ale i na tem szal fanatyczny kleru nie poprzestał. Biskup Zdzitowiecki z wysokości swego stolca pasterskiego, wydaje urzędowy nakaz „niszczenia złych pism“. I oto księża wpadają do księgarni, zabierają nieprzyjemne dla siebie książki i palą je. Gwałt ubiera się w szaty świętości, a targnięcie się na cudzą własność staje się prawem (10).

Lekarzu fanatyczny od fanatyzmu, ulecz wprzód samego siebie! My damy już radę sami sobie, przy pomocy Katechizmu. On bowiem poucza nas, iż o ile ludzi

¹⁾ Pan Wacław Nalkowski.

²⁾ Sienkiewicz w „Listach z Afryki“ o jednym z krytyków „Bezdogmatu“, którego krytykę autor otrzymał w podróż.

należy miłować, o tyle właśnie z miłości ku ludziom, należy nienawidzić zła i konsekwentnie tępić je, gdzie się tylko da. Jest to robota rolnika, tępiącego chwasty na roli. Z tego stanowiska, nawet najdespotyczniejszemu rządowi nie poczytujemy w zasadzie za złe, konfiskat literatury t. zw. „nielegalnej“. Możemy tylko nie uznawać za złe tego, co on jako takie uznaje, i z tego tylko tytułu konfiskaty potępiać. Nie wątpimy też ani na chwilę, że sam p. N., gdyby dorwał się do władzy, zabrałby się przedewszystkiem do tępienia Katechizmu w sposób fizyczny, jak go tępić usiłuje obecnie w sposób moralny, jakkolwiek... niemoralny wskutek złej woli, jawnej na każdym kroku.

Niszczenie książek, uważanych za złe, nie wnoszących nic nowego do skarbnicy wiedzy ludzkiej, obrachowanych jedynie na popularyzację idei, conajwyżej hipotetycznych, jeśli nie jawnie fałszywych, jest postulatem etycznym, bez względu na przekonania¹⁾. My, owszem, uważamy zniszczenie książki takiej, jak „Objaśnienie“, za uczynek równie dobry i wskazany, a nierównie donioślejszy, niżeli zniszczenie podrzuconej bomby. Kwestja jedynie w tem, co rzeczywiście złe, a co dobre, kwestja, która sprowadza się do pytania: co jest prawda, a co fałsz. My widzimy pełną i doskonałą prawdę w nauce katolickiej, z której wyciągiem jest Katechizm. I nie jest to tylko widzenie podmiotowe, które zarówno towarzyszyć może wszelkim błędom i niedorzecznościom; ale widzenie przedmiotowe, mające za sobą dowody wypróbowane przez krytykę 19 u wieków.

Oto uzasadnienie naszego przekonania w kwestji niszczenia książek: przekonania, jak każdy widzi, dalekiego od zapędów Omarowych. Głosimy je jawnie, nie bacząc na szyskany złowolne i złośliwe, wiedząc, że przeciwników zdecydowanych nie ugłaskalibyśmy niczem, że oni zawsze powody do szarpania nas znajdują. Tę jawność naszą przeciwnicy wyzyskują przeciw nam, podnosząc larum, niby gęsi kapitoluńskie. My nie! Jak Izajasz, stawiamy twarz, jako najtwardszą skałę, pewni, że czynimy dobrze. Blizko

¹⁾ Zasada, ograniczająca wolność czytelnictwa, ogranicza także wolność pisarską. Któż z nas nie powitał z satysfakcją wyroku Synodu, zakazującego pisać do druku osławionemu mnichowi rosyjskiemu, Heljodorowi? A poczajowcy, zaiste, nie gorsi od niepodległowców.

jest Ten, który nas usprawiedliwia: któż się nam sprzeciwi? (Izajasz, L, 7, 8).

Rzecz całkiem inna — niszczyć książki złe za pomocą gwałtu. Tego środka do dobrego celu zgoda nie pochwalamy, ani nie praktykujemy. Nikt też, nawet policja, prócz p. N., nie zarzucił nam, żebyśmy tego środka używali. Jest to twór bujnej fantazji, która zamyka oczy na to, czego widzieć nie chce, a zmyśla, co widzieć chce, co dla jej planu kompozytorskiego potrzebne.

Jeżeli niszczymy lub niszczyć zalecamy książki złe, t. j. bezbożne i niemoralne, to baczni na etyczność środków, wykonywamy prawo to samo, które wykonywają nader gorliwie także ludzie myśli niepodległej w stosunku do książek zbożnych, przez nich za „złe“ poczytywanych. Tylko oni czynią to cichaczem. Komu jednak z katolików uświadomionych tajny jest — tajny nakaz wolnomyślicielski: „*catholica non leguntur*“ — nakaz, zabijający literaturę katolicką niewinnym pyłem księgarskim? I któż z nas nie słyszał o zdarzonym tu i owdzie wypadku, zniszczenia książki katolickiej przez wolnomyślnego gorliwca?

Mam w skrytce doświadczeń osobistych pod tym względem bardzo świeży fakt, którego nie godzi mi się chować pod korcem. Było to w roku Pańskim 1907. W parę dni po ukazaniu się z pod prasy — broszury pod n. „W pałacej sprawie młodzieży szkolnej w Królestwie“, zaskarżony zostałem do sądu duchownego w Płocku, o „potwarz i oszczerstwo“ w druku, których to niegodziwości dopatrzono się w kilkunastu wierszach książki. Skarga wyszła z miejscowego kółka *postępowcowego*. Śledztwo ujaśniło więcej, niżli było potrzeba do mojej obrony. Sprawę wygrałem. Ale nie o to tu chodzi. Co w całej tej aferze najciekawsze, to, że powód, człek sam przez się spokojny, ale inspirowany przez owo kółko, w skardze swej zażądał skonfiskowania całego nakładu broszury, przyczem postawił kategorycznie „wniosek“ nagłośni sprawy i wyznaczył sądowi termin prekluzyjny, grożąc w razie przeciwnym — sądami cywilnymi. Fakt, zdaje się, dość wymowny...¹⁾

¹⁾ Cały ten wypadek opisałem szczegółowo w „Przeglądzie Katolickim“ Nr. 26 z r. 1907. Na podstawie pomieszczonego tam sprawozdania, streścił go p. Stefan Górski w odcinku „Bluszczu“ (Nr. 32), a także

Nie mamy jednak do naszych przeciwników pretensji, o dążenia ich do zabicia *coûte que coûte* naszego piśmiennictwa. Oburza nas głównie ich obłuda, widna w potępianiu tego, co czynią sami, wyzyskująca naszą jawność a swoją tajność i nieprzebierająca w środkach. Oburza nas także barania istnie głupota tych, którzy, mając się za katolików, nakazom wolnomyślicielskim bezmyślnie hołdują.

Tak, panowie niepodległowcy! Wy rozumiecie doskonale, może lepiej niż my, potężny wpływ czytelnictwa na urobienie i kierunek myśli bezkrytycznego tłumu. Zabiegacie też wszelkimi sposobami, żeby czytano was tylko samych, a ignorowano nas. Propaganda hasła bezwzględnej wolności czytelnictwa, to główny wasz środek zabiegowy, tem ponętniejszy, że przeciwstawiany katolickiemu indeksowi. Hasło to jednak właściwie znaczy: wolno czytać wszystko, za wyjątkiem rzeczy katolickich i w ogóle chrześcijańskich. Tych czytać niewolno, pod groźbą obskurantyzmu i wstecznicztwa, którego dowodzi się wywłóceniem i hałaśliwym wysmiewaniem ramot piśmiennictwa katolickiego, a grobowem przemilczaniem prac wartościowych.

Tymi sposobami durzy się wolnością głowy bezmyślne, a łakome na zgorszenie i sensację, i prowadzi je potem na pasku nakazu, ograniczającego wolność na korzyść Wolnej Myśli, a na szkodę Kościoła. Tą drogą narzuca się złudę wyzwolenia i bierze nieopatrznych w sromotny jasyr Wolnej Myśli, niewolnicy niedowiarstwa. I beczą baraniętą, jako im nakazano, w mniemaniu, że beczą samodzielnie, niezależnie i niepodległe!

W tym to duchu p. N. zwraca się i do chłopą polskiego, podając mu do ręki swoje „Objaśnienie“:

A gdyby ci powiedziano: nie bierz do ręki takiej książki, ona zła, wyklęta przez biskupów i księży, — śmiej się! Błady strach przed prawdą głosi takie ostrzeżenia (15).

Wiedząc, że ostrzeżenia podobne głoszą i ludzie myśli niepodległej, („Objaśnienie“ jest rozumowaniem ostrze-

„Dziennik Powszechny“ — we wrześniu. Pozatem w prasie było o tem głucho. Ciekawe i to, że „Płocczanin“, który obwieścił tryumfalnie fakt podania skargi, ani słówkiem o jej odrzuceniu, kompromitującym dla oskarżyciela, nie wspomniał.

zeniem przed Katechizmem), możemy ocenić, dla kogo właściwie „błady strach przed prawdą“ jest motywem agitaacji. Rzecz jasna: kto głosi ostrzeżenia swoje jawnie i szczerze, ten śnać lęka się — nie światła prawdy, ale ciemności fałszu, żeby one nie ogarnęły ubogich we wiedzę religijną prostaczków i nawet inteligentów. Natomiast boi się prawdy ten, kto wyzyskując obłudnie szlachetną otwartość przeciwnika, czyni to samo, co on, ale sposobem cygana. Kościół, jak już przed wiekami powiedział nieśmiertelny i genialny Augustyn, lęka się tylko tego, aby prawda, którą posiada i głosi, nie była potępiona bez uprzedniego jej poznania. Wierzy zaś, że kto ją pozna, tego ona cza-rem swoim pokona i rzuci przez sobą na kolana, w zachwy-cie nad jej pięknoscią, głębią i harmonją.

Pan Niemojewski śpiewał niegdyś o doli „Pastucha“:

...Ale sza, dziecińo!
 Chociaż dni lata w mgły jesieni spłyną,
 Choć mróz cię zgnębi, nie ogrzeje chata.
 Lepiej ci ginać wśród twojego świata!
 Tyś wierzył w białych aniołów na niebie,
 Ze do światłości wiecznej wezmą ciebie,
 Na wyiskrzone spoglądniesz lazury
 I może, dziecię, ujrzysz ich u góry!
 Szatan zagadki nie stanie przy tobie,
 Gdy na otwartym zatrzymasz się grobie,
 Ucho twe zgrzytu jego nie posłyszysz —
 Z ciszy wyszedłeś i wrócisz do ciszy.
 Ach, jakże piękne twe niebo, pastuchu,
 Ileż go świeci w twym prostaczym duchu!
 Nam dała mądrość tylko czyścić pytań,
 Dni bez zachodu i noce bez świtań,
 Nawet słodyczy nie dała nam cnoty —
 Przypięta nam skrzydła, spętała poloty!

„Quantum mutatus ab illo!“¹⁾ Dziś ten sam p. N. wykonał zamach na dolę „pastucha“, której mu ongi po-

¹⁾ „Jakże zmieniony, jak niepodobny do tego, jakim był niegdyś!“ (Z „Eneidy“ Wirgiljusza). Były już wszakże w umyśle p. N. zadatki, zapowiadające ten rozwój negatywny. Podobna ewolucja dokonała się w bardzo wielu innych umysłach, nastrojonych sceptycznie, lecz umiar-

zazdrościł. Chce odebrać mu jego dolę, jej osłodę religijną, dając mu wzamian — gruszki na wierzbie! Chce go przeprowadzić przez „czyścić pytań“, aby go następnie strącić do piekła negacji, kędy człowiek, z duszą niezezwierzęcą, może tylko rozpaczać. Do tego piekła, gdzie, według własnych słów p. N.:

*Daremnie sercem miota wściekłość głucha —
 Nic nie zastąpi spokojności ducha!*

Tymczasem nawa Kościoła, płynąc po wzburzonych przez niewiarę odmętach myśli i życia: „*fluctuat, non mergitur*“, — „miotana jest, ale nie tonie“ i pod przewodem Piotra, nieuszkodzona, pewna siebie, płynie do portu pokoju.

A iż Kościół zawsze łączy Piotra z Pawłem, władzę kluczy z mądrością apostołską, tedy o stolicy świata katolickiego, tym naszym Jasnogrodzie, wołamy:

*O, szczęśny Rzymie, ciebie dwóch książąt zaszczyca
 Krwią swoją! Jakże piękna purpurą tak droga
 Matka wszystkich Kościołów i Oblubienica:
 Żadne piękności świata zrównać jej nie mogą!¹⁾*

kowanych, — w okresie rewolucji. Nieświadome zmiany, która zaszła w nich samych, zmiany na gorsze, umysły te upatrują zmianę raczej w tych, których fala rewolucyjna nie zdołała stracić z ich stanowisk przekonaniowych i które z konieczności zwróciły się przeciwko niedawnym pół-sprzymierzeniom.

¹⁾ Z hymnu brewiarzowego na uroczystość śś. Apostołów Piotra i Pawła, — w przekładzie ks. Hołowińskiego.

„Wnioski” p. Niemojewskiego

w oświeceniu zdrowego rozsądku.

„Ludowi nie trzeba odbierać religii”, — wołają nasi obłudnicy. — Woła p. Niemojewski (60).

Tak, przyznajemy: obłudnicy są ci, którzy chcą religii — tylko dla ludu.

A my pytamy: czy powyższe potworności są wogóle tem, co się zwać może religią? Nie, taką religię, jakiej uczy katechizm, trzeba ludowi odebrać czempredzej, bo ona jest niemoralna, bo ona psuje duszę, bo doprowadza do wojny domowej, do nieposzanowania bliźniego, do srogiej niewoli ducha, do ciemnoty i barbarzyństwa. Taka katechizmowa religia, to nie religia, ale instytucja wygodnego bytowania księży i mnichów, to bluźnierstwo względem zdrowego rozumu, względem wszelkiego ideału i prawdy, mozolnie badanej. Taka religia musi być wytepią, bo też wszędzie wśród ludów ucywilizowanych wytepią ją i odrzucono, jako rzecz wysoce szkodliwą.

Jest to mimowolna trawestacja tego, co zdrowy rozum dyktuje naprawdę, a co z naszych objaśnień „Objaśnienia” wypływa. Przełożona na sens zdrowy, brzmi ona, mniej więcej, jak następuje: Taką religję, jak ją pojmuje p. N., należałoby czempredzej odebrać ludowi, gdyby ją miał, bo ona jest zbrodnica, bluźniercza, dzika, barbarzyńska i bezmyślna. Propaganda takiej „religii” — to dążenie do stworzenia instytucji „panamskiej”, gwoi wygodnemu bytowaniu socjalistów i masonów; to bluźnierstwo względem rozumu i uczciwości, względem wszelkiego ide-

alu i prawdy, mozolnie badanej. Taka „religia”, czy takie pojęcie o religii, musi być wytepią, to też wszędzie wśród ludów ucywilizowanych z pojęciem takim walczyć i tepią je, jako rzecz w najwyższym stopniu szkodliwą; a najmniej, niestety, wśród nas, bośmy kulturalnie i naukowo zacofani.

W ten sposób możnaby trawestować wszystko, co p. N. we „Wnioskach” swych twierdzi. Nie chcemy jednak na taniem przedrzeźnianiu go poprzestawać. Jedna próbka wystarczy...

Z takiej religii, jaką wpaja katechizm, wyrosła nietylko nasza inteligencja, ale wyrósł także Lud. Już zbudziły się w nim uczucia prawdziwie demokratyczne, już wyrobiła się w nim miara dla oceny sprawiedliwości; katechizm jest patriarchalno-arystokratycznym przeżytkiem, gdzie wola zwierzchności była wyrazem sprawiedliwości.

O, gdybyż lud i zwłaszcza inteligencja wyrosły naprawdę z Katechizmu, pojętego szerzej a głębiej! Wtedy nie byłoby podłoża, na którym wyrósł obskurantyzm religijny p. N., wtedy nie byłoby bandytyzmu, tego bękartu socjalistycznego, wtedy nie byłoby i wojny religijnej, nad którą p. N. roni łzy krokodyla i ukoić się nie może! Wtedy też uczucia demokratyczne zbudziłyby się rychlej same przez się i nie byłoby potrzeba budzić ich łoskotem bomb i salwami z brauningów.

Ciemnota księży stworzyła katechizm, z całym jego prostactwem mędrkowaniem. Światło umysły muszą tedy uczynić wszystko, aby tę książkę wypędzić z naszego szkolnictwa. Ale nie tylko ze szkolnictwa. Trzeba ją odsunąć od Ludu Polskiego, a złożyć w jakim Muzeum Osobliwości historycznych.

Mimowoli wpadamy znowu w trawestację: tak, ciemnota wolnych myślicieli stworzyła pojęcie o Katechizmie takie, jakie p. N. ujawnił w „Objaśnieniu”. Światło tedy umysły muszą uczynić wszystko, aby postawić Katechizm na świeczniku, wyższym nad wszystkie inne nauki, a prostactkie i obskurantkie o nim pojęcia rozpedzić na cztery wiatry.

Dziś cały ucywilizowany świat kieruje się zupełnie inną moralnością.

Widzimy, widzimy jej owoce!

Ale co w takim razie znaczą słowa Wyspiańskiego, postawione, jako motto na czele „Objaśnienia”: „Czyśmy właściwie mieli jakie rzeczy wspólne? Chyba akcesorja i godła?”¹

A jeżeli społeczeństwo nie miało nic wspólnego z Kościołem, prócz godeł i akcesorjów, to znowu co znaczy twierdzenie p. N., wypowiedziane przed chwilą: „Z takiej religji, jaką wpaja katechizm, wyrosła... nasza inteligencja...?”

A no, stara historia: fabrykuje się twierdzenia na obstalunek. Trzeba zwalić winę za wszystko złe na Katechizm, wtedy przyznaje mu się szerokie wpływy na społeczeństwo. Trzeba, przeciwnie, zbagatelizować Katechizm, a wynieść myśl niepodległą, wtedy się twierdzi, że cały świat cywilizowany stoi pod znakiem „zupełnie innej moralności”.

Kiedys p. N. pisał: „Świat, zwłaszcza nasz świat, nie słucha dziś wyznawców altruizmu, lecz wyznawców miłości bliźniego. Ale w takim razie mamy prawo i obowiązek zapytać się ich właśnie, a nie kogo innego: Jakiście to wyłożyli one miłość bliźniego słuchającemu was światu i coście uczynili z serc ludzkich, które były oddane waszej pieczy?”²

Tak p. N. pisał w r. 1901. Czyżby przez te kilka lat, które od owej pory dotąd upłynęły, świat nagle przeszedł na wiarę niepodległego altruizmu? Nie, jeno wiatr tendencji p. N. powiał chwilowo w inną stronę i przekreślił inaczej chorągiewkę jego myśli niepodległej.

W tym wypadku tendencja autora wyraziła się w sylogizmie: Dzieje się złe, a ponieważ rządy duchowe w społeczeństwie sprawia Katechizm, *ergo*... Jakże rozumowanie to, formalnie prawidłowe, przypomina sławne dowodzenia p. Aleksiejewa! Szanowny poseł rosyjsko-warszawski rozumuje: Ponieważ w Królestwie Polskiem od stu lat rządzą rosjanie, a przez ten czas oświata i kultura w niem się podniosły, zatem polacy zawdzięczają ten postęp rządowi rosyjskiemu³. Albo: Ponieważ w Królestwie 37% (?)

¹) „Głos” Nr. 34 z r. 1901. Pan N. kropnął tam wtedy siarczą filipikę, z powodu wypadku nieuszanowania konduktu żydowskiego na ulicach Warszawy. Odpowiedzieliśmy na nią w „Przeglądzie Katol.”, w artykule p. t. „Poeta—publicysta, czyli: armata na Parnasie”.

²) Tesamą zasługę sławny „pokojuwiec” i bankier Jan Bloch przypisał był żydom...

ludności umie czytać i pisać, a w Cesarstwie tylko 19%: zatem rząd opiekuje się więcej „wrogimi” kresami, aniżeli... Poseł Dmowski w odpowiedzi na to drugie dowodzenie stwierdził, że ci, co u nas czytają i piszą, to przeważnie po polsku, pomimo prześladowania takiej nauki. Podobnie także, jak p. N. wobec katolicyzmu, dowodzą hakatysci przeciw polakom: Państwo niemieckie jest państwem narodowym, zatem—wszyscy obywatele jego, którzy nie chcą być Niemcami, powinni być, wedle sprawiedliwości, zniemczeni przemocą, a skoro i przemoc nie pomaga, powinni być wyrzuceni ze swojej ziemi. Moznaby zapytać prusaków: Ale któż, u licha, kazał wam zagarniać pod swoją opiekę polać Polski, jeżeli chcecie być państwem narodowym?!

Kubek w kubek taksamo rozumuje p. Niemojewski. Ale też i sam rozumowanie swoje pomimowoli obala, gdy stawia twierdzenie, że świat cywilizowany przeszedł nad Katechizmem do porządku... masonskiego. Jeżeli „przeszedł”, to wprzód *przechodził*, a przechodząc, musiał wpływy Katechizmu podkopywać: zatem złego, które się dzieje, nie można zwać na Katechizm. U nas jeszcze nie przeszedł, ale przechodzi, zatem!..

Otóż te dane faktyczne p. N. dyskretnie przemilcza i wojuje gołymi sylogizmami, którym pod względem formalnym nie zarzucić nie można i które wywoływaniem w ten sposób wrażeniem niezwalczoności, podbijają umysły niekrytyczne lub z góry nastrojone tendencyjnie.

W ślad za posłem Dmowskim stwierdzamy przeciw sobowtórowi posła Aleksiejewa, p. Niemojewskiemu: Jeżeli u nas jest jeszcze jaka taka moralność, to zawdzięczać ją należy Katechizmowi, pomimo zwalczania go przez ludzi myśli niepodległej. Bo tam, gdzie myśl niepodległa zapalała, pojawił się, na przykład, bandytyzm. Niepodległowa, pojawił się, na przykład, bandytyzm. Niepodległowcy, zapewne, nie chcieli go i nie chcą; wszakże życie kpi sobie z ich chęci lub niechęci i z niemiłosierną konsekwencją wnioski z twierdzeń myśli niepodległej wyciąga. Za negacją prawdy religijnej, idzie negacja wartości życia ludzkiego. Przeciw temu nie poradzą gołe pragnienia ludzi niepodległych, żeby lud „wyszlachetniał”, gdy nauka ich wprost ku rozpasanu i żdźczeniu prowadzi.

Pan N. temu nie wierzy i prawi dalej:

Zazwyczaj mówi się tak: Powiadacie, że chrześcijaństwo jest złe? A miłość bliźniego? A przykazania: czcij ojca swego i matkę

swoją, nie zabijaj, nie kradnij, nie cudzołóż, nie obmawiaj... Tak, to są bardzo cenne wskazówki moralne. Ale księża nie poprzestają na nich. Wymyślili katechizm: perły słuszości utopili w morzu głupstwa.

No, kto by się był spodziewał, że p. N. znajdzie w Katechizmie perły! Przynajmniej perły etyki. Ale w cóż w takim razie obracają się wszystkie napaści na Katechizm z powodu „klonic“, które jakoby ten Katechizm wkładał ludowi do ręki?

Ale my nie wierzymy w szczerą ocenę przykazań Bożych, jako „perł“. Przecież sam p. N. utrzymuje, że cały świat cywilizowany rządzi się zupełnie inną moralnością. I rzeczywiście, moralność ludzi niepodległych jest zupełnie inna. Przedewszystkiem, nie uznaje ona pierwszej tablicy Mojżeszowej, na której wypisane są pierwsze trzy przykazania Dekalogu, odnoszące się do Boga. To jest *conditio sine qua non* niepodległości; na tem niepodległość polega, iż owe przykazania odrzuca. Odpowiednio do tego zmieniają swój charakter przykazania następne, regulujące stosunki międzyludzkie. Więc: dzieci z rodzicami na „ty a ty“, z właściwymi konsekwencjami tak pojętego demokratyzmu w państewku rodzinnem. Uprawianie teroru anarchicznego, obok walki z militaryzmem, jako przeszkodą do realizacji najdespotyczniejszych pod słońcem programów, zamaskowanych hasłem wolności. (Nie mówię już o zabijaniu dusz przez różne zgorszenia). „Nie cudzołóż“ — utopione w „wolnej miłości“, realizowanej legalnie przez masonerię francuską. Nieładnie brzmiąca „kradzież“, zastąpiona przez eufemiczną „eksprowiację“, albo „konfiskatę“, mianowicie majątków kościelnych, — obok oburzania się na pruskie prawo wywłaszczeniowskie, pomimo że nie zapowiada ono właściwie kradzieży, skoro przewiduje zapłatę. „Nie obmawiaj“¹⁾ — właściwie: „Nie mów fałszywego świadectwa“ — nie istnieje wobec przeciwników, zwłaszcza katolickich; zamiast tego przykazania Bożego, istnieje przykazanie masonskie: „Spotwarzajcie, spotwarzajcie, zawsze przylgnie coś z tego do przeciwników!“

Inaczej też być nie może tam, gdzie odrzucono przy-

¹⁾ Grzech obmowy polega na wyjawianiu tajemnic prywatnych, choć prawdziwych, których jednak wyjawiać się nie godzi, w imię zasady: Nie czyni drugiemu tego, co tobie niemiłe.

kazania, odnoszące się do obowiązków człowieka względem Boga: owego motoru i koła obrotowego, które, połączone transmisją z machiną życia ludzkiego, wprawia w ruch przykazania, odnoszące się do stosunków między ludźmi. Motorem jest tu sam Bóg, wiara w Niego; kołem obrotowym — służba Boża, określona trzema przykazaniami; transmisją — miłość bliźniego z miłości ku Bogu. Bo — mało który z bliźnich daje się kochać dla swoich zalet. Miłość bliźniego, pomimo jego wad i przywar, które odpychają, musi mieć pobudkę i źródło w Miłości Najwyższej, która niczem się nie zraża, niczem nie odstręcza. Iluzją jest, jakoby naturalne siły człowieka do chrześcijańskiej miłości bliźniego wystarczały. Człowiek z natury swej dąży raczej ku temu, co mu się podoba; dążyć ku temu, co naturze ludzkiej jest obmierzłe, jest to walczyć z naturą i gwałt jej zadawać. Żeby się na to zdobyć, trzeba pobudek i pomocy nadprzyrodzonych. I dlatego chrześcijańskiej miłości nie zastąpią żadne wyrachowane, chłodne altruizmy, mające swoje źródło w egoizmie. Nie zastąpią, póki wśród ludzkości nie braknie żadnej szkarady i nędzy, wymagających poświęcenia, żeby je zwalczać i usuwać.

I jakże może być miłość tam, gdzie regulacja stosunków etycznych między ludźmi pozostawiona jest ludziom, o tak sprzecznych między sobą pojęciach i dążnościach, jakie widzimy w życiu na każdym kroku; ludziom, w dodatku, podległym tylu pożądliwościom i tak z gruntu samolubnym? W braku miłości Boga, jedynie terror bezwzględny mógłby narzucić społeczeństwu ludzkiemu jeden jakiś system etyczny, wytrzymujący jako tako wymagania rzetelnej moralności.

Więc też nie dziwimy się na widok perł moralności chrześcijańskiej, zbrukanych w płytkim rynsztoku moralności niezależnej.

Dlatego tak trudno zwyktemu człowiekowi dostać się do tych perł. Dlatego niema czi dla ojca i matki, dlatego jest zabójstwo, kradzież, obmowa. Dlatego niema u nas właściwie żadnej moralności. Dlatego mamy charaktery tak kruche, rozum tak płytki, sumienie tak grube.

Święta racja! Dlatego to wszystko, że Katechizm odrzucony i niewykonywany. Tak, właśnie dlatego! Ależ nie! Pan N. utrzymuje, że dlatego, iż Katechizm

utopił owe perły w morzu głupstwa... Ech! jacyżesmy na-
iwni, żeśmy mogli choć na chwilę posadzić p. N. o mądre
i rzetelne słowo! Ale przynajmniej sam autor uważa się
za człowieka niezwykłego, który potrafił z morza głupstwa
perły słuszności wyłowić. Oj, głębokoż on nurkuje, nawet
bez pomocy przyrządu nurkowego z ołowianami podeszwa-
mi, ale ot, poprostu, z golizną chłopskiego rozumu...

Czy nas oczy mylą?... Nie, czytamy czarno na białem:

Czy choćby jedno technienie Piękną Moralnego bije z kate-
chizmu? Czy katechizm wyrobił choć jednego człowieka samo-
dzielnego? Nie. Jest to kodeks, napisany dla niewolników. Kaj-
dany założone na duszę, na rozum, na sumienie, na serce.

Cóż więc stało się z perłami słuszności, właśnie natu-
ry moralnej? Oto, jak się mści na p. N. nieszczerze uzna-
nie dla chrześcijańskich pereł słuszności! Oto, jak szydło
z worka wyłazi! Już perły prawdziwe w oczach p. N. nie
grają blaskami piękną, bo już mu się uśmiechnęły... bry-
lanty Bera, podrabiane błyskotki moralności niezależnej,
usiłujące naśladować perły moralności chrześcijańskiej.
Zresztą, pono perły mają tę własność, że tracą blask,
gdy nie są używane...

„kodeks... dla niewolników“? O, niewolnicy Wolnej
Myśli, spętani więzami przesądów i nienawistnych uprze-
dzeń do Myśli Bożej, żaliście wy zdolni pojąć i bezintere-
sownie ocenić nieśmiertelne Piękno Katechizmu?! My je
widzimy i żałujemy tych, którzy, zaślepieni fanatyzmem,
wiedzieć go nie mogą.

Pan N. ma wizję prorocką:

Wiemy, że księża zerwą się, jak chmary wron, i poczną
krakać. Nazwą nas bluźniercami. I będą mieli słuszność. Bluź-
nimy ich... uprzywilejowanej głupocie.

Obraz, coprawda, pełny fantazji, ale wyszarzany, jak
tłusto-pieprzny romans. Jest już tak dawno w obiegu
wśród wolnych myślicieli i przez tyle już brudnych rąk
przechodził... Przecistawimy mu obrazek inny, mniej
znany, choć w tym samym guście, coprawda znowu, nie-
wybrednym. No, stosujemy się do niewybrednego smaku
wolnomyślicielskiego, żeby mu dogodzić.

Oto wrona, której krakanie słyszymy w tonie p. N.,
zwołuje wszelakie padlinożerne ptactwo na żer... księży

i wogóle katolicki. Mniema, że to padlina. Tymczasem—
księża i katolicy świeccy, w poczuciu bezpieczeństwa, tro-
chę jeno sobie drzemali... Głupia wrona!

My przecież głupocie jej nie bluźnimy. Przeciwnie,
wdzięczniśmy jej, że nas krakaniem swoim do żwawszego
czynu zbudziła, właśnie przez swoją głupotę. Bo gdyby
była mądra, byłaby cierpliwsza, a tymczasem poszukałaby
sobie, żeru w stajniach Augjaszowych ludzi niepodległych
wszelkiego autoramentu...

Zbudzeni, wołamy słowa p. N.:¹⁾

Czas, czas najwyższy, abyśmy się otrząsnęli z tych
więzów *niepodległych!* Odwołujemy się do wszystkich ojców
i matek, do wszystkich obywateli i obywaterek kraju, do
wszystkich ludzi rozumu i wiary (i miary), aby dłużej nie
milczeli w tej palącej sprawie, ale zabrali się poważnie do
reformy religijnego obyczaju. Katechizm jest *światłem*
i *drogowskazem* (urągowskiem ze) dla zdrowego rozumu.
Istnienie jego *prawie w samej tylko literze* dowodzi (tylko)
naszej niesłychanej bezmyślności, tak potwornej, że woli
aby się krew lała w wojnie bratobójczej, aniżeli, żeby (uło-
żono inny podręcznik moralności) *wprowadzić Katechizm*
w życie!

¹⁾ Słowami podkreślonymi uzupełniamy albowiem zastępujemy tu
i owdzie słowa własne p. N., które znowu, o ile zastąpione, bierzemy
w nawiasy.

Zakończenie.

„Objaśnienie Katechizmu“ stanowi pierwszy krok, który p. Niemojewski, korzystając ze zmiany warunków politycznych, postawił na drodze do urzeczywistnienia swoich marzeń, wyrażonych na krótko przed rewolucją (w r. 1901) w dramacie p. n. „Rokita“. Tego djabła ludowego, ośmieszonego przez lud, w poczuciu potęgi żyjącego w Kościele Chrystusa, p. N. uczynił poważnym i wypocziwił. Urodzony w rokicinach jegomość Rokita, w interpretacji p. N., jest poetyckiem wcieleniem i symbolem prądu ludowcowego, którego celem najbliższym jest oświata ludu w duchu wolnej i niepodległej myśli. Fantazja autora dokonała wcielenia Rokity w postać nowoczesnego bakalarza, któremu przyświeca ideał oświaty ludu i który gotów się dla tego ideału poświęcić, z „małym“ tylko zastrzeżeniem, żeby lud ze swej strony poświęcił dlań wiarę w Boga. Wiara ta bowiem jest „przesądem“, z którym nie może iść w parze oświata „prawdziwa“, który musi paść jej ofiarą, musi przed nią pierzchnąć, jak pierzcha ciemność przed światłem. Konsekwentnie stąd wypada, że Bóg i Kościół są to potęgi infernalne... Więc też Rokita buntuje się przeciw tym potęgom, wypowiada im posłuszeństwo i, wbrew ich woli, zstępuje pod postacią człowieka, żeby być dobroczyńcą ludu¹⁾.

¹⁾ Przypuszczać należy, że p. N. rozumie dyplomację djabełską nakazującą solidarność w walce z Bogiem, więc zakazującą wypędzać dja-

Ale „piekło“ nie śpi. Nastąpić musi starcie; inaczej, nie byłoby dramatu.

Byłaby propaganda oświaty „prawdziwej“, rozpraszającej przesady i omamienia, szła Rokicie jak z płatka, gdyby diabli, dla zwalczania zuchwałego rokoszanina, nie uknuili przeciw niemu intrygi, posyłając niewiastę tam, gdzie sami „nie mogli“.

W pocziwym djable-bakalarzu zakochuje się Krzysia, córka zamożnego gospodarza, która też została żoną Rokity—„nieslubną wobec świata, ale prawą i słubną wobec natury całej“. Na nieszczęście, kochał się w Krzysi syn organisty Włodka i naturalnie, dostał odkosza. Mszcząc się za odrzucenie swego syna, organista „oczernia“ Rokitę wobec ludu, jako wcielonego djabła, ducha przeczenia. Następuje w łonie ludu gwałtowna, żywiołowa reakcja przeciw oświacie bez Boga, oraz jej rzecznikowi; wybucha, jak burza, która druzgoce i pali świątynię wiedzy—szkołę. Krzysia topi się z rozpacz, iż stała się przyczyną klęski Rokity; on sam, złamany na duchu, powraca w zaświaty. Nadziei wszakże nie stracił i gdy całe piekło zeń szydzi, on woła:

— „Wrócę... Ja wciąż będę wracał!“

No, i słowa dotrzymał. Wrócił, wcielił się w p. Niemojewskiego i napisał „Objaśnienie Katechizmu...“

Możnaby pomyśleć: Ależ głupi ten Rokita, bo głupi! Nic nie zmadrał od czasu, kiedy to, pod imieniem Boruty „Rokickiego“, czy „Wierzbickiego“ (od rokity, odmiany wierzby, lub wierzby pospolitej), zasadził się na tum Łęczyski, żeby go zwalić. Sam djabeł śmiał się przecież w „Kladderadatschu“ berlińskim z Bismarcka, usiłującego zwalić bazylikę ś. Piotra w Rzymie, przez założenie sznura na jej kopułę. Podobnie Rokita naraził się wtedy na żarty ludowe. Obecnie znowu!... Bo jak można było mieć nadzieję obalenia Katechizmu tak marnymi argumentami?! Czy nie lepiejby było, za przykładem Papieża, powołującego się na Boga, powiedzieć chłopu prosto z mostu: masz mi wierzyć, bo mi to powiedział sam Lucyfer, to jest: Nośiciel Światła?

bla przez Belzebuba. Więc nie piekło, w naszym jego rozumieniu, zwalcza Rokitę, walczącego z Bogiem. Takie głupie ono nie jest, p. N. — także...

Ba, kiedy samo to imię, zwłaszcza w brzmieniu jego spolszczeniem i pospolitem: Lucyper,—budzi w duszy chłopskiej tyle „przesądnej“ odrazy i lęku, że wystawiać je jawnie na szyldzie oświaty byłoby rzeczą wysoce niedyplomatyczną i niebezpieczną. I otóż tu właśnie okazuje się mistrzostwo naszego Rokity.

Argumentacji w propagandzie niewiary uniknąć nie sposób. Trzeba, bądź co bądź, dać pupilowi złudzenie, że się go wyzwala z pod wszelkiej powagi i że odtąd powagą jedyną będzie dlań własny jego rozum, a prawodawcą własne jego sumienie. Rokita wie jednak dobrze, iż rozumowane zarzuty przeciw prawdzie nie mogą być zbyt mądre; zwłaszcza, gdy gwoździ popularności trzeba je ogłosić z szumnobrzmiącej i odurzającej frazeologii, oraz pozbawić je balastu erudycji, co jedno z drugim, nadaje płytkiemu fałszowi imponujące pozory głębokiej uczoności. Chwyta się tedy wypróbowanego i niezawodnego sposobu: wyzyskując ułomności ludzkie w przedstawicielach religii, jako materiał, przyrabiając go sztucznie, o ile rzeczywistego za mało, i przerabiając go w swoim duchu,—Rokita wyziewa z siebie masami kłęby czarnych oszczerstw na wszystko, co święte, i pogrąża Boga i Jego dzieła na ziemi w demonicznych ciemnościach. I oto Królestwo Boże—w złych oczach ludzkich staje się piekłem. Sam zaś Rokita przybiera na się postać anioła światłości, kłamie miłość dla ludu, kłania mu się, jak bożyszczu, głosi się jego dobroczyńcą i wyzwolicielem i—niesie mu dary danajcowe.

Rzuciwszy na dusze ludzkie taki czarodziejski omam, przedstawiający białe — czarnem, a czarne — białem, może im potem Rokita z bezczelną swobodą i pewnością siebie prawić najpotworniejsze niedorzeczności: uwierzą mu! Uwierzą, przede wszystkim ci, co na hipotece swego sumienia mają zaległe rachunki z Bogiem i radzi są się ich pozbyć przez wykonanie mocnodusznego zamachu na Boga i Jego prawa. Rokita jednym pociągnięciem pióra przekreśli ich rachunki, a dusze ich, dotąd czarne jak noc, nagle wypromienieją...

Zaiste, gracz nielada z tego Rokity!

W tej wirtuozowskiej grze jego, p. N. odgrywa rolę trzymającego pióro narzędzia, również zahipnotyzowanego przez Rokitę. W przeciwieństwie do świadomego kłamcy — Rokity, p. N. wierzy we własne niedorzeczności, w szlachetność swoich dążeń. Są one tak potwornie szkaradne

i złośliwe, tak dyjаметralnie przeciwne Bogu i wszystkiemu, co jest z Boga, tak wręcz demoniczne, że tylko demon może głosić to wszystko, co głosi p. N.,—sam w to nie wierząc. Absolutnie mówiąc, nie jest rzeczą niemożliwą, żeby i człowiek był przewrotny, jak szatan. Wierzymy jednak w dobrą wiarę czy intencję p. Niemojewskiego. Opętany przez *délire de négation*, mniema on, że jeśli nie Bogu, to czyni posługę rzetelną ludziom, wydzierając im z rąk Katechizm i paląc go na stosie myśli niepodległej. I odczuwamy tę dobrą wiarę w jego szczerym zapale, godnym lepszej sprawy, nawet w namiętnym tonie jego słów, płonących intencją sprowadzenia na ziemię dobra, wedle jego rozumienia. I pojmujemy możliwość dobrej wiary nawet w tak radykalnem wywróceniu prawdy. Absolutna ciemnota religijna, panująca w szerokich kołach naszej inteligencji, a na której wytworzenie składały się przez dziesiątki lat najrozmaitsze wrogie Kościołowi oraz Narodowi czynniki,—przedstawia się obracającym się wśród niej umysłem, jako wytwór samej religii. Wobec ognisk oświaty w rzeczach ludzkich, płonących ogromnym stosunkowo płomieniem, mniemana ciemnota religii odbija tem bardziej rażąco. Zdając sobie z tego sprawę, pojmujemy i odczuwamy wręcz tragizm duszy autora „Rokity“, protestującego „w pożarach czucia i w błyskaniu ducha“¹⁾—przeciw temu, co się mu przedstawia, jako zło najwyższe, a co jest w rzeczywistości najwyższem dobrem człowieka. Tragizm, który doprowadza go do szaleństwa i do reszty zaślepia, tak, że nie postrzega, iż te „pożary czucia“ kopcą przeraźliwie partyjną nienawiścią, owo zaś „błyskanie ducha“ rzuca złowrogie blaski demonizmu.

Pan Niemojewski z przekonania chyba głosi, że: „Myśl niepodległa jest metodą badania i metodą życia. Ludzie myśli niepodległej badają *bez uprzedzeń* i wedle wyniku swoich badań, zaczynają żyć...“

Tymczasem taki naprawdę bezstronny myśliciel, jak Prus, który jak wyznaje, ucieszył się głęboko, gdy usłyszał hasło „Myśli Niepodległej“, mającej badać bez uprzedzeń; który nawet żywi zadawnioną sympatję ku liberalizmowi; któremu podobala się „czupurność“ wolnych myślicieli: doznał rozczarowania i oświadczył:

¹⁾ Z wiersza Konopnickiej: „A my myśleli“.

„To tylko ataki przeciw Kościołowi katolickiemu, ale nie żadne bezstronne badanie... Kościół podobny jest do drzewa, mającego tysiąc kilkaset lat wieku. Niewątpliwie są na nim guzy, połamane konary, dużo porostów, wykrzywień, próchna, pasorzytów; słowem, jest wiele szczegółów starczych i chorobliwych, o których mówić i pisać można, nie zapominając jednak, że drzewo to zasłania dużą część kuli ziemskiej, że trwa od wieków, a więc musiało mieć warunki trwałości, musiało być użyteczne“.

Fakt ostania się Katechizmu po dzień dzisiejszy, jest dla p. N. czemś niepojętem. Gdybyśmy my tak, jak on, pojmowali Katechizm, dziwilibyśmy się jeszcze więcej: tak dalece, ażby taki fakt dał nam do myślenia, czyśmy aby dobrze go zrozumieli, czyśmy sami przypadkiem nie w błędzie. Tymczasem dla nas jest rzeczą zrozumiałą, że jednak może ktoś w XX-tym wieku ery chrześcijańskiej pojmować Katechizm w myśl autora „Rokity“. Tak, jak on, nikt nigdy nie pojmował go w Kościele. Natomiast możliwe to jest po za Kościołem. Za ostatecznych czasów cesarstwa rzymskiego, a pierwotnych Chrześcijaństwa, poganie przypisywali chrześcijanom kult osła i zjadanie dzieci. Takie niedorzeczne mniemania dziś wprowadzić są niemożliwe, gdyż nie otaczamy tajemnie swojej wiary i kultu — tajemnicą, jak to czynić byli zmuszeni chrześcijanie pierwszych wieków, z obawy prześladowań i profanacji. Niemniej w kołach, w których poganizm się odrodził, po za światłością Kościoła, w ciemnościach przeczenia, możliwe jest, żeby wyległy się takie dziwotwory i maskary myślowe, jak w „Objaśnieniu“.

Czemu Kościół tak troskliwie i tak usilnie odgradza wiernych swoich i nawet kapłanów, od literatury bezbożnej? Bo zna jej uludną potęgę i lęka się, aby snąć i wybrani, jeśli być może, uwieść się nie dali. Cóż tedy dziwić się ludziom, żyjącym taką jedynie literaturą i odgrodzonym od lat młodzieńczych przepaściami przesądów od nauki chrześcijańskiej? Wszak w tych warunkach powstał taki Littré, którego o. Gruber T. J. nazwał „świętym, niewierzącym w Boga“.

Tenże autor przytacza interesujące zdanie Guizot'a o Auguste Comte: „Był to człowiek prosty, uczciwy, głęboko przekonany, całkiem dla swych idei żyjący, na pozór skromny, lecz w gruncie pełen niesłychanej pychy... Gdy mówił, hamować się musiałem, żeby nie wyrazić gło-

śno zdumienia, iż myśliciel tak zdolny nie rozumiał natury i doniosłości zagadnień, o których rozprawiał, i że ten człowiek tak bezinteresownego charakteru, nie czuł całej niemoralności swoich idei, mimo moralnej intencji, która nim kierowała... Nie wdawałem się z nim wcale w dysputę. Jego otwartość, jego zapał i zaślepienie wzbudziły we mnie smutny szacunek, który się osłania milczeniem“¹⁾.

Oto przykłady i racje, przemawiające za dobrą wiarą p. Niemojewskiego. Nie mając zaś danych, któreby świadczyły ze wszelką pewnością przeciw jego dobrej wierze, stosujemy doń zasadę prawną: „*In dubio standum pro reo*“, — „w wątpliwości stać trzeba za winowajcą“.

I zaprawdę, wiara w dobrą wiarę p. N. sprawia nam ulgę. Nie chcielibyśmy i okazuje się, że nie możemy powiedzieć mu: taki synu!... Natomiast powiedzieć o nim musimy: ciemny, poprostu ciemny człowiek!

Oto wytłomaczenie zjawiska, że człowiek z wybitną inteligencją, okazał się na gruncie Katechizmu prostakiem i partaczem. Oto klasyczny okaz, na którym studjowaćby można upadek hardej inteligencji, w zetknięciu z prawdami chrześcijańskimi, tak przejrzystymi dla prostych serc maluczkich, tak niedocieczonemi dla największych genjuszów świata chrześcijańskiego. Katechizm stał się dla p. N. „kamieniem obrażenia i opoką zgorszenia“ (I Piotra, II, 8). Porwał się nań, niby tytan do igraszki, żeby Katechizm odrzucić precz; a potknął się on i upadł, jak pigmejczyk.

Czy jednak można mieć dla p. N. choć „smutny szacunek“?

Niestety! I nie z powodu szalonej pychy jego, która sprawia, że nie uważa on za stosowne choćby wątpić o swoich przeciwnych Katechizmowi zarzutach, ale je rzuca, jakoby nieomyłne, bezapelacyjne wyroki. Podobna pycha gości nieraz i w głowach katolickich, które zastawiając swoje indywidualne poglądy Kościołem, nie dopuszczają oporu, ni dyskusji.

Wolny w naszym przekonaniu od zarzutu świadomej

¹⁾ „Życie i Doktryna Augusta Comte'a, według badań najnowszych“ — przez o. Hermana Grubera, T. J. Przełożył z niemieckiego ks. Wł. M. Dębicki. Warszawa. 1898.

złej wiary, p. Niemojewski winien jest ciężko — złej woli. Winien jej przez to, iż używał jawnie złych środków do celu, który mniema być dobrym.

Coprawda, jest to grzech nader pospolicity, który zwłaszcza w prasie partyjnej wszystkich obozów rozlał się istną powodzią. Zdarza się popełniać go nam samym, w imię katolicyzmu, przyczem rozgrzeszamy się zeń wzajemnie dość łatwo, gdy samokrytyki nie lubimy.

Ale p. Niemojewski dopuszczał się tego grzechu stale i z zasady, w sposób jaskrawy i bezceremonjalny; dopuszczał się go przeciw Katechizmowi, na którym stoi ład i bezpieczeństwo społeczne, dopuszczał się go w chwili, kiedy społeczeństwo nasze stanęło nad przepaścią ruiny z powodu roboty wywrotowców, kiedy wała się na nie zewsząd wrogie ciosy; owszem, on tę chwilę wybrał rozmyślnie, żeby w ogniu rewolucji kuć żelazo myśli niepodległej, póki gorące, żeby przy ogniu ruchu ludowego ku oświacie upiec własną pieczeń socjalistyczną. Zdawałoby się, że walka między Nauką a Wiarą rozegrałaby się powinna w najwyższych sferach umysłowych. Czy zaś Nauka w tych sferach odniosła zwycięstwo, żeby miała prawo schodzić z propagandą do ludu? Pan N. nie rachował się z żadnymi względami uczciwości obywatelskiej. Szedł do ludu przebojem, nie przebierając w środkach dla zdobycia jego duszy.

W replice na napastniczą odpowiedź p. Niemojewskiego, Prus przytacza słowa Le Dantec'a, matematyka, przyrodnika, psychologa i — zdeklarowanego ateusza:

„Mówią, że ślepa wiara daje chłopu szczęście, byłbym więc niepokieszony, gdybym go wiary pozbawił. Jestem gotów rozprawiać z filozofami, którzy jak ja, mają ustalone przekonania. Na szczęście jestem pewien, że moi sąsiedzi chłopci nie będą czytali moich książek; w przeciwnym razie — może nie pisałbym ich“.

„A teraz wyobraźmy sobie — mówi Prus — społeczeństwo, w którym brakuje nie tylko filozofii i nauki wyższej, ale — nawet oświaty elementarnej, w którym jest zachwiana nie tylko moralność, ale nawet uliczny porządek, podkopany nie tylko dobrobyt, ale i ochota do pracy... Przedstawmy sobie taki naród i zapytajmy: co on może zyskać na zohydzaniu pojęć religijnych, na forsownem szczepieniu ateizmu, który jak oświadcza jeden z najznakomitszych

ateistów (Le Dantec) — mógłby doprowadzić społeczeństwo tylko... do epidemii samobójstw?...“

Na złej woli chwytał się p. N. w ciągu tej pracy bardzo często. Widzieliśmy go, jak bił czołem przed majestatem ludu, jak ludowi schlebiał; gdy przeciwnie, na duchowieństwo, na wzór „szczekaczów“ z rewolucji francuskiej, ujadął. Widzieliśmy też, jak podsuwał chłopskiej głowie chłopskie argumenty, w które sam nie wierzy, bo ma dla siebie inne, które jednak do głowy chłopskiej nie wlażyłyby: co już samo przez się dowodzi, jak bardzo lud nie dojrzał do przyjęcia niewiary na mocy sądu samoistnego, że więc, chcąc go nią obdarzyć, trzeba mu ją podstępem narzucić.

Oto jeszcze parę przykładów:

Widzieliśmy, jak to p. N. szydził z „jednego jabłka“, jakie na tem jednym jabłku rajskim zbudował oskarżenia przeciw Bogu. Tymczasem autor wie dobrze, jak teologowie grzech pierworodny rozumieją. W artykule p. n. „O cnocie pierworodnej“, pomieszczonym w numerze 2-im „Myśli Niepodległej“ z r. 1906, p. N. pisał: „...Pierwsi rodzice zgrzeszyli aktem nieposłuszeństwa. Grzech ten jest dziedziczny. Człowiek rodzi się obciążony nim, więc jest z natury zły“. Jest to wierne przedstawienie nauki katolickiej, za wyjątkiem atoli jednego szczegółu, mianowicie końcowego wniosku. Żaden Katechizm katolicki nie uczy, żeby człowiek rodził się z natury zły, jeno że z natury jest skłonniejszy do złego, aniżeli do dobrego.

I ten wszakże błąd jest bodaj rozmyślny. Gdyby nie on, autor nie mógłby przeciwstawić grzechowi pierworodnemu, swojej teorii o cnocie pierworodnej, polegającej na ochciwości wiedzy, objawiającej się w dziecku, oraz na popędach etycznych, właściwych wiekowi młodzieńczemu. Wynalazek tedy „cnoty pierworodnej“ okazuje się rzeczą starą i znaną, bynajmniej z grzechem pierworodnym nie sprzeczną: gdyż obok popędów dobrych, już w zaraniu życia każdego człowieka, objawiają się także złe; a obok ciekawości chwalebnej, także owa, która jest „pierwszym stopniem do piekła“. Z tego też widoczna, że nauka o grzechu pierworodnym bynajmniej nie jest źródłem „straszliwego pesymizmu chrześcijańskiego“, tembardziej w związku z chrześcijańską teorią Zbawienia. Źródłem straszliwego pesymizmu, przynajmniej dla natur głębszych, jest raczej niewiara, gasząca na niebie duchowem ludzkości słoń-

ce idei Boga. Le Dantec mówi: „Ciężkie cierpienie fatalnie doprowadziłoby ateusza do samobójstwa; ateusz tylko wówczas może żyć, gdy jest szczęśliwym“.

No, a cóż się stało z „jednym“ jabłkiem? Tak, p. N. wiedział, że Panu Bogu nie o „stratę“ jednego jabłka chodziło, lecz o nieposłuszeństwo woli Jego, więc bunt i pychę pierwszych ludzi.

Pamiętamy także, jak to p. N. walił na Pana Boga odpowiedzialność za wszystkie grzechy i zbrodnie ludzkie. A oto w tym samym numerze „Myśli Niepodległej“ czytamy, zwrócone pod adresem jednego z uprawiających niwą piśmienniczą księży słowa: „Powiadasz, księżulku, że Bóg rządzi światem. Nie zwalaj, proszę cię, wszystkich świństw na Pana Boga!“

Przedziwnie giętka jest ta logika niepodległa!

Klasyczny przykład tej giętkości dała nam niedawno siostra sjamska p. Niemojewskiego, z powodu chrztu żydóweczki, Frani Widernalówny. „Pani ta, — pisze feljetonista *Wiary* — gdy rzecz idzie o wykład religii w szkole, uważa, że dzieci *dziesięcioletnie* mają już wszelkie dane decydować w tym względzie o sobie. Skoro jednak stanęła wobec zagadnienia, czy *piętnastoletnia* żydówka może decydować o swem wyznaniu, nie zawahała się ani na chwilę orzec, iż o tem wyrokować mają prawo jedynie rodzice. Dla uzasadnienia tej zdumiewającej konsekwencji swych zapatrywań, zapełniła nawet coś pół tuzina artykułów wstępnych“ (Nr. 4).

I czegoż nie dowiedzie się przy pomocy takiej dialektyki? Na podobieństwo kota, myśl niepodległa potrafi zawsze wyrzucić w powietrzu koziołka i spaść na równe, niepodległe nogi...

Nie przesadzimy więc wcale, gdy typ duchowy, jaki przedstawia p. N., podciągniemy pod tę samą kategorię, do której należą hakatyści, związkowcy rosyjscy i tym podobna kanalia. Jest on „prawdziwym“ niepodległowcem, który nie waha się zniżać aż do myślowego i słownego huligaństwa. Wszak np. osławieni związkowcy, taksamo jak p. N., zarzucają nam, katolikom, fanatyzm i ucza nas tolerancji. Taksamo i takiem samem prawem. Prawem sienkiewiczowskiego sępa, który uważa, iż raj gołębia jest w sępiem żołądku...

Z powodu krytyki Katechizmu bez uprzedniego prze-

studjowania teologii, nie będziemy już specjalnie p. N. wytaczali procesu. Należy go wytoczyć całej bez mała naszej inteligencji, wśród której upowszechniło się mniemanie, jakoby religja była taką sobie rzeczą, do której osądzenia wystarczy, no, wprawdzie nie sam tylko chłopski rozum, ale pewne otarcie się o literaturę powieściową z dodatkiem kurjerkowej. Stańczyk powiedział, że na świecie najwięcej jest lekarzy. I dowiódł tego, chodząc po ulicach Krakowa z podwiązaną twarzą, udając ból zębów. Kto wie atoli, czy nie najwięcej teologów? Naturalnie, takich „od siedmiu boleści“, którzy jednak czują się uprawnieni do ferowania nieomylnych o religii sądów. Ilu teologów takich, tylu też i ludzi nieomylnych. Każdy uważa własny swój rozum za najwyższy trybunał w sprawach wiary i moralności; zwłaszcza ci, którzy nie mogą w żaden żywy sposób pogodzić powagi własnego rozumu z nieomylnością Papieża, przemawiającego *ex cathedra*...

Dzieje się z teologją to samo, co z miastem rodzinnem. Tyle się człek codziennie napatrzy na starożytnie, pałacowe budowle, że w końcu, i to bardzo szybko, podlega złudzeniu, jakoby miasto swoje znał na wylot. A on je zna tylko po wierzchu. Trzeba dopiero jakiegoś turysty, któryby poprosił nas o przewodnictwo, żebyśmy się przekonali ze wstydem, iż miasta rodzinnego nie znamy. Religja katolicka w naszym narodzie katolickim, podziela losy rodzinnego miasta. Zdaje się nam, iż znajomość jej wchłaniamy razem z powietrzem. Niestety, w atmosferze umysłowej społecznej krążą raczej plotki antykatolickie, puszczone masami przez piśmiennictwo i prasę. Stąd losy wiary rodzonej smutniejsze jeszcze od losów miasta rodzinnego. Uprzedzamy się do niej, zaczynamy ją traktować z góry, a zawsze w przekonaniu, że ją znamy, jak lepiej nie można.

Czy możliwe jest traktowanie podobne którejkolwiek innej nauki? Czy widział kto zuchwalca, któryby przejrawszy elementarny podręcznik nieznanego sobie nauki, zabrał się do krytykowania go publicznie?

Każdy myślący, który dopiero przystępuje do poznania jakiej nauki, gdy jego myśl maluczka, ledwo wychodząca z powijaków nieświadomości, zmierzy się z jej ogromem, doświadcza pomimowoli pokornego podziwu nad skończonym jej gmachem, nad potęgą i pracowitością myśli wszechludzkiej i wszechwiekowej, która go wzniosła,

cegiełka po cegielce. A kiedy myśl jego wniwdzie do wnętrza przybytku nauki, wnet staje wobec tysiąca krzyżujących się pytań i ogląda się za przewodnikiem, któryby poprowadził ją przez labirynt zagadnień i wyplątywał z nastęrczających się co chwila sprzeczności...

I któż wtedy, o ile nie jest półgłówkiem i pyszałkiem, miał na ustach, nie pokorne pytania, lecz zuchwałe, aroganckie przeczenia?

W jednym z naszych katolickich pism ludowych, pewien student uniwersytetu prowadzi pogadanki astronomiczne. Pewien znowu czytelnik z ludu zadaje mu pytania, w rodzaju następujących:

„Proszę ja pana Flody wytłomaczyć, jak to może być, żeby ziemia była okrągła, jak jajko, i żeby ona mogła obracać się koło słońca i koło swojej osi. Toż ziemia taka wielka i ciężka, że jej żadna siła z miejsca poruszyć nie może. To jakże ona może kręcić się około słońca? Mnie zdaje się, że ona musi stać oparta na miejscu, bo jakby ona nie miała opory, toby mogła tylko jeden mieć ruch, to jest padać w dół, a nie kręcić się wkoło słońca. Na mój rozum—to słońce i gwiazdy, to one składają się z ognia, to one i lekkie i jasne, to im łatwiej wisieć w powietrzu, czy nawet kręcić się; ale ziemia? to nie żarty, jaka ciężka.

„A druga rzecz, to żeby ziemia była okrągła i obracała się około swojej osi, to ani ludzie, ani zwierzęta, ani tembardziej wody utrzymałyby się na niej nie mogli, bo jak jeden bok ziemi służy do góry, to drugi w dół. My, na ten przykład, chodzimy śmiało, bo głowami do góry obrócenie; ale ci, co z drugiej strony ziemi, to oni głowami w dół, to powinni pospadać w przepaść; a później, jak ziemia obróci się, to my powinni być głowami w dół, to my powinni pospadać; a tymczasem — nie! To jakże to jest?“¹⁾

Szanowna Inteligencjo! Stoisz wobec Teologii na tym samym poziomie naukowym!

A już p. Niemojewski, no! ten zdobył „Objaśnieniem“ swoim rekord w powszechnym wyścigu religijnego nieuctwa! Przecież, zamiast zadawać pytania, jak ów pocziwy

wieśniak, on pytania swoje przekuwa i ostrzy na zarzuty, które w dodatku zatrują śmiertelnym jadem negacji.

Albowiem teologia, której w republice nauk należy się miejsce honorowe, jako najstarszej, najgłębszej i najświętszej; która pierwsza stworzyła dla siebie uniwersytety i ma do uniwersytetu prawa nieprzedawnione; pod której skrzydłami wykłufa się filozofia odrodzona: ta teologia w kołach wolnomysłnych (czy raczej nie: wolnomysłących?) jest na prawach wyjątkowych. Zdawałoby się, że jeśli już w tej dziedzinie panuje nieuctwo, tedy niechajby się ono przynajmniej kryło wstydlawie przed okiem ludzkim i umiało być skromne wobec powag. Otóż nie, bo jak stwierdza zapoznany a genialny Ernest Hello: „Jeżeli o prawdę chrześcijańską chodzi, prawo uczucia wstydu z powodu ignorancji przestaje istnieć. Pierwszy lepszy prawi na chybił-trafił, co mu tylko do głowy przyjdzie. Nietylko, że wspomniane prawo istnieć przestaje, ale występuje prawo wręcz odwrotne. Im większa niewiedomość, tem większa pewność siebie. Jeżeli niewiedomość jest mniejsza, krytyka staje się powściągliwsza. Jeżeli zaś głos zabiera uczony, to mówi ze drżeniem“¹⁾.

Jakże więc głęboka jest ignorancja p. Niemojewskiego, skoro jego pewność siebie dosięga Himalajów zuchwalstwa?!

Andersen, słynny twórca duński bajecznie pięknych, a pełnych głębokiej myśli bajek, opowiada między innymi bajkę o „Nowych sukniach cesarza“. Pewien cesarz pewnego państwa miał osobliwą słabość do strojów. Co go dzina przebierał się w coraz to inne szaty. Zwiedzili się o tem dwaj tkacze szarlatani i umyślili namiętność cesarza wyzyskać. Zgłosili się do niego i opowiedzieli, że utkają i uszyją mu z jedwabiu i złota suknie cudowne, które będą niewidzialne dla głupców. Cesarz uradował się, jako że będzie miał sposób poznawania, który z jego poddanych jest głupi a do urzędu niezdolny. Tkacze zażądali drogocennego materiału, ustawili warsztaty. Udawali, że pracują nad sporządzeniem wzorzystej, bajecznie kolorowej tkaniny, a tymczasem złoto i jedwab chowali do skrzynek. Cesarz, lękając się, aby snąć sam głupim się nie okazał, wysyłał do pracowni conajmądrzejszych dworzan, żeby

¹⁾ „L'Homme. La Vie—La Science—L'Art“. W rozdziale p. n. „L'ignorance religieuse“. Str. 208.

¹⁾ „Przyjaciół Ludu“ Nr. 49 z r. p. Organ wileński.

sprawdzali postęp oraz jakość roboty. Ci, nie a nie nie widząc na krosnach, udawali, że widzą i chwalili cudownie piękne desenie i barwy. W końcu, w otoczeniu świty wybrał się sam cesarz, a, zataiwszy przerażenie swoje, z powodu, iż nie nie zobaczył, taksamo chwalił i podziwiał. Cała stolica o niczem innem nie mówiła, jeno o szatach cudownych i wyczekiwała chwili, kiedy cesarz ukaże się w nich publicznie, na procesji galowej. Nareszcie suknie były gotowe. Szelmy i kaczce rozebrali cesarza aż do stanu natury, ustawili przed lustrem i gestykulując po krawiecku, oraz wysławiając nieistniejące szaty, udawali, jakoby go w nie stroili... Nastąpiła parada. Tłumy wyległy i podziwiałały szaty cudowne. Albowiem nikt przyznać się nie chciał, że jest głupi. Dopiero małe dziecko, słysząc to wszystko, zaprotestowało z prostotą *de l'enfant terrible*: „Ależ on jest całkiem goły!“ — „Prawda, cesarz właściwie jest golusienki“ — zawtórowali dziecku starsi, podając sobie tę uwagę z ust do ust. Posłyszał to cesarz, lecz napuszył się jeszcze bardziej, postanowił wytrwać w sytuacji i paradował do końca w stroju rajskim...

Czy nie podobnie paraduje nieuctwo religijne niedowiarków — w szarlatanских szatach naukowych?

A pewna część inteligencji, — czy nie w podobny sposób daje się teroryzować szarlatanom niedowiarstwa, głoszącym, że kto wierzy po chrześcijańsku, a nie uznaje i nie podziwia fikcji naukowej o sprzeczności między nauką a wiarą, ten jest wsteczniakiem i obskurantem?

Oto chłop, dziecko pod względem nauki, który jednak nie utopił prostego rozumu swego w morzu sofizmów, zawstydzą was! Czytajcie *Chłopa Polskiego*, *Mazura*, *Przyjaciela Ludu*, a dowiecie się, jak chłop nasz ocenia w ogóle niedowiarstwo klasy oświeconej, w szczególności zaś bluźnierstwa p. Niemojewskiego. Powiecie, iż jest on inspirowany przez księży? Tak, ale nasza inspiracja przemawia do jego nieskażonego rozumu! Przemawia, pomimo, iż nie szczędzimy mu kolców prawdy; gdy apostołowie niewiary idą doń z kusicielskim pochlebstwem. Bywało, że ręce tego chłopu klaskały agitatorom socjalistycznym, ale cóż warte oklaski, zdobyte w sposób, w jaki oni je zdobywali?

*I ty się z tego cieszysz, o mądrości synu!
Żeś został oklaskami przyjęty od gminu?*

*Wszak prawda w oczy kole; jeśli ci gmin klaskał.
To dowód, filozofie, żeś nie kłut, lecz głaskat.*

(Mickiewicz).

Zresztą socjalizm krył za pazuchą swoje niedowiarstwo, ba, obłudnie w imię Boga przemawiał! Czemu? Czy przez to nie uznał sam niebezpieczeństwa dla swojej propagandy w głoszeniu otwartem niewiary?! Pan Niemojewski głosi niewiarę otwarcie, ale i on rachuje nie tyle na swoją argumentację, ile na pochlebstwo, które wylazi szydłem z niej samej co chwila. Pochlebstwo ma odurzyć głowę chłopu, usposobić ją do bezkrytycznego przyjęcia dowodzeń i ostatecznie zjednać dla niewiary, a przez niewiarę — dla socjalizmu. Przecież i ta metoda zawiedzie, póki chłop nie pozbędzie się wrodzonej tężyzny i prostoty umysłowej. Jedna tylko metoda mogłaby uwieńczyć robotę wywrotową powodzeniem. Trzebaby wprzód duszę chłopską zdemoralizować, zgnoić ją, i dopiero na tak przygotowaną rolę rzucić ziarna niewiary. Takiej atoli roboty niesposób prowadzić pod gołym niebem jawności...

Chciecie próbki rozumu dziecka, dziecka nie tylko nauką, ale i wiekiem?

Podczas kolendy tegorocznej, mając głowę naładowaną „Objaśnieniem“, rozmyślnie zadawałem dzieciom pytania, stamtąd poczerpnięte.

Pytam np. ośmioletniej dziewczuszki, kto stworzył diabła? Dziecko spojrzało na mnie zdumione, jakby pytało, czy z niego nie żartuję.

— No, — tłumaczę się — przecież złe duchy istnieją, więc ktoś pewnie je stworzył?

— To one same zrobiły się złymi, a Pan Bóg stworzył je dobrymi! — była odpowiedź.

Pytam gdzieindziej chłopaczka *ex abrupto*:

— Czy to Pan Bóg stworzył diabła?

— Pan Bóg — diabła?...

— A skądże się wziął?

— Sam się djabłem zrobił, bo zgrzeszył!

Znowu gdzieindziej:

— Czy Pan Bóg pozwala grzeszyć?

— Nie, Pan Bóg grzeszyć zakazuje.

— A czemu jednak ludzie grzeszą?

— Bo mają wolną wolę.

— To czemu Pan Bóg dopuszcza grzeszyć, kiedy jest wszechmocny?

Mała konsternacja...

— Powiedziałeś, że ludzie mają wolną wolę: skądże ją mają?

— Pan Bóg dał.

— Więc czemu Pan Bóg grzeszyć dopuszcza?

— Bo dał wolną wolę.

— Więc gdyby człowiek zechciał ciągle tylko grzeszyć, wbrew woli Bożej, toby Pana Boga zwyciężył?

— Nie, bo Pan Bóg karze za grzechy.

— Pan Bóg taki dobry i miłosierny, — kuszę dalej — to czemu karze? Kiedy dostaniesz w skórę za nieposłuszeństwo, to pewno gniewasz się na tatę i myślisz, że tato jest zły. To może Pan Bóg taksamo niedobry, kiedy karze?

— Tato chce, żebym był dobry, Pan Bóg taksamo.

— To dobrzebyś zrobił, gdybyś gniewał się na Pana Boga, że cię ukarał?

— Żlebym zrobił.

— To dlaczego gniewasz się na tatę?

— Bo boli!

— A taty nie boli, gdy ciebie karze?

— Nie!

— Więc tacie przyjemnie bić swoje dziecko?

— Nie, *tatoju* nieprzyjemnie.

— A widzisz! Nieprzyjemnie, więc przykro tacie karać. Tobie taksamo nieprzyjemnie być karanym. Tedy jeżeli tatę kochasz, to nie powinienesz sprawiać mu przykrości, a przez to i sam jej unikniesz. Taksamo z miłości dla Pana Boga trzeba Go słuchać, żeśmy bez karania byli dobrzy i szczęśliwi, jak tego chce Pan Bóg. Prawda?

— Prawda!

Oto próbki naturalnego rozumu dziecka, oto przykłady księżej inspiracji.

Natomiast, czy p. Niemojewski *e tutti quanti* nie gwałcą tego rozumu? I czynią to w imię nauki, natchnieni przesadami antyreligijnymi, wylęglymi w ciemnocie religijnego nieuctwa!

O, książęta nauk ludzkich, jacy wy goley w nauce Bożej! A myślicie, że... „O, jacy oni głupcy!“ — zawołałam w prostocie ducha lud polski, gdy się wśród niego pokażecie...

Oczywiście, lwia część winy za taką ignorancję przypada w udziale samym ignorantom. Oni bowiem stronią od światła nauki Chrystusowej, oni szukają „ciemności zewnętrznych“, na poły świadomie, na poły instynktownie. „A ten jest sąd, że światłość przyszła na świat, a ludzie raczej miłowali ciemności, niż światłość, bo byli złe ich uczynki. Każdy bowiem, który złe czyni, nienawidzi światłości, ani idzie na światłość, żeby nie były zganione uczynki jego. A kto czyni prawdę, przychodzi do światłości...“ (Jan, III, 19—21). „A kto czyni prawdę...“ Czynić prawdę, to znaczy: wcielać ją w życie, wykonywać wypływające z niej nakazy moralne. Więc kto „czyni prawdę“, ten przychodzi drogą doświadczalną do jej zrozumienia, ten wydobywa zakletą w niej światłość, coraz to większą, w miarę coraz to doskonalszego i pełniejszego *czynienia prawdy*, przyjętej na mocy dowiedzionego historycznie faktu jej objawienia przez Boga. I przeciwnie: dążność do wyzwolenia woli z pod władzy przykazań Bożych, prowadzi do wyzwolenia myśli z pod władzy dogmatu. A dogmat religijny—to światłość: po za nim jest ciemność, której, gdy chodzi o drogi życia, wiedące ku szczęściu, nie rozproszą światła elektryczne nauk ludzkich, przyrodzonych, oświecających jedynie drogi, któremi kroczy postęp kultury materialnej.

Niestety, na złą wolę niema lekarstwa w rozumie. Rozprawce też naszej nie przypisujemy mocy przekonania o błąd—specjalnie p. Niemojewskiego. Do tego trzebaby mocy wyższej, tej, która powaliła Szawła prześladowcę, a podniosła go apostołem. Czego wszakże bez zarozumiałości spodziewać się możemy, to uśmiercenia i pogrzebienia, bez honorów, autorytetu p. Niemojewskiego, jako... katechety. Nawet, przypuszczam, w oczach jego własnych. Według podania ludowego, bazyliżek ginie od własnego wzroku, gdy się przejrzy w podstawionem mu lustrze. W rozprawce tej podstawiamy lustro p. Niemojewskiemu, jako autorowi „Objaśnienia“. Nie wątpimy, że jeśli tylko będzie miał odwagę w lustrze tem się przejrzeć, jeśli go z wyrachowaną pogardą nie odtrąci, zginie we własnem przekonaniu, jako pogromca Katechizmu. Trapić go będzie pewność, iż wygłosił szereg niesłychanych głupstw, w które, w zaślepieniu fanatycznym, uwierzył; o ile zaś w te i owe głupstwa własne nie wierzy sam, trapić go będzie pewność, że popełnił nikczemność, która została zde-maskowana.

Gdyby nie zginął, gdyby nie schował się ze wstydu pod ziemię, chociażby tylko po to, aby później znowu wypłynąć na widownię w tej samej roli, ale już lepiej w naukę teologiczną uzbrojony, — nie miałby ambicji... Albo może raczej miałby fałszywą ambicję owego cesarza z bajki, który pomimo drwin tłumu, wytrwał w fałszywej roli do końca.

No, a jeśli wróci i wciąż będzie wracał, to będziemy go również wciąż kropili, nie tylko wodą święconą argumentów teologicznych, ale także naturalną, na którą społeczny Rokita jest pono drażliwszy niż na tamtą. Pokąd rozum sięga przeczeniem, potąd sięga on także zatwierdzeniem, aż stanie przed znakiem zapytania, na który odpowiada Wiara, a przed którym Nauka staje, jak wryta, niemocna nic, ani *za*, ani *przeciw* Wierze odpowiedzieć.

Nie sobie, zresztą, przypisujemy moc zwycięską. Ona tkwi w prawdzie, prawdzie katolickiej. Jam starał się ją tylko ujawnić, wyświetlając ją i ubierając w szatę nowoczesną.

O, ludzie myśli niepodległej! Gdybyście byli mocniejsi w teologii, moglibyście być dla nas więcej groźni, gdyż nie uderzalibyście, na wzór Don Kichota, we własne fikeje, ale w istotną naukę katolicką... Ale tymczasem, możeby myśl waszą wiara nasza, poznana dokładnie, ujarzmiła swoim urokiem i potęgą prawdy! Wy boicie się tego i przeto — nie zmądrzejecie. Pobić na jednym polu, przemieszanie się na inne. Zwalczeni jedną bronią, wynajdziecie inną, albo odgrzebiecie starą, o której świat już zapomniął. Zasób sofizmatów jest zresztą niewyczerpany. Jednej prawdzie, jednemu twierdzeniu, można przeciwstawić błędów i wykrętów całe tysiące...

Tymczasem uważamy, że Katechizm odniósł tu nad „Objaśnieniem“ walne zwycięstwo. Okazało się, że Katechizm katolicki nie jest Katechizmem irokezów, jak go usiłował wystawić p. N., w świetle nauki XX-go wieku. Okazało się, iż zdolny on jest ostać się wobec najwyższego postępu oświaty. Owszem, że w miarę postępu nauk, on może się tylko blaskami jej uświetniać. Nie zastąpią go też i wyrugować nie zdołają katechizmy ateistyczne, fabrykowane w kuźniach myśli niepodległej¹⁾. One to ra-

¹⁾ We Francji istnieje oficjalny taki „katechizm“, p. n. „Manuel

czej skazane są na rychłe bankructwo, które wróżą mu nawet uczciwi bezwyznaniowcy. „Szkoła bez Boga — woła z rozpaczą Juljusz Simon, dawny minister oświaty trzeciej Republiki — wydała nam łotrów i złoczyńców!“

Ferdynand Buisson, redaktor jednego z czasopism pedagogicznych francuskich, oraz profesor pedagogiki w Sorbonie, pisze o naszym Katechizmie:

„Jakikolwiek jest czyje zdanie w kwestji przekonań wyznaniowych, niepodobna zaprzeczyć, że Katechizm jest wynalazkiem genialnym: ta mała książeczka zajmuje od tysiąca lat na naszym zachodnim świecie stanowisko, którego trudno przecenić... Kościół zawarł w niej bardzo treściwe wyszczególnienie nauki swojej, w niewielkiej liczbie formułek. Zdania te proste i zwięzłe, twierdzą silnie i rozstrzygająco, językiem zrozumiałym. Kościół podał je do nauki wiekowi dziecinnemu i przekazał od pokolenia do pokolenia, jako drogą puściznę; i zapanowały one nad umysłami i sercami niezliczonych mas ludowych, których były przez wieki całe jedynym wychowawcą, tak, jak książeczka katechizmowa była jedynym źródłem nauki i jedyną książką... Dla jednostki, która musi się zadawałniać bardzo szczupłymi wiadomościami, stanie się to ważnym nabytkiem, gdy ujęte treściwie maksymy katechizmowe, w chwili pokusy odezwą się w jej pamięci z wyrazistością słów, wyuczonych w dzieciństwie na pamięć, których znaczenie później się nam wyjaśnia“ (Z „Miesięcznika Pastorskiego Płockiego“ Nr. 2).

Czy sami ateusze nie oddają hołdu naszemu Katechizmowi, jego wartości pedagogicznej, gdy swoje katechizmy na nim wzorują?¹⁾

Co do wartości ideowej Katechizmu, tośmy ją w ciągu tej pracy chyba okazali. Samą nawet dziewiętnastowiekową trwałością swoją daje on rękojmię na przyszłość, rękojmię, którą Chrystus rozciąga i zapewnia do skończe-

d'instruction laïque“ „Podręcznik nauczania świeckiego“. Głosi się tam zupełnie ateizm pod formą agnostyczną.

¹⁾ Społeczny prąd reformatorski wśród katechetów szkolnych, między innymi zapoczątkowaniami, godnymi wszelkiego uznania, godzi w formę nauczania religji przez pytania i odpowiedzi. Naszem zdaniem, byłaby to reforma niefortunna i nie ma ona chyba przed sobą przyszłości. Tej formy katechetycznej, mającej za sobą doświadczenie wieków i w istocie doskonałej pedagogicznie, nie zastąpić nie zdoła.

nia świata: „Dana mi jest wszystka władza na niebie i na ziemi. Idąc tedy, nauczajcie wszystkie narody, chrzcząc je w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego: nauczając je chować wszystko, com wam kolwiek przykazał. A oto ja jestem z wami, aż do skończenia świata“ (Mat. XXVIII, 18–20).

Ach, tyleście już razy, o ludzie myśli niepodległej! — głosili „*Finis Ecclesiae*“, tyle już razy wybieraliście się na pogrzeb Kościoła, obwieszczając go nekrologami, — i nie! A oto Kościół tyle już doktryn przodków waszych grzebał, tyle już zwycięstw nad odwieczną myślą niepodległą odnosił i przechodził nad nią do porządku!

Wszelkie atoli zwycięstwo bywa stracone, jeśli się go nie wyzyska. W tym względzie nastroczają mi się tutaj uwagi pozytywne pod dwoma adresami: jedne pod adresem duchowieństwa, drugie pod adresem inteligencji świeckiej.

Zwycięstwo odniósł tu Katechizm, uważany jako wyciąg nauki katolickiej, jako jej szkielet, który przyoblekać w żywe ciało, jest wdzięcznym zadaniem katechety, w szkole czy kościele. Uważany jednak jako praca ludzka, polegająca na sformułowaniu określeń, poniósł tu Katechizm raczej pewne porażki, które nawet w krytykach specjalnych bywały jeszcze większe i liczniejsze. Przyczyną tych porażek bywa po prostu w autorach podręczników — brak — nietylko zmysłu pedagogicznego, czasem i filozoficznego, na którym kształciła się teologia¹⁾, lecz także — dość gruntownej znajomości samej teologii.

Katechizm elementarny, w stosunku do pełnej nauki teologicznej, — to jakby chałupa wobec pałacu, jakby kościółek wiejski wobec bazyliki. Ale ten Katechizm-chałupa — powinien być zbudowany według tych samych wymagań techniki, które są stosowane do budowy pałacu-Teologii. Powinna to być chałupa, w którejby chłop czuł się swobodnie, jak u siebie: ale chałupa wzorowa. Bez ornamentów, bez linii subtelnych i kunsztownie a harmonijnie łamanych: ale w idealnie prostych i czystych zarysach cięśliwskich, tak, żeby jedno z drugim harmonizowało i wszyst-

¹⁾ Przez to samo, że nauka teologiczna powstaje z działania rozum na gruncie Objawienia, żeby je zrozumieć, o ile to dla rozumu dostępne.

ko przystawało do siebie bez zarzutu. Słowem, tu i tam konstrukcja wewnętrzna w zasadzie tasama, jeno w zastosowaniu do różnic umysłowych — różna. Zatem w Katechizmie i w ogóle w piśmiennictwie religijnem ludowem, nie powinno być miejsca dla umysłowego prostactwa, osłanianego względami pedagogicznymi. Te względy dyktują jeno formę przystępną, popularną, ale zawsze ścisłą, przystojną i piękną. Perel Wiary nie godzi się oprawiać w tandetny materiał myślowy, filozoficzny.

Ów znowu Katechizm-kościółek powinien być mieszkaniem Boga, taksamo Go godnem, jako i Teologia-bazylika, żeby nie nastroczył zarzutów przeciw Bogu, ale żeby dawał o Nim pojęcie czyste i wzniosłe.

Od samego Katechizmu odróżnić należy jego żywy wykład. Mniej bez porównania dostępny dla kontroli krytycznej, wykład Katechizmu żywym słowem daje pole dowolności, która, niestety, bywa nadużywana. Tu na jedno z nadużyć na tem polu, pragnę zwrócić uwagę. Wśród katechetów, mianowicie szkolnych, o ile można sądzić z posłuchów, daje się postrzegać, dziś nawet, zbyt lekka pewność siebie w wykładzie religii, zwłaszcza gdy chodzi o punkty styeczne z nauką czy rozumem. Mając sami wpojone głęboko przekonanie o prawdziwości wiary katolickiej, niedosć liczymy się ze sceptycznym nastrojem umysłów młodzieży społecznej. Narzucając jej swoją pewność *lekko*, stosownie do temperamentu osobniczego zbywając pytania żartami, czasem niedosć okrzesanymi¹⁾, albo też wybuchając oburzeniem; maskując może tymi sposobami własną słabość naukową: wywołujemy wrażenie, jakoby nauka religii była sprawą niesłychanie łatwą i miałką, jakoby nie miała ona swoich głębin niezmiernych, jakoby *wierzyć* równało się uznaniu, że $2 \times 2 = 4$. To wrażenie utrwała się w umysłach młodzieży, ażeby pokutować w nich nieraz przez całe życie i być jednym więcej źródłem lekkich sądów o najpoważniejszych i najważniejszych zagadnieniach ludzkości.

Zbywać młodzież żartami, jest to zapoznawać jej psychikę nowoczesną; oburzać się i piorunować na nią za jej wątplenie, które jej narzucono, jest to gorliwość, która

¹⁾ Np.: „Co tam Darwin! Leży on już dawno na śmieciach!“ Autentyczne: na jednej z pensji żeńskich w Warszawie.

traci fanatyzmem. Tak czy owak, zawsze oddaje się usługę złą, zarówno młodzieży, jako i Bogu.

Sprawa inna, gdy młodzież bierze na siebie rolę siewców niedowiarstwa i szydzi z Wiary, na wzór p. Niemojewskiego. Ale gdy *pyta?*! Pytanie—to dowód dobrej wiary i dobrej woli, które należy uszanować nawet w „smarkaterii.”

Zapewne, nie do „teologów” w rodzaju p. N. sprawa doskonalenia nauczania religii należy. Tym jednak przyznać trzeba na tem polu zasługę mimowolną, zasługę przesładowców, naglających ofiarę swoją do wyteżania sił ku własnej obronie. Wynikiem zaś skutecznej samoobrony powinien być postępek w doskonałości, co jest warunkiem *sine qua non* zwycięstwa. Przesładowcy Katechizmu dążą do zniszczenia go, a on powinien się, jako dzieło ludzkie, doskonalić; dążą do zabicia go w duszach, a on, za sprawą obrońców, żywotności coraz to większej ma nabywać; gdy żywotność jego osłabła *faktycznie*, chcą go dobić, a on musi się odrodzić—nieśmiertelny!

Medycyna zna metodę leczniczą, polegającą na działaniu zbawiennem na organ chory, przez drażnienie organu zdrowego. Podobną metodę stosują bezwiednie do Kościoła jego wrogowie: drażnią boską naukę jego i tym sposobem przyczyniają się do leczenia ludzkich jej ułomności.

To znaczenie celowe ataków na naukę katolicką należy uznać, wyrozumieć i wyzyskać.

Gdyby nie złowolne intencje przeciwników, powiedzieby można, że na gruncie Chrystjanizmu istnieje podział pracy: jedni odgrywają względem niego rolę prokuratorów, czy „advokatów djabelskich”, jak w procesach kanonizacyjnych; inni go bronią. Owocem walki jest postęp w rozumieniu go naukowem, oraz w kierunku dążenia ku realizacji życiowych ideałów chrześcijańskich.

Na nieszczęście, prokuratorowie biorą swoją rolę zbyt serio; przejmują się nią do tego stopnia, że dążą naprawdę, nie do wyświeetlenia nauki chrześcijańskiej, nie do jej wcielenia w życie, ale przeciwnie, do jej zagłady. Snać tego potrzeba, bo może inaczej obrońcy nie braliby swego zadania do serca, zabezpieczeni od wszelkiej groźby rzeczywistej. „Boć muszą być i kacerstwa!” (I do Kor. XI, 19).

Snać tego potrzeba... Nie byłoby potrzeba opozycji wrogiej, nie zaś tylko metodycznej, gdyby nie słabość i ociężałość natury ludzkiej, skłonnej do spoczywania, gdy

nie nie grozi i nie nie dokucza, gdy na niebie społecznem pogoda. Albo—gdybyśmy byli, jeden w drugiego, Tomaszami z Akwinu. Ten bowiem genjusz teologiczno-filozoficzny — w jaźni własnej dokonywał owej pracy tytanicznej, podzielonej w życiu mas ludzkich między wrogie sobie wzajem obozy: prawowierny i „niepodległy”. Potęgą swego rozumu, metodą autokrytyczną, wyprzedził on w postępowym rozwoju wiedzy chrześcijańskiej („*profectus fidelis in fide*” błog. Alberta Wielkiego) cały świat chrześcijański, sobie współczesny, sięgnął wpływem po dzień dzisiejszy i długo jeszcze będzie górował gwiazdą przewodnią nad światem myśli katolickiej.

Stąd nauka, jak bardzo pożądaną jest w nauczycielach i obrońcach prawdy chrześcijańskiej—samokrytycyzm. Im go więcej, im on tęższy i zdrowszy, tem mniej powodów i pozorów dla nieprzyjaciół do krytyki złowolnej i niewąstnej, mającej na celu zdyskredytowanie Kościoła, by objąć po nim w spadku stanowiska przewodników.

„Jeżeli byśmy sami siebie sądzili, nie byłibyśmy sądzeni” (I do Kor. IX, 31).

Nasze ludzkie wady i braki stanowią tymczasem rację bytu dla naszych przeciwników, oraz podłoże ich działalności. Gdyby nam wrogów zabrakło, wówczas owe wady i braki doprowadziłyby sprawę Bożą do absurdu.

Brak samokrytycyzmu, a stąd brak zapoczątkowań na drodze postępu ku wcieleniu ideałów chrześcijańskich, pod pozorem, jakoby Pan Jezus wszystko to za nas już zrobił, ¹⁾ co więcej: wręcz pozytywny a bezwzględny opór, stawiany zasadniczo nowym ideom i pomysłem, sprawia, że duch inicjatywy przenosi się poza mury Kościoła i tam, wyzwolony z pod jego kontroli i wpływu, przybiera postać buntu przeciw niemu. Tym sposobem idee, skądinąd nieraz najlepsze, wręcz z ducha Chrześcijaństwa poczęte, przyoblekają się w formę antychrześcijańską; łączą się z przeczeniem świata nadprzyrodzonego, jakoby przeszkody na drodze do postępu doczesnego; mieczem przeczenia odcinają się od Boga i w końcu burzą, co jest, zamiast dalej budować. Spełnia się w świecie ducha to, co mówi Krasiński o ślepych, koniecznych siłach natury, że one:

¹⁾ Jak to traci protestantyzmem!

nim przez ducha ludzkiego odkryte, z zasłon obnażone i podbite zostaną, mają się do niego po szatańsku¹⁾.

Za winy zaniedbania, spada wtedy na nas ciężar roboty podwójnej: walki o zagrożone ideały, oraz wykonania w duchu chrześcijańskim tego, co przeciwnicy podjęli byli na szkodę Kościoła. I dobrze jeszcze, gdy obrona sił naszych nie wyczerpie, nie zacieśni naszych widnokręgów umysłowych, nie zaślepi nas na to, co u przeciwników jest dobre, wzięte od nas, i w rękach ich nie pozostawi naszych właściwie atutów. Wtedy obrona sama, jako robota z natury swej negatywna, a niepoparta szeroką akcją pozytywną, nie może liczyć na zwycięstwo.

Powiada Krasiński: „Fałsze na to ostatecznie się zdały, aby służyły prawdzie. Im ciemniej one płasły, tem prawda jasnziej zabłyśnie. Mnożność głupstwa jest przesileniem się głupstwa“.

To jednak nie stanie się samo przez się. Stać się to może jedynie za sprawą pracy naszej i to powinno być owocem naganki na Katechizm, naganki, w której przesilenie się głupstwa już nastąpiło, w płodach „Myśli Niepodległej“. Na pociechę, że łódź Chrystusowa nie zatoni, gdyż ma obietnice Chrystusowe, Pius IX odpowiedział:

— Tak, ale załoga może ją opuścić, możemy ją z niej wystraszyć!

Słówko jeszcze do inteligencji świeckiej.

Jestem przeświadczony, że wielu, bardzo wielu z tej sfery, p. Niemojewski wyjął z pod serca swoje dowodzenia przeciw Katechizmowi. Niechże więc i oni przejrzą się w tem lustrze, które podsunąłem p. Niemojewskiemu. Prawda, niepochlebne ono! Nie rachowaliśmy się tu z zasadą polujących na popularność pisarzy, która głosi, że aby być przyjętym, trzeba być przyjemnym. Kierowaliśmy się raczej zasadą ś. Pawła: „Gdybym się ludziom podobał, nie byłbym sługą Chrystusów“ (do Gal. I, 10).

Inteligencja musi się w najkrótszym czasie zdeklarować, za kim właściwie stoi. Jeżeli sprzyja religii tylko przez wzgląd na niekulturalne masy, czy to z pobudek politycznych, czy prywatnych; niechże wejdzie w siebie, podda rewizji to swoje sprzyjanie i oświadczy się szczerze

¹⁾ „Listy“. Dalsze cytaty z Krasińskiego również stamtąd poczerpnięto.

i stanowczo: albo za Katechizmem — także dla siebie, albo przeciw Katechizmowi — także dla ludu. Trzeba mieć odwagę przyjęcia konsekwencji, wypływających nieuchronnie z wyboru między Baalem myśli niepodległej, a Bogiem katechizmowym. „Pókiż będziecie chromać na dwie strony? Jeśli Pan jest Bogiem, idźcież za Nim; a jeśli Baal, idźcie za nim“ (III Król. XVIII, 21). Przyszedł czas, że chromać dłużej między dwoma biegunami skrajnie sprzecznych, antypodycznych światopoglądów — niepodobna.

Z panującego u nas od czasu rewolucji rosyjskiej chaosu pojąć, kiedy wilk z barankiem i „pard“ z kozłociem żyły w jakiej takiej zgodzie, bo tamte drapieżniki nie szczyrzyły zębów zbyt groźnie i nawet dawały się obłaskawić, owe zaś niewiniątka czasem się ku nim lasiły, gdyż jedno z drugimi zbliżała martwota stosunków publicznych, oraz wróg wspólny, który nikomu żyć nie dawał: wyłoniły się zróżnicowane partje, w których wyodrębniły się określone ściśle światopoglądy, do niedawna zmieszane, a przynajmniej niedość wyraźnie rozgraniczone przez stawianie różnic i różniczek na ostrzu noża. Partje te są natury polityczno-społecznej; ale, wiadomo, na dnie każdego światopoglądu spoczywa kwestja religijna, której rozwiązanie, takie lub inne, decyduje o kierunku polityczno-społecznym. Tym sposobem katolicyzm stał się u nas osią, około której zawirowały, walcząc, wszystkie stronnictwa: jedne, żeby go dla swoich celów skaptować, inne żeby go zwalczyć. Ale katolicyzm, widząc nieszczerą przyjaźń tamtych, zorjentował się, iż wypada mu stanąć samoistnie przeciw wszystkim, jako partja przeciw partjom, organizacja przeciw organizacjom.

„Racja bytu stronnictwa katolickiego — orzekł słusznie ks. prałat Gnatowski — zaczyna się tam, gdzie katolicyzm przestaje być duchowym wyrazem ogółu“. A „ludziłby się pozorami, ktoby przypuszczał, że u nas czas na to jeszcze nie nadszedł“ (Wiara Nr. 47 z r. p.).

Wskutek takiego stanowiska, które katolicyzm zająć u nas jest zmuszony, niebawem nie będzie miejsca dla partji pośrednich, lawirujących, służących „dwum panom“, stawiających, i Bogu katolików świeczkę, i djabłu Wolnej Myśli ogarek. Wynika stąd moralna konieczność pełnego całą twarzą zwrotu, albo ku Kościołowi, albo ku ateizmowi.

Nie z pobudek politycznych wszakże zwrot taki na-

stąpić powinien: są one tylko jednym z najsilniejszych aktualnych powodów, naglających do szukania prawdy bezwzględnej, całkowitej. Wobec organizowania się i zwierania w kadry bojowe zastępów katolickich, pod egidą Kościoła, dotychczasowi pół- i ćwierć-katolicy, oraz katolicy od parady narodowej, znaleźć się muszą wkrótce po za nawiasem katolicyzmu, jakoby pyłki nieważkie, które o ile ich nie przyciągną inne ciała polityczno-społeczne, pozbawione będą wszelkiego znaczenia w walnym boju za Wiarę i Ojczyznę.

Dyrektywą też w wyborze światopoglądu nie mogą być względy ludzkie, sympatje lub antypatje osobowościowe. Głupstwem byłoby stawiać kwestję na sposób Dietzgena, filozofa socjalizmu: kto za czem stoi? Powiedział on: „Nie uznaję nic niepoznawalnego, bo za niepoznawalnem stoi żandarm i klecha!“ Racja osobliwa, jak na filozofa: wrzucić żabę do mleka z pyzami i potem odtrącać pokarm, zawodząc: „Mamo, pyza na mnie patrzy!“ Jaki konieczny związek zachodzi między żandarmem a „klechą“, oraz między niepoznawalnem a żandarmem, trudno dociec. Wiadomo jednak, iż np. żandarm francuski stoi za myślą niepodległą, z urzędu... Wiadomo również, iż zaprzaniec religijny gorszy jest od urodzonego poganina, taksamo, jak zaprzaniec narodowy—gorszy od hakatysty.

Widzicie niejedno zło na gruncie katolickim? Jeżeli nie jest ono dla was tylko pozorem do usprawiedliwienia, jeśli nie odstępstwa, to stronienia od nauki katolickiej: tedy ono zło pobudziłoby was raczej powinno do wzięcia jak-najżywszego udziału w życiu katolickim, żeby wnosić doń i pomnażać w niem dobro. Czemu zło razi was najsilniej w Kościele? Bo najsilniej odbija od słonecznej światłości jego ideałów! Czemu samych tylko plam ludzkich na tem boskiem słońcu szukacie? Gdzie są ludzie, tam jest i zło, tam są i błędy, tam „i śmietnik być musi“, jak się wyraził ks. arcybp. Teodorowicz. Gdzie jednak są ideały najwyższe, tam wprowadzić błędy rażą najmocniej, ale tam też one najmniejsze...

Precz z przesadami i uprzedzeniami, zaciemniającymi jasny sąd o rzeczy! Dość biegania na pasku myślowego liberalizmu! Dość włóczęgostwa samopas, bez określonej idei przewodniej, po najrozmaitszych, kłócących się ze sobą, wertepach myśli! Dość, wkońcu, religijnego nieuctwa, idącego w parze z naiwnym a zuchwałym krytycyzmem!

Nie religję, ale własne o niej pojęcia trzeba poddać rewizji krytycznej, i orzec: czy Katechizm, czy też mające obieg powszechny pojęcia o nim kwalifikują się do muzeum osobliwości historycznych?

Światła, więcej światła!

„A światłość świeci w ciemnościach, a ciemności jej nie ogarnęły“ (Jan, I, 5).

„Jam jest światłość świata. Kto za mną idzie, nie chodzi w ciemności, ale będzie miał światłość żywota“ (Jan, VIII, 12).

„Chodźcie, póki światłość macie, żeby was ciemności nie ogarnęły: a kto w ciemności chodzi, nie wie, kędy idzie“ (Jan, XII, 35).

Precz ze zwodniczymi światełkami niewiary!

„Aza światłość niebożnego nie zagaśnie?“ (Hijob, XVIII, 5).

„Odjęta będzie od niebożników światłość ich, i ramię wysokie będzie złamane!“ (Hijob, XXXIX, 15).

Na pohybel Ciemnogrodowi!

„Niech się stanie światłość!“ (Gen. I, 3).

Niech żyje Katechizm, Katechizm Rzymsko-Katolicki!!!

(Skończono d. 21 lutego, r. P. 1908).

DOPEŁNIENIA.

1. O „Podróży do Ciemnogrodu“ Stanisława hr. Potockiego.

Jak czytelnikowi wiadomo, „Podróż“ hr. P. dostarczyła mi nagłówka do tej książki, nagłówka, pojętego *in sensu ad-verso* — w sensie odwrotnym w stosunku do tendencji jej sobowtóra; przyczem dodatek: „Wtóra...“ ma na celu jedynie stwierdzić zewnętrzny zgoła *fakt literacki*, że w piśmiennictwie polskim istnieje już jedna, jakby *pierwsza* „Podróż do Ciemnogrodu“, mianowicie owa, napisana przez „Świstka“ *vel* „Świstaka“. Wraz z nagłówkiem zapożyczyłem naturalnie i zawartą w nim ogólnie ideę fantazyjnego Ciemnogrodu, zapożyczoną z kolei przez autora „Podróży“ *pierwszej*, od jakiegoś pisarza francuskiego, który w pisemku p. t. „Le Nain jaune“ — „Żółty Karzeł“, opisującym bractwo gasi-świeczkowe, dostarczył wzoru Potockiemu: co, mówiąc nawiasem, nie przeszkodziło temu drugiemu w dedykacji „Podróży“ hrabinie Janowej z Potockich Potockiej, wyrazić „mniemania“, iż dziełko jego jest „Narodowem“¹⁾, bo w niem nie znajdziesz, coby od obcych pożyczonem było“²⁾. Zresztą, pisząc „Wtórą Podróż“,

¹⁾ W pisowni „Podróży“ zmienną jest okoliczność, że wszystkie wyrazy pospolite, które w autorze budzą szacunek, pisane są przez litery wielkie, a przedewszystkiem tytuły — urzędowe lub rodowe.

²⁾ Ujawniają się tu także reminiscencje z „Monachomachji“ Krasickiego.

nie zamierzyłem bynajmniej przeciwstawić jej, jakoby w odpowiedzi, przestarzałej „Podróży“ pierwszej, oraz uważałem i uważam, iż nagłówek pracy mojej usprawiedliwiony jest dostatecznie rozpoczynającemi każdy rozdział fantazjami satyrycznemi, na temat Ciemnogrodu znanych nam ludzi niepodległych. Dlatego też nie odczuwałem narazie potrzeby, zapoznania się bezpośredniego ze swoim poniekąd pierwowzorem, ba, nawet lękałem się tego trochę, żeby nie wpaść w poniewolne naśladownictwo, ale zachować całkowitą niezależność w tworzeniu obrazu swego Ciemnogrodu. W miarę atoli, jak praca moja posuwała się naprzód, chęć zaznajomienia się ze swoim literackim przodkiem korciła mnie coraz to więcej: aż nakoniec, kiedy ta książka była już na warsztacie drukarskim, dostałem go po dłuższych zabiegach do ręki...

Książka-karlica: formatu kieszonkowego, a pękata, w czterech częściach, po 200 z górą stron każda. Drukowana w Warszawie, nakładem N. Glücksberga, księgarza i typografa Uniwersytetu, w r. 1820. Egzemplarz, będący niegdyś własnością R. W. Borowskiego...

Po dokonaniu powierzchownych oględzin, zabrałem się do czytania książki z zapalem, który jednakże stygl szybko, w miarę posuwania się naprzód, tak, iż ledwo po upływie kilku tygodni dotarłem szczęśliwie do szczęśliwego końca. Nudy, rozczarowanie! Kiedy niekiedy tylko ciekawość ożywiała się, trafiając na epizody więcej pomyślowe.

Prawda, tego rodzaju szpargałów literatury nie można oceniać ze stanowiska... *moderne*. Kto szuka w nich wyrobionej techniki powieściopisarskiej nowoczesnej, finezji duszoznawczej, subtelności a jednak łatwego stylu, bogactwa fantazji, — ten z góry powinien być przygotowany na zawód; tego znudzi nawet Krasicki swojemi „Przypadkami Doświadczyńskiego“. Tam trzeba szukać czego innego: mianowicie charakterystyki ducha czasu, jego fotografii, która choć wypelzła i wyblakła, jednak zawiera osobliwy smaczek archaiczny, którym rozkoszują się prawdziwi smakosze bibliofile.

Tego właśnie smaczku w „Podróży“ obrzednio, albo raczej — w gatunku poślednim. Fantazja przytem uboga i blada, tendencja ciągniona za włosy, kompozycja niezdar-na, technika jaknajbardziej pierwotna i naiwna, język wo-

lający nieraz o pomstę do polszczyzny Złotego Wieku ¹⁾, wreszcie — rozwałkowanie romansu niemożliwe, treść anemiczna, sucha i zbyt trącająca bajką. Słowem, nawet według miary krytyczno-literackiej owoczesnej, — ramota! Płodził ci także ks. Karol Surowiecki, przeciwnik Potockiego, dramaty poronione; ile w nich wszakże ognistego temperamentu, ile zwrotów mocnych (czasami, co prawda, aż zbyt mocnych), ile obrazowości, jaki język jędrny i poprawny, jaki styl płomienny, barwny, łatwy i lekki! Zaiste, tylko pochlebstwo wobec dygnitarza, którym był Potocki, oraz partyjność panującego wówczas stronnictwa wolnośmyśnego — mogły być pasować autora „Podróży do Ciemnogrodu“ na „księcia“ mówców. Również jeno partyjność może po dziś dzień podnosić ową elukubrację na piedestał uznania i chwały. Ano, wśród ślepych — jednooki — królem...

Bądźmi jednak rzeczowi i sprawiedliwi. Trudno, żeby obok minusów nie było i plusów. Pomijając inne, natury literackiej lub ideowej świeckiej, na jeden plus zwróć uwagę. Wbrew ustalonemu przez krytykę katolicką, na podstawie opinii ks. Surowieckiego, sądowi o „Podróży do Ciemnogrodu“, po przeczytaniu tego utworu czuję się zniewolonym wyznać, że jego autor nie wydał mi się tak czarny, jak go w obozie naszym malują. Nie jest on znowu *takim...* Wolterem! Przeciwnie, sądząc go pod kątem widzenia subiektywnym, jako człowieka i obywatela, był to mąż uczciwy, względnie umiarkowany i pełen dobrej woli i dobrej wiary. I to właśnie odkrycie, wobec tego, że na wiarę hołdował był krytyce naszego obozu, było jednym z głównych powodów mojego rozczarowania. Pod wpływem tej krytyki oczekiwałem czegoś bardzo innego!

Sprawa inna, że hrabia Potocki podzielał liczne, pokutujące podziśdzień w mózgach niezależnych, przesady wolnośmyślne przeciw Kościołowi. Obok tego atoli rzecz pewna, iż w swojej „Podróży“ wychłostał on słusznie nie jeden z rzeczywistych przesądów zachowawczych, tak szlacheckich, jak i klerykalnych, które dziś powszechnie jako takie uznane zostały, nawet wśród naszych społecznych „ultrasów“. Te jednak przesady były wtedy broniące,

a walka z nimi roznamietniała reakcjonistów, którzy też odpłacali przeciwnikom „pięknem za nadobne“.

Nie miał słuszności Stanisław Potocki, gdy twierdził („Wstęp“ str. III), że: „nie oświata, lecz namiętności i brak oświaty zakrzwawiły i shanbiły (sic!) europejskie rewolucje“. Nie mieli racji także reakjoniści, gdy z krwawych orgii rewolucji francuskiej uczynili taran, dla walki bezwzględnej z wszelkim postępem.

Jak widzimy z powyższej cytaty z hr. Potockiego, hołdował on demokratycznemu hasłom Wielkiej rewolucji, ale jak znowu widać z jego „Podróży“, zgola nie w duchu bezbożnym encyklopedystów. Zwyczajem polskim, ochrzcił on ową oświatę, która wierząc wbrew dogmatowi grzechu pierworodnego, w przyrodzoną dobroć natury ludzkiej, rozpętała instynkty zwierzęce i wywołała rewolucję z jej terorem; ochrzcił ją, chociaż znowu nie chrztem katolickim. W pojęciu swoim oddzielił on katolicyzm od chrystjanizmu, i gdy pierwszy w swojej „Podróży“ wyszydził i potępił, to dla drugiego oświadczył się z żywym i szczerem uznaniem. Rozdział taki w oczach naszych jest oczywiście fikcją i nikt przyparty do muru, nie zdołałby go uzasadnić i z dokonania go się wytłomaczyć. W katolicyzmie, tym idealnym, który rzadko kiedy wciela się w katolików, zawiera się pełnia nieskażonego chrześcijaństwa i tylko czysto myślowo, nie w rzeczywistości, możemy wydzielić pod mianem katolicyzmu specyficzne jej cechy, ze wspólnych wszystkim wyznaniom chrześcijańskim pierwiastków. Ale co jest w istocie fikcją, to w umysłach nieświadomych rzeczy mieści się często, jakoby coś realnego.

Dość, że hr. Potocki w przekonaniu własnym był chrześcijaninem; w rzeczywistości zaś, jeśli on ochrzcił oświatę filozofów XVIII-go wieku, to jego znowu chrześcijańskość została skażona i piętnem niedowiarstwa naznaczona przez ową oświatę.

Pojęcia hr. Potockiego znajdują dokładne odbicie w jego „Podróży“, która jest szczytem jego mądrości, wyładowanej w formie literackiej.

Ciemnogród, państwo zamorskie, niewiadomo kędy położone (wszystko wskazuje na Azję, ale znów jeden z bohaterów, polak, jako rozbitek morski dostaje się do Nowej Zelandji, skąd, przebywszy trzy rzeki tylko, przybywa do

¹⁾ Np.: „sposób bycia“, wyrażenie, żywcem przetłumaczone z francuskiego: „manière d'être“. Ten kwiatek zdarza się spotykać i dzisiaj!

Ciemnogrodu...) ¹⁾, ze stolicą tejże nazwy, wraz z położonym w granicach państwa Świętogradem: to ma być symbol dawnej Polski, zapełnionej rzekomo średniowiecznymi baronami teutońskimi, oraz indyjskimi bonzami, a zostającej pod ogłupiającym i demoralizującym, wszechwładnym wpływem Rzymu!

Gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie karczmy babińskie? I to ma być dzieło „Narodowe“?!

W Ciemnogrodzie rezyduje „Najciemniejszy Pan“, Mrucysław V, który „wśród małpiarzy, pasibrzuchów i opojów pędzi popielowskie życie“ („Wstęp.“ VI); w Świętogradzie zaś Lama, którego zresztą autor dotyka bardzo mało i oglednie.

W państwie Ciemnogrodzkiem panuje najwyższy nierząd. Biurokracja, od najniższych pacholków do najwyższych dygnitarzy, na potęgę kradnie, baronowie rabują, bonzowie i astrologowie ogłupiają i flirtują, armja obdarta i uzbrojona w kije, lud—pogrążony w ostatniej nędzy...

Lubo położone nad morzem, państwo posiada jeden jedyny tylko port, zwany „Portem Oślim“: dlatego jedyny, żeby utrudnić stosunki z Europą i zachować tym sposobem Ciemnogród od jej wpływów oświatowych. Czuwa nad nim Inkwizycja, która konfiskuje nawet podręczniki geograficzne, czemu jednak bródzi szczęśliwie przekupstwo urzędników.

Dodajmy do powyższej nomenklatury „zakon Smorgoński“ z jego najwyższym w państwie orderem „Niedźwiadka“, zakon, mający wyobrażać Jezuitów, a będziemy mieli wyobrażenie o wyobrażeniu autora o katolicyzmie.

Oczywiście, taka obelga, rzucona Kościołowi, nie mogła nie obrazić uczuć katolickich i musiała wywołać jak-najsilniejszy protest.

Ale, otóż odwrotna strona medalu.

Autor, wraz z młodszym towarzyszem swoim, Wacławem, przybywszy do Ciemnogrodu z listami polecającymi do Najciemniejszego Pana, zabierają się tam zwolna i ostrożnie do przeprowadzenia reform. Skłania ich ku temu

pokrewieństwo plemienne, gdyż ciemnogrodzianie są pochodzenia słowiańskiego. Znajdują pomoc w oświeconym po europejsku księciu Bojosławie, a jednocześnie przygotowują do zadań reformatorskich młodzieńczego następcę tronu, pełnego dobrych chęci oraz chciwego zakazanej oświaty. Później przybywa im jeszcze do pomocy stary proboszcz z Polski, przysłany do nich z wieściami. Ten ze swej strony przygotowuje grunt pod posiew ewangeliczny w pogańskim Ciemnogrodzie i przedewszystkiem zajmuje się w tym celu Wandą, dziewczyną tajemniczego pochodzenia, niezwykle szlachetną i urodziwą, którą w końcu nawraca i chrzci.

Wypadki przyspieszają proces odrodzenia Ciemnogrodu.

Umiera stary, niedołężny i rozpustny król. Córka jego, żadna władzy Pięknosława, która rządziła jego imieniem, przeprowadza teraz intrygi celem zdobycia regencji w imieniu znacznie młodszego brata, następcy tronu. Wybucha wojna domowa, która kończy się szybko zupełną porażką przewrotnej księżniczki i sprzymierzeńców jej, baronów. Zwycięstwo młodego króla, którego doradcą był mądry i szlachetny książę Bojosław, dostarczyło wysmienienia sposobności do ujarzmienia baronów, a także i bonzów, którzy przeciwni się „bezbożnym“ reformom. W końcu goście polscy opuszczają Ciemnogród, zostawiając go na drodze do najpiękniejszego rozkwitu.

A „Romansik“? ¹⁾ zapyta czytelniczka.

Ano, Wacław kocha się w Wandzie. Znajduje prze dziwnie szlachetnego rywala, w osobie młodszego z dwóch braci Dobromirów. Podczas wojny domowej porywa ją rycerz-rabuś, Czarnostaj, podstępem i przemocą unosi z pola bitwy do swego zamku. Wacław ją odbija, przyczem Czarnostaj ginie. Przy ranionym podczas bitwy Dobromirze, rywalu Wacława, zjawia się jego matka, która zachowuje się zagadkowo wobec Wandy. W końcu wyjawia, że ona jest jej także matką, zatem Dobromir jest jej bratem. Za poradą astrologów, gdy się jej córki nie chowały, oddała była ostatnią do ludzi obcych, z warunkiem zachowania tajemnicy pochodzenia Wandy, aż do czasu jej zameścia.

¹⁾ *Sic!* Tak sam autor dziełko swoje określa. Przyczem wyraz, określający je, napisany przez wielkie R.

¹⁾ Fantazja ma prawa nadzwyczajne. Szekspir oblewa Czechy dookoła morzem, jakoby wyspę... Ale i fantazja musi być logiczna. Tej logiki w umieszczeniu Ciemnogrodu braknie w sposób rażący. Autor mógł umieścić go w obłokach lub pod ziemią, to było mu wolno, ale on każe go szukać geografom i przytem zbija ich z tropu.

Tymczasem, żeby udęczyć czule serca czytelniczek, autor zsyła zarazę morową, której ofiarą pada Pięknosława, od której znów zaraża się pielęgnująca ją—strach powiedzieć!—Wanda. W chwili wszakże przesilenia się choroby, Wandę ocala Bóg chrześcijan „cudownie“. Ma ona we śnie piękną wizję nawrócenia. Więc nawraca się, proboszcz ją chrzci, no, i... Numa wychodzi za Pompiljusza...

Wrażenie ostateczne „Podróży“ jest, jak widzimy, wielce sympatyczne i do pewnego stopnia zaciera słabe wrażenie satyry na instytucje katolickie, tem więcej, że ta satyra jest tak niezręcznie przesadzona, iż nie daje zgola wrażenia prawdopodobieństwa i ledwo poznajemy o kim lub o czem tu mowa. Stąd zapewne pochodzi wypadek nieporozumienia, że gdy ks. Surowiecki upatruje w Ciemnogradzie Jasną Górę i szykanę kultu Matki Boskiej, to ja, wyznając otwarcie, choć-em szukał, tego tam nie znalazłem. Sam wreszcie autor zastrzega się we „Wstępie“, przeciw zbyt daleko idącym posądzeniom, w duchu słów Krasickiego:

*Satyra w szczególności nikomu nie łaje:
Czołem bije osobom, gani obyczaje.*

Co ważniejsza, autor, choć mason, ale śnać niezbyt głęboko w arkana masonerii wtajemniczony,—wszak należeli do niej wtedy nawet księża i nawet biskupi—dogmatów nauki katolickiej zgola nie atakuje. Przeciwnieństwo jego pojęć z tą nauką można wyprowadzić na jaw tylko drogą wnioskowania i tłumaczy się w zupełności obskurantyzmem religijnym, już wtedy niemalym wśród inteligencji świeckiej. Dodajmy jeszcze, że przeciwnikami Towarzystwa Jezusowego bywali onych czasów najlepsi skądinąd katolicy, oraz że dawnej działalności Inkwizycji nie można nie krytykować: a zgodzimy się na to, iż wobec tyśiąckroć zjadliwszych, z gruntu negacyjnych oraz jawnie złowolnych napasć na Kościół, do których przyzwyczaili nas ateusze społeczeństwa, z p. Niemojewskim na czele,—„Podróż do Ciemnogradu“ hr. Potockiego wydać się może stosunkowo niewinnym żarcikiem.

Jeszcze słówko z powodu pseudonimu autora.

Sam hr. Potocki nazwał się tu, jako i w innych pismach: „Autorem Świstka Krytycznego“. Skąd przyjaciele jego ideowi przewalili go krótko „Świstkiem“, zwracając

się doń np. w sposób: „A ty śpisz, Świstku?“ — t. j.: milczysz, nie odpowiadasz? Ks. Surowiecki zaś miano to rozumnie przekreślił, symulując myłkę drukarską, na „Świstaka“. Pełny nagłówek jego repliki brzmi: „Świstak warszawski wyświstany, czyli uwagi krytyczne nad warszawskim romansem, tytułowanym: Podróż do Ciemnogradu. Pod imieniem pisarza, nazwanego Świstak przez drukarską pomyłkę w Prawdogradzie 1821 r.“

Ks. Karol Surowiecki, jakkolwiek położył poważne zasługi na polu obrony zasad chrześcijańsko-katolickich, zasługi, które uczyniły go godnym monografii pióra s. p. biskupa Nowodworskiego, miał niewątpliwie zacięcie fanatyczne, przez co podawał broń do ręki przeciwnikom, którzy nawet u władz duchownych umieli zyskiwać przeciw niemu wyroki, nakazujące mu milczenie. Miał on atoli za sobą tyle słuszności, że ówczesni masoni warszawscy, nie mogąc mu podołać, chwytały się środków najniżej-szych. Z powodu „Świętych tajemnic masonji sprofanowanych“ ks. S., pisał jeden z masonów: „Braliśmy się na rozmaite sposoby: to wysledzenia drukarni, to wymacania składów tej fatalnej roboty, żeby, jak to mówią, zadusić płód w kolebce. Kiedy się nie udało, osadzili niektórzy z braci warszawskich odpowiedzieć potwarzy i nawet rozgłosić, że ich Apologia już podana do prasy. Ale przemogła rozsądniejsza perswazja, iż lepiej poświęcić talent na *vivae vocis oracula* (orzeczenia żywem słowem). Co zaś do pióra, dosyć plusnąć przeciw antagoniście dwoma lub trzema zabawnymi terminami; przy podanej okazji wystawi go się u polaków na dudka!“¹⁾

Miał też słuszność ks. Surowiecki, pisząc: „Oni (t. j. niedowiarkowie) nakształt potępieńców bluźnią, Niebu, nakształt wandalów pustoszą boską chwałę, przesładują, gnębią i uciskają wiernych; a niechże się kto z duchowieństwa, bądź na kazalnicy, bądź piórem, przeciwko nim odezwie, natychmiast go do ewangelicznej łagodności, pokory i cierpliwości odesła“.

Na podobieństwo — dodajmy — dzisiejszych hakatystów, skazujących księży na więzienie za krytykę postępowania rządu i jak to się stało niedawno z ks. Karolem Larose na

¹⁾ Ob. wspomnianą wyżej monografię ks. Surowieckiego przez biskupa Nowodworskiego.

Górnym Śląsku, motywujących takie wyroki wykroczeniem przeciw chrześcijańskiej miłości i przebaczeniu!

Ach, jakżeby radzi byli hakatyści oraz ludzie niepo-
dlegli, gdybyśmy zaczęli w życiu stosować teorię Tolstoja
o Chrystusowej zasadzie: „niesprzeciwiania się złemu“!¹⁾

Miał i ma ks. Surowiecki drugą słuszość, gdy mówi:
„Gdybym wydał najniezgrabniejszą broszurę, napchaną
choć z kabały przyjemnemi dla gustu dzisiejszego wróżba-
mi, o! — jakże mądrym, światłym, utalentowanym zrobiłbym
się pisarzem u tych samych, którzy mię dzisiaj za fanaty-
ka i warjata wykrzyczą. Ale niech mi wybaczą, iż za ta-
kie pieniądze nie mam prawdy na sprzedaż!“

Tout, comme à présent! — Wszystko, jak obecnie!

Miedzy innemi ma słuszość i w tem jeszcze ks. Su-
rowiecki, gdy charakteryzuje społecznych sobie liberałów
słowami:

„Przypatrzmy się tym ludziom, jak oni się ładnie
wdzięczą do Boga natury, Boga dobrego, przyświecającego
swym niebieskim kagańcem równie złym, jak dobrym;
a niechże się pokaże tensam Bóg, ile sprawiedliwy mści-
ciel występku i wynagrodziciel cnoty, w asystencji swoich
proroków, natychmiast przed Nim, niby djabli, pierzchają,
bluźnią i potwarzają Jego niedostępny Majestat. Czemuż?
Bo okoliczność odmieniła interes, a odmiana interesu prze-
tworzyła opinię.“

Pod tę charakterystykę podpada mniej więcej także
autor „Podróży do Ciemnogrodu“. Ale — powtarzam — nie
jest on *takim* Wolterem: ani przewrotnością, ani talentem.

2. Przyczynki do kwestji, czy „dawniej było: brzucha“?

Na wystosowane do redakcji „Poradnika Językowe-
go“ (Tarnów, w Galicji) zapytanie w tym przedmiocie,
otrzymałem dwie odpowiedzi: pierwszą od profesora Jana
Łosia (w zeszycie za maj r. b.), drugą od dra Henryka
Ułaszyna (za czerwiec). Niniejszem składam za to obudwu

¹⁾ Mat. V, 39. Tę zasadę Chrystus Pan przeciwstawił zasadzie
Starego Zakonu: „oko za oko, ząb za ząb“. Znaczy to więc: nie odpla-
cacie złem za złe, nie zwalczajcie zła środkami moralnie złymi, co ś. Pa-

Sz. Sz. Uczonym Polskim, jak niemniej Sz. Redaktorowi
„Poradnika“, Panu Romanowi Zawilińskiemu, szczerze po-
dziękowanie. — Czytelnikowi zaś winienem podać owe od-
powiedzi, przynajmniej w streszczeniu, jako naukowe uzu-
pełnienie i nawet sprostowanie twierdzeń moich własnych,
w tej książce wyrażonych.

Profesor Jan Łoś pisze: „Mam bliższą wiadomość
o 12 tekstach Pozdrowienia Anielskiego w redakcjach śre-
dniowiecznych, a mianowicie: (oznaczamy je przez M₁, M₂
i t. d.)“.

Następuje wykaz owych 12-stu redakcji, poczem czy-
tamy: „We wszystkich rękopisach, które znam, t. j. M₁,
M₂, M₃, M₄, M₆, M₇, M₈, M₉ i M₁₀ czytamy: *owoc żywota*.
Jedynie tylko w druku z r. 1475 M₅ jest *owoc brzucha*.
O M₁₁ i M₁₂ można sądzić napewno, że jest tam wyraz
„żywota“, w przeciwnym bowiem razie prof. Brückner, mó-
wiąc o tych tekstach (Rozpr. t. 25, str. 142 i 243), zazna-
czyłby warjant.“

Tyle sz. profesor. Według tej notatki, wyraz „brzuch“
pojawił się w tekście Pozdrowienia Anielskiego dopiero
w r. 1475 i jakby tylko przypadkiem, zwłaszcza gdy póź-
niej zdaje się stamtąd ulatniać. Musiałby to też być przy-
padek miejscowy, nie powszechny, skoro wszystkie inne
teksty, pochodzące przeważnie również z XV-go wieku,
mają wyraz „żywot“. Najstarsza przytem redakcja, po-
chodząca z r. 1375, ledwo sięga epoki piastowskiej, koń-
czącej się ze śmiercią Kazimierza Wielkiego w r. 1370, tak
iż o tej epoce nie mamy żadnej wiadomości.

Z uzupełnieniem cennej notatki prof. Łosia, pośpie-
szył dr. Ułaszyn. Pomijając dość ostrą polemikę, w której
autor zarzuca profesorowi niedostateczność i nawet bała-
mutność (na to drugie zgodzić się trudno) jego odpowie-
dzi; pomijając także pełne erudycji lingwistycznej wywo-

wel stwierdza wyraźnie: „Nie daj się zwyciężyć złemu, ale zwyciężaj złe
dobrem“ (Do Rzym. XII, 21). Tymczasem Tolstoj, na mocy tej za-
sady, każe pozostać złemu zupełną swobodę, wyłączając wszelką, choć-
by najuczciwszą samoobronę, w przekonaniu, że tym sposobem zło, jakby
zawstydzone, uzna się za zwyciężone i zginie samo przez się. Jest to ma-
rtyrystwo, oparte na fikcji, że natura ludzka jest z przyrodzenia dobra.
Byłoby to nietylko miłością ludzi złych, ale i samego zła moralnego. Mo-
żna puścić przemocy „i płaszc“, t. j. wogóle dobra materialne; ale czy
godzi się puszczać bez obrony także dobra idealne, wieczne czy doczesne?!

dy, zaznaczamy krótko rezultat ich ostateczny. Dr. Ułaszyn nie przytacza ani jednego więcej tekstu samego Pozdrowienia; ale na podstawie Psalterza t. z. „florjańskiego“, z którego podaje szereg dotyczących kwestii spornej cytaty, w których wyrazy: *brzuch* i *życie* używane są bez różnicy, wnioskuje, że: „w epoce piastowskiej (o którą głównie chodzi) w Pozdrowieniu Anielskim mogło być *owoc brzucha twego* w znaczeniu temsamem, co i *owoc życia twego*, bez żadnego odcienia *peioritatis* (czegoś gorszego)“.

Wniosek ten ma za sobą wszelkie prawdopodobieństwo, które jednak nie jest jeszcze pewnością. Dlatego Redakcja—dowodzenia d-ra Ułaszyna zamyka słuszną uwagę: „...Notatka dra Ułaszyna, zresztą cenna, jest tylko znów małym przyczynkiem, ale jeszcze nie wszystkim“.

Być tedy może, iż w „Poradniku“ pojawią się nowe jeszcze do tej samej sprawy przyczynki. Dla nas tu jednak powyższe wyjaśnienia ostatecznie wystarczą. Okazuje się z nich, bądź co bądź, że słusność *formalna*, przynajmniej w stopniu minimalnym, jest po stronie p. Niemojewskiego. Okazuje się atoli również, iż nie ma on w najmniejszym nawet stopniu słusności *moralnej*, gdy z „brzucha“ się gorszy; popełnił zaś występki, sugerując własne zgorszenie, chyba faryzajskie, małuczkim: dzieciom i dorosłym prostakom. Jest to występki, o którym rzekł Chrystus: „A kto by zgorszył jednego z tych małych, którzy w mnie wierzą, lepiej mu, aby zawieszono kamień młyński u szyi jego i zatopiono go w głębokości morskiej“ (Mat. XVIII, 6).

3. Kilka słów o „Nowym Katechizmie“ amerykańskim.¹⁾

Już po napisaniu „Wtorej Podróży“, dostałem do rąk tę nową próbę katechizmowego sformułowania starych, ignoranckich nedorzecznosci. Ze są one stare, dowodem

¹⁾ „A New Catechism“. Napisał M. M. Mangasarian, lektor Niezależnego Stowarzyszenia Religijnego w Chicago. W przekładzie polskim wydany w Warszawie, nakładem Księgarni Narodowej. 1907. Str. 84. Rozdziałów 15, pytań i odpowiedzi 563.

choćby to, że jak się z żywym zadowoleniem po przeczytaniu „Nowego Katechizmu“ przekonałem, niema tam prawie ani jednego zarzutu, którego bym nie uwzględnił w odpowieści, danej p. Niemojewskiemu, pomimo, że pisząc ją, owego „Katechizmu“ amerykańskiego wcale jeszcze nie znałem. Nie znaczy to jednak, aby „Objaśnienie“ p. N. i „Nowy Katechizm“ Mangasariana były bliźniętami, zrodzonymi przez jedną i tę samą macierz ideową. Jeżeli moja „Wtóra Podróż“ pomimowoli utrafiła i w elukubrację mangasariańską, to głównie dzięki temu, że na tle rozprawy z p. Niemojewskim, starał się rozwinąć możliwie pełną apologję wiary, w duchu i kierunku potrzeby społecznej. Pomiedzy obu charakterystycznymi płodami nowoczesnego niedowiarstwa, zachodzi wprawdzie dość bliskie pokrewieństwo, które ujawnia się w pewnej liczbie identycznych tu i tam zarzutów; są wszakże między nimi także poważne różnice, wynikające z ogólnej różnicy stanowiska i tendencji. „Nowy Katechizm“ jest mianowicie specyficznym owocem społecznego, poczętego przez kilkunastu laty w Ameryce, t. z. „ruchu etycznego“, mającego na celu wydobycie moralności z bagniska materjalizmu i odrodzenie jej w duchu idealistycznym. Ten ruch atoli dąży po dawnemu do zachowania niezależności od wierzeń religijnych chrześcijańskich, nawet od idei Boga, uznawanej także i poza światem chrześcijańskim. Różni się on od stanowiska bezwzględnej, pozytywnej negacji religijnej, której hołduje p. Niemojewski, charakterem raczej agnostycznym, w którego myśl, ani się nie preczy, ani nie twierdzi. W zasadzie wychodzi to na jedno, bo gdy nie wiem, czy Bóg istnieje czy nie, żyję, jakgdyby Go nie było, jak też i Mangasarian żyć zaleca. To jednak stanowisko szczerze sceptyczne, kielzna fanatyzm antyreligijny i budzi ducha tolerancji w stosunku do wierzących, co się taksamo i w „Nowym Katechizmie“ ujawnia. Niestety jeno, grubego kalibru nieznajomość nauki chrześcijańskiej, oraz tendencyjna stronniczość w jej ocenie—prawie tu zastępują fanatyzm.

„Nowy Katechizm“ założył sobie cel podwójny: negatywno-pozytywny. Negatywny polega na usunięciu, jakoby krytycznym, dogmatyczno-religijnych, więc pozaświatowych i nadprzyrodzonych podstaw moralności; pozytywny: na zastąpieniu tych ostatnich przez poczucie honoru i godności ludzkiej, przez miłość ludzkości, przez zadowolenie moralne, jakie daje spełnione dobro i t. p. Innymi

słowy: zamiast w Bogu, człowiek sam w sobie ma znaleźć źródło i podstawę moralności. Jak widzimy, piosenka stara, nieledwie przedpotopowa. Chyba tylko jej melodia jest nowoczesna, bo nastrojona na nutę filozofji Kanta, jak również naukowej teorii ewolucji, od której myśl niezależna spodziewa się niebywałych cudów, a nawet już je widzi w pewnej mierze urzeczywistnione.

Rozczulający jest zapal Mangasarian, z jakim on podnosi potęgę ewolucji (w sensie monistycznym), w przeciwstawieniu do nicości moralnej wszystkich religii świata, z chrześcijańską na czele. Kiedy bowiem one przelały ocean krwi ludzkiej, to ewolucja dokonała „zdumiewającego przewrotu w ciągu pół wieku zaledwie, bez śladu prześladowania, nie opaliwszy i jednego ludzkiego włosa“ (35). Tak, czego nie zdołało dokonać nawet Chrześcijaństwo, w ciągu tysiącleci, tego dokonała od jednego zamachu teoria, *hipoteza* ewolucji! Nauczyła ludzi kochać się wzajemnie, tak mocno i czule, że znikły amerykańskie trusty, że wielki przemysł, ten Moloch nowożytny, nie pochłania już całemi hektombami żertw ludzkich, że dla Filipinów nie połała się krew hiszpanów, tagalów i samych amerykańców, że armada Stanów Zjednoczonych, jeżeli istnieje, to ma bardzo miłośne przeznaczenie...

Mamy tu do czynienia z bardzo pospolitym humbkiem myślowym: stwierdza się fakt historyczny, przyczem dla efektu popiera się go historycznemi kłamstwami, że ludzie przelewali krew w imię religji; temu faktowi przeciwstawia się fakt drugi, że w imię nauk przyrodniczych, które niczyjej zdrowej *duszy* ani nie grzeją ani nie ziębią, nie opalono „ani jednego włosa“; przemilcza się fakt trzeci, że są inne poza religją ideały, dodatnie lub ujemne moralnie, w imię których przelewano i przelewa się dotychczas krwi ludzkiej nieskończenie więcej, aniżeli w imię jakiegokolwiek religji; okoliczność wreszcie, że dziś w imię religji, przynajmniej w świecie chrześcijańskim, krwi się nie przelewa, chyba tylko bardzo niewiele, przypisuje się nauce i nawet handlowi, byle nie religji, ani nawet obojętności religijnej: i wiadomy wniosek—gotowy, jak na obstackunek. Tak właśnie dowodzi p. Mangasarian, lektor niezależnego Stowarzyszenia religijnego w Chicago, który wyobraził sobie, że religja jest to „wiara w prawdę“ (5), mianowicie—w ewolucję, łącznie z samorodztwem! Gdyby to było prawdą, tedy jedynie religijnymi ludźmi byłiby

ewolucjoniści (monisci), a już najreligijniejszym na świecie człowiekiem byłby... Haeckel! Zaiste, nam, ślepym nieukom i wstecznikom, łatwiej byłoby uwierzyć w bajki arabskie z tysiąca i jednej nocy, aniżeli w „naukową“ bajkę o jakimś związku ewolucji przyrodniczej ze starem, ustalonem i powszechnie uznanem pojęciem religji.

Autor z tryumfem obwieszcza bezkrwawe rzekomo zwycięstwo tej hipotezy na uniwersytetach. Zapomina jednak, że profesorowie i studenci, to jeszcze nie ludzkość, nie masy ludzkie, których ewolucja wzruszyć moralnie dotąd nie zdołała i bodaj nigdy nie zdoła. Gdyby je kiedykolwiek wzruszyła, mielibyśmy niewątpliwie w imię jej przelew krwi masowy, jak dziś go widzimy wśród podzielonych na obozy studentów, przyczem obóz liberalny zazwyczaj występuje zaczepnie przeciw katolickiemu (Wahrmundjada!).

Mangasarian wierzy mocno w moralność bez dogmatu religijnego i uważa za rzecz bardzo „niewłaściwą“ twierdzić i głosić przeciwnie, bo „ludzie, tracąc wiarę w Objawienie, przestaną wierzyć w enotę“ (11). No, a my uważamy za rzecz, nietylko niewłaściwą, ale i niedorzeczną twierdzenie, że objawienie mangasarjańskie zastąpi chrześcijańskie. Zresztą, jeżeli autor wierzy, że zastąpi, a Objawienie Chrystusowe uważa za niedorzeczność, to nie powinien gniewać się na „niewłaściwość“, popełnianą przez nas. Przecież nauka—to Potęga, której nic oprzeć się nie zdoła. Więc nie trzeba lękać się współzawodnictwa ze strony zbankrutowanego Chrześcijaństwa. Inaczej, moglibyśmy posądzić autora o małą wiarę w ewolucję...

Co do nas, przyznajemy, iż zdarza się niewiara bezinteresowna moralnie, przy której moralność się ostoi. Ale naszym zdaniem, opartem na doświadczeniu i rozumie, jest to niekonsekwencja. Jeśli niema Boga i nieśmiertelności duszy, tedy jedynie konsekwentną jest moralność pod hasłem użycia, jeśli nie samobójstwo. Tłum umiałby odpowiednio wnioski z niewiary wyciągnąć! I dlatego rozumiejąc to, my ową „niewłaściwość“ popełniamy i popełniać będziemy, a „ruchowi etycznemu“, lubo skądinąd sympatycznemu, wróżyśmy rychłe bankructwo, rychłą reakcją w kierunku materialistycznym, o ile nie przejrzy i nie osadzi się na fundamencie wiary w Boga.

Jednak ruch etyczny i rzecznik jego, Mangasarian, mają pretensję do zakasowania nawet moralności chrześci-

jańskiej, jakoby zbyt poziomej i nawet na punkcie przelewu krwi—niebezpiecznej. Autor głosi cnotę bezinteresowną, cnotę dla cnoty, taksamo, jak, według jego rodaka, Monroego, Ameryka dla amerykanów. A tymczasem to egoistyczne Chryścijaństwo głosi cnotę dla Boga, dla nieba! Oczywiście, moralność mangasarjańska stoi wyżej od naszej; szkoda jeno, że jest nie do urzeczywistnienia, bo chyba tylko wróble bardzo marzycielskie dadzą się na nią złapać! W istocie i ona nie jest bezinteresowna, bo ma na celu korzyści doczesne—dobro ludzkości. Przytem, charakter jej bardzo praktyczny, po amerykańsku praktyczny, bo ma na celu przedewszystkiem dobrobyt i przedewszystkiem—Stanów Zjednoczonych.

Swoją drogą udaje ona bezinteresowność rozrzewniającą. „Dlatego—twierdzi autor—powinniśmy czynić dobrze, bo dobro jest pożytecznem (szydelko z woreczką), pięknem, radosnem“ (82). Np.: pielęgnować trędowatych, leczyć syfilityków, — to są Uczynki dobre, bardzo piękne estetycznie i bardzo radosne, mianowicie, gdy w dziedzinie moralnej mamy się rządzić jedynie prawami przyrody. Tego zaś żąda Mangasarian i twierdzi, że dlatego istnieje na świecie zło i cierpienie, bo nie jesteśmy posłuszni prawom natury (83). Np.: rozpustnik, posłuszny jednemu z jej potężnych praw, uszczęśliwia szeregi kobiet; zaś asceta, który prawo to gwałci, tworzy źródło zła i cierpienia dla... większości ludzkości... *All right, sir Mangasarian!*

Tak, nauka moralności chrześcijańskiej jest do niczego, jest ona także niezdolna do kultury. A dowodzi się tego bardzo łatwo, za pomocą rozumowań, opartych na fałszywie komentowanych tekstach ewangelicznych, zwłaszcza na znanych nam już słowach Zbawiciela o „niesprzeciwianiu się złemu“ (51); przemilcza się zaś *fakt* kultury, stworzonej przez Chryścijaństwo...

Tak, moralność mangasarjańska jest wyższa od chrześcijańskiej, albowiem w jej świetle okazują się plamy nawet na słonecznej postaci Chrystusa. Mianowicie: „Jezus w chwilach gniewu złorzeczył swym wrogom i przeklinał ich. Uciekł się do siły fizycznej przeciw bankierom; lekceważył przepisy higieny i zniszczył dobro bliźniego swego“ (49).

Cudowne uwagi moralne! Zgorszyłoby się z nich go-tów sam p. Niemojewski, który twierdzi przeciw Kościołowi, że Chrystus „nie przeklinał“...

Tak, uniesiony świętem oburzeniem, Chrystus „przeklinał“, ale nie „swoich“ osobistych, jeno boskich i ludzkich wrogów. Piętnował surowymi słowami mianowicie obłudę, jak na to zasłużyła, żeby nie uwiodła prostaczków. Natomiast, kiedy chodziło o Jego własną osobę, t. j. kiedy stał męczeńsko pod pręgierzem badań sądowych i był policzkowany przez pacholców, milczał. Raz tylko jeden zaproteutował, ale z boskim prawdziwie spokojem: „Jeślim złe rzekł, daj świadectwo o złem; a jeśli dobrze, czemu mię bijesz?“ (Jan, XVIII, 23).

Tak, zapalony świętym gniewem o sponiewieraną świętynię, rozpedził zgrają handlarską, w czym atoli widać raczej siłę *moralną*, skoro jednemu człowiekowi cała ta zgraja uległa. Zresztą, czy wszelkie użycie siły fizycznej stanowi występki? W takim razie ubóstwiana przez autora „Przyroda“ byłaby największym przestępcą, bo jakże nie-miłosiernie ona ludzi chłoszcze, co jednak Mangasarian, zapewne ku zgorszeniu p. Niemojewskiego, słusznie jej pochwała (81).

Higieny jednak Chrystus nie lekcewał. On zgłębiał nie higienę miał na myśli, gdy w obronie uczniów swoich, że nie umyli rąk przed jedzeniem, (a jadano wtedy palcami, bez pośrednictwa noży i sztućców) rzekł: „Nie co wchodzi w usta plugawego człowieka, ale co wychodzi z ust, to plugawego człowieka“ (Mat. XV).¹⁾ Ale miał na myśli względy religijno-moralne, gdyż takie znaczenie miał u żydów obrządek umywania rąk, i samym faryzeuszom, którzy ten zarzut uczynili, również o tesame względy chodziło. Chrystus przystosował tylko swoją odpowiedź do faryzajskiego zarzutu faryzeuszów.

Najkapitałniejszy jest zarzut, że Chrystus „zniszczył dobro bliźniego swego“.

Stało się to tak. Przybył boski Nauczyciel do krainy gerazeńczyków i tam napotkał opętance, który sypiał w grobach, a w dzień włóczył się samopas po górach, wydając dzikie okrzyki i tłukąc się kamieniami; i pęta żelazne rwał na sobie, tak, iż nikt nie mógł go ukrocić. Nauczyciel rozkazał duchowi nieczystemu wyniść z nieszczęsnego człowieka. Tedy duch nieczysty, oświadczywszy, że imię

¹⁾ Rzecz trochę zabawna, że tegosamego tekstu protestanci nadużywają przeciw postom.

jego jest legion, prosił imieniem towarzyszków, aby im wszystkim wolno było pozostać w Gerazie, mianowicie, żeby mogli wejść w stado pasących się nieopodal wieprzów. Nauczyciel dozwolił i oto wieprze, w liczbie około 2,000 tysięcy, jak szalone rzuciły się w pobliże jezioro Genezaret, gdzie potonęły. (Mat. VIII; Mar. V; Luk. VIII).

Pojmujemy współczucie Mangasariana dla gerazeńczyków, z powodu tak wielkiej ich straty. Wszak jest on obywatelem miasta Chicago, w którego słynnych rzeźniach „nie ginie, oprócz kwiku“. A tu 2,000 wieprzów poszło w całości na marne! Gdyby to stało się za dni ruchu etycznego w Ameryce, Chrystus byłby pociągnięty do odpowiedzialności, bo: „nasze prawa karzą tego rodzaju postępków“ (50).

— „Lecz jeśli Chrystus był Bogiem — orjentuje się autor, — czyż nie miał prawa robić, co chciał?“ I odpowiada:

— „...Jeśli Jezus mógł robić, co mu się podobało, bez względu na dobro lub zło, jak my je rozumiemy: w takim razie nie posiadamy żadnej miary, by osądzić, czy był on dobrym...“

Czy potrzeba lepszego dowodu na to, że autor pojmuje dobro i zło ze stanowiska *business'u*, któremu cele wyższe powinny być podporządkowane? Czy to nie ciekawe, że autorowi nie wystarcza na wytłomaczenie tego wypadku nawet myśl przypuszczalna, iż sprawił go Bóg? Czy nie logiczną byłaby w takim razie myśl pociągania Boga do odpowiedzialności za gradobicia, orkany, powodzie? Ach, coby to był za wspaniały *business*!

Ale autor znalazł kruczek sofistyczny, tkwiący już w samym jego pytaniu powyższem: „...robić, co chciał“. Skąd w odpowiedzi pojawiło się owo „bez względu na dobro lub zło“ — w zastosowaniu do Boga! Jakiem prawem? Wszak jeżeli przypuścimy w tym wypadku prawo Boga, to konsekwentnie powinniśmy swoje rozumienie dobra lub zła podporządkować rozumieniu Bożemu; więc z góry mieć pewność, że dane postąpienie Jego, lubo dla nas niezrozumiałe, musi być jednak rozumne, celowe i dobre. W tem przekonaniu, szukając rozwiązania zagadki, znajdujemy je przypuszczalnie w tem, że gerazeńczycy byli materjalistami, poświęcającymi ideały najwyższe, bo religijne, poziomowi interesowi, za co też zostali ukarani. Przypuszczenie to potwierdza okoliczność, że po tym wypadku gera-

zeńczycy prosili Chrystusa, żeby krainę ich opuścił, lękali się bowiem z Jego przyczyny szkód innych. Czy nie podobnym materjalistą jest nasz apostoł ruchu etycznego, mającego zapędzić w kozi róg etykę ewangeliczną?

Jeżeli wreszcie autor traktuje Chrystusa, jako tylko człowieka, we takim razie na mocy jakiej logiki utrzymuje, że On „kazał utopić stado?“ On dopuścił tylko złym duchom wniknąć we wieprze, a złe duchy utopiły całe ich stado, snąc w wyrachowaniu djabelskim, że przez to zrażą gerazeńczyków do Niego. Jedyne w przypuszczeniu, że Chrystus jest Bogiem, moglibyśmy Jemu potopienie się wieprzów przypisać, gdyż tylko jako Bóg mógł On przewidzieć takie a nie inne następstwo swego pozwolenia, danego złym duchom. Mając tedy Chrystusa za człowieka, a mimo tego przypisując Mu „rozkaz“ utopienia wieprzów i czyniąc Go za to odpowiedzialnym, autor popełnił jeden z niezliczonych sofizmatów, o które w jego „Nowym Katechizmie“ potykamy się co chwila.

Zresztą czy autor ze swego stanowiska, nie powinienby był poczytać całego wypadku za legendę, skoro dziś nikt z „oświeconych“ w żadne opętania nie wierzy? Tak więc czy owak, zarzut jego okazuje się nedorzecznym.

Dość wszakże tych próbek dla charakterystyki „Nowego Katechizmu“. Krótko mówiąc, są to niemowlęce kroki poza prawdą chrześcijańską, w bezwiednem dążeniu do zbliżenia się ku niej z dalekiej krainy materyalizmu, dokąd myśl nowoczesna była odbiegła. Mówiąc jeszcze krócej, jest to zwycięska, tryumfalna walka z wiatrakami, albo jeśli kto woli, strzelanina do nieprzyjaciół malowanych. Autor bowiem zmyśla sobie fantastyczne definicje różnych punktów nauki chrześcijańskiej i naturalnie, zwalczając je z niesłychaną łatwością. Nie braknie tu, oczywiście, i Niepokalanego Poczęcia, pojętego w odniesieniu do Chrystusa, zamiast do Jego Matki, oraz w znaczeniu fizjologicznym, zamiast w moralnem (41 i 59) ¹⁾.

¹⁾ Oddając, co się komu należy, dodajmy, że przekład polski „Nowego Katechizmu“, wydany przez „Księgarnię Naukową“, jest niedołężny, a polszczyzna jego — ohydna. Jako zaś przykład erudycji klasycznej tłumacza, niech posłuży następujący „kwiatek“: „*argumentum fabulae*“ (mowa o księdze Hioba) przełożono na — proszę zgadnąć?! — na „...argument z bajki“ (18) — zamiast: *treść bajeczna*! O, Ciemnogrodzie polski!

Jakkolwiek przeto ruch etyczny oceniamy, jako coś, co niesie ze sobą pierwiastki etyczne dodatnie: niemniej atoli ze względu na haniebną nieznajomość nauki chrześcijańskiej, oraz ślepe a zarozumiałe do niej uprzedzenie, widne w produkcie owego ruchu, t. j. w „Nowym Katechizmie“, musimy zaliczyć jego autora do rzędu obywateli niepodległego Ciemnogradu—pierwszej klasy.

Autor niewątpliwie, w myśl swojej teorii o nieśmiertelności, marzy o unieśmiertelnieniu się przez swój „Nowy Katechizm“. Możemy powiedzieć mu na to z Mickiewiczem:

*Chcesz zyskać nieśmiertelność przez jaki czyn dzielny?
Głupiś! Czy chcesz, czy nie chcesz, będziesz nieśmiertelny.*

A wraz z osobą autora, będzie nieśmiertelny, i jego, i całego Ciemnogradu,—uprzywilejowany przez „naukowe“ niedowiarstwo obskurantyzm religijny!

O, Ciemnogradzie wszechświatowy!..

K O N I E C.



Spis rzeczy

	<i>str.</i>
Przedmowa	VII
Wstęp	1
I. Początek życia.—Teoria transformizmu.—Początek materji.	6
II. Chwała Boża, jako cel stworzenia	23
III. Przymioty Boga w stosunku do przymiotów człowieka	61
IV. Działalność woli boskiej w stosunku do woli ludzkiej. (Prze- widzenie.—Przeznaczenie.—Dopuszczenie).	85
V. Rzeczy ostateczne: Piekło	109
VI. Rzeczy ostateczne: Czyściec, Niebo, Zmartwychwstanie, Sąd.	131
VII. Grzech pierworodny.—Odkupienie	162
VIII. Bóstwo Chrystusa.—Dziewictwo Marji.	216
IX. Kościół Nauczający	246
Wnioski p. Niemojewskiego w oświeceniu zdrowego rozsądku	264
Zakończenie	272
Dopełnienia	298